

Jan

Chmura

NA DZIŚ

PISMO ZBIOROWE

POŚWIĘCONE

LITERATURZE, NAUKOM, SZTUCE,
Gospodarstwu krajowemu, Handlowi
i Przemysłowi.

Y d 13.
II

Tom II.

W KRAKOWIE

Wydawca Jan Waligórski.

1872.

<http://rcin.org.pl>

WYDAWCA

PISMO ŚRÓDOWE

WYDAWCA



. P 424



W drukarni „KRAJU” pod zarządkiem St. Gralichowskiego.

SPIS RZECZY.

Literatura: Pamiętniki Dra Józefa Franka, profesora uniw. wil. streszczone i uzupełnione przez Dra Michała Homolickego	str. 5
Daniel, powieść współczesna, napisał Józ. Tretiak	36
Naprzód, romans Spielhagena. (rozd. VII—VIII)	67
Poezye: Na przesilenie wiosenne, przez Karola Brzozowskiego	66
Niecierpliwa, przez Hugona Wróblewskiego	86
Stary Dziad, przez Franciszka Gumowskiego.....	118
Darmo nic, przez Karola Swidzińskiego	155
Studjum socyologiczne: przez Bolesława Limanowskiego:	
Plato i jego Rzeczpospolita	87
Historya: Kobięty historyczne, przez Dra Xawerego Liskego:	
II. Marya i Elżbieta	120
O kodyfikacyi praw w dawniej Polsce i jej znaczeniu europejskim, przez Wacława Aleksandra Maciejowskiego	158
Do czasów Zygmunta I, przez Aleksandra hr. Przędzieckiego	193
Bijografija: Dr. Jan Kanty Szlachtowski, przez Karola Estreichera	209
Etnografija: Rzec o obchodach weselnych ludu w Polsce i na Rusi, przez Oskara Kolberga	235
Nauki przyrodnicze: Spór botaników o pytanie: Dla czego korzeń roślinie na dół a łodyga do góry? przez E. G.....	256
Ekonomija polityczna: Drogi handlu zbożowego, przez J. N. Sadowskiego.....	271
Przegląd Artystyczny, przez Antoniego Zaleskiego.....	297
Przegląd Literacki.	309
Bibliografija Polska	333
Korespondencya, kronika, rozmaitości.	
Kraków	337
Lwów	344
Poznań	345
Stanisławów.....	347
Wiadomości bieżące.....	350

— PŁYTY KARTONOWE —

Wydawnictwo Państwowe Zakład Wydawnictw Literackich
ul. Chałubińskiego 1, 01-645 Warszawa
tel. 022 629 41 00, 629 41 01, 629 41 02, 629 41 03, 629 41 04, 629 41 05, 629 41 06, 629 41 07, 629 41 08, 629 41 09, 629 41 10, 629 41 11, 629 41 12, 629 41 13, 629 41 14, 629 41 15, 629 41 16, 629 41 17, 629 41 18, 629 41 19, 629 41 20, 629 41 21, 629 41 22, 629 41 23, 629 41 24, 629 41 25, 629 41 26, 629 41 27, 629 41 28, 629 41 29, 629 41 30, 629 41 31, 629 41 32, 629 41 33, 629 41 34, 629 41 35, 629 41 36, 629 41 37, 629 41 38, 629 41 39, 629 41 40, 629 41 41, 629 41 42, 629 41 43, 629 41 44, 629 41 45, 629 41 46, 629 41 47, 629 41 48, 629 41 49, 629 41 50, 629 41 51, 629 41 52, 629 41 53, 629 41 54, 629 41 55, 629 41 56, 629 41 57, 629 41 58, 629 41 59, 629 41 60, 629 41 61, 629 41 62, 629 41 63, 629 41 64, 629 41 65, 629 41 66, 629 41 67, 629 41 68, 629 41 69, 629 41 70, 629 41 71, 629 41 72, 629 41 73, 629 41 74, 629 41 75, 629 41 76, 629 41 77, 629 41 78, 629 41 79, 629 41 80, 629 41 81, 629 41 82, 629 41 83, 629 41 84, 629 41 85, 629 41 86, 629 41 87, 629 41 88, 629 41 89, 629 41 90, 629 41 91, 629 41 92, 629 41 93, 629 41 94, 629 41 95, 629 41 96, 629 41 97, 629 41 98, 629 41 99, 629 41 00

PAMIĘTNIKI

Dra JÓZEFA FRANKA

profosora uniwersytetu wileńskiego,

STRESZCZONE I UZUPEŁNIONE

przez

Dra MICHAŁA HOMOLICKIEGO

profesora uniwersytetu wil.

III.

Frank zarzuca naszym krajowcom opieszałość, ale przyznaje im pierwszeństwo przed obcymi w zajmowaniu posad naukowych. — Herberski. —
Złagodzenie zarzutu.

Taki-to mistrz, którego unosiła niezmordowana o sławę szkoły wileńskiej i postępek uczniów gorliwość, który podobną rad widział u jednych, a rozniecać i utrzymywać starał się u drugich kolegów swoich, taki mistrz nigdy nie zaprzeczał krajowcom naszym niepospolitych, wielkich nawet zdolności, tak do wywiczzenia się w samej nauce, jak i biegłego sztuki lekarskiej sprawowania. Zarzucał tylko, nie samym wprawdzie lekarzom, ale w ogólności nam wszystkim, jakiegoś słowiańskiego czy litewskiego praojca grzesznym potomkom mniej lub więcej wspólną, pierworodną winę, którą sami sobie nawzajem jużśmy nieraz w żywe oczy wytykali, o której wnet po przybyciu do Wilna wcześniej był przez rektora Strojnowskiego uprzedzony, a którą grzeczniej *l'indolence*, trochę dosadniej *la paresse*, a w szczegółowem pod czas zastosowaniu *la paresse personniifié* nazywa. Utyskiwał więc i z goryczą wymiatał, że niektórzy z celniejszych nawet uczniów, patent na stopień doktora medycyny uważają jakby za urzę-

dowy przywilej, wyzwalający ich od wszelkiej nadal troski i mozoły naukowej. Narzekał, że na powiatach lub dworach praktykujący, chociażby nawet nie schodziło im na sposobach, bardzo rzadko lub wcale nie utrzymują jednego przynajmniej pisma zrokowego, któreby ich ze wzrostem i postępowaniem nauki lekarskiej obeznawać mogło ¹⁾). Przyganiał, że tutejsi rodacy lekarze, wyjąwszy niewielką ich liczbę, nie opisywali i nie ogłaszali ważniejszych lub rzadszych przypadków, w praktyce swój wydarzonych ²⁾); że sami, bez uciekania się (jak to mówią) do cudzych bogów, nie dokładali czynnych starań w celu gruntowniejszego zbadania natury chorób krajowi swemu właściwych czyli swojskich, a miejscowego innych charakteru. Nie dosyć też dbają o upowszechnianie w mowie narodowej dzieł, przydatnych wiejskim zwłaszcza lekarzom i chirurgom, z obcemi języki mało obeznanym ³⁾). Drudzy, wyższego

¹⁾ Zwracał jednak uwagę i na stronę ujemną lekarskich dzienników, z winy samych wydawców pochodzącą. Niektóre bowiem teńną wyraźnie duchem sektarstwa i propagandy jakiegoś wyłącznego systemu. Inne, za prędko i bez braku, ogłaszają nie dosyć jeszcze stwierdzone doświadczeniem, albo niepewne i niebezpieczne sposoby i środki leczenia; trąbią pochwały coraz to nowych, nie wypróbowanych specyfików. Takie dzienniki, zwłaszcza dla pewnej czytelników klasy, więcej czasami szkody niż pożytku przynieść mogą. Zachodzi bowiem jakieś powinowactwo wyborowe między rodzajem czytelników, a rozmaitą, mieszaną treścią lekarskich pism czasowych. Praktycy rozsądni i stałych zasad, wybiorą z nich, co najlepszego. Inni uwiodą się samym tylko powabem nowości i łatwo przyłgną do tego, co jest najgorszym. (*Mém. biogr. T. IV p. 222—223*).

²⁾ Przynajmniej do założenia Towarzystwa Lekarskiego.

³⁾ Dwóch z pomiędzy celniejszych uczniów swoich namawiał Frank do wypracowania, w polskim języku, monograficznych dziełek: o niemocach białogłowskich, tudzież o chorobie syfilitycznej, następcząc sam wszelkie potrzebne do tego źródła, rady i pomocy. Trzeciemu zaś polecał przetłumaczenie swego własnego traktatu o chorobach oczu, w języku łacińskim głównie podług Beera zasad napisanego. Przyrzekli i krzatać się niby poczęli. Ale wkrótce jeden wezwaniem na pomocnika w oddziale medycznym przy uniwersytecie, drugi bliskim wyjazdem na lekarza domowego w zamożnym i świetnym dworze na Wołyniu, trzeci przeznaczeniem do posługi rządowej na powiecie, wymówili się od podjęcia téj pracy. Byłyto, podo-

usposobienia i najlepszych z początku chęci, w zawodzie świetnie rozpoczętym prędko się opuszczają, i przechodzą na pospolitych lekarskiej zabawy podzienników. Insi

bno, jak wymówki zaproszonych na gody ewangeliczne:— „Kupiłem wieś, idę ją oglądać; miej mię za wymówionego. Żonęm pojął; miej mię za wymówionego. Kupiłem pięć jarzm wołów, idę ich doświadczać; miej mię za wymówionego“.

Najwięcej zaś obchodził Franka doznany zawód w przekładzie na język polski traktatu o chorobach oczu, który wnet po swój do Wiednia w r. 1817 podróży był wypracował. Do tej zaś podróży mogły mu dać pochop okoliczności, zasługujące na wspomnienie. Już w r. 1810 słynna z piękności pani Pelagia Czerniajew, żona radcy rządu gubernialnego mińskiego, z domu Kołkowska, cierpiąca na przeciągłe zapalenie oczu z pewnym nawet owrzodzeniem błony rogowej, przybyła umyślnie do Wilna dla powierzenia się staraniom Franka, które jednak, pomimo wszelkich jego usiłowań, okazały się bezskutecznymi. Zawiedziona w oczekiwaniu i lękając się utraty wzroku, udała się do profesora chirurgii J. F. Niszkowskiego, który ją dosyć prędko wyleczył. Tknięty nieco Frank zapytywał swego kolegi: jakim sposobem mógł tak snadnie uzdrowić zbiegłą jego pacjentkę? „Nic w tém dziwnego, zacny mój przyjacielu (odpowié mu Niszkowski). Nie potrafiłbym i ja dać rady tak uporzeczemu zajątzeniu oczu, gdybym się dobrze był nie napatrzył leczeniu podobnych przypadków w klinice wiedeńskiej dra Beera (*Mém. biogr.* T. III p. 476). W kilka lat później (1815—1816) przyjęty był do kliniki mężczyzna z mocnym bardzo zapaleniem oczu, już prawie w stan chroniczny przechodzącym, niemniej jednak dolegliwym. Użyte różne z kolei środki lekarskie żadnej nie przyniosły pomocy. Wyszedł w tymże samym stanie, w jakim i przyszedł, a zdawało mu się, że w pogorszonym jeszcze: gdyż nieborak dosyć ucierpiał, bez najmniejszego polepszenia, przez kilkakrotne nacinanie czyli skaryfikacyą łącznicy albo spojówki oka (*membrana conjunctiva*), nabrzmiałéj tak, że ruchom powiek wielce wadziła, a straszliwie czerwonej. Lekarzem jego dozorującym był Franciszek Ławrynowicz (później doktor medycyny, z niemalą wziętością praktykujący w Kamieńcu-Podolskim i w Odessie, zagorzały przez czas zwolennik Galla, wielbiciel Dra Broussais, a dowcipny wysmiewacz Hahnemannizmu). Owóz Ławrynowicz, uwagi nad tą chorobą i jéj leczeniem, czyli tak zwaną epikryzę, nie dbając na moje i innych przyjaciół odradzanie, zakończył zdaniem, jak upewniał, wyrwaném z dzieł Fryderyka Hoffmanna: *Fuge medicos et medicamenta, si vis esse*

znowu w zamiarze lub pracy jakiej, chwalebnie i z zapałem przedsięwziętej, za lada napotkaną trudnością zrażają się i serce tracą dozwalając gnuśnieć i nিকেzemnieć znakomitszym nieraz zdolnościom, które w ciągłym utrzymywane ruchu, w ciągłym jak łuk sprężysty napięciu, ażaliby nie przyłożyły się, w cząstce jakiejś, do wzbogacenia ogólnej dziedziny umiejętności. Niektórzy starce, jak się na konsyliach wiejskich miał przekonać, pozapominali samego nawet nazwiska chorób rzadziej się zdarzających, a o nowym oznaczeniu albo bliższym poznaniu istoty innych, nigdy ani zasłyszeli i t. p. Wszystko to, zacny i otwarty nasz nauczyciel przypisywał brakowi wytrwałości, brakowi zamknięcia obranego zawodu, pracy¹⁾ i poczwój sływy. Całą zaś winę składał jużto na charakter

sanus, to jest: uciekaj od lekarzy i od leków, chcesz być zdrów. Frank nie powiedział ani słowa. Następnego zaś roku (1817) przyspieszywszy nieco ukończenie swego kursu, i zwykle egzamina, jeszcze przed nastaniem letnich feryj pojechał do Wiednia. Tam, daleki od wszelkiej zarozumiałości, po trzynastoletniem już w Wilnie z taką sławą nauczaniu, chcąc uzupełnić wiadomości swoje w trudnej sztuce rozpoznawania i leczenia chorób oczu, stał się uczniem znakomitego profesora okulistyki G. I. Beera; przez trzy miesiące pilnie wysłuchał jego lekcyj i na klinikę oftalmiczną rzesko uczęszczał. Gdy z tego powodu w pewnym towarzystwie wszczęła się była mowa, że sławny professor wileński robi wielki honor wiedeńskiemu, z taką ochotą i młodzieńczym prawie zapałem słuchając jego kursu; jeden z obecnych do rzeczy się odezwał: — „I owszem, robi większy honor samemu sobie.“ — O tak słynącym podówczas okuliście powiada Frank: „Lekcyje, a nadewszystko klinika oftalmologiczna Beera przewyższyła moje oczekiwanie. W dyjagnostyce wielkim był prawdziwie i również biegłym mistrzem w sposobie operowania. Wielu znałem profesorów klinicznych; żadnego tak niezmiordowanie czynnego i gorliwego jak Beer. Przykład jego dodał i mnie nowej podniety do nieustawiania w zawodzie.“ (*Mém. biogr.* T. IV p. 336—338). Co za słowa w ustach takiego, jak Frank, profesora! We cztery lata później Dr. Ławrynowicz, odwiedzając w Wilnie krewnych swęj żony, złożył, jak przystało, uszanowanie dawnemu nauczycielowi. Frank na samym progu powitał go wykrzyknieniem: „Aaa! teraz umiemy trochę lepiej poznawać i leczyć choroby oczu.“

¹⁾ Frank w ogólności zadawał krajowcom naszym wstręt do pracy, zowiąc go: *horror laboris*.

narodowy, z innych miar pełen zalet, towarzyski, gościnny, uprzejmy, łagodny i przyciągający, lecz do opieszałości i ospalstwa skłonny; już znowu na stan niedojrzałej jeszczce i połowicznej cywilizacji¹⁾.

Łatwo jest widzieć, że pewna część tych zarzutów, nawet na czas, w którym je czyniono, żeby lepiej dosięgła swego celu, trochę już za daleko i aż do przesady, snać i umyślnie, była posunięta. Nikt jednak nie zaprzeczy, że przestrogi, zachęty i upominania Franka dla młodszych lekarzów, że jego przykład osobisty, że dzielny popęd, raz przez niego nadany, nie zostały bezowocnymi. Towarzystwo lekarskie wileńskie, gałąź zasadzona ręką gorliwego profesora Józefa Franka przy starożytnym zakładzie naukowym i pożywnymi jego sokami, aż do zamknięcia akademii medyko-chirurgicznej zasilana, Towarzystwo lekarskie, z natchnienia i w znaczniejszej części pracą swego założyciela, poczęło było wydawać Pamiętniki praktycznej treści, nagrodzone wyjednanym przez Franka tytułem: Cesarskiego. Obok nich ukazał się Pamiętnik wydziału farmaceutycznego, z zachęty i za przewodniczą starannością profesora Jana Wolfganga. Miejsce obudwu tych pism zastąpił wkrótce Dziennik medycyny, chirurgii i farmacyi, z porady i za czynnym spółdziałaniem samegoż Franka wydawany, a po wyjeździe nawet jego jeszcze nieco dłużej przeciągnięty. Po kilkoletniej zaś przerwie na nowo wskrzeszony gorliwością niezapomnianych zasług Jędrzeja Śniadeckiego, podówczas już kliniki profesora i genialnymi jego rozprawami, płodnymi w nowe a głębokie pomysły podsycany, przy uczestnictwie innych téż profesorów wydziału lekarskiego, po roku 1831 napotkał na swój drodze zawadę, niepodobną do obejścia, a trudną do uprzątnienia. Później ukazywały się tylko już od czasu do czasu postrzeżenia zbiorowe jak i oddzielne, członków Towarzystwa lekarskiego, a na obchód pięćdziesięcioletniej rocznicy jego założenia wyszła w r. 1855 *Historia początków i postępu Anatomii w Polsce i Litwie*, napisana przez uczonego Dra A. F. Adamowicza. Omijam

¹⁾ Osnowę takich narzekań i zarzutów Franka, na wielu miejscach Pamiętników, na lekcjach i w poufałych z dawnymi uczniami rozmowach, a bardzo rzadko w wielkiem jego dziele, wiernie za-trzymałem.

inne, właściwie do zakresu prac Towarzystwa nie należące i dosyć już nieliczne w polskim języku dzieła lekarskiej treści, po roku 1831 w Wilnie wydane.

Pomimo przywary, jakie w obec i z osobna upatrywał w Litwinach, Frank uczniów swoich, zwłaszcza celujących, szczerze kochał, i powodzeniem ich w praktyce cieszył się i pysnił jak ojciec. O jednym z nich tylko mającym po siedmioletniej praktyce, kilka już w mieście Wilnie kamienie, napisał potem w Pamiętnikach, że życzyłby mu jak najgoręcej mniej kamienie, a więcej książek w jego bibliotece ¹⁾. Nie zalecał bezwarunkowie i nie nastęrczał cudzoziemców na opróżnione posady w uniwersytecie. Radby i owszem widział wszystkie katedry oddziału lekarskiego wychowańcami swymi osadzone: co téż, ku końcowi istnienia uniwersytetu, i potem za akademii medyko-chirurgicznej, ziściło się w znaczniejszej daleko części.

Jak szlachetnie i bezstronnie sądził Frank o powodach i potrzebie używania cudzoziemców na naukowe posady, wyświéca się z jego uwag nad sposobem, jakim wzięto się do odnowy uniwersytetu, po uzyskaniu aktu jego potwierdzenia i reformy w roku 1803. — „Chciano, powiada, zaledwie odradzający się uniwersytet do razu już postawić na równi z zagranicznymi przybytkami oświaty; kiedy należało doskonalić go stopniami, poczynając od rzeczy najważniejszych. Utworzono wiele nowych katedr; wezwano lub wybrano wielu razem professorów; a nie dano im wszystkich potrzebnych środków do korzystnego nauczania. W przyjmowaniu wolnych uczniów do uniwersytetu nie zwracano wielkiej wagi na pierwiastkowe ich szkolne usposobienie. Biblioteka wcale nie miała nowszych dzieł, osobliwie w przedmiocie nauk lekarskich ²⁾. Gabinety i zbiory posiłkowe zaledwo były jeszcze w zarodkach. Brakło oddzielnego a przestronnego teatru anatomicznego, jak i porządnych cieplarni. Ociągano się z otworzeniem kliniki chirurgicznej i położniczej i t. d. Na sprowadzenie

¹⁾ *Mém biogr.* T. IV, p. 359.

²⁾ Niżeli je sprowadzono, Frank dla doskonalących się uczniów, otworzył był swoją własną bibliotekę, do której trzy razy na tydzień, w oznaczonych godzinach przychodzić mogli (*Mém. biogr.* T. II p. 512).

cudzoziemców, zakupienie trzech domów: Radziwiłowskiego ¹⁾, Mikulicza ²⁾ i Prozora ³⁾, wysypano za jednym razem znaczne summy; a nie kwapiono się zaradzić wielu przedmiotom pierwszej i naglącej potrzeby. Zamiast użycia, na jak najprędzse jój opędzenie, pozostałych jeszcze zasobów, poczęto ogłaszać po Europie zadania do nagród naukowych, kiedy rozwijający się uniwersytet powinien był tymczasem, przestać na zaszczerpianiu i ugruntowaniu zasad wyższych nauk i umiejętności. Rzecz pewna, że do osadzenia wszystkich katedr nie podobna było wtedy jeszcze znaleźć w kraju należycie usposobionych rodaków. Nadto Strojnowski najmocniej był przekonany i z tém się nigdy nie tał: iż naukowemu zakładowi, ze stariej akademii po-Jezuickiej, a następnie szkoły głównej litewskiej, przetwarzającemu się na wzór zagranicznych uniwersytetów, bez przywołania cudzoziemców, wsławionych wysoką nauką, talentami i dowiedzioną już zdolnością nauczania, niepodobna było nadać porządnego ruchu, a przynajmniej pierwszego popędu. Czego ten zacny i gorliwością o sprawę oświecenia zagrzany rektor, prawdziwy miłośnik uniwersytetu, który opromieniał biskupią swą dostojnością, — nie spodziewał się dokazać z samymi tylko krajowcami. Nie żeby im zaprzeczał zdolności i talentów, lecz że, z niewielu wyjątkami, uważał ich za mniej czynnych, przedsiębiorczych i wytrwałych w pracy naukowej. Nie można zamilczeć jednak, iż w tym wyborze cudzoziemców Strojnowski nie zawsze powodował się ustaloną ich sławą z nauk, ale czasem przestawał na prostej rekomendacji swych przyjaciół ⁴⁾. Ledwieby go posądzać nie przycho-

¹⁾ Pałac księcia Macieja Radziwiłła, a późniejszy dom kliniczny.

²⁾ Dawniejszy gmach szkolny wyznania helweckiego; a późniejsza pracownia chemiczna.

³⁾ O tém niżej się powie.

⁴⁾ Może tu Frank miał na myśli uczonego Florentczyka Fabroniego, z którym Strojnowski, za pobytu swego we Włoszech w r. 1787—1788 ściśle się był zaprzyjaźnił. Za jego też zaleceniem wezwał później Aloizego Cappelli na profesora prawa cywilnego i kryminalnego znaczniejszych dawnych i nowożytnych narodów. Ależ to nie był wybór wcale chybiony. Czyli zaś i Pawła Tarenghi'ego zalecał Strojnowskiemu Fabroni, wiedzieć zgoła nie mogę.

dziło, że chwałę swoją zdawał się na tém zakładać, żeby go świetnie otaczał liczny orszak professorów, a zwłaszcza professorów cudzoziemców¹⁾, względem których miał czasami szczególne uprzedzenia. Bezmiała nie był przeświadczony, że do nauczania medycyny może być najzdolniejszym tylko Niemiec, do chirurgii tylko Francuz, do literatury łacińskiej tylko Rzymianin, a do sztycharstwa Anglik; podobnie jak u niektórych magnatów polskich, do dobrego tonu należało mieć kucharzem Francuza, lekarzem Niemca, cukiernikiem Włocha lub Szwajcara, a masztalerczem Anglika²⁾.

Cale innego był przekonania Józef Frank. W projekcie odmian, doradzanych uniwersytetowi pod koniec 1809 roku, między innymi, podawał za ogólne prawidło: żeby odtąd, na professorów zwyczajnych, wybierano lub stopniami posuwano samych krajowców, ale koniecznie takich tylko, którzyby już ze sławą dali się poznać przez jakie pisma, ogłoszone w przedmiocie téj nauki, którą wykładać mają, i przez to okazali się sposobnymi do napisania dobrego, podręcznego w niej dzieła³⁾. Jedynie zaś w braku podobnych kandydatów krajowych, radził wybierać uczonych cudzoziemców, już przez swe prace i wydane dzieła zaleconych, a z kąd inąd, co do charakteru, obyczajów i zdolności nauczania dobrze poznanych; ale nikogo na chybi-trafi, nie wyszukiwać i nie łowić drogą

1) Za Strojnowskiego weszli do składu uniwersytetu, na czas krótszy lub dłuższy: Karol Christian Langsdorf, Jan-Piotr i Józef Frankowie, Ludwik Henryk Bojanus, Jan Henryk Abicht, Aloizy Cappelli, ks. Paweł Tarengi, nie licząc uczonego prosektora anatomii, doktora medycyny Jana Brauna i dwóch lub trzech adjunktów z metrami. Za cudzoziemca nie mógłby się uważać znakomity professor literatury starożytnej Godfryd Ernest Groddeck, gdańszczanin, znający gruntownie język polski, przez niemały czas w Puławach nauczyciel młodego księcia kuratora, potem jego bibliotekarz i przez niego samego uniwersytetowi zalecony.

2) *Mem. biogr.* T. II p. 454—456.

3) Pamiętam, co raz powiedział na posiedzeniu oddziału lekarskiego: że czytanie lub dyktowanie lekcyj w uniwersytetach z raptularzy i seksternów, nie powinny już uchodzić po wynalezieniu sztuki drukarskiej. Zapewne, że i w tém trochę przesadzał; ale zawsze najlepsze miał zamiary.

zwyczajnych konkursów, która często nazbyt okazała się zawodną w uniwersytetach austriackich, a którą też stanowczo, bezwarunkowie potępiał i odrzucał ¹⁾.

W istocie konkurs taki, jaki miewał miejsce i w b. uniwersytecie wileńskim, konkurs zaoczny, doraźny, jedynie tylko za pośrednictwem przysłanej rozprawy, czasem i przy pomocy drugich osób napisanej lub całe cudzej ²⁾, nie mógł być pewną rękojmią ani nauki ubiegających się, ani zdolności lub usposobienia do publicznego jej wykładu, jeżeli te zkaźnād nie były już dobrze wiadome. Przepisane zaś ustawami zasięganie lub zbieranie szczegółowych wiadomości o autorze rozprawy, kiedy ten nie znajdował się w kraju, a był jeszcze nieznanym w rzeczypospolitej uczonych, na wielkie trudności i nową niepewność narażało.

Nie oddalił się więc od swoich zasad podając w r. 1820, chociaż bezskutecznie, na katedrę anatomii, po śmierci J. A. Lobenweina opróżnioną, dra Antoniego Moreschi, kiedy już Bojanus od przyjęcia jej całkiem był odstąpił. Bo wtenczas nie upatrywano do niej żadnego w kraju usposobionego kandydata; a Frank nie sprzyjający ogłoszeniu konkursu, zalecał A. Moreschi'ego w zupełnym przeświadczeniu: że ten, osobiście mu znajomy, biegły anatomik, dawniejszy professor anatomii w uniwersytetach pawijskim i bonońskim, autor kilku szacowanych pism w tej gałęzi (późniejszy protomedyk Lombardyi), aż nadto czyni zadość warunkom, jakich same, zwyczajne konkursu wymagają i nie zawiedzie oczekiwania. Trudnoż było przewidzieć wtedy Frankowi, że professor zwyczajny chirurgii Wacław Pelikan, zastępujący tymczasowie katedrę anatomiczną, potrafi tak prędko rozniecić w uczniach zapal i ochotę do prac w anatomii człowieczej, jak Bojanus obudził ją do porównawczej. Trudniej było jeszcze przewidzieć, że młody pomocnik Pelikana prosektor Adam Bielkiewicz, szybko posuwany na adjunkta i następnie

1) *Mém. biogr.* T. III p. 369.

2) Na konkurs do jednej z katedr teologicznych przysłana raz była rozprawa, przewybornie i treściwie w języku łacińskim napisana, ale żywcem i co do słowa z cudzej drukowanej książki skradziona. Prędko to postrzegł ówczesny professor pisma św. ks. Michał Bobrowski.

professora tój katedry, zdoła w przeciągu lat niewielu, przez swe kunsztowne wyroby i cudne injeckye, nie bez pomocy zagrzanych swoim przykładem i zachętą współpracowników, doprowadzić gabinet anatomii człowieczej fizyologicznój do stanu, wyrównywającego bogatym zbiorom wielu zagranicznych uniwersytetów, i tak dzielnie się przyłoży do wzrostu patologicznego gabinetu ¹⁾.

Frank daleko pierwój jeszcze, niżeli mógł nawet przewidzieć powód jakikolwiek do opuszczenia Wilna, wcześniej już upatrzył i w myśli przeznaczał, wprowadzić nie bez pewnego wahania się, następcę po sobie na katedrę podwójną terapii szczególnój i kliniki medycznój, przeprowadzając powzięty zamysł w duchu tychże prawie zasad, jakie sam doradzał uniwersytetowi ku powolnemu sposobieniu lub wybieraniu zdatnych professorów zwyczajnych. Co ile się powiodło, wyjaśnić może krótkie o tym jego następcy wspomnienie.

Wincenty Herberski, urodzony roku 1784, nabywał początkowych nauk w szkole powiatowój słonimskiej, utrzymywanej przez księży kanoników regularnych laterańskich. Z młodu, jak twierdzono, był nawet wstąpił do nowicyatu ich Zgromadzenia i poczynął ćwiczyć się w teologii; ale nie czekając uroczystych ślubów, wywłókł się z sukni zakonnój. Roku 1803 uczęszczał już, jako student, na oddział nauk fizyczno-matematycznych w uniwersytecie wileńskim. Następnego zaś roku wysłany był z trzema innymi młodzieńcami, na koszcie oboźnego litewskiego hr. Aleksandra Pocięja, dla uczenia się agronomii w mniemanym wzorowym folwarku gospodarskim, czyli fermie blisko Petersburga, przez jakiegoś Anglika założonój, w którój tę tylko odniósł korzyść, że się wyuczył po angielsku, a w instytucie pedagogicznym petersburskim wysłuchał przygotowawczych kursów fizyki, chemii i teorii wiejskiego gospodarstwa. Powróciwszy więc do Wilna w roku 1806, począł pilnie się przykładać do nauk lekarskich. Stary Jakób Briotet, z wielką trudnością tłuma-

¹⁾ Ob. Prof. A. F. Adamowicza: Krótki rys początków i postępu anatomii w Polsce i Litwie. Wilno 1855 w 8-ce.

czący się po polsku, a nieświadomy łacińskiego języka, upodobawszy Herberskiego, przez niejaki czas używał go (jak przedtém innych celniejszych uczniów, a najpóźniej prosektora Gabryela Holtza) do pomocy na lekcjach swoich praktycznej chirurgii. Pomoc ta jedynie zależała na czytaniu głośnem dawnych jego seksternów, z francuskiego na polski język potłumaczonych, które sędziwy professor, tu i ówdzie, objaśniał obszerniejszym ustnym wykładem, a prawidła sztuki wprowadzał w czyn i uzmysławiał przez same działania na ciele zmarłym, pod oczyma swych uczniów zręcznie wykonywane. Po sześciu latach Herberski, obroniwszy rozprawę wstępną o puchlinie stosu pacierzowego ¹⁾, otrzymał stopień doktora medycyny (dnia 26 Maja 1812 roku). A że był już wcześnięj związany ścisłą przyjaźnią z Piotrem Hornem, natenczas pocztamtu litewskiego urzędnikiem, a posażnięj pasierbicy Briotego mężem (późniejszym zaś gubernatorem cywilnym wileńskim); ten więc zalecał go wszystkim i stręczył jak lekarza. W roku 1814, po śmierci adjunkta przy klinice Sebastjana Błaszczykiewicza, Galicyanina, Herberski, na podanie Franka, wybrany został adjunktem uniwersytetu, a pomocnikiem profesora kliniki medycznej; na co jednak z niemalą trudnością i tylko za usilnóm naleganiem Franka, przyzwolił ówczesny rektor uniwersytetu Jan Śniadecki ²⁾. Po śmierci profesora Niskzowskiego, nowy adjunkt wykładał, tymczasownie i tylko przez rok jeden (z 1816 na 1817), kurs chirurgii praktycznej. Pod koniec roku 1817, Herberski, znowu przez czynne i zabiegliwe starania Franka,

1) *Dissertatio inauguralis medico-practica de Hydrope specus vertebralis. Vilnae 1812, in 8-vo.*

2) Ogólném było prawidłem rektora Jana Śniadeckiego; ażeby młodych ludzi, nowowprowadzonych do uniwersytetu, dla tém lepszego przeznania ich zdolności, obyczajów, usilności w doskonaleniu się naukowém, a pilności w gorliwém spełnianiu zleconych im obowiązków, z początku nawet i przydłużęj zatrzymywać na tymczasowém stanowisku pomocników i zastępców; a dopiero późnięj stopniami posuwać tych, którzy się okażą sposobni i godni, na stałe i nieodjemne posady adjunktów, profesorów nadzwyczajnych i zwyczajnych. Dla tego nierad był nagłemu i doraźnemu wyniesieniu Herberskiego, lubo cale już nie młodzieniaszka, na posadę adjunkta, co się dotychczasowym zwyczajom przeciwowało.

z instrukcją przez niegoż napisaną, wysłany był do Wiednia dla sposobienia się na okulistę w szkole sławnego G. I. Beera. Prędko uzyskał wielce pochwalne świadectwo swego nauczyciela, który przepowiadał i rokował w nim niepospolitego chorób ocznych lekarza. W tymże czasie Jan Piotr Frank, któremu adjunkt wileński usilnie był polecony w Wiedniu, ostrzegał syna, że jego pomocnik i domniemany następca, nie dosyć jeszcze miał towarzyskiego wykrzesania się i ogłady, a tém mniej znajomości wielkiego świata. Z upływem 1818 roku Józef Frank wyjechał od uniwersytetu pozwolenie dla Herberskiego na dalszą podróż naukową, z którego ten całe nieskąpo skorzystał, przedłużając swój pobyt za granicą, a najwięcej podobno w Paryżu, aż do połowy 1823 roku. Tak więc powrócił do Wilna właśnie co po samym wyjeździe Franka, którego téż zajął posadę, z razu w dawniejszym jeszcze stopniu adjuunkta.

Herberski byłci-to przezacny dyagnosta, a sprawny i szczęśliwy lekarz. Służył mu tak nazwany zmysł albo takt praktyczny, to jest: niepospolita pewność i trafność w stosowaniu nabytej nauki do wykonawstwa sztuki. W sześćdziesięciu latem blisko bawieniu za granicą nie zajmowały go ani rozrywały żadne, obce zamiarowi podróży, przedmioty i roztargnienia. Pilnie zwiedzając celniejsze szkoły lekarskie miał sposobność dokładnego obeznania się ze społecznym stanem umiejętności; przejrzał i porównał tryb leczenia w różnych zakładach klinicznych i po wielkich szpitalach używany. W samym Paryżu nawet zjednywał już wziętość, jako lekarz, nie tylko u przyjezdnych Polaków, lecz i pomiędzy krajowcami. Powrócił więc z bogatym zasobem praktycznych zwłaszcza, wytrawnych i postępowych wiadomości. Ztąd i w klinice poczynił bardzo dobrze prowadzić uczniów: co przytrudniejszém zdawało się, i to po tak znakomitym, jakim był Józef Frank, poprzedniku.

Już od trzech lat prawie, Dr. Adolf Abicht po swej podróży naukowej, a także młody i skromny Dr. Feliks Rymkiewicz, pierwsi w Wilnie poczęli byli używać stetoskopu. Atoli Herberski, przez długie ćwiczenie się pod okiem samego R. I. H. Laennec'a, nabył wielkiej biegłości i wprawy do umiejętnego a korzystnego stosowania tej ważnej w wielu przypadkach podpomogi lub probierki dya-

gnostycznej, do której się też i w klinice, i na konsyliach, i w praktyce prywatnej raźnie uciekał, może nawet z jakąś wystawnością i przysadą. Niektórzy dawni lekarze miejscowi z początku mieli sobie za fraszkę nowe to narzędzie, nie rokując po niem wielkich korzyści. Jeden nawet stary kolega fakultetu, nie nader wysoko ceniący nowego profesora medycyny praktycznej, uszczypliwie powiedział raz o nim do dziekana Mikołaja Mianowskiego: „Kto z czém dobrém powraca z za granicy; a nasz duda powrócił z dudą. Przymówka czy porównanie podwakroć niewłaściwe i niesłuszne. Albowiem użyteczność steloskopu wkrótce przez wszystkich uznaną została; a Herberski był całę dobrym, chociaż trochę marudnym, samęj kliniki professorem.

Lecz jeżeli z tego względu odpowiadał oczekiwaniu i z pełną usprawiedliwiał wybór Franka; nie możnaby jednak powiedzieć że, jako teoretyk, zdolnie zajmował katedrę najważniejszą terapii szczegółowej. Zimny i ciężki jego wykład tracił jeszcze na jakimś ponurém, wielce niemilém i nużącém, wpółnosowém, monotonném wysławianiu się i gęstych błędach w łacinie, narażających go czasem na przekąsy słuchaczów. Nie miał też należytej wprawy do pisania, mianowicie w tym języku, obowiązującym wtedy jeszcze dla profesora medycyny praktycznej. Dziekan Mikołaj Mianowski, przeczytawszy podany przez Herberskiego obszerniejszy, łaciński prospekt dwuletniego kursu terapii specjalnej, poradził mu, żeby, zrzuciwszy pychę z serca, o napisanie nowego, jak się należy, programmatu upraszał swego wówczas pomocnika, uczonego Dra. Adolfa Abichta. Dziekan rozumiał nawet (z czém się przed poufałymi odzywał), że do wykładania terapii szczegółowej z katedry należałoby wybrać drugiego profesora; a Herberskiemu zostawić samo praktyczne przy łożu chorych nauczanie, w którém się właśnie odznaczał.¹⁾ Praktyka

¹⁾ Po rychłym zgonie Herberskiego (1827) rozdwojenie to katedr rzeczywiście nastąpiło. Sędziwy Dr. Jędrzej Śniadecki, zasłużony profesor chemii, na usilną prośbę fakultetu, zgodził się przyjmując katedrę kliniki medycznej, mając ku pomocy Józefa Mianowskiego, a nieco wprzódy Mitkiewicza Ignacego, uczniów niegdyś skarbowych przy uniwersytecie. Wielce zaś uzdolniony i pracowity adjunkt uniwersytetu Dr. Feliks Rymkiewicz począł wykładać kurs terapii

téż prywatna coraz więcej trudniła go i rozrywała. Zre-sztą krótki, bo zaledwie półczwarta roku dobiegający, za-wód tego profesora po jego powrocie z za granicy¹⁾, nie zostawił mu pola do szerszego i głośniejszego rozwinięcia nabytej biegłości w okulistyce. Wiadomo mi wprawdzie, że kilku osobom spychał lub usuwał zaćmę (kataraktę): ale z wypadkiem, po staremu, nie zawsze równie pomyślnym.²⁾

Zamierzał wypracować, jak z ust jego słyszałem, do-kładną monografią o chorobie kołtunowej, trybem i zwy-czajem francuskich lekarzy opartą na mnogich, a szczegó-łowych postrzeżeniach praktycznych, które w tym celu począł już był starannie zbierać i gromadzić. Lecz tego dokonał Dr. Knothe choć w części w swojej inaugural-néj rozprawie.

Herberski, nawet przed swoją podróżą naukową, ma-jąc słusznie nabytą i ustaloną wziętość biegłego i szczę-śliwego praktyka, nie potrzebował już wtedy chwytac się innych sposobów dla zwabiania do siebie pacjentów. Ale w początkach, przyjaciel czy téż krewny jego aptekarz M..... wmawiał sługom, z receptami do bardzo ucze-szczanej wtenczas Apteki Zielonej przychodzącym, że pa-nowie ich prędzejby i łatwiej odzyskać mogli zdrowie gdy-by, rzuciwszy dawnych swoich lekarzy, udali się do sław-nego Dra Herberskiego. Ten znowu, najpospolitszym lekom przez siebie zapisywanym, za pomocą istot oboję-tnych i nieczynnych, często nadawał barwę lub zapach nie-zwyczajny, żeby uchodzić mogły za jakąś rzadkość lub

szczegółowej. W ciągu kilku miesięcznej choroby Śniadeckiego, na jego prośbę, za zgodą konferencyi Akademii, zastępował jego miejsce w klinice prof. Adamowicz od lat młodzieńczych sztuką le-karską zajmujący się i postrzeżenia praktyczne ogłaszający, mając ku pomocy Henryka Kułakowskiego w klinice. Po Jędrzeju Śniadeckim, zmarłym r. 1838, obie katedry znowu były się połą-czyły w jedną, które aż do zamknięcia akademii medyko-chirurgi-cznej, ze sławą i z wielkim pożytkiem uczniów, zajmował tenże uczo-ny professor Rymkiewicz.

¹⁾ Herberski wrócił z podróży naukowej w połowie 1823 r., umarł r. 1827, w wieku życia lat 42.

²⁾ Starszy jeden kolega fakultetu, w poufałym i przyjacielskim żarcie, nazwał Herberskiego w oczy: *Polnischer Baer*, co miałooby znaczyć: polski *Beer*.

osobliwość. Miał też pewne leki sekretne, których przyrządzenie powierzał jednemu tylko aptekarzowi M. Była nawet między uczniami gadka, że faktorzy stręczyli go chorem, do Wilna dla leczenia się przyjeżdżającym. Pod koniec jeszcze 1815 r., Herberski, w moich oczach, okazał niepomiarłą i nieprzyzwoitą radość: że przecież udało mu się (jak powiadał) wysadzić swego niegdyś nauczyciela, zacnego profesora Niszkowskiego, z celniejszej pensyi żeńskiej, której od kilku lat był lekarzem zwyczajnym. Lecz, jak często zdarzać się zwykło, śmierć przedwczesna w samej pełni wieku, nie dozwoliła Herberskiemu użyć znacznego już nabytku, za którym tak chciwie się upędzał, czasami nawet potrzebnych dla siebie wygód skąpiąc lub odmawiając.¹⁾ Odkładał używanie do zamierzonego i już prawie dochodzącego z panną B... ożenienia. Ale tymczasem nie pogardzał koszerne przysmaki, które leczeni przezeń i wielbiący go dostatniejsi żydowie i żydowice, przed każdym szabbatem, radzi przynosili mu w pokłonie.

Będąc jeszcze adjunktem w klinice Franka, dla szorstkiego, że nie powiem gburowatego obchodzenia się (w czem nie naśladował przykładu swego poprzednika, uprzejmego starca Błaszczykiewicza), nie był lubionym od uczniów. Nie nazbyt też ubolewali nad przygodą, jaka w roku 1816 była go napotkała, na wielkiej ulicy i wśród białego dnia, od męża przeniewiernej żony, adwokata Nowickiego.

Dla ułagodzenia już ostrych wyrzutów, jakich nie szczędził dla nas, ani za swego pobytu w Litwie, ani na wielu miejscach Pamiętników, przyznaje wszakże Frank, że przywara, którą w nas wytykał, nie jest wyłącznie, sposobem swojskiej, endemicznej choroby, naszym tylko

¹⁾ We cztery lata później umarł, w dość młodym wieku, Wilhelm F. E. Münnich, nowy po znakomitym Grodku († 1824) profesor literatury starożytnej, skapiec i chciwiec niesłychany. Rdza kruszcu nawskróś przejęła w nim i skaziła, jaką i mógł mieć, naukę.

krajowcom właściwą¹⁾ i że znaleźlibyśmy w niej pobratymców. Już albowiem I. M. Lancisi o podobną opieszałość obwinał młodych lekarzy włoskich. Sławny zaś Tissot, poprzednik Jana-Piotra Franka na katedrze medycyny praktycznej w uniwersytecie pawijskim, wychwalając wrodzoną bystrość umysłu i szczęśliwe zdolności wielu z pomiędzy włoskich swych uczniów, ubolewał wszelako, że zaledwo czwarta ich część, po wyjściu z uniwersytetu, nie wzdrygają się wytrwałej pracy w dalszém coraz doskonaleniu się i nieopaźnianiu za postępem nauki, a w przysparzaniu jój zasobu. Inni zaś nic nie czytają, ani piszą; lecz co rychlej biorą się do ciągnięcia zysku z surowych jeszcze i niewytrawionych wiadomości, których kęs w szkole zachwycili.

Aż nadto pewni jesteśmy, że przymówka Tissota nie dotknęłaby już, ile w tak ogromnym stosunku, terazniejszych włoskich lekarzy. W żadnym zaś czasie wina opieszałości nie mógłaby spadać na lekarzy germańskich. Samo już tak wielkie mnóstwo ksiąg, corocznie wychodzących w języku niemieckim o różnych przedmiotach umiejętności lekarskich i posiłkowych, samo ich łatwe zbywanie, dowodzi powszechniej tam obudzonego ruchu umysłowego, z upodobaniem i nawykniem do pracy. Atoli Frank, ze zwykłą sobie otwartością, w poufałych z dawnymi uczniami rozmowach, inne jeszcze tego zjawiska naznaczał i wyjawiał przyczyny. W Niemczech jest wprawdzie wielu gorliwych i uczonych mężów, szlachetnie pracują-

¹⁾ Może tu będzie i nie odrzeczy wspomnieć: że gdy Frank, w roku jeszcze 1820, powracał z Wiednia na Warszawę podczas odbywającego się w niej sejm, niezmiernie był ujęty oznakami szacunku i uprzejmością, okazaną mu przez rektora i professorów wydziału lekarskiego w ówczesnym Cesarsko-Królewskim-uniwersytecie (*Mém. biogr.* T. IV. p. 445). Za powrotem do Wilna wychwalał gorliwość, zapał i pracowitość, jakie ożywiały to młode uczące ciało, któremu świetną przyszłość rokował... Dziwiło go tylko że, jak dało mu się słyszeć w Warszawie, ówczesny minister S. W. i P. hr. T. M., czy to z osobistych jakich pobudek, czy też z uprzedzenia, miał jakoby lekceważyć sobie i lekarzy i nauki lekarskie. Kiedym go witał z tój podróży, Frank powiedział mi o koroniarzach bardzo lakonicznie: „to inni ludzie“. Co chciał przez to wyrazić, niewiem prawdziwie: niechaj domyślni czytelnicy zgadują.

cych przez samo szczeré zamiłowanie nauki i ku rzetelnemu jój postępowi. Inni piszą raczej dla zarobku od księgarzy. Albowiem poczesne pisarskie (honoraria), u nas jeszcze tak świeże, od dawna było już tam we zwyczaju. Sami nawet studenci uniwersytetów niemieckich, nie tylko pisują lub pisywali do dzienników przekłady i wyciągi z pism zagranicznych; ale też nieraz podejmowali się recenzyj dzieł ważnych, nad któremi sumienni autorowie przez długie lata pracowali. Na łatwe do dzienników przyjmowanie i ogłaszanie takich niedowarzonych a często zuchwałych rozbiórów i osądów mocno się użalał nasz Bojanus. Najbardziej to zarzucano wydawcy głośniejszej niegdys Gazety medyczno-chirurgicznej salzburgskiej. Insi naostatek piszą dla zjednania sobie rozgłosu uczoności, za którym częstokroć idzie większa wziętość i powodzenie w praktyce. Ztąd obok wielu dzieł nader szacownych, pojawiają się tam i daleko późniejsze. Bo niepodobna, żeby tak liczne księgi lekarskiej treści, w Niemczech corocznie na targ do Lipska wysyłane, mogły być równiej wszystkie a rzetelnej wartości i użytku. W pismach też zrozkowych, obok artykułów dobornych i treściwych, bywają i mało znaczące; z czystym ziarnem nierzadko się mieszają plewy i zgoniny. Żal mi, że muszę pominąć inne, daleko wyrazistsze i dobitniejsze porównania, jakie Frank stosował do różnej wartości artykułów, nawet w dzienniku praktycznej medycyny wydawanym podówczas przez sławnego Hufelanda. Każdy albowiem w tych pismach na wyścigi ubiega się o rozgłos swego imienia i nauki, nie tylko dla pocziwój sławy, ale też dla godziwego zarobku, dla miłego grosza, do którego sławność za środek posługuje. Nie darmoż bo nasi sąsiedzi medycynę do chlebobawczych umiejętności (Brodwissenschaften) wyłącznie przed innemi policzyli.

W naszym zaś kraju, mianowicie w niektórych stronach od Wilna odleglejszych, jeszcze pod koniec pierwszój ćwierci XIX wieku, szły rzeczy całé odmiennym torem, nawet co do czytania nowych ksiąg i dzienników lekarskich. U nas innemi czasem drogami i przez inne środki ubijano się, ale i potrzeba nawet było ubijać się o pulchny kawał lekarskiego chleba. Kiedyśmy z dziekanem Mikołajem Mianowskim, w roku 1824, jechali do Odessy dla pokrzepienia zdrowia kąpielami morskimi; w pewnym zna-

czniejszém mieście na Podolu rad był nam bardzo Dr. A. K., jeden z najlepszych uczniów Franka i używający już tam niemałej wziętości. Z rozmowy przyszło nam zapytać go: czy utrzymuje jaki dziennik lekarski? — Czytywam, czytywam, a radbym daleko częściej i więcej czytał pism zrozkowych w przedmiocie naszej nauki; ale muszę to czynić chyba ukradkiem i w najgłębszej tajemnicy, albo udając je za gazety polityczne. — A toż dla czego? Dla tego, żebym nie utracił praktyki. — Żartujesz pan. — Wcale nie żartuję. Znaczna część tutejszej publiczności zostaje w przekonaniu, że lichy to doktor, istny żak i partacz w rzemiośle, który swęj sztuki dopięro z dzienników jeszcze, z książek uczyć się musi. Gotowi doń zastosować przysłowie: *Ex libro doctus...* Gorzej o nim sądzą, niż o włodarzu lub dzierżawcy, który uczy się gospodarstwa z kalendarza berdyczowskiego. Domyślano się nawet, że niektórzy ze starych praktyków tamtejszych, co podobno od wyjścia z uniwersytetu żadnej nowej książki do rąk nie wzięli, sami się z umysłu przyłożyli do upowszechnienia, w klasie mniej oświeconej, tak szkodliwego przesądu ¹⁾. Inny znowu doktor powiatowy, z dobrych nieco dawniejszych uczniów Franka, na zdziwienie moje, żem znalazł w jego gabinecie pełno narzędzi lub przyborów muzycznych i myśliwskich, a bardzo skąpo książek lekarskich, z uśmiechem odpowiedział mi, w pół niby żartem, w pół może na prawdę: że i dziecko nawet nie potrzebuje wodzenia na paskach, gdy o swęj sile dobrze już chodzić zdoła!

Atoli w upływie drugiej ćwierci naszego wieku tak wielka pod tym względem zaszła odmiana, że czasy owe bezpowrotnie już przeminęły i dzisiaj do bajecznych zdawałyby się należeć. Teraz w najodleglejszych nawet stronach rozległego państwa rossyjskiego znajdzie się już u braci naszych jedno albo drugie z wybornych pism czasowych lekarskiej treści. W bliższych zaś prowincjach znaj-

¹⁾ Témcí więcej uradowała nas wiadomość, że w główném mieście téj prowincyi, Kamieńcu Podolskim, zawiązało się towarzystwo lekarskie, które założyło sobie rozleglejsze, a nader chwalebne i szlachetne cele. W ostatnich latach zawiązało się téż towarzystwo lekarskie w Mińsku Litewskim.

dzie się Pamiętnik towarzystwa lekarskiego warszawskiego, Tygodnik lekarski, jak i cenniejsze w tej wiedzy pisma czasowe zagraniczne. Trzymać się na równi z postępem nauki, stało się dla wszystkich lekarzy-praktyków potrzebą i obowiązkiem, na który wyższa zwierzchność zwróciła dziś baczną uwagę. Najnowsze urządzenia rzeczy lekarskiej w Cesarstwie, mądrze obmyślane środki i zachęty ku ciągłemu w swęj sztuce doskonaleniu się urzędników zdrowia, zostających już w skarbowej, zwłaszcza też wojennej służbie, bez wątpienia coraz dzielniej i skuteczniej muszą się przykładać do tej pomyślniej i szczęśliwej zmiany.

IV.

Przywiązanie Józefa Franka do Litwy i Litwinów. Nagana poniewierki dawnych pamiątek miejscowych.

Podwójną apologiją Józefa Franka ogłoszoną, jakieśmy wyżej powiedzieli, w Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych, chociaż całe niedostateczną, Jan Gwalbert Rudomina, latem 1841 roku, przesłał do Karlsbadu, gdzie zasłużony professor wileński czasowie tylko się znajdował. Odpowiadając na list i posłanie dawnego przyjaciela swego, Frank skromnie się omawia, że pochwały jego w Wizerunkach zbyt wiele są przesadzone. Chętnie się jednak przyznaje do tego, że Litwę, od samego niemal przybycia do niej, zawsze uważał i nie przestanie uważać za przybraną swoją ojczyznę; że tęskni do niej, i póki żyw tęsknić będzie, jak do rodzinnego kraju.

To nieobłudne oświadczenie Franka stwierdzają lub dopełniają liczne wzmianki i zeznania, w Pamiętnikach rozsiane, które pozwolimy tu sobie skupić i stężyć w jedną całość.

„Przybyłemu ze świetnej i ludnej stolicy Austrii, miasto Wilno, liczące około 35,000 mieszkańców,¹⁾ pod-

¹⁾ Takie obliczenie ludności miasta Wilna w roku 1805, chociaż udzielone Frankowi przez samego gubernatora wojennego barona Benningsena, nie mogło być dokładne: mianowicie dla niedostatecznych wtedy jeszcze, a zawsze trudnych do sprawdzenia spi-

ówczas niedosyć jeszcze schludne i oprzędne, a przynajmniej bardzo dalekie od późniejszego już nieco upiększenia¹⁾; główny gmach akademicki, zatrzymujący wyraźne wtedy jeszcze cechy i niektóre urządzenia Jezuickiego niegdyś kolegium; zgromadzenie professorów uniwersytetu czynnych i wysłużonych, w najznaczniejszej części, złożone podówczas z duchownych, przedtem nawet zakonnych osób, a ztąd w obyczajach i formach towarzyskiego pożycia jeszcze nie zupełnie, rzeczy można, sekularyzowane; samo wreszcie ostrzejsze klima; — wszystko zdawało się zapowiadać mi smutny w stolicy Litwy pobyt²⁾. Obawa ta jednak, w miarę zamieszkania, nagłego powiększenia się liczby świeckich professorów i wyzwolenia uniwersytetu z pod przewagi duchownych, w miarę też bliższego poznawania kraju i oswajania się z jego mową i obyczajami, — szybko zniknęła. Ujęty gościnnością mieszkańców, przychylnością, szacunkiem i zaufaniem obywatelstwa³⁾, przywiązaniem mych uczniów, którego nieraz jawne i do-

sów Izraelitów. Miejscowa też ludność wyznania grecko-rossyjskiego, w tymże roku 1805, podana była tylko na sześćset osób, licząc razem urzędników, duchownych, kupców i włościan ruskich (*Mém biogr.* T. II, p. 398). Nowsi statystycy nasi, czerpiąc z pewniejszych źródeł, ludność miasta Wilna, między rokiem 1836 a 1866, naznaczają do siedemdziesięciu tysięcy płci obojęd. (Teka wileńska, 1858, Tom III, str. 199—221. Artykuł Wydawcy A. H. Kirkora, Kuryer wileński, Pamiętniki Statystyczne).

¹⁾ Gubernator cywilny Rykman (zmarły w roku 1806), był bardzo gorliwy w oczyszczaniu miasta (*Mém. biogr.* T. III, p. 60—61.). Najstarsi mieszkańcy dotychczas zwykli opowiadać, z jakim szyderstwem ulicznicy wileńscy znieważyli pogrzeb tego rządcy, za to, że kazał był sługom policyjnym zabierać wieprze, swobodnie wałęsające się wtedy po celniejszych nawet ulicach miasta. Po wojnie 1812 roku, Wilno stało się tak chędogiem i stopniami tak wypiękniało, że Cesarz Aleksander I, za bytności swój dnia 16 — 18 Września 1819 roku, nazwał je cackiem: *un bijon* (*Mém biogr.* T. IV, p. 425). A cóż dopiero powiemy o licznych upiększeniach Wilna w następnych latach.

²⁾ *Mémoires biographiques* T. II, p. 393—394.

³⁾ *Mém. biogr.* T. III, p. 335, 540; T. IV, p. 163, 335, 367.

ład mniej zwyczajne okazywali mi dowody¹⁾, szczodrota i wspaniałością, z jaką Litwini wynagradzać umieją usługi lekarskie²⁾, zjednaném zachowaniem i ufnością u wyższych władz edukacyjnych³⁾, coraz mocniej a mocniej przywiązywałem się do Wilna. Jednoczyła mię i jak spokrewniała z tym krajem sama już sposobność stania się dlań użytecznym; samo powodzenie, chociaż nie wszystkich, usiłowań moich, ku podniesieniu i rozszerzeniu instrukcyi lekarskiej w uniwersytecie, tudzież ku wsparciu i pomocy ubogich chorych miasta⁴⁾. Nigdy więc nie żałowałem, żem poświęcił najpiękniejszą część mego życia postudze dla Litwy. Zapewne, gdybym nauczał medycyny praktycznej w jakim mieście środkowej Europy, ludniejszym i przez cudzoziemców więcej uczęszczaném; sława moja mogłaby na tém zyskiwać. Ale pod względem korzyści materyjalnej żadne inne miejsce, jak Wilno, nie otwierało mi tyle źródeł, jeźlibym tylko umiał albo raczej chciał tak je wyśczać, jak drudzy czasem umieją⁵⁾, albowi téż skupiać i zgromadzać zbiory⁶⁾. Wszakże sama myśl, że Litwini

1) *Ibidem*. T. III. p. 594—595; T. IV, p. 352—353.

2) O tém powie się szerzej w następnym artykule.

3) *Mém. biogr.* T. II, p. 289—290, 331—333, 458—459; T. III, p. 14—16, 474—475, 596.

4) *Mém. biogr.* T. II, p. 522—523.

5) *Mém. biogr.* T. II. p. 432—434 et 517.

6) Dostatnie, gościnne, a przed wojną 1812 r. nawet świetne i okazałe życie Franka pochłaniało znaczną część jego dochodów. Były téż i takie wydatki nie skurezonej jego prawicy, o których nie wiedziała lewica. Cały jego nabytek, przy wyjeździe z Wilna, nie przechodził 11,000 czerwonych złotych. (*Mém. biogr.* T. IV, p. 539). Przypadająca na rzecz Józefa Franka puścizna po ojcu Janie-Piotrze, zmarłym w 1821 r., wynosiłaby, na naszą monetę, przeszło pół miliona złotych, nie licząc pięknego domu w Wiedniu i bogatej biblioteki (*Mém. biogr.* T. IV. p. 494). Nabytek zaś Briotego w przeciągu trzydziestu i trzech lat od przybycia do Wilna, przy nieskąpym téż i nader gościnnym trybie życia, szacowano do czterdziestu kilku tysięcy dukatów (*Ibid.* T. III. p. 575). Z tych, ile nam wiadomo, Briotet za życia nie wysłał żadnej kwoty za granicę; wyjąwszy, że w ciągu wojen 1805—1807 r. rozdawał hojną jałmużnę swzystkim jeńcom francuskim, prowadzonym przez Wilno lub powra-

posądzaćby mię mogli, iż się wzbogacam pomiędzy nimi, a nabytku pójdę używać w obcych im krajach, zawsze była nieznośną dla mnie. Życzyłem więc sobie, i anim wątpił nawet, że kości moje położę między Litwinami¹⁾. Przed wysłużeniem lat, zakreślonych w nauczycielskim zawodzie, zamierzałem być, dla przytułku na stare lata, zbudować sobie wygodny i przystojny dom wiejski, albo na przedmieściu antokolskiem w pobliżu kościoła św. Piotra²⁾; lub gdyby się to nie powiodło, tedy w Puszkarni Sidorowiczowskiej, wiosce nad Wilenką o pół mili od miasta odległej³⁾. Przedsiębrałem już pierwsze ku te-

cającym do swego kraju. Piotr Horn, mąż pasierbicy Briotego, Heleny Godin, po jego śmierci zaspokoiwszy innych krewnych we Francyi, posiadał czystej puścizny 30,000 czerwonych złotych.

1) *Mém. biogr.* T. IV, p. 358.

2) W roku 1819 chciał nabyć Frank, wystawione na sprzedaż więcej dającemu, obszerne place po-Refeldowskie, rozciągające się od drogi antokolskiej w dół aż ku Wilii. Niepomierne nawet podżęgała go i nęciła piękność położenia i zdrowość téj siedziby, obiecującej mu spokój wiejski ze wszystkimi dogodnościami tuż przyległego miasta. Jak skoro to postrzegł właściciel miejsca, a zmyślony przyjaciel Franka; począł skrycie namawiać wiele osób do pozornego spółubiegania się i podwyższania ceny placów daleko nad wartość ich rzeczywistą. O czém w porę przestrzeżony Frank, z oburzeniem odstąpił od prześcigania się z owymi mataczami. (*Mém. biogr.* T. IV, p. 426). W kilka lat po wyjeździe Franka, pewną część tych placów zajął piękny dom podmiejski z ogrodem, należący niedawno jeszcze do ś. p. Arcybiskupa Metropolity Żylińskiego, a teraz do obywatela Kamińskiego.

3) Frank uważał Puszkarnię za jedne z najpiękniejszych okolic Wilna. Zawsze mu przypominała niektóre malownicze położenia i widoki Szwajcaryi (*Mém. biogr.* T. II, p. 400). Z dziadem terażniejszych właścicieli, w r. 1820, zagajał już umowę o ustąpienie sobie, na określony przeciąg czasu i pod bardzo korzystnymi dla dziedzica warunkami, pewnego tylko wymiaru ziemi, ku postawieniu domu z oficynami i założeniu ogrodu. Wezwany od Franka profesor architektury p. Karol Podczaszyński jeździł ze mną, dla obejrzenia i oznaczenia miejsca. Ale szybko nadchodziły już wypadki, dla których Frank począł zamyślać o opuszczeniu Wilna. Przy wzmiance o Puszkarni, pominąć nie mogę zdania Franka z którym

mu kroki. Same tylko nieprzewidziane przykrości i zmartwienia, które mię dotknęły za ostatnich lat pobytu mego w Litwie, i coraz już wyraźniejsze zarody grożących uniwersytetowi nieszczęść, zdołały przywieść mię i niemal przynaglić do opuszczenia Wilna (dnia 24 Czerwca v. s. 1823 roku). Ale nie potrafię wyrazić żalu, jakiegom doznał rozstając się z dawnymi pacjentami i przyjaciółmi, żegnając gościnne miasto, które dało mi tyle dowodów prawdziwego sprzyjania i dobroćliwości. Ani mi też przystało wyliczać tu wszystkie oznaki rzetelnego społeczenia i tęsknej życzliwości, jakie publiczność wileńska okazała mi na wyjeździe¹⁾. Zachowałem je w pamięci i nigdy się w niej nie zagładzą. Głęboko wzruszyły mię uczucia, jakie w imieniu obywatelstwa litewskiego wynurzyli mi: marszałek szlachty Eustachy Karp, prezydent sądu głównego Szymon Zawisza, i inne zacne osoby żegnające mię na pierwszej od Wilna stacyi pocztowej. Wdzięczność za tak chlubne uznanie moich jakichkolwiek w tym kraju zasług, nie wygaśnie w mém sercu aż do zgonu²⁾“.

Frank do takiego już stopnia uważał Litwę za nową swoją ojczyznę, że nie go nie oburzało i nie gniewało więcej, jak kiedy widział, że nieobacznie zacierano lub niszczoneo dawne pamiątki krajowe, których, powiedzmy prawdę, oszczędzać wtedy jeszcze nie umiano. Jawnie się to pokazało w zdarzeniu, o którym Frank przelotem tylko

często się odzywał: że natura do upiększenia okolicy Wilna, uczyniła wszystko, a sztuka bardzo jeszcze mało.

¹⁾ Należy do tych oznak samo już skwapliwe rozkupienie i niemal rozchwytnanie sprzętów Franka na licytacyją wystawionych. Wiele osób ubiegało się o nie dla tego tylko, żeby mieć jakąś pamiątkę po dobrym Franku i uprzejmiej pani Frankowej. Wszakże i sama kamienica, niegdyś uniwersytecka, której główne piętro od ulicy zajmowali, podziśdzień się do mem Franka nazywa.

²⁾ *Mém. biogr.* T. IV. p. 538--540. Cheieli i uczniowie wszyscy razem odprowadzić Franka aż na przedmieście Ostrobramskie. Wypraszał się ile mógł od tego, a wreszcie i odradzał i stanowczo się sprzeciwiał. Bo nie były już czasy po temu do jakichkolwiek tłumnych zgromadzeń lub schadzek, a tém mniej jeszcze do publicznych jakich objawów ze strony uczniów uniwersytetu.

wspomniał w swych Pamiętnikach ¹⁾, a które tu koniecznie wymaga dokładniejszego wyłuszczenia.

Na tylnéj ścianie akademickiego kościoła św. Jana, zewnątrz od zamkowej ulicy, był wielki freskowy: Obraz straszliwego powietrza morowego, w stołeczném mieście J.K.M. Wilnie, w Roku Pańskim 1710 grasującego ²⁾. Nie ladajakie to malowidło wnet po ustaniu plagi wykonane staraniem i kosztem znakomitej rodziny hrabiów Chreptowiczów, z której kilka osób leży u św. Jana pod wielkim ołtarzem, zajmowało wszystką szerokość ściany, tuż pod figurą snycerską Ukrzyżowanego Zbawiciela, dotychczas zajmowaną. Ale w roku 1818 ówczesny rektor uniwersytetu, odświeżając mury collegium i kościoła akademickiego, umyślił dać pociągnąć wapnem i zamazać ów historyczny obraz, dlatego tylko, że był samą dawnością zaczerniały i kurzawą osuty, lubo zresztą w niczém nie uszkodzony. Napróżno sekretarz Feliks Mierzejewski i kancelarzyści rządu uniwersyteckiego, chcąc wcześniej uprzedzić powód do wiadomego już im zamiaru, uchwalali pomiędzy sobą składkę na łatwe oczyszczenie fresku świeżym chlebem razowym, a professor malarstwa Jan Rustem podejmował się całą robotą sam pokierować. Ale uparty lubo zacny i dobrze uniwersytetowi, w swoim czasie i w trudnych już okolicznościach zasłużony rektor przyspieszając obnowę ścian kościelnych, zbierania składki nie dozwolił. Takie prawie umyślne zniweczenie dawnéj pamiątki miejscowéj niepomału obeszło Franka; tém bardziej, że było w niej jakby żywe i ustawiczne świadectwo klęski, niegdyś w tutejszem mieście i kraju tak częstéj i wyludniającej. A że to był człowiek otwarty i prawdomówny, ale trochę za prędki, nie ukrywał więc oburzenia swego w towarzystwach. Na publicznej zaś lekcyi, gdy mu właśnie o powietrzu morowém i jego historii rozprawać przypadło, nie wahał się powiedzieć: że dzikie nawet ludy umieją lepiej cenić i ochraniać pamiątki lub zabytki swojéj przeszłości ³⁾. O czém dowiedziawszy się

¹⁾ *Mém. biogr.* T. IV. p. 173.

²⁾ Pamiętniki Franka, widocznie przez pomyłkę przepisywacza, odnoszą ten obraz do XVI wieku.

³⁾ Gdyby Frank był nieco dłużej pozostał w Wilnie; snad więcejby go jeszcze bolały, zaszkłe prędko po jego wyjeździe w głó-

szanowny i bynajmniej nieobraźliwy starzec, odciął się dowcipnym żartem:— „Wiem, że pan Frank wszędzie rad-

wnym gmachu i w kościele akademickim odmiany, w których, czasem bez koniecznej potrzeby, a czasem przez prostą nieuwagę, niedbałość i lekceważenie przeszłości, albo z innych jeszcze powodów, zmarnowano, poniszczono i bez śladu zatarto wiele szacownych dla historii miejscowych zabytków.

Na prawem od wejścia, skrzydle akademickiego niegdyś kolegium, we wnękach węgarów, utrzymujących obłęki otwartego dawniej kurytarza drugiego piętra, były wcale dobre, freskowo, w naturalnej wielkości, wizerunki biskupów wileńskich a kanclerzów uniwersytetu, począwszy od pierwszego założyciela, nie zapomnianego i niezapomnego Waleryana Protasewicza, aż do ostatniego kanclerza, biskupa księcia Ignacego Massalskiego. Dla dogodniejszego urządzenia sal lekcyjnych przy wzrastającej liczbie uczniów uniwersytetu wypadła potrzeba (tak przynajmniej twierdzono), częściowego przerobienia tej połaci, w którym zatarły się i znikły wizerunki dawnych kanclerzów uniwersytetu. Zdaje się jednak, że w ostrożniejszym przerabianiu, możeby ocalić się dały.

W samym zaś kościele zburzono, dziesięć przy filarach i kilka przy ścianach, plastycznej roboty ołtarzów; chociaż te zarówno dobrze stósowały się do właściwej architektury jezuickiej i przybrania całego gmachu, jak zestawiony wielki ołtarz górny i dolny, które wespół z dwoma przy najbliższych filarach i sześciami w głębi nawbokowych, okrążających prezbiterium, niemal jedną harmonijną całość składają. Dopiero zaś po oczyszczeniu tej ocalałej kupy ołtarzów z grubej warstwy kurzu, może od czasów jeszcze jezuickich nie zmiatanego, przekonano się trochę już zapóźno, jak piękny, jak kosztowny, acz udawany tylko taił się pod nią marmur. A taki też właśnie przyodziewał słupki i krajniki zniesionych już wtedy filarów ołtarzów; tylko że w lewym ich szeregu nie był jakoś wykonczony i do zupełnego przywieziony poloru. Nie przyszło do skutku zamysłane z razu przyozdobienie sklepień w udaną rzeźbę, liścianki i różyce, zamiast pociągniętych już wapnem dawnych klejowych malowideł, wystawujących dzieje z żywotu św. Jana Chrzciciela albo Przesłańca. Dzisiaj wzrok, odwrócony od wielkiego ołtarza, wszędzie w rozległym gmachu napotyka gołe ściany i przerażającą pustynią, którą zaledwiał ożywiając tu i owdzie, nierównej wielkości gipsowe posągi, z poniszczonych ołtarzów zdjęte i na domurowanych wspornikach, z przodowej i wewnętrznej strony ośmiogranych fila-

by tylko widział i spotykał chorych. Dla niego ten tylko i dobry, kto krank. Ale za cóż tak gorąco bierze so-

rów postawione. Prawda, że utrzymanie chędogiego przyboru tak licznych ołtarzów, przy umniejszonej liczbie miejscowego duchowieństwa, mogło się zdawać przytrudnionem i kosztownem, lubo na środkach wcale nie schodziło. Ale i temu najłatwiej zaradzić było można odjęciem samej tylko mensy z jej przybozem u zbywających nad potrzebę wysokich i piętrzonych ołtarzy które, oczyszczone połową kosztu na zabicie ich wyłożonego, za ozdobę nagich dziś filarów, ile wchodzące i wcielone już do architektonicznego ich składu, tém lepiejby posłużyły; że staroświecka w nich plastyczna rzeźba wcale była nienajgorsza.

W kaplicy św. Stanisława Kostki, (w pierwszej przy lewym czyli północnym boku biorąc od czoła kościelnego), na ścianie wewnętrznej po nad wejściem, wymalowana była ciekawa jakaś obrada, sąd czy też zgromadzenie. Składali je świeccy dostojnicy w staropolskich szatach i OO. jezuitci: jedni w professorskich, czerwonych togach, mucetach i biretach akademii wileńskiej, drudzy w skromnej sukni zakonnej. Przed tém tak poważnym zebraniem stojący po prawej stronie pachół złowrogięj twarzy (zapewne ceklarz albo oprawca miejski) ukazywał, podnosząc za czub w górę jakąś świeżo uciętą głowę. Nie mistrzowskie wprawdzie było malowanie. Ale zawsze była to historia w obrazie, historia oczywiście miejscowa, która od przybycia mego do Wilna, zawsze mocne czyniła na mnie wrażenie, a którą dziś, przy obudzonem coraz silniejszym i raźniejszym badaniu zabytków krajowych, możeby kto z pewnością wyczytać zdołał, gdyby nie przykryła jej i nie zasłoniła gruba powłoka wapienna. Miałoby to malowidło mieć jaki związek z kaźnią Grzegorza Ościka w r. 1580, jak to domyśla się A. H. Kirkor? Albo ze smutnym zgonem w r. 1661, dowódcy zamków wileńskich, którego pisarze nasi i akta miejscowe mianują Misieckim, Myszackim, Myszeckim i Myszowskim, lecz który, właściwie zwał się: książę Daniłło Mozowskoj? Porównaj artykuł p. Pawła Kukulnika, pod napisem: „Podróż po zamkowej ulicy w Wilnie“, w Kuryerze wileńskim na rok 1860 N. I.). Głowę Mozowskiego czyżby tu przynoszono OO. Jezuitom, jak ubłaganie za pociski działowe, w Wielki piątek puszczone z góry zamkowej na kościół Święto-Jański, mnogim ludem u grobu Pańskiego modlącym się napełniony? (*Rostowski Historiarum*. L. X, p. 414). Atoli prof. A. F. Adamowicz, skrzętny badacz miejscowych

bie do serca, że nie może już lubować się widokiem tych malowanych pacjentów? Wszakżeby mu z nich prak-

starożytności, mianowicie w rzeczach sztuki lekarskiej i reformacji, zagadniony przezemnie o znaczeniu w zwyż opisanego malowidła, wpadał na domysł: czy nie ściągąłoby się do strasznej kary, wywleczenia języka przez szyję i ćwiertowania, spełnionej roku 1611 dnia 1 Lipca na młodym zagorzalcu zwanym *Francus di Franco*, włochu przez polskich różnowierców do helweckiego wyznania przeciagnionym, który, w sam dzień Bożego Ciała, spotkawszy na rynku wileńskim uroczystą processyą prowadzoną przez biskupa Benedykta Wojnę, niespodzianie wskoczył na ulicy na stopnie ołtarza, przygotowanego dla odśpiewania ewangelii, i z tamąd, ku wielkiemu zdumieniu tłumu, jał głośno a zuchwale miotać srogie bluźnierstwa przeciw oddawaniu czci Najświętszemu Sakramentowi. Z tej dorywczej mównicy wprost do więzienia ratuszowego był porwany. (*Węgierski Slavonia reformata* p. 253. Józef Łukasiewicz. Dzieje kościołów wyznania helweckiego w Litwie, T. I. str. 145-147). — Jezuita, najdzielniejszy pogromcy nowowierstwa, chcieliby pamiętkę obrazową straszliwej kaźni, za publiczną zniewagę obrzędów i dogmatów katolickich, przekazać potomności w murach swego kościoła?

Przybory, sprzęty i obrazy od zburzonych ołtarzów pozostałe, sprzedawano więcej dającemu. Nie bez jakiegoś żalu patrzeć przychodziło na poświęcone niegdyś przedmioty długiej czci ludowej, wystawione na targ publiczny. Obrazy ołtarzowe, pod względem sztuki, prawie wszystkie nie wysokiej były wartości. Ale pomiędzy niemi wyraźnie można było rozpoznać niektóre, już opisane przez historyka Litwy, Wojciecha Wijuk Kojałowicza w jego *Rozmaitościach kościelnych* i w listach do Wilhelma Gumpfenberga, S. J., wydawcy *Atlantis Mariani*. Jeden z nich, lepszego od innych malowania starożytny obraz Bogarodzicy, nabyty przez pobożną damę, pannę Wołłowiczównę, i подарowany ówczesnemu proboszczowi Świętojańskiemu, Andrzejowi Kłągiewiczowi (później biskupowi wileńskiemu), po kilku latach zwrócony był przezeń do kościoła.

W tej sprzedaży trafiały się czasem dość pocieszne przygody. Kierujący licytacyą sekretarz rządu uniwersytetu, F. Mierzejewski oddał, prawie za darmo, cztery małe obrazy Ewangelistów, dla samej widać drobnosci oddawna zarzucone w zakrystyi, bardzo już okopcone i zaczerniałe, lecz które, po umiejętném ich oczyszczeniu, okazały się cale niepośledniego, jak mniemano włoskiego pędzla.

tyki nie przybyło.“ Zapewne, że Frank, gdyby wiedział był o tym niewinnym sędziwego rektora przycinku, sam

Wkrótce znowu puścił za bezcen jakąś pustą ramkę kruszcową od obrazu, którą uważał za bronzową, a przemyślny nabywca prędko się przekonał, że była rzeczywiście srebrna, pozłocista, mocno tylko zaśniedziała. Przedawca więc, ostrożniejszy po szkodzie, chcąc już bez pochyby oszacować stary jakiś krucyfiks ołtarzowy, zasięgał rady u Jana Rustema. Ten miły wszystkim, a od uczniów swych ukochany professor, z dobroduszością, która nikogo rozgniewać nie mogła: — „Zapytajcie, (prawi) Judasza Iskaryoty: on wam gotową cenę i przykład pokaże.“

We wszystkich zaszyłych wtedy zmianach akademickiego kościoła jedną tylko, może zanadto surowo, niewiem jednak czy dosyć słusznie zganiono. Po zbieciu dawnej bramy uniwersyteckiej i zagrodowego muru (1827-1828), odkrył się od ulicy bok południowy kościoła, z przybudowaniami do niego bardzo nierówną wybiegłości i postaci kaplicami. Potrzeba więc było zrównać ją i upięknąć, jednym wspólnym uwieńczyć okopem, a do kruchty pomiędzy niemi szrodkującej przybudować mały portyk, albo raczej przysionek bokowy. Zarzucano później architektowi Podczaszyńskiemu, że takie przerobienie odmiennego jest stylu od całości głównego gmachu kościelnego. (*Tygodnik petersburski, rok 1838, NN. 62-63*). Ale przybranie zewnętrzne samych ścian kaplic zrównanych, według wiadomiej nam myśli, architekta, miało na celu przypominać raczej typy przyozdobienia, powtarzające się w niższych piętrach okazałej i wyniosłej wieży albo dzwownicy Święto-Jańskiej, stojącej na samym widoku, tuż przy kościele i po téjże jego stronie od południa; kiedy tymczasem przód świątyni od zachodu, obrócony ku dziedzińcowi akademickiego niegdyś kolegium, wysokie jego mury zasłaniają. Inny znów krytyk, wychwalając dawną, a jego zdaniem wielce wspaniałą wystawę i przybranie czoła kościelnego, żali się na architekta za nowy przysionek poboczny, o czterech słupach korynckich, nie przypadających do gotyckiej architektury całego gmachu. (*Kurjer wileński, r. 1860 Nr 14*). Atoli pierwiastkowej architektury gotyckiej Święto-Jańskiego kościoła dziś tylko pozostały wyraźne ślady w ogólnym jego rozkładzie, w sklepieniach obudwu naw bokowych i po nad wielkim ołtarzem jako i w kształcie okien. Całe zaś czoło i tylny szczyt świątyni, całe jej przyozdobienie wewnętrzne i samo nawet sklepienie wielkiej nawy, widocznie są już późniejsze i należą do rodzaju tak zwanéj Jezuickiej architektury z XVII wieku.

pierwszy rozśmiałyby się z niego serdecznie, a możeby i w Pamiętnikach swoich wzmiankę o nim umieścił. Ale

Co zaś do nowego portyku pobocznego, wprawdzie jest on wystawiony we włoskim stylu korynckim; ale architekt wybrał go właśnie dlatego, że najbliżej przystępuje do typów przyozdobienia zewnętrzznego w reszcie budowli znajdujących się, gdzie szczególniej przeważa korynck, nie dosyć przez szanownego krytyka uwzględniony. Zaprzeczyć tylko nie można, że przyczółek trójkątny nad przysionkiem różni się znacznie od wykrzywianych przyczółków i gzemsozań w innych częściach kościoła i wieży. Ale ta odmienność do przebaczenia jest Podczaszyńskiemu, który prostotę dobrze pojętą miał prawie za toż samo, co doskonałość w dziełach sztuki. Wolał więc narazić się na zarzuty zbyt wymagających oceniaczy; ale za nie w świecie nie odważyłby się, wbrew swoim zasadom przystrajając nowego portyku w łamane gzemsy, szczytowe esy, floresy i dziwaczne wykrętasy zbutwiałej architektury Jezuickiej, któremi jak i inni społeczeńsi jemu budownicy, najmocniej się brzydził. *Et qui novit eum perhibet testimonium, et verum est testimonium ejus.*

— Kiedym się już tyle rozgadał na karb naszego Franka, muszę więc dodać jeszcze, że gdy dla przystawienia tylkoco wspomnianego przysionku skracano jedną kaplicę, nazbyt ku południowi wybiegłą, w odbitej ścianie przy ołtarzu znaleziono skrzynkę, zawierającą kości jednego z owych Hiszpanów, którzy wchodzili w poczet najpierwszych niegdyś profesorów kollegium i akademii wileńskiej. Był to ks. Antoni Arrias, profesor teologii i kaznodzieja króla Stefana, od niego *duszycką bożą* przezywany, w roku 1591 zmarły, którego szczątki, w lat kilkanaście później, wyjęte ze wspólnych grobów, położono w osobnej kaplicy, z nagrobkiem przez Mikołaja Krzysztofa księcia Radziwiłła, wojewodę wileńskiego przydanym. Kaplica ta nosiła tytuł Zwiastowania N. P., i w niejto naówczas zgromadzało się owe sławne bractwo akademickie Czcicieli Maryi, zwane: *Sodalitas Parthenica B. V.* (Cfr. Stanisłai Rostowski Litvanicarum S. J. Historiarum provincialium, Lib. III. p. 145 et 181-183).

— Na ścianie naczelnój Alumnatu niegdyś papieżkiego, dawały się widzieć, w niewielkich wnękach muru, freskowe wizerunki papieżów, począwszy od Grzegorza XIII. Dom ten, należący do b. seminarium głównego duchownego przy uniwersytecie wileńskim, zaniedbany i wymagający znacznej naprawy, oddano na czynsz wieczny; a w przerabianiu jego przez nabywcę znikły i wizerunki pa-

tyczasem zszedł z oczu mieszkańców Wilna przerażający obraz, z którym ani porównać się nie może drobne, nitekzemne na desce malowidło antokolskie w zewnętrznej ścianie kościoła św. Piotra, też samą klęskę przypominające.

Nigdzie nie wspominał w Pamiętnikach, że w rok za ledwie po opuszczeniu uniwersytetu wileńskiego, tęskniąc do Litwy, jakoby do ojczystego kraju, tęskniąc i do ulubionych nauczycielskich przywyknień, zamyslał znowu powrócić do Wilna, i dla doskonalących się uczniów medycyny, wykładać bezpłatnie, dwa razy na tydzień, wybrańsze i ważniejsze części terapii szczegółowej, obok zwyczajnego kursu tej nauki, którego daniem professor Herberski podówczas się zajmował. Ze względu na czasowe okoliczności odradził mu to życzliwy i wdzięczny niegdyś uczeń, a wtedy już dziekan oddziału nauk lekarskich, professor położnictwa Mikołaj Mianowski, z którego ust powziąłem tę wiadomość i który ukazywał mi nawet poufny list żalowanego od wszystkich nas emeryta. W półtrzecia zaś roku później, po rychłym zgonie Herberskiego, Frank urzędownie był wzywany przez ówczesnego rektora Wacława Pelikana do objęcia na nowo katedr terapii specjalnej i kliniki medycznej, pod warunkami, jakieby sam chciał naznaczyć. Ale stanowczo już odmówił, składając się przeciąglém zapaleniem oczu i rozwijającemi się od dziarstwa nerkowego cierpieniami ¹⁾.

Pomimo oddalenia się z naszego kraju, wspomnienie Litwy, przywiązanie i życzliwość dla niej, nigdy nie opuszczały Franka. Z różnych miejsc Pamiętników widzieć można, jak żywo obchodził go los uniwersytetu wileńskiego i późniejszej akademii medyko-chirurgicznej. Ilekroć w Niemczech spotykał dawnych przyjaciół, uczniów lub znajomych z Litwy, albo witał ich i przyjmował w pięknej swój willi po nad jeziorem Como; z rozrzewnieniem przypominał sobie dobre czasy wileńskie, troskliwie rozpytywał się o najdrobniejszych szczegółach, ściągają-

piezów. Pozostała tylko tyra kamienna ponad bramą, z napisem: *Non deficiet.* (Zbita w r. 1863).

¹⁾ List rektora Pelikana pod d. 2 Grudnia 1826 roku. Odpowiedź Franka pod d. 3 Stycznia 1827. (*Mem. biogr.* T. V, p. 246-249).


cych się do rzeczy i ludzi tutejszych ¹⁾. Przepędzając zimę 1836 r. w Dreźnie, jakże się ucieszył ujrzawszy tam zebrany kwiat towarzystwa wileńskiego! Ileż go ujmowały dowody przywiązania polaków i talent wrodzony damom polskim, umilania właściwej swemu krajowi gościnności ²⁾. Za trzykrotnego pobytu swego w Karlsbadzie (1835, 1836, 1837 r.), zawsze tam znajdował wiele osób i rodzin polskich, uważających go, zwłaszcza, że dobrze mówiącego po polsku, za spółrodaka, dających mu nieobojętne oznaki szacunku i sprzyjania. Z radością zobopólną witał i był witany od dawnych znajomych. Z drugimi prędko się zbratywał: bo sami garnęli się do niego, już o radę i pomoc lekarską, albo już tylko dla poznania się ze sławnym i dobrze zasłużonym professorem wileńskim. On też przekładał towarzystwo rodzin polskich nad wszelkie inne. Nie bez żalu nawet widział nadchodzący czas rozstawania się z niemi, kiedy już zwyczajna pora używania wód miała się ku końcowi ³⁾.

¹⁾ *Mém. biogr.* T. V. p. 145-147, 504, 514; T. VI, p. 194, 253-254, 316-317, 319-320.

²⁾ *Ibid.* T. V, p. 590-591.

³⁾ *Mem. biogr.* T. V, p. 361, 518-522 et 632.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Daniel

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

NAPISAŁ

JOZEF TRETIAK.

SŁOWO WSTĘPNE.

Pamiętniki Daniela, z których się powieść niniejsza układa obejmują jedną tylko epokę jego życia, mianowicie wiek dojrzewającej młodości. Powinienby je poprzedzać wstęp, opowiadający poprzednie koleje jego młodości. Że jednak epoka pierwszej młodości Daniela będzie przedmiotem osobnej powieści, że każda z tych epok jego życia stanowi całość odrębną, odważam się więc wydać pamiętniki przed wydaniem „Pierwszej młodości Daniela“. Sądzę przytém, że nie przeszkodzi to wielu naszym niźtąd ni zowąd zniechęconym do życia dopatrzeć swego podobieństwa z portretem naszego bohatera, nakreślonym przez niego samego a o to właśnie najwięcej mi chodzi.

I.

15 lipca.

Po co ja żyję na świecie, doprawdy nie wiem. Myślałem długo nad tem, jakieby zadanie wymyślić dla swego żywota, ażeby go jakoś uprawnić, jeżeli nie przed ludźmi, to przynajmniej przed samym sobą. Myślałem nieraz nad tem bardzo długo, ale nie zdołałem nic wymyślić.

Wy jednak co to czytać kiedykolwiek będziecie, nie posadzajcie mię zaraz o zamiar samobójstwa. Bądźcie zupełnie spokojni pod tym względem. Wprawdzie nieraz o niem rozmyślałem, ale to jedynie w sposób teoretyczny i w teoretycznym celu. Nie miałem nigdy najmniejszego poociągu do samobójstwa; wydawało mi się to zawsze skutkiem choroby lub dziwactwa. A trzeba wiedzieć, że jak w innych lubię i to bardzo wszelkiego rodzaju dziwactwo, tak znowu w sobie samym nie znoszę.

A i teoretyczne rozmyślania nie doprowadziły mię nigdy do potrzeby samobójstwa. Kiedym pytał siebie, po co ja żyję, nie mogłem dać sobie odpowiedzi. I rzeczywiście po co mam się zabijać? Czy z tego komukolwiek cokolwiek przyjdzie? Nakoniec ponieważ nie jestem wcale filantropem, a do głośnej i patentowanej filantropji czuję nawet lekką odrazę, coś tak jak do zapachu świec woskowych, więc pytałem siebie, czy też przynajmniej nie zdołam komu zaszkodzić przez dokonanie samobójstwa. I cóż się okazało? Oto, że nikomu tem nie zaszkodzę, a ludzie dowiedziawszy się o mojej śmierci samobójczej pokręcą głowami i dziewięciu z dziesiątka powie głosem najgłębszego przeświadczenia: oto głupiec.

Przyznać muszę, że dla osiągnięcia takiego tylko rezultatu nie warto się narażać na kłopot rozsadzania czaszki i wszystkich przedwstępnych czynności samobójstwa, które mię najbardziej od niego odrażają.

Stosunek mój do społeczeństwa w którym mię przypadek czy konieczność umieściła, jest zabawny. Raz mi się wydaje, że wszyscy ludzie są głupszy odemnie, że pragną siebie i drugich oszukiwać, że lepią jakieś pozłacane cacka, wystawiają je na wysokiej tyce, tak wysoko, żeby je nie można było rozglądać należycie okiem i nuż kłaniać się im do upadłego, nuż śpiewać piosenki na cześć złoczonego cacka i inne hece na sposób ludzki wyprawiać. Kiedy ktoś mówi o miłości małżeńskiej, to ja w nim widzę popędliwość płciową, która się od zwierzęcej w ogóle odróżnia hipokryzyją. Kiedy ktoś mówi o gotowości poświęceń dla ojczyzny, natychmiast wietrzę w nim chętkę gonienia za popularnością, która jest tylko przednią strażą wielkiej armji, co się nazywa ambicją. Jeżeli artysta wykrzykuje tragicznym głosem o miłości dla ideałów, to mam go albo za rodzaj warjata, i to nie z warstwy spokojnych i nieszko-

dliwych, ale przeciwnie z tych, których słusznie czy niesłusznie zamykają do osobnych domów; albo co gorzej za deklamatora, i zdaje mi się wtedy że jestem we włoskiej operze na przedstawieniu Trubadura, i słyszę jęki tenora wychodzące z więzienia kartonowego i widzę łamanie rąk primadonny, iż nic już nie wybawi jej kochanka z tych murów — aż do spadnięcia kurtyny. Jeżeli upatrzę w kim to co nazywają ludzkością, humanitarnością, filantropiją, czy jak chcecie, uważam to za objaw dziwactwa, jeżeli objaw jest szczery, to mi się nawet ów człowiek podoba, jak w ogóle wszyscy ludzie, którzy szczerze popełniają dziwactwa; ale jeżeli to jest głośna filantropija, rozlubowana w sobie, z pod oka patrząca na sprawiane przez się wrażenie, to przypomina mi ona, wybaczenie mi ci, którym to kiedykolwiek może wpaść w ręce przypomina mi, sam nie wiem dla czego, wielkanocne prosię z chrzanem w zębach. Powtarzam, sam niewiem dla czego, i widzę dobrze że porównanie jest dzikiem i niezrozumiałem, chciałbym je jednak jako tako usprawiedliwić wprost dla własnego zadowolenia. Oto wyraz przybranej filantropii przypomina często wyraz łagodności prosięcej, pod którą tkwią popędy obżarstwa i wszystkie inne, które później w dojrzałym wieku cechują wyraźnie to zwierzę. Muszę tu dodać w nawiasie, że wielkanocne prosię z chrzanem w zębach i z tym swoim wyrazem łagodności, przypomina mi dużo rzeczy i wiele porównań napędza do głowy. Jeżeli mi kiedyś przyjdzie wielka ochota, to może napiszę małą rozprawkę o wielkanocnym prosięciu.

Jeżeli mi wieśniak mówi, że trzeba Boga miłować, to wiem że nieborak rozumie pod tem wielką bojaźń jaką ma za plecyma dla piekła z całą jego smolną melodramatycznością i nieco mniej chętką dostania się do nieba, którego rokosze nie są dlań zupełnie dostępnymi. Ale jeżeli mi jaki gentleman lub filozof swym bezkolorowym językiem prawi o ukochaniu prawdy bezwzględnej, to przyznaję się najotwarciej, że cierpliwość moja wówczas jest narażoną na wielką próbę i nie zawsze udaje mi się zachować obojętnie w obec takiego naigrawania się z mojego zdrowego rozsądku.

Ztego co powiedziałem, można się przekonać, że wszyscy ludzie są albo głupszi, albo gorsi odemnie. Dodam tu jeszcze, że istotnie nieraz żal mię bierze i litość,

kiedy widzę usilne krzątania się, rozpaczliwe szamotania ludzkie, prowadzące w rezultacie do ziarnka piasku, gdzie tam! do zera właściwie, do objechania koła i stanięcia na punkcie z którego się wyjechało. Tyle przykrości, tyle codziennych kłopotów, cierpień, lamentów dla czego? dla urojenia, dla stałych przywidzeń, to mi nasuwa myśl o znaném bractwie biczowników i pobudza nieraz do istotnego ubolewania a zawsze do poczucia wyższości swojej.

A jednak, jednak, będę szczerym, bo szczerłość to główna charekterystyczna cecha moja, która mię od innych ludzi wyróżnia, jednak zdarza mi się czasami zazdrościć tym ludziom. Kiedy widzę zajęcie i radość na czyjej twarzy z jakiegoś powodu, któryby we mnie nie zdołał wywołać uśmiechu na usta, kiedy widzę buchający rumieniec zapału i sypiące się skry, zadowolenie w oczach, przychodzi mi czasem na myśl, czy nie jest to istotnie korzystniej dla człowieka oszukiwać się ciągle, na każdym kroku, czy nie lepiej jest przyjąć na siebie jakąś rolę na deskach świata i przejąć się nią aż do zapomnienia kulisów, niż pytać ciągle siebie: co ty tu robisz? i do czego tu jesteś? i nie znalazłszy odpowiedzi ruszyć ramionami i żyć dalej, a za chwilę znów pytać siebie, znów ruszyć ramionami i znowu żyć dalej.

Ale takie zachcianki nie długo trwają. Dość mi jest tylko wyobrazić siebie w podobnej roli z zachwytem na twarzy, z iskrzącymi się oczyma, ażebym się wzdręgnął na myśl podobną, a potem zaśmiał się w duchu i powrócił do dawnego zadowolenia z własnej istoty, to jest z mojej doskonałej obojętności dla wszystkich i na wszystko. Chciałem zrozumieć swoje stanowisko na świecie i tak je nareszcie określiłem: świat jest wielką sceną, na której odgrywają się najrozmaitsze sztuki, jedna obok drugiej, poplątane z sobą tysiącnymi niemi, łączące się z sobą na każdym kroku, tak że pierwszy kochanek traiczny jednej sztuki występuje zaraz w drugiej, czasem jednocześnie jako ostatni błazen. Jedni aktorowie przejmują się najzupełniej swoją rolą, i nic ich nie może wyrwać z tego przejścia się i zapomnienia o kulisach, ani papierowe szyszaki, ani miecze blaszane, ani chwianie się groźnych, niezdobytych murów przy pierwszym przeciągu wiatru, ani syczący głos potwornie skulonego suflera, którego obowiązek spełnia na światowej scenie tradycya. *To sa mente capti*, ludzie

wyłącznie przez wyobraźnię opanowani, którzy mogliby zwaryować ostatecznie gdyby się w jakiś sposób znaleźli za kulisami i przekonali, że cała ich rola była tylko szczęśliwym wymysłem. Inni aktorowie nie wierzą zbyt mocno w rzeczywistość swojej roli, czasem nie wierzą w nią zupełnie, ale za mało mają uszanowania dla samego siebie, za wiele chciwości zaspokojenia chwilowych potrzeb, które to zaspokojenie uchodzi w ich oczach za szczyt szczęścia, ażeby mieli co prędzej zrzucić maskę z twarzy, rzymską togę swoją użyć do ścierania prochów, a szyszakiem papierowym podpalić drwa w piecu. Więc grają dalej, grają ciągle, i rzecz bardzo zrozumiała, iż w obec pierwszych aktorów, tak zwanych ludzi dobrej wiary, mają całą wyższość położenia, jaką im daje świadomość własnego oszustwa. Jeżeli pierwszych nazwałem *mente capti*, tych wypada mi nazwać oszustami, zdaje się że to będzie najodpowiedniejsze określenie. Ci ostatni wyzyskują pierwszych w najlepsze i im większą są obdarzeni siłą wyzyskiwania, tym większego dobijają się znaczenia i sławy. Stawiają im po śmierci kamienne pomniki. Wówczas dopiero ironja, którą za życia walczyli potajemnie, wybucha głośnym śmiechem nad ich grobami, i wydawało mi się nieraz, nie mówię tego zupełnie na seryo, wydawało mi się nieraz, iż pośmiertnym posągom z kamienia przeciągały się nieznacznie usta do dziwnie ironicznego uśmiechu.

Czy dla tej wielkiej światowej sceny istnieje gdzieś jakiś odpowiedni amfiteatr, w którym cały Olymp zasiada i bogowie rozsiadłszy się wygodnie lornetują przechyleni ku scenie najpiękniejsze z ziemianek i biją huczne brawa, które w skutek oddalenia amfiteatru od sceny dochodzi do nas we dwadzieścia milionów lat, to pytanie zostawiam całej tej warstwie krzywoprzysięców i szarlatanów jakimi są poeci i artyści. Oni mogą na seryo traktować takie rzeczy, szczególnie jeżeli wpadają w szaleństwo, które w ich języku nazywa się natchnieniem. Co do mnie, widzę, iż tu na świecie nie ma nic oprócz sceny, nie ma cichego amfiteatru, do którego możnaby się schronić i spokojnie przypatrywać się grze ludzkiej; zmuszony zatem jestem usiąść na scenie gdzieś z boku pomiędzy kulisami i ztąd patrzeć na grających, narażając się nieraz na apostrofy aktorów ku mnie zwrócone. Te apostrofy czasem mię rozrywają, ale czasami są bardzo nużące.

Czem to ja zapisałem już kilka stron, doprawdy nie wiem. To wypisanie się jednak sprawia mi pewną przyjemność. Tak mi jest, jakbym znalazł człowieka jednakowych ze mną usposobień, to jest pozbawionego wszelkich przesądów i złudzeń i prowadził z nim przyjemną rozmowę. Być może, iż kiedykolwiek znowu wrócę się do tej rozrywki i może to będzie sposób... W tej chwili na myśl mi przyszło... może to będzie sposób jakiego takiego wywiązania się z życia, które mi dano nieproszącemu, a które wziąć musiałem, choć niewiedziałem później, co mam zrobić z tym fantem.

II.

7 sierpnia.

Ach, jacy ludzie są nudni, kiedy mię chcą nieproszeni wtajemniczać w swoje dzienne troski i kłopoty i tygodniowe przedsięwzięcia. Bo co ja im poradzę? co ja im nawet odpowiedzieć mogę na te wywnętrzania się natrętne? Nie potrafię czuć z nimi pospołu, pocieszać ich nie zdołam w żaden sposób. Mogę im tylko powiedzieć, że są głupi i nudni. Mam sobie za złe, że im dotychczas nie mówię tego otwarcie.

Wczoraj mię odwiedził Karol, mój dawny towarzysz uniwersytecki. O nim bez wachania się mogę powiedzieć, że jest *mente captus*. Człowiek ten miał zawsze kościół swój pełen świętości, w którym bóstwa zamiast wymierać powoli, i owszem łączyły się z sobą i mnożyły, zupełnie tak jak na greckim Olimpie. Wyzyskiwał go każdy kto chciał, jeździł na nim pierwszy lepszy oszust. Dość go było tylko uderzyć pompatycznym a pustym brzękiem słowa, które wyobrażnia jego napełniała fikcyjnym znaczeniem ażeby wydrzeć odeń wszystko, co miał najdroższego. Był to stan moralnego upicia się bez możliwości wytrzeźwienia się. Kochał się na zabój i to w jednej, kochał ją długo, bardzo długo, zasługując sobie na jej miłość, coś tak jak biblijny Jakób, przez lat sześć czy siedem, nareszcie otrzymał skarb nieoceniony, najukochańszą żonę. Nie widziałem go po ożenieniu się, aż dopiero wczoraj. Wszedł blady smutny i witając się powiedział kilka słów bez związku,

spojrzałem nań z politowaniem, bom się już był wszystkich przejść jego domyślił. Po kilku chwilach przykrego milczenia, przerwanych zapytaniami i o życiu potocznem i odpowiedzią na nie, Karol wstał z miejsca, na którym siedział, zbliżył się do mnie, usiadł koło mnie na krześle i opierając ręce na kolanach, a na rękach głowę, przemówił tonem w którym znać było wymuszoną spokojność, dziwnie odbijającą przy gorączkowem drżeniu głosu.

— Czy wiesz, że ożeniłem się?

— Tak, mówiono mi o tem.

Milczenie znowu trwało parę minut.

— Ty zawsze byłeś przeciwny małżeństwu? powiedział nareszcie.

— I dzisiaj jestem takim, odpowiedziałem.

Znowu klamka milczenia zapadła. Żał mi się zrobiło Karola i rzuciłem mu słówko, którego oczekiwał, którego pragnął, a które miało mię zalać powodzią zeznań; rzuciłem mu zapytanie: a ty?

Zapora została obaloną. Karol powstał z krzesła, i odrzuciwszy przybrany ton spokojności zawołał głosem w którym prawdziwy ból gadał.

— A ja? jestem najnieszczęśliwszy z ludzi!

Ten wykrzyknik nie zadziwił mię ani trochę. Przewidziałem go, i to oddawna, zupełnie tak jak astronom przewiduje pewien jakiś manewr planetarny, jak chemik przewiduje rezultat połączenia dwóch pierwiastków. Zapaliłem cygaro i kłębem dymu odpowiedziałem biednemu Karolowi na jego rozpaczliwe zawołanie.

— Wyobraź sobie, wyobraź sobie, mówił głęboko poruszony, kochałem, wiesz jak kochałem, śmiałeś się z mojej miłości; wierzyłem, wiesz jak wierzyłem, a dziś? dziś kocham okropnie, kocham miłością cierpiącą, zranioną, straszłą, gotową... nie wiem do czego, kocham — ale nie wierzę... .

— W co nie wierzysz? spytałem.

Karol zadrżał gorączkowo i mówił.

— Nie wierzę najprzód w jej miłość, powtóre w szczęście. — Nie, nie, nie, w możebność szczęścia wierzę, jak to, gdyby ona mię kochała, to byłbym tak szczęśliwy, słuchaj Danielu, byłbym tak szczęśliwy...

Znowu usiadł i schował twarz w dłoń. Po chwili powstał, przeszedł się parę razy gwałtownym krokiem po

pokoju, a potem stanął przedemną i patrząc mi w oczy powiedział:

— Słuchaj mię Danielu, nie mam nikogo na świecie komu mógłbym się zwierzyć z moich boleści, od kogobym zdołał zasięgnąć rady. Ludzie mi inaczej dziś wyglądają, nie mogę zność widoku szczęścia i radości, lękam się tych którzy byli moimi przyjaciółmi, dla wszystkich jestem niechętny, podejrzliwy, zazdrosny, staję się złym człowiekiem. Ty jeden ze swoją obojętnością dla świata jesteś mi dziś bliższym niż wszyscy dawniejsi przyjaciele moi. Czy zechcesz być mi dziś doradczą? powiernikiem?

W głosie Karola, kiedy wymawiał te ostatnie słowa, było tyle prośby, że odmówić nie mogłem, chociaż uczułem już popęd do spazmatycznego poziewania.

— Wysłuchać mogę, odrzekłem, ale poradzić zapewne nie zdołam; wolę ci to powiedzieć z góry. Jakkolwiek bądź, opowiedz mi swoje przejścia.

Karol usiadł przy mnie i zaczął mówić z początku powoli, potem szybciej i gwałtowniej.

— Kochałem Ameliję, i jak wiesz, przez lat kilka starałem się o jej rękę. Wiele przeszkód nas dzieliło. Rodzice pragnęli dla niej bogatego męża, ona była bardzo młodą, więc zupełnie zależną od rodziców ja byłem ubogi, więc musiałem pierwej zdobyć stanowisko, żeby móżdż później po nią rękę wyciągnąć. Nakoniec zdobyłem stanowisko. Naraz widnokrag raję roztworzył się przedemną, zdawało się, że nie będę mógł pomieścić w piersi tyle szczęścia, wiele miało spłynąć do niej. Nic już na drodze nie stało do naszego skojarzenia się; rodzice już zgadzali się, ona mi była tak przychylną, ona mię kochała wtedy, tak, tylko tem się jeszcze pocieszam, że ona mię przynajmniej wtedy kochała. Nakoniec pewien ranek majowy połączył nas dwoje. Słuchaj, jabym wtedy może oszalał ze szczęścia, gdyby już nie pewne złe przecucia, co jak ciemne obłoki przeciągały na tle złotej jutrzęki szczęścia.

Uśmiechnęłem się mimowoli nieznacznie, słysząc jak szalenie mówi o obawie szaleństwa. Nie przerywałem mu jednak swojemi uwagami.

— Zdawało mi się już wtedy, że mię zamało kocha, że mię nie kocha tak, jak ja ją kochałem, wszystkiemi siłami duszy, wszystkiemi pragnieniami serca. Byłem może za wymagający, ale innym być nie mogłem. Trzy miesiące

pożycia małżeńskiego przepędziłem w nieustannéj gorączce, w nieustanném rozważaniu, czy ona mię kocha, przechodząc kolejno ze stanu błęgiego uspokojenia, w stan niepewności i zwątpienia, i kiedym już doszedł do zenitu zwątpienia, jeden jej uśmiech i jedno jej spokojne wejrzenie stawiało mię znowu na gruncie wewnętrznego spokoju, robiło mię znowu szczęśliwym; ach, ale tak na krótko. Przychodziły mi dzikie myśli do głowy, których się wstydzę teraz. Myślałem naprzykład, jakby to było dobrze unieść ją gdzieś bardzo daleko, pozbawić widoku ludzi, z których każdy mógł być złodziejem mojego skarbu i tam dopiero napawać się miłością niezem niewzruszoną. Znajomi i przyjaciele, którzy bywali u mnie, wydawali mi się moimi tajemnymi nieprzyjaciołmi, znającymi doskonale wszystkie wewnętrzne burze i zatargi mojego serca i szydzącymi z nich potajemnie. Jeżeli dla kogo z nich Amelija była grzeczniejszą niż dla innych, już drżałem z bojaźni, zdawało mi się, że mimowolnie zdradza swoją miłość dla niego. Jeżeli zaś była dla kogokolwiek bardziej obojętną, niż dla innych to jeszcze więcej się lękałem, bom ją posądzał o podstępność. Podejrzenia moje zwracały się na rozmaite przedmioty, do rozmaitych osób, gmatwały się z sobą, przeczyły sobie, rozrywały się na części i obezsilały nakoniec. . .

Karol zamilkł na chwilę. Czułem że się zbliża katastrofa więc otoczyłem się jak najgęściej sinemi kłęby dymu cygarowego.

— Raz, mówił z drzączką w głosie, byłem wtedy spokojniejszy niż kiedykolwiek, raz miałem kilku znajomych u siebie. Obawy moje jakiś wiatr szczęśliwy rozniósł jak liście jesienne. Byłem weselszy i rozmowniejszy z gośćmi, tak że Amelja patrzyła na mnie z podziwieniem i zdawało mi się że z radością. Przed wieczszą rozeszli się goście, został tylko Klemens, dawny znajomy Amelji, związany nawet z jej domem jakimiś węzłami pokrewieństwa. Miałem go zawsze za przychylnego krewniaka i nie więcej, byłem pewny że ona jest dlań obojętną. Tego wieczora, kiedym odprowadził gości na ganek i powracał do pokoju, w którym zostawiłem Ameliją i Klemensa, jakiś zły duch mi szepnął, zły czy dobry już tego nie wiem, coś mi szepnęło, żeby się cichaczem podkraść pode drzwi tego pokoju i podpatrzeć ich samotnych razem. Zgasłem lampę i długim kurytarzem po cichu na palcach skra-

dałem się do drzwi. To dziwna, jak ja byłem prawie pewnym tego co ujrzę. Drzwi były nieco uchylone, zato piłem chciwie oczy wewnątrz pokoju, ale nic nie ujrzałem bo światło lampy płonącój na stole olśniło mię. Oni siedzieli za stołem na kanapie przykryci zasłoną światła. Ale w tej samój chwili prawie rozdarłem wzrokiem jak sztyltem zasłonę blasku i ujrzałem, wiesz co ujrzałem? Ona miała głowę na jego ramieniu...

Karol urwał. Nastąpiło krótkie milczenie.

— Co się ze mną wtedy stało, zaczął mówić dalej, nie pamiętam dobrze. Dostałem zapewne zawrotu głowy i padłem u progu drzwi, tłukąc z brzękiem lampę, którą trzymałem w ręce. Przez kilka dni leżałem chory. Zaraz po wyzdrowieniu miałem jej wszystko opowiedzieć i... nie wiedziałem co dalej zrobić, wiedziałem tylko, że tak dłużej zostać nie może. Wyzdrowiałem, już może dwadzieścia razy zabierałem się jej wypowiedzieć wszystko, byłem gotów nawet zerwać z nią i kiedy przyszło do słowa, nie ośmieliłem się i czuję, że już się nie ośmielę. Jestem pewny, że jeżeli jej to teraz opowiem, ona się tylko zaśmieje i powie: byłeś w gorączce mój drogi, nie dziwnego, że ci się coś podobnego przywidziało. Jeżeli mi tak odpowie, już jestem zabity. Nie będę jej wierzył i sobie nie będę wierzył. Będę rozerwany, rozdarty, będę łachmanem, który już chyba na śmiecisko wyrzucić. Nosilem się z tą tajemnicą, z tym gadem w piersi przez całe dwa tygodnie; dłużej nie mogłem wytrzymać; musiałem znaleźć powiernika i doradcę, a wreszcie... sekundanta. Z koła moich znajomych ciebie naprzód wybrałem.

— Więc pojedynek? spytałem.

— Czy sądzisz, że nie ma innój rady?

— Mówiłem ci z góry, mój drogi, że rady ci dać nie potrafię. Moja rada byłaby... ale wolę ci o niej nie mówić, bo w tej chwili wyglądałaby na szyderstwo. Jakiegokolwiek pomocy zażadasz odemnie, jeżeli ta leży w zakresie sił moich, będziesz ją miał. Tylko ci radzić nie będę.

— Ha, niech więc będzie pojedynek. Nienawidzę pojedyneków, ale innego wyjścia nie widzę. Czego ja chcę, do prawdy nie wiem, bo nie śmierci przeciwnika. Chcę jakiejś krwi, jakiegoś bólu, jakiejś rany, na którą ona powinna

zwrócić oczy i powiedzieć sobie: ja jestem przyczyną tego. Więc jesteś mi sekundantem.

Schyliłem głowę na znak potwierdzenia. Karol dał mi jeszcze kilka potrzebnych wskazówek względem czasu i miejsca i wyszedł. Ja sam zostałem w nowej swojej roli sekundanta.

Te odwiedziny rzuciły mi straszny ciężar na serce. Zdawało mi się, że już przez samo słuchanie tej historii szaleństw, zostałem mimowolnym ich uczestnikiem.

Czego ten człowiek chce od żony? Przetworzył ją we własnej wyobraźni na jakąś boginię, co zejść raczyła na ziemię, ażeby się dać ukochać takiemu jak on poecie i później narzeka na nią, że nie jest taką w istocie, jak ją sobie wymarzył. Jest to jej wina? Na co sam siebie przedtem oszukiwał, lub czemu raz już wszedłszy na błędną drogę dalej nią nie idzie? Kto tu winien, jeżeli nie on, jeżeli nie jego szaleństwo, nie jego zaślepienie?

Takie myśli przychodziły do głowy po odejściu Karola. Był on pyszną ilustracją do moich teoryj małżeństwa. Małżeństwo według mnie jest jedną z najcięższych form niewoli. Ludziom niewolniczych usposobień może ono dawać pewne roskosze okupione zupełną utratą swobodnego życia, swobodnego ruchu. U ludzi gorączkowych małżeństwo jest powrozem, który przy najmniejszym targnięciu wpija się w ciało i rozkrwawia. Dla ludzi takich jak ja którzy sami nie wiedzą po co żyją na świecie, choć się ciągle o to pytają siebie, małżeństwo jest ogniwem od zagadkowej ciemnej, rozdzwicznej terażniejszości do takiej samej przyszłości. Kto zechce rzucić takie ogniwo? Po co? Dla czego? Na co pomnażać rodzaj ludzki jeszcze większą ilością szaleńców, szarlatanów i przeżuwaczy, do których sam siebie zaliczam? Matuzal żył bardzo długo, ale uważał życie swoje za chwilę bardzo ulotną, dla której nie warto było poświęcać wielu zabiegów i trudów. Matuzal to był porządny człowiek; zgadzam się z nim zupełnie i dla tego myślę, że jeżeli warto co tworzyć, to tylko dla wiecznego istnienia.

A tym czasem po jutrze mamy pojedynek. Pragnę, ażebym co prędzej mógł się pozbyć tego ciężaru z głowy, i oddać się znów spokojnie moim książkom i rozmyślaniom.

III.

9 sierpnia.

Dziś rano był pojedynek. Zaszedłem już tak daleko w zapisywaniu swoich wrażeń i rozmyślań, że nie mogę powstrzymać się od opisanego wypadku i towarzyszących mu okoliczności. Tém bardziej winienem zapisać wrażenia moje z dnia dzisiejszego, iż były one nader dziwacznej natury, i prawie pewien jestem, że za dni parę będę się wstydził tych wrażeń w najlepsze.

Już od samego świtu dzisiaj byłem wyrzucony ze zwyczajnej kolei dzienniej. Zwykle sypiam do godziny jedenastej lub dwunastej, kładę się bowiem spać dość późno. Dzisiaj gwoli pojedynekowi wstałem o godzinie trzeciej z rana i muszę się przyznać, że byłem tak zły, jakim już dawno siebie nie pamiętam. Byłem zły, rozumie się na siebie, że się wdałem w to całe głupstwo, ale cofnąć się było niepodobna. Wkrótce nadszedł Karol z drugim sekundantem, który był zarazem i doktorem. Poznałem go dnia poprzedniego, wioząc razem z nim wyzwanie przeciwnikowi Karola, panu Klemensowi. Dość mi się podobał mój towarzysz sekundant i chętnie go powitałem. Należał on do ludzi, których niezbędną atmosferą była wesołość; gdzie jej nie zastawał, tam ją umiał wydobyć. Nie była to wesołość płaska, ciężka i gburowata, o którą wcale nietrudno, szczególnie u nas w Polsce, ale przeciwnie bardzo lekka, swobodna i miła. Sam dźwięk głosu jego był niezmiernie przyjemny i pociągający. Nie bawiąc siedliśmy do fiakra, który nas zawiózł do pobliskiego lasku, o godzinę drogi od miasta odległego. Pod laskiem wysiedliśmy i udaliśmy się pieszo na wyznaczone miejsce. Był to ranek sierpniowy, chłodny, pełen rosy. Już nie pamiętam, kiedy znajdowałem się w podobnym miejscu o podobnej porze i dla tego ów ranek miał dla mnie urok nowości. Oddałem się chętnie wrażeniom i w tym celu pozostałem z tyłu, puszczać naprzód towarzyszy. Powietrze było pełne przedśłonecznego blasku i jakiejś niezrównanej pogody. Drzewa stały nieruchomie, jakby zapatrzone w pogodny szafir nieba. Po ciemno-zielonych liściach, jak łzy po cichój twarzy, spływały tylko jak kryształ czyste krople,

rosy i zawisając na końcu liścia zapalały się od pierwszych promieni słońca. Zmieszany zapach ziół, prawdziwy oddech lasu napełniał powietrze. Wszystko to zrobiło mi wielką przyjemność. Ta harmonijna cisza drzew i pogoda powietrza wydała mi się tak piękną i mądrą, że oddałbym był za nią wszystkie ludzkie hałasy. Dziwiłem się, iż mogłem zerwać wszelki z nią związek, zagrzebać się w murach miasta i żyć życiem móła, albo szczura. Przyznam się, że na chwilę byłem nawet trochę upokorzony. Tak coś, jeżeli mam mówić wygodnym językiem porównań, tak coś jakbym się znalazł nieprzygotowany niespodzianie przed majestatem pięknej kobiety, więc królowej, bo pięknej, i nie wiedział jak ją przywitać i chciał tylko przeproszać za to, że ją nie znał dotąd. Tém więcéj nieznośnymi wydali mi się ludzie, kiedym stanął na wyznaczoném miejscu walki. Ujrzałem wówczas całą ich niższość wobec przyrody, wobec tych drzew spokojnych, tych krzaków cichych i traw drzemających. Coś podobnego musiało przyjść na myśl doktorowi, bo zbliżywszy się do mnie, rzekł właściwym sobie swobodnym tonem:

— Czy to nie świętokradztwo obierać sobie przybytek ciszy i pokoju na miejsce pojedynku?

— Myślałem właśnie o tém samém, odpowiedziałem. A myśląc o tém, widziałem całą wyższość roślinnego świata nad zwierzęcym, a przedewszystkiém nad ludzkim.

— A gdybyś pan znalazł ludzi, co żyją jak rośliny? rzekł doktor wesoło się uśmiechając. Czy nie znałeś pan ludzi z gatunku roślin?

— Nie, odpowiedziałem dotknięty trochę myślą, która się ukrywała pod słowami doktora, znałem tylko ludzi z obrzydłego gatunku zwierzokrzewów. Ale takich ludzi jak te drzewa i kwiaty leśne nie znałem na nieszczęście. Może niegdyś nad brzegami świętego Gangesu, w poświęconych lasach Indyi znajdowały się podobne istoty; dzisiaj już świst i klekot parowych statków angielskich musiał je stamtąd wypłoszyć.

— Rozumiem pana. Dzisiejsze Sakuntale chodzą już zapewne w krynolinach. Ale pocieszmy się, bo może bardzo prędko, przy pierwszym nowiu mody, nasze panie wystąpią w stroju Sakuntali.

Roześmiałem się. Podeszliśmy do Karola, który stał nieopodal pod drzewem zagłębiony w gorączkowym rozmy-

ślaniu; zdradzał to wyraz jego twarzy. Zwrócił się do nas i powiedział prędko do mnie: Danielu, jak zginę, zanieziesz o tém wiadomość Amelii. Tylko spiesz się, żeby cię kto nie uprzedził; chciałbym, żeby z ust twoich przyjęła tę wiadomość, i żebyś ty zebrał jój pierwsze wrażenie na wiadomość o mojej śmierci. Robię cię swoim spadkobiercą, oddaję ci to, coby najdroższém było dla mnie, gdybym mógł zginąć, ale żyć przeto.

— Wymagania są za trudne, zauważał doktor i dla tego zapewne będą spełnionemi tylko w swój ostatniej połowie. Obiecałem mu dopełnić życzenia. Wkrótce zjawił się Klemens ze swoimi sekundantami. Klemensa mało znałem, a z tego wrażenia, jakie zrobiła na mnie jego powierzchowność, sędzę, iż musi należeć do tak zwanych ludzi praktycznych, mocno oddanych rzemiosłu, to jest pracy dla celów, o którychby można powiedzieć, iż niewiadomo, jestli praca dla nich, czy téż one dla pracy istnieją. Jego sekundanci jeszcze mniej mnie obchodzili. Odmierzono kroki i przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. Była wielka cisza i nadawała czystą barwę téj tragi-komedyi. Nie miałem ochoty przerywać téj ciszy, a i doktor nawet był bardzo poważnie nastrojonym i wesoły wyraz jego twarzy znikł pod obłokiem zadumy. Nareszcie wszystkie przygotowania dopełnionemi zostały. Przeciwnicy stanęli naprzeciwko siebie. Klemens miał pierwszy strzał. Wydawał się dość spokojnym, co stanowiło bijącą sprzeczność z Karolem, który był mocno rozdrażniony. Ja stałem o kilka kroków z boku pod drzewem, więcéj jako widz niż uczestnik tego dramatu, zastawiając chętnie doktorowi rolę pierwszego sekundanta. Na dane hasło Klemens wystrzelił — widziałem, że ręka panowała dobrze nad narzędziem i nie drżała, a kula ugodziła Karola w prawe ramię, tak iż wypuścił pistolet z ręki. Był to strzał bardzo dowcipny, bo odjął przeciwnikowi możebność odwetu, i nie narażał strzelającego na odpowiedzialność, jaką pociąga za sobą zabójstwo, chociażby w pojedynku. Poznałem w tym strzale rękę praktycznego człowieka. Podbiegliśmy do Karola, który zbladł silnie i oparłszy się o ramię doktora rzekł: chodźmy stąd, jużem skończył.

Tak się skończyło to widowisko. Klemens i jego sekundanci ofiarowali nam swoją pomoc w opatrzeniu rany, lecz po grzecznej odmowie doktora udali się trochę za-

kłopotani w drogę do siebie. Doktor zabrał się już był do opatrzenia rany i zbadania jak daleko ugrzęzła kula, ale przyszło mu na myśl, że lepiej będzie na prędce zaprowadzić rannego do pobliskiej chaty leśniczego, gdzie zupełnie wygodnie będzie można dokonać operacyi. Karol był osłabiony, tak że musieliśmy go wspierać, ale po kilkunastu minutach drogi stanęliśmy szczęśliwie przed chatką leśniczego. Była to wybielona, o słomianej strzesze chałupa, dość mile wyglądająca wpośród leśnej zieloności. Na prawo miała spory kawał ogrodu warzywnego, na którym stało kilka drzew owocowych obficie obrodzonych. Nie wiem dla czego te drzewa przypomniały mi moje dzieciństwo i ich widok sprawił mi pewną przyjemność. Przypomniałem sobie, jak to niegdyś przemawiały do mnie te czerwone jabłuszka wyglądające z pośród liści zielonych i wabiły do siebie, jaką roskoszą napawał mię widok dojrzałych, złotych, soczystych gruszek, pod których ciężarem uginająca się gałąź schylała się ku ziemi jakby umyślnie, ażebym łatwiej mógł się dostać do niej. Miałem później dużo czerwonych jabłek i złotych gruszek, co rosły na innych drzewach, najczęściej na wierzbie, ale nigdy tak szczerze nie byłem wesoły, jak kiedy dzieckiem chodziłem po ogrodzie rodzicielskim i przyglądałem się owocom dojrzałym. Zapisuję te przypomnienia, bo miałem wczoraj tak dużo wrażeń dziwacznych, że ich jeszcze dziś uporządkować i ocenić nie umiem i dopiero po niejakim czasie może je będę mógł w ich całości zrozumieć psychicznie.

Wchodząc do chaty wnieśliśmy do niej przestrach podziwienie. W izbie, do której weszliśmy z sieni, obszernej, pełnej jeszcze zmierzchu porannego, pod małym kwadratowym oknem, przez które zaglądała już cała w złocie i promieniach jutrzeńka; siedziała na ławce dziewczyna w spodniczce jakiejś z koszulą na piersiach jeszcze w nieładzie porannym roszczęstana. Dziewczyna czesała włosy, które obfitemi falami złotemi spadały jej na ramiona. Kiedy ujrzała nas wchodzących, wypuściła grzebień z ręki i Jezus Marya krzyknawszy, rzuciła się na wysoki przypiecek po lewej stronie drzwi za piecem umieszczony. To rzucenie się jej było tak nagłe i zwinne, iż nie mogłem sobie zdać sprawy ze zjawiska. Jużcić skrzydeł u rąk nie miała, chociaż falująca za nią spodniczka robiła wrażenie

jakiegoś skrzydlatego lotu. Może to była wina tego tła, jakie dawał zmierzch poranny, iż tak cudownie oryginalném wydało mi się całe to zjawisko.

Podstąpiliśmy na środek izby. Dziewczyna umilkła na przypiecku i szelestem nawet nie zdradzała tam swego istnienia. Ale zanim mieliśmy czas zwrócić się do kogo i uspokoić dziewczynę, otwały się drzwi na prawo od komory i przez szczelinę ukazała się głowa stariej kobiety.—A to kto taki? zapytała głosem, w którym przebijała się niepewność i obawa.

— A któżby to miał być, odpowiedział doktor wesołym głosem, jak nie poczciwi ludzie, którym się zdarzył wypadek i potrzebują schronienia na parę godzin. Toć i zaszli do poczciwych ludzi i myślą, że ich nie wypędzą.

Swobodny, otwarty ton doktora i prawdziwie ludowy sposób wyrażania się zjednał nam całkiem kobietę, która była gospodynią domu. A niechże mię Pan Bóg broni, że bym was miała wypędzać. Zaraz ja ubiorę się i tam przyjdę — Hela!

To wołanie zwrócone było do dziewczyny, co się ukrywała na przypiecku. Nie odezwała się na głos matki natychmiast, tylko twarz zaleknioną wychyliła z za pieca, patrząc przed siebie jak sarna, co staje u brzegu źródła, nachyla się ku wodzie, lecz w tej samej chwili trącona obawą ogląda się trwożnie dokoła. Matka po raz drugi zawołała: Hela! Hela! czyś ty już znowu zasnęła? i wtedy dziewczyna zsunęła się z pieca na szeroką ławę co stała pod nim i zawstydzona, zarumieniona, drżąca z rozplecionymi włosami, ze spuszczonej oczyma stanęła przed nami jak posąg dziewczęcego wstydu. Wschodzące w tej chwili słońce objęło ją swemi różowo-złotymi promieniami i doprawdy wydało mi się wówczas dziewczę tak czarująco pięknem, że mi się zląkł swego wrażenia i spojrzawszy ukradkiem na doktora, jakbym mógł w jego twarzy znaleźć tłumaczenie dla tego zjawiska i dla swego wrażenia. Doktor był mile zapatrzony w cudowną postać dziewczyny, a uśmiech zadowolonia i jakby (może mi się wydało) wesołej złośliwości wałęsał mu się po ustach. Kiedy stojące na tapczanie dziewczę nie śmiało iść naprzód, do matki, bo myśmy je oddzielali od drzwi wiodących do komory, doktor podszedł ku dziewczęciu i rzekł mu swoim słodkim i przekonywającym głosem: Helu! was wołają! czemu nie idziecie? a

może się nas boicie, żebyśmy was nie zjedli? a toż spojrzcie na nas, że ani pazurów jak u niedźwiedzia, ani kłów jak u wilka nie mamy.

Dziewczyna roześmiała się i podniosła duże szafirowe oczy. Było to dla mnie znowu nowe zjawisko. Rozwinięte jęj wargi różowe błysnęły dwoma rzędami perłowych lśniących ząbków, a szafirowe oczy przemawiały wyrazem nieporównanej słodyczy. Doprawdy nie wiem, co się wtedy ze mną działo, i dziś jeszcze, kiedy przypominam sobie to wrażenie, nie czuję się dość uspokojonym. Zapomniałem, gdzie jestem, po co tam jestem, co się dzieje z Karolem, o którego dbać powinien byłem, zdawało mi się chwilowo że to jakiś sen bardzo miły, więc po co się przebudzać, więc lepiej jak najdłużej w nim pozostać.

Matka, która słyszała przemowę doktora do Heli, odezwała się: To czegoż się boisz Helu, kiedy ludzie są dobrzy. Idź do szafy, poczęstuj panów nalówką, zanim ja tam przyjdę; niech daremnie nie czekają. Niech panowie wybaczają, że dziewczyna taka płochliwa, bo to nigdy świata nie widziało.

Wzmianka o nalówce otrzeźwiła mię trochę. Już prawie pewny byłem, że za chwilę czarodziejska dziewczyna zamieni się w gminną niezgrabną szynkarkę, kiedy Hela z tak instynktowym wdziękiem ruchów podstąpiła do szafy, żem znowu w jakiś czar zaczął zapadać. Otworzyła szafę, wyjęła z niej butelkę napełnioną czerwonym płynem i podniósłszy ją w górę nad głowę patrzyła przez nią do okna, a potem odwróciwszy się ku nam, rzekła już dość śmiało: a może wy wino wolicie?

Ja nie jęj na to nie odpowiedziałem, bo muszę się przyznać, iż byłem całą siłą wzroku i uwagi zapatrzony w jęj postać zachwycającą. Dziewczyna musiała uczuć uporeczywość mojego wzroku, bo kiedy podniosła oczy i spotkała się z moimi, zaczerwieniła się mocno i odwróciła się do szafy, szukając tam niby czegoś. Doktor, który jak mi się zdaje, zostawał także pod pewnym wpływem uroku, jaki Hela na nas wywarła, jakby otrząsając się z niego i przypominając sobie swoje obowiązki, rzekł prędko do Heli: „Dziękujemy wam, moja najmilsza, ale myśmy nie przyszli tu po to, żeby pić albo jeść. Jest tu człowiek, który zranił sobie rękę, ja jestem doktor i muszę mu tę rękę opatrzyć. Pozwolicie nam tylko na

godzinę rozłożył się w izbie i to już będzie wszystko. Zresztą jeżeli macie wino czerwone, to dajcie pół kieliszka rannemu.

Dziewczyna spojrzała trwożliwie na Karola, który siedział na ławie obok drzwi i był dość blady. Podstąpiła do niego z nalany kieliszkiem i podając mu wino, patrzyła z wyrazem głębokiego przerażenia na szmaty krwią zbroczone. W reszcie ukazała się matka, i przepraszając nas że zaraz wyjść nie mogła, prosiła żebyśmy się rozgościli jak w domu. Doktor opowiedział jej rzecz całą w sposób przystępny i na przyrządzonej ławie zabrał się zaraz do operacji. Musiałem wyjść nareszcie z mojej halucynacyi i zabrałem się do pomocy doktorowi. Współczująca nam bardzo gospodyni dostarczała wszystkiego, co się okazywało niezbędnem przy operacyi. Hela gdzieś znikła. — Byłem kontent z tego, jednak pragnąłem koniecznie obaczyć ją raz jeszcze przed odjazdem. Operacya odbyła się dość ciężko, kula bowiem ugrzęzła głębiej, aniżeli się zdawało. — Przed końcem operacyi Karol zemdlał i chociaż go zaraz ocuciliśmy, był jednak tak osłabiony, że o natychmiastowem przewiezieniu go do miasta nie mogło być mowy, tém bardziej, że droga była dość nierówną. — Poczciwa nasza gospodyni zrozumiała odrazu że Karol musi pozostać jakiś czas w jej domku i ofiarowała doktorowi swoją alkowę na pomieszkanie dla chorego. Doktor przystał na to, Karolowi ta myśl bardzo się podobała. Ja byłem z niej dziwnie rad, i zarazem nierad, czułem jakby jakiś spisek wydarzeń na moją spokojność. Po chwilce zastanowienia zaśmiałem się z tego chwilowego rozkładu, a jednak nie zdołałem powrócić do zupełnej obojętności i pozostała mi radość jakaś wewnętrzna.

Karolowi natychmiast usłano wygodne łożo w alkwie. Doktor miał go odwiedzić nad wieczorem, ja obiecałem przyjechać na drugi dzień. Pożegnaliśmy się z gospodynią, Heli nie było w chacie. Ta obojętność jej dla nas trochę mnie ubodła, a przynajmniej zastanowiła. Ale kiedy wyszliśmy z chaty i puściliśmy się ścieżką, co nas zaprowadzić miała do miejsca, gdzie nasze konie czekały, ukazała się przed nami Hela z podołkiem pełnym wysmienitych gruszek i jabłek. — Szła ścieżką naprzeciwko nas, i gdyśmy się spotkali, nie nie mówiąc, otwarła podołek. Nic już w niej z dawniejszego zaleknienia nie pozostało. Miała

wprawdzie oczy spuszczone, ale to może bardziej przed słońcem, które wprost przed nią świeciło, niżli przed naszym wzrokiem. — Włosy miała w warkocz splecione i owinięte do koła głowy, a z poza warkocza wyglądało parę letnich dzwonek i jedna dzika różyczka. Czysta koszula, uchwycona w pasie spódniczką, lśniła rażącą białością od słońca i uwydatniała cudownie młodą pierś dziewczyną. Przy tej koszuli szyja i twarz dziewczyny wydawały się jeszcze bardziej ogorzałemi, a ogorzałość ta, miała jakiś złotawy połysk.

Schyliłem się ku podołkowi i wybrałem jedno z piękniejszych jabłek. — Przyznam się otwarcie, że towarzystwo doktora było mi wtedy zbyt cieżkim i wolałbym, żeby mię jedynego spotkała ta gościnność dziewczęcia. Doktor wziął gruszkę, uśmiechnął się, i zaczął mówić do dziewczyny:

— O dziewczyno, jesteś bardzo gościnna — powiedz, czy uczono cię kiedy Pisma świętego, jak to Pan Bóg świat stworzył, a na końcu chłopca, a jeszcze potem dziewczynę, i dał im mieszkanie w swoim ogrodzie i... co potem? Wiesz co potem było?

Dziewczyna ciekawie patrzyła na doktora — Nie, ja nie wiem, rzekła.

— Potem zakazał pan Bóg jeść jabłek z jednego drzewa, z jednego tylko drzewa. — Dziewczyna narwała tych jabłek sama jadła i dała ich chłopcu, a pan Bóg rozgniewał się i wypędził ich ze swego ogrodu.

— A na cóż rwała? spytała dziewczyna.

— A! bo jabłka były bardzo smaczne, przynajmniej tak wyglądały — Ach i wąż był jeszcze, który ją namówił do tego; o wężu zapomniałem zupełnie.

— Wąż był, a to ja rozumię, powiedziała — Ten wąż był zły? prawda?

— Był bardzo zły. — Ale te jabłka, Helu, któremi nas częstujesz, nie są ci przez węża wskazane? Ja jeszcze wziąłem gruszkę, ale ten pan... i pokazał ręką na mnie.

Dziewczyna spojrzała na mnie i spłonęła. — Byłem zły na doktora. — Bądź zdrowa, Helu, dziękujemy ci, powiedziałem do dziewczyny i wzięwszy doktora za rękę pociągałem go z sobą — kilka kroków szliśmy w milczeniu nakoniec doktor przemówił: „wszak prawda, żeś pan znalazł Sakuntalę?

— Tak, odrzekłem, a przynajmniej bardzo ładzące podobieństwo.

— A zawsze wiara w złudzenie — Ta dziewczyna powinna była przekonać pana, że jest tem, czem się być zdaje, to jest kwiatem. —

Wsiadliśmy do powozu i odjechali do miasta. — Wróciłem do swego szarego pokoju i nie mogłem nic robić — wyszedłem na ulicę — ludzie zgniewali mię bardziej niż kiedy — zabrałem się więc do opisanja dzisiejszych moich porankowych wrażeń — będą się kiedyś bawił niemi serdecznie.

IV.

11 sierpnia.

Dziwna, dziwna jakaś faza życia rozpoczyna się we mnie — Jakaś nieznaną mi dotąd rozkosz przyplływa do piersi, ale czuję, że to rozkosz chwilowa, że to jest fala, która dlatego się wspina, żeby tam większą próżnię zostawić po sobie. — Jednak idę naprzód, niechęć opierać się wrażeniom, będą je tylko zapisywał, żebym mógł jak na skale nadbrzeżnej zarysować wysokość wspinającej się fali i zmierzyć w ten sposób głębokość opuszczenia się mego na dół.

Wczoraj według obietnicy odwiedzałem Karola w chatce leśniczego. Dzień był ładny, udałem się więc pieszo w drogę — w drodze, idąc krokiem wolnym, rozbierałem wrażenia dnia poprzedniego i byłem ciekawy jednej rzeczy: czy wrażenia wczorajsze miały jednodniowe przyczyny, czy jednym słowem Hela wyda mi się dzisiaj taką, jaką mi się wczoraj wydała. — Na wstępie przechadzki byłem prawie pewny, iż zjawisko wczorajsze, dzisiaj się nie powtórzy, w miarę jednak zbliżania się do lasu, pewność ta coraz to ustępowała, i kiedym po dwugodzinną przechadzkę ujrzał biały domek i drzewa owocowe, wszystko razem tak radośnie uśmiechnięte, kiedym oto stanął przed drzwiami domku, byłem już porządnie rozdrażniony.

Ale Heli w chacie nie było. — Powitał mię za to jój ojciec leśniczy, którego wczoraj nie widzieliśmy zupełnie,

bo już był się udał na jakąś leśną wycieczkę. — Był to mężczyzna średniego wzrostu, suchy, z wyrazem wielkiego pokoju i siły na twarzy. — Przywitał mię bardzo uprzejmie, i na zapytanie moje, jak się ma chory, odpowiedział, iż zdaje się, że się ma lepiej, ale myśli tu jeszcze przepędzić jakiś czas w ich chatcie.

— Niema dla mnie większej przyjemności, jak pomódz komukolwiek, tém bardziej choremu, dodał z wyrazem poważnej szczerości, i dlatego niech pański przyjaciel będzie pewny, że tu nam ani trochę nie zawadza.

Te słowa, które w innych ustach zrobiłyby na mnie wrażenie samochwalstwa i zdawkowej grzeczności tu były powiedziane tak po prostu i poważnie, że mię odrazu zjednały dla mówiącego.

Poszedłem do Karola. — Karol istotnie czuł się trochę lepiej po przejściu gorączki, która go całą noc trapiła. Przywitał mię z wielką radością i zapytał jakby z utęsknieniem: co tam słychać? Nie wiedziałem co odpowiedzieć, bo zrozumiałem o co mu chodzi, a mianowicie o wiadomość jaką o żonie. Pocieszałem go tylko przypuszczeniem, iż, dowiedziawszy się, że leży ranny w chatce leśniczego, pośpieszy go zapewne odwiedzić. Na tę myśl rumieńce oblały chorego. Nie mówił mi dlaczego dłużej pragnie pozostawać w tej chatce, ale poznałem, że mu chodzi o to, by żona postawiła pierwszy krok na drodze pojednania się, ażeby skruszona jego postępkami przybyła go przebłagać.

Po półgodzinnéj rozmowie z Karolem, wyniosłem się do wielkiej izby, party ciekawością obaczenia Heli, poznania jéj warunków życia i przeszłości. Heli jeszcze nie było, ale matka siedziała na tapczanie i zajęta była kwaszeniem ogórków. Ujrzałem wyborną sposobność zawiązania rozmowy, i zapaliwszy cygare, usiadłem naprzeciw gospodyni, na ławie pod okienkiem, w tem samym miejscu, gdzie Helę po raz pierwszy ujrzałem. Gospodyni, (Antoniną przez męża zwana), przepraszała mię; iż przy mnie oddaje się kwaszeniu ogórków, ale ja starałem się ją przekonać, że widok tego zajęcia nietylko mi nie jest przykry, ale i owszem sprawia mi pewną przyjemność. Uspokoiwszy w ten sposób gospodynię, zadałem jéj kilka pytań, jak dawno są tutaj, gdzie przed tem byli, czem się trudnili, i... chciałem także zapytać szczegółowo

o Helę, ale spuściłem się już na wielomowność kobiecą i nie postawiłem tego pytania.

— Bo to widzi pan, tak mi zaczęła opowiadać, myśmy i tutejsi i nie tutejsi — Mój mąż jest zdawna tutejszy, bo tutaj się rodził i wychował i służył przy lesie, kiedy był jeszcze kawalerem. — A ja sama jestem z Litwy, od puszczy, i tameśmy się poznali i pobrali. — Jakaśmy się pobrali, więc ja przyjechałam z nim razem w te strony i tu aż trzy lata mieszkałam i byłabym dłużej mieszkała, żeby nie mój mąż, który jest bardzo hardy — Służył on tutaj u jednego pana, nie w tym lesie, a w innym, i jakoś mu zawsze dobrze było, bo już to człowiek jest, jak ogień do pracy. — Ale jak umarł stary rządzca, a nowego przyjęto, więc ten nowy zaczął bardzo źle na mego męża patrzeć i raz, jakoś tak ni stąd ni zowąd zaczął go bardzo łąajać. A mój mąż, że jest bardzo hardy, więc nie chciał tego znieść i zaraz przychodzi do mnie i mówi: pojedziemy ztąd! — Co? dokąd? ja jego pytam. — Pojedziemy ztąd, tak, i tak było — Pojadę, mówi, w wasze strony, tam mniej świata, ale więcej Boga. — A ja się bardzo ucieszyłam, bo już mi czasem tęskno było do naszej puszczy, choć prawdę mówiąc, to tam takiej wesołości niema jak tutaj. — Pojechaliśmy do nas, to jest tam do puszczy i tam mój mąż dostał miejsce, ale to miejsce, pożał się Boże, było bardzo głębokie, bo to do kościoła i do małej kapliczki, to aż cztery mile, a żeby tak do miasta, to ani myśleć pojechać — Ale mój mąż, to jemu dobrze było, a i mnie z nim dobrze było, bo człowiek jest bardzo pamiętny. — Było tam kilku takich jak on leśnych, a wszystko ludzie dobrzy, to i dobrze nam było i coś my tam przemieszkali lat więcej jak dziesięć, a może ze trzynaście albo więcej. — Aż oto ostatniej zimy spotkał się mój człowiek ze swoim dawnym znajomym, leśniczym z Oborowa, nie wiem czy pan zna jego, i ten leśniczy zaczął bardzo namawiać męża, żeby w te strony powrócił, że mu się będzie lepiej działo, a i to że zawsze świat większy, to trzeba żeby nasza Hela zobaczyła. — A już to prawda, że nasza dziewczyna oprócz lasu nie widziała, bośmy w maleństwie ją stąd wywieźli, a choć i ja, jak byłam młoda to tylko, że się w lesie obracałam, ale przecie zawsze widziałam więcej, niż ona. — Mój mąż myślał nad tem całą zimę, i byłby się może jeszcze z miejsca nie ru-

szał, aż jakoś pod Wielkanoc napisał do niego pan tutejszy, któremu mówił o nim ten Antoni, co to jest znajomy mego męża, napisał oto tak: wiem, że jesteś człowiek sprawny i uczciwy, przyjeżdżaj do mnie, bo potrzebuję leśniczego — Krzywdy mieć nie będziesz, dam ci chatę, ogród i ordynarję, i jeszcze tam co może. — Jak to mój przeczytał, to już nie było co robić, tylko jechać i zaraz w maju, że to był koniec służby, pojechaliśmy.

— Więc wy tu od bardzo niedawna jesteście, — spytałem.

— A już trzy miesiące, chwała Bogu. — Z początku to nam przykro było dosyć, bo to już lata takiego człowiek nie znajdzie, jak tam u nas. — Ale już dzisiaj trochę się oswoiło. — Mamy dobrego pana, z ludźmi się obchodzi pobożnie, a sam już staruszek, u pana Boga siedzi przed progiem, niechaj mu Pan Bóg da żywot najdłuższy.

— A jak się wasz pan nazywa?

— Nazywa się Chocimski — żona już dawno umarła, ale ma syna, tylko, że razem nie mieszka.

— To ojciec musi być lepszy od syna? — powiedziałem.

— A syn niedobry? spytała trwożliwie kobieta.

— Tak ludzie mówią, a to co mówią nie zawsze się sprawdza, ale zawsze lepiej wiedzieć, co oni mówią.

Te słowa wprawiły kobietę w zadumę. — Istotnie słyszałem o młodym Chocimskim, jako o szalbierzu i niegodziwcu wedle ogólnie ludzkiej terminologii i dlatego ostrzegłem leśną rodzinę.

Wkrótce nadbiegła Hela, i spostrzegłszy mię, stanęła na progu zadziwiona. — Teraz, kiedy miałem przeszłość jej w rękę, wydała mi się zupełnem, niepokalanem dzieckiem natury. — Wrażenie, jakie zrobiła na mnie, zjawiając się na progu, nie było mniej silnem od poprzedzających. — Była trochę zadyszana od biegu, chciała wpaść swobodnie do izby, niespodziewając się zastać obcego człowieka, i zastawszy mnie, stanęła jak osadzona na miejscu, a potem uśmiechnęła się, jak gdyby do dobrze już znajomego. — Dwa żywe rumieńce kwitły na obu stronach jej twarzy, i była cała jak różyczka rozwinięta do słońca i zapachem swoim dysząca. Przystąpiła potem do matki i zaczęła jej pomagać w zajęciu gospodarskiem. — Jej obecność wprawiła mię w dziwny stan upojenia, z którego już nie sta-

rałem się wydobyć. Upiłem się, zgoda na to, lecz po co się sztucznie wytrzeźwiać, jeżeli napój był tak słodki, a upojenie tak rokoszne?

Matka wyszła na chwilę z izby i zostaliśmy sami. To sam na sam nie wywarło na Heli najmniejszego zakłopotania. Pewien wyraz wstydlivosti i to wstydlivosti pierwotnej, niepodrabianej zalegał ciągle jej śliczną twarzą, ale po wyjściu matki nie spotęgował się wcale. Siedziała naprzeciwko mnie zajęta robotą i milczała. Po chwili milczenia zapytałem.

— I jakże wam, Helu, w tych stronach?

Dziewczyna spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

— Ja nie wiem sama, odrzekła, czasem mnie dobrze tutaj, a czasem smutno.

— A dla czegoż ci smutno? spytałem.

— Czasem pomyślę sobie o puszczy, o mojej sarnie co była swojską i taka dobra, że ją każdy kochał, szkoda, że jej pan nie widział, a znów o naszej dawniej chacie pomyślę i smutno się zrobi.

— Ale wam tu jest dobrze?

— Dobrze, ino że kraj jest bardzo cudzy, a ludzi jest tak dużo!

— A czy to źle z ludźmi?

— Albo ja mówię, że źle? Ja tak lubię ludzi!

— A jednak kiedyśmy tu pierwszy raz weszli, toś się tak przestraszyła?

Dziewczyna splonęła na przypomnienie tej chwili.

— Bo mnie się wydało... ja sama nie wiem co. Ale teraz nie boję się.

Powiedziała to tak naiwnie i spojrzała tak słodko, że uczułem jak fala rokoszy zalała mi całe piersi i byłem już gotów do jakiegoś szalonego kroku, kiedy weszła matka do izby i wróciła mi moją przytomność.

Może w godzinę potem zjawił się leśniczy i rodzina zabrała się do obiadu. Rozumie się, byłem także zaproszony na obiad i jak najspieszniej przyjąłem to zaproszenie. Przed zabraniem się do jadła wszyscy troje przeżegnali się, i ja przez chwilę nie wiedziałem, co mam robić, ale zawahałem się i już nie mogłem zmusić się do przeżegnania. Hela i matka spojrzały na mnie zdziwionymi oczyma; na szczęście leśniczy wyrwał mię z zakłopotania zawiązując rozmowę.

Byłem bardzo ciekawy poznać wewnętrzne życie tego człowieka. Wyraz spokoju spoczywający na jego twarzy imponował mi bardzo, tem bardziej, że nie miał w sobie żadnej przymieszki idiotyzmu. Zapytałem go, czy ma wiele pracy i czy jest z niej zadowolony.

— Cały dzień pracuję, odpowiedział, ale wiele pracy nie mam. Nieraz mi ludzie mówili, że ja za wiele pracuję, niby więcej, niż służba wymaga, ale ja tego nie rozumiem, jak to można za wiele pracować. Jak mi czasem przyszło w domu posiedzieć dzień cały, że to miałem rękę albo nogę skaleczoną, to już mi tak nie miło było, że nie wiedziałem, co robić. A to nasza praca nie jest ciężka, więcej chodzić i patrzeć, jak rękami. A zresztą, dodał z uśmiechem, który tak dziwnie odbijał od pewnej surowości w twarzy, i ja czasem lubię popróżnować. Naprzykład w zimie, wieczorem, kiedy mróz tęgi na dworze, że skrzypie pod nogami, to lubię wracać do chaty, a jeszcze ze zwierzyzną do tego, i lubię posiedzieć przy ciepłym piecu i jaką bajkę dziewczynie opowiedzieć. A i stara lubi słuchać i kontenta, powiedział rzucając okiem na Antoninę, bo już to kobiety stworzone do tego, żeby siedzieć na miejscu i próżnować, a bajek dla nich nigdy nie ma dosyć.

— A to już ze mnie zrobił próżniaczkę, powiedziała Antonina z pewnym dąsem, który nic gniewu nie miał w sobie. Jak to się ludziom zawsze wydaje, że jak kobiety siedzą w domu, to nic nie robią. A tymczasem, jak kto chce pracować, to znajdzie robotę od rana do nocy. A to krowy wydoić, a to zgotować jeść, a tu stół się prosi, żeby go wymyć, a ściany się proszą, żeby wybielić, a coś uszyć, a coś wyprać. Chciałabym ja, dodała, patrząc wesoło w oczy mężowi, żebyś ty się kiedy ubrał w spódnice i został na jaki dzień w domu, otóż byś się dowiedział, czy jest co do roboty.

Hela roześmiała się serdecznie i my wszyscy za nią chórem. Takięj szczeręj, naiwnęj wesołości dawno już nie pamiętałem; w tem kole rodzinnem było mi dobrze, swobodnie, jakbym zstąpił do mego dzieciństwa i wyciągał na nowo zapomniane już zabawki, a zabawki wszystkie cieszyły mię jak dawnięj. Hela siedziała naprzeciwko mnie i częstowała potrawami i prosiła wzrokiem. Przedewszystkiem uderzała mię, zadziwiała i upajała ta dziwna har-

monja rodzinna, jaka panowała w chatce leśniczego. Małżeństwo, rodzina było zawsze dla mnie ciężarem, zwalonym na kilkoro pleców, z których każda starała się, jak najmniej dźwigać. Tutaj przeciwnie widziałem, iż szczęście wypływa jedynie z rodzinnego stosunku, z wielkiej miłości trojga istot dla siebie.

Kiedyśmy tak wesołą prowadzili rozmowę, kiedy i ja się rozgadałem i podchwyciwszy miejscowy ton rozmowy opowiadałem o różnych ludziach, o różnych obyczajach na świecie, a Hela pilnie patrzyła na mnie i uważnie słuchała słów moich, z przyległej komory dał się słyszeć jęk głęboki, a później cichsze stękania. Był to jęk Karola. Rozmowa nasza, jako nić targnięta, urwała się nagle. Powstałiśmy od stołu i pospieszyli do chorego. Leżał w silnej gorączce, która się coraz zwiększała i wymagała nieopóźnionej pomocy lekarskiej. Koni nie było, nie wiedzieliśmy co robić, już miałem iść pieszo do miasta, kiedy nadjechał pan Józef, nasz doktor, sekundant, i powitaliśmy go wszyscy z radością.

Ku wieczorowi, kiedy już słońce zataczało się za widnokrąg wracałem do domu. Doktora wraz z jego koźmi zostawiłem był jeszcze w chacie, sam wracałem pieszo. Wychodząc z chaty nie mogłem się pożegnać z Helą; nie było jej tam, musiała być zajęta wieczornem gospodarstwem. Spodziewałem się ją spotkać może na ścieżce ogrodowej, ale i tam jej nie było. Udałem się więc dalej kręconą ścieżką w las, trochę zasmucony, a jednak pełen jakiejś tajemnej, wewnętrznej radości, której niechciałem nawet rozumem usprawiedliwiać, bo wiedziałem, że robota byłaby daremną. Było to jakby przypuszczenie, że są na świecie rzeczy, których mógłbym pozazdrościć, do których pragnąłbym wspiąć się; było to jakby przecucie, że szczęście nie leży w obojętności dla wszystkiego, ale przeciwnie we wszechmiłości.

Kiedym się oddalił może o tysiąc kroków od chaty leśniczego i szedłem wśród drzew wysokich, których wierzchołki złociły zachodzące słońce, podczas gdy u ziemi już zmrok szary zaczął się rozpościerać, posłyszałem klekot drewnianego dzwonka i z krzaków wybiegła krowa, a za nią

w zwinnym skoku Hela z gałązką leszczyny. Stała zadziwiona, obaczywszy mię, a potem najnaiwniej spytała: a wy tu co robicie?

— Wracam już do domu.

— A wieczerzać z nami nie będziecie? Wieczerza będzie prędko, już słońko gaśnie.

— Wieczerzać mi się nie chce, wolałbym posłuchać od ciebie Helu jakiej bajeczki; musiałaś się ich dużo nauczyć od ojca.

— To i wy lubicie bajeczki?

— Lubię bardzo; szkoda, że nie masz czasu opowiedzieć.

Uczepiłem się téj bajeczki, chcąc znaleźć powód jaki do dłuższego zatrzymania Heli, nie miałem jednak wielkiej nadziei, aby się dziewczyna dała uprosić do mówienia.

— Czas jest, powiedziała, ale jakże tak bajkę w lesie mówić.

— A gdzie się bajka mówi?

— Przy ogniu, w chacie, to co innego. W tedy się tak dobrze słucha.

— A w lesie nie można?

— Czemu nie można? ale się nigdy nie mówi.

— A cóż ci szkodzi spróbować? Jak mi teraz opowiesz ładną bajeczkę, to ja ci za to kiedyś inną przesłiczną opowiem w domu, przy ogniu.

Ta obietnica musiała się podobać dziewczynie, bo oczy jej zaiskrzyły się radośnie, spojrzała na swoją krówkę, co się zaczęła paść obok jak najspokojniej, potem na wierzchołki drzew i powiedziała:

— A jakąż wam powieścić, czy tę o królownie, co mieszkała na szklanej górze?

— Dobrze, powiedz mi o królownie co mieszkała na szklanej górze.

Usiedliśmy na murawie i Hela zaczęła mi opowiadać bajeczkę, jedną z najbardziej djamentowych jaką w życiu słyszałem. Była tam, rozumie się, jakaś zaczarowana księżniczka, byli tam królewicze wędrujący, drzewa o złotych owocach, ptaki o ludzkiej mowie, rybki stające w dobrej przygodzie, pałace kryształowe i góry z djamentu, było jedném słowem to wszystko, czem zwykle hojnie sypie fantazja, nie oglądająca się za rzeczywistością. A te wszy-

stkie bogactwa podane były w formie tak prostej i naiwnej, sam ton opowiadania tak pełen był świeżości dziecięcej, że wątek bajki puściłem mimo uszu, a słuchołem tylko oderwanych części, słuchołem często samego tylko głosu dziewczęcia, i rozmarzyłem się na dobre.

Bo też wieczór, który nas otaczał, należał widocznie także do spisku przeciwko moim zmysłom. Była cudowna, jakby zaklęta cisza dokoła, towarzysząca zmrokowi, który już grubszymi warstwami rozcielał się na leśnej murawie. Pomiędzy konarami drzew przeglądał rumiany zachód i służył za tło prześliczne dla drzew szerniałych już od zmroku. A na tle zupełnej ciszy wywiązywała się jakaś nowa muzyka, muzyka tajemniczego szelestu, niewyraźnych szmerów, muzyka krwi falującej w rozmarzonej głowie. Czasami zrzadka dało się słyszeć jakieś kuknięcie dalekie i długie które się zwolna rozchodziło po lesie, czepiając się gałęzi drzew i liści, krzaków i konając na chłodnej murawie. Potem znów cisza i znowu tajemnicza muzyka wyłaniająca się z ciszy.

Dziewczyna musiała być także przejętą tym uroczystym spokojem i ciszą wieczoru, bo skończywszy bajkę zamilkła i przechyliwszy się nieco naprzód zdawała się wsłuchiwać w tajemniczy szept ciszy. Twarzyczka jęj pokryła się wyrazem zadumy. Było to nie innego, jak dostrojenie jęj dziewięziej natury do ogólnej harmonji przyrody. Patrząc na nią, zdało mi się, iż należy nieodłącznie do szeregu tych istot leśnych, co się splatały teraz w zgodną i uroczystą całość. Bałem się ją wyrwać z tej zadumy i patrzyłem w milczeniu na jęj profil, już niewyraźnie przez siatkę zmroku przeglądający. W tém krowa głośnieję zaklekotała swym drewnianym dzwonkiem i dziewczyna, jak przerażona, zerwała się na równe nogi. Ach tam czekają na mnie, rzekła, bądźcie zdrowi, i pobiegła pędem w stronę, gdzie słychać było klekot stukawki. Ja powstałem powoli z ziemi i dopiero wtedy zacząłem pytać siebie, co to ja robię, po co ja tu siedziałem tak długo, co to wszystko ma znaczyć? Mam że już zostać bohaterem sielanki? Mam że już złudzeniom rzucić się w objęcie i dopomagać im nawet, dobierając romantyczne pory i miejsca.

Wyszedłem prędko z lasu, a wszystko po drodze zdawało się szydzić i drwić ze mnie, koszlawe krzaki przy

drodze uragały mi nieznacznie, świecące okienka chałup śmiały się dobrodusznie z mojej niedorzeczności. Kiedym wchodził do miasta, zdawało mi się, że ludzie spoglądają na mnie, jak na warjata. No ci przynajmniej mogliby byli patrzeć jak na towarzysza. Ale kiedym wszedł do swego pokoju, zapalił cygaro i usiadł w krześle, może pod wpływem cygarowego dymu wewnętrzna wojna toczona przez całą drogę zaczęła się układać do pokoju i zrobiło mi się tak dobrze, jak już oddawna nie pamiętam.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



NA PRZESILENIE WIOSENNE.

przez

KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

Po niebie gna tumany chmur
Szalony wichr marcowy,
Rozdziera strój na szczytach gór,
Twój zimo, strój lodowy.
W tych kłębach chmur, co błyskawicą
Czerwone, gromem biją,
Zawitaj nam dziewico,
Zawitaj nam Maryjo!

* * *

Strwożonym, mów, — że w gromie burz
Twe państwo już się rodzi,
Że w grozie téj, jest pączek róż! —
Lecz Matko świeć téj łodzi,
Co z mórz się szalem grzmiącym łamie,
O gwiazdo mórz Ty święta!
Wierzącój daj Twe ramie,
Niech płynie łódź nietknięta.

* * *

W dolinach kwiat zbudzonych drzew
Na wpół wygląda z paków;
I po nad niw zielony siew
Wzlatuje rój skowronków;
O Maryjo, Ty miłości zdroju!
Rolnika spełń nadzieje,

Niech Twoje nań w pokoju
Błogosławieństwo wieje!

* * *

I ptaszkom daj na gniazdo cień
W rozkwitłym państwie lasu,
I ludziom daj miłości dzień
I rozkosz daj wywezasu.
Gdy przyjdzie maj, Krynico łaski!
Cór ziemi przyjmij wieńce;
Ty w enót je ubierz blaski,
Ty daj im oblubieńce!

* * *

Dla wielu, wiesz, że wicher ten
Jest innéj wiosny zwiastun;
Że kości ich na wieczny sen
Grób zimny, weźmie piastun.
Pocieszycielko konających,
Maryjo, Matko święta,
Z dusz w Ciebie ufających
Zdejm ciała ziemskie pęta!

* * *

I ucho daj modlitwom łez
Na mogił smutném polu;
W Twą pieczę weź mirt, liliję, bez,
Posadzon ręką bolu;
Sięj Maryjo, Matko Ty boleści,
Na groby zapomniane,
Lub skryte gdzieś bez wieści,
Podarki Twe wiośniane!

NAPRZÓD.

Romans we dwóch tomach

przez

SPIELHAGENA.

—————
CZĘŚĆ PIÉRWSZA.

ROZDZIAŁ VII.

—————

Przez otwarte drzwi balkonu aromatyczne i ciepłe powietrze płynęło do pokoju hrabiny. Tarasy pod balkonem, łączki w dolinie, las czerniący się na miękkich konturach oddalonych gór, wszystko było oblane żywem światłem porannego słońca. Przykro było hrabinie, że odmówiła księciu i nie pojechała na przejażdżkę chcąc już raz napisać do swojej matki.

Wyszła tedy na balkon, spojrzała na odkrywający się z niego widok, później wróciła do pokoju, rzuciła się w fotel i zaczęła oglądać różowe swoje paznogie. Myślała o młodym doktorze, że on, taki przesłiczny mężczyzna, jakiego już dawno nie widziała i że istotnie nie należało mu dziś rano jechać do Hünerfeld.

Hrabina znowu wyszła na balkon, przypomniawszy, że z zamku jak jój mówiono, można było widzieć tę małą w górach wioseczkę. Gniewało ją, że nie mogła nic dojrzieć, bo drżące kontury wyniosłych gór zlewały się zupełnie w jaskrawych płomieniach słońca. Wreszcie znowu siadła przy stole, po raz drugi oglądała ze dwie minuty swoje paznogie i zaczęła pisać delikatnym i foremnym charakterem.

„Gniewasz się kochana matko, że oprócz paru ćwiarteczek o naszym tutaj przybyciu, do tej pory nie odebrałaś żadnych nowin,

choć ci obiecałam pisać obszernie. Ale czyż można pisać obszernie i drobiazgowo, gdy się jest od rana do wieczora w towarzystwie? I tak wstępny bojem zdobyłam dzisiejszy poranek, wszyscy bowiem wyjechali. Książę chciał koniecznie, żebym jechała, ale twoja Stefanija była nieubłagana, wie bowiem, co winna dobra córka najlepszej z matek.

„Kochana mamó! nie mam wyrazów na wypowiedzenie ci jak tu jestem szczęśliwą i jak jestem wdzięczną za to, żeś wtedy postawiła na swoim.—Biedny Dagobert! Wczoraj Henryk mówił mi i zdaje się z pewną myślą, że jeżeli król mu nie pomoże, będzie mu niepodobna utrzymać mienie, i w jesieni wszystkie jego majątki będą sprzedane przez licytacją. Toby było dla mnie nader bolesném. Żal mi go z całego serca, naprawdę był z niego taki szanowny człowiek, choć już i wtedy był nieco lekkomyślny, — co do nas, my nie jesteśmy w stanie jemu pomagać i dla nas tak się rzeczy ułożyły szczęśliwie, jakem się nigdy nie spodziewała. Moja rozumna mama zawsze ma słuszość.

„Ale nie miała żadnej słuszości, że nie pojechała z nami i że jej biedna Stefanija musi sama odbywać podróże. Upewniam cię droga mamó, że w tém nie było żadnej konieczności, choć z drugiej strony zgadzam się, że przyjazd twój późniejszy będzie więcej *comme il-faut*, że potrafiysz stanąć na czas w chwili ważnych zdarzeń, których zdecydowałam się tutaj doczekać. Książę, o którym nie mogę powiedzieć, tylko że jest uosobioną miłością i dobrocią dla mnie, proponował już, napisawszy przedtém do ciebie i znajdował konieczném, nieodzowném, żeby następca Roda- Rotebula (a rozumié się i Tirklica) przyszedł na świat w domu przodków swoich. Teraz będziemy go już trzymać za słowo.

„Być może kochana mamó, dziwić cię to będzie, że z taką pewnością mówię o następcy, ale ja tak temu wierzę, że mi się zdaje, jakoby był już ochrzczony i nazwany Eryk Henryk Leopold, imiona które powinien nosić, jako jedyny następca wszystkich trzech dynastyj.

„Zkąd pochodzi ta pewnoś, naprawdę sama nie wiem; datuje się ona od niedawna, bo zdaje mi się, że od wczorajszego dopiero wieczora, po długiej, serdecznej rozmowie z doktorem w czasie przejażdżki na bażanci dworek: on mię prawdziwie uspokoił i pocieszył.

„Doktór jest bardzo miłym i przystojnym mężczyzną, trochę skryty i melancholiczny; ależ panowie ci prawie wszyscy tutaj je-dnacy.

„Książę wysoce ceni doktora, mówi o nim w jak najprzychylniejszych wyrazach: „To człowiek czysty jak złoto“, — rzekł do mnie wczoraj, „godzien bezwarunkowego zaufania“. Pomimo to zdaje mi się, że książę przywiązany do niego, jedynie dla tego, że doktor nie jest Prusakiem, ale Hanowerczykiem, synem małego urzędnika przy dworze króla Jerzego, który go wychowywał swoim własnym kosztem, bo doktor w bardzo młodych latach utracił był rodziców. Naturalnie nie można go obwiniać, że w czasie wojny 1866 roku doktor bił się przeciw nam jako ochotnik. Wutarczce pod Langenzalca — jak wiesz kochana mamó, że o kilka mil ztąd — był ranny i następnój wiosny wstąpił w służbę księcia, który się znajdował prawie w tém samym położeniu jak i nieszczęśliwy król Jerzy, i również nie może się oswoić z myślą, że dziś już nie jest niezależnym panującym. Ale co o tém, to pomówimy później, jak sama tutaj przyjedziesz, pytanie to jest niestychanie delikatném i bardzobym sobie życzyła, żeby Henryk okazał pod tym względem więcej taktu. Wiesz jednak, że on nie zaleca się zbyt czułą delikatnością, z tego więc powodu rozmowa dwa lub trzy razy brała już bardzo przykry obrót, a Jadwiga była wszystkiego przyczyną, ona tak źle jest usposobioną przeciw Prusom, jak gdyby w r. 1866 sama co najmniej straciła koronę.

„To jest bardzo przykra oznaka w Jadwidze, dzięki której nie możemy nigdy dojść do przyzwoitych stosunków.

„Możesz być przekonaną kochana Mamó, że ani na jotę nie odstąpiła od naszej umowy, ale naprawdę z nią nie można nic poradzić. Rozpoczęłam z nią jak siostra na „ty“ i każdą razą całujemy się wstając rano i żegnając wieczorem. Ale zdaje się, że to nie sprawia jój żadnego miłego wrażenia, — biedna, straciła całą swoją dumę.

„Żał mi bardzo kochanego starca księcia; naprawdę, przecież nie dla tego zdecydował się on na taki mezalians, żeby mu wynagradzano czarną niewdzięcznością, żeby po całych dniach nie usłyszeć od żony (jeżeli ją można nazwać jego żoną) ani jednego łaskawego słowa, żeby nie widzieć ani jednego przychylnego spojrzenia. Zauważałam to doskonale i gotowam przysiąc, że książę choć nie widzi nic innego jak tylko oburzającą niewdzięczność, nie mógłby być dla niej uprzejmiejszym, gdyby była nawet księżną krwi i gdyby za nią był odziedziczył nawet królestwo.

„Rzeczywiście droga mamó, że jak dla nas, sprawy nie mogą się lepiej układać, struna za nadto wyciągnięta musi pęknąć; wczoraj wieczorem wróciwszy do domu mówiłam o tém Henrykowi, ale on się uniósł i odpowiedział mi przycinkami. Cóżem ja tu winna?

Henryk powinien mi być wdzięcznym za to, że nigdy nie zważała na jego słabość dla Jadwigi. Wprawdzie nie ma on sposobności poddać się dawnemu uczuciu, bo Jadwiga względem niego trzyma się zimno. Co prawda, to ona jednakowa ze wszystkimi. Z doktorem naprzykład zupełnie nie mówi. Bóg wie co on jej mógł zawinić! Być może, że jest zazdrosną o miłość księcia dla niego; być znowu może, że nie chce mu darować miłości do jednej ubogiej dziewczyny, córki radcy księcia, dosyć brzydkiej, na domiar jakem słyszała, dziewczyna ta zaręczona jest z niejakim panem von Cejzlem, kamerjunkerem księcia, dla którego ona więcej przystoi, jak dla mojego doktora.

„Widzisz więc kochana mameczko, że ja tutaj już zupełnie wzięłam się i oswoiłam. Wreszcie to jest nieuniknionem, bo przecież czy prędzej czy później przyjdzie mi tu gospodarzyć. Nagwarzywszy się dowoli z moją kochaną mamą, dzwonię na Zofię, — czas ubrać się, bo mam ochotę wyjechać na godzinkę. Czekam tylko na doktora, ale widzę jakos się nie spieszy, może się spotkam z nim w drodze, bo wiem gdzie pojechał.—P. S. Zaledwim odesłała Zofię po powóz, przyszedł doktor i miałam z nim znowu długą, bardzo interesującą rozmowę. Ale wyobraź sobie mój przestрах droga mamó; doktor chce ztąd wyjechać! w wigilią naszego tu przyjazdu podał urzędową prośbę do księcia o uwolnienie, szczęściem że książę jej nie przyjął. To zmusiło go naturalnie zostać; został, ale jak mi oświadczył, że tylko kilka dni myśli przedłużyć swój pobyt. Na to mu natychmiast odpowiedziałam, żeby nawet myśl o tém porzucił, że tylko na niego liczymy, i że nie może wreszcie zostawiać bez pomocy kobietę, która się znajduje w takim jak ja położeniu. Rozumie się samo przez się, że żywe moje wystąpienie, a rzecz nawet mogę, napad na doktora, nie pozostały bez skutku. Tacy ludzie nie umieją nigdy oprzeć się kobietom, trzeba tylko wiedzieć jak się wziaść do nich; dał mi tedy słowo, że nie odjedzie dopóty, dopóki mi nie zaprezentuje godnego siebie następcy — ale ja ani myślę przyjąć jako jego zastępcę, starego i głupiego doktora powiatowego, oprócz tego zauważyłam, że doktor ma prześliczną małą arystokratyczną rękę. To pradiwy fenomen. Ale otóż wraca i kalwakata. Słyszę jak galopują po moście! A ja muszę sobie odmawiać tej przyjemności! Tém mi jest boleśniej i przykrzej, że Jadwiga używa jej do woli. Ona jeździ nie źle, ale ma się rozumieć, nie tak dobrze jak ja, chociaż robi wielkie rzeczy ze swęj jazdy konnej; zapewniała mię, że nie mogłaby przeżyć dnia jednego, żeby nie poświęcić paru godzin tej zabawce. Boję się, czy mi nie trudno będzie bez względu

na moją szczerłość odgrywać tę rolę, której postanowiliśmy się trzymać.

„Żegnaj cię kochana mamo! Henryk powrócił i należy mi kończyć. Naturalnie że on się nie miesza do mojego listu, ale zawsze jakoś nie na rękę, jak się wie że on może wejść każdej chwili i niechcący zaglądnąć w to co piszę; u Henryka taki bystry wzrok. Do widzenia.“

Hrabia wszedł i skierował się prosto na balkon, tam oparłszy się na poręczu patrzył na góry i na ogród.

Po kilku minutach wrócił dopiero do pokoju.

— Niezwróciłem na ciebie uwagi, mówił do żony.

— Prawdziwie, że nie widzieliśmy się od wczorajszego wieczora, zauważyła żona zaklejając kopertę.

— W istocie, odpowiedział hrabia, zmęczyłaś się wczoraj, ja również.

— Ale jakżeż to się stało, żeś się tak rozgniewał na swoją żonę, ciągnęła dalej Stefanija, wstając i kładąc głowę na ramieniu męża.

— Rozgniewał się? odparł zdziwiony hrabia, patrząc na jasne włosy swej żony, Bóg z tobą! być może żem się trochę unióś ale naturalnie że nie rozgniewał. Nawet już zapomniałem o co spór poszedł. Ach! prawda, tyś napomknęła o stosunku starego księcia do Jadwigi i napomknęłaś bardzo niezręcznie. Zdaje mi się, że przez prostą delikatność należy nam się wstrzymywać od wszelkich komentarzów.

— No, ależ zdaje mi się, że był czas, gdzieś i ty nie szczędził komentarzów w tym samym sensie, zauważyła Stefanija siadając w krześle.

— Był czas, odpowiedział hrabia, ale na wszystko jest czas. Teraz jesteśmy tutaj gośćmi i zwykła przyzwoitość wymaga, żebyśmy się zachowywali uprzejmie i delikatnie względem gospodarzy.

— Sądzę, że mię nie można pomawiać o brak uprzejmości i delikatności.

— Już to jesteś uprzejmą, ani słowa, ale nie tak jakby należało, ciągnął dalej hrabia przechodząc się po pokoju. Powiem ci nawet otwarcie Stefanijo, że uprzejmość twoja wcale mi nie do smaku. Co zaś do twój delikatności, to ta już wyraźnie jest przesadzona. Ty przesądzasz księcia; bez względu na jego dziwactwa; człowiek to dobrze wychowany i z wielkim taktem. Nie należy tak jawnie starać się o jego względy. Tem bardziej żona moja nie powinna tego czynić z dwóch powodów: po pierwsze, dla tego że jest

moją żoną, wszak pojmujesz co chcę przez to powiedzieć; powtóre, że jego żona, bo chcesz czy nie chcesz Jadwiga przecież zawsze jego żona; mówię tedy, żona nie przyzwyczaiła go do takiej uprzejmości, daruj mi wyrażenie, i dla tego to zdaje mi się, że rozpoczynasz z nią bardzo niezręczną konkurencyję.

— Jak ty interesujesz się Jadwigą?

— Przeciwnie, toba; bo chciałbym żeby postępowanie twoje było zawsze taktownem. Z Jadwigą także jesteś wymuszenie grzeczną; a tym sposobem jej nie ujmiesz, nie zniewolisz do zapomnienia, żeś dawniej obchodziła się z nią rozkazująco; nieraz bez litości dawałaś jej uczuwać zależność jej położenia. I powiedz sama, czyś dotąd doświadczyła od niej cośkolwiek innego, nad zimną grzeczność? Zgodzisz się ze mną, że musi mi być przykro patrząc na to.

— No, ależ proszę kończ; może ja też jestem za uprzejmą i dla drugich: dla p. von Cejzla, dla doktora, dla....

— Szczerze mówiąc, tak jest, a szczególnie dla doktora i tutaj znowu trafiłaś nie na twego człowieka. On nie cierpi nas, pruskiej arystokracji, podwójną nienawiścią: Hanowerczyka i demokraty. Naturalnie że nie widzę dobrego powodu płacić mu tem samem i wiem że mi nie sprzyja, chociaż więc zmuszeni jesteśmy spotykać się codziennie, chciałbym nie zaciągać względem niego żadnego długu wdzięczności. Właśnie o tem chciałem z tobą pomówić. Piszesz zdaje mi się do matki; zechcesz więc nadmienić, że powróciłem do naszego pierwotnego planu i że proszę ją, o przywieszenie z sobą tajnego radzcy.

— Zmiłuj się! zawołała Stefanija, rzeczywiście przestraszona, przybycie tajnego radzcy może obrazić i księcia i doktora. Tem więcej, żem już mówiła o wszystkim z doktorem przed godziną.

— Dla czegożbyś nie miała mieć tutaj dwóch doktorów, tak jak w Berlinie. A teraz moja przyjaciółko do widzenia, muszę się oddalić. Chciałbym pojechać przed obiadem, nie daleko ztąd, gdzie jest do sprzedania para prześlicznych koni. Zupełnie mi nie na rękę, że musimy jeździć ciągle kołmi księcia, swoich nie chce mi się sprowadzać. Sam nie wiem, może niedługo trzeba będzie powracać do Berlina. Do widzenia moja droga, wszak wypełnisz moją prośbę, nieprawdaż?

Hrabia dotknął lekko ustami czoła żony i wyszedł. Stefanija siedziała nieruchomo w krześle, jak zazwyczaj po każdej scenie z mężem. Przekonała się, że hrabia jest gotów znowu kochać się w Jadwidze i że podejrywa ją o zbytne interesowanie się dokto-

rem. Pierwsze ją gniewało, drugie radowało i sama nie umiała sobie zdać sprawy, które z tych dwóch uczuć odniesie zwycięstwo.

Że hrabia był namiętym wielbicielem niewieścich wdzięków, wiedziała o tém dobrze; ale jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło się jej, żeby ją hrabia o kogobądź podejrzewał, chociaż powodów nie brakło, podejrzenie więc to, o którym się dziś dowiedziała, wydało jej się bardzo dziwném.

Nie wypełnić woli hrabiego nie było podobna; nie można było sprzeciwiać się mu bezkarnie. Za to z drugiej strony Stefanija miała nadzieję wynagrodzić sobie rozczarowaniem ładnego doktora. Myśl ta wydała się jej tak pociągającą, że bez rozdrażnienia w drugim P. S. zawiadomiła matkę o życzeniu męża i przy obiedzie puściła znowu w obieg swoją uprzejmość, którą hrabia miał za niestosowną a ona za czarującą.

ROZDZIAŁ VIII.

Dla poparcia swojego zdania Stefanija mogła się odwołać do księcia, który zdawał się być bardzo ujęty jej grzecznością; książę więc był pierwszą osobą, inne nie wchodziły w rachubę.

Przy obiedzie książę ciągle zwracał się do niej i z całą grzecznością przysłuchiwał się jej szczebiotaniu. Uśmiechał się na jej żarty, wprawdzie uśmiechał się swym cichym, z lekka ironicznym uśmiechem, ale zawsze się uśmiechał; bez ustanku bronił jej dość nielogicznych dowodzeń; dziękował za to, że wieczorem była łaskawa odegrać kilka nowych sztuk, pomimo, że jej lekka muzyka z trudnością mogła się podobać takiemu znawcy, jakim był książę. Oprowadzał ją sam po galeryi obrazów, objaśniał różnice stylów, szkół i malarzy, chociaż widocznie w malarstwie znajomość jej była jeszcze mniejszą jak w muzyce. Posunął nawet swoją uprzejmość aż do przysłania jej kilku pięknych sztychów ze swej bogatej kolekcji, a nawet kiedy jej maleńka angielska suczynka „Lady“ pogryzła jedną bardzo kosztowną rycinę, książę obrócił wszystko w żart, chwalać nawet psinę za jej wytworny smak.

Jego szczególną troskliwość wywoływał stan Stefanii, który dla niej nie był zupełnie uciążliwym. Jeżeli trzeba było wejść na schody lub zejść z jakiego stopnia, to albo sam natychmiast ofiarowywał jej

rękę, albo posyłał którego ze swoich dworzan; Stefanija zaledwie przebaknęła, że mieszkanie w pokojach pierwszego piętra wychodzących na ogród musi być bardzo przyjemne, a ksiązę natychmiast kazał je przygotować i usprawiedliwił swą niezręczność że dotąd sam o tem nie pomyślał.

Stefanija trochę się upierała, ale nakoniec przystała, tembardziej że hrabia nie miał nic przeciw temu; lecz jakżeż się przeraziła, gdy Henryk ze swej strony prosił o pozwolenie zostania na górze, gdzie jak mówił bardzo mu dobrze.

Przyszło jej na myśl, że hrabia właśnie dla tego zostawał na górze, żeby być bliżej Jadwigi; rzeczywiście jego pokoje oddzielała od pokojów Jadwigi tylko tak zwana czerwona baszta, z której kręcone schody wiodły w oddaloną i samotną stronę ogrodu. Stefanija byłaby bardzo rada zrzec się niższego piętra, ale że wszystkie przygotowania były już poczynione, należało więc zostać. Z tego powodu dreczona była prawdziwym gniewem, to też na przechadzce poobiedniej z księciem, nie wytrzymała i otworzyła serce pełne żalu, żalu jakkolwiek nie gwałtownego, ale w którym zawsze widocznymi były cierpienia kobiety kochającej nad wszystko w świecie, żyjącej tylko dla niego, w chwili — kiedy ten niewiele dbał o nią.

— Francuzi doskonale określają podobnego rodzaju stosunek, kończyła Stefanija swoją jeroimiadę; mówią: jeden kocha, a drugi pozwala się kochać.

Ksiązę pochmurniał.

— Rzeczywiście to bolesne, zauważył, ale należy się przyzwyczaić do wszystkiego: któż i co na świecie nie jest zmienném.

— Tak, ty pierwszy Mości ksiązę.

— Ja? dla kogo?

— Dla wszystkich.

— Dla wszystkich — to bardzo nie jasne, to za ogólne. Jabym się obszedł bez całego świata, gdybym był drogim, jednej osobie na świecie.

— Nie będę mówiła o sobie, o nas, ciągnęła dalej Stefanija, ależ Jadwiga....

— Przyszłość Jadwigi zabezpieczona.

— Ależ tu mowa nie o przyszłości! zresztą czyż jest osoba, o którejby W. K. M. nie myślał? Dla tego też i Jadwiga — ale nie, nie potrafię mówić o tém!

— Mów pani! mów pani! Ja częściej myślę o śmierci, jak się pani zdaje i nie przedstawia mi się ona w kolorach znowu tak strasznych. Pani mówiłaś coś o Jadwidze?

— Chciałam właściwie powiedzieć, że Jadwidze na wypadek nieszczęścia o którym nawet myśleć nie chcę, my zostajemy; a my ją tak kochamy.

I miłość wasza znajduje wzajemność? zapytał księżę z ironicznym uśmiechem.

— Rzeczywiście odpowiedziała Stefania, Jadwiga trochę tajemnicza, trochę zamknięta; trudno odgadnąć czy komu sprzyja, czy nie, i prawdę mówią, nikt z nas nie może się poszczycić jej uprzejmością z wyjątkiem naturalnie Henryka.

— W rzeczy samej, mówił księżę zatrzymując nieruchomo wzrok na Henryku i Jadwidze, którzy już od kwadransa stali obok siebie na oddalonym tarasie i patrzyli w głąb parku.

Hrabia zdawał się mówić o czemś żywo; giestykulował rękami, wreszcie zeszedł z tarasu i zniknął za żywym płotem.

W samej rzeczy, powtórzył księżę.

— Tak, ciągnęła Stefania, i to łatwo pojąć. W ich charakterach tyle podobieństwa. Nieboszczyk ojciec zawsze mówił, że Jadwiga powinna się być urodzić mężczyzną i że byłby z niej żołnierz wyborny. W niej jest męztwo, niepodobna temu zaprzeczyć, a ponieważ Henryk ten przymiot stawia nad wszystkie inne, bardzo jest naturalnym, że kiedyś czuli pociąg jedno do drugiego. Nieboszczyk ojciec często mię tem prześladował. A droga i kochana moja matka, nawet się o to gniewała. Co do mnie, żartowałam sobie z tego wszystkiego. Mój Boże! wszakże wam mężczyznom niepodobna nie uganiać się za gładkimi kobietami. Czyż miałybyśmy już dla tego wyplakiwać oczy? Taby było prawdziwą niedorzecznością. Nie — zupełnie nie — będziemy patrzyły na to przez szpary, albo nawet zupełnie zamkniemy oczy, przecież dobrze wiemy, że luby zdrajca zawsze do nas powróci. Jadwiga posiadała wszystko czego tylko mogło żądać jej serce, tak i Henryk nie ma się na co skarżyć... Ale cóż to W. K. M.?

— Zdaje się, że ktoś tam krzyczy? Mówił księżę wypuszczając rękę Stefanii; podszedł do balustrady tarasu i spoglądał w park.

— Ja nic nie słyszałam, odpowiedziała Stefania.

W tej chwili wyraźnie dał się słyszeć krzyk kobiecy,

Mój Boże! co tam takiego? zawołał księżę, zbiegając po krętych stopniach tarasu z szybkością, o którąby go nikt nie posądził w jego wieku; dwóch lokai wybiegło z wyższej części ogrodu. Stefania sama nie wiedziała co począć — czy biédz za księciem, czy upaść na pierwszą ławkę i tam czekać na wyjaśnienie tego dziwnego krzyku.

Po niedługim namyśle zdecydowała się na drugie i była nie tyle przestraszona, ile zdumiona: że Henryk mógł być tak nieostrożnym.

Chcąc nie chcąc Jadwiga musiała zostać z hrabią, który zbliżył się do niej po obiedzie. Rozumiała ona, że podobne spotkania były nieuniknione i że surowe postawienie się z jej strony, mogło być powodem wszelkiego rodzaju domysłów. Prócz tego dręczyła ją myśl, że wracając z bażanciego dworku rozmowa z nim zawiodła ją za daleko. Uniosła się wtedy, gdy jej należało być zimną, mówiła z uniesieniem wtedy, gdy delikatna ironija była więcej na miejscu. Uznawała się winną za to, że rozmowa przyjęła tak drażliwy obrót, że pozwoliła hrabiemu dojść do przewagi nad sobą; hrabia człowiek śmiały, naturalnie, że z tej przewagi korzystał.

Była przeto zdziwiona, gdy hrabia podszedłszy do niej z właściwą sobie swobodą, zaczął rozmowę o strategiczném położeniu zamku.

— Nie ma potrzeby zazierać do kronik, mówił, żeby być pewnym, że zamek zbudowany jest w chwili, w której jeszcze nie egzystowała broń palna i kiedy skała, oddzielona od otaczających gór szeroką rzeką, stanowiła zupełnie bezpieczną warownię.

— Mnie zamek taki na obronnej skale przypomina zawsze zakutego w stal rycerza, na zakutym w stal koniu.

— Przecudowne porównanie, podchwycił hrabia żywo. Bardzo naturalnie; do takiego szermierza niepodobna było przystąpić z żadnej strony, miał więc czas i łatwość pokonania całego tłumu niewyćwiczonych i źle uzbrojonych piechotyńców. Zamek taki wskrzesza przed nami wieki średnie, z prawem pięści dla rycerzy, z chwiejną polityką małych dynastyj, z prawem ubiegania miast i zamków i z innymi charakterystycznymi rysami, harmonizującymi najzupełniej z czasem, bo wtedy były one naturalnemi, dziś mogą tylko śmiech obudzić.

— Wieki średnie o ile mi się zdaje są wielce cenione przez szlachtę — odpowiedziała Jadwiga.

— Tak, ale tylko przez szlachtę, odparł hrabia z żywością, — która niczego się nie nauczyła, ani też nic nie zapomniała; przez szlachtę, która całą swą lekkomyślność chce nam wystawiać jako heroizm mogący podnieść ją w oczach wykształconych ludzi, a koniec końców ta szlachta walczy przeciwko własnemu gmachowi i własnej krwi. Dla osobistego celu nie należy się cofać przed żadnym środkiem.

— Jakto? czyż należy nawet poświęcić własną godność?

— Godność nasza nie ma tu żadnego znaczenia, jeżeli naszym zamiarem jest łączyć to, co i bez jej poświęcenia byłoby nierozłącznie związanem.

— Naprzykład? zapytała Jadwiga.

— Weźmy naprzykład środki i cel, jakem dopiero co mówił!

— To jest?

— To jest, gdybyśmy chcieli utrzymać naszą pozycję — a któż tego nie życzy sobie? Należy wtedy się połączyć, jak teraz naprzykład wszyscy łączą się pod jedną firmę, pod którą wspólnie moglibyśmy pracować na korzyść naszych wspólnych interesów i prowadzić je tak, jak interesa firmy; tylko pod tym warunkiem rozumie silne państwo....

— Myśl... trochę kramarska na panującego grafa.

— My Sztejnburgi — nie byliśmy nigdy udziałnymi panami — odpowiedział hrabia, — a gdybyśmy nawet i byli — nie nazwałbym tej myśli kramarską, ale przeciwnie polityczną rachubą, zrzeczenie się zewnętrznej formy, do której nie przywiązane jest żadne prawo własności. Rok 1866 pokazał najdowodniej, jaki los czeka tych, dla których nauka historii przechodzi bezkorzystnie. Nie żałuję zupełnie ludzi, którzy nic nie dostrzegają, chociaż ich Bóg oczami obdarzył.

— Ależ przynajmniej tego starca, u którego gościem jesteśmy, dla tych samych przyczyn wartoby było oszczędzić, odpowiedziała Jadwiga.

— A! rozumiem co pani chcesz przez to powiedzieć, zaczął hrabia — i serdecznie żałuję, że tak jasno traktowałem o politycznych sporach, które tak często u nas mają miejsce. Powiedźże pani sama, czy mogę być bezstronnym, wysłuchawszy doktryny księcia, które i pani z nim jak sama mówisz podzielasz? Niech i tak będzie; gotówem wierzyć, że pani sprawia prawdziwą przyjemność, drażnić mnie przeczeniami. Przypuszczam, że pani zarówno kocha wolność i Austryję, chociaż mnie się zdaje niepodobnym takie łączenie. Pozwalam jednakże damom rządzić się sentymentalnością w polityce, jak również nie mam nic przeciwko takiemu człowiekowi jak doktor, który jest republikaninem, bo idzie za popędem własnego serca. Ludzie jego kraju wstają wśród tej kasty, która całe wieki przeżyła w odrętwieniu.... we śnie. Nie mówię, żeby to było winą tej kasty, ale tak jest a nie inaczej. Możnaż zatem wymagać, ażeby w chwili, gdy się ci ludzie obudzą i przetrzą oczy, spostrzegli świat w takich kolorach, w jakich jest istotnie? Żeby snów swoich, którym głowa rozmażona, nie brali za rzeczywistość? Co zaś do księcia rzecz się ma inaczej. *Noblesse oblige*. Taki człowiek jak książę, który ród swój wywodzi ze starożytnego domu, znanego dobrze w hi-

starycznym rozwoju życia Niemiec, — taki człowiek obowiązany jest zostać na wyżynie przechodniego momentu, obowiązany jest rozumieć stan rzeczy. Cóżby się było zrobiło z księciem, gdyby był w 1866 roku, licząc na swoje pozorne siły, postąpił jak owi zaślepieni waryaci i chciał zatrzymać koło historycznego prądu? To koło byłoby go zgmiotło, jak zgmiotło innych. A przecież on jest głową mojego domu! Byłoby niesprawiedliwością żądać odemnie, żebym patrzył spokojnie na wykreślenie ze złotej księgi szlachectwa, takiego imienia jak nasze, a co gorsza, żebyśmy je byli wykreślili własnymi rękami.

— Hrabia mówił prędko i gorąco. Jadwiga zrozumiała po raz pierwszy, że człowiek, którego przymioty tak kiedyś oczarowały jej młode serce, był głęboko przekonany o prawdzie swego poglądu na świat. Prawda ta była diametrycznie przeciwną tej, którą ona uznawała za rzeczywistą; tej, którą ujrzała i pojęła w swych długich, serdecznych rozmowach z Hermanem.

Pytała więc sama siebie, jakby postąpił na jej miejscu Herman; mówiła: to, wróg nasz, jeden z najzaciętszych naszych wrogów! A mimo to, że wróg ten z taką pogardą mówił o swych przeciwnikach, ona nie mogła mu odpowiedzieć pogardą, nie mogła odmówić mu względów, jakie w niej zawsze obudzały silne i energiczne charaktery.

— Pani nie odpowiadasz? zaczął znowu hrabia. — Nie przekonałem pani, wiem o tem dobrze; słowem, uważasz mię pani za niegodnego odpowiedzi. Mimo to nie ustąpię z pola. Kobiety takie jak pani, odznaczające się nadzwyczajną delikatnością uczucia, widzą otaczający nas świat, choć często w smutnych, ale rzeczywistych kolorach; takie kobiety niech co chcą mówią, będą zawsze sercem, po stronie siły i władzy. A wierz mi pani, że siła i władza do nas należy. — Jednakże, gdzieżeśmy to zaszli?

Znajdowali się oni na ścieżce okalającej taras ogrodu, pomiędzy prostopadłą skałą a brzegiem Rody, która w tém miejscu będąc bardzo głęboką, szemrała cicho swym ciemnym i przeźroczystym nurtem. Z tej strony rzeki widać było pagórki jeleniego parku, zarośnięte krzewami; park zdawał się być nieogrodzonym.

Jeden tylko wązki mostek, położony nieco dalej, prowadził do myśliwskiego domku, zamykał się żelaznymi kratowemi drzwiczkami. Ścieżka wykuta w tem miejscu w skale, była tak wązką, a spadistość ku rzece tak gwałtowną, że przechodząc, trzeba się było prawie przeciskać.

— Zdaje się, że ścieżka się tu kończy — mówił hrabia przezywając trwające od kilku minut milczenie.

— Tak się tylko zdaje, odpowiedziała Jadwiga. Ona gwałtownie zwraca się u tej skały; nazywamy ją łabędzią. Trochę dalej naprzeciwko grot, druga ścieżka prowadzi nazad do ogrodu.

Jadwiga szła szybko naprzód, hrabia szedł za nią.

— Odważny i silny mężczyzna, mówił — mógłby tu cały pułk zatrzymać. Zaledwie skończył te słowa, gdy z za skały wypadł ogromny jeleni i ujrawszy idących, zchylił swe olbrzymie rogi a podniosłszy znów głowę uderzył nimi o skałę.

— Patrzcie, to widzę nie żarty — rzekł hrabia . . .

— To stary Hans, zauważyła Jadwiga, idąc dalej; on mi nic złego nie robi, starzy my przyjaciele. W tej chwili rozdrażniony zwierz głucho beknął i pochyliwszy jeszcze niżej rogi, rzucił się na ich spotkanie.

W jednym mgnieniu oka hrabia, usunawszy na bok Jadwigę, stanął przed zwierzem i krzyknął w nadziei przestraszenia tem olbrzyma . . .

Lecz jeleni bardziej się jeszcze krzykiem tym rozszrotył. Grzywa mu się najeżyła, oczy nabiegły krwią; usunął się na dwa kroki, dla zrobienia powtórnego straszliwego skoku.

— Na Boga — Jadwigo, ratuj się! krzyknął hrabia, rzucając się na spotkanie jelenia i tym sposobem uprzedzając jego napad . . .

Ten ruch zrobił tak szybko i tak zręcznie pochwyił jelenia za rogi, że spełnienie jego zamiaru zrzucenia zwierza z wąskiej ścieżki w rzekę — zdawało się w tej chwili prawdopodobnym. Ale to przypuszczenie trwało tylko chwilę, olbrzymia siła zwierza odniosła zwycięstwo, nad rozpaczliwym oporem człowieka. — Jeleni z taką łatwością pokonał przeciwnika, jakby istotnie miał do czynienia z dzieckiem; przycisnął go do skały, jakby go chciał do niej przykuć. Jadwiga nie mogła dłużej znieść tego straszliwego widoku. Krzyknęła więc rozpaczliwie; razem z krzykiem rozległ się strzał krótki, urwany. — Jeleni podskoczył gwałtownie w górę, rzucił hrabiego pod nogi Jadwigi i padł bez tchu na ziemię. — Z drugiej strony rzeki, na brzegu łączki ukazał się Prohatic w myśliwskim ubraniu, w rękę miał jeszcze dymiącą od wystrzału dubeltówkę.

Zabity? zawołał.

Jadwiga nie odpowiedziała.

Kłęcząca ona obok hrabiego, który blady nie dając znaku życia, leżał u nóg jęj.

— On zginął w męj obronie, szeptała Jadwiga. — Podniosła jego głowę, z której spadł już wojskowy jego kaszkiet i usiłowała nawet podnieść go samego. Patrząc na wybladłą jego twarz, która spoczęła na jęj piersi, myślała jakie okropne byłoby jęj cierpienie, gdyby była jego żoną. Uczucie przestachu zniweczyło w jęj myśli całą rzeczywistość, zdawało jęj się, że wszystko koło niej znikło i że z tym trupem sama jedna została na świecie. Lecz sen ten na jawie, nie trwał długo. Po bladém obliczu hrabiego przebiegł nerwowy dreszcz, powieki się podniosły i nieruchomy wzrok utonął w jęj twarzy.

Hrabia przez tę minutę odczuł tyle, ile odczuła Jadwiga.

Przychodząc do siebie z omdlenia, widział tylko tę czarownicą kobietę, trzymającą go w swoich objęciach. On ją tylko widział. Zdawało mu się, że w owalu cudownym tęj nadziemsko-pięknej twarzy zawarte było szczęście całego świata.

Wreszcie spostrzegłszy powalonego zwierza i usłyszawszy słowa Jadwigi „co tu teraz począć?“ hrabia przypomniał całe zdarzenie, a przypomniawszy, odzyskał siły. Chciał powstać, ale dopiero przy pomocy wysmukłego człowieka, w którym dopiero teraz poznał leśniczego Prohatica, mógł to uskutecznić. W tęj chwili z za skały wybiegło dwóch lokaj, którzy, żeby się dostać do hrabiego, musieli przeleźć przez cielsko zabitego i leżącego w poprzek drogi jelenia. Nakoniec ukazał się i książę. — Był bledszy jak zwykle, już to w skutek szybkiego zbiegania ze schodów, już to od silnego wewnętrznego wzruszenia; ponuro spojrzął na dziwny obraz, którego sobie wytłómaczyć nie mógł i urywanym głosem pytał, co się stało.

Hrabia o tyle już przyszedł do siebie, że sam się wziął do opowiadania.

— Rzecz mogła się być zakończyć daleko gorzej, bez wątpienia nawet byłaby się bardzo źle skończyła, gdyby Prohatic nie był się zjawił na czas; przyznać należy, że Prohatic dał taki strzał, jaki może być tylko porównany ze strzałem Wilhelma Tella.

Mówiąc to hrabia, chciał wyciągnąć rękę do Prohatica, ale dopiero wtedy zauważył, że zaledwie poruszyć nią może, była bowiem zgniecioną albo podczas walki, lub stłuczoną w upadku.

Tymczasem służący zabrali się do uprzątnięcia zabitego jelenia z drogi i do strącenia go z wysokiego brzegu w wodę.— Nadbiegł w tęj chwili trzeci lokaj, ale ten tak gorąco wziął się do

pomagania swym towarzyszom, że o mało sam nie wpadł w wodę za jeleniem. Zwierz padając w rzece, wszystkich obryzgał, co wzbudziło powszechny śmiech. Mimo to jednak ponury nastrój spowodowany tym wypadkiem, trwał jeszcze. Książę był jak nieswój. Jadwiga milczała. Stary Prohatic po cichu usunął się przez mostek. Sługi szeptaiąc, szli za państwem. Jeden hrabia, odmówiwszy wszelkiej pomocy, był rzeźwiejszym od wszystkich. — Wesoło rozmawiał o całym zdarzeniu, choć mu to przychodziło z widoczną trudnością.

Przypominał nawet podobne temu zdarzenie pewnego księcia, jego przyjaciela: ów książę był napadnięty przez odyńca, który go o mały włos życia nie pozbawił. Wprawdzie było to na polowaniu, gdzie każdy jest przygotowanym do podobnych wypadków. Ten zaś dzisiejszy stary waryat, słusznie tak drogo opłacił swój chwilowy gniew, napadając na bezbronno przeciwnika.

Hrabia ani jednym słowem nie dał do poznania, że jeleni rzucił się wprzód na Jadwigę, że on mógł się z łatwością ocalić, skoczywszy w wodę, albo cofając się parę kroków w tył na schody.

Jadwiga poczuwała się do obowiązku sprostowania rzeczy i opowiedzenia prawdy, jak było istotnie, nie wiedziała tylko jak tu zacząć, milczała — i czując drażliwość własnego milczenia, mięszała się bardziej a bardziej.

Tymczasem Stefanja zostawiona w ogrodzie, była tak przestraszona krzykami, bieganiem lokai, a wreszcie wystrzałem, że postanowiła wezwać na pomoc Hermana, który w tej chwili zszedłszy do ogrodu, chciał przebiec koło niej nie zatrzymując się.

— Być może, że pomoc moja potrzebniejsza tam na dole, mówił Herman do Stefanji, która rzuciła mu się w objęcia, udając omdlenie; chciał ją już zostawić na ławce, ale w tejże chwili ozwał się głos hrabiego.

— Daruj mi, przebacz droga Stefanjo.

— Boże mój, zawołała Stefanja podnosząc się i podbiegając do hrabiego, cóż się stało? co ci jest?

— Nic zatrzważającego, odpowiedział hrabia, szalony jeleni tak się rozprawił z moją ręką, że ci jej podać nie jestem w stanie, nawet jestem zmuszony prosić naszego kochanego doktora o wzięcie mnie w opiekę — choć przyrzekam, że jej długo nadużywać nie będę....

Resztę dnia towarzystwo przepędziło każdy osobno. Herman zabronił hrabiemu wychodzić, który życzył sobie zostać z kamerdynerem. Książę również oświadczył, że potrzebuje spokoju, panie

także nie czuły się w usposobieniu zwierzać jedna przed drugą, z wrażeń jakie im pozostały po tym wypadku!

— Wiesz pan co, doktorze, mówił von Cejzel, który tylko co dowiedział się o tém co zaszło, powróciwszy z pobliskiej włości, gdzie jeździł za kupnem koni dla hrabiego, wiesz co doktorze, to nader głupia sprawa. Rzeczy szły jak najpomyślniej; ze zjawieniem się hrabiego, człowieka pełnego humoru, życie ożywiło nasz martwy zamek, sam książę mówił, że rzeczy szły jak najlepiej, nowe życie miało się rozpocząć, prawdziwe dworskie życie, które ma tyle wdzięku i o którym ja zawsze marzyłem.... Przewertowałem całego Malortie'go „Mistrza ceremonii“ i wiem dziś na pamięć, jakiej się należy trzymać etykiety, w czasie obiadów, koncertów, balów, przedstawień etc. Tysiące nowych planów miałem w głowie, a teraz po tym nieszczęśliwym wypadku, towarzystwo znów się rozerwie, trzeba będzie znowu zostać pustelnikiem. To mnie do rozpacz doprowadza! Widziałem przed chwilą księcia: strasznie przygnębiony; waleczny hrabia przykłada zimne kompresy na rękę, hrabina zapewne przykłada je na oczy; a żona księcia, sam nie wiem co już o niej powiedzieć. Ale i u ciebie doktorze, jakaś dziwna mina. Pójdę do Iflerów. Czy nie poszlibyśmy razem?

— Ja nie mogę.

— To niech cię tam Pan Bóg sekunduje, zostawaj — radzę żebyś nie tracąc czasu pomyślał nad wynalezieniem lekarstwa na melancholię i żebyś sam rozpoczął od zażycia dobrej dozy. Śmiejąc się Cejzel wyszedł z pokoju. Herman także się rozśmiał, ale równocześnie spojrzął na okna Jadwigi, w których przez opuszczone franki błyszczało jeszcze światło, uderzył się ręką po czole i rzekł:

— To prawdziwie nie do przebaczenia, żem ja dotąd tutaj!

Jadwiga w tej chwili siedziała przy stoliku i pisała:

„Nie mogę zasnąć nie wypowiedziawszy wprzód panu, co mi cięży na sercu. Dziś ocaliłeś mi pan życie. To coś pan zrobił, każdy inny zrobiłby na pańskim miejscu, faktu nie przesądzam, dość że miał miejsce. W każdym razie jest rzeczą przykrą, zaciągnąć dług podobny, tém bardziej, gdy się we własnem usposobieniu nie ma popędu do wdzięczności. Zdejm pan ze mnie to ciężące mi uczucie. Czy się pan poczuwasz do winy wobec mnie, sama nie wiem. Zdaje mi się, że się poczuwasz. Nie mogłabym inaczej wytłómaczyć sobie tej dziwnej rozmowy, którąś pan w tych dniach ze mną rozpoczął. A więc, zróbmy rachunek.

„Nic mi już pan nie jesteś winien i jam ci nie winna. Jesteśmy na czysto. Być może, że rzeczy jak najlepiej się ułożyły, ponieważ będziemy mogli spotykać się teraz, nie jak przyjaciele, nie jak nie-

nawistni — ale jak ludzie, którzy skończyli wszystkie z sobą rachunki; teraz każdy może iść spokojnie własną drogą.“

Jadwiga zapieczętowała list i chciała dzwonić na pokojową, ale przysłała jej myśl, że służącym może się zdawać dziwném, pisanie do hrabiego jeszcze tak późno.

„Czy nie lepiej będzie posłać mu książkę usposabiającą do snu i tam włożyć kartkę,“ pomyślała.

Ale duma jej została obrażoną tym brakiem odwagi, więc zadzwoniła.

— Czy August w przedpokoju? zapytała wchodzącej Mety.

— August prosił o pozwolenie do miasta, — odpowiedziała dziewczyna.

— A tyś mu w mojem imieniu pozwoliła?

— Myślałam — że W. K. M. nie będzie miała nic przeciw temu i...

.... Czy jest tam kto inny?

— Nie ma nikogo, odpowiedziała Meta — jękając się.

— Czy możesz znaleźć kamerdynera hrabiego?

— Tylko co był w korytarzu, odparła Meta żywo.

— Powiedz mu więc, żeby oddał ten list hrabiemu, odpowiedzi nie potrzeba.

Meta wzięła list i wybiegła z pośpiechem, chcąc uniknąć dalszych zapytań.

August był u niej, sprowadziła go na gawędkę z jej narzeczo-
nym Dytrychem.

— Cóż — zapytał Dytrych, po co cię wołano? — Pewnie o doktora?

— Co ty masz zawsze doktora na języku? spytała Meta.

— A więc do kogo, zapytał Dytrych, wyrывая zreczenie list z rąk dziewczyny.

— Jaki niedowiarek! zawołała Meta.

— Ciszéj, mówił Dytrych, mogą nas usłyszyć.

— Do hrabiego? Co ona może pisać? Nietrudnoby było otwo-
rzyć kopertę.

I oglądał list starannie.

— Czybyś śmiał, Dytrych?

— Czybym śmiał? odparł Dytrych. Głupia dziewczyno, wszystko można na świecie, tylko ostrożnie, — Wreszcie to — mało mię obchodzi. Co myślisz robić z tym listem?

— Kazano mi go oddać Filipowi, kamerdynerowi hrabiego.

— Daj mi, ja go oddam, mówił.

— Jeżeli chcesz, to oddaj.

Naturalnie, że oddam, mówił Dytrych. Dobrej nocy swawolnico....

I pobiegł przez korytarz.

Meta chciała go śledzić, ale w pokoju Jadwigi ozwał się głos dzwonka i trzeba było wrócić.

— Oddać czy nie oddać? rozmyślał Dytrych, zatrzymawszy się na zakręcie korytarza; w prawej ręce trzymał list, lewą przebierał guziki u kamizelki. Oddam coś mi do tego?

Jeżeli nie mogę wysledzić jakie ma tajemnice z doktorem, to przecież teraz już wiem z pewnością, że nocami pisuje do hrabiego. Jest w tem coś dla naszego staruszka.

(Ciąg dalszy nastąpi).



NIECIERPLIWA.

PRZEZ

Hugona Wróblewskiego.

Jakże samój smutno, Boże,
Oj weselój już w klasztorze,
Lepiej w murach żyć,
Samój nudno jest na świecie,
Tęskność dziwna pierś mą gniece,
Nie da sercu śnić.

O! ja na złość wszystkim zrobię,
Zamknę się w klasztornym grobie,
Niedam sercu nic;
Bo gdy śniłam w marzeń świecie
Nikt nie przyszedł po me kwiecie,
Nie pokochał mnie.

Ach już idę — mojej ręki,
I wzajemnej méj piosenki
Nikt nie weźmie już;
Już zamykam... jeszcze trocha,
Może przecie ktoś pokocha,
Da bukieleik z róż.

Jabym jeszcze kochać chciała,
Bardzo czulebym kochała,
Pókim w wiośnie lat;
Kochać pragnę, kochać tylko,
I rozkosznych mamień chwilką,
Pić miłości kwiat.

Przecież żądam tak niewiele,
Żeby wyrzekł ktoś „Aniele!
Tyś kochanką mą“;
A tu widzę o to trudno,
Nie zważają że mi nudno,
Że łązy w oczach drżą.

Może łezkę (kto zobaczy,
I przyjść może do mnie raczy;
I pokocha mnie;
Żeby przyszedł... o mój Boże,
Już nie myślę o klasztorze,
Tylko o nim śnię.

Studjum Socjologiczne

PRZEZ

BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO.

Plato i jego Rzeczpospolita.

I.

Plato urodził się w r. 429 ¹⁾ przed narodzeniem Chrystusa a umarł w 348 r.; dożył przeto sędziwej starości i mógł z własnego doświadczenia napisać o niej ten piękny ustęp, który stanowi jakby wstęp do Rzeczypospolitej.

Urodził się Plato w tym samym roku, gdy zwłoki Peryklesa złożono do mogiły. Ateny były podówczas u szczytu swojej wielkości: cała Grecja korzyła się przed niemi w posłuszeństwie. Atoli nim dorósł szesnastu lat, ujrzał, jak ta potęga zachwiana i wywrócona została. Młode jego lata upływały w obec bolesnego widoku krwawej walki, skutkiem której runęły mury dumnych niegdyś Aten pod żelazną prawicą Sparty. Dojrzałym będąc mężem, z oburzeniem patrzył, jak mocarze perscy przez przodków jego bohatercko wyrzuceni z Hellady, teraz siłą złota u nóg swoich trzymali roznamiętniony i zbytkujący lud grecki. Doczekał się w starości upadku Sparty i wzniesienia się Teb. — I to minęło. — Na schyłku dni swoich był znowu świadkiem wzrostu Macedonii i zaborczych zamiarów jej króla Filipa. W tym samym roku, gdy umarł Plato, Filip zdobył Olynth, przedmurze niepodległej Grecji.

Znikomość rzeczy ludzkich musiała oderwać Platona od rzeczywistości tego świata i pobudzić go do szukania trwalszych podstaw

¹⁾ Co do daty urodzenia Platona, panowała długo niepewność, lecz badania krytyczne Fryderyka Asta (Platon's Leben und Schriftwen, Leipzig, 1816) ustaliły podany wyżej rok.

wszelkiego bytu. A że charakter i usposobienie pociągały go ku poezji i marzycielstwu, wyrobił się z niego największy w świecie idealista.

Epoka, w której żył Plato, przedstawia okropny stan obyczajowości. Niepodobna było, aby ten człowiek, w piersiach którego od lat najmłodszych zapłonął ogień szlachetniejszych uczuć, mógł się z nią pogodzić. W epoce tej nieustanne wstrząśnienia polityczne rozwolniły węzły społeczne. Rozszerzony widokrag umysłowy zachwiał przekonania religijne. Zwątpienie zakradło się wszędzie. Te cnoty, które niewzruszenie świeciły dla poprzednich pokoleń, utraciły swą powagę dawniejszą. Zepsucie obyczajów rozlało się głęboko i szeroko. Traktat Antalcydasa (387 r.) podług woli króla perskiego zawarty, przekonał, że za pieniądź niemal wszystko i wszystkich kupić można. Egoizm zapanował samowładnie; przyjaźń i patriotyzm zostawiono głupcom; szczęśliwy kto niepotrzebował przyjaciela, szczęśliwy kto go nie miał. Żadna czynność sama w sobie nie była złą: złodziejstwo, cudzołóstwo, krzywoprzysięstwo było względnie tylko przestępstwem. Mędrzec nie powinien ulegać takim słabościom, jakimi są wdzięczność i życzliwość, a niech korzysta z uciech gdzie mu się tylko nadarza ¹⁾. Takie przekonania głoszone i takimi kierowano się w życiu.

O życiu Platona mamy bardzo niepewne a nieraz nawet sprzeczne wiadomości. Podziwienie starożytnych ludów otaczało go blaskiem cudowności i własnych urojeń. Ze starożytnych pisarzy podają o nim rozmaite większą wagę mające szczegóły: Diogenes, Laercjusz, Plutarch, Aelian, Aristoteles, Apulejusz, Olympiodor, Cicero, Kwintylijan i bezimienny biograf Platona.

Plato urodził się prawdopodobnie w Atenach z ojca Aristona i matki Perictiony. Pochodził z jednego ze znakomitych rodów ateńskich. W późniejszych czasach wyprowadzano ród jego ojca od króla Kodra, a ród jego matki od brata Solona. Nawet utworzyła się następnie legenda o boskiem jego pochodzeniu, ponieważ miała go począć Perictiona w dziewiczym stanie za sprawą Apollina ²⁾. Cuda otaczały jego kolebkę. Gdy Ariston, głosi podanie, z małżonką swoją składał ofiary muzom na górze Hymecie, Perictiona ułożyła niemoiwle wśród mirtów; a gdy następnie wróciła od ołtarza, ujrzała

¹⁾ J. W. Draper. *Histoire du développement intellectuel de l'Europe*. Traduction de l'anglais par L. Aubert. Paris 1868. Tom I. str. 219 i 220.

²⁾ Podobno, Speusipus siostrzan Platona a spadkobierca jego nauczycielstwa w akademii głosił o boskiem pochodzeniu swego wuja.

z podziwieniem, jak roje pszczoł karmiły go miodem, aby on w dojrzalym swym wieku, jako pszczoła ateńska (*apis attica*), poił ludzi słodyczą swęj mowy. Właściwe imie Platona było Aristokles; dopiero w późniejszym czasie z powodu szerokości czoła czy też piersi, był bowiem dobrze zbudowany, przezwano go Platonem, i nazwę tę blaskiem sławy otoczoną przechowała potomność.

Wychowanie jego było staranne. Uczył się gramatyki od rektora Dyonizjusza, gimnastyki, muzyki, nawet malarstwa od Drakona i Metellusa z Agrygentu. Zwłaszcza nabył wielkiej wprawy w gimnastyce, czego złożył dowody, uczestnicząc w grach istmickich (urządzanych co dwa lata na cześć Possejdona) i pythyjskich (co cztery lata na cześć Apollina). Rozwój siły cielesnej nie przeszkodził, jak widzimy, objawieniu się jednego z najpotężniejszych geniuszów ludzkości. W ogóle gimnastyka i muzyka ważną część wychowania greckiego stanowiły, a o wpływie ich kształcącym znajdujemy wyborny ustęp w Rzeczypospolitej, o którym we właściwym miejscu obszerniej mówić będę.

Grecka poezja urokiem swym cudnym pociągnęła młodzieńczą wyobraźnię Platona, i jakkolwiek w późniejszym czasie nasz mistrz okazał się surowym dla dzieci Apollina, to wszakże z licznych przytoczeń poetycznych utworów, jakie znajdujemy w jego dziełach, widzimy, że dobrze mu były takowe znane, a prócz tego wiemy od jego biografów, że ulubionem czytaniem jego były dzieła znakomych poetów, i że sam próbował uprawiać poetyckie pole, układając to heroiczną opowieść, to hymny liryczne, to tragiczny obraz powikłania losów życia ludzkiego. Opowiadają, że raz po przeczytaniu Homera zasmucony spalił utwory te swoje.

Jeżeli mamy wierzyć podaniom, to Plato za młodu służył wojskowo¹⁾. Wiemy też z własnego jego zeznania, że miał wielki pociąg do polityki, ale niepowściągliwość i niemoralność stronnictw walczących odstręczyły go od niej, a mając podobno słaby głos, wczesnie zrozumiał trudność występowania publicznego, które z przemawianiem do ludu koniecznie łączyć się musiało. Wprawdzie, w późniejszym czasie, gdy Plato miał 60 lat już z górą, sława wielkiego filozofa zdobyta przezeń postawiła go w możności odegrania wielkiej roli politycznej, ale nawyknięcia nauczyciela przytępiły w nim ostatecznie zmysł potrzebny do kierowania i rządzenia ludźmi.

1) Ast twierdził, że podania o służbie wojskowej Platona nie wytrzymują krytyki (str. 18 i 19.). Trzeba jednak tu dodać, że krytycyzm Asta czasem go zawodzi, jak np. w kwestyi stosunków Platona z Dionem i Dyonizyuszem młodszym.

Zamiast w stosunkach swych z Dyonizyuszem II, jak słusznie powiada Grote w „Historji Grecji“, zużytkować swój wpływ na odmianę systematu rządowego, Plato podjął się rzeczy trudnej, niemal niepodobnej, bo poprawy moralnej samego władcy. Wkrótce też ludzie, co posiadali mniej nauki, ale więcej znajomości słabych stron charakteru ludzkiego, zdołali zniechęcić swego władcę do filozofa, którego poprzednio wielką czią otaczał. Pokazało się przytem, że można być wielkim filozofem, ale słabym politykiem, czem jakby dowiódł na własnym przykładzie, że twierdzenie, iż rządy państwa do filozofów należeć powinny, doświadczeniem z życia rzeczywistego poprzeć się nie daje.

Filozofja, która w owym czasie tyle znakomitych umysłów Grecji poruszała, podniecając je do wyjaśnienia świata i jego objawów, bardzo wczesnie wielkiem swem zadaniem i wspaniałością samego przedmiotu pociągnęła ku sobie myśl i wyobraźnię Platona. Zaznajomił się on z rozmaitymi wówczas głośnymi systematami, najwięcej wszakże zajęła jego umysł nauka pitagorejczyków, z którymi połączyły go w późniejszym czasie ściśle związki. Szkoła pitagorejska podnosząca w człowieku samodzielność, a więc i swobodę, budującą cały świat na prawach stałych harmonii objawionej w liczbach niezmiennych, miała w sobie wszystkie te cechy, które mogły przywabić umysł czynny, wyobraźnię bujną i serce szlachetne.

Lecz że filozofja stała się najulubieńszym i głównym przedmiotem zajęć Platona, wypada to przypisać wpływowi nauczyciela jego, który był uczniem Heraklita, przedewszystkiem wszakże potężnemu wpływowi Sokratesa, który znacząco swego charakteru, stałością przekonań i głębokością poglądów zhołdował go najzupełniej. Będąc jeszcze bardzo młodym bo mając zaledwie dwudziesty rok (w 410 r.), został uczniem Sokratesa. Cudowność, którą chętnie roztoczono nad wielkim mistrzem starożytności, oprómiienia pierwsze spotkanie się Platona z Sokratesem. Podług podania, śniło się raz Sokratesowi, że młody łabędź z ołtarza miłości spuścił się do jego kolan, a następnie wzniósłszy się w powietrze, słodyczą śpiewu zachwycił ludzi i bogów. Gdy Ariston przyprowadził swego syna do Sokratesa, wielki ten nauczyciel miał poznać w Platonie owego łabędzia i pomimowolnie zawołać: „poznaje łabędzia, któregoś widział we śnie.“

Przez jedenaście lat, bo aż do samej śmierci Sokratesa w 399 r., Plato pozostawał przy swoim mistrzu, a następnie stał się jednym z najdzielniejszych tłumaczy jego nauki. Od Sokratesa wziął w spuściźnie formę dyjalogiczną badania prawdy, i wszędzie też mistrzem, nauczycielem występuje w jego dyjalogach Sokrates, którego

więzienne chwile opisał w Phedonie, a w świetnej obronie skazanego mistrza wyrzut wieczny atenczykom ich niesprawiedliwości uczynił.

Po śmierci swego mistrza, wraz z innymi jego uczniami, Plato opuścił Ateny, unikając prześladowań demokracji panującej, w której oczach był podejrzanym już, jako krewny najgłośniejszego z trzydziestu tyranów, Krytjasa. Nieprzyjazne więc okoliczności przyczyniły się najwięcej, że Plato odbył ważną podróż, w której poznał dokładnie naukę filozoficzną, i która otworzyła przed nim szeroki widokrag. Rozpoczął podróż dojrzałym już człowiekiem, ponieważ miał trzydzieści lat skończonych. W Megarze bawił u Euklidesa i zapoznał się z zasadami szkoły eleackiej, w Cyrenie odwiedził matematyka Theodora. W Jonii, ojczyźnie heraklitskiej filozofii, zgłębiał jej zasady. Prawdopodobnie, był także w Fenicji i Persji. Natomiast podróż jego do Egiptu nieulega wątpliwości, i wiemy nawet, że o ile z wzbudzonem oczekiwaniem wielkich odkryć jechał do téj tajemniczej krainy, o tyle doznał zawodu, a przynajmniej w tem, co się tyczyło badań filozoficznych. Podróż jego trwała kilkanaście lat, albowiem wkrótce po pokoju 387 r., spotykamy Platona w Sycylii, dokąd przybył w celu bliższego zapoznania się z pitagorejczykami i zobaczenia słynnych wybuchów góry Etny.

O pobycie Platona w Sycylii i stosunkach jego z władcami Syrakuz wiadomości były tak popłatane, że niektórzy uczeni nie wahałi się policzyć je do wymysłów, — i trzeba było umiejętności krytycznej Grot¹⁾, ażeby je w rzeczywistości światła przedstawić. Opowieść znakomitego historyka podaję tu w streszczeniu.

Pitagorejscy przyjaciele Platona przedstawili go Dionowi bratu małżonki Dyonizjusza starszego, tyrana Syrakuz. Dion naówczas był młodym człowiekiem. Niepospolitych zdolności, szlachetnego usposobienia i dzielnego charakteru, uległ wpływowi potężnej myśli Platona, w uroczej formie słowa wypowiedzianej. Przejawszy się szczerze zasadami moralności przez Platona głoszonemi, Dion zupełnie odmienił sposób swego życia, usuwając wbrew zwyczajom panującym na dworze wszelki przepych, wszelki zbytek ze swego domu, a natomiast zaprowadzając jak największe umiarkowanie we wszystkiem. I w postępowaniu tem wytrwał, pomimo, że to źle widziano na dworze jego szwagra. Dion namówił nawet Dyonizjusza, aby ten zaprosił do siebie greckiego filozofa i z nim obszernie o wszystkim pomówił. Podług opowiadania Plutarcha, Plato, stanawszy przed jednym z największych podówczas samowładców, bez obawy,

1) G. Grot. — Histoire de la Grèce, traduit par A. L. de Sadous. T. XVI. Paris. 1866. Zaczynając od str. 128.

z zapałem przekonania zaczął rozwijać tę myśl, że prawdziwe szczęście może być tylko udziałem cnotliwego człowieka, i że despotci nie mogą rościć sobie prawa do zasługi, męstwa i dzielności. Wszyscy obecni ujęci byli wymową filozofa, lecz Dyonizyzusowi śmiałość podobna wcale się nie podobała. Podług Diodora, Dyonizyzus kazał wyprowadzić Platona na rynek niewolników i tam go sprzedać. Podług Plutarcha zaś, rozkaz Dyonizyzusa wykonano w Eginie, gdy Plato wracał do Aten na okręcie odwożącym posła lacedemońskiego. Dopiero w Cyrenie wykupił go Annikeris i odesłał do Aten. Jakkolwiek bądź, Grote jest tego przekonania, że Plato istotnie czas jakiś krótki pozostawał niewolnikiem¹⁾.

Mając już przeszło czterdzieści lat, wracał Plato do ojczystego miasta. Podanie opowiada, że po drodze wstąpił na igrzyska olimpijskie i tam zamieszkał razem z kilku Grekami, jadącymi do Aten, a następnie nawet odbywał z nimi razem podróż. Po przybyciu do miasta, współtowarzysze drogi prosili go jako Ateńczyka, aby postarał się ich poznać z wielkim filozofem, Platonem. I jakież było ich zdziwienie, gdy się dowiedzieli, że towarzysz ich podróży był owym znakomitym człowiekiem.

Lecz największą sławę zdobył Plato w swem rodzinnem mieście, gdzie rozpoczął nauczać w odziedziczonym po ojcu ogrodzie przy akademji²⁾. Uczniowie przychodzili do niego z całej Grecji, a pomiędzy nimi byli ludzie rozmaitego wieku, stanu i płci. Tak, pomiędzy jego uczniami widzimy Aristotelesa, Demostenesa, Ksenokrata, Hyperidesa, Likurga, Focjona, Menedema i innych. Przychodziły też go słuchać i kobiety, jak np. hetera Lastenja i młoda dziewczyna, Aksioтеа, która, aby niezwracać na siebie uwagi, przebrała się po mężku. W nauczaniu tem upłynęło dla Platona dwadzieścia lat z górą, i mistrz nasz poważny i kochany od uczniów dożył do starości.

Tymczasem następcą Dyonizyzusa starszego został Dyonizyzus młodszy, mający 25 lat wieku, niepospolitych zdolności, ale słabego charakteru, próżny chciwy pochwał, a postępowaniem swoim nieumiejący na nie zasłużyć. Dion, który prawdopodobnie utrzymywał ciągłe stosunki z Platonem, zacnością swego charakteru i siłą woli zdobył wpływ wielki na młodego władcę. W skutek jego przedstawień, Dyonizyzus zaprosił Platona do Syrakuz. Mocno się wahał

1) Histoire de la Grèce. T. XVI. Str. 129.

2) Akademija był to drzewami obsadzony i dla gimnastycznych ćwiczeń przeznaczony plac, na którym stało kilka posągów i pomników, a nie-daleko którego znajdowała się świątynia poświęcona muzom przez Platona.

starzec, czy ma zamienić spokojne i zaszczytne swe miejsce nauczyciela na zmienne losy nowej wędrowki i nowych stosunków; lecz przyjaźń Diona, nalegania Archytasa i innych filozofów italskich, nareszcie nadzieja osiągnięcia praktycznych celów ze swęj nauki, wpłynęły na jego postanowienie. Przyjęcie Platona w Syrakuzach było serdeczne i wspaniałe. Królewski powóz zawiózł go do mieszkania, a Dyonizyzus sam osobiście dziękczynne czynił ofiary z powodu szczęśliwego przybycia znakomitego mistrza. Wpływ jego wkrótce stał się potężny, i jeżeli nie przyprowadził do żadnych ważnych zmian, a następnie dworacy zdołali go nawet podkopać, to wypada głównie przypisać to wszystko niestosownemu postępowaniu samego Platona. Raz np. Dyonizyzus sam się oświadczył z tem, że zamierza despotyzm syrakuzki zamienić na władzę królewską ograniczoną i wskrziesić państwa Sycylijskie, które już były utraciły charakter helleński. Zamiast podtrzymać szlachetny ten zamiar w umyśle młodego władcy, Plato zwrócił jego uwagę, że nie ukończywszy jeszcze własnego wykształcenia, powinien poprzednio uzupełnić takowe, a dopiero już później przystąpić do reform państwowych. Ma się rozumieć, że podobne słowa próżnemu i drażliwemu młodzieńcowi podobać się nie mogły; a z tego korzystali dworacy, starając się mu obrzydzić przedewszystkiem opiekę Diona, albowiem dobrze rozumieli, że z usunięciem tego ostatniego i wpływ Platona również osłabnie. Intrzygi osiągnęły swój skutek, i Dyonizyzus rozkazał wywieść Diona na półwysep włoski¹⁾. Dla Platona wprawdzie okazywał po tym wypadku jeszcze większą uprzejmość, niż poprzednio, przeniósł mu nawet mieszkanie w pałacu obok swego pokoju; ale to wszystko zakrawało raczej na ściślejszy dozór, jak na rzeczywistą serdeczność. Pomimo największych starań, nie udało się Platonowi wyjednać pozwolenia powrotu dla Diona; jedynym zaś skutkiem jego wpływu było zawiązanie stosunków pomiędzy Dyonizyzusem, Archytasem i filozofami z Tarentu. Nareszcie znakomity nasz mistrz, przekonawszy się, że pobyt jego na dworze syrakuzkim żadnego pożytku nie przynosi, prosił, aby dozwolono mu było odejść, czemu zajęty natenczas wojną Dyonizyzus wcale się nie sprzeciwiał.

Jeszcze raz Plato odwiedził Syrakuzy. Nastąpiło to w skutek wezwania Dyonizyzusa i przedstawień Archytasa i Tarentczyków. Filozof nasz pospieszył na dwór syrakuzki w nadziei, że wpływem

¹⁾ Zapewne, wspomnienie tej okoliczności podyktowało Platonowi słowa, że trudno mędrcomi przewyciężyć wpływ otoczenia na władcę. Rzeczposp. Księga VI. rozdz. 8.

osobistym dopomoże Dionowi wrócić do ojczyzny. Dyonizyusz przyjął Platona świetnie, okazywał mu wielkie zaufanie, wolno mu było np. zbliżyć się do despoty bez poprzedniej rewizji, ale na wszystkie jego prośby co do Diona dawał odmowną odpowiedź, a nawet jakby umyślnie w tym samym czasie kazał skonfiskować majątek wygnan- ca. To oburzyło i zmartwiło Platona, prosił więc, aby mu pozwo- lone było wyjechać do Aten. Lecz próżny samowładca, którego du- mę łechtało, że ma na dworze znakomitego filozofa, zwlekał z udzie- leniem pozwolenia, i pobyt Platona w Syrakuzach zaczął przybierać wszystkie cechy niewoli. Dopiero, gdy Archytas i jego towarzysze wstawili się energicznie za swoim przyjacielem, mędrzec nasz otrzy- mał pozwolenie wyjazdu z Sycylii.

Plato wrócił do Aten prawdopodobnie w 360 roku, t. j. już prawie siedmdziesięcioletnim starcem. Podług wszelkiego prawdopo- dobienstwa, przez następne dwanaście lat życia wielkiego mistrza upływało spokojnie wśród uczniów, albowiem o żadnych ważniejszych wypadkach jego osoby dotyczących, nie dochodzą nas wieści z tego okresu; a wiemy tylko, że zajmował się nieustannie swemi pismami i że zdrowie umiarkowanym życiem i spokojem ducha podtrzymy- wane, wciąż mu służyło. — Umarł w dniu swych urodzin 348 r. przeżywszy 81 rok. Pochowano go niedaleko od akademii. Ateńczy- kowie wystawili mu pomnik, który Pauzaniusz jeszcze oglądał. — Aristoteles postawił mu 6łtarz, a wszyscy uczniowie Platona corocznie święcili dzień jego urodzin.

Charakter nauczyciela, mistrza, filozofa, zaciera przed nami rysy prywatnego człowieka w Platonie. Jeżelibyśmy go mieli sądzić z pism jego, to przedstawiałby sobą wzór najdoskonalszego czło- wieka; jakiego tylko w stanie był wydać świat pogański, z wyjąt- kiem może jednego Sokratesa. — Moralność jest nicią przewodnią Platona, której nigdy nie opuszcza przy wysnuwaniu zapatrywania się swego na cel życia człowieka i jego obowiązki. Dobry człowiek podług niego, jest najświętszą rzeczą i największą świątynią Boga (Euthydem). Sprawiedliwość, mądrość, panowanie nad sobą, stano- wią najszlachetniejsze przymioty człowieka. Ten, który posiada te wielkie zalety, słowem mędrzec (σοφιστής), jest ideałem, do doskona- łości którego wypada starać się zbliżyć.

W stosunkach rodzinnych, o ile doszły nas szczegóły tego rodzaju, widzimy, że zawsze pamiętał o swych krewnych. Spenzippus syn jego siostry Potony, był jego uczniem, jeździł z nim razem do Sycylii, a po śmierci swego wuja zajął miejsce nauczyciela w aka- demii. — Synowi brata swego Adejmantusa, jak to wiemy z testa- mentu, zapisał jeden z pozostałych po nim domów wiejskich.

Widzieliśmy, jak głęboką cześć i wdzięczność przechował Plato dla swego nauczyciela. Powiadają, że chcąc wyjednać zwłokę wydania wyroku na ulubionego swego mistrza, ofiarowywał całe swe mienie, co wszakże okazało się niedostatecznym wobec rozgniewanego pospólstwa. Stałości jego przyjaźni mamy dowody na stosunkach z Dionem i Izokratesem sławnym mówcą, rówieśnikiem jego, z którym zawiązane stosunki przyjazne w dzieciństwie, przetrwały aż do starości.

Jako nauczyciel zjednał sobie wielką sławę. Zawsze go otaczał ogromny orszak uczniów, którzy ze czcią i przywiązaniem wspominali go następnie, jakkolwiek z charakteru skupiony więcej w sobie i milejący — nie był skory do udzielania się, a zawsze poważny, wzbudzał pewną obawę, i dla tego o nim powiadano, iż wygnał śmiech i wesołość ze swojej akademii. Jeżeli powaga, jaką siebie otaczał i zamknięty jego charakter wstrzymywały uczniów w pewnych granicach, to łagodność charakteru, która się malowała w oczach, ośmielała ich do szukania odpowiedzi na liczne zagadnienia wysłanemu umysłowi nasuwające się. Zdolności uczni swoich umiał oceniać i rozróżniać. Aristotelesa, który w innym kierunku jak jego nauczyciel pchnął wiedzę, nazywał rozsądkiem swojej szkoły.

Pomimo, że tłumy uczniów uczęszczały na naukę do jego ogrodu, pomimo, że przyjezdni cudzoziemcy spieszyli go zobaczyć i posłuchać, pomimo pokrewieństwa z zamożnymi rodzinami, pomimo stosunków jego z władcami, pomimo życia wstrzemięźliwego i oszczędnego, majątek pozostał po nim bardzo mierny, a mamy dokładny spis jego¹⁾. Dostatecznie to przekonywa, że Plato nauczał nie w celu z bogactwa się, ale dla upowszechnienia swoich zasad i przekonań²⁾. Mając to na uwadze, jak również jego gotowość poświęcenia majątku dla ocalenia życia Sokratesa, należy przyznać, że zarzut skąpstwa i chciwości stawiony mu przez Suidasa, niczem nie jest usprawiedliwiony.

Zawiść nie ominęła i inne powykrywać wady. — Tenneman³⁾ wszakże w wyczerpującym swém dziele, po ścisłym rozbiorze zarzutów, wykazał albo zupełną ich bezzasadność, albo przedstawił je w inném a mniej niekorzystnym świetle dla Platona. Nareszcie wy-

1) Dwa domy wiejskie, 3 miny złota, czterech niewolników, 2 srebrne puhary: jeden 165 drachm, a drugi 45 drachm mający wagi, złoty pierścion i złoty kulezyk.

2) Platona Rzeczpospolita, czyli co jest sprawiedliwość — przekładał Antoni Bronikowski. Rozmowa pierwsza. Ostrów 1862. Str. 10. Sokrates przycina sofistom, że uczą za pieniądze.

3) System der Platonischen Philosophie.

pada to uznać, że wady wielkich ludzi gasną zupełnie przed ich zasługami. Słusznie powiada autor artykułu o Platonie w znakomitéj Encyklopedyi francuskiej przedrewolucyjnej, że „złe, jakie popełniają, „ustaje wraz z nimi, ale dobro, jakie wypływa z ich utworów, trwa „wiecznie“¹⁾.

Późniejsi biografowie Platona, idąc za świadectwem Aulusa Gelliusza, przyjęli jako rzecz pewną stosunek jego miłosny z Agatonem i widzieli w tém oznakę głębokiego zepsucia naszego mistrza. Trzeba wszakże nasamprzód mieć na względzie to, że pojęcia Ateńczyków co do tego przedmiotu były wcale odmienne²⁾ od naszych, a które i Plato jako Ateńczyk z przekonania widocznie podzielał³⁾. Powtóre, są to tylko domysły oparte jeno na tém, że Plato nazywa Agatona pięknym, i że ułożył wiersze na cześć jego piękności. — Stanowczego zaś świadectwa niema⁴⁾. — Co do stosunków Platona miłosnych z kobietami, nic nie wiemy. To tylko wiadomo, że przez całe życie pozostał bezżenny. Plato jednak był mężczyzną ujmującą a nawet pięknej powierzchowności. Opisują go, że miał rysy prawidłowe, oczy pełne łagodności, czoło wysokie i otwarte, pierś szeroką, plecy wysokie. Wyraz twarzy miał poważny, chód miarowy, a całe zachowanie się jego cechowała wielka godność.

Zrażony tym stanem politycznym, jaki istniał, usunął się Plato do krainy myśli i zamknął się dobrowolnie w ogrodzeniu szkoły, rozwijając i prostując pojęcia swych uczniów. Możliwy więc go posadzić o brak uczuć patryotycznych i obywatelskich, słowem o tę obojętność, jaka się wydarzała u innych wielkich ludzi, jak np. Archimedes i Gøetego, co do losów swego kraju. Usunąwszy się od ruchu politycznego, do którego może i nie był zdolny, nie przestawał jednak mistrz wielki podnosić uczuć patryotycznych i obywatelskich w umyśle swych uczniów; nie odmawiał rady, gdy o nią pytano; nareszcie wciąż myślał o lepszych warunkach, w jakich państwo trwałszem, pewniejszém o swą niezależność i szczęśliwszém być może. Że nauka jego podnosiła patryotyczne uczucia, dowodzi nam sława i czynność trzech mowców znakomitych, Demostenesa, Hyperidesa i Likurga, oraz wysoki patryotyzm Foejona, którzy to wszyscy, jak już wiemy, byli jego uczniami. Są téż świadectwa, że

¹⁾ Encyclopedie Methodique. Philosophie ancienne et moderne par citoyen Naigeon. T. III. str. 430.

²⁾ Uczta Platona zawiera mowę Pauzanjasza (rozdział 10), w której maluje się pogląd Ateńczyków co do tego przedmiotu.

³⁾ Phedrus; rozdział 29.

⁴⁾ Przeciwnie nawet sam Plato wkłada w usta Aristofanesa słowa wskazujące na stosunek miłosny Pauzanjusza z Agatonem. Uczta, rozdz. 16.

mieszkańcy Teb, Cyreny, arkadyjskiego miasta Megalopolis, kret-
skiej kolonii Magnezji, Sycylijczycy, zwracali się do niego, prosząc
o radę. Powiadają, że Kreteńczykom przy założeniu Magnezji prze-
słał dwanaście ksiąg praw, że mieszkańcom Elei posłał swego ucznia
Phormiona, mieszkańcom zaś Pyrrhy, Menedema. Władca Tracyi
uważał siebie za ucznia Platona i kierował się jego radami. Jeżeliby
nawet starożytni pisarze przecenili doniosłość tego kierownictwa, to
w każdym razie objawiała ona dobrą wolę, która pragnęła pożytku
i szczęścia państw wielkiego narodu, którego on był synem. — Na-
reszcie Plato mógłby o sobie powiedzieć to, co włożył w usta So-
kratesa, że nauka jego może największe dobro dla państwa przyno-
siła ¹⁾. Filozofia też jego miała rzeczywiście przedewszystkiem na
celu pożytek i szczęście ludzi. Najulubieńszym jego utworem była
Rzeczpospolita, w której szuka nowych podstaw, na jakich mogłaby
społeczność szczęśliwie i bezpiecznie byt swój urządzić. Po śmierci
jego znaleziono Rzeczpospolitę w wielu miejscach poprawioną i zna-
cznie zmienioną — z tego można wnosić, jak go ustawicznie zajmo-
wało pytanie dotyczące dobrego urzędnictwa państwa. — Myśl jego
nieustannie skierowana do badania tego, co byłoby pożytecznym dla
ludzi i społeczeństwa, czyni go, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, zwo-
lennikiem kierunku utilitarnego; a zwłaszcza w Rzeczypospolitej
wyraźnie się to objawia. Według Platona pożyteczne jest pięknem,
a szkodliwe sromotnym ²⁾; wszystko co niszczy i psuje, jest złem,
a co ocala i pożytek przynosi, dobrem ³⁾.

Plato nie jest to ścisły filozof, jest to filozof-poeta. Rozległy
rozum połączył się w nim z skrzydlatą wyobraźnią. Z tego powodu
jest dedukcyjny. Ścisłości w rozumowaniach jego niema, zastępuje
ją bystrość, z jaką dostrzega cechy wspólne w przedmiotach naj-
mniej do siebie podobnych. Bystrość ta odgadywania wpływająca
jakby z tajemniczego źródła wzmogła usposobienie mistyczne Pla-
tona. Rozprawy jego filozoficzne z powodu swego układu i języka
są niemal utworami poetycznymi. — Nadanie wybitnego charakteru
osobom przyjmującym udział w dyalogach i utrzymanie ich przez
cały ciąg rozprawy we właściwym charakterze, wskazują na zdol-
ności dramatyczne wielkiego myśliciela.

Empiryczną wiedzę Plato podzielał ze współczesnymi. Pojęcia
przeło jego o układzie świata i o budowie ciała ludzkiego, wska-
zują tylko, jak wielki postęp od tego czasu nauka zrobiła. Muzyka

¹⁾ Obrona Sokratesa, rozdz. 17.

²⁾ Rzeczpospolita, ks. V. rozdz. 6.

³⁾ Rzeczpospolita, ks. X. rozdz. 9.

w sferach, różnaitość barw, jakimi się planety miały odróżniać, obrót dzienny gwiazdzonego nieba od wschodu na zachód — stanowiły pewnik dla Platona jak i dla ówczesnych astronomów. Na dnie morza, był pewny, że niema już żadnej roślinności, a znajduje się tylko piasek, muł i błoto ¹⁾. — O nerwach nie wiedział. — Sny, sądził, że powstają w wątrobie. — W ogóle, filozof nasz dość jest łatwowierny w rzeczach naukowych.

Na filozofią Platona, jak już wiemy, główny wpływ miała nauka pitagorejczyków, eleatów i Sokratesa. Od pitagorejczyków wziął on poglądy na przyrodę i pochopność do mistycyzmu; z ich to nauki wypływa jego przekonanie o mistycznym znaczeniu liczb, o muzykalności sfer niebieskich, o metempsychozie. Nawet przypuszczają, że Timeusz, w którym rozwinął zapatrywania się swoje filozoficzne na przyrodę, jest przerobieniem tylko dzieła Proclusa pitagorejczyka²⁾. Znakomitej też nauce Pitagora, bezwątpienia, zawdzięcza to wysokie pojęcie, jakie posiada o uczuciu samodzielności i panowaniu nad sobą w człowieku. — Nareszcie, zdaje się, że poglądy sycylijskich i tarentskich jego przyjaciół, nie pozostały bez wpływu na wzrost usposobienia w nim arystokratycznego.

Idealny, nadzmysłowy kierunek, jaki cechuje filozofią Platona, bierze swój początek w nauce eleatów. Z nimi podzielał nasz myśliciel to przekonanie, że zmysły, oszukują i że sam tylko rozum jest zdolny poznać prawdę, albowiem zewnętrzne objawy świata są tylko niedokładnym odbiciem ukrytej w nich myśli (idei).

Że wpływ Sokratesa był wielki, samo się przez się rozumie. Ulubionemu swemu nauczycielowi, który zawsze okazywał niechęć dla wszelkich rozumowań i wywodów niemających zastosowania do życia ludzkiego, zawdzięcza Plato przeważnie charakter etyczny swojej filozofii i ciągłe baczenie na pożytek człowieka.

Hegel uważa, że filozofia jako samodzielna umiejętność, rozpoczyna się od Platona. I w samej rzeczy on ją określa, porządkuje i rozgranicza jej działy. Według niego, filozofia powinna tylko za pomocą myślenia badać to, co jest stałym i prawdziwym samo w sobie, omijając pośrednictwo zmysłów, które dają przedstawienia rzeczy zmiennych i niepewnych. Platona więc słusznie możemy uważać jako twórcę idealnej filozofii. Kierunek ten nadzmysłowy, nadany filozofii przy zajęciu przez nią miejsca w szeregu innych umiejętności, oderwał ją od realnej wiedzy, od świata rzeczywistego i przyprowa-

¹⁾ Phaedon, rozdz. 58.

²⁾ Dzieła Platona — przekład F. Kozłowskiego — Warszawa. 1845 str. 86.

dził w ostatku niemiecką szkołę do zupełnego bankructwa umysłowego. Ze względu na pokrewność cech umysłowych, Schelling ma wiele podobieństwa do naszego mistrza. I piękne poematy tych obydwóch myślicieli roznieciły w swym czasie silną żądzę wiedzy, pragnienie doskonałości, tęsknotę za ideałem. Wpływ Platona jeszcze i dzisiaj jest silny. Uważając myślenie, jako najważniejszy środek do poznania prawdy, badał kierujące niém prawa i pierwszy téż wykład logiki u niego znajdujemy.

Podług filozoficznego zapatrywania się Platona, pierwszą przyczyną wszystkiego jest Bóg, który jest najwyższą ideą, zawierającą w sobie wszystkie inne idee i stanowiącą zupełną doskonałość, wzór, i modłę wszystkiego. Bóg stworzył świat z materyi i idei. Materya ma początek odwieczny, służy ona do wcielenia idei i przez idee ma tylko znaczenie. Idee są to realne, ale nie materyalne istoty. Są to pierwowzory wszystkich przedmiotów na świecie. Idea z powodu swój istoty tylko pomyślaną (*νοηδον*) być może¹⁾. Stanowi ona treść, czynnik i przeznaczenie przedmiotu. Idea przedstawia tylko prawdę; materya zasłania ją, osłabia, mąci, rozbija w wielości pojedynczych bytów. Zmysłowy przedmiot jest to tylko cień, niedokładne odbicie, obraz domniemany prawdziwego bytu. Im bardziej przemaga materya nad ideą, tém trudniej o prawdę i odwrotnie, przewaga idei nad materją podnosi prawdziwość przedmiotu. Idee są wieczne, liczba ich niezmienna. Znajdują się względem siebie w szczeblowym stosunku. Wyższe idee zawierają w sobie niższe. Istoty te mają podobieństwo do monad Leibniza, a do realnych istot (*Real-Wesen*) Herbarta.

Pomiędzy ideą i duszą jest wiele podobieństwa. O duszy tak samo jak i o idei zmysły nie mogą dać żadnego wyobrażenia, można ją tylko sobie w myśli przedstawić (*νοηδον*). — Idea, stanowiąc istotną właściwość przedmiotu, nie może łączyć w sobie przeciwieństw²⁾. Wyrażając parzystość, nie może jednocześnie wyrażać nieparzystości. Opierając się na tem twierdzeniu jako na pewniku, Plato stawia zamiast idei duszę i dowodzi w ten sposób jój nieśmiertelności, albowiem dusza ożywia ciało, przedstawia więc życie i stanowi przeciwieństwo śmierci, łączyć zaś życia i śmierci z powodu swój istoty nie może³⁾. Skoro zaś dusza jest nieśmiertelna, jest téż wiekuista. Z tego ustępu widzimy, że Plato odróżnia ideę od duszy, ale przypuszcza w nich tak zblizoną do siebie istotę, że

1) Rzeczpospolita. Ks. VI. rozdz. 18.

2) Phedon, rozdz. 50. 52. 53.

3) Phedon, rozdz. 54 i 55.

wnioski wyprowadzone z badania istoty idei, bez żadnego orzeczenia, przenosi na istotę duszy.

Jasnego przedstawienia o duszy, jej istocie i stosunku z światem nie możemy urobić z pism naszego myśliciela, gdyż co do tego przedmiotu przejawia się w jego utworach ogromna niepewność — chwiejność i gmatwanina. Dusza utworzoną została z idei i materji, która swoją już obecnością skaziła czystość duszy. Jedyne prawdziwym jest świat idealny t. j. idei. — Świat zewnętrzny, zmysłowy przedstawia tylko pozory prawdy. Dusza zaś stoi na pograniczu, pośrednicząc pomiędzy jednym i drugim światem. Wszystko, co jest obdarzone życiem, posiada duszę. Ma ją cały świat, mają ją rośliny i zwierzęta, ma ją człowiek. Dusza świata jest to istota, która zajmuje środek pomiędzy czystym rozumem i tem, co jest zmysłowem, która zawiera w sobie wszystkie stosunki liczby i miary. Dusza roślin i zwierząt przejawia tylko żądzę, myślenie nie jest jej przymiotem. Dusza człowieka składa się aż z trzech niejednakowo objawiających się dusz, które w rozmaitych częściach organizmu cielesnego są położone. Dusza nieśmiertelna i rozumna mieści się w mózgu; dusza śmiertelna, bezrozumna, ale szlachetna, objawem której jest uczucie i męstwo, znajduje się w sercu; dusza zaś śmiertelna, bezrozumna i nieszlachetna, wyrażająca się w żądzach i namiętnościach, ma swoje siedlisko w brzuchu. W *Timeuszu* taką podaje Plato kosmogonią: Stwórca stworzył świat i bóstwa (gwiazdy), a tym ostatnim rozkazał utworzyć śmiertelne istoty. Bóstwa te stworzyły ciało z duszą śmiertelną, nieśmiertelną zaś część duszy stworzył sam Stwórca. Ile gwiazd, tyle dusz stworzonych. Liczba ich niezmienna. Każdej gwiazdzie odpowiada osobna dusza, dla której pierwsza jest rodzajem anioła-stróża. W *Phedrus* znowu opowiada Plato, jak dusze zdążają za bogami na pole prawdy, aby ją tam naga i w czystości oglądać mogły. Te, które, dla niezdatności swój lub przy padku, nie mogły jej dobrze zobaczyć, spadają na ziemię i wcielają się w ludzi. Tu, na tym padole muszą one udoskonalić swoją istotę, — zadaniem ich przeto staje się dążenie do doskonałości. — W tym celu odbywają pielgrzymki z ciała do ciała. Tylko ta dusza która trzy razy z kolei godnie spędziła żywot filozofa, wraca do pomieszkania bogów. Dusze zaś, które wykraczały przeciwko sprawiedliwości w swem życiu, zniżają się do podlejszych stanów, z których najpodlejszym jest stan tyranów, a nawet przechodzą w ciała zwierząt.

Trzeba było dokładniej przyjrzeć się pojęciom Platona o duszy, ażeby zrozumieć, z jakich to źródeł, podług niego, płyną świadomość i wiedza człowieka. Prawda, podług przekonania mistrza na-

szego, zawiera się tylko w ideach; świat zewnętrzny omamia i zwodzi. Każda dusza, przychodząc na ziemię, przynosi z sobą mniejszą lub większą znajomość prawdy; ciało wpływem swym osłabia tę wiedzę, zniża jej doniosłość. — Pomimo tego wszakże, pojęcia ze świata idealnego przyniesione trwają w duszy jako pojęcia wrodzone. Są one właściwem i jedynem źródłem wiedzy. Do przypomnienia, do wydobywania ich z zamętu, w jakim się znajdują, dopomaga rozum; zmysły zaś stanowią przeszkodę do poznania prawdy. — Rozum przeto jedynie prowadzi do wiedzy i on tylko może być prawdziwym sternikiem.

Ponieważ rozum wyświeca prawdę, zmysłowość zaś osłepia — oddala od niej; przeto samodzielność i wolność w człowieku wtedy tylko staje się możliwą, jeżeli rozum panuje nad zmysłowością. Samodzielność ta i wolność stanowią cnotę, moralność człowieka. — Człowiek, poznawszy prawdę, nie może oprzeć się cudnej jej piękności i urokowi, a wówczas stara się postępować zgodnie z nią, t. j. dobrze. I tylko wtedy postępuje jako człowiek wolny, albowiem czynnością jego kieruje świadomość; złe zaś uczynki oznaczają brak wolności, człowiek wówczas nie jest wolnym. Dusza im więcej przypomina swój pobyt w idealnej krainie, tem goręcej pragnąć musi co najrychlej wrócić do niej. Zależy zaś to od miary doskonałości, od większego zbliżenia się do Boga, który jest ideałem, największem dobrem.

Teorja Platona, jak widzimy, opiera się głównie na tem przypuszczeniu, że istnieje świat idealny. Bez wahania się myśliciel nasz wnioskuje ze zdolności przypomnienia dawniejszego bytu, czyli z istnienia wrodzonych pojęć, o istnieniu idei, a z istnienia idei wnioskuje o przypomnieniu. Posługuje się tu sam Plato, że tak powiem przypomnieniem raczej, niż rozumowaniem w tegoczesnem naszym znaczeniu. Z tego względu można powiedzieć, że nie tyle swą treścią, ile duchem, dążnością przyczyniła się jego nauka do ogólnego postępu wiedzy.

Są wszakże w nauce Platona twierdzenia, które świadczą o głębokości jego poglądu, musiały przybrać inny kształt i oprzeć się na realnej wiedzy, ażeby stały się ważnym nabytkiem umiejętności. Do takich przeczuć wielkich, że tak rzekę, prawd, jakie napotykamy u Platona, należą: 1) niezmiennosc praw, które rządzą światem; 2) podnoszenie się szczeblowe tworów; 3) następstwo kolejne zjawisk jako odmiana tylko stanu.

Przekonanie Platona o niezmiennosci praw rządzących światem przejawia się w twierdzeniu, że Bóg postępuje niezmiennie, zawsze podług jednego prawa. Rozum (νοῦς), któremu filozof wyzna-

cza główne, przewodniczące stanowisko, określa się, podług niego, stałemi prawami. W filozofii moralnej szuka mocnej, niezmienniej podstawy dla prawideł, które mają kierować postępowaniem ludzkim, i twierdzi, że główną zasadą moralności jest posłuszeństwo bezwzględne dla przepisów rozumu.

To, co Arystoteles, umysł indukcyjny, mówi o łańcuchu organicznych tworów, w którym ogniwa, łącząc się, prowadzą od niższych do wyższych kształtów, znajdujemy u Platona w bardzo uogólnionej teorii szczeblowej idei¹⁾. I rzecz prawie niewatpliwa, że teoria ta skierowała uwagę Arystotelesa na cechy wspólne różnokształtnych tworów.

Ważna myśl, że życie i śmierć jest tylko odmianą stanu, przy postępie nauk przyrodzonych znalazła najzupełniejsze potwierdzenie. Z ogólnej sumy materji nic bowiem nie ginie, przyjmuje ona tylko inne kształty, przechodzi w inne twory i odbywa tę wędrówkę, jaką miała odbywać dusza, podług przekonania starożytnych myślicieli.

Twierdzenie Platona, że pojęcia wrodzone istnieją, wyznawali w późniejszym czasie Kartezjusz (Descartes) i Leibnitz; a nauka obecna zaczyna je popierać, idąc jednakże odmienną drogą rozumowania. Uznając albowiem dziedziczność materjalną, musimy przypuszczać również i dziedziczność duchową; t. j. organ, wydoskonalając się w przeciągu pokoleń, łatwiej zaczyna wyrabiać pewne przekazywane dziedzicznie pojęcia, aż stają się one z czasem częścią jego przyrody. Dziedziczność materjalna, a również i duchowa, coraz liczniejszymi stwierdza się dowodami. Darwin zaś dla wytłumaczenia tego zjawiska buduje teorię Pangenezy, w której przypuszcza że każda komórka jakiegokolwiek bądź organizmu zawiera w sobie ogromną ilość zarodków, które przechodząc z pokolenia do pokolenia, od rodziców do dzieci, przenoszą do późniejszych generacji cechy wspólności typowej. Jeżeliby nauka stanowczo dowiodła istnienia tych zarodków, to czyż nie stanowiłyby one pod pewnym względem materjalnych idei, które wiecznie krążą w różnorodności kształtów ożywionych?

Takie określenie wolności i miłości, jakie podał Plato w swej nauce, sprawiło ważny przewrót w pojęciach moralnych ludzkości. Dzieje albowiem przedstawiają nam, że uczucie niezależności, samodzielności wyrabiało się zwolna w człowieku. Wysoko podniosła to uczucie szkoła pitagorejska; ale Platonowi należy się ostateczna

¹⁾ Plato przedstawił przejawiającą się i w umyśle stopniowość poznawania prawdy, przypuszczając cztery stany: domysł, wiarę, rozważę i rozum. Rzeczpospolita ks. VI. rozdz. 21.

zasługa, że moralność przybrała cechę czynną. Moralne postępowanie, podług niego, wypływa li tylko z wewnętrznego przekonania i jest dziełem świadomości. I tylko istotnie wolnym może się nazwać człowiek moralny, to jest taki, który kieruje swoją wolą świadomie podług wskazówek, jakie mu daje rozum. A ponieważ rozum działa według stałych praw, przeto i wolność, aby nie stała się dowolnością, samowolą i swawolą, powinna obowiązać się do przestrzegania tych samych praw. Wolność każdego człowieka zależy od niego samego, można albowiem uwięzić ciało, lecz ducha uwięzić niepodobna. Każdy powinien starać się być wolnym.

Plato przyczynił się najwięcej do uduchownienia pojęcia miłości i tem utorował jej drogę do tego wysokiego znaczenia, jakie następnie nadała jej chrześcijańska nauka. I z tego powodu pomiędzy uczniami szkoły platońskiej chrześcijaństwo pozyskało więcej wyznawców, niż pomiędzy zwolennikami innych szkół filozoficznych. Pokochać duszę, naucza nasz myśliciel, podnioslejszem jest, niż ukochać ciało ¹⁾. I dlatego miłość pozbawiona zmysłowych pożądań nazwę platoniejszą aż do naszych czasów przechowała. Nawet zmysłowa miłość, podług zapatrywania się wielkiego filozofa, jest objawem pędu ku nieśmiertelności ²⁾.

Nareszcie zauważać to muszę, że Plato rozróżnia metody: dedukcyjną i indukcyjną, i sądzi, że zastosowanie obydwóch tych metod może tylko doprowadzić do prawdziwego poznania.

Wpływ Platona na potomność był wielki. Uczniowie jego, wprawdzie, nie zawsze się trzymali tego kierunku, jaki im wytknął ich nauczyciel. Najznakomitszy nawet z nich, Arystoteles, poszedł wcale odmienną drogą, zwracając się ku empiryzmowi i zajmując się nim przeważnie. Pięć akademij rozwijało naukę platońską. Najbliższą do niej ze względu zasad pozostała stara akademja. Nauczali w niej kolejno po Platonie Speusippus († 339), Ksenokrates z Chalcedonu († 314), Polemo z Aten, Krantor z Soli, Krates z Aten. Arcesilaus w 316 roku urodzony, dał początek średniej akademii. Trzecia czyli nowa akademja założona przez Karneadesa, który się urodził w 213 r. przed Chrystusem, utworzyła marzycielską nowo-platońską szkołę. Czwartą akademją założył Philon z Larysy, a piątą Antjoch z Askalonu, który przyłączył naukę stoicką z platonizmem. Pomiedzy wyznawcami zasad wielkiego myśliciela odznaczają się: Plutarch, Nemenjusz, Ammonjusz Sakkas z Aleksandriji w końcu drugiego stulecia po narodzeniu Chrystusa żyjący, a od którego roz-

¹⁾ Uczta, rozdział 28.

²⁾ Uczta, rozdział 26.

poczyna się właściwie neoplatonizm, i wreszcie głośny Plotyn. I nie tylko pomiędzy Grekami, ale i pomiędzy innymi narodami znajdowali się liczni wyznawcy nauki Platona, do których zaliczał siebie i król perski Chosros.

Platonizm z powodu swego idealnego kierunku i mistycyzmu, jakim go jeszcze bardziej późniejsi wyznawcy przepełniali, usposabiał umysły do przyjęcia chrześcijańskiej nauki. Można o nim powiedzieć, że zgotował drogę do przyjęcia wielkich prawd chrześcijańskich. Z pomiędzy filozofów, co się przychyliło do nauki Chrystusa, najwięcej było platoników. Takim był St. Justyn męczennik. Rzeczpospolita Platona natchnęła St. Augustyna do napisania sławnego dzieła: „O państwie Bożem“ (czyli „O mieście Bożem“, jak przekłada ks. M. Gładyszewicz). ¹⁾ Draper uważa, że chrześcijaństwo, pod wpływem przeważających czynników, objawił się w trzech odmianach: judajskiej, gnostyckiej i platońskiej, albo też afrykańskiej, z których ostatnia wzięła stanowczą przewagę nad dwiema pierwszymi ²⁾. Nauka Platona stała się źródłem, z którego nauczyciele kościoła czerpali, gdy szło o wyjaśnienie świata duchowego, a w Piśmie Świętym niejasną tylko wzmiankę napotymano. Zasady Platona weszły do nauki katechizmu. Uczni chrześcijańscy znajdowali w utworach starożytnego mistrza całe ustępy, które miały świadczyć o tem, że nauka Starego zakonu była mu znaną, a nawet wyczytywali w jego dziełach nieledwie prorocтва o przyjściu i posłannictwie Syna Bożego. Plato i Arystoteles byli powagą w nauce kościelnej, „Aż do czasów reformacyi, powiada F. Kozłowski, wszyscy mistrze kościoła, którzy się oświadczyli za fantastycznością, byli za Platonem, a którzy mieli więcej skłonności do ziemnej spekulacyi — za Arystotelesem“ ³⁾. Filozofia scholastyczna nieustannie powoływała się na świadectwo tych dwóch mistrzów. Również i w klasztorach wschodnich zajmowano się gorliwie badaniem dzieł Platona. Powaga Arystotelesa (magister dixit) więcej wszakże znaczyła w ciągu średnich wieków, dopiero z odrodzeniem się nauk zwrócono się do Platona, którego tłumaczyć i wykładać rozpoczął za Medyceuszów Marsyli Ficino.

Wpływ Platona sięga daleko; widoczny jest na Leibnitzu, jeszcze widoczniejszy na szkole idealnej niemieckiej, a zwłaszcza na

¹⁾ De Civitate Dei.

²⁾ Histoire du développement intellectuel de l'Europe. — J. W. Draper. Paris 1868. II. str. 14.

³⁾ Dzieła Platona — przekład F. Kozłowskiego. Warszawa, 1845. str. 31.

Schellingu. Lecz co dziwniejsza, pozytywny umysł Comte'a Augusta w niejednym względzie uległ wpływowi tego marzycielskiego filozofa.

II.

Rzeczpospolita Platona należy do jego późniejszych i najlepiej opracowanych utworów. Podział jój na dziesięć ksiąg jest zupełnie przypadkowy i bynajmniej nie zastosowany do treści. W pierwszej księdze albo rozmowie, jak chce Antoni Bronikowski, która stanowi wstęp do rozprawy, Plato daje próbkę swego talentu dramatycznego, prowadząc ożywiony i pełen wdzięku dyalog, a przy ścieraniu się zdań uwydatniając charaktery mówiących. Właściwa rozprawa rozpoczyna się od drugiej księgi, i odtąd występują głównie dwie osoby; jedna — wykładająca, nauczająca, a druga wprowadzona jakby umyślnie dlatego, aby dopomagała wymijać niektóre trudności nadarzające się w rozumowaniu. Już to jak widzieliśmy, Plato nie odznacza się ścisłością rozumowania, co w wielu miejscach Rzeczypospolitej również, daje się dostrzedz; niepodobna wszakże mu nie przyznać wielu głębokich i trafnych spostrzeżeń.

Sokrates rozpoczyna od opowiadania, że gdy wracał z uroczystości w Pireju z Glaukonem ¹⁾, chłopiec wysłany przez Polemarcha syna Kefala zatrzymał go, mówiąc, że Polemarch nadchodzi. Polemarch wracał też z uroczystości w towarzystwie Adejmantusa, Nikeratosa i kilku innych i, zbliżywszy się do Sokratesa, zaprosił go do swego domu, gdzie zastali już Lizjasza i Enthydema braci Polemarcha, Trazimacha z Chalcedonu. Charmantidesa i Klitofonta. Ojciec Polemarcha, Kefalos siedział w krześle uwieczony, albowiem tylko co czynił w podwórzu ofiarę. Spostrzegłszy Sokratesa, uściskał go i zaczął mu wymawiać, że rzadko przychodzi. „Wiedz bowiem, dodał, że o ile uciechy ciała we mnie zamierają, o tyle wzmagają się żądze i uciechy rozmowy“ ²⁾. Przy tej okoliczności wywiązała się piękną rozprawa o starości, którą Cycero bez opowiedzenia umieścił

¹⁾ Glaukon i Adejmantus, synowie Aristona — prawdopodobnie bracia Platona.

²⁾ Platona „Rzeczpospolita, czyli co jest sprawiedliwość“ przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Ostrów 1862. Str. 4. Bronikowski przełożył trzy księgi: pierwszą 1862, drugą 1865, trzecią 1866. Język tego przekładu jest bardzo oryginalny i nie zawsze łatwy do zrozumienia. Przytaczając tekst, przytaczam go w pierwszych trzech księgach, podług tłumaczenia Bronikowskiego, dozwalam sobie wszakże w niektórych ustępach odmienić szyk wyrazów dla ułatwienia zrozumienia myśli.

w swoim dziele: „De Senectute“. Przekonawszy się z rozmowy, że Kefalos z wielkim spokojem ducha spogląda na upływającą starość, Sokrates zrobił mu uwagę, iż wielu może mniemać, że znaczny majątek czyni mu starość znośną. Kefalos nie zaprzeczył temu, że ci, co myślą w podobny sposób, mają pod pewnym względem słuszość, ponieważ kto posiada majątek, ten może zachować się sprawiedliwie względem innych, dotrzymując wszelkich obietnic i zobowiązań; a „kto sprawiedliwie i święcie żywot przewiodł, tego wzmaga serce, radując starości żywicielka, słodka nadzieja, która najbardziej śmiertelnych zmienny umysł kieruje“ ¹⁾.

— A jakaż jest granica sprawiedliwości? zapytał Sokrates i tém wprowadził rozmowę na właściwe pole. Polemarch zamiast odpowiedzi powołał się na zdanie Simonidesa poety: a Kefalos odchodząc do ofiar, z uśmiechem rzekł do syna, iż pozostawia go spadkobiercą w rozmowie.

Czémże więc jest sprawiedliwość? Simonides powiada, że rzeczą jest sprawiedliwą każdemu oddawać to, co mu się należy. Atoli Sokrates szeregiem pytań doprowadził do uznania, iż twierdzenie to jest mylném, gdyż w takim razie wypadałoby pomagać przyjaciołom a szkodzić nieprzyjaciołom, sprawiedliwy zaś człowiek nikomu krzywdy wyrządzać nie może. Tu wniósł się do rozmowy Trazimach (po grecku, gwałtownie walczący) znany sofistą, którego Plato umyślnie wprowadził, aby okazać przewrotność nauk przez sofistów udzielanych. Trazimach wystąpił jakby zwierz przeciwko Sokratesowi, wyrzucając mu, że wyciąga innych za słowa, a sam własnego zdania, czém jest sprawiedliwość, nie objawia. Jak potok wezbrany płynie jego mowa, w której dowodzi, że siła właściwie jest sprawiedliwością, ponieważ „we wszystkich miastach (państwach) to jest sprawiedliwém, co ustanowionemu rządowi przygodzi ²⁾, a rząd przedstawia władzę, więc téż i siłę. Lecz Sokrates, po rozważeniu wszystkich stron tego twierdzenia, przychodzi do tego przekonania, że każdy rządca dbać powinien nie o swój pożytek, ale o pożytek tych, nad którymi rządy mu poruczono. — Czyż ty sądzisz, zawołał z niechęcią Trazimach, że pasterze mają na względzie dobro wołów lub owiec, a nie własne lub panów?! I rządcy tak samo myślą tylko o sobie, mają siebie li tylko na względzie. Sprawiedliwy, jeżeli ma do czynienia z niesprawiedliwym, z pewnością zawsze

¹⁾ Wiersz z Pindara. Plato często przytacza w Rzeczypospolitej wiersze z utworów Homera, Hezjoda, Eschylesa, Sofoklesa, Pindara, Simonidesa.

²⁾ Rzeczposp. Rozm. I, str. 11.

przegra. Złodziei i rabusiów, co okradają i zabijają pojedynczych ludzi, publicznie karzą i piętnują; lecz tych, co wydzierają cudzą własność nie cząstkami, ale ryczałtem, takich zdzierców sławią i chwala. Ohydają przeto ludzie niesprawiedliwość jedynie z obawy aby nie ucierpieć od niej. Mowa ta Trazimacha ¹⁾ jednakowo maluje całą nagość rzeczywistości. Sokratesowi, czyli raczej Platonowi nie należało zaprzeczać temu, że istotnie tak się dzieje na świecie, jak powiada Trazimach: lecz należało wykazać, że jakkolwiek sprawiedliwość jeszcze nie panuje, to przecież panować powinna. Tymczasem, naciągając wnioski jeden do drugiego, które przytém niezawsze są dostatecznie uzasadnione, stara się Sokrates zniewolić Trazimacha do uznania, że „sprawiedliwość jest cnotą i mądrością, niesprawiedliwość zaś nikczemnością i nieuctwem“ ²⁾; że siła jest po stronie sprawiedliwości, nie zaś przeciwnie ³⁾; nareszcie, że niesprawiedliwość nigdy nie jest czémś użyteczniejszém od sprawiedliwości ⁴⁾. Rozumowanie Platona zadowolnić nas nie może. Zamiast wykazania, że istniejący stan rzeczy wypływa z przekonañ, jakie przeważnie panują, i że w miarę odmiany przekonañ i sam porządek społeczny uledez musi przeobrażeniu, filozof nasz oddaje się w subtelności dyjalektyczne, które niezawsze się godzą ze zdrowym rozsądkiem ⁵⁾. Taka jest treść wstępu czyli pierwszej księgi.

W drugiej księdze Glaukon rozróżnia trzy rodzaje dobra: 1) dobro, które miłujemy dla niego samego bez myśli o jego następstwach; 2) dobro, które cenimy dla niego samego i dla jego następstw i 3) dobro, które samo przez się jest przykre, ale następstwa jego są pożądane dla nas. Do któregoż więc z tych rodzajów należy sprawiedliwość? zapytuje następnie Glaukon. Sokrates na to odpowiada, że sprawiedliwość należy do tego rodzaju dobra, „które i samo przez się i dla następstw jego miłować powinien każdy, kto chce być szczęśliwym“ ⁶⁾. Większa jednak część ludzi innego jest zdania,

¹⁾ Rzeczposp. Rozm. I, str. 14 i 15.

²⁾ Rzeczposp. Rozm. I, str. 19.

³⁾ Rzeczp. Rozm. I, str. 20.

⁴⁾ Rzeczp. Rozm. I, str. 21.

⁵⁾ Subtelności te dyjalektyczne w tłumaczeniu Bronikowskiego z powodu użycia niestosownych wyrazów jeszcze bardziej rażą. Tam, gdzie Prantl w tłumaczeniu niemieckim (Plato's Staat. Deutsch von K. Prantl. Stuttgart. 1857) daje stosowny wyraz Vortrefflichkeit (doskonałość), Bronikowski stawia wyraz cnota (cnota oczów?); gdzie Prantl używa wyrazu Werkthätigkeit (działalność, czynność), Bronikowski używa wyrazu sprawa (sprawa konia? w znaczeniu działalność konia).

⁶⁾ Rzeczp. Rozm. 2, str. 3.

powiada Glaukon, i w wyśmienitej mowie ¹⁾ wskazuje na pozytywne źródło sprawiedliwości. „Mówią, że z przyrodzenia dobrém jest krzywdzić, być zaś krzywdzonym złém“; atoli biorąc rzecz ogólnie, przykróść być pokrzywdzonym większą jest od przyjemności krzywdzenia. Doznawszy uczucia, jakiego się doświadcza, krzywdząc i będąc pokrzywdzonym, ludzie „uważają za dobre ugodzić się między sobą, aby ani krzywdzić, ani być krzywdzonymi. I od téj to pory podobno ludzie poczęli prawa stanowić i układy pomiędzy sobą i nazywać to, co prawo nakazuje, prawném i sprawiedliwém“ ²⁾.

Nie może to wszakże oczywiście zadowolnić Glaukona, dla którego istnieje świat bezwzględnych idei, a jedną z takich idei jest sprawiedliwość. Trzeba więc to wykazać, i tego domaga się od Sokratesa. Żądanie jego popiera Adejmantus, wskazując, że nawet w naukach udzielanych dzieciom, sprawiedliwość wychwała się nie z powodu jój samój, ale z powodu czci zaszczytów, jakich ona staje się źródłem, albo téż z powodu łask, jakimi mają bogowie wynagradzać sprawiedliwe uczynki. Dziwną jest opinija ludzka w tym względzie. „Wszyscy bowiem jednemi ustami śpiewają, że piękném wprawdzie umiarkowanie i sprawiedliwość, trudném przecież i znojném; rozpusta zaś i niesprawiedliwość słodkiem i łatwém do nabycia, w mniemaniu tylko i w prawie niecném. Użyteczniejszemi nadto od sprawiedliwych niesprawiedliwe poczynania zgoła osądzają, i złych bogaczy i inne władze dzierżących uwielbiać i czcić z gotowością pochopni publicznie i z osobna, owych zaś znieważać i wzgardzać, którzy wždy słabi i biedni są, chociaż wszyscy przyznają, że ci ostatni są lepszymi od tamtych ³⁾. Nawet, podług nauk głoszonych, niesprawiedliwie pozyskane bogactwa dają możność prześlągania bogów i wyślągania sobie u nich dobrej doli na przyszłym świecie.

— Ależ bogów niepodobna ani oszukać, ani zmusić do czego! woła Adejmantus i z pewną ironiją dalej powiada: Otóż jeżeli bogów nie ma, albo ludzkie sprawy wcale ich nie obchodzą, to nie potrzebujemy i my troszczyć się o nich; jeżeli zaś są bogowie i troszczą się o nasze sprawy, to wiemy o tém przecież nie z innego jakiego źródła, jeno od poetów. A cóż poeci nam prawią? Powiadają oni, że bogów można prześlagać ofiarami i stawianiem świątyń. Jeżeli już mamy wierzyć poetom, to wierźmy wszystkiemu; albo téż niczemu wierzyć nie należy. Sprawiedliwymi będąc, nie będziemy wprawdzie karani, lecz odepchniemy od siebie i korzyść

¹⁾ Rzeczp. Rozm. 2, str. 4 i 5.

²⁾ Rzeczp. Rozm. 2, str. 4.

³⁾ Rzeczp. Rozm. 2, str. 7.

z niesprawiedliwości płynącą; postępując zaś niesprawiedliwie, możemy pozyskać bogactwa i przy ich pomocy przebłagać bogów za nasze przekroczenia, a w ten sposób unikniemy i zasłużonej kary¹⁾.

Wpływ takich nauk oddziaływa szkodliwie, i dla tego Adejmantus żąda, aby Sokrates wychwalał w sprawiedliwości: „czém ona sama przez się posiadającego ją wspomaga, gdy niesprawiedliwość go uszkadza“²⁾. Poszukiwanie tego rodzaju nie jest błahe, powiada Sokrates, lecz bystrogo wzroku wymaga. Musimy korzystać ze wszystkiego, co ułatwia nam tę czynność. Jeżeliby komu wypadało na przykład odczytać drobne pismo z daleka, a tymczasem spostrzegłby on, że podobne pismo większe znajduje się gdzieindziej; to „tedy nader w porę okazałoby się to odkrycie, mniemam, aby najprzód to większe pismo przeczytać, potem owe mniejsze obejrzeć, czy jest takie same“³⁾. W naszém badaniu, mniejszém pismem jest sprawiedliwość pojedynczego człowieka; owém zaś większém, sprawiedliwość całego państwa. W ten sposób przechodzi Sokrates do rozważania państwa, zwracając przedewszystkiém uwagę na to, w jaki sposób ono powstaje, zawiązuje się, albowiem „jeżeli widzieć będziemy powstające miasto, i sprawiedliwość jego widzieć będziemy powstającą a również i niesprawiedliwość⁴⁾.

Przyczyną tworzenia się państwa jest to, że ludzie wzajemnie siebie potrzebują. Z połączenia się ludzi w jedną społeczność wypływa już ta korzyść, że ludzie mogą podzielić pracę pomiędzy siebie i wybrać odpowiednią do swego usposobienia. Rozmaite tworzą się zatrudnienia. Ażeby następowała jak się należy wzajemna wymiana wyrobów pracy, potrzebni są kupcy „zwykle najślabsi co do ciała i niezdatni do pełnienia innéj pracy⁵⁾. Potrzebni są téż najemnicy, którzyby sprzedawali użytek ze swéj siły cielesnéj. W takim mieście muszą wszyscy pracować i żyć umiarkowanie, a dzieci nie płódzić więcéj nad dobytek. To są warunki zdrowego państwa.

Wypada téż przyjrzeć się, w jaki sposób powstaje zbytkujące miasto (państwo); a wówczas dostrzeżemy prędzéj, jaki to jest początek sprawiedliwości i niesprawiedliwości. Dopóki w państwie panuje umiarkowanie, dopóty jest ono zdrowém; gdy wkradnie się zbytek staje się ono chorém, nabrzęklém. Takie nabrzękle miasto napełnia się poetami, pieśniarzami, aktorami, tancerzami, dostarczycielami strojów niewieścich i t. p., którzy to wszyscy, podług Platona, sta-

¹⁾ Rzeczp. Rozm. 2, str. 9.

²⁾ Rzeczp. Rozm. 2, str. 10.

³⁾ Rzeczp. Rozm. 2, str. 11.

⁴⁾ Rzeczp. Rozm. 2, str. 11.

⁵⁾ Rzeczp. Rozm. 2, str. 12.

nowią zbyteczny ciężar dla państwa, ponieważ nie produkuje, ięś atoli potrzebują. I przyjdzie do tego, że państwo nie będzie miało dostatecznej ilości produktów do wyżywienia swoich mieszkańców. Zrodzi się naówczas chęć zaboru, zdzierstwa, która przywodzi do wojny, źródła prywatnych i publicznych klęsk. Do prowadzenia wojny niezbędnym jest wojsko. Ażeby to wojsko odpowiadało jak się należy swemu przeznaczeniu, wypada, aby strażnicy, t.j. żołnierze byli łagodni dla swoich, a straszni dla wrogów. Stanie się zaś to ówczas, gdy strażnicy będą mieli świadomość swoich czynów, mądrość, wiedzę. Należy więc ich kształcić i ochraniać od zgubnego wpływu poetycznych utworów, które wyobrażając bogów z namiętnościami ludzkimi, gorszący tylko przykład przedstawiają.

Trzecia księga zajmuje się przeważnie wychowaniem strażników. Ci ze strażników, co wychowaniem usposobieni wykażą się w życiu postępowaniem swoim należycie, zostają rządcami, których najwłaściwiej „nazywać strażnikami zupełnymi tak nad nieprzyjaciółmi z pozewnątrz jak nad przyjaciółmi wewnątrz, ażeby ci tu nie chcieli, a tamci nie mogli złęgo się dopuszczać; młodych natomiast owych, których właśnie strażnikami nazywaliśmy, mianować pomocnikami i obrońcami postanowień rządowych¹⁾“. Obrońcy nie posiadają osobistej własności, mają pożywienie od obywateli, a mieszkają razem oboźnie.

Czwarta księga rozpoczyna się uwagą Adejmantusa, że wskazany przepis życia dla obrońców pokrzywdza ich w stosunku do innych członków społeczeństwa, ponieważ usuwa od uciech dostarczanych przez bogactwo, a tymczasem w ich to właściwie rękach losy państwa spoczywają. Na to Sokrates odpowiada, że dbać wypada o szczęście całego państwa, a nie pojedynczej tylko klasy; przytęm strażnicy, jeżeli mają zachować swój właściwy charakter, powinni tęż prowadzić właściwy sobie tryb życia, a to tęm bardziej, że od nich zależy byt i pomyślność państwa. Nadto, bogactwo i niedostatek szkodliwy wpływ na ludzi wywierają: „bogactwo wyradza rozkosz, lenistwo i żądę nowości; niedostatek zaś sprowadza obozwdanie myśli, lichą pracę i również żądę nowości“²⁾. Nierównomierny podział bogactwa rozdwa państwo, albowiem usposabia woję bogatych i ubogich względem siebie.

Jednolitość państwa stanowi ważny warunek. Wytwarza ją podział pracy, króry na tęm zależy, aby każdy częmkolwiek jednę się zajmował. Zamiast stanowienia tu wielu przepisów, damy jeden

1) Rzeczp. Rozm. 3, str. 22.

2) Rzeczp. Księga 4, rozdz. 2.

najprostszycy, ale dostateczny, to jest dany wszystkim wychowanie i opiekę. Ludzie z dobrą wykształceniem będą wiedzieć, co należy się im robić. Doskonałe państwo jest mądrem, odważnym, umiarkowanym i sprawiedliwym: mądrem, bo ma dobrze usposobionych rządców; odważnym, bo posiada dzielnych obrońców; umiarkowanym, bo wszystko w nim dzieje się zgodnie, harmonijnie; sprawiedliwym, bo każdy obraca się we właściwym swym zakresie czynności. Przeciwnie, zajmowanie się wieloma naraz rzeczami i kolejne przechodzenie od jednego do drugiego zajęcia, sprawia wielką szkodę państwu, a to stanowi niesprawiedliwość.

Poznawszy, czym jest sprawiedliwość w większym, t.j. państwie, zobaczmy, czy nie jest tym samym i w mniejszym, t.j. w każdym człowieku oddzielnie. Zapewne, że jest tym samym: albowiem trzy stany główne w państwie i ich czynność wypływają z psychicznego usposobienia ludzi. Jeżeli w jakim narodzie przeważa pewny stan, to przeważa tam i odpowiednie mu usposobienie, np. odwaga, męstwo u Traków i Scytów; chęć wiedzy, mądrość u Greków; żądza zysku u Fenicyjan i Egipcyan. W duszy ludzkiej widzimy też trzy stany: żądzę, ograniczający ją rozum i za wskazówką jego postępującą odwagę¹⁾. Sprawiedliwy człowiek podobny jest do sprawiedliwego państwa. W państwie każdy postępuje odpowiednio swemu przeznaczeniu, i w duszy człowieka sprawiedliwego każda władza wypełnia właściwą swoją czynność. Odwaga czyni człowieka męznym, rozum mądrym. Zgodność pomiędzy tym, co powinno panować (rozum), i tym, co ulegać rozumowi winno (męstwo i żądza), stanowi umiarkowanie (σωφροσύνη). Jeżeli zaś stosunek tych władz się odmieni, to powstaje niesprawiedliwość. Sprawiedliwość można porównać do zdrowia, niesprawiedliwość do choroby. Pożytek wypływający ze sprawiedliwości jest widoczny, albowiem prowadzi ona do doskonałości, na którą składają się zdrowie, piękno i należyty stan duszy; niesprawiedliwość zaś popycha do nikczemności, a o niej sądzić możemy z tego, czym jest choroba, sromota i słabość.

Wyjaśniliśmy w ten sposób, czym jest sprawiedliwość, Sokrates przystępuje do wykazania, jakim powinno być państwo sprawiedliwe w całym swym ustroju. Tym rozpoczyna się piąta księga. Mówi w niej Sokrates o stosunku kobiet do mężczyzn, o małżeństwie, o dzieciach, o uniknięciu niezgody, której główną przyczyną jest różnica, jaka zachodzi pomiędzy moją i niemoją. Pomędzy

¹⁾ Plato obrazowie przedstawia w Phedras stosunek wzajemny tych trzech władz: odwaga i żądza są to dwa rumaki zaprzężone do wozu, a rozum jest woźnicą (Rozdz. 25 i 34).

Hellenami niezgoda nigdy do wojny doprowadzić nie powinna. Potępia dzikie obyczaje wojenne, jako obdzieranie trupów, pustoszenie ziemi, palenie domów. Pozwala tylko zabierać z pola niezebrane jeszcze zboże (jednoroczne żniwo).

Wzór taki doskonałego państwa, jaki przedstawia Sokrates, nigdy, zdaniem jego, urzeczywistnić się w zupełności nie da; pomimo tego atoli wypada starać się o ile można zbliżyć się do niego. A stanie się to możliwém wówczas, gdy rządzcami kierować pocznie zamiłowanie wiedzy.

Księga szósta określa stanowisko, jakie w państwie zajmować powinni ci, co miłują wiedzę, mądrość, słowem — mędracy. Oni rządzić powinni, ponieważ lęklive i niewolnicze przymioty nie mogą się godzić z miłością wiedzy, która wykazuje, jaką jest istotna wartość życia, i która niszczy obawę śmierci. Mądrość idzie razem z umiarkowaniem. Wszakże i mędracy potrzebują innego państwa, niż jakie obecnie istnieje, ponieważ inaczej nie będą mogli oprzeć się wpływowi otoczenia. Dotąd nie było przykładu, aby prawdziwy mędrzec został władzcą; gdyby stał się podobny wypadek, inaczejby sądzono o mądrości.

Daléj Sokrates, zastanawiając się nad tém, jakiego rodzaju wykształcenie powinni otrzymywać strażnicy, powiada, iż muszą oni koniecznie stanąć na najwyższym stopniu wiedzy, t.j. poznać ideę dobra, która tém jest dla myślenia, czém światło dla wzroku. Idea dobra jest źródłem prawdy i wiedzy i jest wyższą od nich. Jak słońce, które nietylko czyni możliwém widzenie tworów, ale przyczynia się do ich powstawania, wzrostu i życia, tak i dobro, przyczyniając się do poznania przedmiotów, stanowi téż równocześnie o ich bycie i treści.

Przechodzimy do siódmej księgi. Idea dobra ma i z tego względu podobieństwo do światła, że olśniewa, jeżeli wzrok pozostając w ciemności, ujrzy ją naraz. Zachodzi jeszcze i inne podobieństwo. Oko przyzwyczajone do światła nie może rozeznąć w pierwszej chwili w ciemnościach; tak samo i ci, co dostąpili spoglądu boskiego, gdy następnie zwrócą się do lichoty ludzkiej, zanim nie przyzwyczają się do niej, zaledwie z innymi porozumiewać się mogą. Z tego powodu konieczném jest, aby rządcy, jeżeli mają być użytecznymi dla ludzi, poznali dokładnie i światło i ciemności.

Następnie opowiada Sokrates, w jaki sposób wypada wybierać i kształcić przyszłych rządców. Wybór odbywa się z całą ścisłością i powtarza się kilka razy.

Przekształcenie państwa najłatwiej i najprędzej da się osiągnąć, jeżeli starszych nad 10 lat wyszlemy z miasta, a młodsze dzieci zabierzemy i wykształcimy po swojemu.

Poznawszy dobrze urządzone państwo, należy rozpatrzyć się w istniejących ustrojach, ażeby przekonać się, czy najlepsze państwo jest też i najszcześniejszym, a najgorsze najnieścieńszszym. Tém się zajmuje ósma księga. Cztery rodzaje państw dają się rozróżnić: tymokratyczne, oligarchiczne, demokratyczne i samowładne. Najbliższém do ideału jest tymokratyczne, np. owe od wielu chwalone kreteńskie i lacedemońskie państwo, najdalszém zaś od ideału despotyczne. Urządzenia państwowe odpowiadają charakterom ludzkim, [albowiem „nie powstają one z dębu lub ze skały, ale z istniejących obyczajów w państwach“ ¹⁾]. Jest pięć kształtów państwowych i tyleż jest usposobień ludzkich (właściwości duszy). Najdoskonalszemu ustrojowi, jakim jest arystokratyczny, odpowiada usposobienie dobre i sprawiedliwe.

Gdy w arystokratycznym ustroju wszczynają się waśń pomiędzy rządcami i ich pomocnikami, wówczas wytwarza się tymokracja. A niezgoda następuje wskutek tego, że dzieci rodzą się nie we właściwym czasie; trzeba albowiem wiedzieć, że podług mistycyzmu arystokratycznego Platona, już samo fatum uswięca nierówność istniejącą pomiędzy ludźmi. Z niezgody wyrodziła się chęć zaboru, posiadania, — a to doprowadziło do osobistej własności. Tymokracja z jednej strony zachowała w sobie niektóre dobre ustanowienia arystokratyczne, z drugiej zaś strony zbliżyła się w wielu urządzeniach do oligarchii. Do dobrych pozostałości wypada policzyć to, że rządców mają w poszanowaniu; że stan wojowniczy powstrzymuje się od rolnictwa, rzemiosł i zysku pieniężnego; że istnieją wspólne obiady, oraz ćwiczenia gimnastyczne i wojenne.

Widzimy z tego, że Plato, budując doskonałe swe państwo, zwracał się ustawicznie myślą ku instytucjom doryckim w Lacedemonii i na Krecie, jak sam powiada, wychwalanym od siebie ²⁾. Daje się to poczęści tém tłómaczyć, że wobec anarchii, jaką wytwarzała ruchliwa i niekarna demokracja ateńska, — moc państwowa Spartańczyków i przewaga, jaką zyskali oni w całej Grecji, zastanawiały nieraz naszego mędrca i zmuszały umysł jego do szukania przyczyn tego zjawiska. Tu spotykał się on z powszechném przekonaniem, że podstawą siły państwowej Spartańczyków są instytucje przez Likurga wprowadzone; a odstępstwo od których, stało się, jak mniemano, przyczyną rozpoczynającego się rozstroju i upadku.

¹⁾ Rzeczp. Ks. VIII, rozdz. 2.

²⁾ Znowu w inném miejscu w liczbie dobrze urządzonych państw, najpierwszą przytacza Lacedemoniję. Rzeczp. Ks. X, rozdz. 3.

Tymokracja w tem oddala się od ustroju arystokratycznego, że panuje w niej obawa, aby mędracy nie zostali rządcaami; zbliża się zaś do oligarchii z powodu przewagi, jaką posiada w niej męztwo, i wielkiego znaczenia, jakim zaszczyca własność, mienie. Przewaga męztwa rozwija wojowniczość i ambicyą obywateli.

Państwu tymokratycznemu odpowiedni człowiek posiada dość zarozumiałości; chociaż miłuje oświatę, najczęściej wszakże bywa nieokrzesany; chętnie słucha, co mówią, ale sam żaden mówca; z niewolnikami nie obchodzi się tak jak człowiek światły, który w obejściu się z nimi zachowuje zawsze godność, ale dziko, gwałtownie; za to ze swobodnymi obywatelami bywa łagodny, a wobec rządców zanadto uległy; przytem chciwy jest władzy, honorów, lubi ćwiczenia gimnastyczne i myślistwo. Z latami wzrasta w nim zamiłowanie pieniędzy, a to bywa skutkiem wpływu najbliższego otoczenia, jako to: matki i niewolników. Plato kreśli tu wysmienity obraz tego wpływu.

Łatwo przekonać się możemy, że z tymokracji powstaje oligarchia, gdy chęć zysku przed wszystkim górować poczyną. Ustrój państwa oligarchicznego opiera się na szacunku majątkowym i panującym stanem są bogacze, biedni nie mają żadnego udziału we władzy. Bogactwo ceni się więcej od mądrości. Wady takiego państwa są liczne. I tak: nie znajomość rzeczy stawia ludzi u steru władzy, ale bogactwo; w łonie jednego społeczeństwa (państwa) właściwie są dwa społeczeństwa (państwa), nieprzyjaźnie względem siebie usposobione, bogaczy i ubogich; stan panujący prowadzić wojny sam nie jest w stanie, a musi mieć najemników, — stając zaś sam do walki, uniknąć nie może, aby nie wykazał swęj liczebnej słabości; obywatele takiego państwa nie są zdolni do pieniężnych ofiar, ponieważ miłują pieniądź. Możliwość sprzedawania własności prowadzi do tego, że wytwarza się stan w państwie, który w niczem do jego podtrzymania nie przyczynia się, albowiem nie posiada ani żadnego zajęcia, ani żadnych środków. Bogacze również bywają tylko z pozoru czémś, w rzeczywistości zaś niczem innem jeno zjadaczami gotowego. W takim państwie muszą być żebracy. „A oczywista, że gdy ujrzysz w jednym miejscu żebraka, to niezawodnie są w tym kraju w innym miejscu ukryci złodzieje i rzezimieszki, świętokradzcy i złoczyńcy wszelkiego rodzaju“ ¹⁾. I przyczyną tego wszystkiego jest brak oświaty i opieki, oraz zły ustrój państwa.

Oligarchii odpowiada człowiek rozmiłowany w pieniądźach, chciwy zysku, pracujący nad nagromadzeniem bogactwa. Plato wychowany

¹⁾ Rzeczposp., ks. VII, rozdz. 7.

w państwie, gdzie pracę głównie wykonywali niewolnicy, nie rozumiał jej doniosłości¹⁾, sądząc, iż pobudką jej jedyną jest chęć zysku, i z tego powodu z lekceważeniem mówi o pracowitości i oszczędności—tych ważnych dwóch zdobyczach wyższego uobyczenia.

Bogacze, skupując majątki, pobierając ogromne odsetki od kapitałów, — czemu, sądzi Plato, można w części zapobiedz, pozostawiając zobowiązania dobrej woli dłużnika, a co najzupełniej jest mylném, jak dowiodła ekonomja polityczna, — bogacze, zgromadzając w ten sposób coraz większe zasoby do mniejszej ilości rąk, ogołacają z mienia wielu obywateli, a nie mając sami zdolności do rządów, wzbudzają w biedniejszej części społeczeństwa przekonanie, że możni, panowie, nic nie warcą. Powziąwszy takie przeświadczenie, większość korzysta ze sprzyjających okoliczności, wydziera z rąk bogaczy władzę i sama staje u steru państwa. W ten sposób powstaje demokracja. Daje ona wszystkim równy udział w rządzie, a z tego powodu najczęściej urzędy za pomocą losowania obsadzone bywają. W demokratycznie urządzonej państwie wszyscy są swobodni; każdy może mówić i czynić co mu się podoba. Z tego powodu każdy wybiera zajęcie podług swojej woli i urządza życie stosownie do własnego upodobania. Wytwarza to wielką pstroczinę i jaskrawość, co dla płytko patrzących wydaje się wspaniałém. Idąc w postępowaniu swoim zawsze za własną wolą, ludzie wpadają w dowolność. Przy takim ustroju daje człowiekowi znaczenie nie rzeczywista wartość, ale schlebianie tłumom. Równi i nierówni wszyscy zostają jednakowo równymi.

Jakież usposobienie człowieka odpowiada demokratycznemu ustrojowi społeczeństwa? Żądze bywają albo niezbędne, albo też zbytne (chucie). Niezbędne są natenczas, gdy są potrzebne, pożyteczne, gdy je usunąć niepodobna. Przeciwnie się dzieje z chuciami. W oligarchii panują żądze niezbędne nad pracowitym i niezbędnym obywatelem; w demokracji zaś biorą przewagę chucie, albowiem zaniedbano naukę, a dusza pozbawiona jest pięknych dążeń i prawdziwych zasad. I zowie taki człowiek swawolę — dobrem wychowaniem, nieporządek — swobodą, marnotrawstwo — wspaniałością, bezwstyd — odwagą i naodwrot uczucie wstydu — prostactwem, umiarkowanie — niemęzkością i t. p. Życiem jego nie kieruje porządek i konieczność, ale zachcenia wszelkiego rodzaju.

Oligarchja opierała się na bogactwie, i zbytek bogactwa ją zgubił; demokracją zaś gubi zbytek swobody, którą ona za swą podstawę uznaje. Niedosć, że uległość władcom powszechnie ośmie-

¹⁾ Naprzykład: ręczną pracę nazywa sromotą. Rzeczp., ks. IX, roz. 13.
<http://rcin.org.pl>

wają jako niewolnicze usposobienie; lecz dzieci uważają siebie za równych z rodzicami, młodzieńcy z ludźmi dojrzałymi, a starcy zniżyć się starają do młodzieży. Swoboda pospólstwa sięga już najwyższego szczebla, gdy niewolnicy kupieni jednakową swobodę posiadają, jak i ich kupcy¹⁾. Szał swobody ogarnia nawet zwierzęta, które, jak widzimy na koniach, swobodnie i dumnie idą, wierzgając na tych, co z drogi im nie ustępują²⁾. Taka wszakże swoboda wpływa źle na duszę, czyni ją albowiem miękką, niezdolną do najmniejszego przymusu, chociażby wynikiem był prawa. Wówczas z demokracji wyradza się despotyzm; a powstaje w tej chwili, gdy lud przy trwających rozterkach, podejrzewając bogaczy o złe zamysły względem siebie, powierza władzę nad sobą jednej osobie. Z początku okazuje się ta osoba bardzo łagodną, nie szczędzi obietnic, podchlebia ludowi, a tymczasem rozpoczyna i podtrzymuje wojny w tym celu, by naród ciągle potrzebował przewodnika, a tymczasem zwolna usuwa wszystkich, co mogą mu opór stawiać. Władcy ci, mając sprzeczny interes z narodem, muszą szukać obrony i pomocy w zbrojnych orszakach cudzoziemców i wyzwolenców. Pomimo tego wychwalają taką władzę poeci, jak np. Eurypides.

Dziewiąta księga rozpoczyna się od pytania: jakiego usposobienia człowiek odpowiada samowładnemu państwu? Ażeby dać należytą odpowiedź, Sokrates zwraca się do badania duszy. Z pomiędzy niepotrzebnych żądź są niektóre występne, a są to owe brzydkie, które się objawiają w zwierzęcej, dzikiej części duszy, gdy rozumna i spokojna pogrążona jest we śnie³⁾. Dziki szał opanowuje człowieka odpowiedniego despotycznemu ustrojowi. Włóczy się taki człowiek z nierządnicami po nocach i trawi swój czas w pijanństwie i rozpuście. Dochody tymczasem coraz się zmniejszają, poczyną więc taki marnotrawca pożyczać. A gdy napotyka i w tém trudności, oszukuje i okrada rodziców. Nareszcie, aby mieć czém zadawałniać swe chucie, nie przebiera już w środkach, puszcza się na złodziejstwo i łupieztwo. Nic nie ma dlań świętego, nawet Ojczyzna. W człowieku tym rozumna część duszy przestaje działać.

W przytoczonym opisanu czterech ustrojów państwowych napotyamy wiele prawdziwych spostrzeżeń, chociaż i błędnych poglądów niebraknie. Źle usposobiony dla demokracji Plato, nie dojrzał jej dobrych stron i rzucił fałszywe światło na to, co widział. Do-

1) *Contradictio in objecto.*

2) Nie jest to ironja, ale dość upowszechnione podówczas przekonanie.

3) Cycero znowu zapożycza cały ten ustęp o czynności sił duszy w *De divin.* I, 29.

wolność oznaczył jako wolność, chociaż jemu to należy właściwe wykazanie, czém tu jest ostatnia. Doktryner — patrzył w rzeczywistość jemu społeczną i przeszłą przez szkła jego systematu. A tymczasem, podług zdania historyków, właśnie społeczna mu demokracja nie samemi tylko wadami świeciła i porównanie jój z innymi ówczesnymi kształtami ustroju państwowego stanowczo na korzyść jój wypada. Demokracja to ateńska największém odznaczyła się bohaterstwem, odrzucając najezdnicze tłumy Persów, i demokracja to też ateńska wzbogaciła skarbnicę wiedzy najświetniejszymi płodami umysłu.



STARY DZIAD.

Przez

FRANCISZKA GUMOWSKIEGO.

Dziś ze mnie już wszyscy — i dzieci się śmieją,
Żem siwy jak gołąb i stary jak dziad —
I szydzą. . . . O Panie! krzep starca nadzieją,
By w duszę mą zwątpień nie wśliznął się gad.

Śmiejcie się, ha, śmiejcie, bo śmiać się możecie,
Że białą żar słońca wypala mi skroń,
Że nędzne łachmany wiszą mi na grzbiecie,
Że kostur żebraczy piastuje ta dłoń. . . .

Lecz mówię, powoli — do kroćset, powoli!
By czasem daleko nie zawiódł was żart;
Od śmiechu, trucizny, zarówno pierś boli,
A przecie śmiech karłów to gorsza jak czart. . . .

Ta ręka dzierżyła żelazo przed laty,
To czoło błyszczało purpurą ze krwi;
Na barkach stalowe chrzęszczały mi szaty,
Iskrami piorunów sypałem z tych brwi. . . .

A dzisiaj. . . . O Chryste, dziś z starca się śmieją;
Lecz niechno usłyszę melodyj mych grad,
I niechno me piosnki zanucą, zapieją,
Pokażę, do kroćset, żem jeszcze nie dziad!

KOBIETY HISTORYCZNE

PRZEZ

XAWEREGO LISKEGO.

II.

MARYA I ELŻBIETA.

Któżby z nas nie znał Maryi Stuart Słowackiego, któżby z nas nie podziwiał choć raz jeden p. Modrzejewskiej w tytułowej roli królowej szkockiej, w tragedyi wielkiego Schillera? Znaną więc, przynajmniej z poezyi postać zamierzam przedstawić łaskawym czytelnikom w tym krótkim obrazku, postać, którą poezya i współczesna i późniejsza więcej może się zajmowała, jak którąkolwiek inną. Leez i historia bynajmniej nie zapomniała o losach królowej szkockiej i jej rudowłosej, o orlim nosie rywalki angielskiej i ona dostarczyła nam bądź to bogatych dla ocenienia ich materyałów, bądź opracowań przedstawiających nam postacie te coraz to w inném świetle.

W ostatnim czasie pojawiły się dwie mianowicie Maryi dotyczące prace: jedna obszerna, trzytomowa Francuza Juliusza Gauthier, który umyślnie jeździł do Szkocyi i Anglii, aby zwiedzić wszystkie miejsca, w których żyła i bolała Marya — druga szczyplejszych rozmiarów Niemca Jana Scherra¹⁾. Na zasadzie tych prac będziemy się starali naszkicować czytelnikom naszym obraz zajmujących tych postaci kobiecych, oraz i owego wielkiego sporu, który wrzał między nimi a który się zakończył niestety śmiercią nieszcze-

¹⁾ J. Scherr, Farrago. Lipsk, 1870.—J. Gauthier, Histoire de Marie Stuart. Paryż 1869.

śliwej, przez tylu uwielbianej i tylu nienawidzonej pięknej królowej szkockiej.

Jeżeli ludzi bez wiadomości i sądu, w których oczach wielki Kromwell nie jest niczem innym jak buntownikiem i uzurpatorem, genialny Byron zawsze jeszcze tylko głową „szatańskiej szkoły“, a szlachetny, ujmujący Shelley tylko „niewiernym potworem“, jeżeli tacy ludzie w Anglii aż do szaleństwa posuwają adoracją owę „dziewiczej Queen Bess“, to dziwić się temu nie można, bo adoracya Elżbiety jest po prostu narodowym zabobnem Anglików; lecz jeżeli nawet pisarze naukowci, jak świeżo Dixon, tak samo liczą się do szeregów bijących czołem przed majestatem i świętością tój Elżbiety, wtedy warto może zajrzeć głębiej w powody tój choroby angielskiej.

Zaraz na samym czele nasuwa nam się powód powszechno-ludzki, a mianowicie ten, że Elżbiecie wiodło się świetnie. Ponieważ więc była szczęśliwą, musiała się wszystkim współczesnym i potomnym wydać wielką. Gdyby nie była miała szczęścia, mówiłoby się naturalnie zgoła inaczej o rudowłosej, o orlim nosie córce Henryka VIII. Opatrzność postawiła ją na miejscu, na którym ona, która przez całe swe życie w głębi serca była katoliczką a przytém namiętnie oddaną romantyczno - despotycznemu systemowi polityki, uchodzić mogła a nawet musiała za naczelnikę protestantyzmu i germanizmu. Jest to jedna z owych wcale nie rzadkich ironij w dziejach powszechnych, że ta nieubłagana o kamiennem sercu kobieta, traktująca parlamenty swe tak jak na to zasługiwały t. j. jak zgraję lokaj, jak senaty Tyberiusza, pierwszego lub trzeciego Napoleona — że ta niezrównana kobieta, nieprzebaczająca nigdy rzeczywistego lub pozornego uchybienia przeciw próżności swęj aż do szaleństwa posuniętej — że ta goniąca za płcią brzydką niedziewica, utrzymująca stosunki miłosne z Seymourem, Leicestrem, Hattonem i Simierem a jeszcze w podeszłym wieku strojąca obrzydliwe umizgi do Essexa — że ta chciwa panowania kobieta, z wściekłością furji mszcząca się za każdy podryw w celu ukrócenia jęj absolutnej władzy — że ta krwawa prześladowczyni nonkonformistów, niechęcą się poddać papiestwu angielskiej papieżycy Elżbiety, mimo to przez świat współczesny i potomny uważaną bywa za jedną z najmędrszych monarchin, za wzór moralności i taktu, za, jak jęj Shakspeare podchlebia, zgoła niepokalaną lilię (*a most unspotted lily*), za reprezentantkę i bohaterkę germańsko-protestancko-parlamentarnej zasady ruchu, naprzeciw romantyczno-katolicko-absolutystycznemu zastojowi — i to z wielkimi pozorami prawdy i słusności. *Le succès*

justifie tout, w owym ogromnym sukcesie zaś, jaki w owęj wielkiej walce XVI stulecia odnosiła reforma, musiała Elżbieta brać udział, już jako córka Anny Boleyn. Że zaś skutkiem wielkiego swego uzdolnienia politycznego mogła w niej uczestniczyć, to w oczach niepartycyalnych sędziów jedynie stanowić może dla niej prawo do chwały przyszłości. Nie była ona zdolną do inicjatywy, nie umiała torować i uprzętać dróg dla przyszłych wieków, lecz miała ona w sobie znaczny zapas tego materiału, z którego dzieje narodów wyrabiają dla siebie bardzo użyteczne narzędzia, aby za pomocą ich w ważnych epokach obrabiać ową ciężką, nieruchliwą bryłę, człowieka, zaprządź go w jarzmo przed pługiem postępu i pędzić go naprzód. Aby poddać zadaniu takiego poganiacza ludzkości, na to niezbędnie potrzeba znakomitej dozy despotyzmu bez skrupułów, a to z tego powodu, ponieważ owa bryła, jak wiadomo, nie chce być ani przekonaną ani pouczoną, lecz zmuszoną i pogwałconą; Elżbieta zaś była despotką nie tylko bez skrupułów, ale nawet ze szczęściem. Jeżeli atoli ściagniemy z niej nimbus jej dziejowego stanowiska, zasługi i szczęścia, jeżeli spojrzymy na nią po prostu jako na człowieka, wtedy zobaczymy, że nie obudza ona ani szacunku, ani przywiązania, ani miłości.

Drugi powód, a nawet może główny, adoracyi, którą w Anglii okadzano i okadzają Elżbietę, leży pewnie w tém, że ona to jest prawdziwym prototypem angielskiej obłudy, świętoszkowatości i tego, co w Anglii zowią „*respectability*“. Więcej chytręj, śmiałej i konsekwentnej kobiety od niej nie znamy w dziejach świata. W niej to widzimy personifikacją maxymy: *Qui nescit dissimulare, nescit regnare*. (Kto nie umie udawać, nie umie panować). Jak zatem próżność narodowa Francuzów adoruje siebie samą w takim Ludwiku XIV lub Napoleonie I, tak adoruje świętoszkowatość Anglików siebie samą w osobie królowej Elżbiety.

Trzeci dalej powód tej niepohamowanej, przesadnej adoracyi spoczywa bez wątpienia w tém, że losy jej sprzęgły się nierozzerwalnym węzłem z losami jej kuzynki Maryi Stuart, królowej szkockiej. Namiętność, wina i nieszczęście szkockiej Maryi stanowią ową ciemną podstawę, na której świętoszkowatość, chytrość i szczęście Elżbiety występują w tém świetniejszych kolorach. Elżbieta w każdym względzie odniosła zwycięztwo nad rywalką swą, której ostatecznie i głowę ściać kazała, a więc jakoś koniecznie żadną miarą o prawie jej wątpić nie można, boć siła jest przeciw prawem.

Świetne uzdolnienie, połączone ze szczęściem niestłuchanem, zjednało Elżbiecie ogromne rzeczywiście sukcesy tak na polu wewnętrznej jak zewnętrznej polityki i zrobiło z niej fundatorkę później-

szej sławy i wielkości Anglii, a w tém szukać należy czwartego, może najważniejszego powodu dzisiejszej adoracji dla niej. Panowanie jój łączy jeszcze po dziś dzień dumę narodową Anglików, widzą oni w niej tylko wielką na zewnątrz monarchinię, a zapominają zupełnie albo raczej nie chcą widzieć brudnych, czarnych plam jój osobistego charakteru. Że zaś właśnie ten osobisty charakter w stosunku jój do Maryi przeważną odgrywać musiał rolę, że nam skutkiem tego tutaj więcej chodzić musi o charakter Elżbiety jako człowieka, a mniej jako monarchy, dla tego sąd nasz o niej wypadł tak ze wszech miar niekorzystnie.

Od walki, którą dwie królowe frankońskie Brunhilda i Fredegunda toczyły z sobą, nie było w dziejach tak dramatycznego sporu, jak ten, który wszczęły z sobą angielska Elżbieta i szkocka Marya; pod względem dziejowej doniosłości zaś wojna kobiet królewskich z XVI wieku wznosi się o całe niebo po nad walkę z VI.

I Marya bowiem reprezentuje zasadę i ona tak jak Elżbieta jest historycznym charakterem. Byłby to sąd i powierzchowny i niesprawiedliwy, gdybyśmy w Maryi widzieć tylko chcieli kobietę spragnioną i potrzebującą miłości, kobietę oddaną tylko zmysłowym wrażeniom. Bez wątpienia zmysłowość nieraz w niej odgrywała rolę, lecz tylko oszczerstwo mogło ją napiętnować nazwą Sybarytki i Bacchantki. Była ona niewątpliwie mniej kokietką, niż Elżbieta, a jeżeli angielskiej królowej stosunki przemocą weisnęły w rękę sztandar protestantyzmu i nowożytnej idei państwa, to tak z powszechnego położenia jak z osobistych stosunków wynikające motywa zrobiły z Maryi reprezentantkę katolicyzmu i średniowiecznej romanetyki. Jako kuzynka Guizów, jako wdowa po najstarszym synie Katarzyny Medicei, jako według zasad legitymizmu jedynie uprawniona spadkobierczyni tronu zajmowanego przez „heretykę“ Elżbietę, musiała Marya koniecznie zająć przeważne stanowisko w owęj olbrzymiej kombinacji, która w ostatnich dziesiątkach lat wieku XVI złączyła w jeden wielki, zwarty obóz cały niemal świat katolicki.

Mimo to Marya Stuart daleką była od religijnego fanatyzmu. Trzymała się szczerze wiary swych ojców a tém mniej czuła w sobie skłonności, aby się wyrzec ich zapatrywań i zwyczajów, jeżeli spojrziała na stan ówczesny a przede wszystkim na początek kościoła anglikańskiego, owego (w przeważnej przynajmniej części) dzieła krwiożerczego tyrana, rozwiozłego Sybaryty, okrutnego mordercy kobiet, Henryka VIII. Mimo odrazy atoli, jaką kościół ten obudzał w Maryi, jednak nie posuwała ona katolicyzmu swego do fanatyzmu,

tak samo jak i Elżbieta w gruncie serca nie była bynajmniej fanatyczną protestantką. Jak dla Elżbiety protestantyzm był li tylko elementem politycznym, tak i Marya w przywiązaniu swém do katolicyzmu uwzględniała więcej element polityki, jak fanatyzmu.

Ani więc poządliwość zmysłowa, ani religijny fanatyzm nie wpływały bezwzględnie na myśli i czyny Maryi. Najkardynalniejszym motorem jęj całej istoty była natomiast niepohamowana, namiętna chęć znaczenia, paląca i trawiąca, odzywająca się aż do ostatniej chwili życia ambicya być wielką kobietą, wielką królową.

Zkad ambicya ta w nięj powstała? Oto z głębokiego jęj przeświadczenia o swém z łaski bożęj królestwie. Aż do ostatniego technienia Marya głęboko wierzyła w swe dynastyczne prawa, które na jęj skroni były powinny złożyć koronę Elżbiety — my zaś nic zgoła dziwnego znajdować w tém nie możemy. Jeżeli bowiem, jak to być powinno, postawimy się, osądzając kwestję tę, na stanowisku monarchicznego legitymizmu, przyznać koniecznie musimy, że Maryi, jako prawowitęj wnuczce Henryka VII, do korony angielskięj przysługiwało o wiele słuszniejsze prawo, jak Elżbiecie, naturalnej tylko wnuczce Henryka VII, owocowi podwójnego cudzołóztwa, przez własnego ojca a na rozkaz jego przez parlament uznanej także formalnie za nieprawę dziecko.

Dla ogromnej dumy Elżbiety właśnie w stosunku jęj do Maryi musiało przeważną a upakarzącą ją rolę odgrywać poczucie, że mimo wszelkich prawnych i filozoficznych wywodów pozbyć się nie mogła plamy wyciśniętej na jęj urodzeniu. Ona, kobieta z tak byстрыm i jasnym rozumem, czuć musiała dobitnie, ile korzyści właśnie ta zmaza nadaje Maryi, ztąd owa paląca nienawiść do nięj, jaka od samego początku napełniała aż po same brzegi serce Elżbiety.

W ten sposób i Schiller pojmował stosunek dwóch tych kobiet królewskich, z wielką więc trafnością, kładzie on przy końcu czwartej sceny trzeciego aktu w usta wzburzonej do żywego Maryi te groźne słowa:

Królów angielskich tron bękart znieważa,
Lud od chytrego zwiedziony kuglarza!
Gdyby praw świętość rządziła tym krajem,
Pyłbyś przede mną zmiatała kolanem.
Bom ja tu królem i ja twoim panem!

Skrajne stronnictwa stosownie do swych zapatrywań robiły święte, jedne z Elżbiety, drugie z Maryi. Ani jedna ani druga nie

mają bynajmniej styczności ze świętością. Marya jest pierwotnie szlachetniejszą naturą, Elżbieta mędrszym od samego początku politykiem. Marya wszędzie i zawsze, w miłości i w nienawiści jest kobietą, całą kobietą, kobietą z namiętną duszą, namiętném, gorącym uczuciem, ognistą jak lawa krwią; Elżbieta zaś w naturze swój ma coś dwoistego, coś z rodzaju hermafrodytów, ni to cała kobieta, ni to mężczyzna.

Te dwie tak blisko z sobą pokrewnione kobiety, już skutkiem urodzenia swego stały się nieprzyjaciołkami tak wrogimi, że na wyspie brytyjskiej nie było dość miejsca dla nich dwojga i że przez tyle lat prowadzony między nimi spór zakończyć się mógł tylko śmiercią jedną z nich.

Elżbieta (ur. 7 września 1533) miała o dziewięć lat więcej od Maryi (ur. 8 grudnia 1542). Obie odebrały owe wychowanie skierowane przedewszystkiem do znajomości języków, które w epoce renesansu zwykle dawano wielkim paniom. Obie prócz ojczystego języka mówiły dość biegle po łacinie, francusku i włosku; Elżbieta знаła jeszcze nawet prócz tego języki grecki i niemiecki, lubiła popisywać się uczonością swą a próżność jój wymagała po każdym, żeby wierzył, że nikt nie ma tak pięknych rąk, jak ona, że nikt tak zręcznie nie gra na lutni, nikt z taką gracyą nie tańczy jak ona. Zewnętrznie postawa jój była imponująca, majestatyczna, lecz pięknością w rzeczywistości bynajmniej się nie odznaczała. Podchlebcy chwalili jój „złote“ włosy, w rzeczywistości zaś były one po prostu rude. Bładoniebieskim, wodnistego koloru oczom jój zbywało na owym czarującym powabie dobroci i łagodności kobiécój. Wielki orlnos, usta zmysłowo wywrócone z lekkim cieniem fałszu w kątach, broda mięsista, gruba — wszystkie te rysy znamionowały więcej męskie, jak kobiécie właściwości a niewątpliwie nie miały w sobie nic powabnego. Jako prawdziwa kokieta lubiła się Elżbieta ubierać uderzająco, panujące mody jeszcze jój nie wystarczały, zwykle je przesadzała. Jeszcze w podeszłym wieku ubierała się jak młoda dziewczyna; jedném słowem była to nie bardzo ujmująca mieszanina męczyzny i kobiety z obliczającą, zwykle obłudną polityką i chęcią podobania się bez serca, z dumą niepohamowaną, szatańską; lecz dla świata takiego, jakim jest, jakby stworzona, podstępna, chytra, wytrwała, nigdy w kłopotcie o drogi i środki, mistrzyni w sztuce zachowywania pozorów, bez skrupułów sumienia, jeźli chodziło o jój lub kraju potęgę, ale też i nieraz jeźli chodziło tylko o jój próżność. Z twardój i gorzkiej szkoły młodości wyszła Elżbieta jako skończona dyplomatka. Znała się na ludziach, umiała ich po mistrzowsku zażywać, tak jak rzadko kto. Lecz nie dosyć na tém, pojmowała ona

także i czas swój, pojmowała, że romantyka feodalna szybkim krokiem dąży do upadku, że podstawy i środki pomocnicze średniowiecznej polityki już się z gruntu zużyły i że obudziły się nowe siły żywotne, które uwzględnić koniecznie należy, jeżeli się nie chce samemu upaść, jeżeli się chce stanąć u szczytu, zapanować wszechwładnie nad krajem. Rządziła ona absolutnie, a mimo to z taką zręcznością, iż poddani jej wierzyli a nawet dotąd w większości swęj wierzą, że komedia parlamentarna odgrywana przez nią miała rzeczywiste znaczenie. Chciała ona rządzić despotycznie, i tak też rządziła, ale despotyzm jej nie był despotyzmem Filipa hiszpańskiego, niszczącym, zabójczym, lecz despotyzmem ożywiającym, twórczym.

Uposażona w takie przymioty, wykształcona w ten sposób Elżbieta koniecznie odnieść musiała palmę zwycięstwa nad swą rywalką. Marya była to natura ruchliwsza, wykwintniejsza, delikatniejsza, uczucie jej silniejsze, fantazyja bogatsza, więcej twórcza. W sztuce obłudy i udawania wobec olbrzyma Elżbiety, Marya była karłem, lecz co do siły ambicyi, co do mężstwa, odwagi i wytrwałości, bynajmniej nie ustępowała a może nawet przewyższała Elżbietę. Wśród najkorzystniejszych dla siebie okoliczności, w więzieniu, chora, strzeżona ze wszech stron, brutalnie traktowana, zaopatrzona w nader szczupłe środki, prowadziła Marya walkę ze zwyciężką przeciwniczką i dozorczynią swą, z dziwną energią i siłą, aż do ostatniej swęj godziny; z więzienia swego zmuszając jeszcze potężną królowę Albionu do trwogi i drżenia. Już z tego z koniecznością wynika, że Marya uzdolnieniem swém przewyższała zwykłych ludzi. Powierzchnie zaś nieszczęśliwa królowa Szkocyi łączyła w sobie wszystkie najświetniejsze dary ujmującej postaci kobiecej. Tak w latach swych panięskich, jak w późniejszych dojrzałej kobiety, zawsze podziwiać w niej było potrzeba piękną, ujmującą, pełną gracyi postawę. Podczas jej krótkiego szczęścia lat panięskich we Francyi, wyczerpywali ówczesni poeci Ronsardy, Du Bellay, Brantome cały swój talent, aby wierszem i prozą opisywać czarowną postać Maryi. W opisach tych zaś nie zachwycają się tylko pięknnością młodej królowej, lecz także wszechstronném jej wykształceniem, jej skromnością, dziewiczą godnością, jej łagodnością i dziwną dobrocią serca. Marya była wzrostu wysokiego, wysmukłego, kształtów harmonijnie wykończonych, włosy jej z natury w loki zwinięte koloru złoto-blond w młodości, później nabrały barwy ciemno-kasztanowatej. Płec jej odznaczała się podobno ową delikatną puszkowatością aksamitu, pod wysokością czołem, co zwykle u kobiet nie uchodzi za piękność; jaśniały ciemne, łagodne a jednak pełne życia oczy, które, jak spółcześni

donoszą, czy to czule spoglądały czy też w wesołej radości jaśniały, równie były zachwycające. Z ust jej precudnego kształtu wydobywał się dźwięczny, za serce porywający głos, a wszystkie jej ruchy nosiły na sobie znamie lekkości i gracyi. Uśmiech jej zachwycał jej adoratorów, płacz jej wzruszał ich do głębi, porywał ich do najnierozważniejszych czynów. Rozumiała się ona po mistrzowsku na wcale nie łatwej i wcale nie powszechnej sztuce ubierania się. Nie trudno zresztą było jej sztukę tę zastosować do siebie, potrzebowała się tylko dać taką, jaką była. Jej kokieterya odznaczała się gracyą, właściwością jej natury. Mówiła płynnie, wymownie; pisała z werwą i życiem; była poetką, muzykantką, śpiewaczką, mistrzynią w robotach kobiecych; tańczyła z taką gracyą, że rywalce jej Elżbiecie nikt nie mógł powiedzieć przyjemniejszego komplementu, jak że taniec jej jest jednak piękniejszy, jak królowej szkockiej. I w cieleśnych ćwiczeniach Marya doprowadziła zręczność swą do wielkiej perfekcyi; jeździła śmiało i zręcznie na koniu, oddawała się z zamiłowaniem polowaniom. Lubiła jeździć na czele zbrojnych oddziałów, w chłodzie rannym gonić za płochą zwierzyną. Jednym słowem: była to kobieta stworzona, aby uszczęśliwiać i być szczęśliwą, a mimo to przeznaczona, aby siebie i wszystkich, których kochała i którzy ją kochali wtrącić w przepaść. Ujmująca, pełna powabu i czarodziejskiego uroku kobieta, jakby stworzona na to, żeby piękną swą ręką jako królowa piękności rozdzielala w turnieju nagrody pomiędzy kłęczących przed nią zwycięzców. W stariej Grecyi byłaby z niej znakomita Aspazyja, w czasie wojen krzyżowych Klorinda, usposobienie „hetery“ bowiem zarówno w niej widzieć się daje, jak usposobienie bohaterki. W czasie tym atoli, w którym żyła, być musiała anachronizmem; średniowieczno-romantyczna królowa nie stosowała się do ówczesnej jadowitej „włoskiej praktyki“.

Kiedy więc sama zaczęła się ćwiczyć w zarzucaniu sieci tej z gruntu niemoralnej, podstępnej, obłudnej sztuki dyplomatycznej, powikłała się sama bez ratunku w zawitych jej niciach. Ona to, kobieta z natury szlachetna, miłosierna, wspianałomyślna miała być współniczką Filipa drugiego, księcia Alby, Guizów, Katarzyny Medicei i bohaterów z noey św. Bartłomieja, miała być uważana za współwinną przy wszystkich okropnych czynach tych ludzi. Pierwszemu jej nieszczęściem było, że miała matkę z domu Guizów, drugim, że wychowanie odebrała we Francyi. Tym sposobem bowiem po pierwszym swém owdowieniu wróciła obcą do kraju rodzinnego, gdzie tymczasem (r. 1560) szlachta obaliła katolicyzm, aby się pomścić za upokorzenia, jakie na nią spadały skutkiem aliansu korony i kleru, i aby zabrać zarazem dobra kościoła. Jak dziki kraj rodzinny, tak

i kardynalne interesa jego były zgola obce dla młodej królowej. Nie umiała zatem obliczać się z nimi, choć bezpośrednio po jej powrocie do Szkocyi tak jej osobiste postępowanie nie zasługiwało na żaden zarzut, jak i jej polityczne dążności nie mogły obudzać żadnego niezadowolenia. Lecz niestety otaczające ją trudności z biegiem czasu wyczerpywały siły dziewiętnastoletniej kobiety, nie posiadającej przedewszystkiem niezbędną w takim położeniu znajomości ludzkiej. Tej znajomości nie przyswoiła ona sobie i w przyszłości, romantyczka od stóp do głów oddawała się Marya chwilowym wrażeniom, nie kierując się nigdy obmyślonym, stanowczym planem. Jednego tylko wśród wszelkich różnobarwnych odcieni i rozlicznych zmian życia swego trzymała się Marya stale i niezmiennie: poczucia godności swój królewskiej. Dla tego w sporze królewskim wieku XVI uderzają na siebie nie tylko dwie próżności kobiece, lecz zarazem dwie jednakowo wielkie, jednakowo namiętne, jednakowo wrzące ambicje. Jedna z walczących tu partyj zaś była przytém skończoną dyplomatką, druga tylko poetką, rezultat zatem ani na chwilę nie mógł być wątpliwy.

Nie jest to ani bardzo szlachetny, ani też we wszystkich szczegółach zgodny z rzeczywistością obraz, a mimo to nie można się, patrząc na tę walkę, wyrzec iluzji, jakoby się widziało przed sobą rudego kota igrającego zdradziecko ze złotopiórym ptakiem.

Ptak, Marya, wiedział dobrze, że kot, Elżbieta, czycha na niego, wiedział dobrze, co by znaczyć miały wszystkie zwinne jego ruchy, a mimo to lekkomyślnie, tak po ptaszemu, lata i śpiewa ptaszek bez trosk i obaw przed czychającym wrogiem, który pazury swe raz chowa, raz pokazuje, aż wreszcie ścigany przez jastrzębie już na śmierć prawie znużony ptaszek pełen zaufania rzuca się — w objęcia kota i ginie w nich. Nie podlega wątpliwości, że Elżbieta od samego początku stanęła na wrogiem stanowisku do szkockiej swój kuzynki, choć przy sposobności, jeżeli tego była potrzeba, — umiała po mistrzowsku nawet przez całe lata ukrywać swoją nienawiść. Ponieważ podczas pobytu Maryi we Francyi zaczęła już uważać Szkocję za prowincję angielską, ponieważ dalej dla jej osobistego i politycznego interesu musiało chodzić o to, aby stale oderwać Szkocję od katolicyzmu, od aliansu z Francją lub Hiszpanią, dla tego już na sam powrót Maryi do Szkocyi, w sierpniu 1561 r. po śmierci jej pierwszego męża Franciszka II, patrzyła Elżbieta z niechęcią wcale nie tajoną.

Nie podlega dalej wątpliwości, że Marya w pierwszych latach po powrocie do Szkocji robiła wszystko, co tylko pogodzić się dało z honorem, aby ze swą kuzynką angielską zawiązać szczerę a nawet przyjacielskie stosunki. Nie kierowała się ona wtedy bynajmniej ani hiszpańską, ani francuską, ani w ogóle nieprzyjazną Anglii polityką, postępowała wtedy przedewszystkiem podług rad przyrodniego swego brata Jakóba, naturalnego syna króla Jakóba V i Małgorzaty Erskine, którego Marya obdarzyła tytułem hr. Moray i licznymi dobrodziejstwami. Jakób zaś pod maską fanatyzmu religijnego ukrywał własne ambitne zamiary a przytem z Elżbietą stał i w zgodzie i w przyjaznych stosunkach. Marya tak daleko posuwała starania swe o przyjaźń Elżbiety, że oświadczyła się gotową przyjąć za męża Roberta Dudley, hr. Leicester, byłego kochanka Elżbiety, pod tym atoli warunkiem, że królowa angielska uzna ją formalnie za spadkobierczynię swą. Nie chciała więc królowa szkocka stracić z tronu Elżbiety, lecz żądała tylko od niej uznania dobrego swego prawa. Było to niewątpliwie żądanie bardzo umiarkowane, według zasady legitymizmu bowiem, powtarzamy jeszcze raz, korona Anglii należała się Maryi.

Lecz królowa angielska tym mniej słuchać chciała o uznaniu praw, o ile w głębi serca właśnie o słuszności ich przekonaną być musiała. Nie mogąc zaprzeczyć praw sukcesyjnych Maryi, starała się przynajmniej przez tysiączne wybiegi usunąć ich uznanie. Żeby jednak nie wyrządzać jój niesprawiedliwości, powinniśmy powiedzieć, że wstąpienie jój do uznania praw tych pochodził nie tylko z jój próżności i chęci panowania, ale zarazem z tej obawy, że katolicka Marya, raz ogłoszona jako pracowita następczyni tronu, mogłaby z łatwością około swego sztandaru zgromadzić licznych i możnych jeszcze w Anglii panów sprzyjających katolicyzmowi, mogłaby ich zjednoczyć przeciw rządowi córki Henryka i Anny Boleyn. To podejrzenie przedewszystkiem zatruwało stosunek Elżbiety do Maryi, choć nie małą rolę odgrywały także humory chciwej panowania despotki i nienawiści zazdrosnej i próżnej kobiety. Dumne, egoistyczne serce królowej Albionu uspokoić się nie mogło na myśl, że w owęj nędznej Szkocji, tak blisko od niej zasiada królowa piękniejsza i przyjemniejsza od niej. Czyż sędzić możemy, znając Elżbietę, że takie względy na nią nie wpływały?

To podejrzenie, ta zazdrość i nienawiść zdecydowały politykę, której torami Elżbieta postępowała w stosunku do kuzyny swój. — Była to po prostu polityka niesumienna i złośliwa. Przy pomocy oddanych Elżbiecie ministrów Cecil-Burleigha i Walsinghama otoczono Marya całą siecią podstępów, machiawelistycznych intryg. —

Żaden podstęp nie był za podły, żadna zdrada za nikezemna, aby ich nie użyć na zgubienie Maryi. Każda przeciw szkockiej królowej uknuta podłość znajdowała w Anglii pomoc i poparcie. Każda na osobie Maryi popełniona zdrada mogła liczyć na zapłatę z kieszeni Elżbiety. Przez długie lata Elżbieta wojnę domową w Szkocji zamieniała w chroniczną chorobę, a jeżeli kiedy mimo to już jakoś ustawać zaczynała, wtedy ją znów z całych sił z Anglii poddmuchiwano; każdy zbuntowany poddany Maryi mógł liczyć na pomoc angielskiej królowej, każde na Maryą rzucone oszczerstwo w pałacu królewskim Elżbiety znajdowało wiarę jak najzupełniejszą.

Takiem było w rzeczywistości postępowanie potężnej córki Henryka przeciw słabej córce Stuartów, jeżeli z niego zedrzymy wszystkie zasłaniające i upiększające powłoki. Jeżeli więc do takiej polityki Elżbiety dodamy jeszcze wewnętrzne stosunki Szkocji, w które młodzianka, niedoświadczona, lekkomyślna królowa od razu się przeniosła, to wtedy staną nam przed oczami tak ogromne trudności, że chyba pierwszy genjusz je pokonał a Marya uleża im musiała.

Cała władza w Szkocji znajdowała się w ręku szlachty, rozporządzającej w klanach swych nad majątkiem i dobytkiem, życiem i śmiercią poddanych. Dowódcy tych klanów byli rzeczywistymi panami Szkocji, stanowili państwo szkockie, jeżeli o takim w XVI wieku mówić można. Kiedy panowie ci z wymienionych już wyżej powodów przeprowadzili u siebie reformę religijną, poddali władzy swój wraz z dawnym kościołem także i koronę dotychczas, że król, jeżeli w ogóle miał egzystować, widział się zmuszonym do oscylowania od jednej szlacheckiej partji do drugiej, do zawierania sojuszków raz z jedną, raz z drugą. Mieszczański stan średni, gdzieindziej stanowiący podporę korony przeciw panom feudalnym, tutaj egzystował ledwie dopiero w słabych zaczątkach. — Szkocya przed XVIII wiekiem, ledwie jedno miasto posiadała, któreby odpowiadało wyobrażeniom, jakie dzisiaj mamy o miastach. Mieszczenie byli ubodzy, bez wykształcenia, bo zatrudnienia mieszczańskie, przemysłowe, kupieckie były w pogardzie a skutkiem tego stały na tak niskim stopniu rozwoju, że Szkoci nie umieli nawet wyrabiać broni, tak niezbędnie potrzebnej do nieustannych bojów wewnętrznych, ani nawet najzwyczajniejszych narzędzi rolniczych. Rzeczywista kultura w Szkocji dopiero kiełkować zaczynała, kiedy pożerająca wszystko, władza szlachecka zaczęła walkę z reformowanym szkockim kościołem, presbyteryanizmem.

Szkocka reformacja początkowo, jak wiadomo, nosiła na sobie charakter czysto arystokratyczny i musiała go mieć koniecznie

już jako dzieło szlacheckie. W końcu XVI wieku atoli zaszły tutaj ważne, nagłe zmiany. Szlachta wydarte dawnemu kościołowi dobra zatrzymała chciała w swoim ręku, reformowany kler zaś także pragnął uczestniczyć w bogatym rabunku. Kiedy zaś arystokracja na żądanie takiej żadną miarą zgodzić się nie chciała, dowiódł jej nowy kościół, że kazalnica w danym razie może mieć więcej władzy od siły brutalnej, miecza. Kler złączył się z ludem, on to wyemancypował poddanych, wyrwał ich z dotychczasowej prawie psiej uległości dla panów swych i zmienił arystokratyczny dotąd charakter reformacji szkockiej w stanowczo demokratyczny.

Lecz zmiany takie później miały miejsce, w czasie, o którym tutaj mówimy, w latach 1560 — 80, kler jeszcze związany był ze szlachtą a szlachta stała u szczytu swęj władzy.

Jaką zaś była ta szlachta? Zgrają po prostu łotrów bez wykształcenia, bez moralności, bez sumienia, bez czci i honoru, barbarzyńcami z dodatkiem wyrafinowanego zepsucia dworaków Ludwika XV. Panowie ci byli wprawdzie ubodzy, lecz nędza, gdzie indziej sroga matka szlachetnych dążności i wielkich czynów, dla nich była tylko nauczycielką zbrodni i cheiwości.

Z taką to arystokracją miała do czynienia młoda królowa — ich miała zwalczyć, miała trzymać na wodzy, podczas gdy w dodatku jeszcze angielska Elżbieta coraz to nowe sidła jej stawiała, a nowy kler szkocki już z góry ją nienawidził, jako katoliczkę, już z góry gotował się do nieubłaganej walki przeciw niej. Czyż zatem któregokolwiek myślącego człowieka zadziwić może, że młodziutka, żywa, namiętna kobieta, wśród takich stosunków wpadła na bezdroża? Byłoby chyba cudem, gdyby zboczenie takie nie było nastąpiło.

Mimo to jednak czechający w Whitehall kot dość długo, za długo dla niego, czekać musiał na te zboczenia. Tylko stronnice kłamstwo zaprzeczyć może, żeby postępowanie Maryi w pierwszych latach jej pobytu w Szkocji nie odpowiadało wszelkim wymaganiom tak pod względem moralności, jak polityki. Starła się wszelkimi siłami usuwać wszystko, coby mogło dać powód do kroków nieprzyjaznych rywalce jej a prócz tego nie szczędziła starań i mozołów, aby przez osobiste wdawanie, o ile możliwości, zakończyć wewnętrzne swary i bezustanne walki szlachty, które biednej Szkocji nie pozostawiły ani na chwilę spokoju. Sprotestantyzowanie przeważnie większej części kraju zastała już jako fakt dokonany i jako taki je przyjęła. Była na wewnątrz i na zewnątrz tolerantka, nie robiła żadnych starań, aby przywrócić napowrót katolicyzm i starała się nawet o choć znośne stosunki z hardym szefem szkockiej reformacji

Janem Knoxem, choć było na to potrzeba nie małej dozy cierpliwości i przezwyćżenia, aby słuchać nieznośnie długich, pretensjonalnych i zarozumiałych wywodów nudnego tego kaznodzieji, występującego z taką pewnością i hierarchiczną zarozumiałością, jakoby był personifikacją samėj nieomyślności. — Pewny opieki Moraya i jego stronników, ośmielał się Knox po kilka razy strofować młodą królowę we własném jój mieszkaniu, jakoby na potępienie skazaną grzesznicę, z tego powodu, że dwudziestoletnia kobieta oddawała się wesołości wieku swego, że chętnie jeździła na polowania, że wyprawiała wesołe zabawy, aby rozpedzić posępne nudy w Holyrood'skim pałacu, że często grała i tańczyła i chętniej śpiewała francuskie madrygały i włoskie arye, niż psalmy szkockie. Mimo bezczelności i natarczywości reformatora, jednak go Marya i nadal traktowała z wielką względnością, podczas gdy protestanka Elżbieta do tego stopnia go nienawidziła, że samo imię jego w jój przytomności wypowiedziane doprowadzało ją niemal do wściekłości.

Marya więc mimo odrazy, jaką w nięj protestantyzm ten obudzał, nie stawiała mu żadnych przeszkód, żądała tylko, aby w pośróđ czterech ścian jój kaplicy w Holyroodhouse było jój wolno odprawiać nabożeństwo według własnego kultu. Czyż to nie najsprawiedliwsze w świecie żądanie? Lecz Knox i jego wspólnicy domagali się stanowczo, aby królowa znajdowała upodobanie li tylko w ich długich kazaniach, w ich przez cały boży dzień trwającym pianiu psalmów. Nicby zaiste dziwnego nie było, żeby takie żądania były doprowadziły Maryą do nietolerancji, nawet do fanatyzmu. Mimo to jednak królowa cierpliwie słuchała protestanckich kazań opływających w najrubaszniejsze wycieczki na jój religijną wiarę, na jój osobę i ograniczała się do tój uwagi, że wywody polemiki kalwińskiej bynajmniej jój nie przekonały, żeby miała dotychczasową swą wiarę zamienić na inną.

Ztąd rzucono na nią obelgi i oszczerstwa, widziano w tém zbrodnię popełnioną na majestacie nieomyślności kalwińskiej, a jako dalszy skutek, uważał fanatyzm protestancki każdy środek, każdy podstęp za dozwolony a nawet nakazany, aby podkopać i wtrącić w przepaść katolicką królowę.

Elżbieta wszystkie wrogię Maryi zamysły pośrednio lub bezpośrednio popierała. Szefa partyi reformowanej, Knoxa, nienawidziła ona wprawdzie śmiertelnie, lecz za to polityczna głowa Knoxystów, hr. Moray stał u nięj na żołdzie. Kupowała ona w ogóle każdego przeciwnika Maryi, — choć znane jój skąpstwo wyznaczało zwykle o ile możności najniższe summy na cele te. Lecz lordowie i lairdowie nie opływający w bogactwa i te szczupłe summy uważali za

dostateczne, aby za nie zaprzedać swój honor, wierność, swój patriotyzm. Partya angielska w Szkocyi od ministrów Elżbiety odbierała tę instrukcyą, aby bezustannie i do tego stopnia zaprzętało w kraju Maryą, żeby na chwilę nie miała wolnego czasu zwrócić wzroku swojego poza Tweed do Anglii żeby ani pomyśleć nie mogła o przypomnieniu swych dynastycznych praw do korony angielskiej katolickiej szlachcie, osiadłej zwłaszcza w północnej Anglii i możnej przez liczbę swą, bogactwa i feodalne tradycye.

Rozumie się, że mimo to i przekupstwo licznój partyi w Szkocyi i różne inne intrygi na korzyść interesów angielskich, a na zglębę Maryi, bynajmniej nie przeszkadzały Elżbiecie pisać do kuzynki swęj w Edinburgu ciągle opływające w przyjaźń listy, w których umiała po mistrzowsku połączyć ton przeważnego polityka z tonem dydaktycznym, szorstkim lecz zarazem przychylnym. Marya przez długie lata łudziła się, wierząc, że w osobie Elżbiety posiada przyjaciółkę, trochę kłótniawą i gderliwą, ale zawsze przyjaciółkę. Ułudę tę drogo później opłaciła! ułuda ta nie mało się także przyczyniła nakłonić królowę szkocką, aby wreszcie nierozważnie wsunęła nogę w jedną z licznych na nią rozpiętych sieci.

Tłące się zarzewie wielkiej walki kobiecej poddmuchnął silny wichur, kiedy kwestya powtórnego za mąż pójścia Maryi zbliżała się do rozwiązania; że młoda, bezdzietna, kwitnąca kobieta, będzie chciała wstąpić po drugi raz w śluby małżeńskie, było rzeczą zgoła naturalną, tutaj zaś krok ten nakazywała także polityka.

Przy tej właśnie kwestyi w całej swęj jaskrawości występuje zazdrość Elżbiety, aż do szaleństwa niemal posunięta. Wszelkie swe siły zwraca ku temu, aby w ogóle przeszkodzić każdemu nowemu małżeństwu swęj kuzyni, nietylko z samych politycznych względów, lecz także z jakiegoś dziwaczego, niepojętego, nieprzewycięzonego kaprysu kobiecego, owęj tajemnicy serca niewieściego, której zgłębić zbadać i pojąć niepodobna. Dosić, że Elżbieta powiedziała sobie: Marya nie pójdzie za mąż, nie będzie miała potomstwa. Owa, tak o dobro kraju swego niby dbała monarchini, wolała po śmierci swęj następstwo tronu pozostawić na los szczęścia i przypadku, jak dać rywalce swęj możność obdarzenia Anglii prawowitym następcą. Elżbieta niechciała, żeby Marya poszła za którego z książąt kontynentu, lecz zarazem nie chciała, żeby wstąpiła w śluby małżeńskie z którym z panów Anglii lub Szkocyi. Projekt małżeństwa Maryi z arcyksięciem Karolem był dla nięj zgrozą, projekt małżeństwa z infantem Don Karlosem zgorzeniem. Udawała, że z kochanka swego Leicesterza chce zrobić męża Maryi, lecz gdy przyszło do wykonania, cofnęła się, zerwała układy, odmówiła. Wreszcie nie miało być Maryi

nawet wolno połączyć się z którymkolwiek z członków rodziny Tudor lub Stuart.

Właśnie zaś na człowieka takiego padł wreszcie wybór znużonej i rozgniewanej tyłu zwłokami, intrygami i podstępami Maryi. W nieszczęśliwej godzinie zdecydowała się ofiarować rękę swą wnukowi swjej babki Małgorzaty, młodemu lordowi Henrykowi Darnleyowi, spokrewnionemu zarówno z domem Tudorów jak Stuartów. Daremnie starała się Elżbieta spacyć i ten projekt, tak jak wszystkie poprzednie. Tą razą rozbiły się jej intrygi o namietność obudzoną z wielką siłą w sercu Maryi. 29 lipca 1565 r. w kaplicy zamku Holyrood, odbył się ślub pięknej królowej z Darnleyem, którego poprzednio mianowała ks. Albany, a potem, nie uwiadomiwszy nawet parlamentu, obdarzyła tytułem królewskim.

Małżeństwo to było wielkim błędem, wielkim nierozsądkiem, którego nie naprawić już nie mogło, z którego z logiczną konsekwencyą wywiązały się wszystkie późniejsze błędy i przestępstwa nieszczęśliwej Maryi. Darnley o trzy lub cztery lata młodszy od swjej kuzynki i małżonki, odznaczał się przez trzy kardynalne przymioty: przystojność, długość (był prawie 7 stóp wysoki) i ograniczoność. „Próżną tyczką od chmielu“ zwała go Elżbieta, na której dworze kilka lat przepędził.

Niewątpliwie zmysłowe upodobanie kierowało przy tym wyborze Maryą i naprowadziło ją na bezdroża. Kiedy pierwszy raz ujrzała młodego lorda, miała podobno zawołać; „Cóż za piękny człowiek! nigdy jeszcze nie widziałam piękniejszego.“ Takie upodobanie wytlómaczyć sobie łatwo, czyż nieraz nietylko kobiety ale i mężczyźni nie kierują się wyłącznie niem przy tak ważnym jak małżeństwo kroku? Maryi zmyłowość przytém wykształcić się koniecznie musiała do wysokiego stopnia na dworze tak rozwiozłym, jak Katarzyny medycejskiej. Niesłusznie byśmy jednak z tego zmysłowego wzburzenia krwi Maryi, które pociągnęło za sobą nieszczęsne małżeństwo z ową „piękną prózną tyczką od chmielu,“ wnioskowali, że królowa była jedynie zmysłową kobietą, kierującą się wyłącznie takimi popędami.

Niezadługo niestety przemocą nasunąć się musiało królowej przekonanie, że w dniu 29 lipca popełniła nietylko nierozważny ale i nieszczęsny krok. Darnley nadęty niezasłużonem i niespodzianem szczęściem swém, Darnley, człowiek bez wykształcenia i rozsądku, chciał teraz nietylko się nazywać, ale być królem. Mimo braku rozumu, doświadczenia i znajomości ludzi i stosunków, zdawało się jemu jednak, że jest stworzonym na panującego. Dumnym szkockim baronom okazywał nadętość parweniusza, żonie swjej, skoro ta na

śmieszne jego pretensye się nie zgadzała i zgadzać nie mogła, przeciwstawił krnąbrny upór zepsutego dzieciaka. Dla spokoju domowego nie dawno poślubionej pary, smutniejsze jeszcze skutki pociągnęła ta okoliczność, że Darnley niebawem zaczął się także oddawać życiu rozwiozłemu: pijaństwu, stosunkom z najgorszą klasą kobiet. Nierozsądne jego postępowanie nastroczyło hr. Moray i stronnikom jego pierwszą sposobność, aby broń swą zwrócić przeciwko królowej pod pozorem, że król katolicki — Darnley bowiem był katolikiem — zagraża religii protestanckiej. Marya zręcznie i energicznie przytłumiła bunt i zmusiła uczestników szukać opieki po drugiej stronie Tweedu. Mimo to jednak odtąd cała exystencja królowej nie jest już niczem innym, jak płataniną błędów, walki i nędzy, winy i kary za nią.

Zaraz teraz następuje owa krwawa katastrofa Riccia, rozwiązująca faktycznie nieszczęsny węzeł małżeństwa Maryi.

Dawid Riccio z Poncaleri w Piemoncie, dawniej sekretarz arcybiskupa turyńskiego, potem na takim samym stanowisku u hr. di Moretta, posła do Szkocyi księcia sabaudzkiego, teraz tajny sekretarz Maryi, należał do szeregu owych zręcznych, przebiegłych awanturników, których Włochy w epoce tej importowały do wszystkich prawie krajów europejskich. Uzdolnieni i wykształceni w zawodzie literackim i artystycznym, w mowie, piśmie i formach towarzyskich przewyższający północnych barbarzyńców, ludzie ci przedewszystkiem byli mistrzami w intrydze, w niej żyli jak ryba w wodzie. Twierdzenie jakoby Riccio był wysłańcem zakonu Jezuitów, które często napotykamy, należy po prostu do szeregu owych niczem nie udowodnionych hipotez, wymyślonych nierozważnie przez tych, którzy gdzie tylko w owym czasie a nawet później dzieje się jaka intryga, wszędzie zaraz wietrzą Jezuitów. To jednak nie podlega wątpliwości i nikogo dziwić nie może, że zręczny lutnista, śpiewak i sekretarz zaraz po objęciu stanowiska swego usilnie i skutecznie zaczął pracować nad tém, aby panią swą odwieść od okazywanej dotąd protestantom tolerancji i neutralności, aby ją złączyć silnym węzłem politycznym z papieżem, Filipem II, Guizami, jednym słowem, aby z niej zrobić czynną i gorliwą uczestniczkę w wielkiej katolickiej kombinacji epoki tej. Dalej wątpić także nie można, że dumny z wpływu swego włoski awanturnik zbyt często chełpił się zaufaniem i łaską pani swój; zbyt widocznie wszystkim okazywał, że on to jest rzeczywistym ministrem królowej; zbyt dotkliwie obrażał dumnych lordów szkockich, tak przez wystawne swe życie, jak widoczne okazywanie swój nad nimi wyższości intelektualnej.

Żeby zaś miał być kochankiem królowej, o tём nietylko wątpić, ale nawet z pewnością powiedzieć można, że tak nie było i być nie mogło; Darnley wprawdzie wmawiał w siebie albo dał sobie wmówić, że Marya utrzymywała z Ricciem stosunki miłosne, a nawet twierdził, że sam kiedyś zastał „włoskiego skrzypka“ w zamkniętej sypialni Maryi, lecz Darnley niewątpliwie często sam nie wiedział, co bredził, zwłaszcza, kiedy był pijany. Dalej tak psychologicznie, jak fizyologicznie jest nieprawdopodobieństwem, żeby kobieta z usposobieniem Maryi, mogła się kochać w tak brzydkim człowieku, jak Riccio, zwłaszcza zaś wtedy, kiedy już czuła zbliżającą się chwilę, w której stać się miała matką dziecka tak pięknego, jak Darnley, człowieka, którego parę miesięcy temu tak namiętnie pokochała. Z tego zarzutu atoli oczyścić nie można Maryi, że nietylko jako królowa, lecz i jako kobieta nierozsądnie i bez taktu postępowała, przyjmując dwuznacznego, obcego awanturnika na wpływowego doradcę swego i pozwalając sekretarzowi swemu stanąć z sobą na tak poufałym stopie, że z tego mogły obudzić się pozornie wcale usprawiedliwione podejrzenia.

Słaby i nierozsądny Darnley nie miał nic przeciwko temu, żeby z przyjaciółmi zbiegłych do Anglii partyzantów Elżbiety, to jest z własnymi nieprzyjaciółmi, zawrzeć sojusz celem zamordowania Riccia, celem zadania własnej żonie śmiertelnej obrazy. Znany jest brutalny sposób w jaki mord ten wykonano. Wieczorem 9 marca 1566 roku wpadli sprzysiężeni do gabinetu i zamordowali sekretarza jęj uciekającego w przestrachu do pani swęj i wijącego się u nóg jęj. Z pięćdziesięciu sześciu ran lała się krew z niego.

Namiętna Marya paliła się chęcią zemsty, umiała ją zaspokoić, rozwijając wielką zręczność i energią w ściganiu zabójców Riccia. Umiała nawet męża swego nakłonić, że nietylko wyrzekł się swych współników, lecz nawet sam pomagał w ich ściganiu. Przez to Darnley stracił wszelkie przywiązanie w kraju, sposób zaś, w jaki Marya wtedy zabijała go w opinii publicznej, mógł rzeczywiście obudzić podejrzenie, że pierwotna jęj namiętna miłość do młodego a głupiego męża, zamieniła się teraz tak samo w namiętną nienawiść. O ile się jednak zdaje, nienawiść jęj ówczesna nie wzrosła jeszcze do tego stopnia, żeby ją chciała zamienić w czyn.

Jak Marya stała rzeczywiście z mężem swym, pokazało się widocznie, kiedy 19 czerwca 1566 r., a więc w trzy miesiące po owém okropnem zamordowaniu Riccia, na zamku edynburskim urodziła syna, który później jako Jakób VI miał wstąpić na tron szkocki, a jako Jakób I na tron angielski, który, jeden z najnikczemniejszych monarchów jaki zasiadał na tronie Anglii, rozpoczął godnie karierę swą

od tego że nieszczęśliwą matkę swą haniebnie opuścił, przyjmując nawet z rąk téj, która ją dręczyła i zabiła, jałmużnę w formie pensyi. Złotem angielskiem kazał sobie zapłacić głowę zamordowanej swéj matki.

Kiedy dziecko to szczęśliwie na świat przyszło, przybiegł Darnley do Maryi, aby stosownie do ceremoniału dworu szkockiego uznać w przytomności szlachty nowonarodzonego syna. Wtedy, opowiada nam lord Herries, jeden z najwierniejszych przyjaciół królowej, w pozostawionych pamiętnikach swych, miała miejsce następująca scena: „Mylordzie — rzekła Marya, która nie zbyt rozsądnie i w téj chwili nie mogła się wyrzec oburzającego wspomnienia, że mąż jéj posądzał ją o niegodne stosunki z Rycciem — mylordzie, Bóg dał wam syna tego tak dobrze, jak mnie, nie jest on niczym innym synem jak waszym; życzę sobie, aby wszyscy, panie i panowie, którzy tutaj są obecni złożyli o tém świadectwo“.

Darnley zarumienił się, nieumiał słowa odpowiedzieć, pocałował tylko dziecko. Chora zaś obracając się do jednego z obecnych, Williama Standen, rzekła:

„Tutaj macie księcia, który, jak się spodziewam, pierwszy na głowie swéj połączy korony Anglii i Szkocyi“.

„Jako, Pani — odpowiedział zagadniony — czy dziecko to ma odziedziczyć koronę Anglii przed W. Kr. Mością i przed swym ojcem?“

„Kto wie — odrzekła Marya — ojciec jego złamał mi serce“.

„O Pani! — odparł wtedy Darnley — takto dotrzymujesz przyrzeczenia swego, że darujesz i zapomnisz?“

„Wszystko przebaczyłam, lecz nie mogę wszystkiego zapomnieć. Gdyby był puścił pistolet, który Fawkonside wymierzył na mnie (podczas zamordowania Riccia), cóżby się było stało z dzieckiem tego, ze mnie i z was? Bóg tylko wie o tém“.

„Pani, sprawy te należą do przeszłości“.

„Dobrze, niech i tak będzie“.

Daremnie w tak wzruszającej chwili szukalibyśmy choć jednego sercowego tonu w téj rozmowie męża z żoną; w chwili, kiedy przyszło na świat pierwsze ich dziecko, widocznie zaszło między niemi zerwanie, które już naprawić, wyleczyć się nie dało. Odbywało się wprawdzie później kilka scen pojednania, a Maryi przyznać trzeba, że szmerzącemu i dasającemu się Darnleyowi okazywała wiele cierpliwości i względności, lecz on do tego stopnia posuwał swą niedorzeczność, że do dawnych obelg, dodał wkrótce nową, nie tak dotkliwą jak dawne, ale jednak dla królowej bolesną. W grudniu odbył się chrzest nowonarodzonego dziecka, ojciec nietylko nie stawił się na obrząd, lecz nawet widocznie robił z tego demonstracją. Nie zby-

wało mu wprawdzie na umotywowaniu; hr. Bothwell bowiem odgrywał wtedy pomiędzy innymi parami wybitną, pierwszą rolę, podczas gdy on sam, nazywający się „królem“, będący ojcem dziecka, przez postępowanie swe doprowadził do tego, że mógł chyba grać tylko jeszcze rolę dość podrzędnego statysty.

Na zamku w Greenwich, gdzie królowa Elżbieta w czasie urodzin młodego Jakóba rezydowała, w sześć dni po owęj charakterystycznej scenie przy łóżku choréj Maryi, odbyła się scena wcale nie mniej wybitna. Królowa szkocka wysłała Jakóba Melvila, do „dobrej swéj siostry“ z uwiadomieniem o narodzeniu syna. Był właśnie bal w sali bankietowej w Greenwich, kiedy przyjechał poseł. Elżbieta jak zwykle kazała podziwiać widzom swój talent tancerski. Cecil nachylił się do niéj, aby jéj po cichu udzielić nowiny przywiezionej przez Melvila. Jakby piorun uderzył Elżbietę. Wystąpiła natychmiast z kadryla, upadła na krzesło, zakrywając twarz rękami. Robak zazdrości toczył jéj serce. Kiedy ją damy dworskie z zadziwieniem otoczyły, wyrzekła: „Królowa szkocka jest matką ładnego chłopca, ja zaś jestem tylko suchym pniem“. Następnego dnia rano atoli już znów maska, która dnia poprzedniego w chwili namiętności opadła, pokrywała szczelnie rzeczywistą jéj twarz. „Radosna nowina, którą mi przywozicie — mówiła do Melvila — wyleczyła mnie z ciężkiej dolegliwości, na którą od dwóch tygodni cierpiałam. Powieďte panie waszój, że z tego szczęśliwego wypadku nikt się więcéj cieszyć nie może jak ja“. Poseł wyraził wtedy imieniem Maryi prośbę, żeby królowa Elżbieta raczyła trzymać do chrztu nowonarodzonego.

„Z największą chęcią“ — odpowiedziała Elżbieta.

„Dałoby to — dodał jeszcze Melvil — dobrą sposobność W. Kr. Mei widzieć moją panią, jak to W. Kr. Moś już nieraz sobie życzyłaś“.

„O pewno! żeby tylko sprawy moje na to pozwoliły!“ — odpowiedziała Elżbieta z najprzyjemniejszym uśmiechem, na jaki się zdobyć umiała.

Jeżeli wierzyć można jednemu ze szpiegów, których Elżbieta pod tym lub owym pozorem utrzymywała w Szkocyi, zamierzała Marya już raz w ostatnich miesiącach, przed urodzeniem syna swego wnieść o rozwód z Darnleyem. Dobrzeby dla niéj było, gdyby myśl ta nie była pozostała zamiarem, lecz gdyby była przeszła w czyn. Być może, że kościelne trudności niebawem ją znów od niego odwoły.

W tych ostatnich miesiącach i tygodniach, tak przynajmniej twierdzą jej oskarżyciele a zwłaszcza Buchanan, który za dobroć i łaskawość Maryi wypłacił się podłą niewdzięcznością, odezwały się podobno pierwsze początki namiętności, która ją rzucić miała na pastwę Jakóbowi Hepburn, hrabiemu Bothwell. Dowody atoli przez oskarżycieli tych przywiedzone tak są niedostateczne, że niepodobno wypowiedzieć na zasadzie ich potępiającego wyroku. Niewątpliwie, właśnie w tym czasie zawiązały się ściślejsze stosunki pomiędzy nią a lordem Bothwellem, lecz stosunki te, o ile się przynajmniej wydaje, pierwotnie były natury czysto politycznej. Bothwell należał do najpotężniejszych baronów Szkocji, zajmował wpływowe stanowisko jako namiestnik prowincyj graniczących z Anglią a oprócz tego okazywał stale wielką gorliwość w służbie królowej. Marya, której (o czém przepomnieć nie powinniśmy) cała władza w gruncie polegała na utrzymaniu pewnej równowagi pomiędzy różnymi frakcyami szlachty, początkowo prawdopodobnie widziała w Bothwellu tylko człowieka odpowiedniego i uzdolnionego, aby zostać, naprzeciw partji uznającej za naczelników swych Moraya i Mortona, szefem innego stronnictwa, oddanego gorliwie samej królowej. W tém właśnie niestety zawiodła się, zbłądziła Marya, popełniła drugi najokropniejszy błąd w życiu swém, oddając się z zaufaniem człowiekowi, który pod względem rozwiozłości mógł rywalizować z największą zepsutymi rówieśnikami, pod względem cheiwości władzy i zepsucia moralnego zaś przewyższał ich wszystkich, odznaczając się tylko tym jednym, do pewnego stopnia korzystnym jeszcze rysem, że nie był obłudnikiem, że popełniał złe i przyznawał się do niego, że gardził obłudną maską ferworu religijnego, którą tylu z rówieśników jego wówczas nieczne swe czyny pokrywało. Jak inni baronowie, tak i Bothwell w ówczesnej anarchii szkockiej widział tylko mętną wodę, w której łąwie łatwo, lecz i tu różnił się od nich, zarzucając swą sieć za dnia, publicznie, z niezrównaną bezczelnością.

Pod względem charakteru późniejsi i współcześni pisarze zgadzają się w opisie człowieka tego, który ostatecznie w więzieniu duńskim zmarniał; wszyscy bowiem uważają go za rozwiozłego, niesumiennego rozpustnika, o powierzchowności jego atoli doszły nas wiadomości zgoła sprzeczne. Jedni przedstawiają go jako postać młodzieńczej piękności i męskiej powagi, ujmującego, powabnego ułożenia, zręcznego w sztuce podobania się płci pięknej, jedném słowem jako uosobienie Don Juana. Inni znów na opak twierdzą, że Darnley był brzydkim z powierzchowności, o jedném oku, niepozorny i niski, nieokrzesany i gburowaty. Zdaje się zatem, że nie był on ani takim adonisem, jak chcą jedni, ani taką poczwarą, jak mówią drudzy,

w każdym razie jednak musiał posiadać coś takiego, co przywabić i podbić umiało nietylko serce kobięce, ale i umysły męzkie. W przeciwnym razie bowiem, abstrahując już od magnetycznej siły, jaką wywierał na wykwintną i wykształconą Maryę, jakżebyśmy wytłómaczyć sobie potrafili, że nawet po upadku szczęścia swego ścigany i potępiony zbieg umiał zjednać sobie nawet wielu takich, którzy do klanu jego nie należeli.

Akta kryminalnego całego niemal świata aż za liczne wykazują nam przykłady, że właśnie najokropniejsi zbrodniarze wywierać umiejają na otoczenie swe wpływ zadziwiający i że najbezwzględniejsza zbrodnia posiada nieraz jakieś djabelskie rzeczywiście mamidło, rzucające czar na oczy wszystkich widzów.

Tylko tym sposobem wytłómaczyć sobie umiemy udzielną władzę, jaką Bothwell wywierał na nieszczęśliwą Maryę. Negowac tę władzę lub ją zmniejszać, jest niepodobieństwem; oczyszczać królowę z winy stosunku jej do Bothwella być tylko może zamiarem, który robić będzie zawsze jak najzupełniejsze fiasko, chyba kiedy wykryć się udało oryginalną korespondencją Maryi z nim. Wiadomo bowiem, że listy i sonety Maryi pisane do Bothwella, tak jak je dzisiaj posiadamy, przechodziły najróżniejsze koleje. Z francuskiego oryginału przetłómaczone na narzecze szkockie, ztąd na język łaciński, a z tej formy znów na francuskie, tak przeszły one dopiero na nas. Łatwo sobie wystawić, jakie zmiany wśród takich przekształcań zajść w nich musiały i co do treści i co do formy.

Gdybyśmy wierzyli nieprzyjaciołom Maryi, musielibyśmy przypuścić, że już w zimie z r. 1565 na 66 zaczął się miłosny stosunek z Bothwellem. Lecz właśnie wtedy lord szkocki starał się o rękę lady Jane Gordon, siostry hr. Huntleya, a królowa wszelkich dokładała starań, aby małżeństwo to przyszło do skutku; i rzeczywiście w końcu lutego 66 r. odbył się ślub młodej pary. — Czyż zatem przypuścić można, żeby namiętna, zakochana kobieta już w pierwszym stadyum swój namiętności nie miała nic pilniejszego, jak starać się o ożenienie swego kochanka? Byłaby to sprzeczność, której nikt wytłómaczyć nie potrafi.

Pocóż zresztą stawiać pytania i silić się na odpowiedzi w kwestyi w gruncie zgoła obojętnej? Czy bowiem Marya na parę miesięcy wprzód lub na parę miesięcy później oddała się nieszczęsnym, haniebnym wpływom Bothwella, istoty sprawy tej prawie wcale nie zmienia. Sam fakt zaś nie podlega ani na chwilę wątpliwości, a i najrzeczniejszy adwokat nie potrafi go zbić i wymazać.

Niewątpliwie zatem wkrótce po narodzeniu synka swego wstąpiła Marya z Bothwellem, którego dotąd jako królowa obdarzała

względami swemi, i jako kobieta, w stosunki najściślejsze. Całe jej postępowanie z nim mogło go tylko umacniać w najszaleńszych życzeniach, najbardziej zbrodniczych zamiarach. Prawda, że i mąż jej, ograniczony, zadąsany dzieciak, właśnie w tym czasie przez postępowanie swoje, coraz to żywszy w niej obudzać musiał żal, że się związała na wieki z tą „próżną tyczką od chmielu“; lecz ani ten wzgląd, ani knowania i spiski szkockiego szlacheckiego stronnictwa nie mogą bynajmniej usprawiedliwić tego, co Marya w ostatnich miesiącach r. 66 i pierwszych 67 robiła, albo przynajmniej robić pozwalała.

Jej postępowanie obudzać musiało koniecznie podejrzenia, nie mogło zaś być takiem, gdyby się już w końcu 66 r. nie była zupełnie poddała władzy Bothwella. Gdybyśmy użyć mieli wyrażenia odpowiedniego ówczesnej wierze zaprawionej zabobonem, musieliśmy powiedzieć, że królowę oczarowano, tak bowiem bez rozsądku, nieomal bez wiedzy i woli, szła ona za rozkazami zbrodniarza, który chciwą rękę wyciągał po koronę Szkocyi.

Prawdopodobnie Bothwell zabijając Darnleya, nie popełniał zbrodni tej na swój wyłączny rachunek; prawdopodobnie sprzyjająca Anglii partya szlachecka z lordami Mortonem, Lethingtonem i innymi, nie wyłączając Moraya, należała do jego spółników, lecz pozory spółnictwa więcej padały na królowę, jak na tych lordów. Marya bowiem, pozornie przynajmniej pogodzona z mężem, jedzie po niego, rekonwalescenta po ciężkiej ospie, do Glasgowa, przywozi go do Edynburga i umieszcza w domu Kirk of Field, po za rogatkami stolicy, w domu, jakby stworzonym dla zbrodniczych zamiarów Bothwella. Wieczorem 9 lutego 1567 r. przepędza Marya kilka godzin w pokoju słabego jeszcze Darnleya, podczas gdy już na dolnym piętrze robią przygotowania do haniebnej zbrodni, a o północy tego samego dnia, kiedy Marya w Holyroodskim pałacu oddaje się tańcom, wysadzają w powietrze Kirk of Field wraz z mężem jej.

Fakta te bynajmniej nie dowodzą, żeby Marya wiedziała o planie Bothwella, żeby go pochwałała lub nawet czynnie do niego się przyczyniała, lecz to z nich wynikać się zdaje, że w czasie tym była ona już narzędziem bez własnej wiedzy i woli w ręku Bothwella.

Nigdy nikt nie dowiódł i nigdy pewnie nikt nie dowiedzie, żeby ją uważać można za uczestniczkę przy zamordowaniu męża. Wiadomo wprawdzie, że później, kiedy królowa już w więzieniu angielskiem siedziała, Moray i jego spółnicy oświadczali, że dowodu tego dostarczą — i rzeczywiście dla komisarzy królowej Elżbiety go

dostarczyli, lecz tylko dla tych komisarzy, którzy nie byli niczém inném, jak narzędziami Burleigha i Walsinghama.

Na czemże bowiem polegały owe rzekome dowody? oto na treści tak zwanej „srebrnej szkatułki“, którą Marya darowała Bothwellowi, a w której on przechowywał pisane przez nią do niego listy i sonety. Przypuściwszy, że Bothwell rzeczywiście odbierał listy i sonety od królowej, jakż dowód na to, że właśnie te pisma, które się znajdowały lub raczej znajdować miały w srebrnej szkatułce wtedy, kiedy wróg jej Moray ją otwierał i wypróżniał, pochodziły od niej? Moray bowiem i spółnicy jego, ani sądowi, ani Maryi nie przedłożyli oryginałów, lecz tylko kopie, które sami sporządzili, a pełnomocnicy Maryi napróżno się domagali, żeby im pokazano oryginały, napróżno się nawet domagali, żeby choć te kopie przedłożono oskarżonej, aby choć tym sposobem wykazać i powiedzieć mogła, co w nich jest prawdą a co fałszem.

Chyba tylko człowiek zaślepiony namiętnością stroniczą, chyba tylko człowiek pozbawiony do szczętu poczucia sprawiedliwości, może taki dowód uważać za rzeczywisty, za wystarczający, ba nawet za prawdopodobny. Lecz rozumie się, królowej Elżbiecie chodzić musiało o to, aby Maryą postawić w świetle popełnionego na mężu morderstwa, jakże bowiem przez to wyrok śmierci dał się zręcznie upozorować, — tak więc przeznaczony sąd komisarzy angielskich uznał papiery przez Moraya przedłożone za autentyczne i jako takie otrąbiono je po całym świecie. Marya ze swój strony aż do ostatniej chwili życia swego stanowczo twierdziła, że nigdy nie wiedziała o morderczych zamiarach Bothwella, i że pisma, które przeciwko niej przemawiać miały a których żadną miarą pokazać jej nie chciało, są albo zupełnie albo przynajmniej częściowo podrobione. Znając zaś brak skrupułów polityki Burleigha i Walsinghama, znając moralną podłość i zepsucie ich adeptów szkockich, ani na chwilę i my nie wahamy się wypowiedzieć, że według wszelkiego prawdopodobieństwa popełniono tutaj podłe fałszerstwo. Człowiek taki jak Lethington np. zbrodnię taką uważać mógł tylko za drobnostkę, a ludzie tacy jak Burleigh i Walsingham znów pewno ani na chwilęby się nie zawahali nie tylko go do tego namawiać, ale go nawet za to opłacić.

Jeżeli więc pytanie, czy Maryą posądzić możemy o współudział w okropnej zbrodni popełnionej w Kirk of Field rozstrzygnąć musimy koniecznie na jej korzyść, to niestety, nie możemy dać równie

przychylnéj odpowiedzi na dalsze pytanie: czy nie przyjęła ona na siebie lekkomyślnie stworzonéj przez mord ten sytuacji?

Owszem, odpowiedzieć musimy, dalsze jéj postępowanie było zupełnie takie, że wszystkie pozory koniecznie pokazywać musiały w niéj spółniczkę zbrodni Bothwella. Tój olbrzymiej plamy najrzęczniejszy obrońca nie zmaże z postaci królowéj.

Że Marya w dniu 10 lutego 1567 r. nie odgrywała roli nieutulonéj w żalu wdowy, tego jéj za złe policzyć nie myślimy, obłuda nie należała do przywar jéj charakteru, a musiałyby być obłudną, gdyby chciała udawać żal i smutek tam, gdzie go nie było. — Elżbieta w położeniu jéj pewnoby nie zawahała się ani na chwilę ronić łzy krokodyla nad spaloném ciałem zamordowanego a niekochanego męża, Marya albo nie mogła, albo nie chciała odgrywać takiej podłej tragikomedii. — Lecz Marya grzeszyła nawet przeciw wszelkim względom przyzwoitości, pozwalając, że ciało jéj męża pogrzebano w sposób nieodpowiedni może dla zwykłego wyrobnika. Czyż już to nie musiało każdemu przypominać, z jaką to troskliwością dbała ona, aby zamordowanemu Ricciowi sprawiono pogrzeb wspaniały, imponujący?

Lecz nie na tém koniec przykréj téj sprzeczności. Po śmierci Riccia królowa rozwinęła wszystkie swe siły, całą swą energię, aby pomścić śmierć włoskiego intryganta i rzeczywiście srogo ukarała przynajmniej niektórych z konspiratorów. Teraz zaś zgodziła się, że wytoczone z powodu zamordowania własnego jéj męża śledztwo, prowadzono niedbale i nieogłędnie, widocznie tylko dla pozorów. Nie dosyć na tém: kiedy każdy prawie człowiek palcami wskazywał na Bothwella, jako mordercę Darnleya, kiedy publicznie rozlepione plakaty stanowczo i bez ogródki zarzucały mu tę zbrodnię, ona nawet na chwilę, nawet w czémkolwiek nie starała się ukryć łaski swéj, dotychczas zbrodniarzowi temu okazywanéj.

Było to już zgorzeniem olbrzymiém, ale było zgoła niczém w porównaniu z tem, co się stać miało niebawem, co już być miało zbrodnią, zbrodnią w najhaniebniejszym znaczeniu wyrazu tego. Marya oddała rękę swą człowiekowi uznanemu powszechnie za mordercę jéj męża. Małżeństwo to wyciska piętno hańby na czole Maryi, piętno, którego żadna sofistyka zmazać nie potrafi.

Rzeczywiście stała się Marya ofiarą podłych intryg Bothwella, lecz czy nie stała się nią dobrowolnie? Któżby temu mógł zaprzeczyć? Jakże mogą zaślepieni obrońcy Maryi z czystém czołem wmawiać w ludzi jakąś niesforną gadkę o rzekomém gwałtowném porwaniu Maryi przez Bothwella pod Foulbriggis w dniu 24 kwietnia 1567 i o uprowadzeniu jéj do Dunbaru?— Jakże można posuwać

kłamstwo lub zaślepienie do tego stopnia, aby twierdzić, że królowa nie była w stanie usunąć się z pod władzy i to materialnej podłego tego bandyty? Czyż to właśnie ona i przedtém i później nie dowiodła aż nadto dostatecznie, że posiada i siłę i talent po temu, aby wolę swą przeprowadzić wśród tysiąckrotnie gorszych okoliczności, aby przełamać przeszkody zgoła innéj jeszcze natury? Ona, która po zamordowaniu Riccia wydobyła się na wolność z Holyroodu, ona, która później umknąć umiała z tak srogiego więzienia w Lochleven, onaby nie śmiała wydostać się w kwietniu 1567 r. z Dunbaru? Nie mogła, po prostu dla tego, że nie chciała. Owszem chciała mieć za męża podłego zbrodniarza, który nad umysłem, nad sercem jéj panował już wówczas wszechwładnie. Z bezwstydnym pospiechem nawet zajęto się wykonaniem zbrodniczego tego związku; uzyskawszy podstępem nieformalny rozwód dla Bothwella, oddała wdowa po Darnleyu rękę swą na dniu 15 maja 1567 r. mordercy swego męża w kaplicy holyroodskiej, w trzy miesiące po zabójstwie poprzedniego męża swego.

Na drugi dzień rano na bramie zamkowej czytać było można pentametrami z Owidiusza: *Mense malas maio nubere vulgus ait.*

Gdyby w ogóle jeszcze coś choć w cząstce usprawiedliwić mogło otumanioną królowę, to chyba postępowanie szkockiej szlachty podczas zamordowania Darnleya i ślubu Maryi z Bothwellem. Nie szczędząc ani podstępu, ani siły, ani wszelkich innych wpływów, nie byłaby jednak królowa i ów bandyta mogli procesu tego zamieścić w tak krzyżące naigrawanie z prawa i sprawiedliwości, gdyby arystokracja w przeważnej swej większości nie była sama pośrednio lub bezpośrednio do tego pomagała. Parowie nie więcej warci od niego, uwolnili mordercę, ale nie dosyć im na tém. — Dwudziestu ośmiu parów i prałatów, hrabiów, baronów, lordów i lairdów zawarło, podpisało i podpieczętowało 19 kwietnia formalny sojusz na korzyść Bothwella. W pierwszej części oryginalnego tego pisma oświadczają parowie „na słowo szlacheckie i wierność szlachecką“, że hr. Bothwell jest zgoła niewinnym śmierci Darnleya; w drugiej radzą królowej, aby ze względu na znakomite jego przymioty i dobre usługi Bothwella, wybrała go na małżonka swego.

Sojusz ten niewątpliwie wpłynął na królowę, niewątpliwie utrwalił ją w jéj szalonym obłędzie. Lecz prawie z pewnością powiedzieć można, że całą tę intrygę, naturalnie napiętą przez samego Bothwella, gorliwie popierała na żoździe Anglii stojąca partya, która stanowczo pracowała na zgubę Maryi.

przychylnéj odpowiedzi na dalsze pytanie: czy nie przyjęła ona na siebie lekkomyślnie stworzonéj przez mord ten sytuacji?

Owszem, odpowiedzieć musimy, dalsze jéj postępowanie było zupełnie takie, że wszystkie pozory koniecznie pokazywać musiały w niéj spółniczkę zbrodni Bothwella. Tę olbrzymią plamę najzręczniejszy obrońca nie zmaże z postaci królowéj.

Że Marya w dniu 10 lutego 1567 r. nie odgrywała roli nieutulonéj w żalu wdowy, tego jéj za złe policzyć nie myślimy, obłuda nie należała do przywar jéj charakteru, a musiałyby być obłudną, gdyby chciała udawać żal i smutek tam, gdzie go nie było. — Elżbieta w położeniu jéj pewnoby nie zawahała się ani na chwilę ronić łzy krokodyla nad spalonym ciałem zamordowanego a nieochanego męża, Marya albo nie mogła, albo nie chciała odgrywać takiej podłej tragikomedii. — Lecz Marya grzeszyła nawet przeciw wszelkim względom przyzwoitości, pozwalając, że ciało jéj męża pogrzebano w sposób nieodpowiedni może dla zwykłego wyrobnika. Czyż już to nie musiało każdemu przypominać, z jaką to troskliwością dbała ona, aby zamordowanemu Ricciowi sprawiono pogrzeb wspaniały, imponujący?

Lecz nie na tém koniec przykréj téj sprzeczności. Po śmierci Riccia królowa rozwinęła wszystkie swe siły, całą swą energię, aby pomścić śmierć włoskiego intryganta i rzeczywiście srogo ukarała przynajmniej niektórych z konspiratorów. Teraz zaś zgodziła się, że wytoczone z powodu zamordowania własnego jéj męża śledztwo, prowadzono niedbale i nieogłędnie, widocznie tylko dla pozoru. Nie dosyć na tém: kiedy każdy prawie człowiek palcami wskazywał na Bothwella, jako mordercę Darnleya, kiedy publicznie rozlepione plakaty stanowczo i bez ogródki zarzucały mu tę zbrodnię, ona nawet na chwilę, nawet w czémkolwiek nie starała się ukryć łaski swéj, dotychczas zbrodniarzowi temu okazywanéj.

Było to już zgorzeniem olbrzymiém, ale było zgoła niczém w porównaniu z tem, co się stać miało niebawem, co już być miało zbrodnią, zbrodnią w najhaniebniejszym znaczeniu wyrazu tego. Marya oddała rękę swą człowiekowi uznanemu powszechnie za mordercę jéj męża. Małżeństwo to wyciska piętno hańby na czole Maryi, piętno, którego żadna sofistyka zmazać nie potrafi.

Rzeczywiście stała się Marya ofiarą podłych intryg Bothwella, lecz czy nie stała się nią dobrowolnie? Któżby temu mógł zaprzeczyć? Jakże mogą zaślepieni obrońcy Maryi z czystém czołem wmawiać w ludzi jakąś niesforną gadkę o rzekomém gwałtowném porwaniu Maryi przez Bothwella pod Foulbriggis w dniu 24 kwietnia 1567 i o uprowadzeniu jéj do Dunbaru? — Jakże można posuwać

kłamstwo lub zaślepienie do tego stopnia, aby twierdzić, że królowa nie była w stanie usunąć się z pod władzy i to materialnej podłego tego bandyty? Czyż to właśnie ona i przedtém i później nie dowiodła aż nadto dostatecznie, że posiada i siłę i talent po temu, aby wolę swą przeprowadzić wśród tysiąckrotnie gorszych okoliczności, aby przełamać przeszkody zgoła innéj jeszcze natury? Ona, która po zamordowaniu Riccia wydobyła się na wolność z Holyroodu, ona, która później umkać umiała z tak srogiego więzienia w Lochleven, onaby nie śmiała wydostać się w kwietniu 1567 r. z Dunbaru? Nie mogła, po prostu dla tego, że nie chciała. Owszem chciała mieć za męża podłego zbrodniarza, który nad umysłem, nad sercem jéj panował już wówczas wszechwładnie. Z bezwstydnym pospiechem nawet zajęto się wykonaniem zbrodniczego tego związku; uzyskawszy podstępem nieformalny rozwód dla Bothwella, oddała wdowa po Darnleyu rękę swą na dniu 15 maja 1567 r. mordercy swego męża w kaplicy holyroodskiej, w trzy miesiące po zabójstwie poprzedniego męża swego.

Na drugi dzień rano na bramie zamkowej czytać było można pentamet z Owidiusza: *Mense malas maio nubere vulgus ait.*

Gdyby w ogóle jeszcze coś choć w cząstce usprawiedliwić mogło otumanioną królowę, to chyba postępowanie szkockiej szlachty podczas zamordowania Darnleya i ślubu Maryi z Bothwellem. Nie szczędząc ani podstępu, ani siły, ani wszelkich innych wpływów, nie byłaby jednak królowa i ów bandyta mogli procesu tego zamieścić w tak krzyżące naigrawanie z prawa i sprawiedliwości, gdyby arystokracja w przeważnej swej większości nie była sama pośrednio lub bezpośrednio do tego pomagała. Parowie nie więcej warci od niego, uwolnili mordercę, ale nie dosyć im na tém. — Dwudziestu ośmiu parów i prałatów, hrabiów, baronów, lordów i lairdów zawarło, podpisało i podpieczętowało 19 kwietnia formalny sojusz na korzyść Bothwella. W pierwszej części oryginalnego tego pisma oświadczają parowie „na słowo szlacheckie i wierność szlachecką“, że hr. Bothwell jest zgoła niewinnym śmierci Darnleya; w drugiej radzą królowej, aby ze względu na znakomite jego przymioty i dobre usługi Bothwella, wybrała go na małżonka swego.

Sojusz ten niewątpliwie wpłynął na królowę, niewątpliwie utrwalił ją w jéj szalonym obłędzie. Lecz prawie z pewnością powiedzieć można, że całą tę intrygę, naturalnie napiętą przez samego Bothwella, gorliwie popierała na żołądzie Anglii stojąca partya, która stanowczo pracowała na zgubę Maryi.

Zadziwiać nas tylko musi, że sojusz z 19 kwietnia podpisali taki biskup z Roff i lord Harries, obaj późnziej gorliwi i wierni stronnicy królowej. Albo więc panowie ci wtedy jeszcze nie wierzyli w winę Bothwella, co się wydaje wielce nieprawdopodobnym, albo też zatarła się w szlachcie szkockiej tak dalece różnica pomiędzy prawem a bezprawiem, że nawet szanowniejsi z jej członków już poczucia tego nie mieli.

Ledwie się Marya skompromitowała nieodwołalnie i związała z Bothwellem węzłem, którego już zerwać nie było można, kiedy niebawem wybuchnął bunt, ręką Burleygha podsycany, „przeciw nałożnicy mordercy Bothwella“. Już w czerwcu stanął pod bronią nie-mały zastęp baronów. Trafnie mówi Walter Scott: „Nieszczęśliwą królowę wepchnęli w objęcia Bothwella; oddali ją na pastwę chuciom tego bandyty, nie podnosząc za nią ani jednej lancy, nie do-bywając dla niej ani jednego miecza, dopiero wtedy, kiedy Marya łańcuchem związaną była z Bothwellem, uderzyli na alarm“. Bunt, o ile wierzyć można oficjalnym zaręczeniom samych uczestników, początkowo wymierzony był tylko przeciw małżonkowi królowej, lecz już same stosunki wskazywały, że Marya zaledwie w miesiąc po zawarciu tego nieszczęsnego małżeństwa, nie będzie mogła przecież sprawy swęj odłączyć od sprawy męzowskięj. Skutkiem tego zebrane przez nią wojsko, rozsypało się na wszystkie wiatry na wyżynach Karberry, Bothwell musiał uciekać, a królowa musiała się d. 15. czerwca poddać zbuntowanym lordom. Bothwell wtedy z bandyty, stał się rozbójnikiem morskim, na wybrzeżach Norwegii wpadł w ręce Duńczyków i zakończył zbrodnicze swe życie w kazamatach w Malmö.

Zwycięzoną królowę zamknęli zwycięzcy buntownicy w zamku na skalistej wyspie Lochleven, oddając ją pod dozór stanowczęj jej nieprzyjaciołce lady Douglas, byłęj Małgorzacie Erskine, kochance Jakóba V., matce Moraya. Hr. Moray objął teraz rejencyę w imieniu siostrzeńca swego niemowlęcia Jakóba. — Polityka Elżbiety odniosła zatęm świetny tryumf w Szkocyi. — Rejenta kraju faktycznie uważać było można za namiestnika królowej angielskięj, lecz Moray i stronnictwo jego nie zadowolnili się takim rezultatem. — Oświadczywszy uroczyscie, że uwięziona w Lochleven królowa, niegodna tronu, traci koronę, kazali ją przez brutalnego Lindsaya zmusić do podpisania abdykacyi, a niebawem potem włożyli koronę na głowę niemowlęcia Jakóba, proklamując go Jakóbem VI. królem Szkocyi. Daremnie opierała się uwięziona królowa, daremnie protestowała przeciw wymuszonej na niej abdykacyi. Po kilkakroć usilnie przez nią wnoszoną prosbę, aby jej wolno było bronić się przed prawowitym parlamentem na robione jej zarzuty, stanowczo odrzucono.

Kazalnice reformowanych duchownych brzmiały od wyzwisk i klątw rzucanych na uwięzioną Maryę. Knox i inni kaznodzieje w zapalczywych, jadem i wściekłością opływających mowach, domagali się śmierci Maryi. — Owa „religia miłości“ odgrywała znów jedną ze swych weale u niej nierzadkich scen miłosierdzia i przebaczenia.

Królowa shańbiona, pobita, uwięziona, bynajmniej jednak nie uważa sprawy swęj za straconą. Wprawdzie pamięć na minione co dopiero chwile podłej Bothwelliady musiała na nią oddziaływać upokarzająco, lecz mimo to elastyczność jęj umysłu oparła się i tęj pressyi, a ku niemałęj złości i zgryzocie gderliwęj swęj dozoreznyi uwięziona Marya tak wysoko i dumnie nosiła swą piękną głowę, jak którakolwiek inna królowa.

Lady Douglas wkrótce jeszcze więcj miała mieć powodu do zgryzoty i smutku. — Własny jęj z krwi i kości syn zbuntował się przeciw nięj. — Osmnastoletni Jerzy Douglas, porozumiawszy się z uwięzioną, zaczął pracować nad jej uwolnieniem, lecz nie z romantycznęj miłości, jak tu i tam, zwłaszcza zaś w Waltera Scotta pięknym romansie „The abbot“ czytać możemy. Młody Jerzy odznaczał się przedewszystkiem chciwością; uwalniając Maryę, chciał on poprostu zrobić dobry interes pieniężny. Przy pomocy pазia matki swęj Wilie Douglasa, może jeszcze jakiego przyrodniego brata swego, udało się Jerzemu najprzód przeprowadzić niepostrzeżenie wszystkie przygotowania do ucieczki Maryi z Lochleven, a potęm o zmroku 2 maja 1568 r. wykonać szczęśliwie samą ucieczkę.

Ledwie Marya poczuła wolną ziemię pod stopami swemi, zgromadziła niebawem wojsko pod swojemi rozkazami, z czego w każdym razie przynajmniej tyle wnosić możemy, że nie musiała ona być dla wszystkich Szkotów, a nawet nie dla większości ich, ową krwiożerczą tyranką, za jaką ją protestancy zapaleńcy ogłaszali. Niestety atoli baronowie, przyprowadzający wazalów swych pod rozkazy królowęj, odznaczeni się wprawdzie odwagą i gorliwością, lecz tęm mnięj zręcznością. Nie zważając na przestrogi roztropniejszych, przyspieszyli lekkomyślnie decyzję, przyjęli już 13 maja pod Langside bitwę z armią Moraya i ponieśli stanowczą klęskę. Wśród okropnych niebezpieczeństw, po bezprzykładnych trudach i mozołach, stanęła Marya po dwudniowęj ucieczce w opactwie Dundrennan. — Tutaj zdecydowała się na nieszczęsną uchwałę, szukać schronienia w Anglii, czyli innymi słowy oddać się dobrowolnie w ręce czyhającego rudowłosego kota. Napróżno zaklinał ją wierny lord Harries, aby nie opuszczała Szkocyi. Groźna proklamacya wydana na polu bitwy pod Langside przez Moraya przeciw zwyciężonęj królowęj, doszła także do Dundrennan i wpłynęła stanowczo na postanowienie

jęj. — Zdawało jęj się, że się ziemia szkocka pali pod jęj stopami, niezwłocznie więc napisala do Elżbięty, że tylko jeszcze w Bogu i kuzynie swęj pokładać może nadzieję, a 16 maja w łódce rybackięj przeprowiała się z Dundrennan przez Solway do Workington w Kumberlandzie.

Na zamku w Karlisle w dziesięć dni potem przyjmowali ją imieniem królowęj Elżbięty lord Skrope i sir Francis Knollys, lecz już tu na samym wstępie z taką obojętnością i oziębłością, że Marya już z tego wnosić mogła, jak bardzo się omyliła, spodziewając się, że Elżbięta udzieli jęj pomocy i poparcia. Skrope i Knollys po powitaniu królowęj szkockięj, pisali do Elżbięty: „Jeżli z rozmów prowadzonych z królową szkocką wnosić mamy, posiada ona głowę pełną projektów, język wymowny, a prócz tego, o ile się nam zdaje, umysł wyniosły i wielką energię“. Słowa te nie mogły brzmieć mile w uszach Elżbięty, ale nie mogły zarazem obudzać w nięj obawy, boć przecież znenawidzoną rywalkę miała teraz we własnym swym ręku, mogła się więc postarać, żeby się nie wydostała z pod jęj władzy. Nie podlega wątpliwości, że uchwała taka zapadła niebawem w radzie Elżbięty.

Pod żadnym warunkiem Marya nie miała już wrócić do Szkocyi, kraju, nad którym teraz przy pomocy Moraya, Mortona i spółników, zapanować mogła wszechwładnie polityka angielska. Lecz nie dosyć na tém, trzeba zachować także pozory, zwłaszcza naprzeciw Francyi, aby zagrozić wszelkięj możliwęj na korzyść Maryi interwencyi. Detronizowanęj i uwięzionęj królowęj zatęm trzeba pozostawić przynajmniej choć błaży pozór wolności i królewskięj godności, tak, żeby ją stósownie do okoliczności wydobyć można z więzienia lub wtrącić napowrót do niego, układać się z nią, pokazywać ją z daleka, jako stracha szkockim baronom, gdyby nie chcieli posłusznie i potulnie słuchoać rozkazów Elżbięty, jednęm słowem, trzymać ją w ręku jako narzędzie angielskięj polityki.

W rzeczywistości Marya Stuart od chwili, w któręj nogą stąpiła na ziemię angielską, była w więzieniu, choć jęj pozwalano trzymać przy sobie mały dwór, którego koszta opędzala mianowicie z tych funduszów, jakie pobierała z Francyi jako wdowa po Franciszku II. — Pozornie byłaby Elżbięta srodzjęj, lecz o wiele mniej okrutnie postąpiła, gdyby od samego początku kazała kuzynę swą trzymać w ścisłęm więzieniu; tym sposobem bowiem byłaby uwięzioną pozbawiła środków do prowadzenia owęj długoletnięj bezowocnęj konspiracyjnęj walki, która koniecznie skończyć się musiała okropną katastrofą. Że Marya była do walki tęj jak najzupełnięj uprawnioną, o tém ani na chwilę wątpić nie możemy. Zamknij so-

koła do klatki i gadaj mu po tysiąc razy, że się powinien poddać losowi swemu, że powinien znosić cierpliwie twarde więzienie, a sokół jednak ani na chwilę nie przestanie rzucać się na pręty tej klatki, ani na chwilę nie przestanie próbować, czyby obrzydliwego więzienia nie można zgruchotać tym lub owym sposobem.

Ale klatka niestety z mocnych, żelaznych zrobiona była prętów. Biedny sokół najprzód poranił sobie głowę, poźdierał z siebie pióra, a w końcu przyprawił siebie o utratę życia, uderzając o kraty nieznośnego więzienia.

Przez dziewiętnaście lat nieszczęśliwa Marya połykała gorzki chleb więzienny. Stosownie do humorów i zachcianek Elżbiety wlekli ją z jednego zamku na drugi, z tego na trzeci, czwarty, piąty i szósty, nieraz podczas twardej zimy, bez względu na słabe i od samego początku stérane zdrowie uwięzionej, wrzucano ją do niewygodnych, zimnych, wilgotnych pokoi. Fotheringay zwała się ostatnia stacya tej drogi boleści, Amyas Paulet, ponury Purytanin, ostatni jęj dozorca więzienny.

Przyznać musimy nieszczęśliwej kobięcie, że choć bezprawnie więziona, jednak przez długie lata prowadziła opór z nieprzyjaciółką swą z wielką cierpliwością i środkami zgoła honorowymi. Ciągłe i ciągle łudzona, ciągle oszukiwana, jednak bezustannie znów się oddawała nadziei, że jednak wreszcie potrafi na słusznych warunkach zawrzeć układ z królową angielską. Wreszcie — i któżby się dziwił — przelała się żółć, wzięła górę nienawiść. Patrzała, jak projekta jęj rozbijały się jeden po drugim, dowiadywała się, jak przyjaciele jęj lali krew na rusztowaniach, gnili w więzieniach lub nędzę cierpieli na wygnaniu. Fantazyja jęj straciła swój blask i polot, serce jęj zaprawiło się jadem i goryczą, ciało uległo mozołom i cierpieniom. Przed czasem w tyloletniem więzieniu zestarzała się, głowa jęj niegdyś tak pięknými okryta włosami wyłysiała, organa ciała nie wypełniały swych funkcyj, na nabrzmiałych nogach z mozołem ledwie parę kroków posuwać się mogła. Najboleśniejszy cios atoli zadała jęj wroga nieprzyjaciółka przez stosunek, jaki wywołała pomiędzy nią a jedynem jęj dzieckiem. Podły Jakób VI sprzedał po prostu za parę tysięcy funtów matkę swoją angielskiej królowej t. j. pobierał od Elżbiety roczną pensyę pod tajemnym warunkiem, że nie zrobi żadnego kroku na korzyść uwięzionej. Młody król z niezrównanym cynizmem uspakajał wyrzuty sumienia, mówiąc: „Niech sama wyżłopie piwo, którego nawarzyła“.

Raz wreszcie wybuchnęły na jaw gniew i nienawiść, przez tyle lat w dręczonj kobiecie tłumione i gromadzone, wybuchnęły obfitym potokiem w owym osławionym liście, który Marya w listopadzie 1584 r. napisała do Elżbiety. W liście tym zdarła Marya świętoszce angielskiej obłudną maskę dziewiczości, w szorstkich, palących wyrazach wyrzucała jęj całą ową rozwiózłość, wszystkie owe brudne stosunki i stosuneczki, które według zeznania byłej swj damy honorowej hrabiny Shrewsbury utrzymywała z Leicestrem, Hattonem, Simierem i ks. Alençon. Nie szczędziła także nieograniczonej próżności, jako i brutalnych porywów złości, które szpecily córkę ósmego Henryka.

Prawdopodobnie list ten nigdy nie doszedł do rąk Elżbiety, przepadł on pewnie w szponach szpiegów i dozorców, otaczających uwięzioną królowę na rozkaz Burleigha i Walsinghama. Angielscy ministrowie nie potrzebowali rzeczywiście podniecać jeszcze już tak bujnej nienawiści pani swj przez pokazywanie jęj obrażającego pisma, nienawiść ta była aż za dostatecznie wielką, aby ściągnąć na Marya krwawą katastrofę. Elżbieta nienawidzić ją musiała do przesytu już skutkiem bezmiarü nieszczęścia, boleści i nieprawości, jaką na nią wylała. Nie dosyć na tém, Elżbieta bała się znenawidzonej rywalki i nie bez słusznych powodów. Marya Stuart właśnie w więzieniu dopiero stała się na dobre podstawą nadziei angielskich katolików, sprzymierzoną papieża, Guizów, króla hiszpańskiego, którzy wszyscy bez wyjątku musieli być stanowczymi wrogami Elżbiety, wrogami z upragnieniem czekającymi na to, aby ją pozbawić nietylko tronu, ale nawet, gdyby tego była potrzeba, i życia. Filip II nie raz w radzie swj przybocznej dyskutował o planach zamordowania Elżbiety, że zaś w tej jeszcze epoce fanatyzm nie gardził takimi środkami, na to dość przytoczyć noc św. Bartłomieja z r. 1572, dość przytoczyć świeższy jeszcze wypadek, dzień 10 lipca 1584, w którym kula fanatyka Baltazara Gérarda przeszyla pierś Wilhelma orańskiego.

Niesprawiedliwie zatem osądzalibyśmy Elżbietę, gdybyśmy nie przyznali, że królowa angielska w roku 1586 nie tylko wierzyła w możność zagrożonej inwazy hiszpańskiej i połączonego z nią powstania katolików angielskich, lecz zarazem i w to, że przedewszystkiem agitacye Maryi i jęj stronników niebezpieczeństwo takie wywoływały. Niemniej wierzyła Elżbieta także zaręczeniom ministrów swych, że uwięziona w Fotheringay królowa szkocka, zupełnie jest wtajemniczona w morderczą konspiracyą Babingtona, złączoną nierozzerwalnym węzłem z projektem inwazy hiszpańskiej, że zatem Marya aprobo-

bowała bezwzględnie zamiar Babingtona i jego spółników, zamiar zamordowania Elżbiety.

Konspiracya ta exystowała niewątpliwie; lecz exystowała choć nie wprost wywołana, to przynajmniej przy pomocy niesumiennych i na zglubę Maryi obliczonych sztuczek policyjnych, wyniańczona i wykształcona przez samego Walsinghama.

Marya ze swęj strony nigdy nie przeczyła, że o projekcie inwazyi hiszpańskiej nie tylko wiedziała, ale go nawet pochwałała. I dlaczegóżby, pytamy, nie miała go pochwalać? Czy projekt ten nie obiecywał jęj oswobodzenia z ośmnastoletniego więzienia, w którym ją trzymano wbrew wszelkim prawom i międzynarodowym i ludzkim? Czyż, jeżeli zważymy, że ludzie bynajmniej nie są aniołami, i że szczytny przepis chrześcijański: „Kochaj twych nieprzyjaciół i czyn dobrze tym, którzy cię nienawidzą!“ — znika niestety zwykle, jak mgła przed wiatrem porannym, przed faktycznymi namiętnościami i interesami — czyż tedy moglibyśmy się dziwić, gdyby nawet Marya za cenę życia dręczycielki swęj była chciała okupić swoją wolność i koronę?

Lecz nieszczęśliwa uwięziona z Fotheringay aż do ostatniego swego tchnienia stale i stanowczo na wszystkie zarzuty, jako wiedziała i pochwałała mordercze plany Babingtona, odpowiadała energiczném i szczerém: nie, podczas gdy ani na chwilę nie wypierała się udziału w wielkiej kombinacyi katolickiej i projekcie inwazyi hiszpańskiej. Miano jęj dowieść współnictwa z Babingtonem za pomocą listu przez konspiratora tego do niej pisanego i własnej jęj odpowiedzi; Marya żądała, aby jęj przedłożono oryginały, oświadczając wprost sekretarzowi stanu Walsinghamowi, że w nim widzi człowieka zdolnego i gotowego fałszować jęj listy podchwyczone przez szpiegów i w jego ręce oddane. Oryginałów rzeczywiście nie przedłożono Maryi tą razą: tak samo jak wtedy, kiedy chodziło o papiery z „srebrnej szkatułki.“

W ogóle cały ten proces, który na jesień 1586 r. wytoczono Maryi Stuart, nie był od początku do końca niczém inném, jak ironią procedury sądowej, niemniej haniebném wyszydzeniem prawa, jak czasu swego proces Bothwella, z tą tylko jeszcze różnicą, że proces Maryi skończył się wyrokiem na śmierć, proces Bothwella niewinnieniem rzeczywistego zbrodniarza.

Na czele śledczej i wyrokującej komisji, zamianowanej przez Elżbietę, postawiono śmiertelnych nieprzyjaciół Maryi Burleigha i Walsinghama, którzy za główne zadanie polityki swęj uważali:

pozbawić życia oskarżoną. Choręj, złamanęj, opuszczonej kobiecie nie pozwolono nawet przybrać sobie poradnika prawnego i obrońcy. Prowadzono tak śledztwo jak całe postępowanie w ten sposób, że żadną miarą do rzeczywistości i prawdy dojść nie było można. Kiedy się Marya dowiedziała, że sędziowie zarzucają jej udział w spisku Babingtona, zażądała — czyż niesłusznie? — aby ją konfrontowano z głównym oskarżonym i jego spółnikami. Na próżno. Owszem rząd angielski przeciwnie spieszy wykonać wyrok śmierci na Babingtonie i towarzyszach jego, aby tym sposobem pozbawić oskarżoną królowę możliwości odwołania się do tych świadków. Marya, panująca królowa, Marya, pełna poczucia godności i znaczenia swęj władzy królewskiej, mogła — a niktby się temu nie dziwił — odmówić oskarżycielom i sędziom swym kompetencyi badania i sądenia jej, mogła nie odpowiadać na pytania ich; Marya mimo to nietylko się stawiła przed szranki ich, lecz zarazem o ile możności wykazała bezzasadność najcięzszego rzuconego na nią oskarżenia; sędziowie jej zaś, których właściwie jej katami nazwać powinniśmy, nie szczędzili podstępni i brutalności, aby przeszkadzać nieszczęśliwej, aby stawiać jej ciągle nowe trudności, aby zamiar jej spacyć i zniweczyć, aby ofiarę swą pozbawić wszelkiej obrony.

Nawet najzaciętsi jej nieprzyjaciele nie śmieli zaprzeczyć, że Marya, kiedy 14 października 1586 r. w wielkiej sali w Fotheringay stanęła przed swymi sędziami — katami, robiła wrażenie imponujące, uttrzymała szlachetną godność i przytomność. Kiedy Burleigh ją zawezwał, aby wysłuchała aktu oskarżenia, oświadczyła: „Przybyłam do Anglii, aby prosić o pomoc, którą mi poprzednio przyrzeczono. Każdy bez wyjątku wie, że mnie w kraju tym przytrzymano, uwieziono wbrew wszelkiemu prawu, wbrew wszelkim ustawom. Co do waszëj komisji, to nikt nie ma prawa ustanawiać jej na mnie, bo nikt nie stoi nade mną. Urodziłam się wolną, udzielną księżniczką i odpowiadam tylko przed Bogiem za czyny moje. W was nie uznaję ani mych parów, ani mych sędziów, a jeżeli się zgadzam odpowiadać na pytania wasze, czynię to tylko dla tego, że tak chcę i aby dowieść, że wymierzone na mnie oskarżenia są fałszem i oszezerstwem“.

W dalszym przebiegu śledztwa z goryczą nadmieniła oskarżona, że Babingtona ukarano już śmiercią, aby uniemożliwić żądana przez nią konfrontacyą, a zarazem dodała poufnie, dla czego przecieź przynajmniej dwóch jej uwiezionych sekretarzów (Nau i Kurle) nie przyprowadzono, aby ich, jak tego żądała, postawić z nią oko w oko; pewnieby to uczynili, gdyby mogli być pewni, że świadkowie powtórzą rzekome swe zeznania w oczy oskarżonej. Nadmie-

niłiśmy już poprzednio, że oskarżona daremnie się domagała tak przedłożenia oryginałów przypisywanych jęj listów do Babingtona, jak i przyprowadzenia na sessyę owych świadców. „Na listach moich — zawołała oburzona — budujecie oskarżenia a odmawiając mi przedłożenia oryginałów, zabierając mi moje papiery, pozbawiacie mnie wszystkich środków potrzebnych do wykazania fałszu tego oskarżenia“. Kończąc przemowę ową zawołała: „Jedynemi zbrodniami mojami są urodzenie moje, obrazy i boleści, które mi zadano, i religia którą wyznaję. Z urodzenia mego dumną jestem; zadaną mi obrazę umiem przebaczyć; co zaś do religii mojęj, ona jest dla mnie pociechą i nadzieją w smutku; gotowa jestem opieczętować ją krwią moją. Zawsze i wszędzie szanowałam życie najniższego stworzenia boskiego. W naturze mojęj więć jest skłonności do modlenia się sposobem Estery, jak do chwycenia za miecz sposobem Judyty. Zresztą byłoby to nierozumnem, zgadzać się na wyrok ludzi, którzy są znanymi powszechnie nieprzyjaciołmi mymi. Żadam, aby mnie oskarżono i abym się bronić mogła przed parlamentem Anglii, w obecności królowej i jęj rady stanu“.

Próżne wołanie! 25 października zebrała się komisya, zamiast w Fotheringay w Westminster i wypowiedziała, nie przesłuchawszy jęj już ani raz, wyrok potępiający królową szkocką we wszystkich bez wyjątku punktach aktu oskarżenia. Jedyne jedno sędzia tylko, lord Zouch, nie zdobył się na bezczelność, aby do haniebnego tego wyroku dodać i swój głos. Zapadły wyrok, naturalnie potwierdzony przez obie izby parlamentu a przez ludność londyńską witany szaloną radością — rząd postarał się, aby „ducha protestanckiego“ poprzednio polechtać i podsycić a opinią publiczną nakarmić całym stosem rzekomych „papistowskich“ okropności — zapadły wyrok równał się wyrokowi na śmierć a wykonanie jego zależało od humoru Elżbięty.

Światło, w jakim się teraz Elżbięta przedstawić chciała, jakoby się wahała pomiędzy wymogami dobra publicznego a własną swą skłonnością; podłe rzeczywiście pretensje, jakie nie tylko miała do otoczenia swego, lecz jakie nawet mniej lub więćj otwarcie wypowiadała, pretensye aby ją „uwolniono“ od znieawidzonej kuzyny, tak, żeby się obyć mogło bez oficjalnego wykonania wyroku; sposób w jaki sobie podpis pod wyrokiem śmierci daje, nibyto pół przemocą, pół podstępem wydrzeć; a wreszcie bezprzykładna obłuda, z jaką po dokonanych fackie nie tylko udaje, że wyrok bez jęj wiedzy i przeciw jęj woli wykonano, lecz nawet ostre kary wymierza na tych, którzy wykonaniem jego się zajęli, a zwłaszcza na sekretarzu swoim Davisonie; wszystko to znów przypomina nam owe-

go rudowłosego kota, wszystko to obudzać tylko może odrazę i oburzenie.

Elżbieta tak szczerze pragnęła, żeby jaka zbrodnicza ręka zakończyła życie Maryi, że już w sierpniu 1586 roku sama napisała do dozorczy Amyasza Pauleta list pełen djabelskiego prawdziwie podstępny. Szorstki, lecz prawy Purytanin albo nie zrozumiał, albo nie chciał zrozumieć podłej tej przymówki. Wtedy Walsingham i Davison wyraźniej do niego napisali, zwracając uwagę jego na to, że królowej swój wyrządzi wielką przysługę, jeżeli ją potajemnie „uwolni“ od Maryi Stuart. Paulet tą razą z oburzeniem odrzucił haniebne wymagania. Kiedy zaś Davison doniósł królowej o jego odpowiedzi, Elżbieta nie żałowała sobie słów oburzenia i złości na „afektowanego formalistę“.

Ministrowie Elżbiety dobrze wiedzieli, że, i to bardzo po myśli pani swój, postąpią, jeżeli jej nadal sprawą tą zajmować nie będą, lecz wykonanie podpisanego przez nią wyroku sami na siebie wezmą. Tak zatem postąpili.

Dnia 6 lutego 1587 r. przybyli hrabiowie Shrewsbury i Kent i mr. Beale do Fotheringay a następnego dnia w towarzystwie dozorczy Pauleta i szeryfa hrabstwa Northampton, stanęli przed Maryą, aby jej oświadczyć, że chwila śmierci jej już nadeszła. „W imię Boże — odpowiedziała spokojnie Marya — niech błogosławiona będzie wiadomość wasza! Bardzo bowiem pragnę, rozstać się z tym światem!“

Potem z równym spokojem i stałością oświadczyła, że jest ofiarą zbrodni, skazaną przez trybunał, który do niej nie mógł mieć żadnego prawa, skazaną za przestępstwa, których nie popełniła. — „Wzywam Boga na świadka — kończyła, kładąc rękę na leżący przed nią nowy testament — że nigdy nie chciałam, nie pochwalałam, nie szukałam śmierci królowej angielskiej.“

Kiedy zaś hr. Kent do tego stopnia posunął brutalstwo swe, że na słowa jej odparł:

„To papistowski testament, przysięga wasza nie ma za tem żadnego znaczenia!“

Spokój na chwilę nie opuścił Maryi, z godnością odpowiedziała zaślepionemu fanatykowi:

„Jest to tłumaczenie uznane przez kościół katolicki. Mylord zatem konsekwentnie powinien przysięgę moją na nie złożoną, uważać za więcej świętą, jak gdybym przysięgała na wasze tłumaczenie, w które nie wierzę“.

Zażądała potem księdza katolickiego, któryby ją przygotował na śmierć. Komisarze odmówili pod pozorem, że nie ma o tém nic w ich instrukcyi. Hrabia Kent chciał jęj wmusić protestanckiego poeieszyciela, dziekana z Peterborough, któryby ją zjednał dla kościoła anglikańskiego.

„Nie — odpowiedziała Marya — chcę umrzeć w wierze ojców moich“. — Na to gburowaty fanatyk Kent:

„Ha, pani, przy takiej zatwardziałości życie wasze byłoby zgubą naszej religii a śmierć wasza ją zbawi“.

Wykrzyknik Kenta wywołał promień radości na bladej, zniekanęj twarzy królowej. Kiedy komisarze odeszli, zwróciła się do służebnic swych temi słowy:

„Czym wam nie mówiła? Wiedziałam, że mnie zabiją, byłam za wielką zawadą dla ich wiary. Lecz jak jestem szczęśliwą! Twierdzono, że mnie na śmierć skazano, ponieważ spiskowałam na życie królowej angielskiej, teraz zaś wymknęło się temu hrabiemu Kent wyznanie, że robią to dla mój wiary!“

Rusztowanie ustawiono w wielkiej sali zamkowej. We środę 8 lutego o godzinie 8ej rano wstąpiła na nie Marya, wiadomo z jaką godnością i przytomnością. Kiedy szorstki jęj dozorca Paulet spostrzegł, że wycieńczona na siłach królowa z trudnością tylko utrzymać się może na osłabionych swych nogach, wzruszony podał ramię wstępującej na stopnie rusztowania.

Marya wsparła się na niém, mówiąc uprzejmie:

„Dzięki wam! Ostatni to mozól, który wam sprawiam!“

Kiedy Marya Antonina 16 października 1793 roku wstępowała na wschody prowadzące do gilotyny i nadepnęła kata Samsona na nogę, prosiła go natychmiast o przebaczenie: „Przepraszam pana — nie umyślniem to zrobiła!“ Jakaś poezya o wzruszającej sile leży niejako w tém, kiedy słyszemy słowa łagodności i dobroci z ust — które okrutność ludzka już w następnej chwili ma zamknąć na wieki....

Łagodnie, lecz zarazem stanowczo odrzuciła Marya bezczelność dziekana peterboroughskiego, który jeszcze w chwili śmierci, stojąc przed toporem chciał gwałtem nawracać.

Kiedy już topór odłączył głowę Maryi, wydarzyła się scena, którą tylko z wewnętrzną odrazą tutaj opisujemy. Odciętą głowę kat chwycił za włosy; podnosząc ją do góry, włosy pozostały w jego ręku, łysa głowa z łoskotem potoczyła się po ziemi. Kat zadrżał, podniósł ją na nowo, wołając:

„Niech Bóg zachowa królowę Elżbietę!“

A dziekan peterboroughski, aby i „religia miłości“ bez głosu tu nie była, dodał:

„Oby tak wszyscy nieprzyjaciele królowej zginęli!“

Tylko jeden głos hrabiego Kent, odezwał się: „Amen.“

Rudwołsy kot ofiarę swą przeżył o lat szesnaście.

Czterdzieści pięć lat „glorious“ panowała Elżbieta, nie zapominając do ostatnich dni życia swego o kokieteryi swój do szaleństwa prawie posuniętej. Już staruszka bawiła się jeszcze w młode dziewczę. Jeszcze w latach 1601 i 1602 kazała się przez uniżony dwór swój podziwiać i obsypywać oklaskami, kiedy śpiewała grając na lutni, lub koszlawo i niezręcznie tańczyła gaillardę. Tylko w samotnych chwilach, mimo świetnych zewnętrznych sukcesów, odzywało się w niej uczucie wewnętrznej próżni; wtedy to mówiła, że już się nasyciła życiem, bo nie już dla niej nie ma powabu, nie jej nie bawi. Szczęście jednak nie opuszczało jej do ostatniej chwili: 3 kwietnia 1603 roku skołała bez bólu, spokojnie.

Montesquieu, który w nauce historii nie doszedł jeszcze do tego, aby miał wierzyć, że jedyną miarą sądu historycznego być winno powodzenie lub brak powodzenia, Montesquieu powiedział: „Miejsca, które potomność wyznacza osobistościom historycznym, zależą tak samo jak te które współczesność rozdała, od kaprysów szczęścia“, — a nie jeden, który może w Montesquiem mógłby dostrzedz więcej rozumu, sprytu, znajomości ludzi i świata, jak w setkach naszych dzisiejszych „wielkich uczonych historyków“, gotów sądzić, że wyrzeczenie Montesquiego zastosowaćby można prawie w zupełności do Elżbiety Tudor i Maryi Stuart.

Zresztą, jeżeli na położenie tych dwóch kobiet królewskich, ich spory i walki, ich radości i boleści, ich tryumfy i klęski spojrzym z najwyższego t. j. najbezzstronniejszego stanowiska, wtedy mimowoli zrozumiemy znów w zupełności, jaką to prawdę powiedział stary Lear, mówiąc:

Gdy się rodzimy, płaczem, żeśmy weszli
Na tę wielką scenę błaznów, — świat.

Darmo nic

przez

KAROLA ŚWIDZIŃSKIEGO.

Powiedz dziewczę, powiedz szczerze,
Co spojrzenie znaczy?
Bo oczętom twym nie wierzę,
Patrzą wciąż inaczej.

Ej oczęta twe figlarne
To jak noc marcowa;
Co blask gwiazdek, między czarne
Chmurki — żrenic chowa.

Lub jak rzeki szklannój płyta,
Spodem nurt się kłębi;
Dmuchał wietrzyk — nie wyczyta —
Co tam leży w głębi.

Ale sposób znaleźć snadnie
Kiedy serce pali;
Nurkiem będę szukał na dnie
Pereł i korali.

A jak znajdę — to zapłacić
Trzeba będzie hojnie!
Bo się nurek chce wzbogacić
By już żyć spokojnie.

Więc za koral odszukany,
W zmiennój uczuć fali;
Dasz mi czar — co zgoi rany
W ustach twych z koralu.

A za perły blaskiem lśniące,
Dasz figlarko młoda,
Serce szczerze kochające,
Jak moje, czy zgoda?.....

KAROL A. SWIETLIKOWSKI



Powiedz dziewczyno powiesz mi
Co spotkało cię
Na oceanie twym nie wiem
Pamiętaj mi

Wzrostem twoim
To jest mi
Co blask perły, nie wiem
Ciepłota — kochaj cię

Twoja miłość
Pamiętaj mi
Dziękuję ci — miłość —
To jest miłość

Wzrostem twoim
Kochaj cię
Dziękuję ci — miłość —
To jest miłość

A ja cię
Twoja miłość
To jest miłość — miłość —
To jest miłość

O KODYFIKACYI PRAW

W DAWNĘJ POLSCE

i jej znaczeniu europejskiem

przez

Wacława Aleksandra Maciejowskiego.

WSTĘP.

Zredagowane prawo polskie raz tylko otrzymało uświęcenie: pod szczęśliwą gwiazdą będąc skodyfikowane. Monarcha, który dał pracy tej początkowanie, znalazł męża do jej wykończenia sposobnego, a ten trafił na ludzi którzy nieśli mu ochoczo pomoc w wykonaniu dzieła. Monarchą tym był Kazimirz Wielki, który w celu prawodawczym powołał do Wiślicy duchowne i świeckie państwa swego stany. Mężem, co kierował tą pracą był Janusz czyli Jan Strzelecki zwany Suchywilk¹⁾, który przy pomocy Wielko- i Małopolan dopóty nadredakcyą tak zwanych statutów wiślickich (r. 1347—68) pracował, aż się wygładziły i do jednakowego w całej Polsce szafunku sprawiedliwości usposobiły należycie.

Inaczej poszło z drugą i trzecią kodyfikacyą, za wolą króla i sejmu rozpoczętą i dokonaną, ale udaremnioną od tych co jej wagę nadać mieli. Znalazł się wprawdzie jeden i drugi człowiek sposobny do rzeczy (Mikołaj Taszycki i Bernard Maciejowski), ale nie było ludzi coby ją uznać chcieli a król, nie mając już tych co prawodawca wiślicki do tego środków, nie mógł ich mocą powagi swojej na-

¹⁾ Helela Starod. Pomn. Wstęp §. 157.

kłonić do jej uznania. Tem mniej posiadał jej ostatni z dawnych polskich monarchów, który również wspólnie z sejmem wziął się do rzeczy. Uprosił on uzdatnionego do takiej pracy męża (Andrzeja Zamojskiego), że się jej podjął po niejakiemu namyśle: ale gdy przyszło uświęcić tę pracę, i zamienić w prawo, nie chcieli dać na to zezwolenia ludzkiego, od których woli uświęcenie to zawisło.

Szczegółowo o tych trzech redakcyach, jednej dokonanej a dwóch do skutku nie doszłych mówić mając, zastanowię się nad tem, z jakich każda żywiołów powstawszy ułożyła się w całość.

Prawodawstwo piastowskie nader uwzględnione w kodyfikacji statutów wiślickich Kazimierza Wielkiego.

Wiślickie prawodawstwo z dwóch statutów prowincjonalnych, wielko- i małopolskiego, zwiedziono z sobą, czyli przywiedziono do jedności, a następnie dopełniwszy je przez dwa statuta dodatkowo zrobione, utworzono ze czterech jeden statut kwoli praktyki sądowej, której chciano w tem dogodzić, czyli wskazać drogę do łatwego znalezienia się w czterech owych statutach. Redakcyą tę nazwał Helcel „Zwodem zupełnym statutów Kazimierza Wielkiego“.

Ponieważ na ów Zwód powoływali się następni tak z urzędu jak i własnego popędu podobnych dzieł układacze i kodyfikując prawa brali na to także sam wątek co wiślicy prawodawcy, należy przeto rozważyć szczegółowo rzeczony wątek, dla wykazania jego dodatniej i ujemnej strony.

Wątkiem pierwszym i najbogatszym w zasób był dla wiślickiego Zwodu zwyczaj, czyli zwyczajowe prawo troistego rodzaju, polityczne, karne, cywilne. Niezmiernie ważną zaszła różnica w pojęciu praw tych, jak nas upewnia o tem najdawniejszy pomnik tegoż prawa zwyczajowego ¹⁾ który, idąc wstecz od warteńskiego statutu (r. 1420—1423), zachodzi aż poza Chrobrowe czasy.

¹⁾ Stoi na czele Starod. pomników Helcla II 3—33.

Choć się Zwód nader rzadko powołuje na zwyczaj ¹⁾, możemy atoli z pewnością twierdzić, że objęte rzeczonym Zwodem prawo powstało po największej części ze zwyczaju, i bywało zamieniane na ustawę, w miarę jak ten i ów zwyczaj odpowiadał potrzebie, tudzież w miarę uznania czy zachować go lub jako przestarzały odrzucić albo częściowo zmienić lub jaśniej wyrazić należy. Pod tym względem uważane prawo polityczne, w owym pomniku wyrażone, uległo wielkiej zmianie, niektóre przepisy jego jako szkodliwe (niewolę) uchylono zupełnie, inne zmieniono częściowo, lub tak dalece przeistoczono, że to, które się nam w statutach wiślickich przedstawia, ma inną zupełnie postać. Toż samo zaszło z prawem karnem. Przeciwnie, z prawa cywilnego dużo zachowano, po ujęciu jego treści w ramy redakcyi lepszej. Z organizacyi sądów i postępowania cywilno-sądowego przeszło nieco do wiślickiego prawodawstwa, z karno-sądowego prawie nie się nie dostało do niego.

Ustawy i obce prawa pisane, drugim jest źródłem z którego czerpali redaktorowie wiślickiego prawodawstwa. Pierwszych czyli ustaw zabytki, ile ich dotąd zdobyć, poznać i zużytkować mogliśmy, zawiera dzieło Jana Winc. Bandtkiego (*Jus polonicum*), także dzieło Helcla i tom VI historii prawodawstw słowiańskich przezemnie wydanej. Z obcych, w pomoc ale nader rzadko branych, zasługują na uwagę rzymskie i niemieckie prawa. Nie ulega wątpliwości że w Wiślicy przy układzie statutów zwracano oczy na pierwsze, i o ile się dało korzystano z jego zasad. Większych względów doznało niemieckie prawo, wyjątkowo u nas obowiązujące Niemców i Polaków, którym dano na to przywilej. W poczet uprzywilejowanych statutów policzono i żydowski, ale nader małe dano mu znaczenie.

Prawodawstwo Jagiellońskie, przedstawione w niedoszłych statutach Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta.

Prawodawstwo sejmowe czasów Jagiellońskich na statuta się wiślickie, a praktyka sądowa tak na nie jak i na

¹⁾ Porówn. §. 134. Zwodu z §. 30 statutu Wielkopolskiego
Wyd. Helcla.

zwyczaj powoływała. Pochlebiano sobie, że nauka, przeprowadzając praktycznych prawników przez uniwersyteckie stopnie, które w sądach ziemskich i miejskich wysoce ceniono, że ona oświecając wyższe i niższe urzędy sądowe, rozpocznie nową erę w prawoznawstwie i prawodawstwie krajowym, zbliży do siebie ziemskie prawo i miejskie, i tak mało po mału sprawi, że się spełnią życzenia znakomitego męża ¹⁾, który pragnął ażeby w Polsce jedno prawo wszystkim kraju mieszkańcom rozkazywało. Lecz nie ziściły się te nadzieje.

Ponieważ najwyższa władza krajowa nie położyła za warunek chcącym się ubiegać o sądowe urzędy, ażeby świadectwem udowodnili, że przez uzyskanie uniwersyteckich stopni usposobili się do sprawowania pożądaných urzędów, przeto mało po mału nietylko praktyka sądowa zaczęła chromać, lecz i prawodawstwo sejmowe upadało, prowadzone będąc nieudolnie. Za czem poszło, że zwyczaj brał znowu górę nad ustawą, i coraz lichsze powodował w sądach wyroki, gdy przy niedostatku nauki nieudolny Sędzia nie umiając sam wynaleść prawnej zasady do załatwienia przedstawionego mu sporu, załatwiał go według dawnego choć przestarzałego i duchowi czasu już nie odpowiedniego zwyczaju. Nie miał téż na usługi dzieła, któreby, wzięwszy go, że tak powiem, za rękę, wodziło po całym wątku sprawy, i objaśniało go, jak ją ma rozpoznać od początku aż do końca, i jak, poznavszy, powinien zawyrokować o niej zgodnie ze sprawiedliwością. W braku takiego dzieła należało dla jego użytku prawo porubrykować, a rubryki te na rubryczki podzielić, ażeby za przewodnictwem ich mógł łatwo znaleźć dla siebie rozum w zwodzie, kiedy go nie miał w głowie. Tak objaśniony Sędzia, nie szukając już zasady prawa po całym zbiorze, mógł sięgać po nią do rubryki, i znalazłszy w niej czego szukał, zastosować przepis prawa do wydarzonego wypadku. W razie jeżeli nie znalazł zasady, bo przedstawiony sobie spór obejmował nowe zdarzenie, dotąd w sądach nie praktykowane, wtedy wyrokował według swego o słuszności przekonania, trzymając się form we wszystkich ziemiach rozległego państwa ujednostajnionych, i ramami form tych obwodząc

¹⁾ Był nim Jan Ostroróg który w rozdz. 32 znanego z historii prawodawstw. (I. §. 342) dzieła życzenie swe objawił.

swój wyrok. Lecz na nieszczęście, ani formalności sądowe nie były po całym kraju ujednostajnione, ani prawa jednokowe dla wszystkich, albowiem władza prawodawcza, po błażliwa na dążności sobkowe, obdarzając przywilejami pojedyncze osoby, coraz to bardziej mąciła prawa, rozdrabniając je, i tak sprawiedliwością frymarczyły. Przybywały nowe i coraz nowsze wyjątki i wyjąteczki, które zmieniając prawo obowiązujące, wstrząsały w swej posiadzie wiślickie, z takim mozołem i trudem zbudowane prawodawstwo. Wychodziły wyjątkowe ustawy, które mnóstwo przywilejów dla szlachty korzystnych a dla ludu wiejskiego niekorzystnych głosząc, przedstawiały rażącą sprzeczność terażniejszości z przeszłością. Potrzeba radziła nową kodyfikacją praw zrobić, do czego nie przyszło. Natomiast skatalogowano ogólne i szczególne ustawy i prawa zwyczajowe.

Król Aleksander Jagiellończyk zgodził się na sejmie r. 1505 w Radomiu odbytym na uczynione sobie ze strony senatu i posłów przedstawienie ¹⁾, ażeby odtąd bez ich zezwolenia żadna uchwała nie zapadła, któraby prawa stanom rzeczypospolitęj służące nadweryżyć w czem zamierzała. Przy sposobności tój polecił monarcha wielkiemu kanclerzowi koronnemu Janowi Łaskiemu, (który za młodych lat miał być uczniem uniwersytetu krakowskiego i w nim uzyskać stopień Doktora prawa ²⁾), zebrać powszechnie w kraju obowiązujące a drogą ustawy i przywileju uzyskane prawa, a dodawszy do nich sądowe urzędy i nowe postanowienia ³⁾ podał je do druku. Stało się zadosyć rozkazowi. Kanclerz w tymże roku (1505) w którym nakaz odebrał, kazał spisać praw księgę, i po zatwierdzeniu jęj od Króla, wytłoczył ją dał w Krakowie w roku następnym (1506).

Treści księgi tój powszechnie statutami Łaskiego zwanej, wyliczać i oceniać nie będę; albowiem wyręczył

¹⁾ R. 1505. Vol. (znaczy Volumina legum) I 299 — k. 352.

²⁾ Sołtykiewicz o stanie akademii krakowskiej i t.d. Str. 600.

³⁾ W przemowie do swęj księgi mówi Łaski: monarcha mihi provinciam dedit communis ejusdem privilegii et antiquarum regni institutionum ordinationumque scribendarum.

mnie w tém Czacki ¹⁾, nie powiedziawszy atoli, czy kanclerz zamiary króla odgadł, wykonywając dane sobie polecenie, lub przypuściwszy, że sam monarcha jasnego pojęcia o tém co chciał mieć wykonaném nie posiadając, dał w siebie wmówić, że właśnie tego pragnął, co mu przedstawiono. Drugie prawdziwsze. Zkąd wniosek, że monarcha uwieść się dał człowiekowi, który będąc, jak o nim historia mówi, obojętnym na powszechna a czułym na swe i swój kasty dobro, użył podstępu tego, ażeby nie kodyfikować ale katalogować prawa. Popiera wniosek ten okoliczność ta, że król Aleksander napisać a nie spisać ²⁾ kazał ustawy i przywileje ³⁾; wszystko bowiem, co statuta Łaskiego objęły, napisane już było dawno, prawo zwyczajowe wyjąwszy. To gdy jedna tylko ziemia krakowska spisane miała, król przeto kazawszy je do statutów włożyć, nakazał dalej, ażeby reszta ziem koronnych zrobiwszy to samo, podała mu swój spis do potwierdzenia. Chciał więc monarcha, ażeby wątek rzeczy spisanych napisano, co nie innego znaczyć nie może, jak, że dawne spisy miały być na nowo przejrzone i poprawione, w czémby się okazały poprawy godne. Jakoż ostatni czas ubiegał dla dzieła chlubnego i od zamętu, jaki Polskę w następnych wiekach opanował, mogącego ją ochronić; już bowiem maj życia prawodawstwa naszego dobiegał swego kresu, i nastająca po nim chwila nie była w stanie życie to przedłużyć. Sejm bowiem Radomski zastrzegł, ażeby na przyszłość nie takiego nie stanowić bez woli króla, jego rady i zezwolenia posłów ziemskich, coby na szkodę narodowi wyjść mogło ⁴⁾. A więc na to co się teraz napisze dał jeszcze zezwolenie; lecz na to, co się następnie spisywać miało czy je da, było wielce niepewném. Korzystając przeto z chwili monarcha, polecił (*provinciam dedit*) Kanclerzowi, ażeby prawo napisał, dopóki czas po

¹⁾ Patrz dzieł jego III. 528—39. Wyd. Poznańsk.

²⁾ Prawnicy rzymscy odróżniają *scribere* od *conscribere*. Porówn. fr. 3. §. 14 D. ad exhibend. (x. 4) fr. 31. §. 1. D. de liberatione (XXXIV 3.)

³⁾ Sam Łaski zeznaje to, mówiąc o *privilegium constitutionum et indultorum publicitus decretarum approbatorumque*.

⁴⁾ *Ut deinceps futuris temporibus perpetuis nihil novi constitui debeat*, r. 1505 Vol. I. 299.

temu. Nie usłuchał go tenże, i przez to bardzo a bardzo zbłądził; ten błąd jego niczém się już nie dał naprawić.

Mylnie rozprawia o tém dziele Łaskiego dzisiejszy pisarz ¹⁾, głosząc: że było z wielką niechęcią od społecznych przyjęte, i choć potwierdzone przez króla, nie miało nigdy żadnej w sądach naszych powagi. Owszem, z wielką chęcią przyjęli je uprzywilejowani, i żeby wyłączenie w sądach płaćcało, starali się o to usilnie. Błąd ten Łaskiego popełniony pragnął naprawić Zygmunt Stary; dał, za porozumieniem się z sejmem ²⁾, polecenie w praktycznym zawodzie biegłym prawnikom, Mikołajowi Taszyckiemu i Bernatowi Maciejowskiemu Sędziom krakowskiej i sandomirskiej ziemi, ażeby prawo skodyfikowali. Ci, dobrawszy sobie do pomocy z duchownego stanu dwóch i tyluż z świeckiego stanu mężów, przedstawili wspólnie z nimi ułożoną księgę prawa królowi, który ją sejmowi do uświęcenia podał.

Dzieło to wytłoczone w najznakomitszej z ówczesnych drukarni, stało się dziś nie już, jak się bibliografowie wyrażać zwykli, białym krukiem, lecz feniksem prawie. Egzemplarz jego jak najlepiej zachowany, który się dostał z biblioteki Konstantego Swidzińskiego do biblioteki hr. Krasieńskich w Warszawie, gdzie go czytałem, jest w kształcie małego arkusza. Na pierwszej stronie u góry stoi: *Statuta incliti Regni Poloniae: recens recognita et emendata*. Resztę półarkusza zajmuje wizerunek orła jagiellońskiego. Odwrotna strona jest pusta. Na drugim półarkuszu czytamy: *Serenissimo et invictissimo principi et domino, domino Sigismundo, ejus nominis primo, Dei gratia — Regi Poloniae, Magno Duci Lithaniae, Russiae, totius Prussiae, Masoviaeque etc. domino et haeredi, domino nostro clementissimo, fideles subditi, et servitores obsequentissimi, Nicolaus Thaschiczki Cracovien. Bernardus Maczieiowski Sandomirien. terrarum Judices, Georgius Mischkowski de Przeczicow, utriusque juris doctor, Benedictus Isdbiensi, Gnesen et cracovien. Ecclesiarum canonici, Albertus Policki terrae Poznan. Notarius, et Nicolaus Koczanowski gladifer Jani vladislavien. strenuae fidei et servitutis indefersae, humilem commendacionem*. Po czém po-

¹⁾ Literatura polska. Napisał L. T. Rycharski w dwóch tomach w Krakowie 1865. Patrz I 142.

²⁾ Hist. prawod. I §. 339—40.

wiedziano: że rozkazem monarchy i stanów państwa, wyznaczeni na to wyżej wymienieni mężowie ułożyli księgę prawodawczą, wątek do niej wzięwszy z ustaw i zwyczajowego prawa, które ze statutami królestwa w jedną dla użytku sądów zbierając całość, dotykali przywilejów o tyle tylko, ile konieczność zmuszała, ażeby tak samo prawo, jakoteż sądownictwo ujednostajnić w całej koronie.

Jestto więc kodyfikacja praw po wiślickim prawodawstwie pierwsza. Łaskiego albowiem dzieło jest niby tém co Wolumina legum, a bynajmniej nie jest kodyfikacją praw ułożonych w system. Redaktorowie na pięć ksiąg rozłożyli dzieło, którego porządek i treść niżej opiszemy. Wstęp na trzech nieliczbowanych półarkuszach wyrażony, kończy się równie jak zbiór statutów Łaskiego pieśnią „Bogarodzica“. Samo dzieło wytłoczono na stu trzydziestu półarkuszach, po jednej stronie rzymską liczbą oznaczonych. Odwrotna strona ostatniego półarkusza i trzy następne półarkusze zawierają rejestr, kończący się spisem omyłek drukarskich (*errata*) niedokładnie zrobionym; jest ich bowiem daleko więcej. Świadczą one o wadliwości korekty druku pismem łacińskim wytłomaczonego, prócz pieśni gockim odbitej drukiem. Na samym końcu czytamy: *Cracoviae apud Hier. Viet. M.D.XXXII.*

Bliziej się dziełu temu przypatrzmy: zasługuje bowiem na to więcej od wszystkich prac, w tymże celu urzędownie lub prywatnie przedsięwziętych.

Wkrótce po swoim na tron wstąpieniu przyrzekł Zygmunt I w r. 1511 dowolność sądowej procedury usuwać, i w całym królestwie jednostajne postępowanie sądów zaprowadzwszy, oprzec takowe na usystematyzowanym prawie. W moc więc uchwały, która o tém na sejmie r. 1520 w Bydgoszczy zapadła, miały być statuta dawne i prawa zwyczajowe, we wszystkich województwach zgromadzone i na sejm najbliższy dla przejrzenia i ich potwierdzenia przyniesione. W tym celu wszystkie konstytucye za panowania tegoż króla do r. 1524 uchwalone wyszły aż w trzech w roku jednym sporządzonych wydaniach¹⁾. Z ich zbioru wyznaczona na to r. 1532, jak rzekliśmy

¹⁾ Patrz Romanowskiego *Otia Cornicensia* Tom I (więcej nie wyszło) w Poznaniu 1861 wydane. Porówn. przypisek na str. 364—7.

komissya, nietylko prawo cywilne i karne, z ich postępowańiami sądowemi, lecz i polityczne objęła. Porządek, w jakim wątek dzieła rozłożony został, wzięwszy z Dygestów i kodeksu justyniańskiego redaktorowie, opowiedzieli w pierwszej księdze: o statutowém i zwyczajowém prawie, dalej się rozwiedli o kościele, królu i senacie, z dołączeniem prawa służącego osobom duchownego i świeckiego stanu, które z instytucjami owemi czyli z kościołem, rządem i sądami zostawały w jakiejkolwiek styczności. W drugiej o sądach i postępowaniu ich powiedzieli wyłącznie. W trzeciej się o prawach osób różnego stanu i powołania, tudzież o rzeczowém prawie rozpisali. W czwartej umowy i prawo karne zawarli. W piątej przedrukowali oryginalne pisma z krajowych archiwów wyjęte, ażeby służyły za wzór, jak należy pisać miejskich magistratur akta i jak kancelaryi królewskiej postanowienia, tudzież różnego rodzaju urzędowe układać pisma potrzeba.

Opowiedzmy, czy dzieło to zadowoliło, i mogło zadowolić naród.

Komisya miała do spełnienia dwa zadania: ułożyć systematycznie zbiór praw obowiązujących i ujednostajnić przezeń praktykę sądową.

Skoro praca Mikołaja Taszyckiego i kolegów jego na stół sejmowy wniesioną została, wystąpił przeciwko niej Jan Taszycki, nie wiadomo czy krewny czy imiennik głównego redaktora, który będąc do najmędrszych swego wieku mężów liczony, nie dowiódł tego na sobie, że takim jest istotnie. Prywatę bowiem i przesady wyżej nad to stawiał, coby ogół narodu, kosztem niektórych uprzedzeń, mogło być uszczęśliwić.

Po upadku dzieła Taszyckiego nie ustał Zygmunt I w zamiarze obdarzenia narodu księgą prawodawczą. Ponieważ się nie udało ze szlachtą, zwrócił uwagę na mieszczan i w tym celu polecił Maciejowi Śliwnickiemu, ułożyć księgę praw miejskich, które po uchyleniu praw niemieckich jakimi się dotąd sądziły miasta, byłoby dla nich i dla wszystkich sądów osadniczych prawem obowiązującym, a dla ziemian i sądów szlacheckich pomocniczym. Upadł atoli i ten projekt, a nawet drukiem nie został ogłoszony, aż dopiero w czasach obecnych (r. 1859), za staraniem Ant. Zygm. Helcla, który nakładem Aleksandra hr. Wielopolskiego a margrabi Myszkowskiego, wydał to dzieło w Krakowie.

Niepowodzeniem ojca swojego na polu prawodawstwa niezrażony Zygmunt August, próbował przez dwóch mężów, Jakóba Przyłuskiego i Jana Herburtu trafić do celu.

Kazał pierwszemu ułożyć księgę prawodawczą i tuzzył sobie, że przedstawioną sejm uświęci. Ułożył ją Przyłuski sposobem Rzymian (*persona, res, actio*), w której jak się słusnie o pracy jego wyrażono ¹⁾, otworzył niewyczerpane źródła wiadomości niezbędnych dla poznania naszej przeszłości; ale że w dziele swem chciał być nietylko prawodawcą lecz i rozjemcą o spory religijne poważnionych ziomek, upadł z niem na sejmie.

Dotąd pisano prawo w języku łacińskim, co za niewłaściwe zaczęto uważać. Zygmunt August wiedząc, że Jan Herburt, Podkomorzy Przemyński, później kasztelan sanicki, posiada ułożone sposobem abecadłowym dla własnego użytku prawa krajowe, które drukiem ogłosił w Krakowie 1563, zawezwał go, ażeby wraz z dwoma innymi dygnitarzami przełożył swój Zbiór na język polski. Powtórzył to wezwanie sejm r. 1565, i gdy rzeczeni dygnitarze ociągali się z daniem pomocy koledze, zażądał, ażeby sam Herburt zajął się tém dziełem ²⁾. Kiedy przyszło do uświęcenia go, sejm dać mu go nie chciał. Prywatnie tylko używano go w sądach, i do niego odwoływano się nawet publicznie.

Widoczną odtąd było rzeczą, że sejmowi nie idzie o kodyfikacyą praw, lecz o przywileje, i że pozornie tylko objawiał chęć, ażeby w system ułożonych praw księga przyszła kiedykolwiek do skutku, i urzędownie utwierdzoną została. To téż po śmierci Zygmunta Augusta (r. 1572), zjazd knyszyński i sejm, w Kaskach pod Warszawą odbyty (1573), nie o kodyfikacyi praw, lecz o zgromadzeniu przywilejów po wydaniu statutów Łaskiego uzyskanych postanowił ³⁾, i odtąd o żadném kodyfikowaniu praw aż do Zygmunta III nie było mowy.

1) *Otia Cornicensia*. Patrz str. 3.

2) Vol. II 683. Polska pod względem obyczajów w czterech tomikach przezemnie opisana i w Warsz. 1842 wydana. Patrz I 275—7.

3) Postanowienie to jest przy tomie III dzieła Margrabiego de Noaille *Henri de Valois et la Pologne en 1572*. Patrz 117—24.

Prawodawstwo za czasów królów obieralnych.

Z kolei trzeci dopiero obrany monarcha wziął się do prawodawstwa. Będąc Jagiellończykiem po kądzieli mniemał, że obowiązkiem jest jego iść w poprzódników swych ślady, i Polskę obdarzyć księgą prawodawczą koniecznie. Zaraz więc na pierwszym po koronacyi zwołanym sejmie, przedłożył rzecz narodowi, który się i tym razem na uczy-nione sobie przedstawienie zgodziwszy, „deputował z rad duchownych, świeckich i rycerstwa mężów na korekturę praw, poleciwszy im, ażeby, zjehawszy się do Lublina, spisali statut językiem polskim, a w nim lepiej jak było dotąd hipoteczne prawo (*ad inscriptiones*) obwarowali, i środek rychły na wykonanie wyroków sądowych wynaleźli“.

Że uchwała ta skutku nie weźmie, czyli, że nic z tego co się uchwali nie będzie, spodziewając się najznakomitszy ze świeckich deputatów owych Mikołaj Firlej z Dąbrowicy krakowski wojewoda, uprosił Jana Januszowskiego, którego za najspodobniejszego do kodyfikowania praw z ówczesnych uczonych uznał, ażeby zajął się tą rzeczą, i sam jeden wykonał to, co miało wykonać wielu: albowiem aż trzydzieści osób sejm wyznaczył na to, i dyety dla nich przeznaczył.

Nie zawiódł Januszowski położonego w sobie zaufania. Wykonał księgę praw do statutu Taszyckiego i Maciejowskiego z układu podobną, którą podał do druku w Krakowie r. 1600. Gdy i pracy téj nie dano uswięcenia, ponowiono przeto zapadłą w r. 1589 uchwałę, ale nie tylko teraz lecz i za Władysława IV daremnie ¹⁾.

Niepodobna wytłumaczyć sobie postępkowi inaczej, jak że ta sama przyczyna co poprzednio stanęła kodyfikacji na przeszkodzie. Wytykano jęj, że nie z oryginałów czerpano dla jęj układu wątek, lecz wzięto go ze zbiorów Przyłuskiego i Herburta, ale był to tylko pozór. Rzeczywistą przyczyną odrzucenia księgi zdaje się były przywileje, o których znaczeniu szeroco się rozpiisał Januszowski i ściśle wykładać je radził. Wskutek czego lud wiejski podzielił po dawnemu na kmieci i chłopów, i wbrew

1) O pracy Januszowskiego patrz moje piśmiennictwo III 387—92, r. 1601. Vol. II. 1501—1, r. 1641, IV. 9—10.

idąc zwyczajowi, który w XVI wieku równie na Mazowszu jak i w Koronie, przeszedł w ustawę ¹⁾, nie nazwał jednych i drugich poddanymi wyłącznie. Przez poddanych bowiem słusznie rozumiał cały naród w stosunku do praw krajowych; których wszyscy słuchać musieli.

Nie wiedząc o co tu rzeczywiście idzie, ani nie domyśliwając się, że nie o kodyfikacją praw lecz o to chodzi, ażeby żadna i nigdy nie przyszła do skutku, gdyż każda musiałaby koniecznie obciąć przywileje, czego unikano; o tém mówię nie wiedząc Stanisław Sarnicki, żądał z własnego popędu, a Paweł Szczerbicz z namowy Zygmunta III kodyfikować prawa. Ogłosili drukiem swe dzieła r. 1594 i 1604 ²⁾, które spotkał los tenże co i poprzednie.

Wreszcie przestano kodyfikować, a natomiast wzięto się do układania dzieł, dla użytku praktyki sądowej i dla nauki, przedstawiając rzecz w jak najmniejszych rozmiarach ³⁾; tudzież zbierano źródła prawa, w czém odznaczyła się praca Józefa Załuskiego i Stanisława Konarskiego, znana powszechnie pod nazwą „Woluminów legum“.

Nie objęła ta praca i ani spodziewać się godziło, że obejmie cały ogrom zwyczajowego i ustawowego prawa, zwłaszcza, gdy się okazało, że największa część ogromu tego leży w rękopisach ukryta. Spomnione wyżej Piotra Burzyńskiego dzieło podaje spis tego, czego Wolumina nie objęły i nie mogły objąć, gdy wiele źródeł jest jeszcze w ukryciu. Nowo odkrywane rękopisy, wydają na jaw pomniki, o których istnieniu ani się komu śniło. Spis rękopisów Towarzystwa naukowego krakowskiego roku 1869, od Władysława Seredyńskiego Sekretarza tegoż Towarzystwa ogłoszony, objawił nam, że pod liczbą 415—417 rzeczonych rękopisów, ukrywa się prospekt, podług którego miał

¹⁾ Hist. prawod. IV §. 211 Stat. Wawrzyńca z Prażmowa w VI tomie historii prawod. wydrukowanej, wyraża się w §. 12. Chłop albo kmiecz. W objaśnieniu Eksceptów mazowieck. r. 1578 Vol. II 974 powiedziano: Kmiecie poddani *utriusque sexus*.

²⁾ Dodatek do Piśmien. 400 Bentk. hist. lit. II 151—2.

³⁾ Patrz o nich Piotra Burzyńskiego Prawo polskie prywatne. W Krakowie 1867—71 w dwóch tomach wydane. Porówn. I 242 ustępu.

być zebrany i napisany kodeks Stanisława Augusta roku 1790—2.

Projekt ten skazuje, że po tylu bezowocnych przedsięwzięciach we względzie skutecznego kodyfikowania praw podjętych, nie ustawała we władzy prawodawczej chętka spróbować, czy się nie uda co się tylekroć nie powiodło; i czyby się nie znalazł człowiek, coby chciał uczynić zadość takiej zachciance; człowiek coby pod szczęśliwszą gwiazdą projektując stosowną do okoliczności kodyfikacją praw; wykonał czego przez cztery blisko wieki, (od r. 1368, w którym prawodawstwo wiślickie koniec wzięło, a w r. 1776, w którym ostatnią kodyfikacją uchwalono) nie wykonano. Król Stanisław August wraz z sejmem z r. 1776 miał tę zachciankę; a człowiekiem co się podjął dogodzić jej był Ordynat Andrzej Zamojski; ten sam, który sprawując urząd Wielkiego Kanclerza koronnego zrzekł się go (r. 1767), skoro się przekonał, że nie może z korzyścią dla ojczyzny pracować, pod rządem nieudolnego monarchy.

W mniemaniu atoli, że na drodze prawodawczej usłużyć jej zdoła, wziął się r. 1776 do pracy, na wykończenie której i ogłoszenie jej drukiem sejm nazaczył mu zaledwie dwa lata. Tak mu było pilno! Miała ona skodyfikować prawo cywilne łącznie z karném i procedurą sądową a prawa politycznego bynajmniej nie tykać.

Należy obszerniej niż o poprzednich tego rodzaju pracach pomówić, i w tym celu potrzeba poszukać źródeł, z którychby wiedzę o kodyfikacji Zamojskiego zaczerpnąć można. Nie są zbyt szczupłe te źródła. Oprócz samej kodyfikacji przez projektodawcę ułożonej, a pod napisem: „Zbiór praw sądowych“ drukiem 1780 ogłoszonej, w Warszawie, dają wiadomość o niej następujące, które się przed ukazaniem owjej pracy i po jej ukazaniu pojawiły.

Prócz „listów patryotycznych“, tudzież „Listu przez (niby) karbowego z Podgórze do autora owych listów pisanego, w którym jakiś bezimienny pisarz i ów niby karbowy¹⁾ zwracają uwagę projektodawcy na los ludu i popra-

1) Oba dziełka wydał jeden z współpracowników kodyfikacji, Józef Wybicki. Rycharski wspomina o nim, ale pisemka jego po-
<http://rcin.org.pl>

wę sądownictwa krajowego, wyszły „Uwagi polityczne imieniem stanu duchownego do Zbioru praw polskich podane“. W nich piszący je przedstawiając przywileje tegoż stanu, przypomina konieczność zachowania ich w całości. Podał do druku uwagi te książd Wojciech Skarszewski, który za czasów kongresowego królestwa zmarł Prymasem.

Po ukończeniu dzieła i ogłoszeniu go drukiem ukazały się w r. 1780 „Refleksye nad projektem pod tytułem: „Zbiór praw sądowych wydrukowanym przez delegowanych od województwa lubelskiego pisane“, tudzież wyszły „Myśli obywatelskie“, których obszerny napis w tomie piątym historii prawodawstw w przypisku do § 426 przywiódłem. Spółcześnie snadź z pismami temi wyszły „Zdania na Zbiór praw sądowych“. Wreszcie ukazała się (r. 1800) „Historya owego Zbioru praw przez Stanisława Węgrzeckiego ¹⁾ i wyszedł w Poznaniu 1842 nakładem K. Żupańskiego „Dodatek do Pamiętników Wybickiego“, odnoszący się [do życia Andrzeja Zamojskiego, wydany z rękopisu autora tychże Pamiętników“. Dodawszy do tych pism krótkie przez tegoż Wybickiego, o materyałach do ułożenia Zbioru praw przygotowanych a dziś zaginionych, uczynione w jego Pamiętnikach wzmianki, tudzież wymieniwszy zrobione od Leonarda Chodźki króciuchne a od Lelewela nieco obszerniejsze spomnienie ²⁾, w którym potępia i uniewinnia szlachtę z postępku jój z Zbiorem, przeczytawszy nakoniec relacją o uchyleniu całej kodyfikacji na dwudziestej siódmej sessyi sejmu w r. 1780 odbytego złożoną, która niestety! sławie narodu uwłacza, będzie całkowity szereg pism, zdanie o dziele Andrzeja Zamojskiego dane wyrażających.

Z pism tych pokazuje się, że maż ten nadarzonej okoliczności używszy, nakierował rzecz tak, że przez cywilne miał być nadany nowy obrót prawu politycznemu, a ten miał zmienić stosunki socyalne rzeczypospolitój,

mija. Bentkowski w hist. lit. II 93, 162, wymienia je równie jak i dziełka wydane po ogłoszeniu drukiem Zbioru.

¹⁾ Patrz histor. lit. Bentkows. II 117.

²⁾ Umieszczony w tomie V Obrazu Polaków i Polski Raczyńskiego Pamiętnik Józ. Wybickiego, Leonard Chodźko w *La Pologne pittoresque Paris* [1839 — 41 str. 185 — 6; Lelewel w dziele Polska i rzeczy jój III str. 428. VI str. 97—100 mówią o Zbiorze praw sądowych Andr. Zamojsk.

i przez to przeważnie wpłynąć na stan narodu czyli szlachty, tudzież ludu, to jest włościan i mieszczan. Zwyczaj średniowiekowy, pomimo, że przeciwko niemu już Ostro-róg ¹⁾ słusznie powstawał, zachowywany jak w całej Europie tak i w Polsce, który osobnych praw każdemu jęj stanowi i mieszkającym w nięj cudzoziemcom używać dozwalał; tudzież w elastycznej formie instruceya dla projektodawcy od sejmu dana, sprzyjała wielce temu zamiarowi. W nięj bowiem stało: „ażeby sprawiedliwość naturalną biorąc zawsze pro primo objecto, nie przywiązywał się indesistenter do żadnej z dawnych legislatur; ale owszem naturę okoliczności w których się naród znajduje, i obyczaje onego biorąc na uwagę, wszystko to in formamdo novo codice z dawnych praw zachował, cokolwiekby zamierzonemu ulepszeniu sprawiedliwości nie znalazł przeciwnę, odmienił zaś zupełnie, cokolwiekby obywatelów i sędziów w wątpliwosc o powinnościach swoich wprawiło, tudzież coby procedera prawne mogło czynić in infinitum trwającemi, lub bardzo długiemy“.

Stosując się Zamojski do tego przepisu (o czém w przedmowie do króla i stanów rzeczypospolitej mówi), wykluczył z obowiązującego dotychczas prawa wszystko, co „osobistym interesom i przywilejom służąc, było dla kraju szkodliwem“. A więc, ustawę o stanach narodu i ludu projektując nową, wyszczególnił w nięj, co się każdemu z nich należy według prawa pisanego, a co przystoi według prawa natury, prawem cywilnem utwierdzonego. W projekcie przeto upoważniał sądy do wkroczenia w te przywileje, których uznając ich szkodliwość, nie uświęciła nowa ustawa ²⁾.

Konstytucya sejmowa, która Zamojskiego wezwała do zajęcia się powierzonem mu dzielem, upoważniła go oraz do przybrania sobie do pomocy z obojga, polskiego i litewskiego narodu, osoby światłem i uczuciami dla dobra kraju obywatelskimi celujące. Wybór padł na Michała Węgrzeckiego i Grocholskiego sławnych w swoim wieku przy sądach najwyższych obrońców (Mecenasów), tudzież

¹⁾ W rozdz. 32 znanego z historii prawodawstw (I §. 342) dzieła, mówi: *at mihi quidem videtur in uno eodemque jure nos omnes regnicolas aeque posse et debere versari.*

²⁾ Zbiór praw I art. 1 §. 3.

na Antoniego Rogalskiego koronnego Metrykanta, i na Józefa Wybickiego, pamiętnego posła na sejm r. 1768. Ten trzymał oraz pióro na posiedzeniach. Pragnęli na nich być obecnymi książę siewierski, Szembek Biskup płocki, Chreptowicz podkanclerzy Litewski, Łojko komisarz skarbowy.

Charakterystykę wszystkich tych osób, nie wyjmując Prezesa i siebie, kręśląc Wybicki, (w Dodatku do swych Pamiętników), mówi o trzech pierwszych: że się w prawach krajowych i obcych nauką i długim doświadczeniem wydoskonalili; o sobie zaś, zgodnie z tém co w swoich Pamiętnikach zauważył, powiada: że szczupłe swe prywatnie nabyte wiadomości rozszerzył w uniwersytecie holenderskim lejdejskim, że zanim do Komisji prawodawczej wszedł, porobił z różnych praw sądowych wyciągi w nadziei, że się kiedyś mogą przydać do zbioru praw krajowych; nakoniec, że poświęciwszy się na współpracownika dzieła, listował z Pestelem swoim w Lejdzie nauczycielem, i od niego rad zasięgał.

Chreptowicz i Zamojski byli z liczby tych obywateli polskich i litewskich, którzy przykładem nadanej poddanym wolności chcieli nauczyć i przekonać o tém naród, że co sami zrobili należy to wszystkim uczynić. Atoli w niektórych tylko obywatelach majątnych znaleźli oni naśladowców. Łojko, znany za największego w ówczesnej Polsce znawcę statystycznych wiadomości, podawał myśli do prawa o rzeczach skarbowych. Szembek, najprzykładniejszy nieomylnie (mówi Wybicki) w kraju kapłan, przybywając na każde posiedzenie z najwyborniejszymi materiałami, uchylał się od spółdziału w roztrząsaniu nowo projektowanego o tém prawa, ażeby bule papieżkie, bez potwierdzenia rządu, ani słuchane, ani wypełniane nie były w Polsce. Pomysł do prawa tego wyszedł od samego Zamojskiego, który będąc posłusznym synem kościoła i ducha religijnego pełny, bolał nad tém wielce, że pierwotną kościoła katolickiego wielkość różne nadużycia osłabiały. Wybicki nie może dlań znaleźć dosyć pochwał. Nazywa go aniołem pokoju, i uwydatnia osobistość jego kilkoma z życia wyjętymi rysami. Mówi: że gdy przez długi czas najważniejsze w kraju sprawując urzędy (był Marszałkiem Trybunału koronnego, Wielkim Kanclerzem koronnym i t. d.) i wielokrotnie na superarbitra do kończenia sporów zawikłanych używany będąc, musiał (jak sam ze-

znawał) przez własne naglony do tego sumienie uczyć się prawa, ażeby niewiadomością nie dopuścił się niesprawiedliwości. Słyszano nieraz od niego te słowa: że pełnić swe obowiązki i nieść pociechę cierpiącym, jest jeden sposób być szczęśliwym na świecie.

Pierwszą było męża tego czynnością zrobić odezwę do światłych obywateli i sądowych magistratur, ażeby przysyłały mu swe myśli i materyały do przedsięwziętego praw zbioru. Przesółki te odbierał Wybicki, i na posiedzenia przynosił. Nie było z nich pociechy. Dawał się z nich dostrzegać zaród fanatyzmu, samolubstwa i dawnych uprzedzeń, z nierządu i feudalizmu (naśladownictwa stosunków feudalnych) wylęgłych. Rzadko który projekt miał cechę powszechnej użyteczności. Gdy różni w różne wpadali przedmioty, wszyscy prawie przestrzegali, ażeby materyi poddaństwa nie tykać, lub téż z wielkimi ostrożnościami wspominać o niej. Były to ważne pojawy przyszłego powodzenia pracy!

Kto zna dzieje Polski zgodzi się na to, że obywatelami ję łatwiej rządzić, gdy im światło prawdy przyświeca, niż gdy ciemnota włada ich umysłami. Ażeby więc ta przy pomocy przesądu nie wykonywała nad obłąkanymi sercami panowania, powiuno światło odsłaniać ciemnotę, wystawiać ją na sztych, i szkodliwość ję objawiając światu, poddać ją pod władzę rozumu i panowanie nad nią zapewnić prawu.

Właśnie kiedy się Zamojski zabierał do spełnienia danego mu od sejmu polecenia, walczyło światło z ciemnotą w każdym kącie polskiego państwa, i była wątpliwość wielka, czy warto pisać prawa dla narodu, który słuhać ich nie chce; zwłaszcza, gdy nie było, ktoby go do posłuszeństwa mógł zmusić, albowiem u steru rządu stał wówczas mąż władać krajem i kierować reprezentującym naród sejmem niezdolny. Wybickiemu, który uwagę projektodawcy zwracał na tę okoliczność, odpowiedział tenże: „już łódź odbita od brzegu, trzeba ją puścić na fale“¹⁾, a przytomni téj mowie Biskup Szembek i podkanclerzy Chreptowicz dodali: trzeba się starać uczynić naród przez prawa moralniejszym, zwłaszcza, gdy nie jest tak zepsuty, ażeby tracić o nim nadzieję należało.

¹⁾ Pamiętn. Wybick. str. 13, 42—3, w tomie V Obrazu Polaków i Polski Raczyńskiego.

Z tej rozmowy mężów, o losach prawodawstwa polskiego stanowiąc mających, widać, że postanowili postępować w przedsięwzięciu energicznie, nie używać półśrodków, lecz z całą możliwą surowością kroczyć naprzód, i nie ustać, dopóki nie doszli do celu. To stanowi dodatnią stronę Zbioru praw sądowych; ujemną zaś jest pośpiech w działaniu zbyt zbytny.

Na obie okoliczności te uwagę zwracając, opowiem, jaki los dziełu swemu sam przygotował Zamojski, doznał się wreszcie tej chwili, że się na wartości jego poznało. Naród atoli nie odniósł ztąd korzyści, aż dopiero kiedy łódź szczęścia jego puszczona na fale, dobić do brzegu, choć skołatana, zdołała.

Przystępując do rzeczy projektodawca obejrzał przede wszystkim źródło, z którego dotąd naród polski czerpał sprawiedliwość, a przekonawszy się, że jest zamulone, oczyścił go z naleciałości; przez co sprawił, że znowu bić zaczął czystych wód krynica. Źródłem tém były ustawy, naleciałościami na nie były zwyczaje, które zebrawszy razem wspomniany wyżej Stanisław Konarski, podał w tak zwanych Woluminach legum sposobność przyszłemu statutodawcy skodyfikować z jednych i drugich prawo. Rzecz to nie była łatwa!

Ustawy obowiązywały nie samą koronę lecz i wielkie księstwo litewskie, gdy dało na to swoje przyzwolenie na wspólnie odbywanych sejmach. Inaczej obowiązywał Litwę wyłącznie dla niej zredegowany statut, bynajmniej zaś zwyczaj, jeżeli nie został uznany przez ów statut. Tak było i w koronie. Obowiązywał i tu zwyczaj, ale na piśmie władzy prawodawczej podany i od niej zatwierdzony ¹⁾. Zwyczaje ziemi krakowskiej, od dawnego czasu wysoko cenione w sądach ²⁾, tem większą miały powagę od r. 1504, gdy Jan Łaski wcielił je do swojego Zbioru. Gdyby był statut Taszyckiego i Maciejowskiego zatwierdzony, byłyby i ziem innych zwyczaje znaczenie uzyskały, bo powołał się na takowe rzeczony statut ³⁾, co ponieważ nie nastąpiło, przeto Zamojski uważając zwycza-

¹⁾ Hist. prawod. V §. 18.

²⁾ Praktyka sądowa od Helcla wydana mówi pod r. 1464 nr. 3758 secundum terrestrem cracoviensem consuetudinem.

³⁾ Na półarkuszu XXXVII mówi: *ex consuetudine terrarum.*
<http://rcin.org.pl>

je z rozumem i potrzebami kraju niezgodne za płocze naleciałości na ustawę, rugował je z miejsca, zasłaniając swój postępek wiele w ówczesnym prawodawstwie i w prawodawstwie europejskim poważanym natury prawem.

Rzućmy okiem na ten szczegół, jest on bowiem nader ważny dla zrozumienia losu jaki spotkał Zbiór praw sądowych.

Potrzeba poznać zwyczaj, chcąc się obeznać z zasadami życia towarzyskiego narodu i poznać jego prawo, tworzące się z tegoż życia, które się też spólnie z niem rozwija, kształci i przekształca. Gdy dojdzie do pewnego kresu to życie, i objawi to na sobie, a własnym przekonaniem stwierdzi, że powinno pozbyć się zwyczaju którym się dotąd posługiwało, biada mu, jeżeli wtedy nie usłucha rozumu, i woli swój ku niemu nie nagnie. W takim razie wystąpić powinna władza narodem kierująca, i mając siłę po temu, winna formę zespolonego życia narodu ze zwyczajem zmienić, i od siebie nadać nowy życiu temu ustrój. Chciał go nadać Polakom Zygmunt I przez wyznaczonych na to od siebie prawodawców, ale że się znaleźli tacy, którzy wmówili w naród, że lepiej na tem wyjdzie gdy się będzie trzymać dawnego rzeczy porządku, gruntującego się na zwyczajach ziemskich i praktyce sądowej, przeto poparcia od władzy prawodawczej czyli od sejmu nie mając monarcha, upadł w chwalebny zamiarze. Tak więc sam naród zdeptał swe szczęście, nie będąc o tem, że czyni źle oświecony przez głos publiczny ¹⁾.

I Europa zachodnia znajdowała się w tym przypadku; i ona obstawała za dawnymi zwyczajami, ale znalazł się u niej człowiek jeden, drugi i trzeci (*Hugo Grotius* um. 1645, *Samuel Pufendorf* um. 1694, *Christian Thomasius* um. 1728), który poddając budowę towarzyskich związków pod porządek wyższy, i zaprzeczając w budowie téj miejsca dla samowoli, przywiódł mało po mału zwyczaj do tego, że się musiał zastosować do porządku, jaki roztropność za-

¹⁾ Bezimienny ów Piotra Kmity żywociarz mówi w rozdz. VI: *Kmita cum aliis idem secum spirantibus votu ac sententia sua sustulit* (statut Staszyckiego i Maciejowskiego), *persuasitque ut communi totius illius Conventus decreto abrogarentur, priora vero illa originalia statuta*, (od Laskiego wydanie) *ut erant, in suo tenore permanerent.*

prować radziła, i ciągłym wpajaniem go w umysły zapewniła mu trwałą byt w narodzie.

To samo na celu Zamojski mając, zbłądził wiele przez to, że zbyt pospiesznie działał. Błąd to był powszechny wszystkich co po wiślickim prawodawstwie układali nam prawa, co je katalogowali lub kodyfikowali. Wiśliccy redaktorowie kodyfikowali je więcej jak przez lat dwadzieścia (r. 1347-1368), gdy przeciwnie Jan Łaski przez lat dwa katalogował i drukiem swój zbiór ogłosił (r. 1504-6); a Taszycki i Maciejowski daleko krótszego, bo czteromiesięcznego czasu, jak z listu przypisowego czyli przedmowy do króla widać, na skodyfikowanie statutu zapotrzebowali. Ponieważ i Zamojski poprzestawszy na dwóch latach czasu, który sejm pracy jego naznaczył, niemógł w tak krótkim przeciągu należycie publiczność obznajmić ze swą kodyfikacją, a przez to nie mógł zjednać dla niej przychylnosć u tych, od których zależało uznać jego pracę, lub ją odrzucić; przeto poszła ona w poniewierkę, więcej z winy tego co się z nią pośpieszył, jak tych co przeciw niej uprzedzeni poprzednio, sąd krzywy o niej wydali prawie mimowolnie, bo niewiadomie po co i na co tak czynią. Powie kto, uniewinniając projektodawcę ganionego o zbyteczny pośpiech w działaniu, powie, że spiesząc się z poleconą sobie od sejmu pracą, miał w tem swoje widoki, pragnąc coprędzej przymknąć wrota otwarte na oścież dla wpływu obcej polityki na Polskę; pragnąc przez nią więcej obywatelskiem uczynić duchowieństwo, napędzić rozumu szlachcie, w mieszczan energią wlać, lud wiejski częścią z poddaństwa wyswobodzić, częścią w niem go, ale w znośniejszem niż było, utrzymać do czasu, żydów też użyteczniejszemi dla kraju uczynić, nakoniec równie cywilne jak karne prawo przez tak w owe czasy wysoce cenione prawo natury oczyścić z grubiznu, a przez rzymskie prawo uzupełnić je. Lecz na to odpowiedzieć można, że zbawienne te zamiary ten sam co je powziął zniweczył przez to, że w zbyt krótkim czasie dużo wykonać pragnął. Zamierzył nowy obrót nadać politycznemu prawu, przez cywilne, skodyfikować narodowi prawo, i prawa tego nauczyć go zaraz, a naród na którym miała być wykonana ta próba, nie będąc obeznany z tem co dla jego dobra uczynić chciano, a nawet ostrzegany ażeby się warował tego czem go darzono, unikał przynoszonych so-

bie darów.— Kiedy się bliżej obeznał z rzeczą, chwycił skwapliwie, czem niedawno gardził. Jakoż ta sama szlachta w następnych latach poruszyła dobrowolnie myśli, które w Zamojskiego księdze przed upływem lat dziesięciu (r. 1791) odepchnęła niebacznie¹⁾. — To właśnie dowodzi, że gdyby jój był sejm z roku 1778, na wniosek projektodawcy, choć tyle a nie dwóch lat zostawił czasu do namysłu, byłaby nieochybnie, pojawiawszy lepiej o co chodzi, nauczywszy się i w pamięć sobie wbiwszy kodyfikowane prawo od którego odwykła, byłaby wydała inny wcale sąd o księdze, którą za namową nasadzonych na to posłów, nie czytając jej nawet, oszukana i obalamucona, odrzuciła. Powtarzamy więc, że naród, od którego woli zawisło uczyć się lub nie uczyć prawa, a jednakże godziło się mu pełnić urząd najwyższego nawet Sędziego, że naród taki powołany do ocenienia przedstawionej sobie kodyfikacji, i do zatwierdzenia jój lub odrzucenia mocą konstytucyi krajowej upoważniony, że naród taki należało poprzednio obzajomić z ową kodyfikacją, i wysłuchawszy zdanie przeciw niej lub za nią przemawiające, według niego przerobić księgę a dopiero po przerobieniu poddać ją pod rozwagę sejmu.

Dodatnią i ujemną stronę, jak się na nią zapatrywali społeczeńsi i myśl swą wyrazili o niej, rozważę, teraz szczegółowo, i o pismach w których sąd o niej wydali powiem. Zacznę od rzeczy najdrażliwszej, od ludu, o polepszenie którego doli, troszczył się głównie Zbiór praw sądowych.

Kiedy przez zamianę czynszów na pańszczyznę upadł wieśniak, a nie umiał się inaczej ratować jak biorąc od właściciela roli zapomogę, nie mógł mu w uiszczeniu się z tego długu inaczej pomódz projektodawca, jak zatrzymując go na gruncie jako dłużnika, tudzież jednego i drugiego z synów jego, dopóki się nie wypłacił, lub sejm kwestyi tej nie załatwił. Trzeciego więc, czwartego i t. d. pozwalał ojcu oddawać do rzemiosł, do szkół i t. p., pomimo że się w poddaństwie urodzili, w czem powoływał się na prawo z r. 1496, które coś podobnego postanowiło. Lecz właśnie o tém nie chciano ani słyszeć z przyczyny że pozwoliwszy na wznowienie prawa tego, (które, według

¹⁾ Lelewela Polska i rzeczy jój III str. 428 VI. str. 98-100.

zdania ujemną stroną w Zbiorze upatrujących, mogło niegdyś być dobre ale nie teraz), zabrakłoby rąk do roli. Wskazano więc na miasteczka, i z tamtąd kazano werbować do rzemiosł, fabryk i t. d., a lud wiejski zostawić przy zatrudnieniach jakim się dotąd oddawał ¹⁾.

Co do uwłaszczenia go zrobiono uwagę, że lepiej mu bez własności ziemskiej, gdyż poddany o nie się nie troszczy. Mając daną sobie od właściciela chatę, mając inwentarz rolny tudzież zapomogę, mając nadto wolność okupienia się pod warunkiem, ażeby po dawnemu robotniczną odbywał, mając za sobą prawo, że nikt go niemoże ruszać z roli, dopóki w powinnościach dla dworu nie załęga, mogąc nakoniec nabytą rolę i stojące na niej budynki częściowo nawet między swe dzieci rozdzielać, utrzymywali ówczesni ekonomiści, że chłopu niczego więcej nie potrzeba do szczęścia. Gdyby, mówili oni, poddaństwo coś nieprzyzwoitego lub niesprawiedliwego mieć w sobie miało, toby go państwa, które się Polską r. 1772 podzieliły, nie utrzymały były w całości: wiadomo bowiem, że w krajach przez Prusy i Austryą Polsce zabranych, choć dziedziczność gruntu chłopom przyznano, jednakże poddaństwa nie zniesiono. Oświadczyli wreszcie owi ekonomiści, że jeżeli ma być uwolniony lud z poddaństwa, to niechże uwolnienie to zacznie się od wszystkich dzierżaw królewskich czyli starostw, tudzież od dóbr duchownych, a wtedy, po przekonaniu się, że taki postępek wyszedł majątnościom owym na dobre, nie będzie się szlachta sprzeciwiać uwolnieniu z poddaństwa całego ludu, na jakichbądź dobrach osiadłego. Dopóki zaś to nie nastąpi, nie ma się rząd mieszać do praw służących właścicielom, i jeżeli mniema że niektórzy z nich obchodzą się źle z ludem, niech go stawi pod opiekę, nie sądów grodzkich ale tak zwanych Protektorów, z pomiędzy szlachty przez lud wybieranych, którzyby reflektując właściciele tyranów, mieli prawo upoważniać chłopów do zapożyczania ich przed sąd, gdyby na owe refleksy baczycie nie raczyli.

Widzimy ztąd, że dawne w Polsce, na Szląsku i na Mazowszu utrzymujące się prawa o tak zwanych ludowych dziedzictwach, o podziale roli między synów pod-

¹⁾ Zbiór praw I art. 31 §. 6. z Refleksjami porównany.

danego, o rękojemstwie kmiecem ¹⁾, utrzymywały się wciąż przez zwyczaj, i że piśmiennie je wznowić pozwalając szlachta, o żadnych zresztą, dla ludu ustępstwach wiedzieć nie chciała.

Prócz, jak ją zwano, kwestyi chłopskiej, której się szlachta nie chciała wyrzec, chyba przez sejm zniewolona do tego, zgadzała się chętnie, ażeby prawa powagę większą mając za sobą, odgrzebano i ożywiono, choć mówiąc prawdę, nie były już wszystkie, jak prawo o bękartach ²⁾, odpowiednie potrzebie i duchowi czasu. Musiał atoli folgować wyobrażeniom o moralności ówczesnym Zamojski; nie mógł też nie sprzyjać szlachcie sam będąc szlachcicem. Dlatego choć drobne majątki wspierał, niechciał jednak ażeby się szlacheckie rozdrabniały dobra ³⁾. Pomińmy że obstawał za tém, ażeby je własną pracą zdobywała sobie, jednakże nie radził usunąć rozdawnictwa dóbr, do szafunku królowi pozostawionych (tak od niego nazwanych lennictw), bo inaczej nie mogłaby się z nikąd zapomagać, na usługach kraju zdrowie swe targająca szlachta. Nie mógł nie powstać przeciw zabobonom, nie ograniczyć dziesięcin, określić lat wstępowania do klasztoru, nakoniec zająć się losem tych osobliwie zakonników, którzy się albo uczeniu młodzieży, albo opiekowaniu szpitalami poświęcali ⁴⁾.

Nie przeciwko temu nie miano, owszem pochwalono projektodawcę za to, że prawo rzeczzone o dorobkowym majątku, dotąd ludowe, rozciągnął na szlachtę ⁵⁾, i że spadkobrania urządził na nowo. Dotąd sam tylko kaduk po za ósmy nie sięgał stopień, odtąd miał nie sięgać każdy bez różnicy, na jakichkolwiek dobrach otwarty spadek, ilekroćby spadkobiercy zabrakło ⁶⁾. Dobrze nakoniec przyjęto prawo, żeby płeć mężka dobra ziemskie dziedziczyła; ażeby niekoniecznie najmłodszego z synów uwzględniano, lecz pierwszeństwo dawano najstarszemu; albowiem zapobiegało się przez to rozdrobieniu majątków nieruchomości,

1) Hist. prawod. IV §. 207-8 V. §. 203, 133, 211.

2) Zbiór praw I, art. 20 §. 8.

3) Zbiór praw II, art. 13 §. 6.

4) Zbiór praw II, art. 4 §. 9. I art. 4 §. 10-14, 32, 35.

5) Refleksye w uwagach nad Zbiorem praw I art. 18 §. 5.

6) Zbiór praw II art. 21 §. 4.

któremu dzielić się nie pozwalano już spadkobiercom¹). Nie oburzało wreszcie, że córki od posiadania dóbr macierzystych, wbrew zwyczajowemu i w ustawę zamienionemu prawu usunięto²), i zgodzono się na to, ażeby lud miejski mógł niektóre ziemskie dobra kupować.

Dzieląc rzeczy, policzył Zamojski do nieruchomości nie tylko nie ruszające się a będące dziełem przemysłu i sztuki, lecz i sumy a mianowicie spadkowe, posażne, zastawne³). Nakaz prawa ażeby bezdziejni dobra po rodzicach odziedziczone nie obcemu ale jednemu lub kilku z najbliższych krewnych pozostawiali, wyjaśnia ciemno zredagowaną konstytucją z r. 1510-11, i uczy, że konstytucja rzeczona nie o nabytych, lecz o rodowych dobrach rozumiana być winna⁴).

Pretorów rzymskich interdikt o posiadaniu (*uti possidetis*) naśladowując prawodawstwo słowiańskie, oparło na nim tudzież na przedawnieniu przepisy o posiadaniu. Posiadania tego tak od Zamojskiego nazwana „posesya przez tradycją“ (rzymskie *missio in bonorum possessionem*) w osobnym wyłożone artykuły (II. 37) jest wypływem dalszym. Zawite przepisy o nabywaniu dóbr nieruchomości prawem dziedzictwa, i działach ich, tudzież o uposażeniach płci żeńskiej, dobrach rodowych i nabytych, testamentach i spadkach i spadkobraniach w ogóle i szczególe rozważając, uprościł je nader projektodawca (II. 12-21).

Rozszerzył się co do naturalnych nabyć, co do używalności na cudzym gruncie przez pewny przeciąg czasu wykonywaną, co do obowiązku domagania się u sąsiada ażeby dogodność dla roli sąsiedniej uczynił, wreszcie co do wynagrodzenia za szkody, które wyrządził.

Tenże ogólne zasady o umowach, instytucjach transakcyjach, kontraktach słownych, wekslach, lepiej od dotychczasowego prawa określił. Szczegółowo się rozwiódł o zastawie ruchomym (*pignus*), o pełnomocnictwie, o składzie, nakoniec o wystawieniu dóbr zadłużonych na sprze-

1) Tamże art. 13 §. 1. 3. 6.

2) Refleksje nad Zbiorem praw II art. 18, §. 1.

3) Zbiór praw II art. 7, §. 2 z hist. prawod. V §. 10-13, J. W. Bandtkie, Prawo przyw. str. 225-30 porównany.

4) Tenże II art. 15 §. 8, Bandtkie, Prawo przyw. 336-7 i hist. prawod. V, §. 99 porówn.

daż publiczną. Ledwo że nie zagadkowo opowiedziana w dawnym polskim prawodawstwie arenda, emfiteuza, i dzierżawa wieczysta, zostawszy w Zbiorze praw określone, dokładnie przyczyniły się do przedstawienia zupełnego obrazu tych umów, na zawieranie których istniejące dawne formuły wymagały poprawy. To też nową ich redakcją przyjęła snadź z zadowoleniem praktyka sądowa, gdy nie przeciwko nim nie wyrzekła.

Wyraźnie zażądał od publiczności Zamojski, ażeby mu spostrzeżenia swe nad projektowaniem prawem dała. Nikt atoli nie wystąpił na piśmie, prócz duchowieństwa, które utaiwszy imię użytą na to osoby (księdza Wojciecha Skaryszewskiego, który jak się mówiło, w kongresowej Polsce umarł Prymasem), ogłosiło drukiem (r. 1778) obronę dotychczasowo służących sobie praw. Przekonawszy się, że te, ile było można, utrzymano w Zbiorze, poprzestało na tem, i dalej nie kłopotowało rządu swemi wymaganiami.

Zbierała się atoli, mówi Wybicki ¹⁾, chmura ze strony Watykanu i Nuncyusz papieżki, potajemnie niektórym zagorzałym mnichom nakazywał, aby przez swoje kanały wcześniej umysły przeciw praw Zbiorowi, jako kacerstwem zarażonemu, podburzali. Odbywało się wszystko w tajemnicy, jawnie i przez pisma w tymże roku w którym się w druku projekt pojawił (r. 1780). Pojawiane głosy, prostując rzecz według swego jej rozumienia nie szkodziły dziełu bynajmniej i nie chciały szkodzić, dosyć mając na tém, że myśl swą według uprzedzeń szlacheckich wypowiedziały. Poznajmy je.

Autor Zdań czytał, że prawa holenderskie karę konfiskaty uchyliły zupełnie, że angielskie nie każą furmanowi odpowiadać za bezpieczeństwo towaru, jeżeli się do tego nie zobowiązał wyraźnie; ale jakie jest tych praw znaczenie, i jakieby miały, gdyby je wprowadzono do Polski, o to nie troszczy się wcale. O ważności dzieł Lengnich'a dla prawa politycznego polskiego nie słyszał snadź, gdy o ich szkodliwości dla nauki bredzi ²⁾.

Ten co Myśli obywatelskie wylał na papier, ganiąc Zbiór praw sądowych, który zamiast $\frac{1}{4}$ jak było dawniej przyznał córce lub córkom $\frac{1}{3}$, powołał się na

¹⁾ Dodatek I 15-21.

²⁾ Zdania na Zbiór praw sądowych str. 14, 18, 54-5.

Monteskiego (*Montesquieu*) zdanie, że w rzeczach pospolicznych powinny być małe wyposażenia niewiast, i zdanie to stosując do rzeczypospolitej polskiej dał do zrozumienia, że i $\frac{1}{4}$ jest posagiem za wielkim. Rozwodząc się sarkastycznie nad tem, zauważył: że wynalazca nowego prawa posagowego, będąc ordynatem i wielkim miłośnikiem ojczyzny, postara się zapewne o to, ażeby w ordynacyach większe jak dotąd posagi były dawane, i to nie z dochodów lecz z całego ordynackiego majątku ¹⁾.

Trzecie pismo jest zbiorowe. Województwo lubelskie wydelegowało z grona swego mężów (liczba ich i imiona niewiadome), którzyby wszystkie artykuły zbioru praw sądowych z ich tytułami, porządkiem przeszedłszy, wykazali, co by im dodać a co ująć należało. Delegowani wypracowawszy powierzone sobie dzieło, które „Reflexyami“ nazwali, dowiedli przez swą pracę, że niezupełnie jest prawdą co o społecznych niemal Reflexyom lubelskich prawnikach wyrzekł w roku 1792 naoczny świadek ²⁾, nazywając ich „ludźmi ogołocionymi z wszelkiej moralności, osobistego tylko pilnujących zysku, przywykłych do podłego języków za pieniądze najmowania i wykretów, które istotę ich zatrudnień stanowić miały“. Wprawdzie wydelegowani mężowie owi, mało znający się na nauce prawa (czego dowody w dziele swem zostawili ³⁾), a więc na praktyce sądowej, rzadko trafiali w myśl projektodawcy; ale, postęp historyczny rozwoju prawa wyjąwszy, umieli trafnie zastanawiać się nad jego dogmatyką, i złożyli w piśmie swém dowód, że umieli uznawać ważność pracy, której ocenę powierzono im; nakoniec, że dobrem powszechnem, według swego często ciasnego pojęcia rzeczy, wskrószyć się przyjąć usiłowali. Ci przeto umieli ocenić zasługę projektodawcy.

¹⁾ Myśli str. 35-40-3.

²⁾ Józef Zajaczek zmarły r. 1826 jako Namiestnik króla polskiego. Patrz jego słowo wyrzeczone w tomie III str. 141. Pamiętników ośmnastego wieku w Poznaniu 1862 wydanych.

³⁾ Nad I §. 3. Zbioru praw sądowych zastanawiając się stwierdza: że sędzia karany być winien, kiedy się choćby nie gwałtownie wkraczał w cudze prawa i przywileje. Nad-I 24 §. 8. że *infamia juris* nie istnieje. Nad II 23 §. 5 granicy między *culpa lata* a *dolus* znaleźć nie umięją i t. p. <http://rcin.org.pl>

Gdy, jak się wyżej rzekło, zależało od woli obywatela uczyć się lub nie uczyć prawa, a jednakże było mu wolno zostać nietylko sędzią i obrońcą sądowym, Pisarzem, Rejentem i t. p., lecz i prawodawcą, uznał Zamojski za rzecz konieczną przepisać, ażeby młodzież kształcąca się na prawników w tak nazywanej palestrze ¹⁾, znajomość prawa jakakolwiek posiadała. Wierny swojemu założeniu kazał wykładać w niej według Pufendorfa „o obowiązkach człowieka i obywatela.“ Według Hugona Grocyusza „o prawach wojny i pokoju,“ a z rzymskiego prawa wprawiać młodzież w rozumienie kodeksu Justyniana, dalej uczyć politycznego prawa polskiego według Lengnicha, przy czem polecił odczytywać pisarzy polskich a mianowicie historyków, i włożył na nauczyciela obowiązek objaśniać uczniom, jak przez złe tłumaczenie wolności znosić poddaństwa dla praw niechcącej, przyszła Polska do tego stanu, w którym zostaje obecnie. W takiej palestrze, w takiej nauce przez Rejenta Kancelaryi wykładowanej, miał młodzieniec zostawać przez lat cztery, i po odbytych egzaminach, uzyskiwać patent, kwalifikujący go do starania się o urząd. Nie otrzymujący go z powodu małego w naukach postępu, mógł rok jeszcze pobyc w palestrze, a gdy i wtedy upadł na egzaminie, lub z innych powodów nie otrzymał patentu, przepadł na zawsze; o czem sąd przez gazety uwiadamsiał publiczność ²⁾.

Reflexyę zrobiwszy nad tym artykułem ordynacyę kancelaryi stanowiącym, uwagę: „ten artykuł wyciąga powszechnę chwałę i wdzięczności“ dodały, „że należy przy prawie cywilnem (przy sądach) ustanowić naukę prawa narodowego, i tylko wykwalifikowanym do jęj udzielania Rejentom, poruczyć wykład takowęj.

Na dobrych chęciach dla Zbioru praw sądowych nie zbywało wszystkim trzem pisarzom. Radzili ażeby go za prawo obowiązujące przyjęto jeżeli nie zewszystkiem jak go ułożono, to z odmianą jaką zaprojektowali. Myśl swą powodowali tą, jak się wyrazili, okolicznością: że gdyby został całkiem odrzucony, spaczonoby myśl dobrego króla, pragnącego ażeby naród polski miał prawa, „któreby nietylko od naturalnego, lecz i najlepij oświeconego rozumu

¹⁾ Hist. prawod. V. §. 416-18.

²⁾ Zbiór III 25-4. 12-24.

powszechną zyskały aprobacją ¹⁾; że gdyby ze wszystkim uchylony został, uwłoczyłoby to sławie wielkiego męża, który podejmując się układu praw, miał przy tem intencye najczystsze ²⁾.⁴ Na pytanie, w czymby rzezzone prawa poprawić należało? odpowiadali udzieleniem rady: ażeby więcej jeszcze władzę króla ograniczyć ³⁾, Senatorów, ministrów i sądy wziąć w kluby, a praw szlachty wcale nie zmieniać. A ponieważ Zbiór praw projektował zakazać szlachcicowi jeździć za granicę bez paszportu ⁴⁾, nie posiadającego dóbr dziedzicznych w powiecie (do głosowania w nim na sejmikach nie dopuszczał ⁵⁾, brał w kluby marnotrawców i t. d., w tem pisarze ci ⁶⁾ ujemną stronę prawa upatrując, nastawali na to, ażeby przepisy te usunąć jako niedobre, niedogodne, niestosowne, a nawet okrutne i nieznośne, zwłaszcza gdy instrukcyja sejmowa praw tych nie dała tykać, wyrzekła bowiem: „ażeby zważając naturę okoliczności w których się naród znajduje i obyczaje onego, to wszystko in formando novo codice z dawnych praw zachowano, cokolwiekby zamierzonemu ulepszeniu sprawiedliwości nie znalazło się przeciwnie“.

Nie został jednakże przyjęty, z przyczyn upozorowanych tą okolicznością, że projekt sprzyja cudzoziemczyźnie a narodowości uwłacza, że poniża szlachtę, chłopów przeciwko niej podburza, religją poniewiera, kacerstwu hołduje.

Inne powody dla których Zbiór praw uchylono, przywodzi po szczególe Stanisław Węgrzecki; są to płocze pogadanki, i dla tego je pomijając, powtarzam raz jeszcze że Zamojski pośpiesznem działaniem w tak ważnej sprawie, stał się sam przyczyną, że naród, z myślami jego nie mogąc się w przeciągu krótkiego czasu oswoić, nie mógł też na przyjęcie ich zezwolić. Mało po mału oswajając się z niemi zgodził na pochwały których król Stanisław

¹⁾ Tak do czytelnika Refleksye przemawiają, Porówn. też Myśli obywat. 43-8 i Zdania 1.

²⁾ Tak się tamże o Andr. Zamojskim wyrażono.

³⁾ Refleksye nad Zbiorem praw I art. 2. §. 10. Wybicki Dodatek str. 17.

⁴⁾ Refleks. nad. I. art. 16 §. 16.

⁵⁾ Też nad §. 7.

⁶⁾ Myśli obywatelskie str. 43-8, Zdania str. 1.

nie skąpiąc dla niego, dawał otuchę zacnemu mężowi, że rozpoczęte przezeń dzieło zbliżenia do siebie stanów narodu, weźmie skutek pożądany ¹⁾. Jakoż sejm czteroletni korzystniej jeszcze niż projektował Zamojski postanowił dla miast. Wolno mniemać, że i kwestya ludowa, zrobiwszy pierwszy krok na tymże sejmie, byłaby na następnych postępowała w rozwoju swym, i nie przeciągnęła się aż w dzisiejsze czasy, jak to w historii włościan szeroco opowiedziałem.

A tak spełniły się słowa biskupa Szembeka i Podkanclerza Chreptowicza, które wyżej przywiódłem, wyrzeczone do Zamojskiego, gdy puszczał swój projekt na burzę sprowadzoną nań przez intrygę ukartowaną. Gdy na posiedzeniu sejmowem rozbierać miano ów projekt, nie dozwolono przystąpić do rzeczy. Rzucano nawet pismo o ziemię, i pomimo, że król z księdzem Prymasem, tudzież z księciem Stanisławem Poniatowskim posłem warszawskim przemawiał, ażeby go choć przeczytano, odpowiedzieli nasadzeni na to posłowie, że sejm cienia nawet téj opinii dopuścić nie powinien, jakoby monarcha utrzymanie tego prawa miał żądać ²⁾.

Po ukoronowanym naszym pisarzu (po Królu Stanisławie Leszczyńskim) i po w cywilną odwagę zbrojnym księdzu Stanisławie Konarskim, nikt zaiste od Andrzeja Zamojskiego dobitniej nagą prawdę narodowi, Rzymianina słowa mając na pamięci ³⁾, nie wypowiedział. Przyjął gorzko te słowa sejm, i choć głoszącego je nazwał zdrajcą, nie ojezyzny, jak mylnie twierdzi Leonard Chodźko, lecz wolności szlacheckiej, a prawa jego za godne stosu być uznał, pomiarkowawszy się jednakże, przystał na to, ażeby powinną wdzięczność za podjętą pracę czcigodnemu mężowi wynurzono publicznie.

¹⁾ Stan. Węgrzecki str. 40 List Zamojsk. do Wybick. r. 1791 pisany, i w Dodatku 24-31, umieszczony.

²⁾ Pamiętnik Wybickiego na str. 13, 42-3 (w tomie V obrazu Polaków i Polski Raczyński) i Dyaryusz sejmowy z r. 1780 w drukarni nadwornej wydany na str. 336-7.

³⁾ Tacyt (w Germ. 19), z poglądem na Rzymian, mówi o Germanach: *nemo enim illic vitia ridet, nec corrumpere et corrumpi saeculum vocatur.*

Upadł zbiór praw sądowych, ale nie przepadł; owszem żył w pamięci nie tylko Polaków lecz i sąsiadów ich. Przełożony na język niemiecki od Bogumira Niksza Pastora protestanckiego w Wolsztynie, miasteczku położonem w dzisiejszych Prusiech zachodnich, wyszedł z druku tegoż roku (1780) i tamże co pierwtwór. Wydane po nim: Landrecht pruski, Gesetzbuch austriacki, i kodeks francuski pamięć jego zatarły niesłusznie; gdyż Zbiór praw sądowych stanowi epokę w prawach europejskich, po prawodawstwie Justyniańskim spisywanych. On bowiem wskazał drogę jaką iść należy w kodyfikowaniu ustawowego i zwyczajowego prawa, i jak przy pomocy rzymskiego można układać krajowe ustawodawstwo. Powinien przeto znaleźć powszechne uznanie, jako pierwszy objaw kodyfikowanego po narodowemu prawa, jako skazówka, jak obce prawa przyswajając sobie i w koła krajowego wplatać należy, ażeby swojskie zasilone obcem nie zrudzoziemczało, i zamiast, coby się miało wzmocnić, nie słabło przez to.

Lecz staśmy na tem, i objawiwszy ducha, który ów Zbiór ożywił, wypowiedzmy myśl prawa ludów Polsce sąsiednich.

Fryderyk II król pruski (um. 1785) po zawarciu pokoju z Saksonią w r. 1745, zaczął się we dwa lata później krzątać około kodyfikacji praw w państwie swem obowiązujących, a w całość nie ujętych. K'woli tego kazał różne ustawy, które w temże państwie od czasów najdawniejszych obowiązywały, zebrać i ogłosić drukiem. Zbiór ten w ośmnastu tomach wyszedł w Berlinie r. 1775. W czasie między tym rokiem a 1747 ubiegłym dygestowano pojedyncze ustawy o małżeństwach i opiekach dla osobnych krajów Prusom podległych. Z okoliczności sprawy, choć prawnie ale z niezadowoleniem monarchy roztrzygniętej (za co tenże własną ręką obił kijem sędziów kamergerychtu czyli instancyi najwyższej!), zamierzono z prawa rzymskiego, kanonicznego, feudalnego i niemieckiego, przefiltrowawszy je przez prawo natury, utworzyć ogólną ustawę, całe państwo pruskie obowiązywać mającą. Zamiar ten powzięto właśnie w tym roku, kiedy Zbiór praw sądowych uchylony przez sejm warszawski (r. 1780) wyszedł w niemieckim jak rzekliśmy przekładzie. Nie od rzeczy jest mniemać, że układ tego dzieła służył za wzór pruskim prawnikom przy układzie prawa, które kodyfikowali.

Ustawa rzeczona, rozmaicie, a w końcu nazwana powszechnem prawem ziemskim dla krajów państwa pruskiego ułożonem (*Allgemeines Landrecht für die preussischen Staaten*), miała w swoim czasie celować nad wszystkimi ustawami krajów państwu temu przyległych ¹⁾; lecz twierdzenie to okaże się co do Polski mylnem, skoro ustawę pruską obok Zbioru praw sądowych położymy. Pierwsza nie pociągała ku sobie, i dla żadnego innego państwa prócz narodowo-pruskiego nie okazała się przydatną. To też zrazu nie miała obowiązywać powszechnie, lecz dopełniać prawa prowincjonalne krajów pod pruskim zostających rządem, gdyby te nie wystarczały. To też postanowił rząd pruski, ażeby w tych częściach Polski, które się przez trzy podziały pod jego panowanie dostały, według miejscowego prawa sądy przezeń ustanowione rozstrzygały spory. Sądy atoli nie były obowiązane znać to prawo, i strony prawujące się chciałyli ażeby według polskiego prawa spór rozstrzygnięto, musiały im to prawo jako *factum* wyjaśnić. Odstąpiono od tej zasady w r. 1814, i w tych częściach Wielkopolski które się z wyroku kongresu wiedeńskiego znowu dostały Prusom, nakazano według pruskiej ustawy sądzić spory, bez żadnego względu na prawa miejscowe ²⁾.

Gdzież więc zachwalona zaleta prawa, o które się nikt nie ubiegał, i które gwałtem narzucać musiano? Gdzież dobroć ustawy, która sama nie wiedziała czem jest i czem ma być, obowiązującym lub pomocniczem tylko prawem ³⁾.

Landrecht będąc na dwie części podzielony, na ogólną, całe prawo obejmującą, i na szczególną, niektóre jego ustępy, a mianowicie prawo o małżeństwie, władzy rodzicielskiej, rodzinie, opiekach i kurateli, drobiazgowo rozważającą, ma uważane zewnętrznie, wielkie podobieństwo do Zbioru praw sądowych. Nietylko bowiem o prawach rodo-

¹⁾ Głosi to L. G. Madihn *Institutionen des gesammten Privatrechts Breslau 1814* w tych słowach: „es enthält sehr viel Gutes, was keiner unserer Nachbarn damals aufzuweisen hatte.“ Patrz str. 52.

²⁾ Stanisława Węgrzeckiego *Historja o Zbiorze prawa* str. 41. *Grundsätze des gemeinen deutschen Privatrecht's von J.A. Mittermaier, Regensb. 1837*, w dwóch częściach. Patrz I §. 18.

³⁾ Mittermaier tamże, i *Grundsätze des gemeinen deutschen Privatrechts von G. Phillips. Berlin 1838*, we dwóch tomach. Patrz I str. 145.

wych i rzeczowych lecz i o stanowych, czyli o tych, które dziś do prawa politycznego liczymy, rozprawia. Czytamy więc w rzeczonym Landrechcie: o szlache, mieszczanach, chłopach, sługach państwa czyli urzędnikach, o skarbowości, szkołach, szpitalach a w końcu o przestępstwach i karach. Jak więc Zbiór Zamojskiego, rozpoczynając o stanie osób rozprawiać, kończy się na tytule, przepisy w zakresie politycznego prawa wchodzące zawierającym, tak podobnie i Landrecht, od takichże przepisów zaczynając się, kończy na prawie karnem.

Na pozór jest on duchem monarchizmu przejęty, w gruncie demokracji sprzyja ¹⁾. Równie za poddaństwem ²⁾ jak za szlacheckością obstając głosi, z ustawą rządową polską zgodnie, że jedno prawo cywilne, karne i polityczne, ma obowiązywać wszystkie stany, a różni się przez to, że nie jednym i tym samym sądem, lecz ziemskim szlache i ludowi wiejskiemu, a miejskim ludowi miejskiemu sprawiedliwość wymierzać każe.

W tém się różniąc oba prawodawstwa, różnią i przez to, że polskie ku rodowej się arystokracji, a pruskie ku urzędniczej nachylając, opiera na niej całość państwa. Hołdując zasadom teutońskiego prawa, rozwódzi się o wzajemnych spadkobraniach z umowy wynikających, o dziedzicznych pachtach, o służebnościach osobistych, o małżeństwach zawieranych z niewiastą, którą się za żonę lub kobietę pojęło, o wylegancach czyli dzieciach choć nieprawych, jednakże za nieprawie nie poczytywanych ³⁾ i t. d.

W dogmatycznej części ustępuje Zbiór Landrechtowi: co nie mogło być inaczej, gdyż w pomyślniejszych warunkach materialnego bytu zostając od polskiego państwo pruskie, rozciąglejszych przepisów co do stosunków zgoła całego prawa cywilnego zapotrzebowało.

¹⁾ Haxthausen w dziele Die Agrarverfassung w Berlinie 1829. Porówn. str. 201—3.

²⁾ Allgemeines Landrecht für die preussischen Staaten, neue Ausgabe, Berlin 1806. Patrz Części I tytuł 7. § 147—151.

³⁾ Technicznie wyrażając się o tych stosunkach mówi: *von dem Erbvertraegen, Erbpachten, Zwangs- und Banngerechtigkeiten, Ehen zur rechten und linken Hand, von den aus unehelichem Beischlaffe erzeugten Kindern.*

Inną od Landrechtu i Zbioru Zamojskiego zasadę przyjęło prawo, które do zagarniętej od Austrii Małopolski, czyli do tak przez nią nazwanej Galicyi, zostało wprowadzone. Zaczęła go ona układać sobie za panowania Maryi Teresy (r. 1753—1780), i wciąż układając, tudzież przerabiając pod rządem następców tej monarchini, czyli pod Józefem II i Franciszkiem I, dokończyła go r. 1811, i wnet za obowiązujące całą monarchią ogłosiła. Chociaż za główną austryackiego Gezezbuchu podstawę Redaktorowie jego rzymskie przyjęli prawo, z wyraźnej atoli woli Cesarzowej Maryi Teresy, winni byli raczej naturalną sprawiedliwość niż to prawo mieć przy układzie dzieła na względzie. Prócz tej dwie inne zasady, Landrechtowi obce, miały niém kierować. Z nich pierwsza kazała uwzględniać te tylko zwyczajowe prawa, które z niemieckich powstawszy, sankcyą z góry uzyskały ¹⁾. Druga zapowiedziała, że obok przepisów cywilnego prawa, mają mieć obowiązującą moc polityczne osobno w tym celu zredagowane ustawy ²⁾. Obie te zasady skrzyżowały się. Pierwsza, niemieckie tylko prawo zwyczajowe, bynajmniej zaś innych szczepliów berłu monarchii austryackiej podległych a osobliwie Słowian i Madziarów własnością będące, uwzględniać nakazując, nietylko drugiej zaszkodziła zasadzie, lecz i podstawą Gezezbuchu będące rzymskie prawo zwicznąła, modyfikując go przez samo tylko niemieckie, a pomijając rozliczne prawa, gęsto rozsiane po monarchii, z różnych narodowości pozlepianej, posklejanej, i różnej cywilizacji pokostem powleczonej. Ile kroć prowincjonalne prawo z owym Gezezbuchem w jawnej stanęło sprzeczności, a uczucie sprawiedliwości za pierwszym raczej przemawiało niż za drugim, wtedy na drugą stronę przechylić się zmuszane zasady prawa prowincjonalnego, przyczyniały się do upowszechnienia o prawie austryackiem tego zdania, że ono nie jest sprawiedliwości ale niesprawiedliwości poplecznikiem. Ma albowiem na celu zniszczyć i wygluzować wszelką miejscowość, ażeby ta nie zawadzała prawu niemiec-

¹⁾ Die ihrem Ursprunge nach dem deutschen Rechte angehören, Phillips tamże I str. 150.

²⁾ *Politische Gesetze*, o których Mitterm. I §. 21 i Phillipsa I str. 149—50—154 porówn.

kiemu, bezużytecznie dla pomyślności państwa i po to jedynie na obcą przesadzonemu ziemię, ażeby zmieniła jej rodzimość.

Spodziewać się należało, że Gezezbuch rzezonny do Galicyi po dwakroć, raz na czasowy pobyt sposobem próby ¹⁾, drugi raz na stałe tamże wprowadzony mieszkanie, zadowoli swoją niby lojalnością miłośników ojezystego kraju; lecz znikła ułuda, skoro się z nim zapoznano bliżej. Rzymskie prawo choć absolutne, jednakże konsekwentne, wyszło w austryackim kodeksie na coś dziwacznego, na coś ni tem ni owém z tój głównie przyczyny będące, że Redaktorowie zamiast wystudyować prawo Rzymian, skomplikowali go w jednej połowie, a w drugiej własne swoje i cudze podsunęli mu myśli (*controversen-Recht*). Dawszy więc oglądać jego ciało a ukrywszy ducha, spaczyli przez to sprawiedliwość, która przemawiając w rzymskim oryginale logicznie, odzywa się często w jego niemieckiej kopii nielogicznie. Nie zadowolili i polityczne z Niemiec przeniesione do Galicyi i wciąż przenoszone ustawy, zwłaszcza, gdy wprowadzone nakierowała biurokracya ku pewnym krajowi szkodliwym celom. Tym sposobem kwestyę włościańską przeniecowała ona na wylot, ze szkodą ludu i szlachty.

Landrecht i Gezezbuch wciąż obowiązywał w pierwszym zaborze, dokonanym na Polsce przez Prusy i Austryę. Zabór drugi i trzeci pruski posłużył na utworzenie księstwa Warszawskiego (r. 1807), które w lat trzy powiększone zostało przez drugi zabór austryacki. Kraje przez trzy podziały Polski odpadłe do Rosyi, przy dawnych prawach pozostawszy rządziły się statutem litewskim. Szło więc o to, jakim prawem rządzić się ma nowo utworzone Księstwo Warszawskie.

¹⁾ Przywiedziony od Mittermajera Savigny mówi (w §. 21): Das österreichische Gesetzbuch gründet sich auf Vorarbeiten von 1767 — von Professor Azzani, auf den von Keesz 1786 bearbeiteten ersten Theil des Civilgesetzbuches, woran unter Franz I ein von Martini bearbeiteter Entwurf sich anschluss, der in Galizien als Gesetzbuch *Versuchsweise* eingeführt wurde, bis endlich der letzte Entwurf (bearbeitet von Zeiller) 1811 nach vielen Berathungen Gesetzkraft erhielt.

Ani godziło się myśleć o przywróceniu za prawo obowiązujące Zbioru praw sądowych Zamojskiego, to albowiem stało się dla zmienionego stanu tych części dawniej Polski, z których rzeczono księstwo utworzone, niepraktyczne, głównie przez to, że konstytucya rzeczono księstwa, nazwę szlachty i ludu zachowawszy, zresztą wszystkich kraju mieszkańców cywilnie i politycznie porównała. Gdy więc tak Landrecht jak Gezezbuch stał się nieprzydatny, należało koniecznie obejrzeć się za jakim, choćby przechodowem prawem, dopóki się Księstwo na własne nie zdobyło. Mimo niepraktyczności z powodu różnicy stanów przyjęte na ten cel dawne prawo polskie w Woluminach legum zawarte, zostało wkrótce (od dnia 1 maja 1808) zastąpione kodeksem francuskim, nieco podobnym do Zbioru praw sądowych w układzie swoim i składzie. Jak albowiem Zbiór tak i kodeks jest ruchliwy a przytém ścisły, nieraz nawet pedancki. Przejął się téż zaletami rzymskiego i germańskiego, i ducha obu objął uniknąwszy wad. Lakoniczny w wyrażeniu, nie zapchał się wypisami, jak, od czasów statutu przez Taszyckiego i Maciejowskiego redagowanego, czynili wszyscy polskich praw układcze, zrobiwszy przez to, że przedstawiane od nich statuta są okazałe w ciele a chude w treści i ubogie w duchu. Równie redaktorowie francuskiego kodeksu, jak i Zbioru, wiedzieli co z praw rzymskich i germańskich wybrać, ożywić i do potrzeb swego kraju zastosować należy. Znał Zbiór środki, do zneutralizowania tego, co się z praw dawnych na teraz uchylić nie dało, i do podkopania ich, tak dalece, że z czasem same przez się musiały runąć koniecznie. Dwojaką niepodzielną i podzielną przypuścił własność. Rodowe majątki, niegdyś we Francyi i Niemczech istniejące przywrócił, przez co dodał jeden jeszcze hamulec więcej dla ukrócenia marnotrawstwa szlachty, której rzymską niby *sectio corporis, deminutio capitis* zagroził.

Gdy pańszczyzny usunąć nie mógł, nakierował ją na to, że musiała z czasem pozbyć się swęj brzydoty, a zatrzymać co, jako z ludzkością i potrzebą zobopólne stron o najem się i dzierżawę umawiających zgodne, mogło ostać bezpiecznie.

Jeżeli Zamojski ułatwił do nas wstęp kodeksowi przez to, że jakoby odgadłszy co on obejmie, wyjął z praw krajowych i w swoim Zbiorze pomieścił niejedno, co w nie-

pamięć puszczone zostało (radę familijną), to nierównie większa jego zaleta w tém leży, że przygotował umysły do podjęcia i przeprowadzenia kwestyi włościańskiej, którą podniósł sejm czteroletni, uświęcił umowę o czynsze, a społeczeńsi za zupełném się uchyleniem pańszczyzny oświadczywszy, zaczęli nawet przemawiać za uwłaszczeniem włościan. Rozważyliśmy to w historyi włościan, ile być może najskrupulatniej; ten bowiem obrot rzeczy wielką chlubę naszemu narodowi przynosił i przynosi.



DO CZASÓW ZYGMUNTA I.

przez

ALEKSANDRA PRZEZDZIECKIEGO*).

Od zjazdu wiedeńskiego w roku 1515, na którym Zygmunt I, król Polski, skojarzył małżeństwo bratanki swojej Anny, ostatniej Jagiellonki a domniemanéj dziedziczki dwóch koron, Węgierskiej i Czeskiej, z Ferdynandem, wnukiem cesarza Maksymiliana I, najściślejszy związek, pomiędzy królem polskim a cesarzem zastąpił dawną nieprzyjaźń.

Wiemy, że najpierwszym objawem téj przyjaźni Maksymiliano-wéj, było ożenienie owdowiałego po Barbarze Zapolya, pięćdziesięt-letniego Zygmunta, z 24 letnią nadobną księżniczką włoską Boną Sforzyą.

Z jakim upragnieniem oczekiwana była narzeczona przez odmłodniałego króla, świadczy list Zygmunta do Bony, pisany 4 marca 1518 roku, gdy dowiedział się, że już szczęśliwie do portu Fiume przybyła. List ten znaleziony w papierach królowéj Bony po jéj śmierci, dostał się późniéj najmłodszej córce jéj Katarzynie Jagiellonce, królowéj szwedzkiéj ¹⁾).

Królowa Bona nie odwdzięczała się dworowi wiedeńskiemu za swatostwo cesarza Maksymiliana. Polityka łączyła ją z królem francuskim, a przez tego z Turkami i ze stronnictwem rodziny Zapolyi w Węgrzech, przeciw królowi Ferdynandowi, zwłaszcza, gdy ulubioną pierworodną córkę swoją Izabellę, wydała za Jana Zapolyę, obranego króla węgierskiego. Ale Zygmunt I, o ile sam przez siebie działał, trzymał się statecznie polityki rakuskiéj i w ciągłych stosun-

*) Ustęp z V tomu dzieła o „Jagiellonkach Polskich.“

¹⁾ List ten przepisany z oryginału łacińskiego w archiwum państwa w Stockholmie, wydrukowany w Dodatках.

kach zostawał z Ferdynandem, królem węgierskim i czeskim, a następnie i rzymskim i ze starszym bratem jego cesarzem Karolem V.

Kiedy po opłakanym zgonie Ludwika Jagiellończyka, króla węgierskiego i czeskiego w krwawej bitwie z Turkami pod Mochačem (1526 roku), państwa jego przeszły do męża siostry, Ferdynanda, cesarz Karol V pisał do Zygmunta I z Granady, prosząc, aby pomagał Ferdynandowi do wojny z Turkami. „Uwolniliśmy bowiem jeńca naszego, króla francuskiego i dozwoliliśmy mu powrotu do Francji; ułożywszy z nim wpiérw wszystkie rzeczy, a także wojnę przeciw Turkom ¹⁾

Następnie dziękował cesarz królowi polskiemu za zawarcie przymierza z Ferdynandem, skarżąc się przytem na niewdzięczność króla francuskiego ²⁾.

Bardzo wiele panów polskich i litewskich trzymało się dworu wiedeńskiego, jak Krzysztof Szydłowiecki, biskup Tomicki, Jan Tarnowski, Jędrzej Tęczyński, młody książę Eliaz Ostrogski, Radziwiłłowie, Gastold, wojewoda wileński, przez co znowu zarabiali sobie na niełaskę królowej Bony.

Niektórzy za pośrednictwem Jana Dantyszka, posła polskiego przy dworze cesarskim wyrabiali sobie różne łaski u cesarza. Ciekawy pozostał nam list Olbrachta Gastolda Wdy wileńskiego, do Mikołaja Niprzyca, dworzanina królewskiego, a który pomiędzy nim a Dantyskiem pośredniczył:

„Co Wasza Miłość przedtém dał mi znać, iż Pan Dantyszek Biskup posłał do Twój M. przywilej, który mnie na *grosstwo* (grafostwo) od Cesarskiego Majestatu uprawił, za który wyłożył sto złotych. Inom ja do Twój M. przez pisarza mego Wenczeslausa posłał te sto złotych czerwonych za ten przywilej panu Dantyszkowi a k'temu kozuch kuni. I Twa by Miłość raczył te złote i ten kozuch Jego M. odesłać; a ten przywilej temu memu pisarzowi Wenczeslausowi dać. A Twój téż Miłości posłałem za upominek dwie rysie; o które mi Twa M. dał znać przez pisarza mego przez Tura. Racz to odemnie wdzięcznie przyjąć a mnie ze Swój dobrej przyjaźni brackiej nie racz opuszczać ³⁾“.

¹⁾ *Dumenim Gallorum Regi, quem penes nos captivum detinebamus, in Galliam abeundi copiam fecimus, compositis prius internis rebus omnibus, et cum eo de bello Turcis inferendo conavissimus.* — List cesarza Karola V do króla Zygmunta, Granada 20 Nov. 1526 (arch. ces. w Wiedniu).

²⁾ List Karola V do Zygmunta I z Bruges 7 Febr. 1528 (arch. ces. w Wiedniu).

³⁾ List datowany z Wilna 7 lipca 1531. Oryginał w Mss. Nr 1596 z Biblio. Ks. Wład. Czartoryskiego. Obacz Dodatki I. Już przed dwoma laty

Inni panowie wstawiali się do króla Ferdynanda o otrzymanie paszportów w celu odprawienia pobożnej pielgrzymki do Ziemi Świętej. — O taki paszport prosił Krzysztof Szydłowiecki w 1528 roku w imieniu hetmana Tarnowskiego, dla syna tegoż, Jana, „który „chce udać się do Hierozolimy dla pobożnego zwiedzenia Grobu „Pańskiego i innych miejsc świętych¹⁾“.

W sześć lat później (1534 roku) wracał z Hierozolimy Jędrzej Tęczyński, kasztelan krakowski i miał w powrotnej drodze odwiedzić króla Ferdynanda²⁾.

W roku 1536 puszczal się w też drogę książę Siemion Bielski, za którym sam król Zygmunt do Ferdynanda pisał: „Wielmożny i znamienity książę Siemion Bielski poddany nasz i Rada, dla „spełnienia ślubu i użycia wieku swego postanowił jechać do Hierozolimy za dozwoleciem naszym dla zwiedzenia grobu Zbawiciela Naszego.“ Król Zygmunt upraszał zatem o paszport dla niego³⁾.

We dwa lata później tę samą podróż chciał odbyć młody 27-letni książę Elias (Iija) Ostrogski, syn bohatera, księcia Konstantego, i starał się o paszport u króla Ferdynanda przez znanego już nam Mikołaja Niprzyca. Ale odebrał tylko list od króla, który pochwalając jego pobożną gorliwość i wspominając o wdzięcznych usługach nieboszczyka ojca, odradzał mu tę podróż z powodu wojennych zamieszek i złej woli Turków⁴⁾. Młody książę został się w kraju — i wkrótce potem ożenił się z Beatą Kościelecką.

Olbracht Gastold otrzymał [był] od papieża Klemensa VII tytuł hrabiego na Murowanych Gieranonach, za wstawieniem się Zygmunta Augusta, króla polskiego, z dodaniem do herbu rodowego Abdank, lwa w koronie, trzymającego tarczę, na której wyobrażony jest rycerz zbrojny. List Klemensa VII Romae 18 Aug. 1529 — Obacz u Theinera, Vetera Monumenta Poloniae T. II p. 466.

¹⁾ List Krzysztof. Szydłowieckiego do króla Ferdynanda z Krakowa 17 Juli 1528 (arch. ces. Wied.)

²⁾ List hetmana Tarnowskiego do króla Ferdynanda z Dukli 30 listopada 1534 (arch. ces. Wied.)

³⁾ *Magnificus et egregius Dux Simeon Bielski subditus et consiliarius noster, cum et voti explendi et aetatis suae exercendae gratia Hierosolimam ad visendum sepulcrum Salvatoris nostri, nostro permissu proficisci constituisset.* — List Zygmunta I do Ferdynanda z Wilna 10 Martis 1536 (arch. ces. Wied.) Książę Siemion Bielski, potomek Olgierda a potem książąt na Kijowie z tego rodu, przeszedł do Moskwy r. 1500, ale w roku 1534 powrócił do Litwy, gdzie mu Zygmunt I nadał dobra Zyrmony, Stokliszki i inne (w Trockiem). Wojował z wojskiem litewskim przeciw Moskwie i Tatarom. Rodzina Bielskich pozostała podziśdzień w Kobryńskiem (z Notat uprzejmie udzielonych przez A. Kirkora).

⁴⁾ Brulion listu Ferdynanda Heliae Constantini Pragae 2 Febr. 1538

Największej powagi używał na dworze Ferdynanda Jan Tarnowski, od 1526 roku wojewoda ruski, a wkrótce potem hetman koronny, lubo zrazu dostojęństwa tego przyjmować nie chciał. Okazuje się to z listu, w jego imieniu pisanego do podkanclerza Tomickiego:

„Tak jako WM. raczył pisać perswadując mu (Tarnowskiemu) aby województwo sandomierskie pospołu z hetmaństwem zasię przyjął, dając temu słuszne a mądre racye... a wszakoż, iż to jest dawne przysłowie a prawdziwe: że nikt lepiej nie wie, gdzie kogo trzewik ciśnie, jedno ten, kto w nim chodzi, tedy te przyczyny, przez które tak uczynić musiał, że hetmaństwo spuścił¹⁾, które WM. Sam dobrze wie i zna, abych je przed WM. przedłożył, jest mi polecił.

„By tak było, miłościwy Książę, jako nieprzyjaciele jego rozumieć chcą a wykładają, iżby to spuścił w ten obyczaj przeto, iż mu tych urzędów nie dano, o które stałe Sam WPan obaczuje, iżby to *inconsiderate* (nierozważnie) *et indiscrete* uczynił, bo rozumie temu dobrze, że nikt na Panu swym nie wygniewa, ani on też tego przedsięwzię, ani tym umysłem działa, aby prze to tak to uczynił, jako się stało, jedno mając tego słuszne przyczyny.

„Naprzód WM. tajna nie jest wielka niełaska królowej J. M. przeze (bez) swego przewinienia, którą wzięła przeciw Panu, która ponieważ i Jój M. wszystkiem już raczy władnąć, jako sama chce w Koronie polskiej. Tedy *rebus sic stantibus* (w takim stanie rzeczy), Jój M. mierzączka (nienawiść) jest *ita nociva et periculosa* (tak szkodliwa i niebezpieczna), nie inak jako samego Króla Jego M., a śnać i więcej; bo Jego M. jako mądry Pan raczyłby u siebie miejsce dać i mądrze to obaczyć, a poważyc każdego niewinność, albo też zasługi, by się też człowiek, czego Panie Boże uchowaj, niejako czego z przygody, jako to na ludzi przychodzić musi, dopuścił. Ale Jój M. żadnej wymowie sprawiedliwej, żadnym prośbom najpokorniejszym, których się już nie wstydzil ku Jój M. czynić, miejsca dać nie raczy; gdzie też i winni łaskę znajdują, gdzie jój szukają... Gdyby, panie Boże uchowaj, fortuna, która odmienna jest, i największym cesarzom, królom, najślawniejszym hetmanom niejednak stoi, a wiele się razów odmienia; ponieważ jój żaden człowiek w swój mocy nie ma, jedno Pan Bóg; cóżby się wten-

(arch. ces. Wied.) Przed sześciu laty jeszcze odebrał był ks. Elias list od cesarza, w którym pisze do Dantyszka. Ob. Dodatki.

¹⁾ Jan Tarnowski hetmanił już nad wojskiem polskim w wojnie z Wołochami, lubo hetmanem koronnym był Mikołaj Firlej † 1525 r.

czas działa? A snad by chciała Jój M. za tą niełaską swoją *ita persequi* (tak prześladować), żeby téż mogło uczynić *vellet detrudere usque orcum* (chciałaby zniszczyć aż do śmierci). A tak gdzie już to na kogo Bóg dopuści niełaskę Pańską, *nihil salubrius, nihil prudentius, nihil cautius* (nie zbawienniejszego, nie roztropniejszego, nie bezpieczniejszego) jedno temu na stronę ustąpić, tak jak téż to pan uczynić umyślił, chcąc się *alienować ob omnibus curis publicis* (od wszelkich zajęć publicznych), chcąc tylko *curare res suas domesticas* (dbać o domowe sprawy) *secessit in angulum* (ustąpił do zakątka), gdzie mając na pieczy swe rzeczy, *vult pro parte quieti indulgere tamdiu, quamdiu Deus volet* (chce oddać się spoczynkowi tak długo, jak się Panu Bogu podobać będzie).

„Przyjąć województwo sandomierskie, rozumię je sobie być *nullo usui* (do żadnego użytku)... A Miłościwy Książę, sam to W. M. znać raczysz, że te urzędy, z którymi człowiek doma siedzieć musi a na swego Pana nie często patrzeć; *parum et fere nihil auctoritatis in se continent* (mało a prawie wcale nic powagi nie mają). I przeto stał o starostwo krakowskie, aby był na króla Jego M. pana swego często patrzył; Jego M. co łaskę znając, będąc *praesens* (obecny) pilnie ją zasługował, z Waszą M. przyjaciół społu był a WM. jako panu a przyjacielowi swemu starszemu i służył i zachowywał się tak, jakoby panu swemu starszemu. A gdy wola Boża nie była a pańska, że k'niemu nie przyszedł, *nemini invidet* (nikomu nie zazdrości), komu je Pan Bóg a łaska Jego kr. M. dać raczy. A tak ponieważ WM. sam znać raczysz, że hetmaństwo u nas w Polsce nic nie jest, jedno *onus* (ciężar) a przysługa żadna, ponieważ k'temu przyszło, że ci władną, *qui nihili ducunt res et fortunas nostras* (którzy za nic mają sprawy i losy nasze), tedy nie masz przez co zdrowia targać, starość mieć, która w tym urzędzie być musi, nakład czynić a ubożyć się... Téż województwa, by téż i krakowskie dano, tym sposobem tyle Pan waży a nie inaczej, jedno jako to, które dzierży¹⁾, abowiem tytuł inszy, miejsce mało wyższe *parum refert* (mało przynosi) jakimkolwiek kto wojewodą będzie, gdy osobno przytem pańska łaska nie bywa; albo, gdy od takich rzeczy na stronie jest, któremi i przysługę uczynić u Pana sobie może *et auctoritatem i opinionem* (i powagę a opinię) większą u ludzi“.

¹⁾ Województwo Ruskie. W tymże roku 1526, wakowało województwo sandomierskie, po Jędrzeju Tęczyńskim, który postąpił na województwo krakowskie, opróżnione po Krzysztofie Szydłowieckim gdy ten został kasztelanem krakowskim, po śmierci Firleja, hetmana koronnego.

Prosił dalej Tomickiego w imieniu Tarnowskiego ów umocowany od niego, o przyczynienie się u króla Jego M., aby pan, pamiętając na zasługi jego, które czynił z młodych lat, nie raczył tego z niechęcią przyjmować.

„Wszakże innemi posługami, w któreby się godził, by jedno Panie Boże były wdzięczniejsze, niż te rycerskie posługi trudne, w których Pan służył, chce Jego M. służyć na wszelkie rozkazanie, a dla trudności Jego Kr. M. aby Jego Kr. M. w tém żadnej trudności nie miał, do słusznego czasu, jeżeli żeby co na Koronę takowego przyszło, póki król Jego M. tego urzędu komu innemu dać nie raczy, tedy tyle, ile będzie mógł, chce Jego Kr. M. gardła nie litując służyć, wedle najwyższej możności a umiejętności swój, nie prze żadną inną rzecz, ani prze żadne *praemia* (nagrody), jedno *mere* (jedynie) dla łaski Jego Kr. M....

„Toż śnać królowa Jój M. tém się będzie nie jako placować (sic) i ucieszyć raczyła; ponieważ Jój Miłości przeciw myśli było a chciała temu przeszkadzać, aby Pan ni k'czemu a ku żadnemu takiemu urzędowi przystępnemu, nie przyszedł, w którym będąc, pilniej Ich Miłości łaskę byłby był zasługiwał, a śnać Jój M. będzie kontenta. Jakoż Panu sprawiono (oznajmiono), że to rada widzi Jój M., że ten urząd spuścił, bo gdy Jój M. powiedziano o tém „*tanto melius!*“ (tém ci lepiej) rzekła: A tak będzie to podobno rada widziała, że ponieważ nie chciała, aby większe rządy miał, tedy śnać będzie Jój M. rada widziała, że ich odstąpił, które miał.“¹⁾

Dał się jednak uprosić Tarnowski, bo wkrótce potem pisząc do króla Ferdynanda, podpisywał się własnoręcznie: *Joannes Comes in Tarnow, palatinus Russiae et Capitaneus Regni Poloniae* (Jan hrabia z Tarnowa, wojewoda Ruski, hetman Królestwa Polskiego).

W liście tym usprawiedliwiał się Tarnowski, z uczynionych przeciw niemu doniesień, które mogły nań ściągnąć gniew Jego Kr. Mości.

„Co się tyczy króla Jana (Zapolya); ponieważ z Jego Kr. Miłością łączyła mnie oddawna niczém nierozzerwana przyjaźń, ponieważ przyjaźń mu przynależna sobie prawa; ponieważ nietylko przyjaciołom, ale i wrogom nawet wiary dotrzymać należy, nie sądziłem, aby mi wolno było prawa przyjaźni w jakikolwiek sposób

¹⁾ Wiedział to o tém Orzechowski, pisząc żywot hetmana Tarnowskiego, i robi wzmiankę o listach Tarnowskiego do króla w tym przedmiocie pisanych. Responsum a Dno Tarnowski s. g. non vult esse campiductor — (Acta Tomiciana w oryginalnych brulionach. Vol. 25 Nro. 3165 w Bibliotece Ordynacyi Zamojskiej). Obacz Dodatki.

łamać, ani przyjaciela w nieszczęściu opuszczać. Gdy więc Jego Kr. M. przybył do nowego królestwa, przyjąłem go u siebie, udającego się do mnie z prawa długoletniej przyjaźni; i w dobrach moich ofiarowałem Jego Kr. M. gościnność; jak wymagały tego po mnie, wzajemne z dawnych lat poważanie i zażyłość. Ale żebym co innego uczynił na pożytek Jego Kr. M.; co miałoby spuścić gniew na mnie Jego Kr. M.; a zwłaszcza żebym miał być świadomym o tem, że to moje postępowanie będzie offensą (urazą) dla W. Kr. M. mego miłościwego Pana, tego mi żaden z przeciwników moich nie dowiedzie. Albowiem niczego nigdy wypierać się nie będę, z tego, com uczynił, lub dał uczynić¹⁾.

Szlachetne uczucia Tarnowskiego usprawiedliwiły go zupełnie w oczach króla Ferdynanda i utrwaliły nawet łaskę królewską ku niemu. Użył jój Tarnowski w r. 1535 wstawiając się za uwolnieniem z więzienia Hiernyma Łaskiego Wdy Sieradzkiego, rycerskiego męża ale niespokojnego ducha człowieka, który poświęcił się na usługi króla Ferdynanda w Węgrzech²⁾. Odzyskawszy wolność, zebrał w Polsce 500 ludzi jazdy, dla których chciał wyrobić żołąd od Ferdynanda, nie zważając na to, że Zygmunt I nie pozwoli mu wyprowadzić ich z Polski³⁾. Wkrótce potem jako Radca króla Ferdynanda i Ban Dalmacyi, Kroacyi i Sławonii, ale zawsze Wda Sieradzki, skarżył się na krzywdy doznane od poddanych króla polskiego na Spizu; z powodu których król Ferdynand prosił Zygmunta I o zesłanie spólnych komisarzów na dzień 7 stycznia 1542 r. do miejsc granicznych Rokus i Bela (Biała!)⁴⁾.

W tymże samym roku umarł Hieronim Łaski, jakoby w skutek trucizny, podanej mu w Konstantynopolu, zostawując po sobie małoletniego syna, jedynaka Albrechta, z którym często przyjdzie nam jeszcze spotkać się w ciągu naszego opowiadania.

Dobre stosunki pomiędzy dworem wiedeńskim a Zygmuntem I objawiały się ciąglem swataniem córek starego króla.

Baron Herberstein, który był częstym posłem w Polsce⁵⁾ w r. 1531 wspominał o życzeniu kr. Ferdynanda, aby starsza córka

¹⁾ List Tarnowskiego do kr. Ferdynanda z Sandomierza 15 Juli 1528 r. (Arch. ces. Wied.) Ob. Dodatki.

²⁾ List Tarnowskiego do kr. Ferdynanda z Koszyc 12 lutego 1535 r. (Arch. ces. Wied.).

³⁾ List własnoręczny Hieronima Łaskiego do kr. Ferdynanda z Krakowa 5 Janu. 1537; i list Zygmunta I do Ferdynanda z Krakowa 7 April 1537 (Arch. ces. Wied.).

⁴⁾ List kr. Ferdynanda do kr. Zygmunta I z Lincz 23 Octbr. 1542.

⁵⁾ W 1526 roku Herberstein, pisze z Moskwy, że w Polsce znalazł

Zygmunta I, królowna Jadwiga (urodzona z Barbary Zapolyi) wydaną była za Fryderyka Palatyna Renu a księżęcia bawarskiego. Zygmunt zgodził się na to, tém bardziej, „że czas uchodzi, a życzeniem jego jest, córkę już z lat dzieciennych wyszłą postanowić 1).“

Zamiar ten nie przyszedł jednak do skutku i we cztery lata później dopiero królowna Jadwiga poślubioną została Joachimowi II margrabi brandenburskiemu.

Trzeba było zająć się wyprawą narzeczoną; a i w tém musiała mieć królowa Bona przeważny udział, bo królowna uskarżała się przed podkanclerzem Tomickim, biskupem krakowskim, na skąpe udzielenie potrzebnych do wyprawy przedmiotów, prosząc go w sieroctwie swoim o wstawienie się za nią do ojca.

„Dowiedziałam się od Pana Żupnika, że Jego Kr. M. na tak zwane ochędóstwo niewieście (*pro mundo muliebri*) kazał mi wydać tylko 20 sztuk płótna kolońskiego a 10 flamandzkiego, a materyj jedwabnych za 1000 złotych; a że nadto ani szeląga 2) więcej dać nie chce ani może. O przędzy złotej zaś ani o innych rzeczach potrzebnych do ozdobienia sukni, i mowy nie ma. Odkrywamy się z tém ze zwykłą otwartością WM., ażebyś po mądrości swojej rozważyć raczył, czy to wystarczy wedle Stanu naszego, zwłaszcza w terażniejszym czasie, kiedy we wszystkiém błyszczący większy, niż kiedykolwiek zbytek i splendor. Albowiem każda suknia, jeżeli ze złotogłowiu (jak przystoi) szyta, z łatwością cenę dwóchset złotych przejdzie. Widzę, że wiele nam jeszcze do tego nie dostaje; a wielu rzeczy, w dzisiejszym stanie moim i ze względu na wiek mój młody, i płeć słabą sama dostrzedz nie mogę.“

Kończy prosząc biskupa Tomickiego, aby przekonał króla Jego M., że dla własnego honoru i ze względu na jej sieroctwo i rzeczywistą potrzebę, okazał godną Majestatu królewskiego hojność 3).

nowo wydrukowaną kronikę polską (Miechowity) „*In Polonia reperi noviter impressam authore quodam Canonico Cracov. Narrat originem modernorum Regum. Wymienia Casimirum nunc canonisatum in Vilna. — List ex Moscovia 12 Maii 1526.* (Arch. ces. Wied.)

1) Jadwiga miała podówczas lat 18. *Et nos nubili jam aetati Hl, filio nostro providere cupiamus.* — List kr. Zygmunta do kr. Ferdynanda. — *Crac. 14 Octobris 1531.* (Arch. ces. Wied.)

2) *Ne teruncius quidem.* Wyrażenie Cycerona w listach do Attyka 6, 2, 4. Trzy uncye czyli $\frac{1}{4}$ *assa*: miały wartość około jednego grosza polskiego. — Objaśnienie winieniem uczonemu filologowi dr. Brandowskiemu, prof. uniw. krakow.

3) List kr. Jadwigi do podkanclerzego Tomickiego 19 April. 1535. (*Acta Tomiciana* w oryginalnym brulionie Vol. 19 Nr. 2356 w bibl. Ordyn. Zamojskiej).

Musiał pomyślny skutek téj pokornéj próśby nastąpić, bo wiemy, z jaką uroczystością odbyło się 1 września tegoż roku wesele królewnéj Jadwigi, z Joachimem margrabią brandenburskim, już i kurfirsztzem po śmierci ojca.

Nieudało się i drugie swatanie królewnéj Izabelli (starszézj z córek Zygmunta i kr. Bony) z synem księcia Sabaudyi. Układał je baron Herberstein, poseł króla Ferdynanda, z Mistrzem Ludwikiem (*le Monti*) sekretarzem królowéj Bony, która Herbersteinowi za to najczulsze dzięki składała ¹⁾. Ale na weselu siostry Jadwigi poznała królewna Izabella Jana Zapolyę, króla węgierskiego, a ten w lat kilka potem mężem jéj został (r. 1539).

Związek ten wprowadził króla Zygmunta w stosunki z Turkami, którzy państwu węgierskiemu a zwłaszcza ziemi siedmiogrodzkiej grozili. Z drugiéj strony obiecał był Zygmunt królowi Ferdynandowi, że w razie wysłania posłów do Sułtana tureckiego, pierwéj go o tém uprzędzi.

Otóż przy końcu roku 1539 przybył do Krakowa poseł Sułtana tureckiego z listem, zapraszającym króla Zygmunta i jego syna na podwójną a wielce radosną uroczystość familijną. W styczniu następnego roku miało się odbyć obrzezanie dwóch synów sułtańskich, Bajzida i Dengisa; i wesele córki sułtana.

Nieomieszkał o tém donieść Zygmunt I królowi Ferdynandowi:

„Pamiętamy, żeśmy obiecali WKM., iż w razie, gdybyśmy mieli kiedy wysłać posła do cesarza tureckiego, uwiadomimy o tém W. Kr. M. Otóż temi dniami przysłał do nas Sułtan posła z zaproszeniem na wesele jakiejś córki swojéj i z prośbą, abyśmy obecnością Naszą i ten dzień uczcili, w którym dwóch synów jego obrzezanie nastąpi. Przekona się o tém W. Kr. M. z kopii listu sułtańskiego, którą w przekładzie z języka arabskiego na łaciński przysyłamy. Zdało nam się, iż czasów dzisiejszych potrzeba wymaga po Nas, abyśmy nie odrzucali zupełnie tego zaproszenia i żebyśmy niezwłocznie wysłali Posła, któryby się w miejscu Naszém na tém weselu znajdował ²⁾).

Król Ferdynand uznał to zupełnie słuszném i dołączył wyrażenie nadziei, że to wyjdzie na pożytek rzeczypospolitéj chrześcijańskiej.

W listach od króla do króla pisanych panowała zwyczajem

¹⁾ Kopia listu kr. Bony do barona Herbersteina z Wilna 24 Decemb. 1535 (Arch. ces. Wied.).

²⁾ List Zygmunta I do kr. Ferdynanda z Krakowa 10 Novembr. 1539 (Arch. ces. Wied.).

uświęcona etykieta, której trzymali się sekretarze i przepisywacze (*amanuenses*), ale która i samym monarchom dobrze znaną była.

Zygmunta Augusta już za młodu wprowadzono do wszystkich nauk, wielkiemu królowi potrzebnych.

Gdy nie miał jeszcze piętnastu lat skończonych, Podkanclerzy koronny Tomicki, biskup krakowski pisał do niego, napominając, aby naśladował zacne przykłady sławnych mężów i oddawał się naukom humanitarnym (*studium literarium*). Młody król dziękując zacnemu biskupowi za jego przychylny rady, odpowiedział:

„I w rycerskich cnotach, skoro nam młodość nasza dozwoli, gorliwie ćwiczyć się będziemy, mając przed oczyma tyle sławnych czynów Najjaśniejszego Rodzica Naszego, z którego wedle możności przykład bierzemy. A pilne baczenie dajemy na to, aby ani w najmniejszej rzeczy nieodrodnym być jego synem. Czasu napróżno nie tracim a naukom oddajemy się pilnie“¹⁾.

We trzy lata później, ośmnastoletni król popełnił jednak przez nieświadomość, wielki błąd przeciw etykietce, błąd, który stary król starał się jak najspieszniej poprawić.

Trzeba wiedzieć, że cesarzowi a także królowi rzymskiemu; należał się od wszystkich monarchów tytuł *Majestas*. Oni zaś innym królom dawali tylko tytuł; *Vestra Serenitas*.

Zygmunt August, który wówczas jeszcze pisał się *Sigismundus Secundus* w jednym z listów swoich do króla Ferdynanda, przyszłego teścia swego, którego najdroższym ojcem, jak miał do tego prawo, nazywał, tytułował go: *Vestra Serenitas*.²⁾

Nazajutrz napisał stary król do Ferdynanda:

„Cokolwiek błędem było w liście N. Syna naszego, może *Majestas Vestra Serenissima* być przekonaną, że to nie stało się ani przez nierozwagę ani tém bardziej z umysłu, ze strony urzędników Naszych, ale wprost skutkiem nieroztropności przepisywacza (*amanuensis*). A dla lepszej wiary, przypilnujemy, aby rzecz cała poprawioną była najspieszniej tak, jak się należy.“³⁾

W rok później sam Zygmunt August pisał do Ferdynanda, przeprasząc za Ojca, który z powodu bólów w prawej ręce (*chira-*

¹⁾ List Zygmunta Augusta do biskupa Tomickiego z 25 April. 1535. (Acta Tomiciana Vol. 19 Nr. 2885 w oryginalnych brulionach, w bibl. Ordynacji Zamojskiej).

²⁾ Zygmunta Augusta list do Ferdynanda. *Crac. 11 Novembr. 1538* (Arch. ces. Wied.).

³⁾ List Zygmunta I do Ferdynanda. *Crac. 12 Novemb. 1538.* (Arch. ces. Wied.).

gry) nie mógł własnoręcznie podpisać się na liście do króla rzymskiego.

W korespondencji pomiędzy obu królami znajdujemy niekiedy wzmiankę o nieznanych nam dotychczas stosunkach z ówczesnego życia społecznego w Polsce.

I tak w r. 1536 król Ferdynand wstawiał się do Zygmunta I za hrabią Jerzym z Monteforte, aby ten mógł odebrać resztę posagu żoninego, oznaczonego na 10000 złotych, a także część dziedzictwa, należnego żonie po śmierci jej matki. Na to odpowiedział król Zygmunt:

„Co się tyczy posagu, nie pamiętam, aby mu kiedykolwiek w obecności Naszej co takiego obiecaném było; zkaąd wypada, że do niczego więcej nie czujemy się być obowiązani. Co do dziedzictwa po matce, należałoby się udać do Biskupa Jego M. Poznańskiego (a niegdyś Wileńskiego) brata rodzzonego téj dziewczki (*frater ejus puellae germanus*), który dziś ciężką chorobą złożony, daleko od nas; tak że nie możemy go wygodnie o ten interes zacząć. Ale skoro powrócimy do Polski, co już wkrótce nastąpi, postąpimy wedle prawa i chętną pomoc damy Hrabi Jérzemu do odebrania tego, co mu się słusznie należy. Mamy zresztą zupełną ufność, że sam Biskup Jego Mość, nie zechce siostry swój pokrzywdzić, ale dobrowolnie wszystko sam uczyni.“¹⁾

Biskupem poznańskim, (a niegdyś wileńskim) był Jan z książąt litewskich, syn poboczny Zygmunta I²⁾; a siostra jego rodzona, jak wiemy z poprzedniego opowiadania była Regina, małżonka Hieronyma Szafrąncza z Pieskowej Skąły, która zmarła około r. 1528, zostawując po sobie 3 córki w niemowlęcym wieku Zuzannę, Annę i Katarzynę Szafrąncównę³⁾.

W 1536 roku najstarsza z nich nie mogła mieć więcej jak 13 lub 14 lat. Z nią to zapewne ożenił się hrabia Jérzy z Monteforte i dopominał się o część dziedzictwa po matce żony, a raczej

¹⁾ List Zygmunta I do kr. Ferdynanda. Vilnae 9 Octobr. (Arch. ces. Wied.).

²⁾ W roku 1531 papież Klemens VII, bullą die 28 Junii dał mu indult na konsekracyą, jako Elektowi wileńskiemu, zrodzonemu z Zygmunta króla polskiego, *et quondam Catharina de Elschtyln* (Telnice), ponieważ dawniej już wydane bulle spaliły się w pożarze pałacu biskupiego w Wilnie, który także część katedry zniszczył. Ob. Theiner. *Monum. Poloniae*. Tom II p. 474 — 5.

³⁾ Ob. Jagiellonki Polskie w XVI wieku. Tom I str. 6 i 7. — Niesiecki pod h. Stary koń pisze, że z trzech córek Hieronyma Szafrąncza, urodzonych z Kościeleckiej, Katarzyna była za Jasińskim, opatem? Chełmskim, Anna za Krezą, Zuzanna panną umarła. Może ta była żoną.

po jej babce, Katarzynie Telniczance Kościeleckiej; o którą jeszcze w 1528 roku dopominała się opieka małych trzech wnuczek jej Safrancównien; pozywając o to Jana z książąt litewskich i Beatę Kościelecką ¹⁾.

Żadnych innych szczegółów o hrabi Jerzym z Monteforte, i o jego żonie nie udało nam się wykryć.

W 1545 roku król Ferdynand pisał do Zygmunta I na prośbę Łukasza Sapieha:

„Przedstawił nam Łukasz Sapieha, poddany W. Kr. M. iż ojciec jego Jan Bogdanowicz Sapieha w Wielkiem Księstwie Litewskim, od lat dziecinnych wiernie W. K. M. służył... a przez lat 30 prawie był Radą W. Kr. M. i wojewodą Podlaskim. Jednakże z powodu delacyi spółzawodników swoich, lubo niewinny, nie tylko czei, godności i majątku pozbawiony został, i do zupełnego ubóstwa przywiedziony, ale nadto miesiący kilka przesiedział w więzieniu, z którego uwolniła go później łaska W. Kr. M. A więc jeżeli nawet w czém przewinił, już dostateczną karę za to odniósł“.

Prosił zatem król Ferdynand, aby mógł być przywrócony do dawniejszej godności i czei (*in pristinum statum et honorem*); „aby mąż w podeszłym już wieku a który przeciw nieprzyjaciółom króla J. M. dobrze się sprawował, nie skończył życia w takim poniżeniu“ ²⁾.

Gdy król Ferdynand wstawiał się za niejakim Jakóblem Kosmoskim, uwięzionym za mężobójstwo, odpowiedzieli obaj królowie polscy, że nie zgadzają się na to bracia zabitego, ale gdy winowajca odejdzie na miejsce, w którym ma karę swoją odsiedzieć, postarają się o jego uwolnienie ³⁾.

¹⁾ Ob. Jagiellonki Polskie T. I str. 6.

²⁾ *Exposuit nobis Lucas Sapieha subditus Stis V. patrem suum Joannem Bogdanovych Sapyeha in Ducatu Litwaniae a teneris annis fideliter servivisse: triginta fere annis consiliarius et palatinus provinciae Podlachiae fuerit; tamen propter quosdam emulorum delationes de se immerito factas, non solum honore, statu et bonis suis privatum, ad summam paupertatem redactum, verum etiam aliquot mensibus in carceribus detentum, tandem gratia et clementia Stis V. relaxatum fuisse; atque adeo illum, si quid admisisset, satis jam poenarum dedisse....*

Brulion listu kr. Ferdynanda do Zygmunta I *Pragae 1 Febr. 1545* (Arch. ces. wied.). O tej niełasce, w jaką wpadł Jan Sapieha Wda Podlaski (syn Bogdana a ojciec Łukasza), nie wspominają dziejopisowie, ani genealogiści nasi. — Wiadomość niniejsza prostuje także linię genealogiczną Sapiéhów podaną przez Misztolta, Paprockiego i Niesieckiego.

³⁾ List Zygmunta I do kr. Ferdynanda. — Brześć. 11 Octobr. 1544 (Arch. ces. Wied.).

Cesarz Karol V miał na dworze swoim szlachcica polskiego, Krzysztofa Krupskiego z Orchowa; a gdy ten mu gorliwie służył, cesarz na jego usilną prośbę, listami do kr. Zygmunta I, do hetmana Tarnowskiego i do biskupa płockiego (Maciejowskiego) w 1545 r. pisanych promował sprawę jego u króla.

Ojciec Jakóba Krupskiego służył długo na dworze króla Aleksandra (podobno był tam kuchmistrem) ¹⁾ i pożyczyl potrzebnemu zawsze królowi 3000 złotych za ręcznym Jego Kr. M. obligiem.

Za to dał mu król dożywocie na mieście Horodle i z należąciami doń wsiami bez żadnych ciężarów. Po śmierci króla Aleksandra i Krupskiego Horodło miało wracać do Korony, po wypłaceniu 3000 złotych successorom dożywoćnikom. Ale pozostała wdowa wraz z synem Stanisławem, Komornym Dworzaninem królewskim (*qui a cubiculis erat*), otrzymali od króla Zygmunta I, że matka a po niej syn Stanisław zatrzymują dożywoćnie władanie Horodłem i należniami do niego wsiami, a zrzekną się za to windykacyi swojej wierzytelności. Jakoż wydany został list królewski, a ręczny oblig króla Aleksandra oddany. W tém umarł Stanisław Krupski; matka tylko przy dożywociu została a successor po Stanisławie, rodzony brat Jakób Krupski, Dworzanin Césarski, tracił zarazem i oblig królewski i prawo do dożywoćia. Dlatego to wstawiał się za nim cesarz Karol V a także i elektor brandenburski, aby wolno było Jakóbowi albo wejść w prawa zmarłego brata, albo wierzytelność ojcowską windykować ²⁾. Niewiadomo nam, jaki był koniec tej sprawy.

Krół Zygmunt i królowa Bona najczęściej wstawiali się u króla Ferdynanda za kupcami, którzy towary z zagranicy dla dworu i dla siebie sprowadzali. Takim był żyd krakowski Aleksander Levi, który prowadził handel z Fryderykiem, margrabią mantuańskim. Przedawał margrabiemu sobolowe skórki, a w zamian odbierał złotogłowy i materye z Wenecyi za pośrednictwem Seweryna Bonara srebrne i jedwabne. Handel ten ułatwiała królowa Bona i za to otrzymywała część owych drogich materyj w darze od margrabięgo Fryderyka ³⁾. W r. 1528 zatrzymała takiego rodzaju towary komora celna wiedeńska, a margrabia i królowa Bona pisali do kr. Ferdynanda z prośbą o uwolnienie towarów, wysłanych dla kupca

¹⁾ Na marginesie brulionu listu cesarza dodano: *Ex. Coquus.*

²⁾ Brulion listu cesarza Karola V do Zygmunta I. *Wormatiae 2 Julii 1545* (Arch. cés. Wied.).

³⁾ *Res aureas, auro intertextas et sericeas Cracoviam misisse, ut inde cuidam hebreo Cracoviensi Alexandro et aliqua pars penes nos pro majori parte ex dono remaneret.* List kr. Bony do kr. Ferdynanda. *Vilnae 31 Julii 1528* (Arch. cés. Wied.).

krakowskiego Aleksandra. Było tam 49 i $\frac{3}{4}$ łokci złotogłowa na tle niebieskiem, 41 i $\frac{1}{4}$ na tle zieloném, 47 i $\frac{1}{4}$ na tle fioletowém, 16 funtów przędzy złotej a 1 funt srebrnej, zwiniętej na 34 wążkach, 64 łokci atłasu czerwonego, 50 łokci atłasu karmazynowego, 141 łokci ormismu (sic) zielonego na tle złotém i szkatułka, obwarowana pieczęcią margrabiego a w niej 32 łokci wstęgi ze złota ciągnionego ¹⁾.

Polecenia królewskie za granicą sprawiali także doktor Mojżesz żyd ²⁾ i aptekarz Jan Atlantse, Wenetczyk ³⁾. Ten jeździł do Włoch nie tylko po materiały apteczne, ale przywoził także wino muszkatelowe, migdały, figi, rodzynki, naczynia szklane, i sukno weneckie zwane *de cento* ⁴⁾.

W 1539 roku pisał Zygmunt I do kr. Ferdynanda, żaląc się na magistrat miasta Wiédnia, który zatrzymał dla poboru cła cały transport pomarańczy, sprowadzony przez kr. Bonę z Włoch, gdy on sam był ciężko i niebezpiecznie chory :

„Najjaśniejsza małżonka Nasza dowiedziała się, że Teodor i Wincenty wyjeżdżają do Włoch; a słysząc, że do wyleczenia choroby mojej służą jabłka, które zowią arancia (*poma, quae vocant: arancia*, stąd po polsku pomarańcza); z wielkiej pieczołowitości około zdrowia mojego, poleciło im przywieść ten rodzaj jabłek ⁵⁾.“

Na dworze kr. Bony znajdował się także niejaki *Tranquillo Andronius* Dalmata, który zostawał w ciągłych stosunkach z Wenecją ⁶⁾. Przez niego może wysyłała królowa Bona potajemnie do Wenecyi, klejnoty swoje i znaczne summy w złocie i srebry. Zyg-

¹⁾ 49 $\frac{3}{4}$ brazza di brocato d'oro, tirato in campo azurro; 41 $\frac{1}{4}$ brazza in campo verdo; 47 $\frac{1}{4}$ in campo paonuzzo; 16 libre d'oro filato et 1 di argento filato, fulti sic 34 caroni, 64 brazza di raso rozzino, 50 di raso crimesino; 141 di virnismo verde in campo d'oro. Una casetta sigillata col mio sigille con dentro 32 brazza d'oro rizzo tirato. — List Fryderyka margrabi mantuańskiego do króla Ferdynanda. *Mantuae 15 Septembr. 1528*, (Arch. cés. Wied.).

²⁾ List biskupa Tomickiego do Bna Herbersteina. Kielce 6 Junii 1535 (Arch. cés. Wied.).

³⁾ Jan Atlantse był dawniej aptekarzem w Płocku. W roku 1526 dostał gleit od kr. Zygmunta I na podróż do Mazowsza i Prus; gdyż groziło mu niebezpieczeństwo z powodu posądzenia o otrucie ostatnich dwóch książąt mazowieckich, trucizną przywiezioną z Wenecyi (Tomiciańska *Tom VIII p. 51 Rok 1526*).

⁴⁾ List Zygmunta I do króla Ferdynanda. *Crac. 27 Septemb. 1536*. (Arch. cés. Wied.).

⁵⁾ List Zygmunta I do króla Ferdynanda *Craccov. 25 Junii 1539*. (Arch. cés. Wied.).

⁶⁾ List *Joh. de la Croix de Tranquillo Andronico Dalmatino in Po-*

munt August nie mogąc osobiście przeciwko matce działać w Wiedniu, polecił to hetmanowi Tarnowskiemu, który pisał cyframi do króla Ferdynanda :

„Najjaśniejszy król Polski młodszy, Pan mój, i własną ku tej rzeczypospolitej powinnością spowodowany i przez obywateli tego państwa upominamy, polecił mi, listem swoim (który tu załączam), abym do W. kr. Mości pisał. Jeżeli z listu Jego kr. Mości, rzecz o którą idzie, nie da się odrazu zrozumieć; to niewątpliwie WkrM. wierzyć możesz, że ją tu, jak od Króla JM. podaną została, znajdziesz. Rzecz tak się ma: Jój Miłość Starsza królowa, na wypadek zejścia Najjaśniejszego Króla Starszego, zamyśliła wyjechać ztąd do Włoch: Ze taką jest myśl Jój Kr. M. wypada z istoty rzeczy. — Albowiem wszystkie ogromne skarby, w złocie, w srebrze i w klejnotach, które tu nagromadziła, przesyła do Włoch potajemnie, z największym uszczerbkiem tej rzeczypospolitej i Najjaśniejszego króla młodszego krzywda. Ażeby więc ona nie zrobiła królestwu Polskiemu tak wielkiej szkody, jak gdyby je wróg niszczytel gwałtowną ręką spustoszył, ponieważ skarby te nie mogą inną drogi przebywać, jak przez państwo WkrM.; młodszy król Polski pragnie, aby tym knowaniom matki można było przeszkodzić. A zatem ku pożytkowi króla Jego M. młodszego i tej rzeczypospolitej (której, że WkrMiłość dobrze życzysz, N. król jest przekonany); za wolą N. Króla, upraszam Wkr. Miłości, aby raczyła potajemnie polecić wszystkim tym, którzy w państwach WkrM. cła pobierają, pilną baczność mieć na wozy i na kupców udających się stąd do Włoch. A gdy ich na drodze spotkają celnicy, niechajby pod jakim bądź pozorem, jakby o tém Wkr. Miłość nic nie wiedziała, zatrzymali ich dla poboru cła, i przekonali się, co się w każdym wozie znajduje. Gdy się to raz i drugi powtórzy Królowa Jój M. nie zechce więcej skarbów swoich na takie niebezpieczeństwo narażać, a ztąd już rada nie rada odpadnie ją chęć przewożenia swoich skarbów.

Co się tyczy najlepszych chęci i poważania Króla Jego M. młodszego dla Wkr. M., te są takie, że niczego więcej żądać niepodobna. Miłuje bowiem, czei i poważa WkrM. Za powrotem swoim (z Litwy) wyraził się Król Jego M. w tych prawie słowach:

„iż jeżeli WkrMiłość i Césarsko Katolicka Mość sam do Wę-gier przybędą, on postanowił udać się tam z takimi posiłkami, na jakie mu w dzisiejszych okolicznościach starczy, za życia i pano-

„wania Króla Jego M. Starszego; i pewnie tak świętej sprawie służyć nie omieszka.“

Z tego łatwo osądzi WkrM. jak Król JM. WkrM. sprzyja, i że wątpić nie można, iż wszystko zawsze uczyni, co do objawienia przychylności Jego ku WkrM. przynależeć będzie.

Najpokorniej proszę o odesłanie mi na powrót listka Króla Jego M. młodszego ¹⁾.

List ten, w którym znajdujemy poraz pierwszy niewątpliwy ślad nieporozumienia Zygmunta Augusta z matką, królową Boną, pisany był 14 czerwca 1545 roku, więc w przeddzień śmierci młodej żony Zygmunta Augusta, Elżbięty Rakuskiej, której krótki żywot Bona zatrąła, nie trucizną, ale ciągłym prześladowaniem i odwracaniem od niej serca męża, dopóki sama wpływu nad niem nie straciła.

¹⁾ List hetmanana Tarnowskiego do kr. Ferdynanda (cyframi pisany i odcyfrowany). Ossiek 14 Junii 1545 r. (Arch. ces. Wied.).

Dr. JAN KANTY

SZLACHTOWSKI.

Rzecz czytana na posiedzeniu Tow. Nauk. Krak. dnia 5 Lutego 1872 r.

przez

Karola Estreichera.

Suum cuique, było to ostatnie słowo literackie męża ¹⁾, o którym mówić mi przychodzi. — Dzisiaj, gdy świeża mogiła zakryła go nam przed oczyma — rysują się w myśli mej obrazy przeszłości niedawnej, przewijają wypadki i ludzie, — roją się aktorowie odgrywający role w imieniu światła narodowego, przebrzmiewa szermierka o kęs chleba, pod płaszczykiem dobra pospolitego — a to wszystko domaga się o wymierzenie aktorom — *suum cuique*.

Czego więc pamięć zasięga, i co z obustronnych pism wysnuć się dało, to przedstawiam w skreśleniu życia zmarłego.

Dnia 13go listopada r. z. umarł w Krakowie po obłożnej tyfusowej chorobie Jan Szlachtownski. — Odprowadziło go na miejsce wiecznego spoczynku, małe kółko przyjaciół, lecz liczne grono wyobrazicieli naukowości. — Strata jego dla jednych była bolesną, dla drugich dotkliwą, jedni stracili w nim światłego towarzysza, drudzy utracili pracownika na polu pospólnej dziedziny naukowej, a szecerba sprawiona jego ubytkiem, i tu i tam, pozostanie niewypełnioną.

Był on członkiem Towarzystwa naukowego, od r. 1858 i zasługiwał się Towarzystwu w latach ostatnich o ile mógł

¹⁾ W Przeglądzie polskim 1871.

i o ile umiał, a że wiele umiał, więc i mógł wiele. Jak tylko utworzyły się przy Towarzystwie naukowym komisyje bibliograficzna i historyczna, nie omieszkali kierujący pracami obudówch Komisyj korzystać z usług Szlachtowskiego.

Porzucił on ówczas kilkoletnie zajęcia swoje gospodarcze we wsi Górcze pod Krakowem, i osiadł w Krakowie, aby swobodniej rozwinąć działalność swoją naukową, która zdawało się, iż u niego zamarła na zawsze. — Dwadzieścia lat bowiem upłynęło od czasu, gdy po raz ostatni wystąpił czynny, ruchliwy i ożywczy, zanim upadł złamany i przygnębiony.

Trzydzieści lat temu, rokowano sobie o nim wielkie nadzieje przyszłości; do niego uśmiechała się sława z całym zapałem młodości i energii, téj energii, która kusi się bryłę świata z posad wyruszyć. — Rzeczywistość chłodziła stopniowo zapał, a kolce zawiści kruszyły z wolna energią.

Odziedzyczył on wszystko to, co ułatwia polot i wzniesienie się ponad głowy mierzone, ale nie odziedzyczył tego, co ostatecznie wznosi i wywyższa, to jest szczęścia. Bez tego, wszelkie zamysły i chęci rozbijają się bezwładnie, bez tego łamią się zdolności, bez tego nie ma sławy, ni rozgłosu.

Był on, jeżeli nie jedyny, to przynajmniej jeden ze szczupłego zastępu owoczesnych literatów, mających gruntowną naukę, nabytą studyami uniwersyteckimi. — Nie był autodydakta. — Samouctwem krzywiły się zdolności pisarzy galicyjskich. Nawet najbystrzejszy ze wszystkich Szajnocha, gdyby mu okoliczności dozwoliły, przejść systematycznie studia, zanim wziął się do pióra, wywarłby skuteczniejszy wpływ na gruntowną uprawę dziejów u nas, i nie wywołałby o sobie zdania W. A. Maciejowskiego, poniekąd słusznego, iż pisze nie opowiadania lecz powieści historyczne.

Systematyczność pracy naukowej nie była udziałem literatów galicyjskich. — Bystrzejsi umysłowo, kończąc uniwersytet, zdobywszy patent doktoratu filozofii lub prawa — szukali powszedniego chleba. Tego nie dawała literatura, dawała ją tylko służba publiczna. Uzdolnionej młodzieży było niezmiernie mało, więc uzdolnieni, snadno zyskiwali w służbie publicznej powodzenie i zaszczyty.

Były to atoli czasy, w których praca umysłowa nie zgadzała się z obowiązkami służby, czasy, w których Wacław Zaleski zbieracz ludowych pieśni za okazaną skłonność do zajęć literackich przenosić się musiał ze Lwowa ku Tatrom i Dunajcowi, a Stanisław Jaszowski pokutować musiał za to, iż najniewinniejszy sonet jego, wydrukowało czasopismo zagraniczne poznańskie!

Naturalném zatem było, iż kto przyjmował służbę publiczną, zrzekał się służby publiczności, — a ktokolwiek mimo tego miał się pióra, czynił niebawem rozbrat ze służbą.

Ztąd to cały nieomal zastęp literatów galicyjskich rekrutował się z niedoszłych akademików i niedoszłych doktorów jednego z trzech fakultetów.

Nie winić ich o to, lecz winić nieprzyjazne nam stosunki. Młódź rozpoczynając nauki w uniwersytecie, kończyła zawód swój we fortecy. Pokutowała u niejedynekrew nazbyt gorąca. — Młodzież rącza, kipiąca, nieopatrna, z miłością Gustawów i zapałem Konradów, przeobrażała się ostatecznie w Konradów, doznając ich losów na lata długie; zaś wyzwolona ujmowała za pióro, aby kręślić marzycielstwa Gustawowe.

Nie więc dziwnego, że gdy wśród téjże pojawił się ktoś taki, który nigdy nie zaznał samotności Konradówéj, a naprzeciw wybuchom fantazyi, stawiał spokój i rozwagę myśli, który co gorsza, miał formalny patent na naukowość, że owego przybysza nie uznawano ani za naukowego, ani tém więcej za literata.

Przydarzyło się to Szlachtowskiemu. — Los chciał może na jego nieszczęście, iż młodość przepędził swobodnie, dostatnio, bez przeciwności.

Szlachtowski Jan, syn Stefana i Magdaleny z Białostockich, urodził się we Lwowie r. 1816. — Metryka chrztu jest z 30 października 1816. — Gimnazyum i Uniwersytet przeszedł z postępami celującemi. — Po ukończeniu filozofii i prawa złożył świetnie doktorat filozofii w d. 4 maja 1839 r. ¹⁾

¹⁾ Starszy brat jego Stanisław pisał rozprawę: Rozbiór pi-semka p. A. Günthera: Uwagi nad chowem bydła, Kraków 1854. Zaś młodszy Feliks adwokat i wiceprezydent miasta, drukował r.

Doktorat nastrecał mu pole karyery urzędniczej. Nie pożądał jej tak jak drudzy. Dla powodzenia naukowego zrzekł się przyszłości spokojnej, życia zapewniającego wygodę i stanowiska materyalnie niezależnego.

Cheiał naukowo pracować. Uśmiechało się myśli jego zajęcie przy Bibliotece Ossolińskich. — Niedoświadczonemu zdawało się, że acz Biblioteka nie odwdzięczy się mu chlebem dostatnim, wynagrodzi go atoli niewyczerpanej obfitości pokarmem umysłowym. — Nie przeczuwał, że urzędnik Biblioteki, jeżeli chce służyć téjże uczciwie i gorliwie, najmniej korzystać może z Biblioteki. — Służba biblioteczna, codzienna, całodzienna, pożera czas, wyczerpuje siły, a ledwo widne bywają owoce takiej służby. — Praca w bibliotece dla siebie i zarazem dla biblioteki, jest możliwą, tylko ze szkodą służby bibliotecznej.

Nie przewidywał, iż chcąc bibliotece sumiennie usłużyć, wypadnie na czas przydłuższy uczynić rozbrat z pracami naukowemi, że trzeba będzie przygotowywać grunt do pracy naukowej nie dla siebie, lecz dla swoich następców.

Biblioteka uśmiechała się nie do niego tylko jednego. Wszyscy literaci galicyjscy wyciągali kolejno ku niej ręce, jako ku przystani, w której wypoczywaćby można. Ogół literatów atoli nie zawsze pojmował, iż służba biblioteczna nie dla nich jest, lecz jest dla użytku biblioteki. Wielu nęciły raczej widoki, iż służba taka ułatwi możność oddania się wyłącznie pracy literackiej i czerpania ze skarbów bibliotecznych, dla własnego użytku. Ztąd upowszechniło się zgubne przekonanie, iż urząd biblioteczny winien być sinecurą zasłużonego krajowi pracownika na polu nauki, ułatwieniem onemuż pracy naukowej, a nie zaś służbą dla służby. Nie pojmowano służby takiej, któraby nie wydawała zarazem owoców naukowych, bo nie rozumiano trudności i ogromu zadania, które ciążyą obowiązkowo na wszelkich urzędnikach, wszelkich bibliotek.

Za tém poszło, że ktokolwiek umiał zręczny wierszyk wyśpiewać, fragment dziejowy opracować, pisemko zbiorowe podtrzymać, sądził, iż ten tém snadniej a wygodniej, podoła pracy bibliotecznej. — Nakreślił był wprawdzie

Stan. Borkowski: „Rzecz o obowiązkach bibliotekarza“, gniewał się o to Siarczyński sądząc, iż hrabia uczyć go pragnie; lecz literaci lwowscy książki téj nie czytali — a jednak godną ona była zastanowienia, bo mówiła o obowiązkach urzędników względem biblioteki, a nie o czerpaniu przez urzędników korzyści z Biblioteki.

Była więc biblioteka wymarzoną punktem oparcia się, o szczebel wyższym, niż służba w Redakcyi Gazety lwowskiej. — Tam wielu życzeniami swemi dążyło, tam też dążył Jan Szlachtowski, szukając podpory, aby pracować swobodnie naukowo.

Dostał on się tam szczęśliwie przed innymi w dniu 5 lipca 1839, za kuratoryi Henryka księcia Lubomirskiego, a za dyrektorstwa Adama Kłodzińskiego. „Mało było (powiada w udzielonej mi notatce Winc. Pol) wówczas ludzi w nauce biegłych, a prawie nie było nikogo, coby nie był politycznie skompromitowany. Pan Gwałbert Pawlikowski tedy, który po czasach Słotwińskiego objął jako zastępcę kuratora Zakład Ossolińskich, starał się usilnie o Dra Szlachtowskiego dla Zakładu, który trzeba było naukowo i politycznie dźwignąć z jego upadku. Politycznie był Zakład skompromitowany i opieczętowano go jako jakieś *corpus delicti*. Gmach, książki, czytelnia, drukarnia, wszystko było opieczętowane. Pod względem naukowym możnaby go było uważać za niebyły, bo nikt nie miał przystępu do książek i rękopismów, do czytelnicy i drukarni, nikt nie pracował w Zakładzie, nie wydawał jego roczników. Dochody i fundusze Zakładu nie uregulowane lub sporne, gmach nie dokończony, ogród i dziedziniec leżał pustką i bez ogrodzenia“.

Szlachtowski pracował zrazu bezpłatnie, następnie w d. 1 listopada 1839 r. został zastępcą kustosza, a w r. 1840, stałym kustoszem.

Kustoszem będąc, doświadczył, iż ów punkt oparcia się celem pracy naukowej, wcale pracy podobnej nie dopuszcza. Biblioteka wymagała poświęcenia się dla niej zupełnego — Kłodziński objął bibliotekę po Konstantym Słotwińskim, który przedrukowywaniem nieroztropnym i lekkomyślnym druków nie mających związku z celami Biblioteki, naraził Zakład na kłopoty, działalność Biblioteki na bezwładność, drukarnię tejsze na opieczętowanie, czytelnię na zamknięcie, a siebie samego na długoletnie uwężenie.

Biblioteka Ossolińskich nie miała gmachu. Nagromadzone książki, leżały odłogiem, lub stosami w kilku izdebkach. Wypadało w myśl woli Ossolińskiego, zbudować gmach biblioteczny i Zbiory tak uporządkować, aby dostępnymi były dla powszechności.

„Zadanie tedy (opowiada Winc. Pol) zastępcy kuratora p. G. Pawlikowskiego nie było łatwe. Począł od uregulowania i wywindykowania funduszków, które się powiększyły majątkiem w ziemi, darowanym przez panią Worcelową. Ze Zakład był zamknięty, urósł w kilku latach fundusz rezerwowy do znacznej kwoty, i kiedy Kłodziński został mianowany Dyrektorem Zakładu, a Szlachtowski skryptorem, można już było ukończyć gmach, dobudować nowe skrzydło, wznieść okazały fronton, przeprowadzić nowe wschody, uporządkować choć z większą dziedziniec i całą własność zamknąć sztachetami. Szlachtowski prowadził tu całą administracyjną część Zakładu, pisma urzędowe i rachunki. Czasy politycznego terroryzmu były już przeszły dla Zakładu, więc można już było przebieierać się powoli do jego organizacyi. I z wielkim rozumem postępował w tem p. G. Pawlikowski. Głównie tedy Szlachtowski zabrał się tu do porządkowania i układania biblioteki. Użyto na nowo stypendystów Zakładu do spisywania katalogów i przyjęto pisarzy do roboty. Robotami temi wszakże musiał głównie kierować Szlachtowski, bo ani na stypendystów ani na pisarzy nie można było liczyć w tej pracy, która specjalnego potrzebowała wykształcenia. Katalog tedy systematyczny kartkowy, który dziś biblioteka posiada, jest owocem pracy Szlachtowskiego. Zajął się on nadto zebraniem, ułożeniem i opisaniem numizmatycznego zbioru w Zakładzie, a mianowicie zbioru monet i medali polskich, którego właściwie przed nim nie było, bo jedno znajdowało się gdzieś w woreczkach pochowane po różnych kątach, drugie w węzełkach, pudełkach i skrzynkach, po różnych pakach a nawet na strychu. W samym tedy zakładzie trzeba było robić poszukiwania, aby zgromadzić materyał i stworzyć zbiór, który się przez zamianę i zakupno skompletował, i osobnych trzeba było na to wiadomości numizmatycznych, aby ocenić to co było, a ściągnąć to, czego nie było“.

Jak widzimy z opowieści W. Pola, zajął się energicznie Szlachtowski uporządkowaniem zbiorów rozwijając

talent organizacyjny, jakiego wielu (na nieszczęście) bibliotekarzom niedostaje.

Sprawdzanie stanu zbiorów według inwentarzy cząstkowych, wyłączanie wtórotów, porównywanie edycji rozmaitych, były to prace mozolne wymagające zajęcia całodziemnego. Jednocześnie katalogowano zbiory w ogólnym katalogu abecadłowym kartkowym, i spisywano inwentarz ogólny, którego do ówczas Biblioteka nie miała. — Pod kierunkiem Szlachtowskiego pracowało trzech praktykantów. Jednocześnie brał udział w pracy tej jako ochotnik Aleksander Batowski deputat Stanowy, właściciel znakomitej biblioteki Odnowskiej. Opisywał on rękopisma Biblioteki Ossolińskich, i opis ten pozostawił w pięćdziesięciu tomach.

Zbiory naukowe zakładu ogarniały 55,597 tomów i zeszytów. Spisanie ich pozostawił Kłodziński Szlachtowskiemu, sam zaś zajął się budową gmachu i administracją funduszków, które zagmatwanemi były przez długie ich zaniedbanie.

Niedomagając często, powierzał zawsze zastępstwo kustoszowi. W r. 1842 składał kustosz jako zastępca bibliotekarza sprawę z działalności Zakładu, i czytał rozprawę: „O stosunku przysłowiów i przypowieści do filozofii“, (Bibliot. Nauk. Zakł. 1847. T. 7, str. 93—110).

W rozprawie tej wypowiada z naciskiem, iż pisarze nasi, powinni w dziełach swoich baczyć na usposobienie narodu. — Nauka, mianowicie filozofia, nie powinna odrywać się od życia narodu. Ten взгляд miał Śniadecki, ztąd to urosła wartość jego pojęć naukowych. — Autor, przebiegając osnowę twierdzeń zawartych w przysłowiaach polskich, porównywał je z własnościami prawd filozoficznych, i tą drogą dochodził wzajemnego między nimi stosunku. — W następności czego dowiódł on, na przekór twierdzeniom w sławnej naówezas rozprawie Jana N. Kamińskiego: „O filozoficzności języka naszego (Haliczania 1830 I II), iż przysłowia zawierają w sobie twierdzenia oparte na doświadczeniu, dla użytku codziennego, ale nigdy nie zastąpią prawideł czerpanych z rozumu. Mają one wartość dziejową, ale nie na nich wyłącznie spoczywa cała mądrość filozofii narodu. — Obalając powagę, na którą powoływali się wszyscy na oślep, oświadcza się również przeciw zdaniom o potrzebie filozofii samorodnej i rodzimej,

przypisując podobne pomysły tylko niedostatecznej znajomości istotnych zasad filozofii. Tutaj stawał naprzeciw B. Trentowskiemu.

Oprócz kilku drobiazgów, wydrukował w r. 1844 rozprawę: Uwagi nad pytaniem, jakie jest zadanie sztuk pięknych, a w szczególności, czyli sztuki piękne powinny naśladować naturę? — (Bibl. Oss. T. 10, str. 158—179).

Po tych pierwszych próbach z dziedziny filozofii i estetyki, przerwał działalność literacką, przekonawszy się, że czas obrócony na opracowanie rozpraw, wypada ze szkoda zajęć służbowych, które wymagały osobliwej pilności, ze względu iż Biblioteka porządkowała się dopiero.

Spisywanie inwentarza okazało się pożyteczniejszém, niż wyzyskiwanie czasu na studia dla własnej korzyści. Praca szła szybko, z pilnością arcywzorową, lubo dla nieświadomych, na czém ona polega, była pracą Danaid. — Nie znano jej, nie ceniono; co gorsza, lekceważono ją. Do końca r. 1841 zinwentowano 13000 dzieł, zatem trzecią blisko część biblioteki.

W r. 1843 zinwentowano oddział polski ogarniający 20,418 dzieł, a 22,899 tomów i zeszytów. Następnie, przystąpiono do katalogu odsyłaczy, o który natarczywie dopominali się ci, którzy nie mają pojęcia o trudnościach podobnego zadania, i o niemożliwości przeprowadzenia go z wytkniętym kierunkiem na przyszłość. Spisywano skazowniki prac zawartych po zbiorach i czasopismach. Praca rosła i wiodła się nawet po ustąpieniu Szlachtowskiego z biblioteki, aż póki korekta słownika Lindego, nie przerwała téj roboty uciążliwej i marnującej siły pracowników.

Kłodziński budując gmach biblioteczny, Szlachtowski porządkując zbiory biblioteczne, trwalsze stawiali pamięci swjej pomniki, niż gdyby wystąpili z najuczestszymi dziełami, lecz nie troszcząc się o to, co i jak się w bibliotece dzieje. — Kładli oni podwalinę naukowości w kraju, bo ułatwiali drugim korzystanie ze źródeł naukowych. Zakład nie mógł działać, jak długo nie miał gmachu i nie miał systematycznego ustroju.

Ogół literatów galicyjskich nie rozumiał, a może i nie chciał rozumieć tego, więc podnosił krzyki, iż Zakład nie robi, że nie prócz Czasopisma nie drukuje. — Alarmowanie nieustanne, to zwyczajna była broń w kółkach

budzącego się życia literackiego. Być może, iż owa gorączka wrzawy, była naturalnem następstwem długoletniej ospałości ducha w Galicyi. — Leszek Borkowski nauczył w parafiańszczyźnie używać ironii i żółci, Bielowski jako Płaza, chłostał Zielińskiego z jego Lwowianinem, Szajnocha w Lwowianinie bezimiennie żartował sobie z Bielowskiego i jego otoczenia. Szajnochę chłostał Leszek Borkowski, Borkowskiego Nowiniarz Gazety Lwowskiej, i tak dalej szła w kółko ujadaczka, szerząc w stolicy prowincyi literaturę niwelacyjną, szczepiąc szyderstwo i negacyą, w której tonęło czyste słowo polskie i gasło jasne światło swobodnej myśli polskiej.

Taka szermierka gorących słów, rozwinęła się we Lwowie w r. 1848 w namiętne starcia polityczne pod piórem Dobrzańskiego, Dzierzkowskiego i Rozumiłowskiego, a gdy na czas pewien gazeciarsztwu zamknięto usta, sposób wojowania pod płaszczykiem wielkich zasad narodowych, przeniósł się z dziedziny polityki do literatury. — Ztąd wytworzyła się szkoła do dziś dnia nurtująca szkodliwie pisma literackie, bojująca wielkimi słowy, dobijająca się rozgłosu w imię pustych zasad, a unikająca cichéj mozolnej pracy naukowcj. Bo zaprawdę nie wielu szermierzom, zapał młodości, i przekonanie istotne, podawały niebezpieczną broń polemiki do ręki. Nie jeden, mając na myśli własny interes, podjazdowo i z ukrycia raził przeciwnika, aby go wysadzić z siodła i samemu dosiąść rumaka. Taktyka podobnych ludzi, nie wahała się nieraz zużytkować dla siebie pióra trzeciej osoby, nie wahała się rozsiewać nieprawdy po pismach zagranicznych, byleby z czasem dopiąć upragnionego celu.

Tak nieszlachetnemi zamiarami wiedzione, pojawiały się od czasu do czasu w pismach poznańskich korespondencye ze Lwowa, rzucające pioruny na nienaukowość mężów kierujących zakładem. — Nie oszczędzano przytem jednego z najzacniejszych ludzi jakich Galicya kiedykolwiek wydała, to jest Henr. księcia Lubomirskiego kuratora zakładu, i jego wyręczyciela Gwalberta Pawlikowskiego, który był następcą najgodniejszym Ossolińskiego, jako twórca znamenitj biblioteki.

Korespondencye napastnicze były zawsze bezimienne. Jedną z nich najgorętszą, najniegodziwszą, z najwydatniejszymi rysami młodzięczości pióra, podpisał autor S. w Ty-

god. Literac. 1842 N. 50). Pomiata on Kłodzińskim, Ossolińskim, Siarczyńskim, zarazem Fredrę niktzemnie becześci, a Kamińskiego wystawia jako nieuka. — Korespondencya ta wytrąciła na zawsze Fredrze pióro z ręki, zyskała jak każda gorsząca sprawa, rozgłos w kraju i podnieciła niechęć przeciw Zakładowi.

Gwalbert Pawlikowski skarcił, z słuszną pogardą w swém publicznem przemówieniu, te bezimienne praktyki zamaskowanych bojowników pióra:

„Jestto cechą (rzekł on) najmniej miłą wieku tego, nie być zadowolonym terażniejszością, pragnąć ją rozrzucić, na wątych utworach bujnej wyobraźni wznieść coś nowego, mniemanie lepszego, ganić drugich, wyszydzać gruntownych i głęboko myślących pisarzy, wciąż prawie o oświacie, wolności, a tyle jej drugim nie zostawić, aby inaczey jak oni myśleć mogli. Ich jest rzeczą burzyć najświętsze zasady, niszczyć, sztydzić, krzyceć i narzekać, a pisać i pisać“.

Słowa te Pawlikowskiego i dzisiaj stosować można, do pism ujadających się głośno między sobą o mniemane zasady, o wyznania wiary i postępowość, o życie i ruch, o ideje i twórczość, gdy w rzeczy samej idzie o... kieszeń prenumeratorów.

Za onych czasów nie gryziono się o prenumeratorów, bo tych przynajmniej w Galicyi nie znano, ale szło o posady w Zakładzie. — Rzucono anatema na Kłodzińskiego, iż buduje gmach zamiast kupować dzieła, na Szlachtowskiego, że układa katalogi a nie wydaje materyałów dziejowych, a nawet dostało i czytającemu w Zakładzie rozprawę Deszkiewiczowi miano nienarodowego, za to, że czerpie materyały z języka Zygmunrowskiego.

Tak Lubomirski jak i urzędnicy Zakładu nie wiele zważali na te wyrzekania. Raz tylko odciął się w Orędowniku Kłodziński (1844 N. 16), gromiąc potwarze rzucone na Lubomirskiego i Pawlikowskiego, jakoby strwo-niono 200,000 złpol.

Jaki był stan przykry urzędników zakładu, czerpie z dalszych notat W. Pola. „Jeżeli za kuratoryi Gw. Pawlikowskiego wszystko co się stało, mimo największych trudności, winien Zakład Pawlikowskiemu, Kłodzińskiemu i Szlachtowskiemu; jeżeli musieli głównie zwrócić usilność całą na uporządkowanie funduszów, na wykończenie

budowy i urządzenie zbiorów, na przywrócenie powagi zakładowej, to wpływ Zakładu na zewnątrz niemógł być znaczny, bo mimo iż miał zasoby, nie posiadał dostatecznych sił naukowych, i potrzeba było głównie uzyskać względy rządu, bo pod srogim interdyktem politycznym, był zakład właściwie bezwładny. Tu jednak stała w drodze inna trudność. Radykalna agitacja pracowała bardzo usilnie przeciw Zakładowi i tym, co mu przewodniczyli i starała się go zdyskredytować w opinii publicznej, tak pokatną agitacją jak artykułami, które już od owego czasu pojawiać się zaczynały. Rząd był bardzo rad temu że oskarżano Zakład, bo chciał go wiecznie trzymać w stanie oskarżenia. Wolno było pisać na Zakład i drukować oskarżenia, ale w imię Zakładu nie wolno było odpowiadać na nie, tylko tak blado i bezbarwnie, że obrony takie więcej szkodziły niż pomagały. Agitacja ta rozpoczyna we Lwowie dzieje demokratycznego ruchu, a kto znał siłę jego prądu, dziwić się nie mógł, że pan Gwalbert Pawlikowski zrzekł się zastępstwa kuratoryi.

Pomimo podkopywania powagi Zakładu, praca w Zakładzie szła swoim trybem. W r. 1843, przenoszono zbiory do gmachu bibliotecznego przerobionego z kościoła. Szlachtowski z trzema pomocnikami układał tygodniowo po tysiąc dzieł, porównywając je równie z inwentarzem i zaopatrując stałym numerem bieżącym. Kto wie, jak zwolna idą prace podobne, zrozumie łatwo, z jak gorączkowym pośpiechem krzątano się około ostatecznego ustawienia zbiorów.

Na drukowanie prac naukowych nie starczyło sił ani czasu. Zakład atoli pozyskał pracownika oddającego się wyłącznie studjom naukowym. W r. 1845, powołano Augusta Bielowskiego za skryptora biblioteki. Przyjęciu go stawiały z razu władze trudności. Zakładowi udało się przełamać je — Wincenty Pol brał udział w traktowaniu o przełamanie oporu. — Zakład pozyskał znakomitego męża, około którego skupiała się najżywotniejsza i najdzielniejsza falanga pracowników pióra. Był to dla firmy zakładu świętyn nabytek. — Oddano mu zrazu porządkowanie odsyłaaczy, następnie opisywanie rękopismów. Wszystkie inne prace biblieczne pozostały i nadal w rękę Kłodzińskiego i Szlachtowskiego.

Zdawało się, iż nabytek tak potężnego czynnika naukowości galicyjskiej, ułatwi rozwinięcie się działalności naukowej Zakładu. Praktyka atoli okazała, że i to nie pomogło. Musiano jeszcze w r. 1844 zwinąć wydawnictwo Biblioteki Ossolińskich, z powodu nagannój obojętności kraju, który zdobył się na 50 prenumeratorów.

Wznowiono *Czasopismo* dopiero przy udziale Wincen- tego Pola w r. 1847, a i to nie na długo, pomimo, iż naj- celniejsi pisarze lwowscy, złożyli się na jego uposażenie. Wydajność literacka zakładu, tak wywoływana korespon- dencyami do gazet, na nic się zdała w obec ospałości prowincyi, która ówczas tak nie chciała i nie umiała czytać, jak i dzisiaj czytać nie chce i nie umie.

Nie mogło zatem stać się zadosyć życzeniu fundatora w tym kierunku, bo nie udały się próby. Innem życzeniem jego było, aby bibliotekarz uczył stypendystów, biblio- grafii i historyi literatury polskiej. Widocznie przewidy- wał Ossoliński, iż bibliotekarstwo mogłoby się kiedyś stać wygodnem *panis merentium*, dla naukowych świeczników, gdy jemu o to szło, aby ster biblioteki był w ręku biblio- grafa, przede wszystkim bibliografa oddającego się polskiej literaturze.

Zastrzeżenie zatem wykładów literatury, było zna- mieniem troski o umiejętny przyszły kierunek zakładem, nie mogło atoli w zastosowaniu okazać się praktycznem. Stypendyści bowiem pracując dziennie trzy a co najwię- ciej cztery godzin, mając powierzaną sobie to czytelnią, to inwentaryą, nie mogli myśleć o własnem kształceniu się naukowo, tem mniej kustosz lub bibliotekarz mogli udzie- lać im lekcyj ówczas, gdy porządkowanie biblioteki wyma- gało wyczerpania wszelkich sił i wszelkich godzin dostę- pnych dla pracy.

Stypendyści źle płatni, i zajęci poza biblioteką bądź studyami w uniwersytecie, bądź zarobkiem na chleb po- wszedni, nie mogli więcej godzin poświęcać bibliotece. Wykłady zatem dla nich samych, niemogłyby odnieść poży- tku. Lecz mogło stać się pośrednio zadosyć życzeniu fun- datora, to jest: aby Zakład miał w swem gronie mężów obznajmionych z bibliografią i literaturą polską, o co głó- wnie szło Ossolińskiemu. W akademii lwowskiej wykładał język i literaturę polską Michalewicz, były redaktor Ga- zety lwowskiej. Gdy tenże w r. 1844 obłożnie zasłabł,

wydział filozoficzny powołał Szlachtowskiego na tymczasowego zastępcę. Wykładał on literaturę od 24 Listopada do końca pierwszego półrocza r. 1845, a gdy tenże Michalewicz zmarł, wydział powierzył J. Szlachtowskiemu prywatną docenturę na czas pięciolecia od Grudnia 1845 r. do roku szkolnego 185^o/₁ włącznie, w Kwietniu zaś 1846, dał mu nominacyą na zastępcę profesora. Utrzymanie téj katedry w języku polskim przez Szlachtowskiego, jest poniekąd jego zasługą, gdyż skład profesorów niemców, byłby chętnie ją zwinął jako zawadzającą w ustroju jednolitym wydziału.

W całorocznym kursie wykładał on grammatykę ze zwrotem na pobratymcze języki, w trzecim półroczu stylistykę i metrykę języka, w czwartém zaś dzieje piśmienictwa.

Celem zawiązania stosunków naukowych z innemi bibliotekami, udał się w r. 1847 w podróż naukową. Kończąc bowiem porządkowanie z grubsza biblioteki, mógł pomysleć o przygotowywaniu materyałów do wydawania pomników dziejowych. Zwiedził biblioteki w Petersburgu, Gdańsku, Elblągu, Królewcu, Poznaniu, Kurniku, Berlinie, Dreźnie, Wrocławiu i Krakowie. Z wycieczki téj zdał sprawę na publiczném doroczném zebraniu, o którym sprawozdaniu Józef Dzierzkowski zjadliwy artykuł napisał w Gazecie Lwowskiej, dopuściwszy się kłamstwa. Owocem podróży były mnogie notatki o rękopisach i rzadszych drukach, znajdujących się w tych księgozbiorach. Z przeglądu Bibliotek Gdańskich, uwiózł nierównie ciekawsze notaty, aniżeli je podał ksiądz Polkowski, który zwiedzał Gdańsk w dwadzieścia pięć lat później (Przegląd Lwowski 1871). Notaty te pozostały w rękopiśmie.

Jednem z trudniejszych zadań, było uzyskanie pozwolenia na otwarcie drukarni, opieczętowanej od czasu nie-szczęśliwych rządów Kons. Słotwińskiego. Licznym zabiegom, w których i Winc. Pol nie miał brań udziału, udało się uzyskać zezwolenie na zniesienie aresztu. Czasy Stadionowskie były epoką w dziejach Galicyi. Zaczynający się, umiał ocenić znaczne dążności. Zdjęto pieczęcie — odebrano przegrody z czcionkami; — okazało się atoli, że z drukarni użytkować nie można było. — Niewidzialna czyjaś przezorność z obawy, aby drukarnia Ossolińskich nie zgrzeszyła pomimowolnie, usunęła wszystkie litery nosowe a, e,

tudzież *é, ł, ś, Ń, i t. p.* — Wypadło przeto drukarnią z gruntu przeistoczyć. — Fundusze biblioteczne wyczerpywał budynek, postarano się zatem o zapomogę u szlacheznego męża.

Włodzimierz hr. Dzieduszycki pożyczył 6,000 zł. r. na urządzenie drukarni, na lat 6 bez procentu.

Drukarnia wskrzeszona staraniem Szlachtowskiego, jemu zawdzięcza przetrwanie chwil najgroźniejszych. On zajął się nią bez niczyjego w tem udziału, a gdy po roku 1849 zachwiało się jej istnienie, z powodu braku zapotrzebowania ze strony nakładców, on własnymi funduszami opędzał utrzymanie robotników, zadłużając się i wkładając w drukarnię wszelkie dochody z płacy kustosa i profesora. — Podejmował nakłady, byleby szła drukarnia, nie bacząc, iż nie starczy samemu na odpowiednie utrzymanie. Mając piękną płacę, żyjąc nadzwyczaj skromnie, samotnie, z potrzebami tylko nieodbicie do życia koniecznymi, nigdy nie miał pieniędzy. Pochłaniała je drukarnia Zakładu. Tę bezinteresowność jego oceniali koledzy i robotnicy. Wypowiedzieli to pracownicy drukarni w wierszu napisanym przez Augusta Bielowskiego i wydanym d. 21 Października 1849 r. Czytamy tam między innymi:

Szybko ubiegły te czasy,
Kiedy witając swobodę
Były w ruchu wszystkie prasy,
A drukarz miał swą nagrodę.

Dziś w drukarniach coraz głośniej,
Zagniewane na nas nieba,
A ten, co pokarm dla duszy
Daje, — jest często bez chleba.

Co do nas, tylkośmy winni
Cnotom i staraniom Twoim
Że dotąd w drukarni czynni,
Na swoich miejscach tu stoim.

Więc za obowiązek mamy,
Wyznać wdzięcznie — Twe zasługi.

.....

Obyś za te dla nas dary
Nie doznał w niezem zawodu,
A Bóg Twe wszystkie zamiary
Wiódł na pożytek narodu.

Uznanie to, jako wyszłe z pod pióra męża zasłużonego i mogącego ocenić zasługę, nie było prostą grzecznością, ale było uznaniem koleżeńskim współpracy rzeczywistój.

Jednocześnie występuje Szlachtowski na szerszem polu użyteczności publicznej. — Najznakomitszy z pisarzy polskich, gdy była mowa o zgonie Szlachtowskiego, wyraził się o nim: „Kiedy przed laty brząkano u nas, przechwalano się ofiarami, nasz Jan nie manifestował, nie głosił swjej ofiarności, lecz działał za wszystkich cicho i skromnie, dojeżdżał do Wiednia, siedział ministrom na karku, aż przywiózł dla nas najważniejsze dary — to jest: „Radę szkolną i język polski“.

Była to najpiękniejsza chwila w jego życiu. — Na mający się zwołać sejm, niemcy professorowie wybrali go posłem jako reprezentanta od wydziału filozoficznego (w d. 25 Kwietnia 1848). Sejm nie doszedł do skutku, atoli deputowany nie zasypiał sprawy. — „Szlachtowski (opowiada W. Pol), wziął się za jedno z całą energią charakteru swego. Liberalne ministerya w Wiedniu zdawały mu się dawać rękojmię, że w czasach tego ruchu, możnaby przynajmniej w zasadzie przeprowadzić wprowadzenie języka polskiego do szkół niższych i średnich. Wypracował tedy memoriał, poparł petycją licznemi podpisami, jeździł kilka razy do Wiednia i przywiózł w końcu reskrypt ministra Dobelhofa, w którym było w zasadzie orzeczone wprowadzenie języka polskiego i według możności zastosowanie téj zasady w szkołach. Jak wielkiej doniosłości były usiłowania Dra Szlachtowskiego, najlepiej okazuje się ztąd, że tym jednym reskryptem uważali się germanizatorowie za zgubionych, i reakcyja postępowała odtąd olbrzymim krokiem, a generał Hammerstein oświadczył w dni parę po bombardowaniu Lwowa, iż bardzo żałuje tego, że zapomniał o Bibliotece Ossolińskich podczas bombardowania, bo byłby ją spalił“.

Tyle słów W. Pola. — Jak widzimy, Szlachtowski w dniach ruchów, przechwałek i swarliwego patryotyzmu,

nie chwając się i nie krzycząc, działał najwięcej w ówczesnej epoce. — Przyjacielska pomoc Smolki wielce mu dopomogła. — Minister Dobelhoff zawiadomił go w dniu 29 września 1848, iż już wystosował polecenie do gubernatora Zaleskiego, co do wykładów szkolnych w krajowym języku, i odstąpił Szlachtowskiemu do załatwienia sprawę obsadzania posad.

Wskutek czego zawiązała się Rada szkolna, której duszą był Szlachtowski, zarządzono zmiany wywracające dawny system wadliwy, przygotowano mnogie dymisyje dla wtęgotów narzuconych. — Gimnazya i Akademia miały stanąć na nowych posadach.

Co było obmyślane w cichości, dokonane bez wrzawy i przechwałek, wywróciła za jedną razą burza wywołana przez tych, którzy przy każdej zawierusze cisną się na wierzech jak męty, stawiając siebie na świeczniku. Galwanizatorowie życia widowiskowego, gubią życie we własnym ognisku. Dla własnego rozgłosu i pożytków, druzgocą pożytki publiczne gromadzone przez szczupłą garstkę cichych pracowników. — Aby dla swoich samolubnych celów używać ogółu za narzędzie, wmawiają w ogół, iż oni są tegoż ogółu wyrazem i echem.

Wydarzenia roku 1848 były naturalnie następstwem tej niesumiennej taktyki pseudo-zbawców. — Do wydarzeń tych przyczyniło się uzyskanie Rady szkolnej i języka. Ci którzy spostrzegli, iż wypadnie im zbierać torby podróżne, dolęwali oliwy do ognia. — Za jednym zamachem zniweczono na długie lata owoc prac Szlachtowskiego. — W dniu 23 listopada 1848 otrzymuje tenże od gubernatora Zaleskiego pismo zawieszające działalność Rady szkolnej, zawiadamiające go, iż zasada równouprawnienia języków w Akademii Lwowskiej została przeprowadzoną — że jednak z powodu zburzenia Akademii i techniki, reformy na wydziale prawnym, filozoficznym i medycznym, tudzież na technice odroczone być winny.

Zawiedziony w rachubach swoich, zwrócił się na inne pole użytecznej działalności. Wierzył jeszcze, iż przyrzeczenie Dobelhoffa nie będzie odwołanem. Reorganizacya szkół i uniwersytetu wymagała książek polskich tanich i w duchu najnowszego postępu nauk. Ze zaś Galicya czytała niemieckie dzieła, a o własnych ogół nie wiedział, zdawało się więc Szlachtowskiemu, że dając naukowe i bel-

letrystyczne pisma za bezcen, wyruguje niemieczyznę tak z gimnazyów jak i z poddaszy i ze szlacheckich dworców. Zapragnął, jak powiada w doroczném przemówieniu swoim dnia 12 października (Tygodnik Polski 1848 Nr. 44), zostać Mitzlerem lub Zawadzkim dla Galicyi, i téj to myśli, przypisać wypada wskrzeszenie drukarni. — Że jednak nie chciał ryzykować funduszków na widoczne straty, umyślił nakłady pokrywać własnemi zasiłkami.

Więc w chwilach nie ucichłej zamieci, kiedy jeszcze nie opadły męty literatury paszkwilowej i sobkowskiej, odzywa się on do publiki, sądząc naiwnie, iż ta go zrozumie:

„Wobec zmian politycznych, uprawa umysłowa winna iść swoim torem. Wszelkie dzisiejsze zmiany, są po większej części od nas wprost niezależne, a właściwie tylko praca umysłowa, dojrzewanie wewnętrzne, głównym jest naszym obowiązkiem, główną naszą zasługą być może“.

Zaiste tylko jakiś filozof z poddasza mógł tak przemawiać w mieście żyjącem na ulicy dla ulicy, wymyślającym przechadzki gęsie i pochodniowe, muzyki kocie i drukowane karykatury. Jemu śniło się o nauce i nauczaniu, więc niósł ostatni grosz, zakupywał papier, rękopisma, nakładał i drukował na to tylko, aby to spoczęło gdzieś w lamusie, nakrywając się pyłem i pleśnią.

Gromadzi on materyał naukowy dla szkół. Drukuje fizykę Urbańskiego, Dzieje Polski Lelewela, Stobieckiego zasady gospodarstwa narodowego, skłania St. Pilata do napisania Stylistyki. Zamawia Historią naturalną, Geografią, Historią powszechną. Sam układa i drukuje Książkę do czytania dla dzieci — i pierwszy wyprowadza na świat prace dziejowe Szajnochy, nakładając na druk Odrodzenia się Polski. Znać tu zabiegliwość na przyszłość, aby przy organizacyi szkół nie zarzucano, iż nie mamy we własnym języku, odpowiednich książek gimnazyalnych i uniwersyteckich.

Taniość dzieł starał się przeprowadzić na wielką skalę. Niegdyś marzył Gwalbert Pawlikowski o tanich drukach, ale tylko marzył. Być może, iż nieustanne wyścieszki przeciw Zakładowi, którym opiekował się zastępując Xcia Lubomirskiego, odwiody go od urzeczywistnienia zamiaru.

Próbował tanich druków Kajetan Jabłoński. Tanie druki szerzył Jan Dobrzański w r. 1847, ale to były tylko odbitki powieści z Dziennika mąd.

Dawał obszerną powieść Dzierzkowskiego. Salon i ulica za 1 złpol. 10 grpoł., prawie za darmo; nakłady atoli Dobrzańskiego nie sięgały po za sferę odbitek powieści.

Szlachtowski rozwinął pomysł na większą skalę. Płacił za prace, i drukował zarówno belletrystykę, jako i poważne, naukowe, nie opłacające się utwory. Książka do czytania mająca 20 arkuszy, kosztowała 1 złp. 10 gr. to jest arkusz po 2 grp. — Lelewela Dzieje Polski arkuszy 16 złp. 2 gr. 10. Kraszewskiego Ostrożnie z Ogniem 1849, arkuszy 9, złp. 2 gr. 20. Karpińskiego Pamiętniki 1849, arkuszy 22 złp. 3 gr. 15. Kamińskiego: Przypadek na Opuście, arkuszy 1½, z 12 drzeworytami grpoł. 20. Szajnochy Jan III 1848 (wiersz) arkuszy 2 grp. 20.

Rozpoczął nakład Listów z Podróży Wino. Pola; druk powieści Dzierzkowskiego, Samuel Zborowski; nabył Opowiadania Soplicy, aby je w tanim wydaniu rozpowszechnić; — słowem, krzątał się, byle utrzymać drukarnię, byle tylko krajowi ułatwić nabywanie tanio dzieł użytecznych. — Ułatwienie tém było dostępnejsze, że prunumerującym się na wydawnictwo wszystkich tych dzieł, obniżał cenę o 10 procent, zaś biorącym pięć egzemplarzy, dawał szósty bezpłatnie.

Wykołatawszy otwarcie drukarni, i zajmwszy prasy nakładami taniami, nie zaniedbał jeszcze jednego motora oświaty publicznej. Pospólnie z Kłodzińskim pomyślał o Czytelni. — Otwarcie téjże napotykało początkowo na nieprzełamane trudności. Wyznaczono z ramienia władz Bibliotekarza akademickiego Strońskiego, aby przejrzał całą Bibliotekę Ossolińskich, i aby wyłączył z niej to wszystko, co nie powinno wydawanem być do Czytelni. — Przejrzenie 60,000 woluminów, a 42,000 dzieł, to Syzyfowa praca. Nie każde dzieło dało się ocenić z inwentarza; musiał więc Szlachtowski ruszać z półek foliały na nowo i posyłać je w pakach do oceniania. — Nie można było uniknąć przy tém niejakiego zamętu, przez przestawianie dzieł, a czynność kustosza krępowaną była bezużyteczną przymusową robotą. Szczęściem, że rok następny uwolnił Zakład od téj opiekuńczej kontroli. Otwarto czytelnię bezprzeszkodnie.

Urządzenie biblioteki, czytelnicy i drukarni, dozwoliło kustoszowi swobodniej oddać się zajęciom naukowym. Zawiąawszy stosunki z Pertzem, umyślił wcielić w poczet pomnikowej publikacji: „*Monumenta Germaniae*“, najdawniejsze dziejowe pomniki polskie. W Grudniu 1849 roku ukończył opracowanie Kroniki Galla. Wyszła ona w T. IX r. 1851 (od str. 418—478) pod ogólnym napisem: „*Chronicae Polonorum*“. Był to początek seryi — skończyło się na początku; zawiść wytrąciła mu pióro z ręki.

Projektował pospólnie z Bielowskim, wydawanie w drukarni Ossolińskich *Monumentów historycznych polskich*. Wydał w r. 1850 na próbę okładkę i półarkusza, i na tém się ówczas skończyło.

Szlachtowskiemu nie zbywało na talencie i na wytrwałości, niedostawało mu szczęścia. Dziesięcioletnie trudy jego biblioteczne, pozostawały w ukryciu. Nie rozumiano ich, nie wiedziano o nich, wiedziano tylko, że przez te lat dziesięć żadnego dzieła pomnikowego nie ogłosił. Jakże tu budować pomniki ówczas, gdy znosiło się kamienie pod cudze gmachy.

Może i pojmowano tę niemożliwość, lecz tu szło o pozory. Zatem mnożyły się podjazdowe bezimienne potwarze w łamach Czasu, Gazety Lwowskiej i pism niemieckich. — Zaczny, spracowany Kłodziński był potępiony, bo „nie złożył wyznania wiary naukowo-politycznego“ (Dodatek do Czasu 1850 Nr. 3); był bardziej potępionym iż, zadłużając się i pożyczając na osobisty kredyt, wydał z własnego mienia 9,000 złr. na budowę gmachu, dając to Zakładowi jako pożyczkę bezprocentową.

Znużyły go ta szarpanina nieustanna, to wypaczanie ofiar najszlachetniejszych. Gdy więc ukończył budowę gmachu, złożył dyrektorstwo Zakładu w ręce kustosa Szlachtowskiego, jako tymczasowego zastępcy. Kustosz objął kierunek naukowy, odmówiwszy przyjęcia Administracyi majątku, (na co zgodził się kurator literacki Henryk Lubomirski) i nie przyjmując płacy bibliotekarskiej.

Zastępcę dyrektora opadnięto ze wszęch stron bezimieniami potwarzami, nie dano mu nawet sposobności rozpatrzenia się na nowém stanowisku. Pragnął on zaspokoić nieustanne dopominania się o wydawanie czasopisma, mimo, iż doświadczenie nauczyło go, iż Galicyi wydajność umysłowa, umieć zdobywać się na pięćdziesięciu prenumeratorów. Roz-

począł z dniem 1 kwietnia 1850 r. wydawać Pamiętnik literacki, tygodnik naukowy — doprowadził go zaledwie do 39 Nru, tracąc w nim i pieniądź i czas i pracę umysłową, bo nie było komu trzymać pismo naukowe, nie było też komu dostarczać rozpraw naukowych. Przeważnie zapełnił pismo własnymi utworami a po części i Zygmunta Kaczkowskiego. Nieco go podparli Al. Batowski, Urbański, Jan Stupnicki, Leszek Borkowski i Ant. Sozański ¹⁾.

Naprzeciw piśmie temu wystąpiło inne pod redakcją Karola Widmanna, p. t.: Tygodnik lwowski. — Nie tyle szło tu o literackie zasługi, lecz raczej o ulokowanie materiału bojowego, z którym możnaby rozpocząć formalną kampanię przeciw Zakładowi. Z razu bezimienne natarcia, wybuchy w utarczki w samowtór i w samotrzeć, na wzór włoskiego disfida.

Pierwszy skruszył kopie i od razu je potrzaskał Józef Jakubowicz (Tygodn. lwowsk. 1850 Nr. 11), którego posądzić można było o wszystko, tylko nie o wiadomości bibliotekarskie i bibliograficzne²⁾. — Lubo od lat dziesięciu nie postąpiła noga jego w Bibliotece Ossolińskich, wypowiedział z zacisza wiejskiego szczegóły zakulisowe, poinformowany widocznie (choć umyślnie złośliwie poinformowany) przez interesowaną osobę — jak wyraża się Szlachtowski w swiej odpowiedzi, „był on narzędziem wybranem przez kogoś, co nie śmiejąc sam wystąpić informuje go, a do tego złe“.

Zarzuty czynione, były naciągane niezręcznie i dowodzące, iż Jakubowicz ani miał pojęcia o pracach bibliotekarskich. Cóż niedorzeczniejszego, jak gromienie za to, iż wypożyczano dzieła do domu, lub że nie wszystkie zbiory są

¹⁾ Jedyna praca z podpisem Szlachtowskiego jest wybornie wypracowana: dziesięć lat panowania Stefana Batorego. — Inne podpisane, widocznie on pisał jakoto: Królewiec, Gdańsk, Elbląg i Toruń, wspomnienie z podróży z r. 1848. — Religia i Filozofia. — Język polski w stosunku do umysłowego życia naszego narodu. — O potrzebie zakładania bibliotek prywatnych. — Komedya polska w 19 wieku i t. d.

²⁾ Jest autorem broszury: Rzecz o emeryturze officialistów prywatnych. Lwów 1862. Pisał: Spór o łakę, powieść (w Dzienniku liter. 1852) — i wiersze: Wieczór w kuźni. Powieść starego myśliwca (w Nowinach 1854 Nr. 7 i 29).

jeszcze dostatecznie opisane. Odpierając to Szlachtowski, wyłożył trafnie, iż niemożliwym jest tak rychło choćby w lat dziesięć uporządkować zbiór 60,000 tomów, a na dowód powolności i trudności prac, przytoczył: iż skryptor August Bielowski, któremu jedynie tylko rękopisma do skatalogowania powierzono, i w zarządzie Biblioteki żadnego nie brał udziału, jednakowoż przez lat cztery, spisał niespełna sto rękopismów. — Nikt atoli nie wystąpił przeciw skryptorowi, gdy kustosza i bibliotekarza spotykają zarzuty, za zinventowanie 60,000 tomów, za rozliczne uciążliwe prace zarządowe, jakoteż za kłopoty około postawienia gmachu bibliotecznego.

Zarzuty Jakubowicza powtórzył — gwałtowniej i namiętniej Karol Szajnocha. Wystąpienie Szajnochy było dla zaczepionego tem boleśniczsze, iż Szajnocha jemu zawdzięczał ułatwienie studyów pierwotnych naukowych, i nakład pierwszej pracy swój dziejowej.

Szajnocha był to mąż szlachetnych uczuć, i prawego charakteru, ale nie zawsze umiał miarkować porywy fantazy i namiętności. I najzimniejszy błędzą chwilowo zaślepieniem. Zaeny pracownik zbłądził tym razem, nie rozpatrzywszy się w stosunkach. Wyłajał więc Szlachtowskiego za to, że miał doktorat, że miał świadectwa ministeryalne, że uczył literatury polskiej w uniwersytecie. Wszystkie te zarzuty nie odnosiły się do przedmiotu. O ile zaś dotknął sprawy bibliotecznój, popełniał pomyłki, co mu J. Szlachtowski szczegółowo i niezbitcie udowodnił ¹⁾.

Szajnocha bronił złej sprawy, ale z zaślepieniem. Pisał gwałtownie, bo to już taka natura jego była, gdy mu szło o postawienie na swoim. Młody i nie doświadczony, nie pojmował on jasno, na czym polega służba biblieczna. Pojmował on ją tylko jako chleb zasłużonych, jako nagrodę za wszelkie zasługi literackie, a nie jako obowiązek pracy. Nie rozumiał on jeszcze, że takie nagradzania, obracają się na szkodę pracy bibliotekarskiej, pracy wymagającej ducha administracyjnego i miłości rzeczy biblio-

¹⁾ Szajnocha K.: Dr J. Szlachtowski i jego artykuły o Zakładzie Ossolińskich (w Tygod. lwows. 1850 N. 22). Tegoż: Oświadczenie w 8ce I. K. Szlachtowski: List otwarty do Red. Tyg. Lwows., jako odpowiedź na artykuł P. Szajnochy umieszczony w N. 22 Tyg. lwows. — Lwów 1850 w 8ce str. 11.

tecznej, interesowania się nieustannego i wytrwałego, codziennego i całodziennego, całym organizmem bibliotecznym. — Kiedy w lat kilka później dostał się Szajnocha do tejże biblioteki, i praktycznie przyłożył rękę do robót, kiedy spotykałem go w czytelni mozolącego się nad korektą słownika Lindego, ówczas rozwijał on zupełnie odmienne pojęcia, i żałował zapewne nagannęj popędlivosti.

Napastnicy nie dotknęli istotnego wątku kabały. Dopiero pojawiła się w Gazecie polskiej Poznańskiej korespondencya, odtłoczona osobno (O zakładzie Ossolińskich w 8ce str. 28), w której wyraźnie wypowiedziano że idzie tu o to, aby Szlachtowski nie był następcą Kłodzińskiego.

Kłodziński wystąpił w obronie swęj cześci i swego następcy udowadniając, iż niema w Galicyi zdolniejszego na bibliotekarza od Szlachtowskiego, i oświadczając, iż w sporze tym zajadłym, nie idzie o dobro Zakładu, lecz o zdobycie posady — Ote-toi, je m'y placeraï, fora ze dwora, bo na nas pora; oto istotny cel tęg walki upozorowanej dobrem publicznem. Godło Ote-toi ubodło przeciwników. Podstawiony nowy szermierz *J. Waligórski* świeżo z emigracyi osiadły w Galicyi, wypiera się tego godła w broszurze: *Zakład naukowy i nienaukowi ludzie.* (Lwów, 1850 w 8ce str. 34), a ponawiając arcyniedorzeczne, przez trzecią osobę podyktowane mu zbrodnie kierowników Zakładem, jak np. że katalogu odsyłaczy nie ukończono, lub że dzieł nie ułożono w bibliotece na półkach materyami, wypowiada w zakończeniu, iż mu idzie o to, że kustoszowi biorącemu płacę 700 reńskich i professorską 800 reńskich, oddano zastępstwo bibliotekarza a nie skryptorowi biorącemu 390 złr. — Szczególna to była gorliwość o kustosa, gdy kustosz sam nie występował z rozszerezeniami, i zachowywał przyjacielską zażyłość z zastępcą dyrektora.

Kłodziński uczynił, co czynić należało. Za Szlachtowskim przemawiało starszeństwo służby i to, że on był jedynym dotychczasowym organizatorem biblioteki, i że on niemal jedyny był w Galicyi, który rozumiał bibliotekarstwo i bibliografię, co jest nieodbitie potrzebnem, obok talentu administracyjnego, którego dostateczne złożył dowody.

Że napastnikom nie o dobro Zakładu szło, ale o osoby, widno z tego, iż przedstawiano za zdolniejszych od Szlachtowskiego, ludzi bez istotnych na posadę bibliotekarską usposobień, jak np. poetę Goszczyńskiego, a przemilczano o mężach, którzy niemal zrodzili się do pracy bibliotecznej, jak Pauli lub Przyłęcki ¹⁾.

Jak Kłodzińskiego tak i Szlachtowskiego złamała zawziętość zawiści. — Umarł też najzacniejszy z mężów Henryk książę Lubomirski, który nie dawał ucha potwarzom. Przybył nowy kurator literacki. Stosunki wzajemnego zaufania między bibliotekarzem a kuratorem, były za świeże, a mniemana opinia za zbyt natarczywa. Widząc Szlachtowski, iż łatwo zapomniano o tém, co on przez lat dziesięć uczynił dla Zakładu, wniósł rezygnacyą z urzędu w dniu 4 Grudnia 1850, a w dniu 7 stycznia 1851, złożył inwentarze i oddał zbiory do rąk Augusta Bielowskiego.

Tak więc mąż, który mógł w służbie rządowej świętej doczekać się karyery i pożytecznym być krajowi, dla prywaty ustąpił z służby prywatnej i stracił podstawę swęj przyszłości. Pospolity to los tych, którzy nie lubią schlebiać mniemanęj opinii i którzy na łasce pańskiej budują nadzieje. — Łaska pańska na pstrym koniu jeździ, — to pewnik niewątpliwy.

Z ustąpieniem Szlachtowskiego, zmieniła się postać Zakładu. Warunek co do majoratu Xżąt Lubomirskich nie był dopełniony, zatem w miejsce kuratora Jerzego Xcia Lubomirskiego syna Henryka, rząd zamianował tymczasowo Kuratorem Maur. Dzieduszyckiego, radcę namiestnictwa. Bibliotekarzem został Bielowski, a w jego miejsce dostał się Karol Szajnocha.

Pozbył się Zakład głównego filaru w zamian za świętne ornamenta. — Czyli przez to zmieniła się postać naukowa Zakładu? Bynajmniej — Szlachtowski wydawał czasopismo; po nim, przez lat trzynaście, nikt się nie zabrał do tego. — Wołano o katalogi, ani jeden odmienny później nie przybył, dawne okazały się dobrami. Numizmatyki pracowicie opisanę przez Szlachtowskiego, również nie przeistaczano, dopełniano ją tylko. — Stypendystom nie wykładano bibliografii i literatury, choć o to za Szlachtowskiego czasów podnoszono wrzawę. Nawet owe natar-

¹⁾ Waligórski str. 13.

czywie pożądane, a już za Szlachtowskiego zaczęte katalogi odsyłaczy, przerwał Szajnocha, widząc, iż wymagają więcej pracy niż na to wystarczają siły.

Wreście, ustawienie książek nie według materyj — pozostawiono i nadal na półkach, pomimo, iż to miało być jedną z głównych zbrodni poprzednika. — Zgoła „wszystko tak jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło.“ Aby jednak krzykliwych opinij zamknąć gardziele, rozpoczęto przedruk słownika Lindego.

Finansowo odżył Zakład. Dzeduszycki ściągnął zaległości i pospłacał długi. Przechwalał się z tego. Było to atoli naturalnem następstwem rzeczy. Gmach już stanął, nie wymagał więc wydatków na budowę, można przeto było oszczędzać. Radzca namiestnictwa i kurator zarazem, działając w tym dwoistym charakterze i podparty znaną energią namiestnika, który zrobił go kuratorem, przeprowadził snadno, szybko i skutecznie w drodze administracyjnej te exekucyje, o które się nadaremnie przez lat wiele u opiesziałych władz dopominał Kłodziński.

Jeden z interesowanych oskarżycieli powoływał Kłodzińskiego i Szlachtowskiego „przed sąd historyi“. Historia Zakładu zatrzyma się kiedyś przeważnie na tych dwóch postaciach najwybitniejszych, na jednym, jako na fundatorze gmachu, na drugim jako twórcy porządku bibliotecznego, a nie jednego z następców utopi w fali zapomnienia. J. Szlachtowski ustąpił. Za tem poszło oddalenie go z posady profesora przy akademii lwowskiej (w d. 30 Marca 1852), niezapomniano mu bowiem jego konferencyi z ministrem Dobelhoffem i wvjednanego uprawnienia językowego.

Ustąpił przed zawistnemi. „Ustąpił (opowiada W. Pol) nie w skutek prześladowania rządu, lecz w skutek intryg niższych urzędników zakładu“. — Od tego czasu upłynęła lat dwudziestka. — Żyjący tylko nauką i dla nauki, a zmuszony ustąpić z naukowego pola, mógł mieć nie mały żal do braci po piórze, ale nigdy żalu tego nie objawiał. Przebaczył im zmarnowane nadzieje, rozwiane marzenia, i powtarzał to nieraz, że im zapomniał urazy, bo wie, iż żałują wyrządzonej mu krzywdy.

Co przebył, co przeboleł, pojmie ten tylko, kto tak jak on pragnał gorąco nieść światło i jak on światło odrzucić musiał od siebie. Fatalizm ciążył nad nim, fatalizm,

popchnął go do obłędu chwilowego. — Wyrwanie go nagle ze sfery naukowej, spowodowało, iż zwątpił o sobie, spowodowało nagły upadek jego. Nie potępiac godzi się go, ale ubolewać nad zgotowanym mu przez braci po piórze losem. Dosługiwał się wziętości, dosłużył się potwarzy; z gorącą wiarą pracował dla publicznego dobra, a prywata gromiła go pod pozorem tegoż dobra publicznego. Dziesięć najpiękniejszych lat życia oddanych dla dobra biblioteki z zaparciem sławy autorskiej — sponiewierała zawiść chlebowa. — Odtrącony ustąpić musiał. Ustąpił i opuścił ręce. Raz tylko w r. 1857 była chwila, w której zanościło się na powrót do prac naukowych. Pewien hrabia galicyjski zapragnął mieć bibliotekarza. Szukał go tu i tam, ze świecą Dyogenesa. Zapytany Lelewel odpowiedział: iż jeszcze nigdy galicyjskim hrabiom nie usługiwał; Wagilewicz objawił w pogadance swe zdanie o Ś. Stanisławie, iż był zbrodniarzem stanu, więc za śmiałość wyrażenia, nie otrzymał miejsca; Szlachtowski nie mógł go przyjąć, bo płacę proponowano nie wiele większą jak płaca kamerdynera. Zgoła, rozbiły się rokowania o bibliotekarstwo. Poznałem go w dniu owych propozycyj. Spotkałem go później w lat kilkanaście. — Chłodny, spokojny, zamknięty w sobie, unikający społeczeństwa, życzliwie przyjął podaną sobie rękę. — Zrozumieliśmy się łatwo. Zdawało się że odżył, gdy mu się nastreczyła sposobność zetknięcia z mężami naukowymi których Kraków ma poczet nie mały, tak miejscowych jak przejezdnych.

Zadziwiła mnie jego obszerna wiedza: filozofia, estetyka, historia powszechna i polska, języki klasyczne znanymi mu były najgruntowniej. Widno, że lata milezenia były latami nieustannej pracy umysłowej, pomimo, że nie występował na jaw z pracami.

Z dawnymi przyjaciółmi nie przerwał stosunku. August Bielowski umiał ocenić przymioty starego przyjaciela i kolegi. Nie jednokrotnie w wydawnictwie Monumentów, zgłaszał się do niego o pomoc naukową. Jemu też powierzył opracowanie kroniki *Jana z Czarnkowa*, która ukaże się w drugim tomie Monumentów.

Nowe stosunki nawiązane w Krakowie skłoniły go do udziału w Komissyi bibliograficznej i historycznej. W bibliograficznej, odstąpiłem mu do opracowania zebrany materyał do Bibliografii polskiej XV—XVI stulecia.

Zabrał się do tego z zapałem młodzieńczym. Porównywał spisy ze źródłami drukowanymi, przejrzał całą bibliotekę Sieniawską, część biblioteki Jagiellońskiej i niektóre klasztorne. Praca ta zabrała rok czasu. Na polu historycznym opracował panowanie króla Ludwika węgierskiego, następnie od roku układał w Komisji historycznej pospólnie z Drem Piekosińskim rejestra do dyplomaturyuszów. Rozpoczął od ułożenia rejestrów do Dogiela. Wreszcie pracował pospólnie z J. Szujskim około dyplomaturyusza kapituły krakowskiej,

Prace te przerwała po części choroba oczu wynikła ze zbytznego ich natężenia forsowną pracą, częścią to, iż uproszony przezemnie, zastępował od kwietnia r. z. przez pół roku chorego kustosa biblioteki Jagiellońskiej Fran. Matejkę. Tutaj ponownie z powodu służby bibliotekarskiej przerwać wypadło pracę naukową.

W Bibliotece Jagiellońskiej pozostawił trwałą pamiątkę wzorowej pracy i znakomitego znanstwa, ucierpiała na tem atoli Bibliografia XV—XVI stulecia, bo nie zdołał jęj dokończyć.

Przesiadywanie dniem i nocą nad kroniką *Jana z Czarnkowa*, rozwinęło w nim długotrwałą chorobę objawiającą się kaszlem i osłabienie wzroku. Lekarz wzbronił zajęć nużących wzrok. Zakazu trudno było słuchać, gdy wiedział, że mu nie długo starczy i światła i życia. Fizycznie słabł, obawa utraty wzroku niepokoiła go, posmutniał, markotny był i nieswój jakiś.

Wycieczka naukowa do biblioteki w Bielanach, mogła być powodem zaziębienia się, lecz mogły i moralne wpływy wywołać tyfus. — Po dniach czternastu cierpień zakończył żywot pracowity, a zarazem żywot zawodów udręczeń i fatalizmu.

Pokój pamięci jego! — Lepszą on tam znajdzie dolę, a niżeli w służbie u swoich. — Dusza jego, pragnąc działać z pożytkiem dla kraju, przeszła przez skalę przygód najboleśniejszych. Nie jeden winę zwichniętego kierunku, przypisze jemu samemu, — ja przypiszę zawiązek winy tym, do których on z koleżeńską życzliwością wyciągał rękę przyjacielską.

R Z E C Z

O OBCHODACH WESELNYCH LUDU

w Polsce i na Rusi

ze szczegółowym zwrotem do dzieła:

Obchody weselne, przez Pruskiego (Zygmunta Glogiera),
czytana na posiedzeniu Towarzystwa naukowego krakowskiego

przez

OSKARA KOLBERGA.

Obchody weselne u ludów słowiańskich, są najcelniejszém i najgłośniejszém ich rodzinnego żywota świętem, wielce urozmaiconém całym szeregiem odwiecznych obrzędów i zabaw. Z tego téż względu dla uczonego badacza jaknajobfitszy przedstawiają one materiał do wszechstronnych studyów, do dociekań i porównań, dających przyszłym etnografom i historykom możność dokładniejszego rozpatrzenia całego obyczaju i rozświecenia odległej i dość jeszcze ciemnej tych ludów przeszłości.

Lud rolniczy, oddany przez rok cały uciążliwej pracy w polu i kłopotliwym zabiegom gospodarczym w domu, z upragnieniem chwytą się téj zrzadka do roku mu się nadarzającej chwili uroczystego wystąpienia, aby ją, podobnie jak to czynili starzy jego ojcowie, przepędzić z uczciwością wprawdzie (co do obrzędów), lecz téż i z całą swobodą i trosk powszednich zapomnieniem. Wesele bowiem, to zakład nowój rodziny z nowemi obowiązkami; zbyt uroczystą stanowi ono w życiu włościanina epokę, by jój godnie nie uczcić; zbyt znów ułudném błyszczy (lubo w nader ograniczonej sferze) kwiecieniem nadziei i obietnicy przyszłego szczęścia dwojga miłujących się ludzi, by nie rozradować się przy niej z pełnej duszy, i uczestników do wspólnej a hałaśliwej nie pociągnąć radości. A że

zabawa jest wszechstronnie urozmaiconą, więc też i bez odrobiny wylanych łez się nie obejdzie, boć przecie pannie-młodej bez żalu i smutku domu rodzicielskiego opuścić nie podobna; ale łzy te rosząc rumiane i pulchne jej lica, wyglądają jak krótki, majowy deszczyk, przez którego czyste kropelki, wyraźnie przebija jasny, słoneczny przyszłego szczęścia promień. Taką bywa zawsze nadzieja, zanim następczyni jej, rzeczywistość nie zetrze barw jej malowanych, nie ściśnie szronem zielono rozkwitających jej pączków.

Uroczystości przy weselu zachowywane, tworzą pewien szereg obrzędów i obrazów, wykazujących wzajemny między sobą związek, i składających się na udratyzowanie tyle poetycznej całości.

Gdy przed laty kilkudziesięciu obudził się w piśmiennictwie naszym ruch skierowany ku badaniu rzeczy swojskich, gdy zbierać poczęto pieśni, przysłowia, klechdy, jako drogie ludowej wyobraźni skarby, nie zapomniano też o zwyczajach i obrzędach weselnych. Wszakże, albo pobieżnie tylko zajmowano się opisywaniem tych uroczystości, albo też dając same jedynie pieśni weselne, nie opisywano zgoła szczegółowych obrzędów, znaczenie ich bliższe tłumaczących. Głównie bowiem chodziło wówczas literatom o ukazanie czytelnikom oryginalnej ludu fantazyi i piękności poetycznych w pieśniach jego zawartych. Wyjątek tu stanowi opis nader szczegółowy zwyczajów weselnych, na początku bieżącego stulecia w powiecie Borysowskim obserwowanych, ogłoszony w *Tygodniku Wileńskim* r. 1819. Później dopiero po czasopismach i dziełach specjalnych, podjęte głównie pracami Gołębiowskiego i Wójcickiego, mnożyć się poczęły mniej lub więcej obszerne i dokładne opisy zwyczajów weselnych, z różnych pobierane okolic, a wzrastająca z każdym niemal rokiem opisów tych liczba, każe przypuszczać, że kopalnia ta od wyczerpania jest jeszcze daleką. Rozpatrując się w posiadanych już zbiorach i opisach nabyto przekonania, że w obrzędach i zwyczajach równie jak w pieśniach i klehdach, przechowuje się nie jeden wielce starożytny szczegół życia domowego przodków, nie jeden ciekawy zabytek ich obyczaju, prawodawstwa, wyobrażeń i wiary, czekający wyjaśnienia na drodze naukowej. To też i pod tym względem nie zaniedbano usiłować, by odchylić ciężko zapyloną wiekami spraw tych kotarę i choć w części dojrzeć tajemnic, jakie ona osłania. Do najczynniejszych i najlepiej naukowo przygotowanych należeli Marcinkowski (Antoni Nowosielski), Eustachy i ś. p. Konstanty hr. Tyszkiewiczowie i Ludwik z Pokiewa (Jucewicz) ¹⁾.

¹⁾ Ob. Opisanie powiatu Borysowskiego p. Tyszkiewicza — Litwa Ludwika z Pokiewa.

Naturalnym rzeczą biegiem, wiadomości podane w rozproszeniu poprowadzić musiały (dla udogodnienia przyszłych badań) do zebrania ich w jedną całość, do uporządkowania, a następnie do zestawienia i porównania z sobą wersyj i wariantów; po czém pójdzie bliższy każdego szczegółu rozbiór, pogląd ogólny, porównanie z ościennymi i dalszemi, szukanie źródeł, rozumowanie i wnioski. Praca p. Pruskiego zmierza do tego celu. Mówi on, i to słusznie, że mimo nawału materyałów jakie posiadamy, brak nam książki przedstawiającej porównawczo i obrazowo całość weselnych po wszęej Polsce obrzędów.

Daléj powiada autor (strona 4) że: „Wychowany i wyrosły wśród sioła, uchochawszy obyczaje ludu, wśród którego wzrosłem, żyjąc wśród niego a po oddaleniu wracając zawsze do niego, patrzyłem coraz nowszém okiem na jego obyczaje i wdrażałem się w życie i wyobrażenia jego, porównywałem je i badałem w różnych okolicach. — Skutkiem tego zamierzyłem spisać to, com widział, wraz z memi spostrzeżeniami i wyjaśnieniem wielu rzeczy. Wziąwszy się do pracy, przekonałem się, że obrzędy weselne w kilku tylko okolicach kraju można traktować jedynie w sposobie opisu.“ (Dla czego w kilku tylko? w jakich okolicach? i gdzie opisy podobne uważałyby autor za zbyteczne?). „Jeżeli by zaś przychodziło do zastanowienia się nad znaczeniem i symbolami obrzędów, tam jest niepodobieństwem zamknąć się w ciasnych granicach jednej prowincyi a nawet kilku. Gdy na porównaniu rzeczy jednej zależy wszystko, ztąd wypadło mi rozpatrzyć się na całej przestrzeni Polski, gdzie, jak przekonamy się, obrzędy, zwyczaje, pieśni i charakter ich narodowy — stanowią odrębną obyczajową i historyczną całość“.

Nie słuszniejszego nad twierdzenie autora, co do pierwszego w zdaniu tém założenia. Zobaczmy jednak, czy biorąc się do dzieła, był on w możności wywiązać się w całej obszerności z położonego w ten sposób przez siebie zadania. Sam bowiem zeznaje, że nie był w stanie wyczerpać swego przedmiotu i czytelnik niech nie mniema, aby znalazł w jego dziele wszystkie drobne szczegóły obrzędów weselnych z szerokiego kraju zebrane. Nie mając bynajmniej prawa żądać od autora, pracy przedmiot ten wyczerpującej, powiemy tylko, że czuć się w niej daje brak wielu nawet ważniejszych (wedle naszego mniemania) szczegółów i odmian, spowodowany, jak to zaraz wykazemy, niedostatecznością materyałów, z których korzystał.

Polska bowiem, jak każdy kraj, składała się z cząstek, z prowincyi. Nim się zatém skutecznie zdołamy rozpatrzyć po całym jéj obszarze, wypada nam z konieczności zamknąć się poprzednio w ciasnym obrębie nie tylko jednej, ale każdéj z osobna prowincyi i ta-

kową obejrzyć po szczególe, nie pomijając i drobniejszych cech — a tém mniej cech większego rozmiaru i znaczenia. Im mniejszą będzie przestrzeń naszych poszukiwań (n. p. powiatami), tém większą urośnie massa pozyskanych przez nas szczegółów, i tém łatwiej — dokładniej i bezpieczniej dadzą się owe zbite w jedno wiadomości obejrzyć i opracować. Zbiorowe dopiero a systematyczne części tak opracowanych zestawienie i porównanie, ukáže całość bez skazy i doprowadzić będzie mogło do wniosków ogółowych i do pożądanego badań wypadku.

W cóż się atoli obróci pewna naszych porównań liczba i czy dojrzały zupełnie zdoła ona wydać owoc, jeżeli rozpatrując się w posiadanych zbiorach (lubo one obejmowałyby mogły, jak mówi autor, kilkadziesiąt tomów), dostrzeżemy niby czarne plamy, liczne szczyrby w opisach wielu pojedynczych ziem, których monografij dotąd nie skreślono, które zatem do porównań materiału żadnego nie dostarczyły. Oczywiście, wówczas porównania nasze, na danych tylko jakie mamy w rękę oparte, zamiast przedstawić szereg ogniwi w zgodną wiążących się całość, przeskakiwać nieraz muszą w nader odległe od siebie przestrzenia miejsca, dla braku materiałów ze stron pośrednich i nie zawsze przystając do siebie, nie objaśnią dostatecznie (mimo gołosłownych naszych zapewnień) przedmiotu, o który potracąły. — Godzi się bowiem przypuszczać, że sumienny badacz, nie zapełni napotykaných przerw domysłami i nie podstawi hipotez swych w miejsce nie trudnej zresztą do wyśledzenia rzeczywistości. Pod tym ostatnim względem żadnego zarzutu p. Pruskiemu zrobić nie można; szanuje on prawdę, nie krzywi tekstu pieśni, której za siebie przemawiać każe, nie przekształca obrzędu, który opisuje. — Zdania i porównania jego, zwykle szczęśliwie dobierane, objaśniają się wzajem i zgodnie układają tak, że tłumaczenie ich ani sztucznem ani naciąganiem być się nie zdaje. Ale są i takie, których jednolitości i tożsamości autor dowieść, sili się napróżno: zestawione z sobą miasto pożądanego podobieństwa, wbrew twierdzeniom jego, rażące owszem dla etnografa ukazują między sobą różnice.

W innych znów, przy zasadzie czyli na trzonie pozornie jednym, ukazuje się rozrost szczegółów, niby gałęzi, w tak odmiennych od siebie kształtach, że mimowolnie nasuwa się wątpliwość, ażali gałęzie te istotnie z jednego i tegoż samego wyrosły pnia, jak to autor mieć chce. Są nadto wyrażenia i orzeczenia, których autor nader oględny, jako niedostatecznie jeszcze wyjaśnionych, wcale nie dotyka ani wyjaśnić usiłuje; jak n. p. jedwabny sznur, złota lilija, biały kamień, wiśniowy sad, sosna gorejąca pod borem i t. d. Rzeczy te i tym podobne nie są bynajmniej prostemi wyrażeniami re-

torycznemi i osobnych wymagają studyów, a wykrycie dokładne ich znaczenia, do zrozumienia prastarych obyczajów weselnych jest niezbędnem.

Z uwag pokrótce tu poczynionych, widzimy, że dzieło p. Pruskiego, aczkolwiek wiele zawiera szacownych opisów, zestawień, zdań i wywodów, do ogólnego jednak, równie jak i do szczegółowego spraw weselnych wyświecenia jest zawczesnem. Mimo najzacieśniej autora chęci i pobudek, nie jest ono w stanie (powieździeliśmy już wyżej, że nie tyle z winy autora, ile dla braku odpowiednich ku temu celowi materiałów) objaśnić zawsze zadawalniająco wszystkich czy to ważniejszych czy mniej ważnych faktów, pojawiających się przy obchodach weselnych, ani rozwiązać wszelkich przy czytaniu dzieła rodzących się kwestyj.

Sam autor zbierał szczegóły dotyczące się obrzędów weselnych z okolic miast Łomży, Tykocina, Białegostoku, Bielska i t. d., z których mało dotąd mieliśmy opisów, i takowe wraz z wzmiankami z kronikarzy, dziejopisów, dawnych poetów i różnych czerpaniami broszur, jak to bardzo sprawiedliwie, wciągnął w obręb swojej pracy. Opisy z pomienionych okolic, skreślone szeroko i dokładnie, mogłyby wyborną a tyle pożądaną dla etnografa dać miejsce tych monografię; w obecnem zaś dziele, pomieszane z innymi, z trudnością i po mozolnej dopiero pracy, mogą od nich być odłączonemi. Sądzimy, że pożytek dzieła byłby daleko większym, a niczy ono na wartości nie utraciło, gdyby autor miasto niego dał powyższą monografię i zamieścił obok niej wszystkie swoje uwagi i wywody już to w sposobie wstępów, już jako komentarze objaśniające i porównawcze przy szczegółowych obrzędach, choćby takowe objętością o wiele nawet opisy z miejsc jego rodzinnych podane przesyły....

Kreśląc wspomniane opisy, nie mógł autor nie dostrzedz pewnej ich odrębności od tych, które poprzednio ogłoszone drukiem, stały się już własnością ogółu. A dostrzegłszy to, logicznem następstwem przyszedłby był do wniosku, że i dalsze okolice dotąd niezbadane, muszą także mieć cechy do pewnego stopnia odmienne, sobie właściwe, które wraz z wiadomemi mu rozpoznane, porównane i zespolone, ukazałyby dokładniej wzorzysty obraz na jednem (ogólnie ludzkich uczuć i wyobrażeń) tkany tle, i analogię wielu przedmiotów, ale zarazem i różnice ich kształtów, w lepszym jeszcze przedstawiłyby światło. Do okolic takich należą: ziemia Mazurów pruskich, Kaszuby, Płockie, ziemia Chełmińska, wiele części Wielkopolski i Szląska, Lubelskie, Tarnowskie i Rzeszowskie, że wiele innych

pominiemy. Nie wątpiemy, że z postępem czasu opisy tych ziem (a przynajmniej pewnych w nich punktów etnograficznie ważnych) zapełnią kolumny pism naszych i dadzą autorowi możność uzupełnienia swych spostrzeżeń, oparcia ich na pewniejszych podstawach i zawyrokowania z większą ścisłością o wzajemném wszystkich weselnych obrzędów do siebie stosunku i pokrewieństwie. — Dzieło jego w ten sposób z czasem pomnożone, a nabytem kierowane doświadczeniem, skarbnicaby się stać mogło w każdego etnografa rękę. — Rękojmią zaś, że mu podała, jest jego zamiłowanie przedmiotu, widocznie już z tego, że jął się w obecném dziele rzeczy, której nikt dotąd u nas tak szeroko nie dotykał.

Nim atoli do zadawalniających rezultatów dojść będzie można, starać się potrzeba (zdaniem naszym) obok prac przygotowawczych, o nagromadzenie jak największej ilości zasobów, mianowicie z okolic etnograficznie mniej znanych, o zestawienie systematyczne wszelkich różnic, odmian i drobnych odcieni i o metodyczne ich porównanie. Działanie takie przyczyni się do łatwiejszego wysledzenia, co w wyobrażeniach, pieśniach i zwyczajach jest specyficzną własnością miejscowości, powiatu, prowincyi, plemienia (dajmy na to: słowiańskiego), a co i w jakiej dozie naleciałością obcego plemienia, narodu, prowincyi i t. d., w jaki sposób układała się treść pierwiastkowa i prosta w warianty, i jak dalece wyobrażenia jednych ludów oddziaływały na wyobrażenia drugich. Ztąd téż etnograf i w ogóle wszelkiego rodzaju badacz, żadnym, by najmniejszym, gardzić nie powinien szczegółkiem (byle tylko autentyczność jego nie ulegała zaprzeczeniu); gdyż w małoznaczaczej formie ukłonu, w krótkiej śpiewce, w drobnym na pozór i płaskim żarciku, równie jak i w większego zakroju utworach, mieścić się może klucz do odemknięcia niejednej ciemnej dotychczas, zagadkowej strony i formy bytu i do ukazania nieznanych nam dotąd postaci mytologicznych. Ileż to razy zdarzało się, że na sztucznej, acz pozornie szerokiej podstawie, budowano teorye, od powiewu gruntownej nauki kruszące się jak zamki na lodzie, gdy tymczasem taż sama nauka zdołała oprzeć się niekiedy trwale jak na granitowych opokach, na drobnych ziarnkach, na pyłkach, w szczęśliwej odszukanych chwili.

Powiedzieliśmy wyżej, że przy zestawieniu przez autora wielu obrzędów, pieśni i zwyczajów weselnych, okazały się znaczne między nimi różnice, jak niemniej niejednakowe rozgałęzienie wspólnego nieraz w zasadzie obrzędu i wyobrażenia. Wyrobiwszy sobie przedewszystkiem jasne, a choćby przybliżone tylko pojęcie o wyrazach: tożsamość, wspólność, jednolitość, bliskość, podobieństwo, odcień, odmiana, różnica, odrębność, przeciwieństwo i t. p., że już

nie wspominamy o wyrazach cudzoziemskich jakimi są: waryant, wersya, motyw i t. d. (sama natura wszystkich tych nazw zakreśli bezstronnemu etnografowi właściwe a przynajmniej przybliżone między niemi granice), zdołamy dokładniej wykazać gdzie się one (np. różnice czy podobieństwa) znachodzą i z kąd powstały, I tak: w wielu zwyczajach, pieśniach, klechdach i t. d. zachodniej Polski, np. w wielkopolskich, znajdujemy takie, które przy małych odmianach spotkać możemy u Serbów łużyckich i Czechów, gdy tymczasem u Białorusinów a tém mniej u Litwinów wcale ich nie masz, lub w innej wcale ukazując się formie i szacie, stanowią warianty mniej lub więcej rozwinięte. Niektóre z pieśni wielkopolskich dosłownie niemal (ma się rozumieć, w miejscowej gwarze) powtarzają się już to u Mazurów, już u Krakowiaków, Łużyczan, Słowaków, a czasami i u Niemców północnych (o d c i e ń, o d m i a n a); niektóre z małopolskich i szląskich, u Czechów, u Niemców południowych, czasem u Słowian naddunajskich i węgierskich. Są niektóre [wspólne do pewnego stopnia Mazowszu, Sandomierskiemu, Podlasiowi i Rusi (wersye), lecz inne przyjmują wszędzie obok tejże samej treści inną zupełnie formę (warianty) lub inne głównego przedmiotu dają obrazowanie. Białoruś, jakkolwiek ma wiele cech łączących ją z Mazowszem, a Czerwona-Ruś z Krakowskiem, to każda z tych prowincyj ma znowu cechy wyraźnie jedną od drugiej odróżniające, że wspomnimy tu tylko o znaczeniu np. kołacza i korowaja, kosy i warkocza, sadowienia na posadzie i na dzieży, czepka i zawoja czyli namitki i t. d. Etnograf, choćby nawet na wspólne pokrewnych tych rzeczy wskazał źródło, nie weźmie jednych za drugie (tém bardziej, gdy już odmienna cechuje je nazwa), a tém mniej uważać je będzie za jedno i też same. W wymienionych zatem przedmiotach jak i nazwach wyraźnie ukazują się dla niego różnice. Litwa szczególnie, jakkolwiek wiele cech łączy ją dość blisko ze Słowiańszczyzną (osobliwie z Małorusią i Białorusią), jest jednak etnograficznie względem niej odrębnością, gdyż jak językiem tak i formą obyczajową w wielu razach widocznie od niej odskakuje, przystając do pobratymczych Łotyszów.

Mówiąc to, mamy głównie na myśli lud wiejski. Atoli i szlachta, mimo solidarności i wspólności interesu jaki je w jedno wiązała ciało i powoli ujednostajniał jej obyczaje, ukazywała w zwyczajach i obrzędach pewną rozmaitość, właśnie dla tego, że je niegdyś, jak tego liczne dowodzą wskazówki, miała wspólne z ludem, tylko z większą obchodziła okazałością, głośnieją, sucięj i dostatnieją. Dostatek ten (mianowicie co do wytwornego występowania wielu urzędników weselnych), nie ustał wprawdzie, gdy obyczaje z poste-

pem czasu w nowe oblekły się szaty, ale ukazywał formy ludowi obce, więc wpływu już na niego wywierać nie zdolne; malał wreszcie ze zmniejszającymi i kruszącymi się fortunami, a zniknąwszy w rzeczywistości, ślady tylko istnienia swego w pieśni ludowej pozostawił. Powszechném bowiem jest mniemanie, jakoby lud w czasach pierwotnych przypatrując się zbliżeniu owęj okazałości towarzyszącej obrędom po dworach pańskich, przeniósł wyobraźnię przepych tu widziany pod swą ubogą strzechę, i wedle swojej możności, względną także nadawał obrędom wspaniałość.

Autor też mówi, że: „W pełnej sile były zwyczaje weselne wtedy, gdy były wspólne wszystkim warstwom narodu. Wspólność ta, jak zobaczymy później jeszcze w XVII wieku była widoczną, lecz już odtąd słabnąć zaczęła. Wieś żyła z dworem w ścisłym związku gospodarskiego ładu i przymierza; jakoż jeżeli w pierwotnych wiekach był u wszystkich jeden narodowy obyczaj, to widzimy następnie, jak lud wiejski przyjmował od dworów wiele obyczajów, w których się odbija hierarchiczny porządek Rzplitej, bo pod jego wpływem wyrabiała się nowa jednolitość obyczajów wszystkich ziem polskich ¹⁾. Lud nie pojmował życia bez odwiecznych zwyczajów, bo cały naród je zachowywał. Po upadku dawnych zwyczajów we dworach, zaczęły one i u ludu powoli słabnąć: ztąd, od starców dowiadywałem się wiele szczegółów takich, których młodzi często już nie znali*.

Ale obrzędy te, mimo wspólności ludowych ze szlacheckimi, już w bardzo odległych czasach, jak to powiedzieliśmy, nie były we wszystkich prowincjach i ziemiach jednakowe. Skoro szlachta każdej ziemi obchodziła je w podobny sposób jak i lud tejże ziemi, więc i u niej teżsame co i u ludu dostrzedz można było różnice. A jeżeli skutkiem szerokiego rozrostu i wielorakiego z sobą pokrewieństwa, stan rycerski przeniósł czasami pojedyncze obyczaje miejscowe z jednego końca państwa na drugi i mieszał takowe z nowo napotykanymi, to lud wiejski nieruchomie niemal przyparty do gleby, w większej zachował je czystości, ukazując tém samém aż po dziś dzień odrębność większą i dobitność cech prowincjonalnych. Jeżeli górami, z wierzchu, działał pewien prąd na zmodyfikowanie i cząstkowe uje-

¹⁾ Hierarchiczny ów porządek przy weselach, nietylko u nas jest widzialny, lubo tu zachował się pełniej niewątpliwie niż u ludów Zachodu. Powtarza się on u Słowian naddunajskich, Rumunów, Węgrów, Czechów, a dostrzedz go można przy weselach skandynawskich, niemieckich, celtyckich, romańskich i t. d. Jest on poniekąd odbiciem wyobrażeń wieków starożytnych i średnich u wszystkich niemal narodów europejskich i azyatyckich.

dnostajnienie pewnych szczegółów obrzędowych w całej Polsce, chociaż i tu nie odmieniał on bezwzględnie w innej ziemi napotykanym obyczajów (nie często bowiem rodziny szlacheckie, oprócz magnatów, wynosiły się przy kojarzeniu małżeństw lub z innej przyczyny po za obręb swego województwa)—to spodem, u ludu pozostał obyczaj ten niezmiennym, aczkolwiek zdarzało się, że i ztąd przechodził on cząstkowo czy to ustnie przez mieszkańców nadgranicznych, i wówczas daleko powolniej, do ziem sąsiednich, czy też szybciej nierównie przenoszonym bywał już to przez osadników, pątników, dziadów, flisów, już przez gawiedź i służbę dworską (a u magnatów i przez szaraczkową szlachtę) do innej, nader odległej ziemi. Ztąd to pochodzi, że we wsiach oddalonych od siebie nieraz o mil kilkadziesiąt, znajdujemy pewne teżsamo lub bardzo do siebie podobne zwyczaje, pieśni, przesady i t. p. (zwłaszcza drobniejszych rozmiarów, jako ruchliwszej natury), gdy tymczasem w pobliskich wsiach widzimy wyraźne odmiany, zwiększające się stopniowo w miarę dalszego w głąb kraju wkraczania. Wspomnę tu tylko, że np. stary obyczaj mazurski przyniesiony przez Mazurów osadzanych gromadkami na Wołyniu, Podolu, w Wielkopolsce i t. d. lepiej się i dłużej tam w niektórych zachował miejscach, niż w swém gnieździe rodzinném, gdzie skutkiem różnych nań wpływów, poszedł w zapomnienie, a przynajmniej w większe zaniedbanie. Okoliczności te i tym podobne, koniecznie uwagę badacza na siebie zwrócić powinny, by w sądach i konkluzjach postępował ostrożnie, i przypadkowe naleciałości zrosłe z cechami miejscowými, od tych ostatnich odłączyć i do właściwego im źródła przenieść umiał. Zresztą, w samych także śpiewach i obyczajach drobnej szlachty zaściankowej, mimo wielkiego ich do ludowych zbliżenia, znajdzie baczny znawca tu i owdzie wyraźne ślady przywileju, stan ten od chłopskiego odgradzającego.

Pojęcia także i przekonania o potędze, o władzy, znaczeniu i wpływie szlachty, mimo równości i braterstwa jej w zasadzie, nie były jednakowe. Lubo w ziemiach ruskich znalazły się tu i owdzie zaścianki, przeważał tam jednak żywioł magnacki, gdy tymczasem w Wielkopolsce i Mazowszu mimo zamków kilku możnych rodzin, panował bardziej żywioł gminno-szlachecki. To też w obrzędach weselnych ruskich, pan-młody nosi zwykłe tytuł kniazia i ma bojarów do swojej posługi, bo na takie głównie postaci lud się tam zapatrywał, gdy tymczasem w stronach nadwiślańskich poprzestaje on musi na skromniejszym już tytule, otoczonego swą drużyną pana. Sama tylko nazwa starosty stała się tu jak i w całej Słowiańszczyźnie powszechną; wszakże raczej do wieku, znajomości świata i osobistej godności, niż do urzędu i władzy przywiązana.

Nie ulega także wątpliwości, że po przyjęciu przez naród wiary chrześcijańskiej, należał i kościół do czynników wpływających do wysokiego stopnia na praktykę obrzędów weselnych. Ztąd też, każdy z dwóch obrządków, czy to na Rusi czy na Mazurach, o ile uważał to za stosowne, wpływał na ich obchód po swojemu, nie ograniczając się na samém tylko błogosławieństwie kapłańskiem przy ołtarzu. Więc różnica w formach i rytuale ¹⁾ obu obrządków, przyczyniła się do niektórych odrębności (np. przy wieńczeniu), lubo nie do tyla, aby zatrzeć główny i pierwotny obrzędu weselnego charakter. Kościół bowiem (jak to słusznie mówi autor na str. 8) mógł usunąć jakieś obrządki z bożyszczami połączone, ale nie miał interesu zakazywać tych zwyczajów weselnych, które go utwierdzały, że wiele wagi przywiązuje naród do małżeństwa. Zresztą działanie jego i gorliwość w rugowaniu pewnych wyrażeń i zwyczajów pogaństwem trącających, nie wszędzie z jednakową dokonywało się siłą; to też ślady téj działalności są miejscami bardziej, miejscami mniej widoczne. W Lubelskiem np. i w Przemyskiem zachowało się jeszcze tu i owdzie aż po dziś dzień w pieśniach weselnych wspomnienie bóstwa Łady. Pojedynczo ukazują się wielce starożytne wspomnienia i zwyczaje w Wielkopolsce, Mazowszu, na Białorusi, Polesiu i t. d. że już nie mówimy o Litwie, gdzie chrześcijaństwo zawitało najpóźniej.

Niema potrzeby dowodzić, ile pożytku spłynęłoby na naukę etnografii, gdyby obyczaj wspólny wszystkim ludom w zasadzie, ale tyle ile ziem i prowincyj przedstawiający w sobie różności, a w podobieństwach znów wychodzący daleko po za granice polityczne państw i narodów (jak to wskazują prace tych, którzy w badaniach sięgają aż po za Kaukaz i Ganges), zebrany był w jedno, rozpatrzony wszechstronnie i między sobą porównany. Myślą tą powodowani, ogłaszając już w r. 1847 i 48 w *Bibliotece Warszawskiej* szereg artykułów opisujących wesela w niektórych stronach naszego kraju, powiedzieliśmy, że zestawienie ich ułatwi porównanie z sobą i do badań zachęci. Uważaliśmy bowiem, że w pieśniach i zwyczajach są wyrażenia i szczegóły do wyjaśnienia nie łatwe i gruntownych wymagające studyów. Ale ilość materyałów do robienia spostrzeżeń i wniosków zbyt wówczas była jeszcze szczupłą, interes do rzeczy zbyt jeszcze mało rozbudzony, przygotowania naukowe badaczy i stan samejże nauki etnografii nie dosyć rozwinięte, aby z korzyścią do pracy tyle ważnej przystępować można było. Przy przeglądzie je-

¹⁾ Wiadomo, że w samychże formach i rytuałach obu obrządków chrześcijańskich, pozostały ślady wyobrażeń starożytnych.

dnak tych materiałów dostrzeżliśmy, że niektóre pieśni używane w jednych miejscach jako weselne, w innych za takowe uważanemi nie były; że pewne pieśni nie wszędzie przy tych samych powtarzały się obrzędach, że w wielu pieśniach nieweselnym wyrażne są ślady obrządku i dawnego znaczenia ich weselnego i t. p. Z czego wniesliśmy, że fakta jakieś czy też niedbalstwo śpiewaków, a po części zbyt ogólna i wiotka niektórych pieśni barwa, wpływały na ich zwichnienie, przestawienie lub odsadzenie. Były może i takie, które należąc do jakiegoś zapomnianego dziś lub nadwątlonego szczegółu obrzędowego który przeżyły, przyczepione zostały luźno do Wesela o ile treścią do niego przystawały. A może zresztą i samo Wesele, w cząstkach jakie kościołowi zawadzały rozbite lub podkopane, pieśni pewne, dawniej obowiązkowe, przestało uważać za esencjonalną obchodu swego oznakę, chociaż ich z ceremoniału bezwzględnie nie usunęło, czy to przez nawyknięcie czy też dla poetycznej i muzycznej wartości, którą lud, nie rozumując nad nią, czuło bardzo dobrze umie. Odsyłamy nadto do zdania, któreśmy pod tym względem objawili w seryi II dzieła: *Lud* (Sandomiers.) str. 127—132.

P. Pruski poprzestaje w badaniach swoich na obszarze, jaki mu własna skreśla ziemia. I słusznie, kraj i naród, za podstawę tych badań służący, aż nadto jest rozległym, aby oko badacza za jego granice sięgać potrzebowało. Aż nadto znów, mimo wielu cech wspólnych i jednolitych pracę ułatwiających, posiada on w sobie odrębności i różności, aby skreślenie i porównanie ich w krótkim dokonać się dało czasie. A więc pole do działania otwarte, a po zdobyciu każdej cząstki plonu, porównania same z siebie się następczą. Pochopność p. Pruskiego do takiej pracy mimo niedostatku materiałów, pokazuje wysoki autora na jej znaczenie pogląd, i jego miłość przedmiotu wyświeca. Czując onę doniosłość, sądził, że nadeszła już pora aby się nią troskliwie zająć, bez względu czy podobnie potrafi wszystkim nasuwającym się zewsząd trudnościom.

Określiwszy w ten sposób całość dążeń i pragnień autora, a zarazem wykazawszy istotną niektórych prac jego zasługę, przejdźmy teraz do przejrzenia szczegółowego pojedynczych rozdziałów jego dzieła.

Nadpis pierwszego rozdziału: *Dziewczeta i młodzieńcy*, wskazuje na wzajemny obu płci do siebie stosunek, mówi o krasie dziewczęcej i młodzianńskiej dzielności, o ziołach symbolicznych i t. d. Wiele trafnych uwag czytamy w ustępie o panińskiej krasie. Wieńce godła tej kraszy, wiją się z kwiatów i zieleni. Przy weselach pierwszeństwo mają zioła nie tracące i w zimie swęj zieloności, jak np.

ruta, barwinek, kilka leśnych roślin pod śniegiem zielonych, a czasami i chojna. Najpowszechniejszém atoli jest użycie ruty; hodowano ją w całej Polsce, i wszędzie o niej pieśni śpiewano. Atoli główną ona gra rolę na Litwie i Mazowszu, (podobnie jak w prowincjach Nadbałtyckich, w Danii, Niemczech i t. d.). Obok niej używa, osobliwie w Wielkopolsce i Krakowskiem, wielkiej popularności rozmaryn, gdy na Rusi czerwonej przemaga znów barwinek, a okoliczność ta może nie być przypadkową. Z kwiatów w pieśniach wspomnianych, najczęściej słyszymy o lili, godle czystości; dalej o róży, gwoźdźniku, fijołku, lawendzie, majeranku i t. p. Rozdział ten mówi także o kwiatkach i ziołach, które do wieńców panieńskich użyte być nie powinny; do takich należy groch, godło płodności, wielką znów odgrywający rolę przy uctach poślubnych. Dalej mówi on o pierścieniach, wstęgach i innych ozdobach, o symbolicznem znaczeniu utraty wianka, o czarach miłosnych i ziołach czarodziejskich, o kalinie, o ptakach symbolicznych i t. p. Nader charakterystyczną jest pieśń udzielona przez W. Pola, a śpiewana przy Sobótkach przez sanockich górali, należąca do tak zwanych pieśni *bliźniaczych*, dlatego, że w dwóch odpowiednich co do formy występuje zwrotkach, z których pierwsza daje obraz z przyrody wzięty, druga przystosowanie jego do obecnej przedmiotu sytuacji ¹⁾.

Następny rozdział, pod tytułem: *Wróźby*, podaje czynione u nas praktyki tego przesądu, o ile takowe zdołał autor nagromadzić. Wszakże i tu kopalnia nie jest wcale wyczerpaną, i zachodzi pytanie, czy kiedykolwiek da się ona wyczerpać? Przepowiedni bowiem na każdą sprawę życia ludzkiego jest u nas ilość nieskończona a między niemi mnóstwo naniesionych z obcych krajów i niemniejsze mnóstwo przez różnych szarlatanów skleconych i w broszurach i zeszytach niby kabalistycznej treści rozsiewanych. Spisawszy wszystko, co pod tym względem zebraćby można, odróżniliśmy dopiero to, co istotnie na uwagę naukową zasługuje, i poznali co w liczbie tej jest własnością naszego kraju i w jakiej części. *Wróźby* czasowe podzielił autor na wiosenne, na świętojanki (w wigilię św. Jana Chrzciciela czynione), jesienne czyli w dniu św. Katarzyny a głównie św. Andrzeja (andryjówki czyli jędrzejówki), podczas świąt Bożego Narodzenia i na Nowy rok dokonywane (Godne). Do wróźb wiosennych należy głos kukułki, ptaka demonicznej natury, bo prze-

¹⁾ O takich pieśniach mówi także Nesselmann w wydanych przez siebie *Littanische Volkslieder* (Berlin, 1853), nazywając je *Doppellieder*, a zwrócił już był na nie uwagę Staniewicz w swych pieśniach litewskich.

powiadającego niedolę lub szczęście, wedle okoliczności przyjaznych lub nieprzyjaznych kukaniu jego towarzyszących; wszak ptak ten jest u nas głównie ptakiem smutku. Na wiosnę także robią wróżby ze siewu lnu, które (jak twierdzi autor) przeniosły się wszystkie na jędrzejówki lub andryjówki. Główną z wróżb świętojańskich jest puszczanie wianków na bieżącą wodę podczas Sobótek i Kupały. Wróżba ta związana jest z obrzędem, który, mimo wszystkiego co o nim napisali Wójcicki, Lelewel, Żegota Pauli, Szulc, Tyszkiewicz, Marcinkowski, Hanusz, Nilsson, Grimm i t. d., nie przestał wcale być przedmiotem osobnego studjum. Ciekawe też podaje o nim wiadomości Gloger (Kupalnocha w Tygodn. illustr.). Tu jednak chodzi głównie o wróżbę z wianków czynioną. Autor wspomina, że wyobrażenie ję symboliczne przenosi lud nawet na topieleca czyli wodnicę, która przez puszczanie wianka pociągnęła ku sobie w głębinę wód kawalerów, wianek ten pochwycić usiłujących (ob. wydane przezemnie *Pieśni ludu polskiego*, Warsz. 1857 str. 196—205). Największą liczbę wróżb przytacza autor z dnia św. Andrzeja. Bo też jędrzejówki najbardziej są ze wszystkich wróżb tak w kraju jak i za granicą (po całej niemal Europie) upowszechnione. Wiele znów z tych przepowiedni powtarza się w wigiliję Bożego Narodzenia i Nowego roku. Prócz wróżb czasowych, krąży jeszcze pełno wróżb przygodnych, z pewnych zdarzeń w codzienném życiu czynionych; a do nich właśnie należą i takie, które losy obojga małżonków przepowiedzieć mają z różnych znaków i wypadków w porze przedweselnój zaszytych. Silną także wiarę przywiązuje lud miejscami do wróżb Cyganek. Wielkiem byłoby dla czytelnika ułatwieniem w szukaniu, gdyby autor ułożywszy wróżby systematycznie, nadał im właściwe intytulacye i kolejno ponumerował.

Daléj mówi autor o porze wesel i o ukazywaniu znaków różnych niby szyldów, gdzie się wianki święcą a panny są na wydaniu. Uważa on, że najwięcéj kojarzy się małżeństw w porze jesiennéj i w zapusty, jako w czasie do tego najstosowniejszym; trafnie określiła powody tego zwyczaju, przygotowania doń czynione i udział w nim całej niemal wsi. By okazać gotowość do przyjęcia dziewosłębów, a czasem by zwabić gacha, robią się różne koło domów znaki; centkują albo pokrapiają wapnem ściany, lub téż drzwi, płoty, wrota, jeśli same tylko ściany chaty były bielone; u górali wisi w oknie wianek; w Krakowskiém zaś (nie pod samym jednak Krakowem) zatkniętym on jest lub chorągiewka na wysokości tyce, co niekiedy ma miejsce i na Litwie, gdzie służy na ten cel i koło wozowe. U drobniejszój szlachty (w całym niemal kraju) wisiał przedtém w oknie kobierzec; na kobiercu takim odbierali nowożeńcy błogosławieństwo

w domu i w kościele. „W porze tedy jesienniej (mówi autor na str. 63), niezwykle uderzał cię widok, gdyś jadąc od Karpat po Dźwinę, przy chatach i dworach widział już to na wysokich tykach wieńce i koła wozowe, już podwórza piaskiem we floresy i jedlinką wysypiane, a przed domem woniejące kwiaty, w oknach rozmaryny, wrota i ściany pocentkowane, pozawieszane w chatach kobierce i kilimki. Tam też zajeżdżali dziewosłęby z zalotnikami, bo widzieli, że tam sieje się rutka“.

Zapewne, że widok to był piękny i niezwykle. Ależ widok podobny (lub mało co różny) rozciągał się i dalej jeszcze po za Dźwinę z jednej, a po za Karpaty z drugiej strony; bo ludzie wszędzie jedne żywią uczucia i jedne mają potrzeby. Mówimy to dla tego, by okazać, że co do wspomnionego zwyczaju nie panowała na wskazanej przez autora linii zupełna zgoda, jak to wmówić w nas usiłuje. Sam chyba tylko obyczaj szlachecki (a w części i miejski) mógł na tej przestrzeni być jednakowy, a i tu, jak tego liczne są ślady, nie bez odmian i odcieni. Ludność zaś napływowa (o ile pojedynczo się osiedlała) przyjmowała z czasem i przyjmuje nietylko u nas ale i w całej Europie, zwyczaje, a często gwarę i strój miejscowy. Myli się zatem autor, gdy twierdzi (o ludzie wiejskim), że różnice obyczajów nie były i nie są tu różnicami, ale tylko wzorzystą różnorodnością pospolitego narodowego zwyczaju (str. 62). Mniejby się mylił, gdyby był wyrzekł: powszechnego zwyczaju. Dla etnografa bowiem i uczonego krążyć myślą po szerokim świecie, odmiany i odcienia bądź wyżej wspomniane, bądź jakiegokolwiek inne, są zawsze i być muszą różnicami, czy takowe w obrębie Polski, czy w szerszym zakresie dostrzeganymi i spisywanymi będą. Mówiąc to, nie mamy bynajmniej myśli nakłaniać autora, by w spostrzeżeniach swych wychodził po za granice własnej ziemi, którą za cel swych dał badań, a w której zaiste dla człowieka naukowego nader wiele rzeczy jest jeszcze do zbadania, ale żałalibyśmy, aby na obszarze przyjętym widział on przedewszystkiemi jasno, jakim jest wzajemny przedmiotów do siebie stosunek, i jakim jest on odpowiednio do przedmiotów jednéjże natury, w ościennych i dalszych krajach napotykanym.

Mówiąc następnie o swatach i zalotach, autor nader sprawiedliwie dowodzi konieczności swatania u ludu, jego początek, pobudki i tryb postępowania. Nazwy ludzi swataniem się trudniących i saméj swadźby są rozmaite w różnych kraju okolicach. Różnica ta nazwy i miejsce jéj użycia bynajmniej dla lingwisty jak i psychologa nie są obojętnymi. Autor przytacza nazw tych kilkanaście, atoli jest ich

w Polsce daleko więcej, równie jak i całej służby (drużyny) weselnej. Swat uproszony czy dziewosłab służy tedy za pośrednika do skojarzenia małżeństwa, lubo poprzedza go w tém zręczna baba wysłana na wywiady dla oszczędzenia mu wstydu, na przypadek gdyby oświadczyły jego nie miały być przyjęte. Dziewosłabowi towarzyszy zwykle przyszyły pan-młody i nim się ukaże w izbie, czeka pode drzwiami na pomyślny zabiegów rzecznika swego skutek. Wiara w dni feralne, nieszczęśliwe, czyli przekąsne, ciężkie, powoduje (mówi autor), że wszystkie przedsięwzięcia i poselstwa odprawiają się tylko w pewne dni za szczęśliwe uważane. Wtorki zatem i soboty, a osobliwie czwartki, jak tego dowodzą liczne jego cytacye, służą do swatania, jako na ten cel najpomyślniejsze. Gdyby szczegółów posiadał autor więcej, dostrzegłby, że czwartki miały niegdyś głębsze jeszcze znaczenie, niż prostą zapowiedź szczęścia, będącą dopiero znaczenia tego wynikiem; feralizm zaś niektórych dni, np. piątku, głównie pod naciskiem chrześcijańskiej wyrobił się idei. Obok tego swaty, zaręczyny, równie jak i przenosiny, mają miejsce w porze nocnej (str. 71), dla uchronienia nowożeńców i ich drużyny od uroków i czarów (a wszakżeż moc ich ma przeciwnie wedle powszechnego mniemania ginąć lub słabnąć dopiero we dnie, a zaś wzmacniać się na noc po zachodzie słońca), jakkolwiek noc taka może i powinna owszem być pogodną, jasną; dla tego pierwszeństwo dają nocy na pełni księżycy ¹⁾, bo i wpływ ciał niebieskich na losy nowożeńców wchodzi tu w rachubę. Nie powiedział przytém autor, dla czego noc jasna, równie skutecznie ma osłaniać od uroków, jak i noc ciemna; chyba, że osłaniać ma od nich tylko płachta czy prześcieradło, w które owijają się narzeczeni (na Litwie). Dziewosłab upozorowawszy zrazu swe odwiedziny innemi pobudkami, przystępuje nareszcie do rzeczy i zagaja ją gorzałką, której przyjęcie lub odmówienie przez dziewczkę, świadczy o powodzeniu lub niepowodzeniu powierzonej mu sprawy. Rozmaite poselstw tych spełnienie i zachowywane przytém zwyczajem, z wielu zestawia autor okolic. W zestawieniu tém życzylibyśmy widzieć więcej porządku systematycznego, czy to kolejno (topograficznie), czy wedle stopniowych odmian. Ważne atoli są jego spostrzeżenia dotyczące się rekuzy zalotnika, złamania

¹⁾ I. Grimm znówu w dziele swém: *Deutsche Mythologie* (Göttingen, 1854) str. 676, utrzymuje, że owszem, kojarzono małżeństwa, budowano nowe domy, przeprowadzano się, liczono pieniądze i t. d. na nowiu księżycy, aby szczęście jak księżyc przy pierwszej kwadrze, rosło odtąd na przyszłość.

danego słowa, przerwania związków i t. p., oraz porównanie dzisiejszych zwyczajów z dawniejszemi, mianowicie ze szlacheckimi.

Przechodzi potem autor do Zaręczyn, zwanych także zrękowinami, zmówinami, zapoinami i t. d. stanowiących uroczystą obietnicę zaślubin, przy której i inne bywają zawierane umowy, dotyczące wzajemnych obojga małżonków w przyszłości względem siebie i rodziny stosunków. Obok układów co do zapowiedzi, co do liczby weselnych gości i ich podejmowania, co do obioru drużyny i sprosin, co do porządku służby weselnej, jakie na zaręczynach mają miejsce, zachodzą oraz i ważniejsze, tyżące się wiana i postanowienia przyszłego stadła, jak np. to, czy młodzian ma iść na gospodarkę żony (lub jej rodziców), czy też ona do jego domu, t. j. mówiąc językiem włościan, czy ona ma przystać do niego, czy on do niej. Na zaręczynach odzywają się już pierwsze ważniejsze śpiewy weselne, a uczta obfitością dorównywa niemal weselnej, lubo koszt gorzałki zaspakaja zwykle pan-młody. Pierwsze też wówczas składane bywają dary zobopólne młodych i dary rodziców. Nazwa zaręczyn, jakeśmy to już dostrzegli, ma wiele odmian w różnych kraju ziemiach używanych. Najczęściej odbywają się one w sobotę wieczorem, a kończąca je uczta, długo w noc się przeciąga. Na zaręczyny schodzą się wszyscy krewni i sąsiedzi, a zarazem i obrani już tego dnia (lub zaraz po oświadczynach) družbowie i druchny, którzy odpowiednie służby swęj otrzymują godła (wieńce i znaki). Oboje młodzi obdarzeni już bywają błogosławieństwem rodzicielskiem, a starosta lub starościna wiąże na chlebie ich dłonie. „Wiązanie ręcznikami rąk dwojga młodych ludzi (mówi autor na str. 90), jest może najstarożytniejszą formą nietylko zrękowin ale małżeńskiego ślubu w czasach naszego pogaństwa“.

Twierdzenie to nie byłoby bezzasadne, gdybyśmy więcej jeszcze posiadali dowodów, że wiązano u nas ręce na znak ślubu. Dodamy tu, że obrzęd ten w żadnym razie nie zamykał uroczystości; dopełniał go drugi, wkrótce potem następujący, tj. zawicie głowy (oczepienie). Jak wiązanie rąk ręcznikami jest symbolem związku i jedności małżeńskiej, tak zawicie głowy jest dla niewiasty (zwłaszcza po ucięciu włosów, w różnym stopniu w całym niemal świecie praktykowane) znamieniem uległości i wyrzeczenia się uciech światowych, by odtąd żyć w pracy dla męża i dzieci. Ważną tedy już przy zaręczynach, bo symboliczną odgrywają rolę: chleb, pieniądz, pierścień, wieniec, ręcznik lub chustka. Zamiana pierścieni jest godłem wzajemnej oblubieńców wiary, godłem wielce starożytném, bo i do spraw innego rodzaju stosowném. Nader sprawiedliwym jest ustępo cał-

kiem różnym znaczeniu pierścionków i obrączek ślubnych (str. 94). Autor wyraża się tu, że wewnątrz obrączek bywają niekiedy wyobrażone już połączone ręce, jako symbol zgody, już wypisany dzień i rok ślubu, już też cyfry nowożeńców; w jej obrączce cyfra pana młodego, a u niego cyfra panny młodej. Zachodzi tu jednak pytanie: czy zamiana w ten sposób obrączek nastąpiła już przez swata w czasie zaręczyn, a kapłan stwierdza ją tylko przy ołtarzu, wkładając na nowo na palce (po ich poświęceniu) pierścionki (obraczki) już zamienione poprzednio; czy też kapłan sam dopełnia tej zamiany biorąc na ten cel od każdego z zaręczonych obrączkę z własną jego cyfrą, jak to jest w powszechnym u szlachty i mieszczan zwyczajem. Pierwszy z tych zwyczajów, o ile gdziekolwiek istnieje (jak tego ślady zdają się być na Kujawach, Białorusi i t. d.) przyczyniłby się nie mało do nadania wagi słowom autora, jakoby zaręczyny były już ślubem u pogan, przypuściwszy oczywiście, że ciż pierścieni na ten cel używali. Jeżeli chustka wiążąca dłoń symbolizowała ideę trwałości związku dwojga ludzi na całe życie za pomocą chwilowego ich połączenia, to obrączka na palcu stawała się rzeczywiście i ciągle widzialnym obietnicą takiej znajomości. Córkę niezamężną dzieliły się nawet obrączką zmarłej matki, aby cząstki te wprawić do swoich obrączek ślubnych, gdy wychodzić miały za męża. Bywał i zwyczaj (mówi autor na str. 95) odwołania obrączek po zmarłych, zwłaszcza bezdzietnych, do Częstochowy, gdzie takowe na sprzęty kościelne przerabiano; to nam przypomina owo zawieszanie pierścieni po zmarłych na ołtarzach w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. I w istocie, pieśń jedna ludowa daje jakoby odbicie tych wyobrażeń (ob. moje Pieśni ludu, Warsz. 1857 str. 179—180), gdy Jasio powróciwszy z wojny i nie widząc w chacie żony, zmarłej już i oddawna pochowanej, zwraca się z konikiem na cmentarz, a przykląkwszy na jej grobie, na zadane jej zapytania odbiera za dozwoleń Boskiem odpowiedzi:

Kasiu, Kasiu, Kasieńko,
 przemów do mnie słowenko:
 Gdzieś podziła ten pierścień,
 com ci go dał, nimem szedł?
 — Włożyłam go w wielki dzwon,
 by mi lepiej zadzwonił.
 — Gdzieś podziła te szaty,
 com ci sprawił przed laty?
 — Suknięm dała na ołtarz,
 a serwetę na obraz,

a korale w organy,
 by mi lepiej zagrały.
 — Zadzwońcież jej w wielki dzwon,
 mojej Kasi wieczny dom!
 Zagrajcie jej w organy,
 mojej Kasi kochanej!

Najgwarniej bywają zaręczyny obchodzone na Białorusi, gdzie się zapoinami zowią. Autor podaje nader szczegółowy obrzęd tego opis, dokonany przez Ign. Szydłowskiego i wyjęty z Tygodn. wil. 1819 r. ¹⁾. Goście tu zasiadają do stołu wedle starszeństwa i w ogóle wszyscy według ścisłej są usadowieni etykiety, przestrzeganej przez rodziców i starszych. Między innymi obyczajami jest i ten, że grajek musi należeć koniecznie do rzędu krewnych pana-młodego; jeżeli zatem nie masz grajka w rodzinie, to wówczas siada który z krewniaków i dla pozoru bierze skrzypki w ręce, a gdy ma się zacząć granie, to choć raz pociągnie smykem i oddaje instrument grajkowi z rzemiosła, sam atoli (z wyjątkiem zapłaty), odbiera wszelką przynależną grajkowi cześć, która wraz z jego prerogatywami nie jest małą. Widoczny tu przesąd (mówi autor na str. 100), jaki istnieje u ludu w Kowieńskim i Kalwaryjskim, że każdy (obcy) skrzypek umie czarować; ztąd tam podczas wesela częstują go nie przy stole, gdzie siedzą młodzi, ale na żarnach (Kłasy, VIII, 250); ztąd nad Berezyną obcy człowiek skrzypkiem na weselu być nie powinien. Nieco podobne wyobrażenia co do czarów napotkać poniekąd można i na Kujawach (ob. „Lud“, ser. IV str. 210, o skrzypku Bali). Autor opisuje potem zajęcia panny-młodej przedwesełne.

Odwieczny zwyczaj uczestniczenia całego sióła przy uroczystości weselnej, jako i szukanie błogosławieństwa przez nowożeńców,

¹⁾ Dokładniejsze mamy szczegóły w opisanu powiatu Borysowskiego p. Tyszkiewicza. — Ob. też Etnograficzny rys Gub. Wileńskiej A. H. Kirkora w Pamiętniku Geograf. Ros. Tow., t. III, str. 259 1858 r. i w osobnym wydaniu. Podług badań tego ostatniego, piękny istnieje zwyczaj w niektórych parafjach białoruskich gub. Wileń. — Swat wchodząc do izby rodziców narzeczonej najpierwej do niej przemawia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ — Na wieki wieków! — odpowiada dziewczyna. To jest dowodem, że nie odrzuca narzeczonego. Wtedy swat ściska jej prawą rękę, stawia przed nią misę, kładzie do niej ser, piróg i kawał mięsa, a wszystko to polęwa wódką i rozpoczyna się uczta przy śpiewie dziewcząt.

jest przyczyną (mówi autor na str. 104), że panna-młoda (lub pan-młody) obchodzi przed weselem wszystkich krewnych, całą wieś i dwór, wszędzie prosząc o błogosławieństwo i przybycie na wesele. Nie pomija nawet obcych ludzi spotkanych na drodze, aczkolwiek wie dobrze, że z zaproszonych nie wszyscy stawiają się na tę uroczystość. Pięknie autor określa naturę i znaczenie tych spros. Należało mu jednak zwrócić uwagę na widoczną różnicę w sposobie zaprosin dokonywanych w zachodnich stronach kraju od tych, które się we wschodnich i północnych jego częściach odbywają. Na Rusi np. obchodzi chaty w tym celu (jak to powiedział) osobno panna młoda z druchną, a osobno pan-młody z drużbą, unikając wzajemnie spotkania się z sobą w drodze; niekiedy chodzą same tylko kobiety (młoda z drużką), używając przy niskich do ziemi ukłonach krótkiej formuły zaproszenia na Białorusi, na Żmudzi, Polesiu i Wołyniu. Tymczasem w Kujawach i w Wielkopolsce zapraszają głównie mężczyźni (drużba - starszy z młodszym), prawie sążnistej długości oracye. W zaprosinach zaś Krakowiaków dostrzedz się daje lekka lecz wyraźna odmiana od wielkopolskich. Toż samo na Litwie i u Hucułów, jakkolwiek zaprosiny i tam głównie przez mężczyzn bywają dopełniane ¹⁾.

¹⁾ W powiecie Świącianskim i w wielu innych białoruskich parafiach obrzęd pieczenia korowaja czyli dziewiczy wieczór nazywają wielikaja horyłka. — W tych miejscowościach (Etnografia Kirkora, 261) panna-młoda, otoczona drużkami chodzi do izb sąsiednich prosić o błogosławieństwo. Piękną, poetyczną piosnkę śpiewają wtedy pozostałe w izbie narzeczonej dziewczęta, w takim razie, jeżeli panna-młoda jest sierotą i nie ma matki:

Po białorusku:

Niemasz Marjanki u domu:
 Paszła Marjanka do Pana Boha,
 Staić hadzinku,
 Staić druhuju,
 Pakul adczyniać rajskije dzwiery,
 Pakul wypuścić jaje mamuniu,
 Jej na wesele,
 Jej na błogosławieństwo.
 Jaje mamula wielmi daleko,
 U ziemi głęboko,
 Za trema zamkami:

Pierwszyj zamoczek
 Zielony mroczek,

Toż samo po polsku:

Nie masz Maryanki w domu:
 Poszła aż do Pana Boga.
 Stoi już godzinę,
 Stoi i przez drugą,
 Aż otworzą jej rajskie podwoje,
 Aż wypuszczą do niej matuleńkę,
 Na córki wesele,
 Na błogosławieństwo.
 Ale matuleńka jej bardzo daleko,
 Bo w ziemi głęboko,
 Pod trzema zamkami:

Pierwszy zameczek,
 Zielona murawka;

Mówiąc następnie o urzędnikach weselnych i w ogóle o wszystkich osobach udział w tej uroczystości biorących, daje im autor zbiorową nazwę drużyny weselnéj, jakoby nazwę u ludu całego przyjętą. Atoli nazwa ta nie jest powszechną; używają jęj głównie tylko na Mazowszu, w Sandomierskiem, Lubelskiem it. d. W Wielkopolsce nazywa się taka drużyna często towarzystwem albo téż po prostu weselem; są nawet ślady (jak w wielu stronach Sandomierskiego), że nosi ona nazwę wojska, jakkolwiek ta ostatnia nazwa stosuje się jedynie do konnego a dziarskiego hufca pana-młodego. Na Litwie zowie się taki orszak niekiedy brolej (bracia) lub draugas, na Rusi nosi często nazwę kozaków.

Cała gromada weselna rozdziela się właściwie na dwie drużyny, z których jedna składa orszak pana-młodego, druga zaś orszak panny-młodej. Oczywiście, że w każdej z nich mieści się i pokrewieństwo młodych. W oznaczeniu obu drużyn, autor trafnie grupuje wszystkich krewniaków i urzędników wesela i uwydatnia tém samém zastęp całej weselnéj służby tak młodego jako i młodéj. Rozdział ten na dwie grupy, szczególniej na Rusi jest widocznym; w Wielkopolsce on się zaciera, gdyż tu wesele często w jednym obchodzone bywa domu, przez co orszak jęj zwykle niewieści, jego zaś mężki, w jedną poniekąd zbija się grupę.

Oprócz rozdziału drużyny na dwie grupy wedle wymagań płci nowożeńców i składu dwóch domów, w których się mają stosowne odbyć obrzędy, widzimy nadto w każdej z nich inny jeszcze rozdział nakazany stanem osób i ich starszeństwem, t. j. na żonatych (gospodarzy i niewiasty) i na bezżennych (parobków i dziewczki). Lubo wszyscy urzędnicy weselni nader czynnie i gwarno sprawiają się podczas całej tej uroczystości, przecież ostatni z nich przeważną odgrywają rolę w obrzędach przed-ślubnych, gdy pierwsi dobitniej występują na widownię w działaniach po-ślubnych. Nie przepomina

Druhi zamoczek
 Żółty piasoczek,
 Niamyja doski.

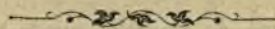
Drugi zameczek,
 To żółty piaseczek,
 I nieme deski.

Wzdymiecie wietry i bury,
 Bazarwicie zielony mroczek,
 Razadzmićcie żółty piasoczek,
 Razabijcie niamyja doski,
 Wypuście jaje mamuniu,
 Jej na wesele,
 Jej na błogosławieństwo!

Więc zadmićcie wy wichry i burze,
 Rozerwicie zieloną murawę,
 I rozmiećcie ten żółty piaseczek,
 I rozbijcie owe nieme deski
 A wypuście już jej matuleńkę,
 Na to jęj wesele,
 Na błogosławieństwo.

tu autor o żadnej prawie ze znanych dotąd wkraju nazw, tak obojga narzeczonych, jak i każdego z osobna urzędnika, czy to starszego (starosta, dziewosłab, rajek, marszałek, staroscina, korowajnica it. d.), czy też młodszych (družba, młodzian, bojar, druchna, družka, przydanka it. d.). Wyrazy: swat, swacha, swazska, okolica-mi zastosowanym bywa już to do starszej już do młodszej generacyi. Marszałek na Litwie jest to starosta weselny; w wielu miejscach Lubelskiego i na Rusi obdarzają tém mianem starszego družbę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



SPÓR BOTANIKÓW.

O PYTANIE:

„Dlaczego korzeń rośnie na dół a łodyga do góry“?

PRZEZ

E. G.

Jest rzeczą niewątpliwą, że zjawiska często najpospolitsze, na pozór najprostsze, należą właśnie do tych których naturę i przyczyny najtrudniej wyjaśnić przychodzi. Jednym z takich zjawisk zajmuje się spór o którym właśnie mowa. Nie jeden z czytelników uśmiechnie się zapewne, przeczytawszy ten tytuł i zdziwi się niepomału, jak uczeni tak błahemi rzeczami zajmować się mogą. Ale umysł naturalisty stara się poznać przyczyny i zasady każdego zjawiska, choćby tak pospolitego jak kierunek wzrostu korzenia i łodygi. Tak też to pytanie od dawna już zajmuje naturalistów, a w ostatnich latach wywołało ono w Niemczech gwałtowną polemikę pomiędzy pierwszą w botanice powagą profesorem hejdelberskim, Hofmeisterem, a młodym ale pełnym talentu naturalistą Frankiem, docentem uniwersytetu lipskiego. Zwycięstwo o ile nam się zdaje, nie stoi tym razem po stronie powagi. Prócz tych głównych, brali jeszcze w tym sporze udział i inni zapaśnicy. Pragnąc być zrozumiałymi dla każdego, nie tylko dla ludzi zajmujących się botaniką, przypomnimy niektóre elementarne dane anatomiczne, konieczne do zrozumienia w mowie będącej kwestyi.

Wszystkie rośliny składają się ostatecznie z komórek. Komórki są to różnego kształtu pęcherzyki, zwykle ograniczone błoną i wypełnione rodzajem w pół płynnej masy, zwaną protoplasmą. Zgęszczenie tej masy w pewnym punkcie stanowi jądro komórkowe. Wewnątrz tej protoplazmy znajduje się jeszcze jedna lub kilka mniejszych lub więcej obszernych jam, (*vacuolae*) wypełnionych płynem różnym

od wody t. z. sokiem komórkowym. Niepotrzebujemy dodawać, że komórki a tém bardziej ich części składowe gołym okiem ani nawet lupą rozemnać się nie dadzą, można je widzieć tylko przy pomocy kilkadziesiąt lub kilkaset razy powiększającego mikroskopu. Wzrost roślin następuje przez mnożenie się i wzrost komórek. Mnożenie się następuje najczęściej przez t. z. dzielenie, polegające na tém, że wewnątrz komórki już istniejącej występuje ścianka rozdzielająca ją na dwie nowe komórki, które rosną i znów w ten sam sposób dzielić się mogą. Komórki razem złączone stanowią to, co nazywamy tkanką komórkową. Rośliny niższe często przez całe życie, wyższe w pierwszych stadyach rozwoju ¹⁾, składają się z tkanki zupełnie jednolitej, to jest wszędzie z jednakowych złożonej komórek, bez wyróżnienia się jakichkolwiek warstw w tejże. W dalszym rozwoju wyróżniają się tak zwane systemy tkanek.

Wyróżnianie zaczyna się przedewszystkiem od tego, że wewnętrzna masa dąży do oddzielenia się od świata zewnętrznego jedną lub kilku warstwami różnych od reszty komórek zazwyczaj ze ściankami silniej zgrubiałymi i w ten sposób powstaje *tkanka skórna*.

Takie wyróżnienie dwóch tylko systemów tkanek napotykamy w łądydze większej części mchów.

Ale u wyższych roślin wyróżnianie to idzie dalej: w samej tej wewnętrznej tkance wyróżniają się podłużne masy wydłużonych komórek stanowiąc tak zwane wiązki włókno nacynne, pozostała zaś tkanka nosi nazwę tkanki zasadniczej; pierwsza ma przeważnie charakter prosenchymatyczny, druga parenchymatyczny. Tkanki proaerenchymatyczne są to takie, których komórki są silnie wydłużone, kształtu mniej więcej wrzecionkowatego, przez co trudno jest w nich odróżnić ścianki podłużne od poprzecznych, tak dalece ostatnie są ukośnie położone. Tkanki parenchymatyczne złożone są z komórek, mających mniej więcej wszystkie trzy wymiary jednakowe, a chociaż i jeden kierunek znacznie przeważa, to ścianki ich poprzeczne są wyraźnie od podłużnych wyróżnione i mniej więcej pod kątem prostym do nich nachylone. Naturalnie między temi dwoma formami mogą być różne przejścia. Pierwsze ślady wiązek włóknonaczynnych w królestwie roślinnem znów napotykamy u niektórych mchów, gdzie stanowią środkową oś łądygi. Są one tu jednak, że tak powiemy, dopiero w zawiązku; od pozostałej tkanki różnią się tém tylko, że ich komórki są dłuższe i węższe. U wyższych roślin t. z. naczyniowych, wiązki włóknonaczynne pierwotnie przy powstawaniu są także tak prostej budowy, złożone

¹⁾ U roślin jednokwiatowych tych pierwszych stadyj, szukać należy w rozwoju nasienia.

z wiązki wydłużonych komórek z cienkimi bardzo ścianami, i czyli t. z *procambium*. Komórkite są wewnątrz obficie wypełnione protoplasmą a silnie się dzieląc sprowadzają wzrost i dalsze kształtowanie się wiązki włóknonaczynnej. Przy tym wzroście nie wszystkie komórki zostają jednako-
kowe; komórki zwrócone na wewnątrz organu wyróżniają się od tych, które leżą bliżej jego obwodu; pierwsze są dłuższe, węższe, ze ściankami silniej zgrubiałemi aniżeli ostatnie; pierwsze stanowią część drzewną, ostatnie część korową wiązki włóknonaczynnej. Następnie w obu tych częściach wyróżniają się znowu rozmaite elementa: w części drzewnej naczynia włókno-drzewne, parenchyma drzewna; w części korowej naczynia sitowe, łyko, parenchyma korowa. Nie będziemy opisywać każdej z tych części z osobna, za dalekoby nas to doprowadziło; wspomnimy tylko że naczynia są to długie rurki, powstałe z ułożenia się wielu komórek obok siebie i ze zniknięcia ścian które je od siebie dzieliły. Z powodu swego rurkowatego kształtu otrzymały nazwę naczyń niby na podobieństwo naczyń (żył) u zwierząt, choć zresztą podobieństwo to jest tylko zewnętrzne. U wyższych roślin skrytokwiatowych (paproci, nasierżałów, skrzypów, widłaków, u jednoliściennych (traw, turzyc, kosaćców, lilij, palm i t. d.), po wyróżnieniu się rozmaitych elementów wiązek włóknonaczynnych, dzielenie się w komórkach *procambium* ustaje, i same one stanowią już tylko równoznaczną z innemi część składową wiązki, t. z. naczynia właściwe. Takie wiązki włóknonaczynne dalej nie rosną i zowią się zamkniętymi, to też i łądygi tych roślin doszedłszy pewnego wieku dalej nie grubieją,

U roślin znowu dwuliściennych, jak np. u wszystkich naszych drzew i krzewów i po wyróżnieniu się różnych elementów wiązki włóknonaczynnej, zostaje między częścią drzewną i korową tejsze warstwa komórek, która wciąż się dzieli, wydając nowe części kory z jednej, nowe części drzewa z drugiej strony. Takie wiązki włóknonaczynne, rosnące przez całe życie rośliny, zowią się otwartymi, a rośliny niemi opatrzone wciąż grubieją, i często bardzo znacznej, jak na naszych drzewach widzimy, dochodzą grubości.

Zanim przejdziemy do właściwego przedmiotu, zastanowimy się jeszcze w krótkości nad budową korzeni i łądygi. W ogólności u tych dwóch organów zasadniczej różnicy w budowie nie napotykamy wcale, owszem częstokroć może być rzeczą sporu, czy dany organ za korzeń, czy za łądygę poczytać mamy. Nie wdając się w szczegóły i różnice pomiędzy pojedynczemi grupami roślin, zcharakteryzujemy ogólną budowę tych organów. Korzenie na zewnątrz ograniczone są warstwą komórek, zwaną naskórkiem; z niej wychodzą liczne delikatne i wydłużone komórki, zwane włoskami korzeniowemi. Rzeczywi-

ście zdrowy i młody korzeń wydaje się jakby delikatnym puchem pokryty. Za pomocą tychto włosków korzeniowych, czerpie roślina pożywienie z ziemi. Pod naskórkim znajduje się parenchymatyczna tkanka korowa, która stanowi przeważną część całej masy korzenia; zazwyczaj można w niej różnić dwie części: zewnętrzną, z komórek ściśle do siebie przystających złożoną i wewnętrzną mniej więcej obszernie przestworami międzykomórkowemi opatrzoną. Przystwory międzykomórkowe, są to odstępy między ściankami sąsiednich komórek, wypełnione powietrzem. Oś korzenia stanowi wiązka włóknonaczynna, albo liczne wiązki w jeden niejako złane cylinder; czestokroć w środku tego cylindra wyróżniona jest jeszcze tkanka, z krótkich mniej więcej okrągłych komórek, między którymi widoczne przestwory międzykomórkowe; tkanka ta stanowi rdzeń. Oprócz tych wszystkich elementów, wierzchołek korzenia, na przestrzeni jednego mniej lub więcej milimetra, pokryty jest jakby czepeczkiem z okrągłych komórek złożonym, który nosi dlatego nazwę czepeczka korzeniowego. Na samym wierzchołku czepeczek ten złożony jest z kilkunastu szeregów komórek, ku tyłowi jest coraz cieńszy. Komórki jego są z sobą najprzód dość ściśle, później ku zewnątrz coraz wolniej połączone, obsychają wreszcie i odpadają od korzenia, przez co choć czepeczek rośnie tak długo jak i sam korzeń, nigdy prawie większych nie przybiera rozmiarów. Ten czepeczek jest dla nas z dwóch względów ważnym; najprzód jest on wyłącznie i powszechnie korzeniom właściwy; z tego powodu stanowi najważniejsze kryterium w tém, czy organ jaki za korzeń czy za łodygę począć mamy; powtóre, że w sporze którym się zająć mamy, gra on ważną rolę, którą mu przypisywał Hofmeister, a której stanowczo zaprzeczał Frank. Budowa łodygi, jest więcej skomplikowaną, ale dla nas w tej chwili mniej ważną; krótko więc tylko o niej wspomnimy. Przedewszystkiem są wybitne różnice między wyższemi skrytokwiatowemi i jednoliściennemi z jednej a dwuliściennemi z drugiej strony. Różnic tych już po części dotknęliśmy, mówiąc, że pierwsze mają wiązki zamknięte, drugie otwarte; z czego znów wynikają różnice w ułożeniu wiązek włóknonaczynnych: u skrytokwiatowych i jednoliściennych wiązki włóknonaczynne są bez widocznego porządku, rozrzucone w tkance zasadniczej; u dwuliściennych tworzą one zamknięty pierścień, rozdzielający tkankę zasadniczą na część wewnętrzną czyli rdzeń, i część peryferyczną czyli korę.

U jednych i drugich tkanka skórna różnej u różnych roślin budowy, otacza na zewnątrz całą łodygę.

Mając już teraz potrzebne nam anatomiczne dane, możemy się zająć samem pytaniem spornem, o przyczynie różnicy w kierunku wzrostu korzenia i łodygi.

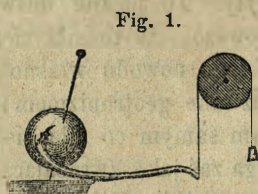
Przedewszystkiem musimy skonstatować sam fakt, czy rzeczywiście jest to w naturze rzeczy, że korzeń zawsze na dół, a łodyga zawsze do góry rosnąć musi? Że tak jest, możemy się o tém przekonać doświadczeniem bardzo prostem. Wymijmy z ziemi nasionko kiełkujące, które już wypuściło piórko, umieścimy je w wilgotnem miejscu, tak aby korzonek był skierowany w górę a łodyga na dół: już po paru godzinach spostrzeżemy, że koniuszek korzonka w odległości około dwóch milimetrów od swego wierzchołka zagiął się na dół, a następnie już ciągle rośnie w tym kierunku. Przeciwnie łodyżka, jakkolwiek na dół zwrócona, zagina się w górę coraz silniej, aż dojdzie do kierunku w którym dalej rośnie. W jakimkolwiek położeniu umieścilibyśmy nasienie kiełkujące, zawsze ten fakt się powtórzy, tak, że zmieniając stosownie co kilka godzin położenie nasienia, można w różnych dowolnych kierunkach powyginać korzonek.

Już oddawna zadawali sobie botanicy pytanie, jaka to siła nadaje ten tak wybitny kierunek dwom najważniejszym organom roślinnym. Pytanie to stanowczo, ale nie zupełnie, rozwiązał już w r. 1806 angielski naturalista Knight. Jego klasyczne doświadczenie, do dziś dnia w każdej pracowni botanicznej powtarzane, dowodzi w sposób niezaprzeczony, że siłą nadającą stały kierunek wzrostowi korzenia i łodygi jest siła ciężkości. Doświadczenie to polega na zmienieniu kierunku działania siły ciężkości, przez połączenie jej z siłą odśrodkową. Przyrząd do tego służący nosi nazwę aparatu rotacyjnego. Nasiona kiełkujące umocowuje się nad poziomą płytą okrągłą, której za pomocą odpowiedniego mechanizmu nadaje się szybki ruch wirowy. Aby uniknąć wpływu pędu powietrza, roślinki pokrywa się szklannym kloszem. W ten sposób oprócz pionowej siły ciężkości, działa na roślinkę pozioma siła odśrodkowa wielkość tej ostatniej zależy naturalnie od szybkości obrotu i odległości roślinki od osi obrotu; z tych dwóch danych, wielkość ta może być obliczona. Ponieważ wielkość siły ciężkości jest stała, więc kierunek wypadkowej obu tych sił, tem bardziej zbliżać się będzie do poziomego, im siła odśrodkowa będzie większa, czyli im szybkość i promień obrotu będą większe. W tych warunkach kierunek korzonka i łodygi nie zostaje pionowym, ale nachyla się ku poziomemu i to tem więcej, im szybszy jest obrót i im dalej roślina od środka płyty jest oddalona. Tak więc ze zmianą kierunku siły ciężkości, zmienił się i kierunek wzrostu roślinki i to w ten sposób, że korzonek rośnie w kie-

runku w jakim działa siła (teraz wypadkowa ciężkości i odśrodkowej) łodyżka w kierunku przeciwnym. Toż samo stwierdza się, jeżeli oś obrotu jest pozioma a płaszczyzna obrotu pionowa, wtedy kierunkiem roślinki jest promień obrotu, korzonek zwrócony ku obwodowi, łodyżka ku środkowi płyty. To piękne doświadczenie angielskiego uczonego dowiodło stanowczo, że to siła ciężkości orientuje kierunek wzrostu rośliny. Z tego powodu własność roślin utrzymywania stale tego kierunku, nazwano geotropizmem; mówiąc, że korzenie jako zwracające się w tym samym co siła ciężkości kierunku, mają geotropizm dodatni, łodyga zaś jako zwracająca się w kierunku przeciwnym, geotropizm ujemny. Zdawałoby się, że w ten sposób kwestya została stanowczo rozwiązana i że nowsi botanicy nie mają się o co tak zajadłe spierać. Tak jednak nie jest, spór datuje się właśnie od doświadczeń Knight'a, bo naturaliscie nie dosyć jest wiedzieć, że dane zjawisko wywołuje ta a nie inna siła,—on pyta się jeszcze w jaki sposób ona to swoje działanie wywiera, dla czego jej działanie to zjawisko wywołuje i wywołać musi? Dopiero kto na te pytania znajdzie zadawalniającą odpowiedź, gdy poprze ją doświadczeniami, gdy okaże, że nie istnieje żaden fakt, któryby z tą odpowiedzią był w sprzeczności, dopiero ten będzie się mógł poszczycić, że pytanie rozwiązał, że zjawisko wyjaśnił. Niestety! wyrzec musimy, że w naszej kwestyi takiego objaśnienia dotąd nie mamy, owszem przed kilku laty zdawaliśmy się bliżsi rozwiązania, aniżeli dziś. Nie mniej jednak ciekawe są próby w tym kierunku robione; tém więcej, że wyszły one od mężów na świeczniku nauki stojących. Żywa polemika często nawet przekraczająca właściwe granice poważnej naukowej dyskusyi, jaka się z tego powodu wywiązała, dowodzi, jak namiętnie człowiek dąży do wiedzy, jak dręczy go każda zagadka, skoro nawet tak drobne i obojętne na pozór pytania, tak żywo poruszać go mogą. Pierwszym, który próbował objaśnić wpływ siły ciężkości na kierunek wzrostu roślin, był ten sam Knight, którego genialnemu doświadczeniu udowodnienie tego wpływu zawdzięczamy.

Knight twierdził, że korzenie dla tego zaginają się na dół, że końce ich złożone z miękkiej, niejako współpłynnej tkanki, biernie sile ciężkości ulegają. Łodygi zaś dla tego według Knighta zaginają się w górę, że gdy są w położeniu ukośnem lub poziomem, to dolna ich strona skutkiem większego napływu soków spowodowanego ciężaniem ich na dół, silniej jest odżywiona, prędzej rośnie, co powoduje zgięcie w górę.

W r. 1828 Johnson ogłosił doświadczenie zbijające tłumaczenie Knigtha. Jeden koniec nitki przewieszony przez poziomy drążek ¹⁾ umocował do koniuszka poziomo umocowanego korzonka, drugi obciążał małym ciężarkiem. Mimo to korzonek zagiął się na dół a ciężarek został podniesiony. Ponieważ ciężarek ważył więcej aniżeli zagięta część korzonka, więc twierdził Johnson, że korzonek zaginając się



musiał wykonać pewną mechaniczną pracę, a więc nie mógł wyłącznie biernie siłę ciężkości ulegać, bo wtedy raczej w górę zagiąby się musiał.

Z anatomicznej budowy korzenia i łodygi próbował w dość dowcipny sposób wyjaśnić naszą kwestyę Dutrochet, ale że dane, na których się opierał były w znacznej części fałszywe, więc jego hipoteza, jakkolwiek świadcząca o bystrości umysłu, nie ma dziś żadnej wartości, dla tego opisywać jej nie będziemy.

Wiegand, krytyk Dutrocheta był jeszcze mniej od niego w objaśnieniu szczęśliwy, owszem tłumaczenie jego prowadziło poniekąd do wprost przeciwnych założeniu rezultatów.

W r. 1863 ogłosił Hofmeister rozprawę: „O kierunkach organów roślinnych oznaczonych przez siłę ciężkości” ²⁾, w niej wznowił i rozwinął teorię Knight'a, starając się poprzeć ją licznymi doświadczeniami.

Zanim przystąpimy do przedstawienia pojęć Hofmeistera, musimy jeszcze zboczyć do jednej kwestyi fizyologicznej, ściśle z niemi związaną, a mianowicie musimy sobie wyrobić pojęcie o tem, co botanicy nazywają naprężeniem tkankowym (*Gewebespannung*).

Powyżej rozróżniliśmy w anatomicznych częściach składowych rośliny naskórek, tkankę zasadniczą korową, wiązki włóknonaczynne i tkankę zasadniczą osiową czyli krótko: naskórek, korę, drewno i rdzeń. Jeżeli zmierzmy dokładnie długość kawałka np. łodygi jakiegokolwiek rośliny, a następnie ostrym nożem oddzielimy każdą z tych tkanek, i będziemy mierzyć ich długości w tak odosobnionym stanie, to przekonamy się, że naskórek, kora i drewno będą krótsze, rdzeń dłuższy od organu w całości. Najkrótszym jest zawsze naskórek, kora już bywa krótszą już dłuższą od drewna, rdzeń zawsze najdłuższy. Skutkiem tego w całym organie nastąpić musi pewne

¹⁾ W załączonej figurze drążek zastąpiony jest ruchomym bloczkiem, co jest ulepszeniem późniejszych experymentatorów.

²⁾ Pringsheim Jahrbücher f. Wiss. Bot. B. III.

naprężenie, bo jest on za krótki w stosunku do rdzenia, za długi w stosunku do kory drzewa i naskórka. To naprężenie jest właśnie głównym powodem tej sztywności i sprężystości, często bardzo cienkich organów roślinnych. W tym względzie porównywują organ roślinny ze sprężyną stalową, umieszczoną w worku kauczukowym, który jest od niej krótszy. Sprężyna ta wyciąga się i napręża kauczuk, póki na to pozwoli jego elastyczność. Cały ten przyrząd będzie za długi w stosunku do kauczuku, za krótki w stosunku do sprężyny. Rzeczywiście po rozebraniu przyrządu sprężyna wyciągnie się, kauczuk skurczy do swoich pierwotnych wymiarów. Jeżeli teraz pomyślimy sobie w miejsce jednego trzy takie worki kauczukowe różnej długości, tkwiące jeden w drugim i obejmujące sprężynę, to będziemy mieli zupełny obraz organu roślinnego w nim, sprężyną jest rdzeń, najkrótszym zewnętrznym workiem kauczukowym naskórek, dwoma drugimi kora i drewno. Wszystko razem stanowi jeden naprężony system, ale po rozdzieleniu każda część wraca do właściwej sobie długości. O istnieniu takiego naprężenia w roślinach możemy się jeszcze przekonać bardzo prostym doświadczeniem, bez żadnego mierzenia. Przetnijmy wprost w podłuż kawałek łądygi, a zobaczymy, że połowy jej nie zostaną prostymi, ale wygną się wklęsłością od strony naskórka, wypukłością od strony rdzenia. To wygięcie pochodzi naturalnie stąd, że po zniszczeniu równowagi istniejącej w organie, każda część jego dąży do przybrania właściwej sobie długości, a więc rdzeń nie znajdując już z jednej strony przeszkody, wydłuża się, naskórek kurczy, skutkiem czego następuje wygięcie tym większe, im organ większe naprężenie posiadał. To doświadczenie jest najprostsze i najczęściej używane do przekonania się, czy i w jakim stopniu pewien organ posiada naprężenie tkankowe.

Jeszcze słówko o przyczynie naprężenia tkankowego. Według ogólnie przyjętej dzisiaj w nauce teorii, błony komórek roślinnych złożone są z niezmiernie drobnych podwójnie światło łamiących kryształków, (których nawiasem mówiąc żadnym mikroskopem widzieć nie można), które Nageli twórca tej teorii nazywa molekułami. Te molekuły nie stykają się z sobą bezpośrednio, ale każdy z nich jest otoczony warstewką wody, która go oddziela od drugich. Nie będziemy wchodzić w szczegóły tej pięknej teorii, wspomnimy tylko, że stosuje się ona nie tylko do błon komórkowych, ale także do krochmalu i protoplazmy, i że Nageli wyprowadził ją ze swoich badań nad zachowaniem się względem światła spolaryzowanego tych ostatecznych części składowych roślin, jakie jeszcze najsilniej uzbrojonym okiem widzieć się dają. Wspomnieliśmy, że każdy z tych

molekułów w błonce komórki roślinnej otoczony jest warstewką wody, która go oddziela od innych, ale grubość tych warstewek nie zawsze zostaje jednakowa, może się zmniejszać lub zwiększać stosownie do wewnętrznych okoliczności, a głównie stósownie do ilości wody, jaką napotyka wewnątrz komórki. Gdy przypływ wody jest obfity, molekuły otaczają się grubszymi warstewkami wody, a tém samym od siebie się oddalają, i cała błona powiększa swoją objętość. Ta własność pochłaniania w stosownych okolicznościach pewnej ilości wody, nazywa się zdolnością imbibicyjną błon komórkowych. Otóż nie wszystkie błony posiadają tę zdolność w jednakowym stopniu, w tych samych warunkach jedne mogą więcej, drugie mniej wody pochłonać, a tém samym jedne więcej, drugie mniej się rozciągnąć. Te właśnie różnice są powodem naprężenia tkanek. Błony komórek rdzenia mają zdolność imbibicyjną większą, aniżeli błony drewna, kory i naskórka. Błony komórek naskórka mają ze wszystkich najmniejszą zdolność imbibicyjną. To też wobec dostatecznego przypływu wody (jak w normalnych warunkach życia roślinnego) rdzeń najsilniej, naskórek najsłabiej się rozciąga, a rezultatem tego jest naprężenie tkankowe. Z tego wynika, że gdy wody zabraknie, naprężenie tkankowe ustać musi, i rzeczywiście w czasie suchych dni widzimy więdnienie organów roślinnych, które nie jest czém innym, jak brakiem naprężenia tkankowego. Ze rzeczywiście naprężenie tkankowe pochodzi od niejednakowego pochłaniania wody przez błony roślinne, łatwo i stąd przekonać się możemy, że przecięte organa roślinne wyrównywają swoją krzywiznę, gdy je włożymy do środków odciągających wodę np. do skoncentrowanego roztworu cukru. Na zakończenie powiemy jeszcze, że naprężenie istnieje nawet w błonach pojedynczych komórek, pomiędzy ich zewnętrznymi i wewnętrznymi warstwami. Po tém może nieco za długiemi, ale usprawiedliwionemi swoją ważnością zбочeniami, wracamy do naszej kwestyi, a mianowicie do pojęć Hofmeistera o sposobie działania siły ciężkości na kierunek wzrostu roślin. Najprzód zajmiemy się korzeniami, później łodygami.

Korzenie, jak wiadomo, stale zwracają się na dół, choćby były sztucznie w inne wprowadzone położenie. Przyczynę tego widzi Hofmeister w braku naprężenia tkankowego w końcowej części korzenia. Rzeczywiście przeciąwszy w podłuż koniec korzenia na przestrzeni około 2 mil m. zobaczymy, że obie połowy zostaną proste, choćbyśmy nawet włożyli je w wodę. Ten brak prężności tkankowej sprawia według Hofmeistera, że koniec korzenia jest niejako złożony z plastycznej masy, która biernie działaniu zewnętrznych sił ulega. Skutkiem tego pod działaniem siły ciężkości zagina się na dół, zupełnie tak (według porównania samego Hofmeistera) jak kawałek

na w pół roztopionego laku. Rozgrzawszy koniec laski laku nad świecą i trzymając ją w położeniu poziomém, będziemy mieli w zasadzie zupełnie to samo zjawisko, jakie zdaniem Hofmeistera odbywa się w korzeniach z położenia normalnego wyprowadzonych. Ten plastyczny koniec korzenia nie rozciąga się dalej jak 2 mili m. od końca. W ogóle jest rzeczą udowodnioną, że korzeń tylko na przestrzeni około 4 mili m. od końca w podłuż rosnać może; że tak jest, okazał jeszcze w 1837 r. Ohlert. Porobił on na całej długości rosnącego korzenia kréski, z których każda o 1 mili m. od następnej była oddaloną: po pewnym czasie mierzył znów odstęp między kreskami i przekonał się, że tylko odległości między kilku najbliższymi końca zwiększyły się, inne pozostały niezmiennie.

Od tego czasu wielu bardzo botaników to doświadczenie powtarzało, a wszyscy z jednym skutkiem. Muller robił te doświadczenia nawet z pedantyczną dokładnością, odstęp między kréskami mierzył za pomocą katetometru, a z tych mierzeń powyprowadzał nawet matematyczne formuły. Nie cała część korzenia wydłużająca się jeszcze jest według Hofmeistera plastyczną, owszem miejsce, w którym się komórki najsilniej wydłużają, nie jest już plastycznym. To właśnie jest powodem, że koniec może wrastać głęboko w ziemię. Koniec bowiem korzenia przez swoją plastyczność wciska się między szczeliny ziemi, grubienie jego rozsuwa jej cząsteczki, a wydłużająca się tkanka po za tą częścią plastyczną leżąca wypycha go dalej w ziemię.

Ale nie wszystkie korzenie posiadają w jednakowym stopniu własność zaginania się na dół, widzimy owszem, że boczne korzenie często w poziomym rozrastają się kierunku. Hofmeister i tych zjawisk nie zostawił bez wyjaśnienia, a do wytłumaczenia ich służy mu ów czepeczek korzeniowy, pokrywający wierzchołek korzenia, o którym powyżej już mówiliśmy. Ten czepeczek korzeniowy, mówi Hofmeister nie jest plastyczny, ale stały i stwardniały, to też nie dozwala zagiąć się części korzenia, którą okrywa. Tylko więc o tyle biernie zagięcie na dół korzenia miejsce mieć może, o ile nie cała część jego plastyczna tkwi w czepeczku korzeniowym. Im większą jest część plastyczna poza czepeczkiem położona, tém łatwiej korzeń na dół zaginać się może. Gdy korzeń rośnie bardzo powoli, jak to ma miejsce właśnie z korzeniami bocznymi, cała jego część plastyczna okryta jest czepeczkiem. Z tego też powodu może on rosnać w ukośnym, a nawet poziomym kierunku. Im zaś wzrost korzenia jest szybszy, tém większą posiada przestrzeń plastyczną z czepeczka wystającą, tém też łatwiej owemu biernemu zaginaniu się na dół ulegać może.

Tę swoją teorię popiera Hofmeister następującymi doświadczeniami, około których obraca się spór cały.

1. Jeżeli kiełkującą roślinkę umocujemy na poziomej płycie, tak aby korzeń leżał na tej płycie, to on rosnąć będzie dalej, ściśle przylegając do niej. Wprawdzie zdarzają się od tego wyjątki, ale Hofmeister tłumaczy je w następujący sposób: tylko sam koniec korzenia jest plastyczny i pozbawiony naprężenia tkankowego, dalsze jego części są naprężone, a tym samym zdolne do zaginania się w górę, bo jak zobaczymy niżej, zdolność zaginania się w górę wspólną jest wszystkim organom roślinnym, których tkanki są naprężone. Może się więc zdarzyć, że część starsza korzenia zagnie się w górę, przez co koniec korzenia zostanie nad płytę wzniesiony i teraz ulegając biernie swemu ciężarowi zagnie się na dół, a doszedłszy do płyty wesprze się na nią; tak że zdawać się będzie, jakby właśnie to zagięcie się na dół korzenia było powodem odstawania korzenia od płyty. Złudzenie jest jeszcze większe, jeżeli zaginanie się w górę następuje bardzo powoli, bo wtedy jednocześnie z niem koniec korzenia zagina się na dół, tak iż odstawania jego od płyty wcale widzieć nie można.

2. Jeżeli z końca korzenia odetniemy w podłuż połowę i umieścimy go poziomo, to jeżeli tylko korzeń zostanie przy życiu, koniec jego zagnie się na dół, bez względu na to, czy powierzchnia przecięcia na dół czy do góry była zwróconą.

3. Jeżeli korzeń pionowo rosnący trafia na twardą przeszkodę, to spłaszcza się na nią, jakby był gwałtem do niej przyciśnięty. Wydłużanie się więc tkanki, pchające naprzód plastyczny koniec korzenia, spłaszcza ten ostatni.

4. Jeżeli korzeń natrafia na szparę lub otwór między przedmiotami stałymi, to masa jego zastosowuje swój kształt do tej szpary i wchodzi w nią.

5. Jeżeli korzeń napotyka na środek większej od siebie gęstości, np. jeżeli korzonek rośliny kiełkującej umieszczony będzie nad rtęcią, to wejść w nią nie może; ale owszem, jeżeli już w nią jest zanurzony, to zagnie się w górę, i wyszedłszy na jej powierzchnię czołga się po niej. To doświadczenie jest może najbardziej stanowczem ze wszystkich, bo jeżeli tylko pod wpływem ciężaru korzenie dążą na dół, to w środku większej od swojej ciężkości gatunkowej, stanowczo do góry a nie na dół zagiąćby się musiały. To też doświadczenie to najzaciętszą jak zobaczymy wywołało polemikę.

6. Hofmeister umieścił w aparacie rotacyjnym kiełkującą kukurydzę z silnemi korzeniami. Przyrost, jaki miał miejsce w czasie obrotu, miał być dłuższy, ale węższy niż w normalnych warunkach;

po ustaniu rotacji dalszy przyrost znów był normalnej grubości, tak iż w miejscu, które przyrosło w czasie rotacji było niejako zwiększenie, co popiera hipotezę plastyczności, bo pod działaniem większej siły jak siła ciężkości, korzeń został niejako wyciągnięty. Oto są doświadczenia i obserwacje, jakimi Hofmeister swoją teorią plastyczności końców korzeni poprzeć usiłuje; zwróćmy się teraz do sposobu, w jaki uczony ten tłumaczy zaginanie się nadziemnych części roślinnych, a więc łodyg i gałęzi w górę.

W tym względzie Hofmeister niejako a priori przyjmuje, że przyczyny tej szukać należy w różnicy naprężenia tkankowego dolnej i górnej strony poziomo lub ukośnie leżącego organu; i zadaje sobie pytanie, czy zaginanie się organów nadziemnych rośliny w górę pochodzi od zmniejszania się sprężystości i zwiększania ciągliwości tkanek naprężonych, czyli téż od zwiększania się sprężystości i rozciągliwości tkanek naprężających dolnej strony organu. Jeżeli wrócimy do przedstawienia sobie organu roślinnego, jako sprężyny stalowej w krótszym worku kauczukowym umieszczonej i pomysłimy sobie ten przyrząd w poziomém położeniu, to gdyby się albo siła sprężyny zwiększyła w dolnej połowie, albo elastyczność kauczuku w téjże połowie się zmniejszyła, czyli jego ciągliwość się zwiększyła, to przyrząd musiałby się zagiąć w górę tak, że wypukłość jego na dół byłaby zwróconą. Tak samo organ roślinny musiałby się zagiąć w górę, gdyby bądź to ciągliwość naskórka, bądź to elastyczność rdzenia téjże strony uległa zwiększeniu. Któreż więc z dwojga w rzeczywistości ma miejsce? Hofmeister w odpowiedzi na to pytanie twierdzi, że zwiększenie ciągliwości tkanek naprężonych w dolnej połowie organu, jest przyczyną zaginania się jego w górę, i w tym względzie opiera się głównie na doświadczeniu, jakie wykonał z liśmi cebuli zwyczajnej. Jak wiadomo, liście te mają kształt stożkowatego cylindra, rdzenia nie zawierają ale są wewnątrz puste, ściany jego składają się z trzech tkanek, na zewnątrz jak zawsze naskórek, pod nim parenchymatyczna tkanka zielona¹⁾, zajmująca środek, na wewnątrz zaś tkanka parenchymatyczna biała, granicząca ze środkową pustą przestrzenią. Tkaną naprężającą jest tu środkowa tkanka zielona, tkanka naprężona, naskórek i tkanka wewnątrz biała. Taki liść Hofmeister nagiął do ziemi i umocowy-

¹⁾ Jak wszędzie, tak i tu zielony kolor rośliny pochodzi od drobnych ciałek zabarwionych na zielono barwnikiem zwanym chlorofilem. W tych ciałkach i za pośrednictwem tego barwniku odbywa się najważniejszy proces życia roślinnego, to jest rozkład kwasu węglowego i utworzenie materiału na błony komórkowe tj. krochmalu.

wał w tém położeniu,—po pewnym czasie liść samodzielnie zagiął się w górę. Jeżeli teraz z miejsca, w którym nastąpiło zagięcie ściągnięto naskórek, to liść prostował się. Ten fakt poczytuje Hofmeister za stanowczy dowód, że przyczyna zaginania się w górę leży w naskórku, mianowicie w zwiększeniu się jego ciągliwości na dolnej stronie organu, przez co z tej strony zmniejsza się opór stawiany tkankom naprężającym w jej dążności do wydłużania się. Prócz tego obserwował Hofmeister, że rdzeń dopiero co zagiętych organów wielu roślin np. maliny, przymiotu (*erigeron*), nocnej świecy (*oenothera*) winorośli prostuje się, gdy zostaje odosobniony; więc w nierówności siły naprężającej rdzenia przyczyna zaginania leżeć nie może, ale szukać jej należy w nierównej ciągliwości tkanek naprężonych tj. naskórka i drewna.

Nawet niektóre jednokomórkowe organy mają zdolność geotropicznego zaginania się w górę, tak np. łodygi nitelli albo ogonki podpierające t. zw. *Sporagia* a *mucor mucedo*, jednej z najpospolitszych pleśni. Przypatrując się uważnie tej pleśni, zobaczymy delikatne pręciki, z których każdy zakończony jest małym pęcherzykiem, te pęcherzyki są to t. zw. *sporangya*, w nich powstają t. zw. spory, drobne kuleczki, zastępujące niejako u grzybów nasienie, bo służące do ich rozmnażania. W ogóle twierdzi Hofmeister, że dążność do zaginania się pewnego organu w górę jest tém silniejszą, im prężność tkankowa jest u niego większą. Za przykład stawia między innymi zwyczajny bluszcz (*hedera helix*). Ogonki liściowe posiadają u niego bardzo silne, łodygi bardzo słabe naprężenie tkankowe, to też pierwsze z wszelką łatwością, drugie trudno zaginają się w górę.

Co do sposobu, w jaki siła ciężkości zwiększa ciągliwość tkanek naprężonych dolnej połowy organu wyprowadzonego z pionowego położenia, Hofmeister twierdzi, że przez jej bezpośrednie działanie woda stale w tkankach roślinnych obecna, nagromadza się silniej na tej stronie i rozpycha molekuly w błonach komórkowych, przez co same te ostatnie bardziej rozszerzać się muszą.

Taką jest w ogólnych zarysach teoria, jaką Hofmeister dla wytłumaczenia działania ciężkości na kierunek wzrostu organów roślinnych postawił. Ma ona dla umysłu niewątpliwy powab przez swoje zaokrąglenie i konsekwencyą, z jaką tłumaczy odnośne zjawiska przyrody i nosi niewątpliwie na sobie piętno bystrości umysłu, jaka cechuje wszystkie prace tego znakomitego naturalisty. Zaciętości, z jaką Hofmeister bronił tej teorii, zupełnie dziwić się nie będziemy, gdy zobaczymy próżnię niczém dotąd nie wypełnioną, jaka po jej zwaleniu pozostała w nauce. Ale prawdziwa nauka nie

cofa się nawet przed taką próżnią, kiedy idzie o prawdę. To téż jak każda, tak i ta teorya, aby się ustalić, musiała przejść przez ogień doświadczenia; czy z niego wyszła zwycięzko, to niżej zobaczymy.

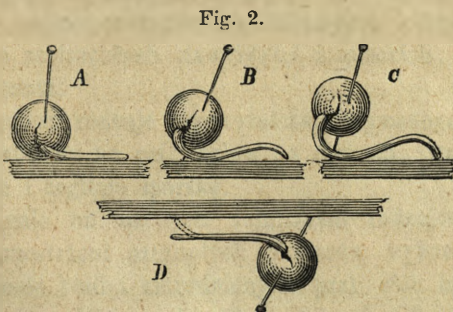
Przeciwno teorii Hofmeistera wystąpił w r. 1868 Frank, docent uniwersytetu w Lipsku w rozprawie pod tytułem: „O ruchach części roślinnych spowodowanych przez działanie siły ciężkości“. („Ueber die durch Schwerkraft verursachten Bewegungen der Pflanzentheilen“), która wraz ze swoją rozprawą habilitacyjną innej treści ogłosił pod wspólnym tytułem „przyczynków do fizjologii roślin“ („Beiträge zur Pflanzen-Physiologie, Leipzig 1868). Nie godzi on się ani na objaśnienie Hofmeistera zaginania się korzeni na dół, ani na jego tłumaczenie zaginania się w górę nadziemnych części roślinnych.

Więc najprzód co do korzeni:

Aprioryczne zarzuty, jakie Frank w tym względzie robi Hofmeisterowi, są małej wagi, dla tego je pominiemy i przejdziemy do danych doświadczalnych.

Przedewszystkiém Frank zauważył, że zaginanie się na dół korzeni nie jest bezwzględną koniecznością, że wprawdzie rzadko i tylko wyjątkowo, jednak zdarza się, że koniec korzenia bez żadnego widocznego powodu chwilowo zagina się w górę. Fakt ten z biernym uleganiem sile ciężkości pogodzić się nie da, bo takie uleganie żadnych nie cierpi wyjątków.

Powtarzając doświadczenia odnośnie do kiełkowania nad poziomami płytami, Frank nigdy nie widział, aby koniec korzenia przez zagięcie w górę starszych części tego organu został od płyty podniesiony. Najczęściej zdarzało się, że jak okazuje figura 2, pomiędzy końcem korzenia i jego dalszą częścią, korzeń zaczyna od płyty coraz więcej odstawać, sam zaś koniec ciągle jest wsparty na



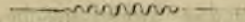
płytcie, silniej nawet, niż dalsze części korzenia, jak się łatwo przekonać można podnosząc zwolna roślinkę z nad płyty.

Widocznie więc to wzniesienie nastąpiło skutkiem usiłowania korzenia zagięcia się na dół. Zdarzało się wprawdzie czasem, że korzeń i dalej przylegał do płyty i rósł w prostym kierunku, ale gdy go wyjęto i odwrócono, tak że strona pierwiej dolna teraz zwróconą

była w górę (z położenia B w D), to koniuszek korzenia stale po pewnym czasie zaginał się w górę, a więc w kierunku wprost przeciwnym temu, jakby wypływało z teorii Hofmeistera.

Że korzeń, któremu odcięto połowę podnożną, mimo to zagina się na dół, bez względu na to, która strona jest do ziemi zwróconą, nie dowodzi to plastyczności korzenia, i bierności tego ruchu; owszem jak zobaczymy, to samo ma miejsce i przy zaginaniu się łodyg w górę choć przecie i Hofmeister to ostatnie za czynne uznaje. Spłaszczenia się końca korzenia przy napotkaniu stałej przeszkody Frank nigdy nie obserwował.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PROGI HANDLU ZBOŻOWEGO.

przez

J. N. SADOWSKIEGO.

II.

Jest to rzeczą powszechnie wiadomą, że cena zboża każdej miejscowości w obszarze produkcyjnym o tyle jest niższą od ceny najlepszych targowisk obszaru spożywającego, ile kosztu przewozu i zyski pośredniczących w coraz dalszej sprzedaży wynoszą.

Żeby więc zyskać możność rozpatrzenia się w przyczynach często nader niskich cen różnych okolic obszaru produkcyjnego i zyskać jasny pogląd na środki możliwego ich podwyższenia, trzeba obeznać się dokładnie z wszystkimi rodzajami używanego przewoźnictwa i ich względniemi kosztami, a następnie ze stosunkami głównych ognisk handlowych pośredniczących w dalszym zbyciu zboża za granicę i całym szeregiem zachodzących przytém spekulacyj, a często tylko zastarzałych nawykłości kupieckich, działających na szkodę producenta.

Mamy cztery rodzaje przewoźnictwa używanego w handlu zbożowym: przewożenie na osi, spław na rzekach, transport na kolejach żelaznych i żeglugę morską.

Przewożenie na osi jest najniższym rodzajem przewoźnictwa i tylko na przestrzeni szczupłych obszarów wykonywać się może. Samo wyżywienie koni i zatrudnionych przy nich ludzi wynosi przy transporcie tysiąca kilogramów zboża dziennie 20 kilogramów pożywniej wartości żyta. Przy odbywaniu dalekich podróży z koniecznemi odpoczynkami, nie można w przecięciu ujechać dziennie dalej, jak mil pięć. Powrót uskutecznia się prawie tym samym kosztem. Transport tysiąca kilogramów żyta zużywa więc na każde mil dziesięć

swój odstawy 80 kilogramów czyli 8% przewożonego ładunku ¹⁾. Wypada ztąd, że transport żyta wykonywany na osi w odległości mil 125 zużywa cały zapas przewożonego towaru. U pszenicy zwykle o $\frac{1}{3}$ droższej, następuje zużycie całej wartości dopiero w odległości mil 168.

Obliczenie tego rodzaju, mające tylko konieczność wyżywienia żywych istot na względzie, bez uwagi na zmuę w gospodarstwie, na wynagrodzenie pracy ludzkiej i strat wynikających ze zniszczenia żywego i martwego inwentarza, bez względu nareszcie na liczne przypadkowe straty zachodzące po drodze, zastosowanem tylko być może do czasów istnienia zaciągów, w których tego rodzaju koszta w policzenie nie wchodziły. Pozorna taniość transportu na osi, wynikała z zapoznania właściwej ogromnej drogości, polegającej na tém, że połowa gruntów (zacieżnych) obsługiwała całą swa wartością drugą połowę (dworską).

A mimo tego handel zbożowy, jeżeli miał jakiegokolwiek zyski przynosić, nie mógł dobiegać aż do wskazanych poprzednio granic zupełnego umorzenia wartości towaru, tylko zatrzymywał się musiał zdala przed ostatnią metą.

W historii handlu zbożowego na obszarze produkcyjnym była epoka wyłącznego transportu na osi. Było to w czasach, kiedy po zamięcie gminoruchów, znoszących na czas długi wszelkie wymiany międzynarodowe, żadne z państw nowo utworzonych, nie wzniosło się jeszcze do tego stopnia dobrobytu, który wyższy stopień konsumpcyjny za sobą pociąga. Pierwszy zakres większego bogactwa i zaludnienia, a z niemi i popytu za zbożem zagranicznem utworzył się za czasów cesarzy z domu saskiego i frankońskiego w klinie zawartym między Akwisgranem, Frankfurtem a Merseburgiem. Z przyległości położenia, zaopatrywanie tego klina konsumcyjnego przypadło z ziem obszaru produkcyjnego na Wielkopolskę, Małopolskę i najbliższą zachodniej granicy część Mazowsza.

Wielkopolska przez Leszno i Głogowę szukała drogi na odstawienie swych zbóż do krajów saskich, a Małopolska za pośrednictwem Krakowa i Sławkowa zastępowała niedobór przyległych jój od zachodu krain.

Małopolskie zboża szły przez Kładzko nad Elbę, a ubocznie zaopatrywały potrzeby wzrastającego Wrocławia. Ich transport lądowy z dosyć rychłym powstaniem spławów na Odrze, stracił swój charakter lądowy.

¹⁾ Porównaj: Zasady Thünera w *Der isolirte Staat* i obliczenia Roschera w *Nationalökonomik*.

Gościniec zaś zbożowy wielkopolski, zasługuje szczególnie z tego względu na bliższą uwagę, że przez wczesne użycie racjonalnego środka przetrwał epokę zamiany dróg lądowych na spławu rzeczne i aż do obecnej chwili zatrzymał znaczenie drogi odbytowej do Saksonii. Stosunkową drogość transportu na osi umiano tu wcześniej złagodzić w sposób przemysłowy.

Na okół miast w obszarze dowozowym Leszna położonych, powstały już w zamierzchłej przeszłości całe setki wiatraków, które zbywając pośledniejsze mąki na bliższych targowiskach, przesełały wyborowsze mąki do Saksonii. Zyskując przez to towar stosunkowo do wagi zboża o trzecią część droższy, przemysł młynarski umożliwiał dalsze trwanie niezbyt zresztą dalekiej drogi lądowej. W późniejszych czasach, wszystkie wiatraki Szmigła, Rydzyny, Rawicza i reszty miast lesznowskiego obszaru, przebudowane zostały na holenderskie i amerykańskie, a oprócz tego na całej drodze od Głogowy przez Żegań aż po za Kotbus powstała znaczna liczba młynów parowych, która na tej odwiecznej drodze saksońskiej, dziś już w komunikację kolejową zamienionej, utrzymuje stały odpływ zbóż wielkopolskich do swych prastarych targowisk.

Przyczyny znaniej zamożności tej części Wielkopolski, która wchodzi w zakres obszaru handlowego lesznowskiego i ciągłego przodowania jej w zaprowadzaniu coraz racjonalniejszych gospodarstw upatrywać trzeba głównie w korzyści, jakie jej od niepamiętnych czasów nadawało położenie względem drogi zapewniającej jej stały a zyskowny odbyt na płody rolnicze.

Zastanowiliśmy się nieco dłużej nad tą drogą dla tego, że jest ostatnim zabytkiem z naszej epoki wywozu zbóż na osi. Kierunkiem swym oddala się zaraz z miejsca od spławów Warty, następnie przerzyna w poprzek spławu Odry i Elby, przypominając tém właściwości wszystkich naszych dróg przedspławowych dążących na zachód.

Co do cen miejscowych, jakie w wiekach wywozu osiowego panować u nas mogły, braknie nam wszelkich danych wymieniających je w liczbie monet ówczesnych. Możemy tylko oznaczyć względny ich stosunek do cen saskich, a podług tego określić granice wywozowego obszaru ziem polskich. Uważać bowiem można za niezawodny wynik ekonomiczny z poprzedniego przedstawienia rzeczy, że miejscowe ceny obszarów nadgranicznych polskich najwyżej wynosić mogły: za żyto $\frac{1}{125}$ cen saskich za każdą milę oszczędzoną na 125 mil odległości od głównych miast konsumcyjnych, a za pszenicę $\frac{1}{168}$ cen saskich za każdą milę oszczędzoną na teje odległości. W Lesznie więc około 60 mil odległem od naj-

ważniejszych targowisk, cena żyta wynosić musiała $\frac{65}{125}$, a cena pszenicy $\frac{108}{168}$ cen saskich. Około 40 mil na wschód od Leszna, w okolicach Opoczna, ceny żyta ($\frac{25}{125}$ cen saskich) stawały się już zbyt niskimi na daleki wywóz, a kres ruchu wielko-handlowego pszenicy sięgać tylko mógł o trzecią część dalej i ustawał zupełnie za Lublinem. Miejscom tym co do odległości od targowisk zachodnich odpowiadają w Małopolsce i Rusi Jarosław i Lwów. Granice te wynikające z przypuszczeń opartych na bardzo pewnej podstawie ekonomicznej, zgadzają się też zupełnie z historycznymi tradycjami, podług których zaraz po za Lwowem i od Bugu ciągnęły się wówczas nieprzejrzone stopy w niezmierną przestrzeń wschodnich, wśród których tylko małe przestrzenie na zaspokojenie miejscowych potrzeb uprawiano.

Dziś transport na osi ogranicza się na dowóz zboża do spławów i do najbliższych stacyj kolei żelaznych. W zamierzonym przez nas celu wykazania przyczyn różnic cen zbożowych w miejscowościach pod nierównymi położonych warunkami, tylko koszta takiego dowozu nas obchodzą. W przekonaniu naszym nie oddalimy się od rzeczywistości, jeżeli po zaszczytnej zmianie stosunków włościańskich, obecne przeciętne koszta dowozu na osi w ziemiach naszych oznaczmy w wysokości, jaką Roscher (*Nationalökonomik, Kornhandel*) przed dwunastu laty za przeciętną uważał dla tych stosunków, wśród których je obliczał, t. j. po 5 groszy od centnara na milę. W oznaczaniu więc cen miejscowych zniżających się w miarę cofania się od ostatnich targowisk, policzać będziemy 100 groszy od stu kilogramów na każde mil dziesięć dowozu na osi. O ileby to wyjątkowym stosunkom pewnych miejscowości odpowiadać nie miało, każdy łatwo podług własnych danych, rachunek będzie mógł sobie sprostować.

Już z wykazanej szczupłości dawnego wywozowego obszaru ziem polskich wynika, że Polska wcześniej musiała szukać innych dróg handlowych i zmiany systemu przewoźnictwa. — Pierwsze początki chwycenia się spławów rzecznych przypadają na czas pierwszego wzrostu Gdańska a mianowicie téj chwili, kiedy miasto to wchodząc w bliższe stosunki z miastami hanzeatyckimi zapewniło sobie jakąkolwiek pewność żeglugi na morzu bałtyckim i północnym.

Największa możliwa taniaść przewoźnictwa spławowego w dzisiejszym znaczeniu polega na tém, żeby statki największej stosunkowo do własności rzeki objętości, niedoznawały żadnych zawał ani fizycznych ani politycznych w spuszczeniu się nurtem rzeki, a pod wodę całe ich szeregi mogły być holowane statkami parowemi, i że-

by tego rodzaju żegluga przynajmniej przez czas otwartej wody nieoznawała przerw z chwilowego zbyt niskiego jej stanu pochodzących.

Daleko było pierwszym początkom spławów naszych do tak określonego wzoru.

Dolne części Wisły, Odry i Niemna zostawały w rękach obcych nieprzyjaznych Polsce, rzeki polskie miały pełno zawad, zakrętów i mielizn, przytem perjodycznie pojawiający się niski stan wody wśród lata; a budowa statków rzecznych niewstąpiła nawet jeszcze na dobre w zakres dzieciństwa swego. Wśród tych okoliczności niesprzyjających powstaniu regularnych spławów, zmyślność rodzima umiała sobie poradzić w sposób najodpowiedniejszy ówczesnym stosunkom. Wiązano tratwy, obładowując je surowcami wyrobami lasów i zbożem i wszystko razem zbywano u ujść rzecznych. Towar sam się spławiający wiozł towar nieznoszący bezpośredniego spławu; obsługiwał go za śrobotnik zacieźny i spław skutecznieł się tanio, biorąc przez to górę nad transportem na osi, wciągając coraz szerszy obszar w zakres wielkiego handlu zbożowego.

Ale taki rodzaj początkującego spławiania zboża rzekami, acz zupełnie odpowiadający naturze rzek utrudniającej szczególnie powrót próżnych statków pod wodę, niemógł się długo utrzymać — bo zboże cierpiało po drodze od rzecznej i atmosferycznej wilgoci i przychodziło na targ portowy zwykle w złej kondycji.

To dało powód do zbijania obrobionego budulcu i drzewa użytkowego w statki mniej lub więcej zabezpieczające przewóz zboża, które koleją czasu przechodząc rozmaite kształty i objętości, zeszyły w końcu na używane dziś jeszcze na rzekach polskich galary (dubassy).

W statkach tych znikło już znaczenie towarowości drzewa, a nie stanęły bynajmniej na wysokości normalnych statków stałego przewozu, jakie widzimy w używanych na dolnej Wiśle i Odrze Berlinki, Jadwigi i Odrzanki.

Spławy rzeczne na tym stopniu pozostawione na małych tylko przestrzeniach mogą współzawodniczyć z kolejami żelaznymi.

Zupełnie normalny spław na Wiśle odbywa się tylko od Torunia do Gdańska. Od Torunia płaci się w czasach średnich wysełek w przecięciu 33 gr. pol. za sto kilogramów, gdy tymczasem na kołem obiegającej kolei kosztuje transport stu kilogramów groszy 54. Tu więc jeszcze spław zyskownie współzawodniczy z koleją żelazną, — Ale w górę Wisły od Torunia zmienia się ten stosunek w dość nagłym postępie na niekorzyść spławu. Trudność powrotu pod wodę, zakręty i mielizny stające na przeszkodzie pochodowi

wielkich statków rzecznych są tego przyczyną. Wysokość kosztów transportowych z każdym mil dziesiątkiem wzrasta w progresji arytmetycznej. W czasie, kiedy poniżej Torunia koszta transportowe wynoszą około jednego grosza na milę od 100 kilogramów, to w następnym dziesiątku mil wzrastają do dwóch groszy, wyrównując się z koleją żelazną — w trzecim do trzech i w ten sposób dalej tak, że na górnym Bugu w odległości rzecznej osmdziesięciu mil od Torunia wynoszą w przecięciu 9 groszy od 100 kil. za milę i sprawiają, że za pszenicę płaconą w Gdańsku po 30 złp. za sto kilogramów, wysyłający po odciążeniu kosztów transportu, przeróbek i pośrednictwa odbiera tylko około 10 złp.

Z tego powzięść można miarę do jakiego stopnia brak uregulowania łożysk rzecznych i unormalizowania stanu wody na nich przyczynia się do obniżenia cen miejscowych w głębi kraju naszego.

Na Odrze, dolnej Warcie i Noteci normalny stan spławów sięga dalej wstecz rzeki i ułatwia bardziej spławy ku Szczecinowi i na kanał łączący je ze Sprewą.

Niemen zbliża się w swych własnościach do Wisły, na Dnieprze porohy przerywają nagle żeglugę, która górą odbywałaby się mogła dosyć normalnie. — Mało używany Dniestr, odznaczający się szczególnie nagłemi zmianami szybkości spadku, jest dziś jeszcze w tym stanie, w jakim go znana publiczności wyprawa Dzieduszyckiego za dawnych czasów opisała.

Ze zaś uregulowanie całej sieci rzek podlega daleko większym trudnościom, niż zakładanie kolei żelaznych, dążności dzisiejsze skierowały się w tę stronę. Przewidzieć więc można, że po wykończeniu postanowionej już ze strony rossyjskiej ¹⁾ prostej komunikacji kolejowej z Warszawy na Mławę do Gdańska, po zbudowaniu przedłużenia kolei Kłajpedzko - Tylżyckiej do Ełku, nad którą się obecnie toczą rozprawy w izbie pruskiej, a przez którą Brześć litewski zyska najkrótszą odległość kolejową od Królewca i Kłajpedy, po wysunięciu ostatniej kolei po za Brześć litewski wgłąb Wołynia, po skutecznieniu zamyszonego połączenia Lublina i Sandomierza z Warszawą, połączeniu sieci kolejowej Kongresówki z siecią wielkopolską i szląską, o które się głos publiczny tak silnie domaga i po założeniu projektowanej prostej kolei z Poznania do Szczecina, wszystkie spławy rzek naszych w handlu zbożowym opuszczone zostaną, tak, jak już od czasu wykończenia linii od Brodów i Podwołoczysk do Lwowa wszystkie zboża podolskie zwróciły się wyłącznie na sieć kolei galicyjskich.

¹⁾ Podług ogłoszeń pism warszawskich.

Tym sposobem względ na koszta transportowe spławów rzecznych usuwa się sam przez się z zakresu obliczeń naszych, wskazując na pochłaniające dziś wszystko koleje żelazne.

Wpływ zaś kolei żelaznych na unormowanie cen miejscowych w całym kraju, skutkiem zbliżonych do siebie zasad taryfowych, można ująć w bardzo proste prawidła.

W sieci bliskiej przyszłości, którąśmy w głównych zarysach co tylko przedstawili, Gdańsk, Poznań i Wrocław leżą na głównych węzłach łączących drogi nasze zbożowe z najlepszymi targowiskami europejskiemu zachodu. Skutkiem prawie równej od nich odległości przeciętne ceny tych trzech miejsc zbliżają się tak dalece do siebie, że z małą tylko przewagą Gdańska często prawie są równe.

Ceny opłat od transportu kolejowego zboża na wielkie odległości wynoszą łącznie z asekuracją, opłatą od wagonu i załadowania przeciętnie 20 gr. pol. od stu kilogramów na każdy mil dziesiątek.

Mając więc trzy dane: cenę giełdową jednego z naszych zachodnich węzłów handlowych, odległość odeń stacji kolejowej tego punktu którego cenę miejscową zbadać pragniemy i przestrzeń pozostającego jeszcze do niej dowozu na osi, zyskujemy od razu żądany rezultat, bo cena miejscowa za 100 kilogramów każdego danego punktu w głębi ziem polskich równa się cenie odnośnej giełdy węzła zachodniego zmniejszonej o iloczyn z ilości mil odległości pomnożonej przez 2 gr. pol. i o iloczyn z ilości mil dowozu na osi, pomnożonej przez 10 gr. pol.

Od tej zasady, znajdującą niezmiennie zastosowanie na wszystkich przestrzeniach objętych dotąd siecią kolei żelaznych, stanowią wyjątek jedynie miasta będące ogniskami bardziej rozwiniętego przemysłu, w których dowóz okoliczny nie pokrywa wszystkich potrzeb miejscowego spożywania.

Obawa prześilenia ceny, wynikających z chwilowego niedostatku i chęć zyskania wyboru mąk na zaspokojenie zagnieżdżonego tu zwykle bardziej luksusowego spożywania, skłania te miasta do przytrzymywania u siebie przebiegających zbóż wielkiego handlu ponętą stosunkowo wyższych cen miejscowych.

Małą jest liczba takich ognisk u nas i możemy je wyliczyć. W pierwszym rzędzie stoi Warszawa; najrozleglejszym krajowym przemysłem i liczbą mieszkańców osiągnęła to stanowisko.

Przed powstaniem kolei żelaznych dobiegających do Warszawy, kiedy naturalny jej obszar dowozowy był szczupły a zasoby Bużańskie miały ją u ujść Narwi, Warszawa, ograniczona na dowozy górnej Wisły, zdołała tylko podawaniem bardzo wysokich cen utrzy-

mać się w równowadze popytu i podaży. To też wówczas ceny warszawskie wyrównywały często cenom gdańskim, a w chwilach obawy przesilenia na stronę popytu przewyższały je nawet. Obecny stopień rozwinięcia się tej sieci kolejowej, której środkiem jest Warszawa, wynosi zawsze jeszcze ceny targowe tego miasta od 20 do 30% nad miarę wykazanej poprzednio normalnej zasady cen miejscowych.

Drugim z rzędu miastem przekraczającym cenami swemi targowemi normę cen wielko-handlowych jest Kraków, nie tyle przez rozległość własnego przemysłu i ilość mieszkańców, ale raczej głównie przez położenie swoje względem bardzo rozległego obszaru przemysłowego. Górnictwo i hutnictwo górnośląskie w Prusach w połączeniu z szeroko rozwiniętym młynarstwem, znaczny przemysł całego Szląska austriackiego, miast Bielska i Białej i przyległe samemu Krakowowi górnicze zakłady i młyny mają swój targ zbożowy na Baranie i Kleparzu. Ceny targu krakowskiego wynoszą się przeciętnie nad normę wielko-handlową od 10 do 15%.

W nierównie mniejszej mierze wynosi się nad nią targowisko Lwowa podtrzymywane samym tylko przemysłem miejscowym z większą zamożnością rąk podejmujących handel zbożowy. Przewidzieć jednak można, że pod napływem wielkich ilości zboża idącego od Brodów, Podwoleczysk i Czerniowiec nadwyżka targu lwowskiego zejdzie wkrótce na mało znaczące rozmiary.

Stosunkowe nadwyżki cen na targowiskach w zakresach szerszego rozwoju przemysłowego położonych sprowadzają w obecnym położeniu rzeczy wielko-handlowych ten skutek, że większe komisje zbożowe muszą poszukiwać miejsc tuż za ich obszarem dowozowym położonych. Z tej to przyczyny n. p. filia tarnowska banku krakowskiego dla handlu i przemysłu większe może oddawać usługi rolnictwu, niż sam komis krakowski z położenia rzeczy ograniczony nieomal na samo pośrednictwo w handlu miejscowym; z tej też przyczyny wrocławska filia banku Kwileckiego i Spółki nie założyła agentury swęj we Lwowie, ale w Tarnopolu. Tak samo powstający „handel wywozowy“ w Warszawie poczuje niebawem potrzebę założenia agentur w Nurze położonym na przecięciu linii kolejowej z linią Bugu, w Brześciu litewskim, w Lublinie i Piotrkowie. Inaczej bowiem nieunikniony w takim razie wielki ogrom magazynierstwa warszawskiego ciężyłby swemi kosztami niepotrzebnie na cenach miejscowych dalszych części kraju. Dobra organizacja handlu wywozowego musi w swém rozgałęzieniu posiadać łatwość naginania się do popytu każdej chwili i dyrygowania zboża zaraz z miejsca pierwszej odstawy podług zachodzących kon-

junktur, albo na zaspokojenie ukazującej się potrzeby miejscowej — albo z pominięciem targowisk krajowych wprost i bez zwłoki na targi wielkohanlowe. Tą drogą postępując instytucja tego rodzaju zbadać też może najlepiej niedostatki sieci kolejowej i wpływać przeważnie na najracjonalniejsze dopełnienie jej.

Pozostaje nam jeszcze do zbadania ostatni rodzaj przewoźnictwa: żegluga morską.

W stosunkach żegluznych zyskano przekonanie, że rozwojenie ciężarów na dalekie wody opłaca się tylko przy użyciu wielkich kliperów o przynajmniej dwutysięcznym beczkomiarze ¹⁾. W stosunkach żegluznych na morzach europejskich chodzi często bardziej o szybką zamianę mniejszych partij towarowych, o częstsze obrócenie tym samym statkiem, a ztąd o szybkość w ładowaniu okrętu. Dla tego przeciętny najkorzystniejszy beczkomiar ustalił się na wysokość tysiąca beczek. Ale płytkość wielu wybrzeży i wjazdów portowych morza Czarnego (limany, ujścia Dunaju etc.), a szczególnie Bałtyckiego morza stała się przyczyną zachowania jeszcze znacznej liczby okrętów bardzo niskiego beczkomiaru, używanych w zwyczajnych czasach tylko do żeglugi pobrzeżnej (*cabotage*), ale w razach nagłego wywozu branych i pod zboże. Najmniejsze okręta schodzą do 100 beczek zawiera.

Taniość transportu zostaje w prostym stosunku z zawierem okrętu — im większy beczkomiar, tém tańszy transport — a w odwrotnym stosunku z popytem za okrętami — im większy popyt, tém droższy transport.

Częsta zmienność tych okoliczności wpływających na wysokość cen transportowych, staje się przyczyną bardzo szerokiej skali tych ostatnich, które schodząc w chwilach braku zatrudnienia okrętów, lub w razie chęci zabrania zwrotnego ładunku przy nagłym odjeździe, do bajecznie niskiego stopnia, podnoszą się natomiast w razie gwałtownego popytu za niemi do wysokości nader niezwykłych żądań.

I tak w chwilach stagnacji handlu zbożowego, kiedy Odessa wyjątkowe tylko wysełki do portów morza Niemieckiego uskutecznia, transport na żaglownych okrętach z Odessy do Londynu lub Antwerpji wynosi przeciętnie 15 fr. z dodatkiem 15% za 1000 kilogramów, obok asekuracji w lecie $\frac{3}{4}$ do $\frac{7}{8}$ % a w zimie $1\frac{1}{4}$ do $1\frac{1}{2}$ %;

¹⁾ Beczka (Tun, Tonne), jednostka idealnej miary zawieru okrętowego, brana dotąd w znaczeniu pewnej objętości = 5 kwarterom = 23 mecom wied. = 1453,95 litrom. W francuskich transportach zbożowych odnosi się dziś do wagi zboża i znaczy 1000 kilogramów. Życzyćby należało, ażeby ten rodzaj oznaczenia zawieru okrętowego, nadzwyczaj ułatwiający wszelkie obliczenia, powszechnie przyjętym został.

w czasie zaś wielkiego nawału wyselek w końcu roku zeszłego, pracujące zwykle po umiarkowanych cenach instytucje nawigacyjne: „*Services maritimes des Messageries impériales*“ — i „*Compagnie Marseillaise de Navigation à Vapeur*“ ogłaszały od 1 grudnia ubiegłego roku „*jusqu'à nouvel avis*“ i z zastrzeżeniem sobie podwyższenia w razie zmiany w usposobieniach placu lub niespełna wypełniającego statek ładunku — cenę 3 fr. za 100 kil. na przestrzeni tylko od Konstantynopola do Massylii. Najmy w Odessie i na dorywczco następujących się okrętach były w tymże czasie bez porównania droższe.

W Gdańsku, który daleko bliżej nas obchodzi, zmienność cen w różnych porach i na okrętach różnego beczkomiaru przebiega niesłychanie rozległą skalę od $\frac{1}{4}$ szyllinga do 5 szyllingów za kwarter. Przeciętną zwyczajnych czasów żegluznych można przyjąć po 1 sz. za kwarter, co redukując na kilogramy i monetę pruską, wyrazić możemy przez $4\frac{1}{2}$ sgr. (27 gr. p.) za 100 kilogramów; z asekuracją i ubocznymi wydatkami dajmy $1\frac{1}{2}$ złp. za 100 kilgr.

Porównajmy te koszty z kosztami transportu na kolejach żelaznych. Z Wrocławia do Antwerpii wynoszą dokładnie obliczone koszty ¹⁾.

za worek.....	fr. 1	
transport i cło .	6,50	
		razem.. 7,50 fr. = 2 tal. pr. = 12 złp.

Pozostają jeszcze nieznanne nam dokładnie koszty przewozu z Antwerpii do Londynu.

Koszta te porównane z kosztami przewozu w zwyczajnych czasach z Gdańska do Londynu wytłumaczają nam najpierw przyczynę, dla której transportowane zboża schodzą z kolei żelaznych, zwracając się jak mogą najrychlej ku najprzyległym portom morza bałtyckiego, ale zarazem obudzić powinny pytanie, dla czego w obec stosunku odpowiednich kosztów dalszego transportu zboże na targu Gdańskim nie jest o 10 złp. droższem od cen wrocławskich, i dla czego ceny Gdańskie nieoddziaływają w stosunku takiej nadwyżki na wszystkie ceny miejscowe aż do zabużańskich krajów?

Pytanie to rzuciliśmy już teraz, bo się każdemu z samego porównania kosztów żegluznych z kolejowemi nasunąć musi, rozwiewać go jednak na tém miejscu jeszcze nie będziemy, bo wolimy

¹⁾ Wyjęte z rachunku antwerpijskiego.

to uczynić w związku z resztą kwestyj wielkohandlowych, które nam się jeszcze w dalszym ciągu przeglądu naszego nawinać muszą. — Zwrócimy tylko uwagę na zyskany już pewnik, że w stosunkach miast portowych nadbałtyckich musi leżeć pewien zasób potężnych środków handlowych, których umiejętne pochwycenie sprowadzić musi nieodzowną podwyżkę cen krajowych, a te nam tylko wskazać może staranny rozbiór wszystkich działających tu czynników.

Pierwszy wzgląd należy się temu czynnikowi, bez którego nie ma portu, — wodzie.

Położenie Gdańska pod względem handlowym jest jednem z najdogodniejszych nad Bałtykiem. — Na korzyść tego położenia składa się bardzo wiele rzeczy, które wszystkie w wysokim stopniu dotyczą sprawy naszego handlu zbożowego.

Zatoka Gdańska najgłębiej ze wszystkich południowych wbiega w ląd stały. Od zachodu zasłaniają ją wyżyny kaszubskie, impet i ostrość wiatrów wschodnich łamią lasy okrywające litewską wyniosłość pogórza bałtytycko - uralskiego. Na północ ma przed sobą najrozleglejszą przestrzeń morza bałtyckiego.

Zwolna tylko zmieniająca się temperatura atmosfery nadwodnej od północy, i zacisze dobrze osłoniętego miejsca sprawiają razem, że port Gdański w początkach zimy daleko później zamarza, niż wszystkie inne porty bałtyckie.

Na wiosnę zaś pierwszy popęd rozmarzania idzie od stałego lądu, dla tego odwilż tu naglejsza niż gdzie indziej. Sprawia to przestronne obramienie zatoki lądem i przyległość od południa szerokich spłaz czarnoziemiu Żuław, które się bardzo rychło silnie ogrzewają. Przytém Wisła nadbiegająca głębiej z południa i z szerzej ogrzanych stron, niż inne rzeki do Bałtyku uchodzące, sprowadza stosunkowo cieplejsze wody.

Tak najpóźniejsze zamarzanie portu Gdańskiego, jak i najrychlejsze ustąpienie zeń lodów na wiosnę, w porównaniu z innymi portami bałtyckimi, stwierdzone są zestawieniem długoletnich starannych zapisków, a jest to rzecz wcale nie małej wagi, bo sprowadzająca znaczne przedłużenie pory żegluznej i rybołówstwa. Szczególnie rychłe uwolnienie się z zakucia zimowego uzdania Gdańsk do przodowania w kampanji wiosennej i uprzedzania wszystkich innych portów na targach zbożowych europejskiego zachodu.

Leży przytém Gdańsk nad rzeką przepływającą z przytokami swemi najżyźniejsze strony północno-wschodniej Europy, — jest przeto najnaturalniejszym składem ich płodów surowych i miejscem, z którego wspomniane strony najwłaściwiej mogą się zaopatrywać

w swe potrzeby zamorskie. W normalnych więc stosunkach handlowych, które dziś z znanych powszechnie przyczyn bynajmniej jeszcze nie istnieją, komunikacja między Gdańskiem a obszarem jego dowozu powinna się odznaczać wielką stosunkową taniością transportu na podstawie możliwej zupełnej równowagi dowozu i odwozu.

W dawnych czasach stosunki kontynentalne Gdańska sięgały nawet w inne porzeczka. Wielokrotne bowiem rozramienienie Wisły i przyległych jej rzek ku wschodowi i niezwyčajne ich powikłanie się z sobą czyni Gdańsk poniekąd miastem leżącym nad ujściem trzech rzek Wisły, Pregeli i Niemna, co szczególnie w dawnej historii handlowej tego miasta ważną odgrywało rolę.

Kilka napomknień wyjaśni to dostatecznie.

Powyżej Gniewa, w miejscu które się w języku flisowskim zowie „Głową“, a podług miejscowego nazwania „Montauer Spitze“, dzieli się Wisła na dwie odnogi. Z tych wschodnia pod nazwą Nogatu uchodzi w bliskości Elbląga do hafu fryskiego; druga zaś — właściwa Wisła płynie dalej ku północy, jakby w tym kierunku miała ujść do morza, ale zbliżywszy się do niego na odległość już tylko jednej mili, nagle znów się dzieli i jedno jej ramie Szkar-pawką zwane, wygina się na wschód do hafu; drugie zaś nazwane Leniwką zwraca się na zachód i równolegle z brzegiem morza płynąc, po przyjęciu w swe nurty Motławy nagłym zakrętem zawraca znów ku północy i tu dopiero uchodzi do morza.

Bardziej zaś ku wschodowi Pregela, płynąc od wschodu na zachód, zbiega do tego samego hafu fryskiego, do którego Nogat i Szkar-pawka uchodzą. Przed ujściem swém jednak odziera znów Pregela odnogę swą Dejnę i tą do hafu kuryjskiego zdąża. Niemen nareszcie dzieli się też przed ujściem swém na dwie odnogi. Północną (Russą) uchodzi do Bałtyku pod Kłajpedą, południową zaś, Gilją, do kuryjskiego hafu. Można więc, jadąc Niemenem od Kowna spuścić się Gilją do hafu kuryjskiego, podbić się w górę Dejnę aż do miejsca, gdzie z Pregeli wypływa, spuścić się Pregelą do hafu fryskiego, a ztąd przez haf, Szkar-pawkę i Leniwkę dobić do samego Gdańska.

W czasach kwitnienia gdańskiego kantoru w Kownie po linii tej schodziły do Gdańska wszystkie surowe płody okolic nadniemeńskich, a nawet i dalszych, ilekroć tylko zawichrzenia na morzu bałtyckiem wstrzymywały ich właściwy odpływ na morze.

W takich chwilach Gdańsk nabierał znaczenia rzeczywistego portu Niemna. Częste pojawianie się tych zawichrzeń na morzu bałtyckiem bądź z chciwości fibustyerów, bądź z kupieckiej za-

wiści różnych potęg morskich, i każdorazowe wsuwanie opisanej linii rzecznej w miejsce zwykłej komunikacji morskiej, stały się główną przyczyną przejścia na Gdańsk wszystkich tych stosunków handlowych nadlimeskich i nadnemieńskich, — które odwiecznie dzierżyło miasto Wisby na Gotlandyi, i przyczyniły się niemało do wzrostu naszego zbożowego portu. Jako jedna z głównych przyczyn pierwotnego wzrostu Gdańska i peryodycznie używana droga wywozowa surowych płodów litewskich, linia ta związku hydrograficznego Niemna z Wisłą musiała znaleźć swe pomieszczenie w przeglądzie dróg handlu zbożowego ¹⁾.

Sprawę dzisiejszego handlu zbożowego bliżej obchodzą inne hydrograficzne stosunki portu Gdańskiego.

Właściwe łożo Leniwiki obiega po stronie zachodniej tę część północnych przyległości gdańskich, która dziś jest wyspą i Holmem się nazywa. Nagłe, okrągłe, prawie cofające się w kierunku swoim zagięcie Leniwiki przed samém ujściem narażało dawniej okolice tego zakrętu, a przez to i nisko położony Gdańsk na niebezpieczeństwo gwałtownych zalewów w czasie puszczania lodów na Wiśle. Zatory były tu nieuniknione. Przed nimi wezbrana Motława z Radunią mnożyły nagle wody wezbranej Wisły. Sama natura zaradziła wcześniej złemu i jeszcze za czasów pomorskich zrobiła wyrwę prostą od ujścia Motławy do ujścia Wisły, skracając znacznie okrągły zakręt Leniwiki. Zhawienne to skrócenie łoża nadało Wiśle od ujścia Motławy do morza więcej żłobiącego prądu i umożliwiło głębszym statkom wjazd od morza do ujścia Motławy. Łacha ta stała się odtąd wyłączną drogą żegluzną i nosi nawet nazwę Łachy żegluznej (*Bothmannslacke*). Z czasów pomorskich zachowała sobie nazwę łachy warzywódzkiej (warzywodu) i tą ją też oznaczać będziemy.

Drugi taki upust na czas gwałtownego napływu wód, wyłobiła sobie Wisła w roku 1840 na téjże samej Leniwece pod wioską Neufahr powyżej Gdańska przez najwęższy pas Mierzeji²⁾ tak, że odtąd Gdańsk nigdy na zbyt zatrważające wezbranie Wisły narażonym być nie może.

Widzimy tu, że spotęgowane siły natury wyręczyły pracę ludz-

¹⁾ Bliższe szczegóły o towarach przewożonych tą drogą, o jej kanalizacji, o pierwotnem znaczeniu miasta Wisby i ważności kantoru Kowieńskiego znajdzie czytelnik w dziele Teodora Hirscha: *Danzig's Handels- und Gewerbegeschichte*.

²⁾ Mierzeja (po niem. *Nehrung*) nazywa się pas naniosów (*Dünen*) ciągnący się wzdłuż wybrzeża morskiego, od ujścia Wisły aż do końca jezyczka, oddzielającego haf fryski od morza.

ką i zastąpiły poprzedni brak przezorności, która od wieków to samo powinna była skutecznie. Tę wskazówkę nie trzeba spuszczać z oczu i przy dalszym działaniu. Dla nas przegląd tych zajęć dziających przez własną potęgę rzeki jest szczególnie z tego względu ważnym, że przy następnych uwagach nad koniecznością pogłębienia wód rzecznego portu gdańskiego podług tych wskazówek oceniać będziemy należytość względu na bezpieczeństwo Gdańska.

Najszczególniejszy wpływ na stosunki portowe Gdańska wywierają dwie rzeczki, w obrębie samego miasta uchodzące do Leniwki, Motława i Radunia. Rzeczki te właściwościami swemi różniące się znacznie od własności innych rzek polskich, były od początku nieodzownym warunkiem powstania Gdańska jako portu morskiego i stanowią dziś główną podstawę wyniesienia Gdańska na stopień daleko znacniejszego portu.

Z tych względów należy im się poświęcenie starannej uwagi.

Większa część miast portowych nad ujściami wielkich rzek położonych ma do walczenia z przeszkodami żegluznemi, które sama natura tych rzek sprowadza. — Rwiące wody w czasie obfitości wylewnego spływu, toczą korytem rzeki niezmierną ilość żułu, który, póki dostatek wody nadaje siły pędowi, niewstrzymanie pchają przed sobą. Skoro zaś z nastaniem mniejszej wody pęd ten porwijący omdlewać zaczyna, żuł zaczyna opadać i tworzy mielizny.

Dzieje się to zwykle przy ujściu — gdzie spad wody zbliża się do zera. Nastanie chwil zupełnie małej wody w czasie posuchy letniej, czyni czasami wypływ z rzeki dla większych statków prawie niepodobnym.

Wypada więc zadać sobie pytanie, dla czego Gdańsk, leżący nad ujściem rzeki najniebezpieczniejszej pod tym względem, tylko w małej mierze ulega tej pladze i nigdy na serjo zamuleniem wypływu portowego nie był zagrożony.

Ratują go od tego dwa niewpadające od razu w oczy, ale niemniej przeto w skutkach swych donośne czynniki hydrograficzne.

Najpierw Leniwka od chwili rozłączenia się ze Szkarpawą — płynie prawie bez spadu, składa cały zasób swego żułu po licznych swych bocznych zatokach i już czyste wody pod Gdańsk przyprawdza. Od zgięcia pod samym Gdańskiem, płynie raptem nagłej całą resztą pozostałego spadu, którego od Szkarpawy aż pod miasto nie zużyła. Bystrzejszy prąd, przy czystej wodzie jest zawsze warunkiem większej głębokości i równiejszego dna w korycie. Warzywód przytem czyści się na wiosnę w czasie zatorów na zakręcie Leniwki bystrym prądem i nagłym przetaczaniem lodów, któremi jakby umyślnym mechanicznym przyrządem się przeciera.

Te właściwości Leniwki i Warzywoda uchylają z ujścia Wisły mielizny i nierówności dna, ale nie potrafiłyby same przez się zapobiedz tak zwaną Małą Wodzie poprzedzającej regularnie letnie wezbrania rzeki (Jakóbówkę).

Otoż temu zaradzają znów właściwości Motławy i Raduni.

Motława i Radunia dzielają własności większej części rzek pogórza bałtycko - uralskiego, a różnią się zupełnie od charakteru rzek karpackich, pogórza czarnomorskiego i równin polskich. Ostatnie wzbierają niezmiernie na wiosnę i po każdej znaczniejszej ulewie, staczają następnie z wielką nagłością swe wody, a w czasach skąpszego opadu wilgoci atmosferycznej, tracą obfitość swych wód i wleka się małym strumieniem. Rzeki zaś mające wyraźne znamie pojezierskie, odznaczają się stosunkowo mniejszym wezbraniem, a celują natomiast stałą obfitością wód. Źródła tej stałej obfitości szukać trzeba w ich górnym opływie, który nazwać można zbiornikowym (rezerwoarowym). -- Śród leśnych wyżyn znacznej wyniosłości, odznaczających się mniejszym parowaniem wód, a sprowadzających natomiast większym umiarkowaniem miejscowej swęj temperatury częstsze i obfitsze opady atmosferyczne, ciągną się pasma rozwlekłych jezior, odlewających z wolna swe wody z wyższych zbiorników do niższych, a wpływem najniższego z nich jest rzeka pojezierna. Pochodzącą ztąd własność stałej obfitości wód dzielają należące do tej kategorii Motława i Radunia między innymi z Wierzyszą (Ferse), Czarną Wodą, Brdą i Drwęcą, których stała obfitość wód przyczynia się głównie do wspomnianej już poprzednio normalnej żeglugi na Wiśle od Torunia do Gdańska, a następnie ze Sirgunią (Sorge) i Ciną (Thiene), które w połączeniu z ogromnym rezerwoarem jeziora Druzna (Drausen See) składają się razem na stałą obfitość wód Elblązki żłobiącej rzeczny port miasta Elbląga.

Między właściwościami Motławy a Raduni zachodzi znów pewna różnica, którą bliżej oznaczyć musimy. Właściwą rzeką wysokiego (Kaszubskiego) pojezierza jest tylko Radunia. Motława zaś, chociaż ma swe źródła na powyżu, jest przeważnie rzeką niziną. Płynąc jednak od Czczewa prawie równolegle z Wisłą, wyręcza ją w odbieraniu całego szeregu drobnych dopływników pojeziernych, a występuje przytém sama w znaczeniu ogólnego zbiornika bardzo rozległego systemu osuszeń nizinnych lewego brzegu Wisły.

Wszystkie więc wody, które w razie nieistnienia Motławy, byłyby cząstkowo zbiegły do Wisły i rozpląnęły się bez wielkiego skutku po jej licznych ramionach, skupiają wszystkie swe siły prądowe na sam wylot Wawrzywodu i żłobią ów rzeczny port

gdański, który bez ich pomocy niebyłby wcale mógł powstać¹⁾. Pogłębiają przytem warzywódką łacnę i ostateczne ujście wiślane.

W cudownej gospodarce wodnej, którą natura opływów pojezierza kaszubskiego dla ujścia Wisły przysposobiła, leżało przeznaczenie daleko lepszego portu, niż jest dzisiejszy port gdański. Był też rzeczywiście lepszym za czasów pomorskich i krzyżackich aż do roku 1348.

Do tego to czasu Radunia płynęła starém swém łozem i uchodząc do Motławy półtory mili przed Gdańskiem, razem z jej prądami żłobiła większe głębie w porcie Motławskim. W roku 1348 Krzyżacy, trzymając się zasady przyjętej we wszystkich swych warowniach, zapragnęli urządzenia młynów na zarezerwowanym swym gruncie przy zamku, który stał na lewym brzegu samego ujścia Motławy do Leniwiki. — Podchwytnjąc więc wodę Raduni powyżej Pruszcza (Praust), oprowadzili ją na okół zachodniej części miasta i spuścili dopiero przy samém ujściu Motławy. Prądy żłobiące właściwy port motławski utraciły przez to siłę wspólnika obfitszego prawie w wodę, niż sama Motława. Ten kierunek niszczący dobrowolny dar natury zatrzymała Radunia aż do dzisiejszego czasu.

Między okrętami zawijającemi do Gdańska obliczają objętość żaglowców na 500 do 1000 kwarterów (czyli 100 do 200 beczek), parowców zaś na 3000 do 6000 kwarterów (czyli 600 do 1200 beczek). Mniejsze statki ładują się w porcie Motławy, na większe przekłada się zboże ze stratą kosztów i hawaryj, dopiero na przystani otwartego morza.

Z poprzednio zestawionych uwag wynikało, że najtańszy transport odbywa się na statkach najwyższego, przynajmniej tysięcznego beczkomiaru. Takie statki do portu miejskiego zawijać nie mogą — a ładowanie na przystani morskiej pociąga za sobą koszta zniżające bardzo tanióść transportu.

Żeby więc osiągnąć najwyższą możliwą tanióść transportu zboża z Gdańska do Londynu, powinno się pogłębić i rozszerzyć port motławski i zapewnić mu głęboki odpływ do morza.

Rzecz taka odbywa się najtaniej przez dostateczne spotęgowanie żłobiącego prądu wód i ustalenie szerokości łoża w rozmiarach tak zastósowanych do siły prądu, żeby ostatnia, nie mogąc się rozpierać, tylko na pogłębienie działać mogła.

1) Właściwym portem gdańskim jest ta część Motławy, która przed samém swém ujściem do warzywódkiej łacny, przepływa ostatnią ulicę miasta, otoczona z obu stron śpichrzami i opatrzona drewnianym bulwarem.

Szczegóły przeprowadzenia prac tego rodzaju wchodzą już w zakres techniki specjalnej. Naszą rzeczą jest wykazać tylko możliwość takiego przedsięwzięcia, polegającą jedynie na dostatku żłobiaczej wody.

Zwrócenie Raduni do dawnego łoża wystarczyłoby może na dostateczne pogłębienie portu motławskiego w obecnej jego szerokości, ale chodzi jeszcze i o większą przestronność portu.

Trzeba więc zajrzeć jeszcze głębiej do sieci wód pogórza pomorskiego.

Niedaleko od źródeł Motławy, Wierzysza w lasach Montawskich poniżej wsi Klonówki robi nagły zakręt ku północy, jakby tędy na niziny spuścić się chciała, potem zwraca się nagle ku południowi i płynąc w zakrętach przynajmniej jeszcze sześć mil wynoszących pod Gniewem do Wisły uchodzi.

Motława zaś zaraz od źródła swego spuszcza się w parowe i przepłynawszy w nim małe jezioro spada na nizinę. — Wstęp na nizinę położoną poniżej Czczewa znaczy zyskanie poziomu niższego od poziomu Wisły pod Gniewem. Pierwszy punkt nizinnego poziomu Motławy, odległy tylko o trzy mile od wspomnianego zagięcia Wierzyszy, gdy tymczasem kręty bieg ostatniej do ujścia wynosi sześć mil. Jasną więc rzeczą, że za skutecznieniem lada przekopu, wody Wierzyszy pójda na Motławę. Wierzysza zaś jest rzeką prawdziwie pojezierną o stałej obfitości wód i wartkim prądzie, a nadto w bliskości jezior, z których wypływa, w okolicach Schöneberga, znajdują się inne jeszcze bardzo przestronne jeziora, które łatwo można zamienić w nowe, niewyczerpane jęzbiorniki.

Jeśli nas więc przypuszczenia, oparte na wszystkich rozważonych tu stosunkach (które oczywiście w danym razie [dopiero na drodze technicznej dokładnie zbadane być mogą), nie mylą, — to w składzie sieci wód przyległego Gdańsku pojezierza znajduje się wystarczający zasób sił żłobiaczych na przyprowadzenie rzecznej portu Gdańskiego do nierównie lepszej pory. Skoncentrowanie wód Motławy i Raduni i dorzucenie do nich blisko drugie tyle świeżego prądu porącego nurty, powinno uzdolnić rzeczny port gdański do spławiania statków przewożących zboże nierównie taniej niż dotychczasowe. Wobec zbawionego wpływu, jakiby rezultat takiej doniosłości mógł wyrzucić na podniesienie miejscowych cen Gdańska, a zatem i stosunkowych cen całego obszaru dowozowego gdańskiego, kwestya ta staje się żywotną dla całego handlu zbożowego polskiego i niezaprzeczenie zasługuje na zwrócenie w tą stronę szczegółowych badań technicznych.

Czy się to dzieje skutkiem nieusprawiedliwionej obawy zbyt-
nych kosztów, czy skutkiem wstępu do koniecznego burzenia z tej
okazyi pewnej części przyległych portowi śpichrzów i następnego re-
gulowania praw własności na zyskanie odpowiedniego miejsca do
stawiania nowych, do czego kupieccy patrycyusze miast starych nie
czują zwykle wielkiego pociągu, czy też dla braku rozpatrzenia się
w stosunkach wodnych przyległego pojezierza, dość że Gdańszczanie
ani się dotąd tą sprawą nie zajmowali, ani dziś nawet w tą stronę
uwagi swój nie zwracają. Podrażnieni zaś wysokością cen prze-
wozowych, doznanych przy tłumnych wysełkach w końcu roku ubie-
głego, mają natomiast zupełnie inny plan na myśli.

Zdaje się dojrzewać u nich zamiar wybudowania od śpichrzów
kilku wstęg kolei żelaznej do przystani otwartego morza i nałado-
wywania tu okrętów większej objętości.

Ale brzegi przystani morskiej są miąłkie. Wielkie okręta za-
rzucać muszą kotwicę daleko od wybrzeża. Po za dowozem kolejną,
pozostanie jeszcze dalszy dowóz na mniejszych statkach do okrętu
z całą niedogodnością kosztownej manipulacji.

Projekt ten w takim tylko razie nabrałby znaczenia, gdyby
był pojęty na bardzo wielką skalę. Po szerokiej kamienniej tarasówce
(molu), wszystkie wstęgi kolei żelaznej powinny dochodzić aż do tej
części głębokiego morza, na której okręty bezpiecznie przystawać
mogą. Końcowa część tarasówki powinna być dość przestroną, żeby
na niej można ustawić przyrządy do mechanicznego ładowania i koń-
czyć się latarnią morską.

Ale kto ma wyobrażenie o trudnościach poprowadzenia kamien-
nej tarasówki przez mielizny powstałe z odwiecznego żułu rzecznego,
jakiemi wybrzeża gdańskie są otoczone, ten pojmie łatwo kolosal-
ność kosztów takiego przedsięwzięcia. Mole stawiają się zwykle tylko
na uzupełnienie zatok skalistych na twardym gruncie, zdala od ujścia
rzek, jak pod Cherbourgiem. W żułowatęj mieliznie zatopić
pierwej trzeba całe góry skał, nim się tarasówka nad poziom wody
wychyli, a potem uprzątnąć (odbagrować) całe szeregi wysp, które
się wzdłuż boków nasypu wyniosą. Wobec widoku takich trudności,
godziłoby się przedsięwziąć pierw porównawcze badania techniczne
co do względnych wartości dwóch przedsięwzięć, z których jedno
wprzega do pracy samodzielne siły posłusznego żywiołu, a drugie
usiłnością pracy ludzkiej pragnie zwalczyć nieobliczoną potęgę oporu
natury.

Kokolwiekby się stanie, zaznaczyć trzeba z zadowoleniem,
że nad starym, zastojałym Gdańskiem, powiał duch postępu. Ry-
chlej czy później, pod naciskiem jakiegobądź zdania, niewłaściwość

drogiego transportu na małych statkach zostanie usunięta.

Ale taniość żegluznego transportu zależy od dwóch warunków. Pierwszy polega na wyłącznym używaniu statków najstosowniej-szej objętości i zostaje w ścisłym związku z dogodnością portu; drugi zaś polega na stałej równowadze popytu za statkami i ich podaży i zależy od właściwości placu handlowego.

To nam otwiera nowe pole spostrzeżeń.

Gdańsk, w kupieckim znaczeniu placu zbożowego, zatrzymał jeszcze dużo nawyknień pochodzących z czasów patrycyatu średnio-wiecznego. Właściwości jego zbliżają się więc do systemu skła-dowego, niż obrotowego. Kupiec gdański tylko w chwilach bardzo ożywionego handlu, kupuje zboże na zbycie go zaraz od ręki, w czasach zwyczajnych skupuje je na spekulację. Wyczekiwanie lepszych konjunktur i magazynowanie zboża pociąga za sobą ogromne koszty, w chwili zaś podwyżki cen, wzrastają stosunkowo ko-szta transportu morskiego, wysełki nie mogą się skutecznie dość szybko i ostatnie partie, zastając już zboże amerykańskie i odeskie na placu londyńskim nie mogą zrealizować spodziewanych zysków.

Wynika ztąd, że same zyski pierwszych wysełek w chwilach ożywionego handlu zbożowego muszą przeciętnie pokryć cenę zakupną, kosztu magazynowania i drogiego transportu, a w końcu jeszcze i straty chybio-niej spekulacji. Według tych wyników długoletniego doświad-czenia, kupiec gdański normuje przy zakupie zboża stosunek cen miejscowych Gdańska do cen londyńskich. Stosunek ten zo-staje prawie niezmiennym z małą tylko korzyścią producenta w chwila-ch ożywionego ruchu handlowego.

W czasie ostatniej ożywionej kampanii zbożowej, chwiejne no-towania giełd angielskich przebiegały skalę 59 do 63 szyl., wynosiły więc w przecięciu 61 szyl. za kwarter pszenicy. Stosunek średniej wagi kwartera do stu kilogramów, wypada przeciętnie jak 2,15:1 ¹⁾. Sześćdziesiąt jeden szylingów za kwarter czyni więc 27½ szylingów za 100 kilogramów. Przeciętne zaś ceny gdańskie z tego samego czasu nie przenosiły 7 tal. 15 sgr. czyli 22½ szylinga za 100 kilo-gramów. Różnica więc cen gdańskich a londyńskich wynosiła w cza-

¹⁾ W notowaniach londyńskich kwarter znaczy 500 funtów angielskich (112 funtów angielskich równa się 50,8 kilgr.,) co od powyższego oblicze-nia zawiera litrów mało się różni. — W Hull cena za kwarter po dawnemu podług objętości się notuje.

sie bardzo ożywionym 5 szylingów czyli 1 tal. 10 sgr. (10 złp. i ażio na walucie pruskiej).

W czasach zaś zwyczajnych ostatniego dziesiątka lat, przeciętne ceny londyńskie wynosiły $56\frac{1}{4}$ szylinga za kwarter, czyli 25 szylingów za 100 kil., przeciętne zaś ceny Gdańska z tegóż czasu wynoszą około 6 tal. czyli 18 szylingów za 100 kilogramów. Różnica więc cen gdańskich a londyńskich wynosi w zwyczajnych czasach 7 szylingów, czyli 2 talary i 5 sgr. na stu kilogramach (13 złp. i każdorazowe ażio na walucie pruskiej).

Gdyby system handlu gdańskiego ze składowego, jakim jest dzisiaj, mógł być zamieniony na obrotowy, to w czasach zwyczajnych cen londyńskich, kiedy koszta transportowe przez wyższą stosunkowo podaż okrętów są najniższe, cena miejscowa gdańska unormowałaby się w następujący sposób. Od cen londyńskich wynoszących 25 szylingów za sto kilogramów, odeszłyby najpierw najniższe możliwe koszta transportowe t. j. przy obecnej ich skali $\frac{1}{2}$ szylinga za sto kilogramów, a w razie zupełnego uregulowania stosunków portowych, nawet znacznie mniej. Następnie zysk kupiecki, oparty na doraźnym obrocie, któryby się w ciągu miesiąca uskutečnił, (i to bez najmniejszego ryzyka ze zmiany cen londyńskich wynikającego, bo napływ dalekiego zboża w czasach zwyczajnych z naszymi bliższymi dosełkami nie współzawodniczy) ograniczyłby się, drogą samej konkurencji, na drugie $\frac{1}{2}$ szylinga. Zysk ten wcaleby nie był małym, bo wynosząc 2% na miesiąc od użytej na zakupno sumy, wynosiłby 24% rocznie od obracanego w handlu kapitału. Po odtrąceniu $\frac{1}{2}$ szylinga kosztów transportu i drugiego $\frac{1}{2}$ szylinga zysku kupieckiego, od 25 szylingów ceny londyńskiej, cena miejscowa Gdańska ustaliłaby się na 24 szyling. t. j. 8 talarów pruskich, w czasie kiedy w obecnym stanie rzeczy tylko sześć wynosi.

Stałe podniesienie cen miejscowych gdańskich o 2 talary pruskie (12 złp. i ażio) oddziałyłoby oczywiście na stósunkowe podniesienie wszystkich cen miejscowych w całym obszarze dowozowym gdańskim, któryby się skutkiem tego niezmiernie rozszerzył, a miasto zyskiwałoby przez to coraz większy napływ zboża, podtrzymujący ciągłość ruchu obrotowego.

Doniosłość takiej nadwyżki, podniosłaby odrazu stosunki rolnictwa krajowego na wysokość nieznaną dotąd pomyślności.— W głębi obszaru dowozowego Gdańska są okolice, których gospodarstwa są prawie wyłącznie zbożowe, a które z ich sprzedaży nie zyskują obecnie nawet takiej sumy, jakaby na nie z samej nadbitki

gdańskiej przypadła. Zważmy przytém, że ich obecny wziętek za zboże jest dochodem brutto, od którego przynajmniej $\frac{2}{3}$ trzeba odciągnąć na wyłożone poprzednio koszta gospodarskie, nim się czysty zysk wykaże, wynoszący tylko około 30% sumy ze sprzedaży zboża zyskanój.

Dla tych gospodarstw nadbitek cen gdańskich miałby znaczenie poczwórnego pomnożenia ich czystego dochodu a tém samém i odpowiedniego podniesienia wartości ziemi. — Dla gospodarstw zaś bliżej Gdańska położonych, bardziej natężonych (intensywnych), mniej przeważnie na produkcyi samego zboża opartych i stosunkowo wyższe realizujących ceny, nadbitek cen gdańskich nie mniejszeby miał znaczenie, bo usprawiedliwiałby dopiero ich może przedczesne natężenie i zasłaniałby je od tych częstych kryzysów pieniężnych, zachodzących przy użyciu wielkich kapitałów obrotowych, a czyniących czysty dochód często iluzyjnym.

Zachodzi teraz pytanie, dla czego — wobec oczywistej prawdy, że system składowy pociąga za sobą wielkie koszta magazynowania, sprawia drogość transportu morskiego, przygniata ceny miejscowe i odstręcza przez to napływ zboża, obrotowy zaś obywają się bez zbytnich zyspów, wyzyskuje najtańszy transport, podnosi ceny i zwabia na plac coraz większą liczbę producentów — zamiana grubszych ale peryodycznie tylko wpływających zysków, na szereg mniejszych ale częstych, a przez to w ostatecznej sumie większych korzyści nie wyrosła w Gdańsku z samego, z duchem nowszych czasów tak zgodnego współzawodnictwa kupieckiego?

Na zbadanie przyczyn tego zjawiska wypadnie nam spojrzeć nieco głębiej w odrębny zakres właściwości placu gdańskiego.

System, który trwa dotąd w Gdańsku z wykazaną szkodą producentów ziemi naszej, powstał i spotężniał za czasów ruchomej skali wchodowego cła na zboże w Anglii.

Cłem wchodowém protegowała Anglia produkcję zboża krajowego. Oznaczenie wysokości cła wchodowego w obrębie ustawą przepisanej skali pozostawioném było dowolności ministrów mających działać na podstawie konjunktur zbożowych. Dopóki zasoby krajowe wystarczały na potrzeby targowisk miejscowych, wysokie cło wchodowe spędzało zupełnie zagraniczne zboża z targów angielskich. Szczególnie w czasach, kiedy torysowie znajdowali się u steru państwa, wysokie cło utrzymywało się w interesie wielkich posiadłości ziemskich aż do ostatniej, tajonej poprzednio chwili, w której brak zasobów krajowych zagrażał nagłym przesileniem konsumcyjnym.

Wtenczas skala cła wchodowego spadała na najniższy stopień, a obok tego wzrastały nagle ceny pod wpływem panicznego przest్రachu.

Tego rodzaju przesilenia targu zbożowego angielskiego były bujnym polem wzrostu spekulacyj kupieckich. Wobec nich zorganizował się system składowy Gdańska. W dobrze wyrachowanym interesie kupiectwa, spekulacya i wielkie magazynowanie były na czasie. Kupiec gdański, w porze wysokich ceł wchodowych skupował za bezcen zboże nie mające zagranicznego odpływu, a w chwili nagłego zniżenia skali cłowej realizował, mimo wszelkich kosztów długiego magazynowania, ogromne zyski.

W niedostatku telegrafów i statków parowych, Ameryka dowiadywała się zapóźno o otwarciu angielskich targowisk, brak kolei żelaznych wstrzymywał zboża głębokiego kontynentu, kupiec bałtyckiego portu nie napotykał współzawodnictwa i był wyłącznym panem chwilowych konjunktur. Do skupywania wielkich mas zboża, potrzeba było wielkiego majątku. W zastępie kupców i magazynierów, skupiły się więc wielkie potęgi finansowe, wyosabiając się w sposób kastowy z łona reszty mieszczaństwa. Zgromadzili w swych rękach wszystkie głównejsze posiadłości miejskie i zabudowali śpichrzami całe otoczenie motławskiego portu.—Pozawiazywanych stosunków z kołami kupieckimi placu londyńskiego strzegł każdy z nich z zazdrością przypominającą ducha starój Hany.

Wśród takiego porządku rzeczy wyrobił się ten duch twardych nawyknień, ciasnych widoków i mrukliwego uporu, który zawsze charakteryzuje możne korporacye, powstałe pod wpływem dawnego monopolu i przeszkód tamujących ruch ogólny.

Koleje żelazne, telegrafy, bardziej uogólniony ruch nowszych czasów, a nadewszystko bil z zbożowy angielski znoszący ruchomą skalę cła wchodowego, podkopały rację bytu dawnych systemów handlowych panujących na Bałtyku, ale duch starego Gdańska przetrwał te zmiany w głównych dążnościach swych nawyknień.

Światło nowszych czasów nie jest obcym dzisiejszemu kupcowi gdańskiemu; ale racjonalnością postępu posługuje się z ogłędnością przypominającą ducha dawnych czasów i we wszystkiem z nawyknieńiami swemi pogodzić je pragnie.

Względem obszaru swego dowozowego na Powiślu, stara się wyzyskać stanowisko swoje jako pana portu, a w utrzymywaniu odstępu cen miejscowych gdańskich od londyńskich, nie rządzi się zasadą możliwój taności transportu morskiego, ale zasadą protegujących go wyższych opłat na kolejach żelaznych, po którychby Gdańsk pominąć można. Wspomnieliśmy już o tém przy porównaniu ko-

sztów z Wrocławia do Antwerpii z kosztami transportu morskiego z Gdańska do Londynu.

Wychodząc z zasady, że w czasach z wycieczajnych na targu londyńskim, odstęp ceny za wyborową pszenicę, od ceny za pszenicę średniego gatunku jest nierównie większy, niż go notacje giełdowe wykazują, a że natomiast w czasie ożywionego ruchu handlowego różnica cen między rozmaitemi gatunkami zaciera się w miarę wzrastania popytu, kupiec gdański wyseła już wyborowe gatunki zaraz od ręki przy tanich cenach przewozowych i pod tym względem wszedł już po części na tory systemu obrotowego, ale w nadwyżce cen ofiarowanych za nią utrzymuje ten sam odstęp od odpowiedniej nadwyżki londyńskiej, jak między ogółem cen obu miejscowości. Średnie gatunki umyślnie zaniechane na placu magazynuje po dawnemu. W wykonywaniu tych zasad, giełda gdańska, ożywiona duchem korporacyjnym, działa dosyć solidarnie, unikając starannie wtętu obcego kupiectwa, czego łatwo dokazać może, dzierżąc w swym ręku władzę sytuacji finansowej swego miasta. Poza wskazane tu granice kupiectwo gdańskie dobrowolnie nie pójdzie, systemu swego składowego w zupełności na obrotowy nie zamieni, i taności transportu morskiego na korzyść producenta polskiego z własnego popędu nie obróci.

Celem przeto wyzyskania tej taności na ogólną korzyść handlu zbożowego ziem naszych, i stosunkowego podniesienia wszystkich cen miejscowych o wykazaną poprzednio różnicę dwóch talarów za każde sto kilogramów, nie pozostaje nam nic innego do zrobienia, jak przedrzeć się przez Gdańsk na morze drogą postawienia odpowiedniej własnej instytucji handlowej.

To nas wprowadza w zakres ostatniej części naszych uwag, której przedmiotem ma być nader pożądana dla stosunków naszych organizacja własnego handlu zbożowego.

Potrzebę jakiegokolwiek własnej organizacji handlu zbożowego, czuje publiczność we wszystkich zakątkach produkcyjnych. Dowodem tego jest dość liczny zastęp domów komisowych, które częścią ustały już z widowni, częścią dziś są w pełni działania, częścią w pierwszym rozwijaniu się lub dopiero w zamiarze. Do znaczniejszych policzyć musimy hande komisowe we Lwowie, w Krakowie (z komanditą w Tarnowie), w Poznaniu (z filią we Wrocławiu, z agenturą w Tarnopolu i zamierzonymi biurami ekspedycyjnymi w Brodach i Podwoleczyskach), w Toruniu z agenturą w Bydgoszczy i zamiarami komandyty w Gdańsku; nareszcie

pozostający dopiero handel „wywozowy“ w Warszawie z niedostatecznie jeszcze określonym rozwojem agentur i kilka drobniejszych prowincjonalnych domów zleceń.

Powstanie tych instytucyj, uwolniło publiczność polską przyległych im okolic od wyzyskiwania przez drobną spekulację, która dawniej niezmiernie przytłumiała wysokość cen miejscowych. Zadanie to o tyle możemy uważać za spełnione, że, chociaż skutkiem rozmaitych wpływów, a szczególnie skutkiem mnogich pozostałości z dawnych obrachunków, drobna spekulacja skupuje jeszcze znaczne ilości zboża krajowego, to zawsze już w podawanych cenach wyrównywać się musi na ogólnie podwyższający popęd idący od naszych instytucyj handlowych. Samo ich zjawienie się i niezachwiane trwanie wywiera już ten skutek. To też porównując dawniejsze ceny miejscowe obszarów ulegających wpływowi instytucyj naszych z późniejszymi, znajdziemy pocieszający rezultat, że od czasu zjawienia się ich na placach zbożowych stosunek cen naszych krajowych do cen europejskiego zachodu, zmienił się już na naszą korzyść.

Ale w naszym pojmowaniu rzeczy na podstawie wielko-handlowej opartém, pozostaje jeszcze drugie, nierównie ważniejsze zadanie do spełnienia: usunięcie szkód zrzadzanych handlowi naszemu przez wielką spekulację handlową mianowicie miast portowych nad Bałtykiem.

Zwracając uwagę na ogólną odległość linii pociągniętej przez Gdańsk, Poznań i Wrocław od Londynu i porównując na tej odległości kosztu transportu kolejowego z kosztami transportu morskiego tejże samej odległości, znajdziemy to o czémśmy już raz wspomnieli, że stałe ceny transportu na kolei żelaznej wynoszą (z małą tylko różnicą) tak z Wrocławia jak z Poznania do Antwerpii 7 fr. 50 c. Cen transportu z Antwerpii do Londynu, nie znamy dokładnie. Podobno przy stałym wielkim popycie za okrętami, przebiega skalę od $\frac{1}{2}$ fr. do $1\frac{1}{2}$ fr. Biorąc przeciętną cenę jednego franka za normę, ogół kosztów transportu kolejowego i małej części morza Północnego wyniesie 8 fr. 50 c. czyli 2 tal. 8 sgr. (13 złp. 18 gr. i ażio na walucie pruskiej).

Wynika ztąd, że Wrocław i Poznań normują już dziś swe ceny ściśle podług danych wielko-handlowych i kosztów przeważnie kontynentalnego transportu, stanowiącego najkrótszą drogę ich odpływu. Natomiast porty nadbałtyckie, a mianowicie Gdańsk, mające możność wyzyskania transportu prawie o dwa talary tańszego, cenami

swemi miejscowemi mało tylko nad ceny wrocławskie i poznańskie się wynoszą. Wysokość kosztów kontynentalnych wyzyskują jako protekcję swoich niskich cen miejscowych. Na drodze więc swego najnaturalniejszego odpływu, zboże ziem polskich napotyka tamę wielkiej spekulacji portowej, odgradzającą je od wyzyskania na swą korzyść najtańszego istniejącego przewoźnictwa.

Przerwanie téj tamy uważamy za najważniejsze zadanie naszych instytucyj handlowych.

Nastęrczają się pod tym względem dwa główne środki:

Instytucyje handlowe obywatelskie, mając w swym komisie przeważną część zbóż obszaru bałtyckiego a działając w porozumieniu między sobą, mogą wywrzeć skuteczny nacisk na zniżenie opłat kolejowych, a w miarę zniżenia protegującego czynnika podwyższyć w tym samym stosunku ceny portowe. Środek ten nie przechodzi granic możliwości i jako najłatwiejszego z oka spuszczać go nie trzeba, ale samo zniżenie cen transportu kontynentalnego, acz bardzo donosne w swych skutkach, nie jest jeszcze środkiem radykalnym zdobycia wszystkich korzyści z zupełnego opanowania najtańszej transportowości wynikających.

Za środek przeto nierównie skuteczniejszy, uważamy urządzenie w Gdańsku wielkiej instytucyi komisowej z osobnym zawisłym od niej kantorem w Londynie, któraby w zawiązaniu stosunków między wszystkimi handlami komisowemi ziem polskich a Londynem pośredniczyć mogła. Najważniejsze węzły handlowe obszaru produkcyjnego bałtyckiego, weszłyby w ten sposób w bezpośrednią styczność z najważniejszymi kołami kupieckimi i finansowemi głównego targowiska obszaru konsumcyjnego.

Instytucya tego rodzaju powstać musi pod wpływem zgodnego działania wszystkich istniejących już instytucyj krajowych i musi być bardzo hojnie uposażoną. Pod ostatnim względem zyskać powinna znaczenie potęgi finansowej, któraby i placowe niechęci gdańskie pokłamać i w kołach londyńskich niezawodny wstęp znaleźć zdołała.

Korzyści takiej instytucyi dla kraju i urządzonych w nim handlów byłyby nieobliczone. Bezpośrednia sprzedaż zboża polskiego na najdroższym targowisku całego świata i wyzyskanie najtańszego przewoźnictwa, jakie zyskać można, zbogacałoby rolnictwo krajowe. Zyski tak rozległego pośrednictwa, przynosiłyby niezawodnie ogromną dywidendę, a styczność z kołami bankierskimi londyńskimi obniżałaby wysoki procent krajowy i zabezpieczałaby banki nasze od kryz, które w danym razie z wyłącznej ich zależności od kredytu niemieckiego wyniknąć mogą. W tym celu zaraz od

początku instytucja taka powinna być dostatecznie uposażoną, ażeby wchodząc w niewzruszone zwyczaje londyńskie, dawać mogła młynom miejscowym pożądaną ilość zboża naszego w zamian za wystawione weksle. Pozorna ta niedogodność, stać się może źródłem wielkich korzyści. Dyskontowanie milionów wartości angielskich w kołach bankierstwa londyńskiego zyskuje dyskontującej firmie renomę wielkiej zamożności, a na tej podstawie można następnie dyskontować i wartości kraju naszego zyskując w ten sposób niezmiernie dla nas ważne zastępstwo kredytu niemieckiego przez kredyt angielski.

(Dalszy ciąg nastąpi).



PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

ANTONIEGO ZALESKIEGO.

Rzeźbiarstwo.

W poprzednim tomie „Na Dziś“ przebiegłem pokrótce dzieje malarstwa w najbliższych nam czasach, dzisiaj wypada mi to samo uczynić dla rzeźby i następnie zdawać sprawę o dalszym rozwoju obu tych gałęzi sztuki.

Rzeźba przechodziła prawie też same koleje co malarstwo we współczesnej nam epoce, z tą chyba różnicą, że klasycyzm trwał w rzeźbie dłużej niż w malarstwie, że przełom romantyzmu był w niej późniejszym i mniej widocznym, że nawet dotychczas wpływ klasycyzmu na rzeźbę jest jeszcze wyraźnym.

Łatwo bardzo wytłumaczyć sobie tę różnicę. Wszystkie prawie pamiątki sztuki u Greków i Rzymian, które się do naszych czasów dochowały, dostarczyła nam starożytna rzeźba, z malarstwa nic, albo prawie nic do nas nie doszło; tak, że możnaby powiedzieć, że malarstwo jest sztuką zupełnie nowoczesną, zmuszone samo sobie tworzyć nowe drogi, podczas kiedy rzeźba znalazła gotowe, tak bogate i takiej doskonałości klasyczne wzory, że potrzebowała tylko naśladować, mając się za dosyć szczęśliwą, jeżeli potrafiła sprostać antykom, i absorbowana naśladownictwem, długo pomyśleć nawet nie mogła o nowych kształtach i typach. — Do tego już sam materiał rzeźby: brąz, marmur i kamień czyni ją mniej podatną na zmianianie się za lada podmuchem mody.

Dla tego to może, podczas kiedy w malarstwie romantyzm w pełni się rozwijał, rzeźba długo jeszcze czekała na podobne próby w swojej dziedzinie.

Berko szkoły klasycznej długo piastowali bezsprzecznie Kanowa i Thorwaldsen; zbytecznym byłoby mówić tutaj o znanych całemu światu zastugach tych dwóch wielkich mistrzów, których utwory nie

boją się porównania z antykami. — Dość powiedzieć, że Perseusz i Gładjatorowie Kanowy stoją w Watykanie obok Laokoona i Apollina Belwederskiego i nie bledną w tém straszmem dla każdego innego rzeźbiarza, sąsiedztwie.

Wdzięk był jednak główną Kanowy własnością, jak siła i powaga najważniejszą właściwością Thorwaldsena. Kraj nasz posiada kilka znakomych utworów ostatniego, jako to: posąg brązowy Kopernika w Warszawie i konny posąg ks. Józefa Poniatowskiego, także z brązu odlany, umieszczony dziś w parku ks. Paskiewicza w Homlu; w katedrze zaś na Wawelu posąg Włodzimierza Potockiego i Chrystus pocieszyciel w kaplicy Potockich, oboje z kararyjskiego marmuru. —

Wszystko, prócz Kopernika, którego średniowieczna toga znalazła jeszcze łaskę w oczach klaszyka, oddane w najczystszymsz starożytnym stylu. — Poniatowski i Włodzimierz Potocki wespół nadzy, w rzymskich chlamydach, z krótkimi rzymskimi mieczami, co w niemale zdziwienie wprawiało starych naszych wiarusów, którzy pytali oglądając przysłany do Warszawy model posągu księcia Józefa: „A toż co? Czy to nasz książę od pławienia koni powraca?“ a powiadają, że przysłany sobie ubiór ułański ks. Józefa, i burkę, którą zwykle nosił, Thorwaldsen z oburzeniem odrzucił, mówiąc: „Jak oni chcą, żebym coś podobnego miał w posągu oddać“?

Jednak około tegoż czasu rozpoczęło się w Niemczech pierwsze wyłamywanie się z więzów klasycyzmu; znakomity rzeźbiarz niemiecki Rauch w posągach generałów pruskich w Berlinie, pierwszy ośmielił się oddać w rzeźbie mundury i botforty i wyszedł zwycięzko z tego istotnie ciężkiego zadania.

Tegoż Raucha posiadamy w Poznaniu brązowe posągi Miecysława I. i Bolesława Chrobrego w ubiorach współczesnej im epoki; i odtąd w posągach rzeźbiarze trzymali się ściśle prawdy historycznej, a sam Thorwaldsen, który był świadkiem tego romantycznego przełomu, porwany prądem ogólnym, uległ mu w końcu i posiadamy parę jego posągów w zbrojach średniowiecznych, którychby na kilkanaście lat pierwój nigdy się nie zgodził robić, uważając jedynie nagą postać człowieka, albo lekkie draperye antyków, jako godne dłuta snycerza; a prócz kilku uświęconych przez Greków i Rzymian idealnej piękności typów, wszelkie inne uważając za trywialne i nieszlachetne.

Za Rauchem poszli mnodzy rzeźbiarze niemieccy, jedni więcej, drudzy mniej hołdując nowym ideom. Z nich wymienię najznakomitszych: Schwantalera i Dannekera, z których pierwszy wspierany przez króla Ludwika bawarskiego, zostawił w Monachium i Walhalli piękne utwory znakomitego swego dłuta; z robót zaś Dannekera

posąg Aryadny, znajdujący się we Frankfurcie, budzi dotychczas podziw znawców, ale jest wzorem zupełnie klassycznego stylu.

Prąd romantyzmu w rzeźbie, rozpoczęty w Niemczech, udzielił się najprzód Francuzom, gdzie jednak mniej się wszczepił jak w Niemczech, znajdując wielką opozycyę w kilku pierwszorzędnych rzeźbiarzach, jak Etex Pradier i Simart, podczas kiedy David d'Angers i Rude znakomity twórca wspaniałej grupy „Obrony“ na łuku tryumfalnym de l'Etoile wycięj się ku nowym ideom skłaniają. W ostatnich czasach nietylko romantyzm, ale i najskrajniejszy realizm ma swego przedstawiciela w rzeźbiarzu Carpeaux, którego gruppa na teatrze Wielkiej Opery w Paryżu, godna jest współzawodniczyć z obrazami Courbeta. W rzeźbiarstwie rodzajowém nieporównani są zresztą artyści francuscy. Drobne posąжки (statuetki) małe brązy, ornamenta, złotnictwo artystyczne, doprowadzili oni do wyokięj doskonałości, a rzeźbiarze Barye w wielkich posągach i guppach zwierząt; Méne w drobnych tego rodzaju utworach, doszli do nieznanęj dawnym, prawdy i natury—i pod tym względem prześcignęli Niemców i Włochów. Najpóźniej przysła kolęj na Włochy, tam szkoła Kanowy panowała zbyt wszechwładnie, wpływ wielkiego mistrza był zbyt potężnym, żeby mógł tak rychło ustąpić miejsca nowej szkole.

Po Kanowie uczniowie jego i następcy: Tenerani i Tadolini w Rzymie; Bartolini i Pampaloni we Florencyi, długo jeszcze kroczli w ślady mistrza, pozwalając sobie zaledwie nieśmiałyh romantycznych usterków, i dopiero około 1842 roku, stara Florencia, jak w XV wieku, tak i w XIX stanęła na czele ruchu.

Gienialny młody rzeźbiarz Dupré, z francuskim nazwiskiem ale odem ze Sienny, a we Florencyi zamieszkały, w dwóch posągach Kaima i Abła *) pokazał oczom zdziwionych Włochów dwa razem łąkna, ale i zupełnie nowym, realnym sposobem traktowane typy, już nie antyk, ale czystą naturę za wzór mające. Wrażenie, jakie te dwa posągi sprawiły, było ogromne, zażarta walka wywiązała się między stronnikami klassycyzmu i romantyzmu w rzeźbie, ale młody romantyzm zwyciężył i Włochy zajęły bezwątpienia najwyższe miejsce w nowej rzeźbie europejskiej. Obok Duprégo wkrótce stanął Feli także Florentczyk, a przy nich wielu innych artystów nowej szkoly, odznaczają się dotychczas we Włoszech. Rozbudzone życie młodych Włoch, dostarczyło im wątku do wielu pięknych posągów wielkich ludzi ich ojezyny, któremi ozdobione są place

*) Posągi te zakupione przez księcia Leuchtenbergskiego, znajdują się obecni w Petersburgu.

i gmachy publiczne, mianowicie we Florencyi, gdzie we framugach pałacu dei Uffizii widzimy posągi Dantego i Giotta przez Dupręgo, Michała Anioła przez Santarellego i wielu innych pięknych nowoczesnych posągów, a grupa Fediego została uznana za godną stanąć w Loggia dei Lanzi, obok arcydzieł Giovanni di Bologna i Benvenuto Cellini.

Inne kraje Europy acz nie w tej mierze co Niemcy, Francya i Włochy, wydały także w ostatnich czasach znakomitych rzeźbiarzy. Dania najwyżej poszczycić się może wielkim Thorwaldsenem, którego dała Europie i niejednym znakomitym rzeźbiarzem wstępującym w jego ślady. Anglia miała i ma dotychczas kilku znanych nietylko u siebie, ale i zagranicą mistrzów, nawet Ameryka w ostatnich czasach wydała ich kilku, z których bawiący we Włoszech Powers, najwięcej jest znanym; my tylko Polacy na dłużej pozostaliśmy w tyle za innymi narodami Europy. — Pamiętamy jeszcze niedawne czasy, kiedy na całej polskiej ziemi byli tylko dwaj rzeźbiarze Hegel i Tatariewicz — a przez długie lata w Warszawie nie było literalnie nikogo pracującego stale w tej gałęzi sztuki, oprócz niejakiego Kaufmana, pół Włocha, pół Niemca, więcej sztukatora i kamieniarza niż artysty, który wybornie Warszawie wystarczał. — Nieprędko, bo aż pomiędzy 1840tym i 50tym rokiem zasłynęli pierwsi u nas poważniejsi mistrzowie w tej sztuce. Sosnowski i Oleszczyński. — Pierwszego, Chrystus w grobie i Anioł Zmartwychwstania, w Warszawie są dowodem znakomitego talentu i przejęły wszystkich lubowników sztuki radością i pociechą jako pierwsze u nas objawy istotnego w rzeźbie postępu. Znane są całemu krajowi piękne prace Oleszczyńskiego. — Po nich zjawili się Brodzki, dziś europejskiej używający sławy i pracujący dla wielu dworów, a odznaczający się głównie miękkością i wdziękiem; Syrewicz, którego piękne prace podziwiamy na krajowych wystawach, i Lenartowicz, który dowódtwem, że ręka jego równie dłutem jak piórem władać jest zdolna.

Dzisiaj z każdym dniem zwiększa się zastęp naszych rzeźbiarzy, Stattler (syn malarza) traktuje ze zdolnością sztukę tę w Krakowie, celując mianowicie w portretach. Młody i wysoko talentowany Barącz ze Lwowa, Gujski, Lipiński i Trembecki krakowianin, dali się już poznać nie jedną piękną rzeźbą, a pomiędzy młodymi uczniami szkoły krakowskiej i na akademiach zagranicznych wrażliwają i kształcą się nowe talenta. Mimo to można powiedzieć, że rzeźba nasza czeka jeszcze dotychczas na swego Matejkę, a przytém i publiczność nasza nie dosyć niestety w rzeźbie smakują. Niejeden u nas amator nie żałuje i tysięcy na obrazy i portrety oejne, a zamówić posąg lub nawet popiersie z marmuru i brązu, nie przyj-

dzie mu nawet do głowy. Nie możemy więc w tém widzieć braku środków, boć przecie i obrazy kosztują; smutno zaś byłoby upatrywać w tém jakiś brak znawstwa w naszej publiczności. Może też niepewność sytuacji ogólnej, wstrzymująca każdego od wszystkiego, co trwałe i kosztowne, zatém i od stawiania i budowania pomników, staje na przeszkodzie zamawianiu przez amatorów dzieł rzeźby, téj majestatycznej i najpoważniejszej gałęzi sztuki.

Pozostaje nam teraz zdać sprawę z bieżących objawów sztuki tak u nas jak za granicą. Tutaj, z przeproszeniem wielkiej Germańskiej rasy, która zwyciężywszy na polach bitew chciałaby i na wszystkich innych zarówno przewodzić; zaczniemy jednak od zwyciężonych, od Francji. Ta, na téj arenie gdzie nie broń iglicowa ale dobry smak daje zwycięstwo, jakoś poddać się nie chce, i rzecz dziwna, pomimo srogich nieszczęść, któreby aż nadto usprawiedliwiały opuszczenie rąk, i wyrzeczenie się wszystkiego, a cóż dopiero pędzla i palety, sztuka we Francji nie upada. I ona jednak zapłaciła straszną dań krwi na polach bitew. Młodzi artyści pospieszyli tamże na głos ojczyzny, w czasie oblężenia Paryża padł znakomity Henryk Regnault autor kilku obrazów, które w ostatnich czasach wielkie zrobiły wrażenie, a mianowicie Salomy, czyli Herodjady, w której doprowadził czarodziejstwo koloru do ostatecznych granic i obiecywał stać się w Europie najpierwszym może kolorystą. Tak piękne początki przecięła pruska kula na polach wioski Buzenval pod Paryżem.

I straszny epizod komuny nie przeminął, nie dotknąwszy sztuki i ona odegrała swą rolę w tym okropnym dramacie. Courbet wódz szkoły realistów, o którym mówiliśmy dość szeroko w ostatnim przeglądzie, był członkiem rządu komuny i dyrektorem wydziału sztuk pięknych w Paryżu i starał się przewrotnie swe teorie zastosować w najzgubniejszy dla sztuk pięknych sposób. Jemu winna Francja barbarzyńskie obalenie kolumny Vendôme i rozmaite najdziwaczniejsze zachcianki, którym rozsądniejsi artyści i konserwatorowie galerij często nie bez narażenia starali się stawić czoło ¹⁾. Nareszcie wśród potoków krwi i nafty, wśród płomieni, które niszczyły

¹⁾ Rzecz godna uwagi, że komuniści ze szczególną żarliwością prześladowali sztukę i jej pomniki, uważając ją za objaw arystokratycznych instynktów ludzkości, nie pomni na to, że ona kwitła najwyżej w republikańskiej Grecji i średniowiecznych rzecz-pospolitych włoskich i wolnych miastach niemieckich, i że wpływając na uszlachetnienie mass ludu, więcej jeszcze w republikach jak w monarchiach czczoną i pielęgnowaną byćby powinna.

czyły najpiękniejsze gmachy, a z nimi freski Delacroix, Werneta i innych malarzy w ratuszu paryskim, straszny epizod komuny przeszedł jak zmora złowieszca i wszystko wraca powoli do ładu tak w dziedzinie porządku społecznego jak i sztuki. Muzea otwierają się na nowo, rany zadane gmachom przez bomby pruskie i gorszą jeszcze naftę komunistów, leczą się i opatrują, na 17 Maja zapowiedziane jest otwarcie wystawy w Paryżu i wszystko każe się spodziewać, że artyści francuscy świetnie na nią wystąpią.

Zaznaczmy tutaj szlachetne współdziałanie tychże w wielkiej składce, mającej na celu dopomożenie narodowi do zebrania jeszcze potrzebnych miliardów dla rychlejszego oswobodzenia terytorium francuskiego od Prusaków. Na pierwsze wezwanie komitetu już w pierwszych dniach, kilkudziesiąt artystów a nawet amatorów i właścicieli galeryj, i wydawców i kupców przedmiotów sztuki, zobowiązało się dostarczyć na ten cel patriotyczny przynajmniej po jednym obrazie swojej roboty lub ze swego zbioru. Sądząc z tego początku ze świetnych imion, które jaśnieją pomiędzy podpisami, spodziewać się należy, że rezultaty współdziałania sztuki w tej składce będą istotnie zdumiewające.

Jeszcze jeden piękny przykład ofiarności artystów francuskich i ducha braterstwa, który między nimi panuje. Znakomity pejzażysta Anastasi dotknięty został niedawno najsmutniejszą chorobą, jaka może spotkać artystę, utracił wzrok i znalazł się bez zapasu, a więc bez kawałka chleba. W przeciągu kilku tygodni kilkuset artystów przysłało obrazy, akwarelle, kartony i rzeźby, które sprzedane na urzędzonej w dniach 12 i 13 Lutego licytacji, przyniosły summe 137,000 franków i zabezpieczyły odrazu byt nieszczęśliwego i zasłużonego kolegi.

Ciekawem jest zestawienie roli, którą odegrywała sztuka francuska wśród nieszczęść swojego kraju z tryumfalnym współdziałaniem sztuki niemieckiej w obchodach, któremi we wszystkich stolicach Niemiec witane były zwycięskie wojska — w Berlinie, Dreźnie, Monachium, wszędzie wznosiły się na wyścigi dekoracye, łuki tryumfalne, i na przedce stawiane, a nieraz wcale piękne kolosalne posągi. Najwięcej się odznaczył w Berlinie mało dotychczas znany młody rzeźbiarz Siemering, którego kolosalny posąg Germanii a więcej jeszcze umieszczona na podstawie tegoż fryza tak powszechne zjednały uznanie, iż postanowiono odlać ją z brązu, jako najgodniej przedstawiającą wielki ruch patriotyczny Niemiec i pośpiech, z którym wszystkie stany wzięły udział w wojnie narodowej. Pominąwszy stronę polityczną tej kwestyi, w której zdaje się, że duch najezdnicstwa większą grał rolę niż patriotyzm, przyznać trzeba, że fryza Sieme-

ringa jest prześlizną. Grupy rolników rzucających pługi, studentów i uczonych porzucających swe księgi i spieszących pod chorągwią, ojców, mężów i kochanków w chwili bolesnego rozstania z drogiemi im istotami, są oddane z porywającą prawdą i uczuciem, a przytém estetycznie piękne. Sam posąg Germanii, acz mniej znakomity od fryzy, zawsze jednak piękny. Wyobraża on Germanię przytulającą do matczynej (?) łona dawno jęj wydarte córki, Alzacyję i Lotaryngię! i trzeba całego zaślepienia szowinizmu, żeby tego pomysłu nie wziąć za gorzką ironię!

Przy stawianiu tego posągu nie zabrakło i na komicznym epizodzie; kolosalna głowa Germanii runęła na ziemię i rozbiła się na drobne kawałki i tylko spiesznemu zaradzeniu zawdzięczać należy, że zwyciężkie szyki Germanów nie zastały swęj wielkięj matki bez głowy.

Oprócz tych przemijających obchodów, które dały pole sztuce dekoracyjnęj do odznaczenia się, wystawy całych Niemiec napełnione są obrazami, do których treść podały wypadki ostatnięj wojny. Pomiedzy takimi odznaczał się śliczny obraz Gysisa, rodem Greka ale osiadłego w Monachium, który pod tytułem: „Napoleon wzięty!“ z dziwną prawdą oddał wrażenie, jakie ta radośna dla Niemiec nowina wywołuje na gruppach ludu bawarskiego. Ale zwróćmy raczęj oczy na spokojniejsze objawy prawdziwęj sztuki, nie nagingacęj się do wypadków chwili obecnej.

Na wystawie w Künstlerhaus w Wiedniu odznacza się nowy obraz Pawła Meyerheim: „Strzyża owiec“, oceniony na 14,000 złr. a zalecacęj się efektem i prawdą; „Targ węgierski“ Pettenköfena, pełny życia i koloru, jak wszystkie obrazy tego mistrza; „Wieczór sobotni“ Geselschapa; „krowy wśród mgły alpejskięj“, znakomitego peizażysty Kollera (syna); „Skrytostrzelcy na uczynku pojmani“ Defreggera, któregośmy w ostatnim Przeglądzie wymienili, jako oddacęj z dziwną prawdą typy ludowe tyrolskie, piękne krajobrazy Achenbacha, Schamphepera, Lafita i Hoffmana.

Stary austriacki Kunstverein opuszczony przez artystów, którzy przeszli wszyscy do niedawno założonego przez samychże artystów Künstlerhausu, ratuje się i podtrzymuje sprowadzanemi powiększęj częścią z zagranicy sławnemi obrazami. I tak, jeszcze przed Nowym rokiem wystawiono tamże sławne kartony Kaulbacha, a mianowicie Piotr Arbues inkwizytor hiszpański (w Tygodniku Ilustrowanym reprodukowany) ściągacęj tamże ciekawych widzów. W tym roku rodzajowe obrazy Wenecyanina Rotta, „Walpurgowa noc“ Zimmermana, i wiele innych ozdabia sale wystawy. Ale największém powodzeniem cieszyła się „Wenus Anadyomene“ Schössera. Jestto

co Niemcy nazywają „ein Zugbild“, to jest obraz wędrujący po świecie i za pieniądze pokazywany; ci, którzy go widzieli zachwycają się jego doskonałym wykonaniem. Przedmiot nie nowy, Wenus powstająca z piany morskiej w zwykłym otoczeniu amorków, Nereid i Trytonów, zresztą traktowany seryo i klasycznie, tak że pomimo koniecznej nagości figur jest skromnym. Artysta był zań wynagrodzonym złotym akademickim medalem w Berlinie, a następnie obraz ten stał się sławnym z powodu sprzeczki, jaka się o niego wywiązała pomiędzy dyrekcją wystawy berlińskiej a b. pruskim ministrem wyznań. Ostatni znalazł nieprzyzwoitóm umieszczenie tego obrazu obok innych obrazów religijnej treści i kazał go usunąć do innej sali, zkad wywiązała się żwawa polemika pomiędzy ministrem i dyrekcją, w której wszystkie dzienniki berlińskie udział wzięły, rozbieając kwestyę przyzwoitości i nieprzyzwoitości obrazów i oskarżając ministra o pedantyczną pruderyę.

Cała ta sprawa posłużyła obrazowi na reklamę, do czego i doskonałość wykonania się przyczyniła, a Kunstverein wiedeński dobrze na tém wyszedł, bo liczba odwiedzających była tak znaczną, że w jednym dniu doszła do niesłychanej dotąd cyfry 6000 osób. Przeciwnie się powiodło Kunstvereinowi z Gratz, który zachęcony powodzeniem wspomnianego przez nas kartonu Kaulbacha (Inkwizycya), sprowadził go na swą wystawę, wskutek czego wszyscy księża wystąpili z Kunstverein, co zapewne niemałą przyniosło mu szkodę.

Z Monachium donoszą jako o niezwykłym fakcie, o zakupnie przez tamtejszy Kunstverein obrazu Thiersch'a: „Chrystus nad sadzawką Bethsaida“, za najwyższą kiedykolwiek przez pomieniony Kunstverein zapłaconą summę 1200 guldenów. Zdziwienie sprawozdawcy nad tym faktem może służyć za dowód, do jakiego stopnia malarstwo religijne wyszło z mody w tém Monachium, gdzie dawniej wszechładnie prawie panowało, dzisiaj zaś jest wyłącznie zastąpionóm przez lżejsze rodzajowe malarstwo.

Znakomity węgierski malarz Munkaczy wyjechał z Düsseldorfu, gdzie dotychczas przebywał, do Paryża, wykończywszy prześliczny rodzajowy obrazek z życia węgierskiego ludu „Matkę wyprawiającą dziatwę do szkółki“. Jestto niejako zabawka wielkiego mistrza, znanego z dramatycznej treści swoich obrazów, a mającego zamiar wykończyć w Paryżu większych rozmiarów kompozycyę, której szkic jest gotowym i ma wyobrażać zbrodniarzy prowadzonych przez miasteczko węgierskie w nocy przy świetle księżyca.

I nasi artyści coraz więcej wspominani są przez zagraniczne dzienniki. Mówią, że Rodakowski przygotowuje na wystawę paryską znakomity obraz, którego treścią ma być Zygmunt I i dwór jego

w czasie „Wojny kokoszej“. — Niemieckie pisma niezbyt szczodre w pochwałach dla polskich artystów, nie mogą jednak odmówić zasłużonego uznania dla pięknych obrazów Brandta i Maksymiliana Gierymskiego. Pierwszy wystawił w Monachium „Obóz polski w XVII wieku, o którym mówią pisma niemieckie, że „niewiadomo co więcej w nim podziwiać mamy, czy żywość kompozycyi, czy ściśłość rysunku, czy świetność koloru, co zaiste jest najwyższą pochwałą, jaką obrazowi oddać można.

Gierymski nadesłał do wiedeńskiego Künstlerhausu „Modlitwę wieczorną żydów, w którym toż pismo podziwia nastrój poważny i uroczysty i pełne zalet wykonanie. O obu tych artystach piszą nam z Monachium, że nie mogą nastarczyć roboty zagranicznym nabywcom, i serce rośnie mimowolnie na wspomnienie, żeśmy przez lat niewiele tak daleko zaszli w sztuce, bo każdy z nas pamięta te niedawne jeszcze czasy, kiedy roboty naszych artystów jedynie w kraju i to lichy pokup znajdowały, a nabywcami byli najczęściej albo tacy, którzy nic lepszego nie widzieli, albo kupujący z poświęcenia, dla podtrzymania sztuki krajowej; a o tém, żeby zagranicą kupowano dzieła naszych artystów, nie marzyliśmy nawet.

Oprócz dwóch wspomnianych artystów, których już do mistrzów zaliczyć możemy, pracują w Monachium Gierymski Aleksander i Czachurski Władysław, obaj uczniowie Pilotego i oba nietylko wielkich nadziei ale już i zasług, artyści, uczniowie akademii Monachijskiej, Benedyktowicz, Borkowski, Chmielowski, Lipiński, Motty, Milewski, Maszyński, Alfred i Edward Romerowie, Soldenhoff, Szyndler i Witkiewicz, oraz artyści: Malecki, Kurella, Brochocki, Pilecki, Szermer i Chełmoński i niedawno tam z Wiednia przybyli: Streit i Kozakiewicz. — Bawiący w Medyolanie Krakowianin Mirecki przysłał niedawno na krakowską wystawę kilka swoich obrazów, świadczących o niemałym jego postępie w sztuce. Prawdziwą niespodzianką były dla Krakowa dwa wielkiej piękności obrazy Leona Kaplińskiego: „Hetman Chodkiewicz i Prządka włoska“, mówię niespodziankę, bośmy oddawna nie widzieli w Krakowie robót tego artysty, który długie lata za granicą spędził. Oba te obrazy należą do niezwykłej piękności objawów sztuki u nas, i znalazły powszechne uznanie pełnej stylu i powagi kompozycyi „Hetmana“ i niezrównanej gracy „Włoszki“.

Z gorączkową prawie ciekawością oczekuje Kraków będącego już na ukończeniu nowego arcydzieła Matejki. Pojawienie się każdego nowego obrazu tego artysty, jest u nas jakby epoką w sztuce krajowej. Ci, którzy tę kompozycję oglądali w pracowni artysty, nie mogą słów dobrać, na jego pochwałę. Przedmiotem jego ma być: „Batory pod W. Łukami“. Artysta wykończy go obecnie w sali To-

warzystwa Naukowego i Kraków będzie się może niezadługo cieszył jego oglądaniem. Mówią też o nabyciu „Unii“ przez hr. Działyńskiego, co gdyby się sprawdziło, byłoby bardzo pocieszającym, gdyż zbiory Działyńskich przywykliśmy uważać jako bogactwo narodowe, widząc jak zacna ta rodzina stara się zawsze udzielać ich na użytek publiczny.

Niezrównanej obfitości pędzel Kossaka darzy nas coraz nowym utworem; na wystawie krakowskiej mamy kilka koni wyścigowych, rzadkiej piękności wykonania, a w pracowni artysty oglądaliśmy już na ukończeniu będącą przepyszną i olbrzymich rozmiarów akwarellę, przedstawiającą portretową grupę konną i pieszą u ganku wiejskiego pałacu, oraz kilka innych prześlicznych rozpoczętych robót. Wstrzymujemy się z szerszym ocenieniem tych nowych dzieł sztuki, które ujrzymy zapewne wkrótce na naszej wystawie, nie mając prawa sądzić o rzeczy jeszcze nieskończonej i zachowując sobie tę przyjemność do następnego przeglądu.

Warszawskie czasopisma udzielają nam zbyt rzadkich i skąpych wiadomości o ruchu artystycznym Warszawy, wiemy jednak, że wystawa zasilaną jest dosyć hojnie przez krajowych artystów; szczególnie były chwalone w ostatnich czasach: Gersona „Esterka“, Ksawerego Pillatego „Popas“, brata jego Henryka „Parobek“, Millera „Portret i Belfer żydowski“, Brodowskiego „Kawalerya furazująca“, oraz piękne pejzaże: Małeckiego „Kościół w Chlewiskach“, Schoupe'go „Nowy targ“, Szermentowskiego „Kościół wiejski i krajobraz karpacki“, oraz dwa pejzaże Gościńskiego, którego nazwisko od niedawnego czasu na wystawie warszawskiej spotykamy.

Widzimy też z przyjemnością coraz wznoszące się w Warszawie drzeworytnictwo, któremu aż trzy większe czasopisma są poświęcone, z tych *Tygodnik* i *Kłosa* oddawna znamy a od nowego roku nowe *Wieniec* wystąpiło na scenę; dyrekcja artystyczna ostatniego powierzona Wojciechowi Gersonowi, daje nadzieję, że pismo to dopełni swego zadania pod względem sztuki i zdaje się, że przyjmie bardziej specjalnie artystyczny kierunek. Ta mnogość pism ilustrowanych, pochłania zresztą inne gałęzie sztuki i niejedyn zdolny malarz porzuca pędzel dla ołówka i rysunków na drzewie; które dają pewniejszy i codzienny chleb powszedni, niż długa i zmuDNA praca nad obrazami przy niepewnym i trudnym ich odbycie. Czy sztuka na tém skorzysta czy to jęj zaszkodzi, to pytanie, na które odpowiedzieć trudno, zresztą jest to dowód i wynik szczególnego zamiłowania publiczności do pism ilustrowanych.

Z tejję gałęzi sztuki, podajemy zasięgnięta z pism warszawskich wiadomość, że znany wydawca Unger wszedł w układy z uta-

lentowanym artystą Andriallim, który jakieśmy to mówili, bawi obecnie w Warszawie, i zamówił u niego szereg licznych ilustracyj do zamierzonego przezeń nowego wydania dzieł Słowackiego i Syrokomli. Znany i znakomity talent Andriollego, obfita i poetyczna jego fantazya, każą się spodziewać prawdziwie artystycznego dzieła i powinnować p. Ungrowi szczęśliwego wyboru.

Z nowszych dzieł rzeźby polskich artystów, mamy do zaznaczenia piękny biust marmurowy „Szopena“ przez Bolesława Syrewicza, który na wystawie warszawskiej powszechnie wywołał pochwały. Znamcy podziwiają w nim życie, tak trudne do oddania w marmurze i pełny poezji wyraz twarzy tego popiersia. „Madonna“ Gundelacha na teźże wystawie, także się odznaczała jako piękne dzieło sztuki. Na wystawie krakowskiej kilka popiersi w gipsowych odlewach p. Henryka Stattlera a mianowicie portrety: Matejki, dr. Dietla, Majera i ś. p. Antoniego Helcla, odznaczają się trafnym podobieństwem i zaletami wykonania. Pierwsze z tych popiersi zamówionem zostało z marmuru przez Towarzystwo Krakowskie Przyjaciół Sztuk Pięknych dla umieszczenia w salach wystawy wizerunku tego, który tyle sławy sztuce krajowej przyczynia. Podobnie i Towarzystwo naukowe zamówiło u tegoż artysty marmurowe popiersie Lewela.

Umieszczone na wystawie krakowskiej przepyszne popiersie Libelta w gipsowym odlewie, zwraca uwagę znawców na młodego i pełnego zdolności artystę, którego jest robotą, p. Barączę ze Lwowa, popiersie to odznacza się ogromną siłą i energią wykonania, rokującą p. Barączowi świetną przyszłość w rzeźbiarstwie. Równie młody artysta p. Trembecki krakowianin, odznaczył się niedawno wykonaniem przesłicznej grupy „Górali“, pełnej niezrównanej gracy i rzadkiego połączenia prawdy z estetycznością. Obecnie p. Trembecki wykończy grupę odpowiednią „Góralom“ „Krakowiacy“, którą niezadługo ujrzymy na wystawie, i która będzie niezawodnie godną „Górali“ rywalką. O pierwszej grupie wspominały obszernie pisma czasowe krakowskie, ale dla dalszych czytelników nie możemy się wstrzymać, żeby nie wspomnieć choć kilku słowami o tém pięknym dziele sztuki. Młoda góralka idąc do kościoła, jak to pokazuje książeczka do nabożeństwa i świąteczne jój ubranie, na trudnej, skalistej ścieżce, przyjmuje udzielaną jój pomoc górala, na ramieniu którego się wspiera. Niepodobna opisać całego wdzięku tej sceny.

Naiwne zakłopotanie dziewczątka, siła i młodzieńcza gracya górala, który z miłością przyjmuje drogi ciężar w silne swe ramiona i znosi prawie ze stromej skały stanowią razem niewysłowionego wdzięku grupę, której malowniczy strój tatrzańskiego ludu jeszcze

więcej piękności dodaje. Znaczna liczba amatorów zapragnęła mieć odlewy z „Górali“ co też i zostało dopełnioném staraniem Towarzystwa krakowskiego i życzyłoby należało, żeby „Górale“ i niezadługo zjawić się mający „Krakowiacy“, stali się u nas popularnemi i zostały ozdobą niejednego naszego domu.

Jeszczeby więcej życzyć należało, żeby się znalazł jaki amator, któryby obie te grupy przez zamówienie ich z marmuru na trwalszą pamiątkę zamienił.

Równie miłą niespodzianką było dla miłośników rzeźby, zjawienie się na wystawie krakowskiej pięknego popiersia z natury, jest to jedna z pierwszych prac poczynającego zawód rzeźbiarski p. Eliasza (brata malarza). Prześliczne i pełne charakteru wymodelowanie głowy starego wiarusa czyni istotny zaszczyt p. Eliaszowi a nam nadzieję, że będziemy w nim widzieli znakomitego rzeźbiarza. Z młodych kształcących się w tej gałęzi sztuki artystów, słyszeliśmy o pp. Wiśniowieckim i Grabowskim z Galicyi, przebywających obecnie w Monachium, gdzie się kształcą w tamtejszej akademii. Z dawnych i znanych artystów naszych Wiktor Brodzki przebywa w Rzymie a tutaj w Krakowie posiadamy piękną jego głowę Chrystusa z karraryjskiego marmuru, godną istotnie tego mistrza. Wspomnijmy tu także o posążku z terracotty p. Święckiego „Poezyę narodową“ przedstawiającym, którejbyśmy jedynie chybiony rysunek prawej ręki zarzucili, oddając zresztą słuszną pełną wdzięku główce i równie jak całej postaci i draperyi.

„Tęsknota“ (odlew gipsowy) p. Lipińskiego, znamionuje nie-małe rzeźbiarskie zdolności, jest w tej figurce i rysunek i piękno, powiemy nawet, mistrzowska modelacya ciała i draperyi, słowem wszystko, prócz... tęsknoty, bo tej nigdzie nie widzimy a nawet dobra tusza mającej ją przedstawiać kobiecęj postaci, jawnie zaprzeczając jej się zdaje.

Kończymy na tém nasz dzisiejszy przegląd, odkładając do następnego nie jedno, co dla krótkości czasu i miejsca pominąć wypadało, a z coraz ożywiającego się artystycznego ruchu zagranicą i u nas wnosząc, że materyału nam nie zabraknie.



PRZEGLĄD LITERACKI.

Codex diplomaticus Tinecensis. Kodex dyplomatyczny Tyniecki wydany staraniem i nakładem Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, Część I, XIII i XIV wiek, Lwów, 1871 str. 198 in 4to.

Od czasu do czasu pojawiają się u nas prace, mające na celu wydobycie z ukrycia bądź to starodawnych kodeksów, bądź starych pomników literatury ojczystej, krytyczne przejrzenie i oczyszczenie takowych z licznych błędów i fałszów, a tém samém wzbogacenie naszej historii, w dokumenta, bez których przy najlepszych chęciach ani na krok posunąć byśmy nie mogli dziejów ojczystych, i tak niestety w liczne i szerokie luki obfitujących. Doniosłość i ważność podobnych prac, znana aż nadto wszystkim, jest tu tém większa, im więcej ich potrzebujemy i im więcej skazani jesteśmy na dowiadywanie się często u obcych narodów, tego co się u nas działo. — W ostatnich latach prace te pomnożyły się znacznie, dzięki skrzętnym zabiegom badaczy dziejów ojczystych i tych którzy na podobne wydawnictwa nie szczędzili kosztów.

Zachodzi tu jednak pytanie, czy te prace odznaczają się dokładnością, czy w wydanych zabytkach usunięte są wszystkie błędy i fałsze tak dalece, aby historyk chcący z nich korzystać, mógł przystąpić z całą wiarą w ich prawdziwość, zamiast tracić czas, na wytykaniu błędów lub odszukiwaniu takowych?

Na pytanie to nie odpowiemy ogólnie, ale weźmiemy pod szczególną uwagę świeżo wyszły „Kodeks dyplomatyczny Tyniecki, wydany staraniem i nakładem Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich“.

Kuratorya i dyrekcya zakładu oświadcza w przedmowie, że postanowiła zwrócić wydawnictwo na nowe tory, to jest głównie na drogę wydawania swoich rękopismów, gdyż pragnie tym sposobem wywiązać się z zadania, jakie ma zakład.

W tym celu wydawać będzie na ten rok i na przyszły „Dyplomatoryusz Tyniecki“.

Mamy przed sobą pierwszą część tego dyplomatoryusza, obejmującą XIII i XIV wiek, a składającą się z dziewięćdziesięciu trzech dyplomów. Szereg dyplomów w części pierwszej rozpoczyna akt konfirmacji nuncyusza papieskiego, kardynała Idziego w roku 1105 wystawiony w Krakowie.

Dyrekcya i kuratorya wylicza nadto w przedmowie drugi z rzędu ważny dyplom, a mianowicie: „Przywilej dany klasztorowi przy kościele św. Wawrzyńca pod Kaliszem przez Mieczysława księcia wielkopolskiego w r. 1209“. Któryby to był Mieczysław, o którym i Długosz pod dniem 1 sierpnia 1209 pisze: „Mscislaus filius Boleslai victoriosi, dux majoris Poloniae“ — nie wiadomo. Otóż co do tego dyplomu, zachodzi kwestya — czy

dypłom ten został wydany przez Mieczysława w r. 1209, czy też przez Bolesława w r. 1245. Długosz rzeczywiście wspomina o Mieczysławie, atoli gdy porównamy świadków podpisanych na dypłomie w kodeksie tynieckim zawartym, ze świadkami podpisanymi na dypłomach, wydanych przez Bolesława i Przemysława z roku 1245 i 1246, a zawartemi w kodeksie dyplomatycznym Wielko-Polski, Raczyńskiego, to okaże się, że świadkowie, podpisani na dypłomie z roku 1209 i 1246, są po większej części ci sami i piastują te same godności. Tak na przykład, — świadek Przetpełk występuje w jednym i w drugim jako kasztelan poznański, Herkenbold jako kasztelan kaliski. Żałować przeto należy że nie wyjaśniono w przedmowie tej kwestyi, a ograniczono się na jedynym dowolnym i niepewnym świadectwie Długosza. Drugim dypłomem nasuwającą uderzającą wątpliwość, jest dypłom IX, na st. 12. p. t. Perugia 15 Maja 1229 r. Grzegorz IX zatwierdza klasztorowi akt Grzymisławy na „Slone”. — Treść dypłomu opiewa; że Grzymisława uwalnia ludzi klasztoru tynieckiego, osadzonych między rzekami Wisłoką, Białą i Dunajcem od „slonego“, a raczej zatwierdza to uwolnienie jeszcze przez Kazimierza Sprawiedliwego nadane. Otóż zachodzi pytanie od jakiego „Slonego“ uwalnia Grzymisława, — i czy danina taka istniała kiedykolwiek? Daniny takiej nigdy nie było, a w kilkuset znanych przywilejach z XII i XIII wieku nigdzie śladu nie ma o podobnej daninie, natomiast daleko prawdopodobniejszą jest rzeczą, iż Grzymisława uwalnia od „stróży“, i że słowo „stróża“ lub „stroże“ przekrecone zostało przez Włochów w Rzymie nie znających danin ani wyrazów polskich.

Na poparcie tego zdania możemy tu przytoczyć przywilej XIV, z r. 1234, str. 22, którym to Bolesław Wstydlivy wraz z księżną Grzymisłową, w lat kilka po owym przywileju z r. 1229, już wszystkie posiadłości klasztoru tynieckiego tak w województwie krakowskim jako i sandomierskim położone, od tej „stróży“ uwalnia.

Danina „stróża“ jako podatek na utrzymanie i żywność dla załóg zamkowych pobierana była przez kasztelana. Otóż na str. 28 kodeksu czytamy wyrok z r. 1258 wydany przez Bolesława Wstydliviego, na skutek tego, że kasztelan Wojnicki chciał od poddanych klasztoru tynieckiego (a byli to niewątpliwie owi ludzie, osadzeni między Białą, Dunajcem a Wisłoką, która to okolica do kasztelanii wojnickiej należała) wybierać po dwie skórki wiewiórcze rocznie.

Księżna Grzymisława, wystąpiła wtedy i zeznała, iż pomienieni poddani tej daniny nigdy nie płacili. — Te dwie skórki wiewiórcze były tu wybierane tytułem „stróży“, a że tak jest, świadczy o tem ta okoliczność, że „stroża“ była główną daniną, którą kasztelanowie wybierali.

Nie będziemy się tu wdawać w poszczególny rozbiór wielu innych dypłomów, tém bardziej, o ile słyszeliśmy, że wkrótce mają się ukazać obszernie prace, mające na celu wytknięcie wszystkich usterek popełnionych w wydawnictwie niniejszego kodeksu. — Dodamy tylko, iż wypadła żałować że dyrektora i kuratora, acz najlepszymi powodowana zamiarami, pospieszyła się zbyt znacznie z wydaniem kodeksu, któryby zapewne po jakimś czasie najzupełniej oczyściła z błędów.

Żałować tem bardziej wypadła, że kodeks tyniecki, wydany został w takim stanie, gdyż, przy szczupłych środkach jakie posiada kraj na po-

dobne wydawnictwa, będziemy musieli zapewne długo czekać, zanim ukaże się wydanie poprawne.

Przy tej sposobności musimy tu również wspomnieć o kodeksie wielickim, wydanym pod tytułem: „**Codex diplomaticus vieliciensis** — Kodex dyplomatyczny wielicki, wydany z polecenia Jego Excellencyi Hrabiego Agenora Gołuchowskiego, staraniem i nakładem Redakcyi Gazety Lwowskiej.“ Lwów, w drukarni Budweisera 1872 in folio, str. 173. — Kodeks ten zawiera 82 dokumentów, począwszy od r. 1296 do 1765. Obok tekstu łacińskiego, znajduje się tłumaczenie polskie, i liczne przypiski tłumaczące niektóre wyrazy lub ustępy dokumentów. Na końcu kodexu znajdują się facsimilia dokumentów: Przemysława II z r. 1290, dokumenta z r. 1346 — z r. 1363 — z r. 1377 — z r. 1379 — z r. 1381 — z r. 1384 z r. 1386 — z r. 1389 z r. 1393 — z r. 1396 — z r. 1398 — z r. 1409 — z r. 1429 — z r. 1336 i 1432 — z r. 1447 — z r. 1451 — z r. 1464 — z r. 1447 — z r. 1505. — Faksimilia są starannie odrobione, całe jednak wydanie tekstu pominawszy lichy papier i druk, ma jeszcze jedną wielką niedogodność, a mianowicie, że jest niepotrzebnie przeładowane klamrami utrudniającemi tylko czytanie. Jeżeli wydaje się jakiś dokument z dziewiątego lub dziesiątego wieku, a więc z czasów tak odległych, natenczas kładzenie w klamry wszystkich skrótów lub pojedynczych nawet liter, da się tém usprawiedliwić, że wydawca, chciał tak rzadki dokument wydać z najdokładniejszą ścisłością, i przedstawić mniej więcej sposób pisania. — Ale nie widzimy bynajmniej potrzeby obarczania tekstu setkami klamer w dokumentach nie tylko z trzynastego wieku ale nawet z 1734 r. jak to tu ma miejsce. — Wydawca zadał sobie przeto najniepotrzebniejszą pracę, która zamiast posłużyć, staje na zawadzie czytelności tekstu. *F. B.*

Wyszedł tom III. „**Aktów grodzkich i ziemskich z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z archiwum Bernardyńskiego we Lwowie**“. Tom ten obejmuje stron VII i 316 in 4to, a zawiera prócz indeksów i spisu treści 130 dokumentów, z których najstarszy z r. 1334, najpóźniejszy z r. 1488. Większą część tomu zajmuje wiek XVI (76 dokumentów), mniejszą (54 dokum.) wiek XV. Dokumenta te odnoszą się przeważnie do historii miast a mianowicie Lwowa (w drugiej połowie XIV wieku). Krosna, Dobczyce, Sanoka, Halicza i wielu innych miejscowości Galicyi. Do historii miasta Lwowa zawiera tom ten ważne materiały, które mogą wyjaśnić nie jeden ciemny punkt w historii tego miasta, a nadto przyczynią się do gruntowniejszego poznania wewnętrznych stosunków dawnego województwa ruskiego w drugiej połowie XIV wieku. Wydaniem trudnił się profesor historii na uniwersytecie lwowskim Dr. Xawery v. Liske.

Wyszły XVII i XVIII zeszyty **Wzorów sztuki średniowiecznej** i z epoki odrodzenia po koniec wieku XVIII (wydanie A. Przędzieckiego i E. Rastawieckiego. Warszawa, 1872 serya III.) — Zeszyty te zawierają chromolitografie: Kielichów z XIV i XV wieku Włocławskich i Stobnickiego, oraz buławy hetmana Tarnowskiego i buzdycanu hetmana Jabłonowskiego. Chromolitografia M. Fajansa z akwarel: L. Dembowskiego, W. Eliasza i L. Łepkowskiego. Tekst zredagowany jeszcze przez ś. p. Aleksandra hr. Przędzieckiego. Do skończenia III i ostatniej seryi brak jeszcze sześciu zeszytów. Dokończenie zależy już tylko od pośpiechu za-

kładu M. Fajansa, gdyż akwarele gotowe wszystkie, w części nawet na kamieniach już wykonane. O ile nieprzygotował tekstu ś. p. Przeddziecki, dopełnił J. Łepkowski.

Wyszedł pierwszy zeszyt **Pomników krakowskich** wydanie oddziału archeologicznego Towarzystwa naukowego. Zeszyt ten obejmuje pięć tablic fototypografowanych w zakładzie pp. Bayera i Dutkiewicza w Warszawie. Tablice te przedstawiają trzy fototypy ołtarza maryackiego, arcydzieło Wita Stwosza, następnie część srebrnego ołtarza z kaplicy Zygmunto夫斯基 na Wawelu i starożytny nagrobek Piotra Salomona z kościoła Panny Maryi.

Pierwszy to raz u nas wprowadza się użycie fototypy na większą skalę, a co większa, że i za granicą, znakomity ten wynalazek Tessiera nie znalazł jeszcze właściwego uznania. Fototypy te, odznaczają się nadzwyczajną wiernością, w niczem nie ustępują najlepszym litografom, a przewyższają pięknnością i dokładnością fotografie. — Fototypy opatrzone podpisami po polsku i po łacinie. — Tekstu nie ma *).

Szkic historyczny dziejów 30letniego panowania Stanisława Augusta, przez Henryka Schmitta. (Nakładem Nowoleckiego). — Książka ta dzieli się na 8 rozdziałów: 1) wstąpienie na tron króla Stanisława; 2) pierwsze lata jego panowania do r. 1768; 3) konfederacja barska; 4) pierwszy rozbiór Polski; 5) sejm czteroletni; 6) konfederacja targowicka, sejm grodzieński i drugi rozbiór; 7) powstanie Kościuszki; 8) Rozbiór trzeci.

Historia Radomyśla nad Sanem przez K. z T. (Nakładem klasztoru Augustyanów). — Dzieło to, w którym dokładnie skreślono dzieje klasztoru radomyślskiego, napisał wedle dat dostarczonych przez księdza Zygmunta Wołka, Alojzy Skoczek, radomyślanin, nauczyciel szkoły główn. w Krakowie. — Po „Historii Kamedułów na Bielanych“ i „Dziejach miasta Brzostka“, trzecia to w ciągu roku wydana monografia miejscowości zawierającej historyczne wspomnienia w naszej prowincyi.

Sztuka, zarys jej dziejów, zarazem podręcznik dla uczących się i przewodnik dla podróżujących, (104 drzeworyty). — Napisał J. Łepkowski. — Nakład Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych. — Kraków. W drukarni „Czasu“. Str. 401 i CLXXIX.

Mamy przed sobą nową pracę profesora J. Łepkowskiego. — Książka ta, jak już sam tytuł zapowiada, ma nas zaznajomić z dziejami sztuki, ma być podręcznikiem dla uczących się, a zarazem przewodnikiem dla podróżujących. Książka ta ma tedy na celu zadowolnić prawdziwych znawców sztuki, jak np. Kremera, Libelta, Siemińskiego, Kraszewskiego, Zaleskiego, Rudzkiego i t. d., ale może być, jak powiada autor, w rękę młodzieńca i panienki. A więc poważny Kremer, piękna panienka i lekkomyślny nie-raz turysta — powinni się cieszyć z tego nabytku, z tej historii sztuki, z tego elementarza dla uczących się, kierownika dla podróżujących, szcze-

*) Cena zeszytu 3. złr. — Sprzedaje się w gmachu Towarzystwa Naukowego (ulica Sławkowska).

gólnie po swoich prowincjach, gdzie dotąd autorowie monografij i opisów, jak mówi autor, nie umieli nawet stylów określić.

Zaiste, zadanie to trudne! Jedna i ta sama książka ma powiązać tyle sprzecznych z sobą żywiołów, ma zadowolnić starego i młodego, uczonogo i uczącego się, a nadto jeszcze i bawiącego się turystę.

Ażeby wypowiedzieć stanowcze zdanie o tém dziele, potrzeba głębszego od nas znawcy dziejów sztuki. — Ale wyrzedził już nas J. I. Kraszewski (w „Kraju“), wysoce podnosząc zasługę p. Łepkowskiego, jako pierwszego u nas dziejopisa sztuki.

Co do nas, jesteśmy najmocniej przekonani, że „Sztuka“ p. Łepkowskiego jest nader pożądanem zjawiskiem w literaturze naszej i niezaprzeczenie jest pierwszą tego rodzaju pracą.

Wyższą jest nad wszelkie elementarne dzieła, bo zawiera oprócz wiadomości powszechnie znanych i koniecznych, wiele zupełnie nowych (szczególnie o drewnianych budowlach). Widzimy tu ogrom erudycyi z rzadkim talentem streszczony w tak ciasnych ramach. Dla pracowników zaś chcących poznać dzieje sztuki i utorować dla siebie drogę do przyszłych badań, znajdują się tu bogate materyały. — Jak dalece brakowało nam takiego dzieła, mówić niepotrzeba. — Takie jest nasze przekonanie co do ogólnej wartości dzieła. Zresztą, po tak stanowczém, a tak pochlebném wypowiedzeniu zdania przez takiego głębokiego znawcę, jak J. I. Kraszewskiego, nasze pochwały na niczy się nie zdały. Wolimy więc przejrzeć się w szczegółach, azali nie znajdziemy czego do zarzucenia.

Dzieło składa się z dwóch części. Część I.: *Wiadomości wstępne, Zawiązki sztuki, Znamiona i cechy stylów, Zarys dziejów sztuki, Żywyoty najznakomitszych budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy*; w części II.: *Skorowidz dziejów sztuk pięknych z epoki chrześcijańskiej i wykaz miejscowości, w których są celne zabytki sztuki*. — Wykaz ten obejmuje: Włochy, Hiszpanię, Francję, Niderlandy, Anglię, Niemcy, Polskę, Czechy, Szląsk, Morawę, Spiż.

Dla nas, nieznanców sztuki, taki podział pracy nie zdaje się być zupełnie jasnym i praktycznym. — Namby się zdawało daleko właściwszém, gdyby autor podzielił całą pracę na trzy gałęzie sztuki: architekturę, rzeźbiarstwo i malarstwo, a nie mieszał tego wszystkiego razem, z czego wynika mimowolna płątanina, a wynikło téż i powtórzenie dwa razy, a nawet prawie trzy razy jednych i tychże samych rzeczy. Tak np. w części pierwszej mamy *Znamiona i cechy stylów*, w których autor (od str. 43 do 189) mówi o stylach, przechodzi w krótkości niemal całą historję sztuki. Następnie mamy: *Zarys dziejów sztuki* (od str. 189 — 243), w którym znowu musi się powtarzać historia sztuki od jej początków do nowszych czasów, w nieco tylko krótszém streszczeniu, i nakoniec w części drugiej, *Skorowidz dziejów sztuk pięknych*, po raz 3ci powtarza główne zarysy tyczące się epoki chrześcijańskiej. — Nie mówimy, ażeby autor literalnie powtarzał jedno i to samo trzy razy; przeciwnie, w każdym z tych działów jest wiele rzeczy nowych, nader ciekawych i niezbędnych — ale czytelnik chcąc znaleźć jaki przedmiot i stanowczo określić, musi się błąkać, bo nie wie, w którym mianowicie dziale ma szukać, a ztąd wynika gmatwanina nadzwyczaj utrudniająca pracę, szczególnie dla uczącej się młodzieży. W samym skorowidzu dziejów sztuk pięknych z epoki chrześcijańskiej, źródła do dziejów sztuki, sama jej historia i nomenklatura malarzy, pomników i dzieł

sztuki, przedstawia taki ogrom przedmiotów, że tylko dobrze z dziejami sztuki oznajomiony, może się zorientować, nieobeznany zaś, znajdzie się jak w lesie.

Namby się zdawało, że daleko właściwszem i loicniejszem byłoby, gdyby *Zarys dziejów* poprzedzał a nie zamykał część pierwszą. A następnie czytelnikowi, mającemu już ogólne pojęcie dziejów, łatwiejby było zagłębić się w tajnie każdej z trzech gałęzi sztuki, odrębnie wypowiedzianych, a niepomieszanych razem. Źródła najwłaściwiej było przytoczyć na końcu.

Jeżeli książka ta ma być zarazem przewodnikiem dla podróżujących, jak tego chce autor, trzeba było opatrzyć dzieło przynajmniej w dokładną alfabetyczną skazówkę, wyczerpującą całe dzieło. — Dziś zaś przybywa kto, dajmy na to do Krakowa, potrzebuje przewodnika — kupuje więc, ma się rozumieć najnowszy, najlepszy — chce poznać zabytki tego znakomitego grodu, znajduje wprawdzie w wykazie „Kraków“, ale to króciutka tylko wzmianka, bo cały Kraków zmieścił się na trzech niespełna stronicach. Wprawdzie autor odsyła do źródeł — ależ to dobre jest dla uczonego, nawet dla uczącego się — lecz nie dla podróżnika. Gdyby zaś była taka skazówka, ciekawość podróżnika byłaby mniej więcej zaspokojoną opisem i wspomnieniami o zabytkach Krakowa w 35 miejscach rozrzuconych w całej książce w odpowiednich działach*).

W ostatnim zeszytcie „Przeglądu Polskiego“ zapytuje p. Szujski: „po co na str. 6 „Sztuki“ ten ustęp o *liberum veto* i niebiańskości Polski, nie mający z sztuką polską żadnego stosunku?“ — Tak trafnych zapytań możnaby zrobić bardzo wiele. Autor często grzeszy poetyzowaniem, nawet przesadą, w opisach wymagających ścisłości, jasności i prostoty. — Po co np. taki ustęp: „Im dłużej wpatrujesz się w cuda, które mistrz wlał w swe dzieło, *tém jaśniej roztwiera się przed tobą to niebo, w które cię gieniusz jego wprowadził*“ (!!!). Albo: „*Po obu stronach łuku, co jakby ziemia służy za przedsiónek nieba*“ (!!). Któż np. z oglądających piękny grobowiec Kazimierza Jagiellończyka, domyśli się: że „*z nagłówek kolumn całe już dzieje spraw Bożych rozsuwają się przed tobą, niby zaziemskie marzenia uspiętego władcy*“ (!!). — Poeta i archeolog gdy staną przed grobowcem, zachwycać się będą artyzmem, ale pewno nie postrzegą, że: „*niby unieśli niebiescy rozwiesili nad posągiem ukoronowanym słowa w obrazach, co się ciałem stały*“ (??). (str. 375, 376).

*) Obacz str. 87, 98, 102, 115, 116, 124, 129, 135, 136, 139, 144, 145, 146, 147, 150, 151, 152, 153, 157, 160, 185, 187, 248, 295, 304, 329, 327, 335, 337, 370, 379, 388, 392 etc. — a nie ręczymy, że to już wszystko. To samo można zastosować do wielu innych miejscowości, a szczególnie do artystów. Na str. 370 np. znajdzie podróżny dość dokładny życiorys znakomitego Wita Stwosza i jego monogram, a tenże sam monogram powtórzony i na str. 124. Wszakże spotkało to tylko Stwosza, monogramów innych znakomitości nie znajdujemy zgoła. O Wicie Stwoszu rzecz nie zamyka się na str. 124 i 370 — znajdzie też czytelnik ciekawe szczegóły i na str. 147 i w. i.

Że autor włada językiem, jak mało dziś u nas, że język jego na starych polskich dziełach wykształcony, to nie ulega najmniejszej wątpliwości i nie dziś już dał tego dowody. Po cóż więc nadużywać tego daru, po co to poetyzowanie, to niewczesne mieszanie nieba z ziemią, te widzenia aniołów, po co mieszać kolumny, chociażby i Stwoszowskie nawet z dziejami spraw Bożych? Dobra jest bujna wyobraźnia w poecie — ależ nie w historyku sztuki.

I jeszcze jeden zarzut, a zarzut ciężki musimy zrobić szanownemu autorowi. Jak w żywotach najznakomitszych budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy, tak również i w wykazie miejscowości, w których są celne zabytki sztuki — Litwa i Ruś najstabiiej są reprezentowane. — W żywotach nie spotykamy Gucewicza, Damela, Karczewskiego, Wańkowicza, Szemesza, nie ma nawet znakomitego rzeźbiarza, słynnego już nie na Litwie tylko, ale w całej Ameryce: Henryka Dmochowskiego i w. i. — Byli oni wysoce cenieni i poważani w kraju, a niedługo z nich prace, znalazły uznanie i zagranicą.

Niewiadomością o nich, autor tłumaczyć się nie może, bo gdyby chciał, toby znalazł szczegóły i w „Słowniku“ Rastawieckiego i w „Encyklopedyi Powszechnej“. — Gucewicz ozdobił Wilno najpiękniejszemi gmachami. — Damał był niepospolitym rysownikiem, uczniem Rustema i Smuglewicza. Jego odwrót wojsk francuskich 1812 roku na placu przy ratuszu w Wilnie, powszechnie jest znany (litografowany w Paryżu), a Rastawiecki wylicza 57 większych obrazów Damela. — Karczewski też był uczniem Rustema. Krajobrazy jego, szczególnie z życia ludowego, zyskały w kapitolium w Rzymie, powszechne pochwały, a Anglicy roboty jego przepłacali. — Wysoko cenione utwory Wańkowicza, przyjaciela Mickiewicza, wylicza Rastawiecki, a nie ma dworku szlacheckiego na Litwie, gdzieby nie wisiał jego przesłiczny portret Mickiewicza (wsparty na Judahu skale). Sztuch G. Lüderitza starego szlachcica litewskiego, rozgłosił po Europie imię Wańkowicza. — Szemesz znany był jako niezrównany typowy malarz drobnej szlachty i ludu wiejskiego. — Godzien był wspomnienia i Dmochowski Wincenty; malował on zamki litewskie, wiele zabytków archeologicznych, a szczególnie znane są jego i wysoko cenione mateczniki litewskie. — Henryk Dmochowski, przez długie lata mieszkaniec Filadelfii i Washingtonu, nabył niepospolitej wziętości jako znakomity snycerz. Miasto Savannah powierzyło mu wykonanie popiersia Puławskiego. Wszystkie niemal popiersia najpierwszych znakomitości Stanów Zjednoczonych jakie były umieszczone od roku 1848 do 1858 w salach kapitolium Washingtonu, są dłota Dmochowskiego. Najznakomitszym jego utworem jest pomnik z marmuru dla żony i dwojga dzieci w Filadelfii. Dwa lata prawie bez przerwy pracował nad tym pomnikiem w umyślnie zbudowanej pracowni na cmentarzu, a kiedy stotysięczny tłum zbiegł się na poświęcenie i odsłonięto pomnik, zachwyceni mieszkańcy Filadelfii z tryumfem na barkach zaniesli Dmochowskiego do miasta. Czyż mąż ten wielkich cnót, sławy i zasług, niegodzien był wspomnienia? — Po powrocie do kraju wykonał do kaplicy ś. Piotra w katedrze Wileńskiej kolosalną statwę św. Władysława, postawioną w ołtarzu. Przed samą śmiercią (r. 1863) wykonał kilka przesłicznych modeli do projektowanego pomnika Barbary. — Nie wspomniał też autor o zdolnym malarzu Majeranowskim (a przecież to krakowskie dziecko), który na lat kilka przed

śmiercią w Wilnie zamieszkał i między wielu innymi, wykonał kolosalny obraz (dla Rajnolda hr. Tyzenhauza) wyobrażający Witolda na uczcie u Krzyżaków. — Są też i błędy niektóre w żywotach artystów, którzy się odznaczyli na Litwie. Tak np. mówiąc o Dankersie, przytacza autor, że budował kościół ś. Michała Franciszkanek w Wilnie. — Takiego kościoła nie ma w Wilnie, a jest kościół ś. Michała panien Bernardynek. Kościół ten stanął w roku 1596; Dankers zaś jak powiada autor, urodził się w r. 1605! — Dankers urodził się nie w 1605, ale w 1583 — wszakże i tak, 13-letni Dankers nie mógł być budowniczym tego kościoła.

Nie mielibyśmy żalu do autora za to przemilczenie o Litwinach, gdyby jego żywoty miały na celu tylko wyłącznie najznakomitszych — ależ Balicki Karol (str. 248) i tylu innych, chociaż znakomych, do najznakomitszych jednak wcale nie należeli.

W wykazie miejscowości na Litwę przypadło zaledwo kilkanaście. Nawet w Wilnie znalazł autor tylko 3 zabytki godne wspomnienia, a zdaje się przekonany nawet, że więcej i nie ma nic godnego widzenia. Przytacza niemiecki artykuł Podczaszyńskiego i na nim opierając się, chwali kościół ś. Anny, a nie wspomina o tuż stojącej wieży gotyckiej przy kościele Bernardynów, ocalałej od pożaru, nad którą zachwycają się nawet najznakomitsi znawcy zagraniczni, niektórzy wyżej ją ceniąc nawet nad kościół ś. Anny. — O wieży zamkowej Wileńskiej ani słowa. — A kościół ś. Jana, którego wspinała, piękna facyata w stylu odrodzenia, zachwyca znawców? A ten przepyszny i podziwiany od cudzoziemców nawet kościół ś. Piotra, którego wnętrze zdobią przeszło 2000 grup i figur, a freski i obrazy roboty Alto Monte, o którym przecie wspomina autor w swoich żywotach (na str. 246). — Mówi o obrazach Smuglewicza i Czechowicza w katedrze, a nie dodaje że tam jest jeden obrazek Tycyana, jak również nie mówi, że obrazy Czechowicza były w kościele Serca Jezusowego, a i dziś są w kościele ś. Rafała, ś. Katarzyny i innych, w ogóle 20 obrazów; Smuglewicza zaś 7 dużych obrazów w kościele ś. Piotra i Pana Jezusa.

W Grodnie zwraca uwagę na kościół parafialny XV w., a o kołożskiej świątyni wyłożonej wewnątrz gankami, o tym najrzadszym zabytku sztuki i urządzenia akustycznego z XII wieku, ani wspomina. — Jednym wyrazem wspomina o zamku w Miednikach, a o takimże zamku w Lidzie, ani słówka. — O sławnym Krewskim zamku ani wspomnienia. — Mówi, że w Trokach jest zamek nowszy? Jaki to nowszy? Są Stare Troki i Nowe Troki, chociaż te nowe sięgają XIV stulecia, są ruiny zamku w Starych Trokach, są i w Nowych aż dwa, jeden w mieście, drugi — jeden z najpiękniejszych, jakie pozostały z w. XIV — na wyspie Galwa. Nie mówiąc już o tylu innych znakomych pomnikach na Litwie i Rusi, nie ma nawet wzmianki o Kijowie, Ostrogu, Tulczynie, Słucku, Mirze, Mereczu, Żytomierzu, Kamieńcu i tylu innych. — W Nowogródku przytacza zabytki XVII w., a nie wspomina o zabytkach XIV w., ani też o zamku daleko wcześniejszym. — W Werkach każe oglądać jakiś pałac, którego dziś i śladu nie ma, a pozostały tylko oficyny. — Nie ma nakoniec wzmianki nawet o pierwszych kościołach przez Jagiełłę założonych, z których niektóre dotąd istnieją. — Ani słowa o zabytkach w skarbcach i kościołach z czasów Jagiełły, Witolda, Kazimierza, Aleksandra i późniejszych. — Mówi o Częstochowie i cudownym obrazie Boga Rodzicy, a o Ostrój-Bramie, o Białynickim, Trockim,

Rożano - Stockim, Agłońskim, Zyrowickim, prastarych obrazach — albo o obrazie Bogarodzicy przywiezionym przez Helenę, żonę króla Aleksandra (w r. 1494), najznakomitszym zabytku sztuki bizantyńskiej, podług podania, jakie panowało na Rusi czerwonéj i późnziej w Moskwie, malowanym przez św. Ewangelistę Łukasza, a za wymianę którego dawał Iwan IV Bazylewicz 50 znakomitych jeńców litewskich — nie ma ani wzmianki.

Szanowny autor przeczuwał te zarzuty i sądzi, że je usunął, mówiąc, że wykaz zrobiony wedle dzieła Sobieszczańskiego. — Praca Sobieszczańskiego piękna i godna wszelkiej pochwały, ale Sobieszczański nie pisał ani „Zarysów sztuki“, ani „Przewodnika dla podróżujących“. — Sobieszczański mógł opuścić, lub nawet niewiedzieć o wielu zabytkach sztuki — ale nie wolno niewiedzieć o nich uczonemu profesorowi archeologii i sztuk pięknych na wszechnicy Jagiellońskiej. W końcu narzeka autor na brak monografij i nieumiejętną charakterystykę stylów. — Nie, nie brak monografij, a jeżeli Kraszewski, Przędziecki, Narbutt, Baliński, Homolicki, Tyszkiewicz, Adamowicz, Syrokomla, Jan ze Śliwina i tylu innych nie oświecili autora co do stylów, toć przecie łatwo mógł znaleźć autor w licznych, nawet nader licznych monografiach — szczegółowe opisy zabytków, daty, a nawet wierne przerysy w znakomitym Album Wilczyńskiego, w wydaniach Kuleszy, Przybylskiego, Oziembłowskiego i w. i., a więc mógł nas jeszcze nauczyć z dat, opisów i rysunków określając styl. — Mógł zresztą zasięgnąć rady takich znawców, jak Wilczyński, Zaleski, Żamet, Strauss i w. i., którzyby mu chętnie dopomogli.

Ścisłe trzymając się zakresu tego działu, autor może nam odpowiedzieć, że wskazał tylko celniejsze zabytki — ależ mój Boże, ileż to zamieścił zabytków zgoła nie celniejszych! — Dla czego Miedniki mają być celniejsze od Krewa, Lidy, Nowogródka i t. i.? Dla czego Czerniaków celniejszy od Pożajscia, Kalwaryi pod Wilnem, Worní, i t. d.? — Dla czego Częstochowa ma być lepszą od Ostréj Bramy? Dla czego Balicki ma być znakomitszy od Henryka Dmochowskiego? — Nie, pod tym względem nie ma żadnego usprawiedliwienia, a można się chyba tłumaczyć dorywczością, pośpiechem roboty, bo nie chcemy przypuszczać nawet, ażeby to miało być skutkiem lekceważenia zabytków litewskich.

Nasze uwagi i zarzuty bynajmniej nie ujmują zalet, jakimi niezapreczenie odznacza się ta nowa praca prof. J. Łepkowskiego. Powiedzieliśmy już na wstępie, że dzieło to jest nader ważnym nabytkiem w literaturze, a nie wątpimy, że następne wydanie, daj Boże najprędzse, uzupełni mimo wolne niedostatki, z czém się zgadza i sam szanowny autor, sprawiedliwie mówiąc w przedmowie, że pierwsze edycye dzieł Ottego, Springera, Lübkego, przed 17 laty ogłoszone, lichemi nazwać można wobec dzisiejszych wydań tychże samych książek.

J. ze S.

Hieronim Savonarola, przez Klemensa Kanteckiego, w Poznaniu i Lwowie, nakładem F. H. Richtera. 1872, z dedykacją Kajetanowi Suffczyńskiemu (K. S. Bodzantowiczowi). — Jest to niewielka in 8o, o 108 str. książeczka, ale za to zajmująca, niby najciekawsza powieść. — Autor pięknym stylem i dobrą polszczyzną przedstawia nam w niej ważny epizod z dziejów Florencyi, przy schyłku XV wieku, a mianowicie: budujące życie, działalność duchowną i polityczną, w końcu śmierć męczeńską na stosie, mnicha Dominikanina, sławnego Hieronima Savonaroli. — Fakta czer-

pane są z najwiarogodniejszych źródeł. — Savonarola wstąpił do klasztoru w czasie, gdy nieprawość i występki ogarnęły całe Włochy. Pobożny i pełen nauki kapłan, powstał na kazalnicy przeciwko takiemu upadkowi ducha i obyczajów. — Natchniona i piorunująca wymowa gromiła publicznie złe i nie oszczędzała nikogo, nie tylko świeckich, ale i duchownych. — Skruszeni potęgą słowa Florentczycy, ubóstwiali przez czas jakiś znakomitego Dominikanina i słuchali go jak wyroczni, ale to czas tylko jakiś. — Potem sprzykrzyło im się być nieco dłużej dobrymi, uczciwymi i biednymi. — A kiedy Aleksander VI nie mogąc ani prośbą, ani groźbą, ani ofiarą nawet kardynalskiego kapelusza, zamknąć ust oburzonemu Hieronimowi, postanowił go się pozbyć w jakibądź sposób, zawoławszy: „ten mnich musi umrzeć, choćby był Janem Chrzcicielem!“ — Kiedy na mocy papieskiego dekretu i zgodnie z przewrotną radą florencką, skazano go na śmierć, ten sam lud florencki, który niedawno jeszcze czcił Savonarolę jak proroka, jak świętego, który żył żalu wylewał na jego kazaniach — wołał z szyderstwem: „Niech żyje Jezus!“ widząc go płonącego na stosie d. 23 maja 1498 r. — Pomiędzy innemi autor dowiódł, że niesłusznie protestanci zaliczają Savonarolę do swego obozu. — Savonarola był aż do samej śmierci najwierniejszym katolikiem i ani chciał, ani myślał o odłączeniu się od kościoła. — Powstawał tylko na nadużycia i żądał reformy obyczajów rozpasanego duchowieństwa. Papiież Paweł IV (1558) wszystkie dzieła Savonaroli uwolnił z pod cenzury, a Benedykt XVI wyrzekł, że Savonarola żył świętobliwie, że „sława świętości, która go otaczała za życia, pozostała mu po śmierci“ i umieścił go na trzecim indeksie *beatorum servorum Dei, virorumque sanctitate venerabilium et illustrium*. — Jednym słowem, praca p. Kanteckiego czyta się z przyjemnością i wybornie maluje proroka zamordowanego przez swój lud. G.

Nowy skorowidz i przewodnik statystyczno-topograficzny.

Pan Konrad Oksza Orzechowski, dyrektor sądowych biur pomocniczych w Krakowie, zestawił i wydał Skorowidz i przewodnik statystyczno-topograficzny królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z W. Ks. Krakowskiem i ks. Bukowiłą, alfabetycznie ułożony na podstawie wskazówek urzędowych i ostatniego spisu ludności, z dokładną mapą Galicji i W. Ks. Krakowsk.

Przemówienia i kazania przy różnych okolicznościach wygłoszone przez ks. Respądką, o. p. d., b. prof. prawa kan., proboszcza w Poniczu. Drezno, 1872. 150 str. — Szacowne to dzieło, oby jak najwięcej się rozpowszechniło. — Ks. Respądek należy do najznakomitszych naszych mówców.

Oto co powiada ks. Respądek we wstępie:

„Wielkiem jest powołanie kapłana! a gdy Opatrzność namaści go miłością gorącą, da mu na wypowiedzenie jęj słowo żywe, da obok nich umysł jasny i naukę głęboką, naówczas kapłan ów staje się apostołem prawdy. — Sfera jego czynności rozszerza się poza granice kółka parafian, u czniów i jednej klasy społeczeństwa — na całą społeczność. Nigdy ona więcej takich kapłanów nie potrzebowała, jak dzisiaj, kiedy fałszne nauki pozorem świeckiej mądrości obalamują umysły a indyferentyzm religijny siega już indyferentyzmu względem moralności prywatnej i publicznej; gdy

kościół chcą zwaśnić, rozum oderwać od wiary. Czas więc, by nam wymowny głos starej prawdy, nowém przyobleczone słowem, powtórzył, zwątpia-
łych pokrzepił, zbłąkanych nawrócił, szczepił zgodę, gdzie zapanowała
waśń, i pokój ducha nam przyniósł“.

We Lwowie wyszły: **Kazania i nauki świątalne i przygodne** p.
ks. Izaaka Isakowicza, kanonika i proboszcza ormiańskiego obrządku. —
Książka ta zawiera w sobie 32 kazań i mów, a stanowi piąty tom ogólnego
zbiornu pism tego autora.

Ludowi polskiemu zdrowe rady z pola myślicieli zebrano-
przez Karola Forstera. — Jest to wyborna anthologia aforyzmów, tyo-
żących się spraw najbliżej obchodzących człowieka. — Rodzina, dom,
zdrowie, wychowanie i nauka, profesya i interesa, pieniądze, stosunki spo-
łeczne, publiczne i prywatne, namiętności, wady, przywyknienia, doświad-
czenie, życie i śmierć — stanowią treść tego dzieła.

„Jest to — powiada Kraszewski (w „Kraju“) — najpiękniejszy podarek
rodzinie pracowitej, a wszystko, co z niej uboga rodzina zaczerpnie, będzie
lekarstwem, nauką, pociechą“.

Forster przeszedł od lat czterdziestu znany jest jako wydawca dzieł
prawdziwie użytecznych, a większą część swych wydań rozsyła po bibliote-
kach bezpłatnie. Począwszy od wyczerpanego już dzieła w języku francu-
skim o Polsce, listów politycznych i postrzeżeń z piętnastoletniego pobytu
w Paryżu wyczerpniętych, Forster wydawał z kolei „Bibliotekę nauk mo-
ralnych i politycznych“ (20 tomów), potem dla klas pracujących (25 ze-
szytów), nareszcie „Teke narodową“, którą rozpoczął przekładem dzieła
Raumera o upadku Polski. W samej Bibliotece rozpowszechniły się u nas
takie dzieła, jak Thiersa, o własności, Rodzina Juneta, Ekonomia polityczna
Droza, O obowiązkach, przez Silvio Pellico, i t. p.

Wyszedł pierwszy zeszyt dzieła pod tytułem: **Dzieje filozofii pra-
wa i państwa**, przedstawione na tle dziejów cywilizacji, przez Dra Wła-
dysława Dajsenberga. — Całe dzieło obejmować będzie cztery tomy; dwa
mówić będą o czasach przedchrześcijańskich, drugie dwa o czasach chrze-
ścijańskich.

O poselstwach dyplomatycznych i o konsulatach, dra Gustawa
Roszkowskiego. — O tej rozprawie znakomity nasz dziejopis Wacław Ale-
ksander Maciejowski ogłosił następujące zdanie:

„Z całej dziedziny prawa międzynarodowego, kwestya, której rozbio-
rowi autor swą najnowszą pracę poświęca, jest, jeżeli nie najważniejszą,
to przynajmniej jedną z najdonioślejszych, a bezspornie znajduje się naj-
więcej na porządku dziennym. — Od dwóch przeszło wieków wszystkie dwor-
y europejskie stałe mają poselstwa dyplomatyczne, a ich użyteczność nie
może być nigdy dosyć uwydatnioną. Poselstwa bowiem te, nietylko, że służą do
załatwiania spraw swego państwa przy obcym dworze, ale nadto są orga-
nem utrzymującym dobre stosunki dwóch państw, a wreszcie są środkiem
najpewniejszym dla każdego państwa do uzyskania prawdziwie autenty-
cznych wiadomości o rozroście potęgi obcego państwa i o tych jego insty-
tucjach, które do innego państwa przenieść i zastosować się dadzą.

Otóż wykład obowiązujących dziś urządzeń odnośnie do stałych poselstw dyplomatycznych i konsulatów w Europie, wziął sobie p. Roszkowski za przedmiot swęj pracy, którą w tęj chwili mamy w ręku. Nasza literatura prawa międzynarodowego jest tak ubogą, że nabytek tęj pracy jest dla nas tēm więcej pożądaną.—Głównie w niej idzie autorowi o poselstwa dyplomatyczne. — Kwesty konsulatów poświęca on jeden tylko paragraf dla oznaczenia właściwego charakteru konsulów w obec posłów dyplomatycznych — gdyż zdaniem autora wyrażoném na str. 43, konsulowie właściwego charakteru posłów dyplomatycznych nie posiadają.

Rozprawa zaczyna się wykazaniem idei poselstw dyplomatycznych i ich praktycznej konieczności, przechodzi historię poselstw i krytycznie rozebrawszy różne naukowe teorye co do zasadniczego w tęj materji pojęcia, co rozumieć właściwie należy przez posła dyplomatycznego, (na str. 9) podaje własną w tęj mierze opinię.

Określiwszy charakter posła dyplomatycznego, tudzież ich rodzaje, autor rozbiera kolejno ich prawa, przywileje i obowiązki. Rozprawa kończy się objaśnieniem czynności posłów dyplomatycznych, tudzież natury misyj sekretnych, jak niemniej wykazaniem stanowiska posłów dyplomatycznych na obcych dworach i do państw trzecich, wreszcie podaną zostaje najgłówniejsza tęj materji literatura. W wypełnieniu szczegółów tego przedmiotu, autor zwracał głównie uwagę na rozstrzygnięcie wielu spornych kwestyj“.

Pamiętniki Natalisa Sulerzyckiego, tom II. — Jest to treściwe i nader zajmujące opowiadanie wypadków w Prusiech od r. 1848 po 1863, w których p. Sulerzycki jako poseł ziemi pruskiej na sejm berliński, brał osobisty udział. Ciekawy to obraz epoki i wypadków miejscowych dokładnie malujący stosunki towarzyskie i wyobrażenia, jakie panowały w tęj prowincyi.

Galiciana, kilka obrazków z pierwszych lat historii Galicyjskiej p. Władysława Łozińskiego, we Lwowie. Nakładem Karola Wilda, 1872, str. 132. — Autor powieści „Pierwsi Galicyanie“ i wielu innych, p. Władysław Łoziński, należy do rzędu nielicznych u nas powieściopisarzy, którzy umieją opowiadać na tle historyczném, bez przesady, niepotrzebnych dodatków, nie pozwalając igrać bujnej wyobraźni, a tak zajmująco, że się czyta, jak to mówią, jednym tchem. — Ale „Galiciana“ wyższą jest, nad powieściowe opowiadanie. — Jest to przyczynek do dziejów Galicyi z pierwszych lat po pierwszym rozbiorze, a jednakże czyta się jak powieść. Opierając się najściślej na archiwalnych aktach, przytaczając je nawet, autor umiał opowieść dzieć te smutne epizody w formie tak przystępnej, że się czyta jak najpiękniejszy romans. Najpiękniejszy obrazek to „hommagium“, t.j. złożenie przysięgi wierności i poddaństwa Maryi Teresie. Dalej „Pierwsi urzędnicy niemieccy“ „Józefiana“, „Anonim“ i Przypisy. — Nie podajemy tu treści tych rozdziałów, ażeby nie pozbawiać czytelników przyjemności, bo pewni jesteśmy, że piękna ta książka znajdzie licznych czytelników, którzy serdecznie podziękują zasłużonemu naszemu bibliopoli, p. Wildowi za jęj eleganckie wydanie.

Polska i Rosya w r. 1872, przez b. członka rady stanu Królestwa polskiego. — Drezno, str. 80. — W szczegółowy rozbiór tęj broszury

wchodzić nie będziemy. — Cała usilność autora skierowana ku temu, ażeby przekonać o konieczności unii Polaków z rosyjskim narodem, od której powiada autor, zależy cała przyszłość nasza i przyszłość całej słowiańszczyzny.

Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie, przez Paulinę z L. Wilkońska. Wydanie Żupańskiego. — Oto jest treść tego nader zajmującego dzieła: Wieczory pani Katarzyny Lewockiej, Wieczory poniedziałkowe pani Niny Łuszczewskiej, Dzień 2go marca 1855, Wieczory niedzielne u wojewodziny Nakwaskiej, Czwartkowe wieczory u Kazimierzostwa Wójcickich, Niedziele u państwa Maciejowskich, Zebrania u pani Seweryny z Żochowskich Pruszkowej (Duchińskiej), Dr. Ferdynand Dworzaczek i jego kółko, Pułkownikostwo Paszkowscy, U nas, Dodatek dopełniający poprzednie opowiadanie, Władysław Syrokomla, Adam Pług, Romuald Podbereski, Dyonizy Skarzyński, Józef Bogdan Dziekoński, Albert Gryf, Edward Żeligowski.

Wieczory czwartkowe. Opowiadania o cudach przyrody i znakomitych odkryciach naukowych, młodocianemu wiekowi poświęcone przez starego przyjaciela dzieci (z 30 drzeworytami). Warszawa. Nakład Gebetnera i Wolffa. 1871. — Dzieło to nader bogate pożytecznymi wiadomościami, przyniesie wielką korzyść pod względem pedagogicznym, bo treściwym wykładem łatwo się przyczynić może do rozbudzenia umysłu dziecka i wzbudzenia w niem zamiłowania do pracy,

Pisma Józefa Supińskiego. Tomy I, II, IV, V. Lwów. — Wydał funduszem poręczonym Jan Welichowski. Skład główny w księgarni Karola Wilda. — W następnym tomie podamy rozbiór tego ważnego dzieła znakomitego naszego ekonomisty. — Właściwy sędzia, p. J. N. Sadowski obiecał nam napisać ocenę ekonomicznych prac zasłużonego autora.

Użycie globusa. — Zbiór zagadnień dających się rozwiązać za pomocą globusa ziemskiego, przez Dra Daniela Wierzbickiego, adj. obs. Astr. Krakows., nakładem W. Tomaszewicza. str. 31.

Autorowi chodzi tu przedewszystkiem o dokładne obznajmienie się publiczności z użyciem globusa, tak, aby każdy, zwłaszcza w okolicach tak zwanych, za światem, mógł sobie sam z jego pomocą przynajmniej w przybliżeniu niektóre potrzebne rzeczy, jak np. wschód lub zachód słońca, długość dnia i t. p., tak dla swego, jak i swoich sąsiadów pożytku oznaczyć. Praca to szczupła, ale niezmiernie pożyteczna i radzimy ją każdemu, nie tylko przeczytać ale nauczyć jęj się i zastosować w praktyce. Pomiedzy zagadnieniami mamy tam np. takie: *Wytłomaczenie zmiany pór roku, za pomocą globusa, — Znaleźć zбочenie i wysokość słońca dla danego miejsca i czasu; dla danego dnia znaleźć okolice, w których podówczas słońce ani wschodzi, ani zachodzi i w. i.*

Ekonomista, pismo poświęcone ekonomice, statystyce i administracyi, rok VII, zeszyt I, za miesiąc Styczeń, Warszawa, 1872 r. str. 68 Zeszyt ten obejmuje oryginalną rozprawę ekonomiczno - prawną p. Józefa Kirszrota, p. t. *Kredyt rolniczy ze stanowiska prawa obowiązującego*, i dal-

sze ciągi rozpraw: „Rys statystyki porównawczej miasta Warszawy“ przez Witolda Załęskiego. — O kredycie, Coq'a, oraz Przegląd bibliograficzny, kronika ekonomiczna krajowa i zagraniczna.

Życzycy należało, ażeby to pismo, dobrze redagowane, a traktujące o kwestyach tak żywotnych, znalazło szczerze koło czytelników w Galicyi i Poznańskiem.

Przegląd Polski za miesiąc Marzec, zawiera: Stefana Garczyńskiego „Wacław i drobne poezye“ przez Stanisława *Tarnowskiego*. — Historyczna wędrówka po Krakowie, przez Józefa *Szujskiego*. Małżeństwo kościoła katolickiego przez Dra Franciszka *Kasparka*. — List Mickiewicza. — Przegląd literacki i bibliograficzny przez *Powidaję*. — Przegląd polityczny przez St. Koźmiana. — Teatr przez Józefa *Szujskiego*: Ekonomiczne sprawy krajowe, przez C. *Hallera*. — Zwracamy szczególną uwagę na piękny, nader wypracowany artykuł p. *Szujskiego*: Historyczną wędrówkę po Krakowie. — W ekonomicznych sprawach krajowych p. *Haller* za krótko i ogólnikowo traktuje kwestyę tak ważną.

Strzecha (wydanie Richtera) w ostatnich dwóch numerach drukuje piękną powieść J. I. Kraszewskiego: „Boża Opieka, z podań XVIII wieku, oraz „Nieszczęśliwa“, nader zajmującą powieść Wołodego Skiby. — Umiejętnie i treściwie prowadzona kronika literacka i artystyczna, w której i Kraszewski bierze udział. „Kącik humorystyczny z teki Chochlika, dowcipny, bez przesady a wypowiadający nieraz gorzką prawdę. W kąciku spotykamy też bardzo rzecne wierszyki. — Z poezyi zwracają na siebie uwagę *Berlicza Sasa*, „Szkiele myśliwskie Ukrainy“. Do ballady *Ludwika Jabłonowskiego*, „Dziewczę polskie“. Utalentowany nasz J. Kossak, dał piękny rysunek wyobrażający porwanie dziewczyny przez Tatara. Drzeworyty wyborne, piękne tu są portety ś. p. A. hr. Przezdzieckiego (rys. K. Młodnickiego) i Modrzejewskiej (w roli Ofelii). — W ogóle „Strzecha“ pod każdym względem zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie.

Mamy przed sobą pięć NN. nowego tygodnika lwowskiego „*Świt*“. W piśmie tem bierze udział liczny zastęp znanych i zasłużonych pisarzy, a między nimi są i nasze znakomitości, jak Libelt, Kraszewski, Schmitt. W tych pierwszych numerach, zwracają na siebie uwagę: Kalejdoskop *Berlicza Sasa*, Radziwił w gościnie *Kraszewskiego*, Tryumf Proletaryuszów przez Adama Mickiewicza, podany i wstępem objaśniony przez A. Gillera; Goethe i Descartes — studjum *Zgórskiego*; Przeglądy naukowe, literackie, artystyczne, nawet muzyczne, W Nrze 5, znajdujemy nadto Przegląd rzeczy słowiańskich, w którym autor p. Wł. O., bardzo treściwie skreśla nam obecny ruch piśmiennictwa czeskiego. W ogóle „*Świt*“ o ile możemy sądzić z pierwszych numerów, odznacza się doborem artykułów i troskliwą redakcją. Życzymy mu z duszy najświetniejszego powodzenia.

Tygodnik wielkopolski, połączony od Nowego roku z *Sobótką*: zawiera: *Grzegorzewskiego* studjum: Podobny Świat Marka Wowczka (opowieści ludowe); *Bałuckiego* Siostrzenica księdza proboszcza; Nemesis — z Dickens'a i Józef Bogdan Dziekoński — P. *Wilkoński*; o Mazurach Dr. W. *Kętrzyńskiego*; Ojczyzna, powieść *Narzymyskiego*, Wreście obfite korespondencye, kroniki, bardzo wyczerpujące *Pokłosie* i t. d.

Szkoła doborem artykułów (O ofiarności, nauka rysunków, o ogrodach i t. d.) jasnością wykładu, trafnością poglądów, najzupełniej odpowiada swojemu zadaniu. Radzilibyśmy jednak, ażeby, jako organ Towarzystwa pedagogicznego częściej poruszała kwestye żywotne, czysto pedagogiczne, a żałować nam przychodzi, że zakres tego pisma, w stosunku do zadania, jest za szczupły.

W Wiedniu pp. *G. Mazzini* i *Dr. D. V. Monckhoven*, wydają gazetę **La Gazette des Étrangers**. Znajdujemy tu ciekawe korespondencye z Galicyi i Poznańskiego, odznaczające się bezstronnością poglądów i przychylnością.

Dziewczyna nowego świata, obrazek z sennéj rzeczywistości, przez Janka Płakania. Wydaniem autora. Lwów, 1872. str. 48. — Bohaterką tego obrazka jest Helena Ładnowska, panna około lat 25ciu, córka stolarza, ale sierota, bez ojca, bez matki — mieszkająca sama i sama pracująca na siebie. Charakter to nadzwyczaj sympatyczny. Piękna, rozumna, ukształcona i zacna, gromadzi około siebie szczupłe gronko ludzi z podobnemi jej przymiotami serca i głowy — i stwarza sobie światek tak miły i pociągający, że mimowolnie czytelnik musi westchnąć za nim. — Przyjmuje u siebie i mężczyzn i kobiety. — Bywa nawet u pierwszych, ale potrafi sobie nadać tyle godności, albo raczej tyle ma w sobie naturalnej godności i wyższości, że biada temu, kto by co o niej złego pomyślał. — Istota pełna poświęcenia i taktu, kochająca naukę i ludzkość. Autor widocznie chciał stworzyć ideał cnotliwej, rozumnej i samoistnej kobiety, kobiety-człowieka. Ale zarazem sumienny autor nie przesadza, tworząc swój ideał kobiety, bo sam przytacza fakta jak jeszcze niemożliwém jest, a przynajmniej trudném życie takiej niezależnej istoty wśród naszego społeczeństwa i jak nam daleko jeszcze do podobnych ideałów. — Jakoż jego Helena wychodzi za mąż, a znalazłszy opiekę w mężu, którego kocha, jest przeciwie także niezależną. — Obrazek ten napisany jest w rodzaju powiastki z życiem i werwą. Nie ma w nim pretensyi i przesady, ale jest prostota i naturalność. Zarzuciłbyśmy tylko mogli autorowi zbyt częste używanie w nim swoich prowincjonalizmów.

Złote literki, nowa księżeczka dla dzieci, przez Władysława Bełzę. (z rycina). Lwów, nakładem K. Wilda. 1872. str. 84. — Każdą nową a pocziwą pracę podjętą dla naszych dzieci lub ludu naszego, powinniśmy przyjmować z uznaniem i wdzięcznością. Złote literki zasługują i na jedno i na drugie. Dla czego nazywają się złote? Dla tego, że pod każdą z nich znajduje się stósowny, historyczny wierszyk. Po skończeniu w ten sposób całego abecadła, następują różne bajeczki i wierszyki, a na samym końcu jest kruciułka historya Polski, także wierszem. — Musimy jednak zrobić autorowi uwagę, że (pod literą E.) Rejtan już nie żył za czasów konfederacyi Targowickiej, umarł 1780, a zatem eo ipso nie mógł przeciwko niej protestować (w r. 1792) — Sławna zaś jego protestacya, o której zapewne autor myślał, miała miejsce na sejmie r. 1773.

Geografia powszechna L. E. K. Gaultier'a, wydanie szóste, na nowo przejrane i poprawione, z uwzględnieniem najnowszych zmian poli-

tecznych i do użytku niższych zakładów naukowych polskich prywatnych i publicznych zastosowana, przez Ł. T. we Lwowie, nakładem Karola Wilda r. 1872. str. 240. — Rzecz napisana treściwie i przystępnie. Śmiało możemy ją polecić uczącej się młodzieży.

Sprawozdanie z czynności wydziału zarządzającego Czytelnią Akademicką w Krakowie, w pierwszém półroczu 1871/2. Kraków, w drukarni „Kraju”, 1872. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się z przyjemnością, że Czytelnia Akademicka Uniwersytetu Jagiellońskiego rozwija się coraz bardziej i coraz bardziej odpowiada swemu szlachetnemu celowi. Wszystkich członków w ubiegłym półroczu było w niej 198. — Odczytów bardzo zajmującej treści było 11. — Biblioteka Czytelni wynosi dzieł 1298, tomów 2021. — Czasopism posiada Czytelnia 91, z tych polskich 63, niemieckich 25, francuskich 2, ruskie 1. Fundusz żelazny wynosi 66 złr. 70 cent. — Instytucji tej życzymy jak najpomyślniejszej przyszłości i spodziewamy się po niej bardzo wiele dobrego.

Arytmetyka i algebra dla klas wyższych gimnazyalnych i realnych, podług dzieła niemieckiego Dra Franciszka Mocnika, opracował Dr. Tomasz Stanecki, z 27 figurami w tekście, we Lwowie, nakładem Karola Wilda. 1872. str. 357. — Jest to bardzo staranny przekład książki powszechnie w szkołach używanej. — Tłumacz słusznie postąpił, wystrzegając się wszelkich nowości terminologicznych. — Niepodobna jest nie zauważać, że każde wydanie zasłużonego naszego bibliopola, pana Karola Wilda, zawsze ma na celu dobro publiczne, a nie spekulacyą tylko.

— Tom drugi dzieła: **Monumenta historica Poloniae**, wydawanego p. Augusta Bielowskiego, wyjdzie w r. b.: obecnie druk doszedł do setnego arkusza. — Po „Kronice“ Wincentego Kadłubka opracowanej przez samego wydawcę, następuje kronika Bogułała, przygotowana przez W. A. Maciejowskiego, następnie kronika Jana z Czarnkowa, którą opracował do druku Jan Szlachtowski. W 95 arkuszu rozpoczęto druk Roczników (Annales) zaczynając od wyjątków z Annales Hildesheimenses, o ile się do dziejów polskich odnoszą. Oddrukowane te wyjątki będą w „Monumenta Poloniae“ według wydania w Pertzowskich „Monumenta Germaniae“.

W Tygodniku Wielkopolskim znajdujemy następującą nader ważną korespondencyę z Włoch od p. A. W.:

„W poprzednim liście pisałem wam o bardzo ważnej dla historii polskiej pracy hr. Augusta Cieszkowskiego, dokonanej w archiwach Wenecyjskich; obecnie chcę za pośrednictwem „Tygodnika“ wskazać inną pracę podobnego rodzaju, którą winniśmy jak najprędzej uskutecznić. Podobnie jak we wszystkich stolicach dawnych państw iberyjskich, znajduje się także i we Florencyi Archivum Państwa (Archivum di Stato) złożone z wszelkiego rodzaju dokumentów, jużto rządów, jakich różnemi czasy Toskanja słuchała, jużto z bardzo obszernej korespondencyi Medyceuszów. Ponieważ za szczególném pozwoleniem Dyrektora, można pracować w Archiwum, a nawet całkiem dokumenta kopiować, ciekawością wiedzeni, zrobiliśmy studyum nad dokumentami naszej historii dotyczącemi i przekonaliśmy się, że takowych różnej treści i doniosłości do tysiąca zebraćby można.

Dokumenta te składają się: 1) z not i traktatów dyplomatycznych, 2) z kopij różnych raportów i not dyplomatycznych, jakie ambasadorzy tokańscy w różnych stolicach Europy zebrali, 3) z listów naszych królów i członków rodziny królewskiej, 4) z listów Wielkich Książąt i ich krewnych do królów polskich pisanych, 5) z listów naszych dygnitarzy i z odpowiedzi na nie. Korrespondencya naszych królów z dworem tokańskim i na odwrót, nie ma wprawdzie doniosłości pod względem historyczno-politycznym, ale jest bogatym przyczynkiem do familijnego życia naszych monarchów, do współczesnych stosunków naszego narodu i do historii sztuk i nauk w Polsce. Tego rodzaju listów samego Sobieskiego naliczyliśmy kilkadziesiąt. Wszystkie te dokumenta są pisane w jednym z trzech języków: łacińskim, włoskim lub francuskim.

Aby cały materyał dotyczący naszej historyi wyszukać, przepisać, uporządkować i przetłumaczyć, potrzeba kilka a może kilkanaście miesięcy czasu, bo tylko pięć godzin w pewne dni pracować w tém archiwum można, a nadto pismo wielu dokumentów nie bardzo jest czytelném. — Tak olbrzymiej i kosztownej pracy w społeczeństwie naszém, dopiero się budzącém do życia umysłowego i naukowego, może się podjąć tylko osoba majątna, jak np. s. p. hr. Przedziecki, hr. Cieszkowski itp., lub też jakie ciało naukowe mające odpowiednie do tego fundusze. Dla tego zwracam uwagę Towarzystwa Naukowego w Poznaniu i tworzącej się Akademii Krakowskiej, aby poruszoną tu sprawę wzięły do serca i jeżeli nie w oddzielném wydaniu, to przynajmniej w swych rocznikach ogłosiły dokumenta Archiwum Florenckiego, które zebrać mogą albo przez jednego ze swoich członków umyślnie tu wysłanego, albo też za pomocą któregokolwiek z tu-tejszych rodaków*.

— Towarzystwo ks. Jabłonowskiego w Lipsku, ogłosiło swoje sprawozdanie, w którém powiada, że na r. 1870 było postawione następujące do konkursu zadanie z dziedziny historycznej: „Dziejopisarstwo polskie w średnich wiekach“, które jednego tylko znalazło konkurenta z mottem: *ne frustra panem Polonicum manducarem*. (Gallus, chron. Pol. L. III. praef.) Stowarzyszenie uznało z zadowoleniem, jak rozległe i gruntowne studia autor dla téj pracy porobił, jak z dotyczącym materyałem w skutek dłuższej nad nim pracy z zamiłowaniem dokonanej, jest oswojony zupełnym jest jój panem. Zna i wyzyskuje literaturę na wielką skalę, umiał także korzystać z manuskryptów w rozległy sposób i zachować stanowisko niezależne w krytykowaniu rzeczy. — Rozległy zakres szczególnych badań przez autora przedsięwziętych, dostatecznie wyjaśnia i uniewinnia autora, że swój pracy na czas nie ukończył. Nie dostaje jeszcze, jak konkurent sam w dołączonym liście nadmienia, oceny Długosza polskich dziejów i przeglądu źródeł przez niego używanych, jako też wstępu oceniającego historjografię średnich wieków, zbiory źródeł, i t. d. — Nie zaprzeczał także autor, że jego dzieło nie dostaje jeszcze ostatniej redakcyi, wymagającej znacznego skrócenia oddziałów, tylko z lekka dotykających właściwego tematu i ściślej-szego połączenia z główném zadaniem. Ponieważ Towarzystwo nie wątpi, że praca po wykończeniu i przerobieniu, zupełnie na nagrodę zasługiwać będzie, postanowiło wedle życzenia konkurenta, przedłużyć mu termin do końca lutego 1872.

Na rok 1872 wyznaczone konkursy przedłużono do roku 1873. Jeden z nich jest z dziejów ekonomii politycznej postawiony. Przy absolutnie

wysokiem znaczeniu, jakie handel zboża międzynarodowy nie tylko praktycznie przedstawia dla dobra kupujących i sprzedających, ale także obustronnie jako symptom powszechnej cywilizacji, jako też przy względnie ważnym stanowisku, jakie w polskim handlu od wieków wywóz zboża zajął, życzy sobie towarzystwo mieć źródłową historję polskiego handlu zbożem z zagranicą.

Czas przed upadkiem państwa bizantyńskiego posłuży tylko za wstęp a nowszy czas od podziału Polski tylko za konkluzję, a główny nacisk położy się na trzy pomiędzy temi epokami leżące wieki. (Nagroda sześćdziesiąt dukatów).

Nakładem J. K. Żupańskiego ma wyjść w Poznaniu, jak donosi „Tygodnik Wielkopolski”: **Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego Paryskiego**. Tom ten zawierać będzie pomiędzy innemi: rozprawę Domejki; — Kamińskiego, wspomnienia żołnierza; — Orpizewskiego tragedję p. n. Zebrzydowscy, oraz Zbiór listów Stanisława Augusta z r. 1788—92.

— Dowiadujemy się z pewnego źródła, że I i II tomy tekstu **Dziejów Długoszowych** wyjdą w czerwcu. — Do gotowych, już właśnie w druku ukończonych obu tych tomów, pan Żegota Pauli ma przed tym terminem ukończyć indeksa.

— Redakcja „Biblioteki Warszawskiej“ ogłosiła konkurs na książkę dla dzieci obejmującą: „Wykład prawd i wiadomości z dziedziny przyrody i ducha, dla podniesienia umysłu i uszlachetnienia serc młodych“. Nagroda konkursowa przez p. A. T. przeznaczona, wynosi 150 rubli i rękopism pozostaje własnością autora. Termin naznaczony do 1 lutego 1873 r.

— Antoni Sokołowski i Arnold Navratil ogłosili przedpłatę na tłumaczenie dzieła: „Zarys chemii ogólnej podług p. Roscoe“. — Ważny to będzie nabytek dla naszej literatury. Prof. Bronisław Radziszewski podjął się przejrzenia rękopismu. W nomenklaturze chemicznej użytą będzie terminologia towarzystwa naukowego krakowskiego. — Dzieło to składać się będzie z trzech zeszytów: pierwszy obejmie metaloidy i połączenia ich, drugi metale, trzeci chemią organiczną.

— P. Aleksander Weryha Darowski, obywatel z Wołynia, wykończył dzieło zawierające krytyczne opracowanie przypowieści Salomona Eysińskiego.

— Otrzymaliśmy 8 stronnice ścisłego druku jako próbę „Słownika lekarskiego“, złożonego przez chlubnie znanego w Poznaniu doktora T. Mateckiego. Próba ta zawiera początek litery A. (od Aasmus do Aedoea). Podobno rękopis już gotów, oczekuje tylko nakładcy.

— Księgarz Poznański Jarosław Leitgeber wydaje w Lipsku Katalog wszystkich dzieł polskich, ogłoszonych w latach 1860—1872.

— „Przyjaciel ludu“, pismo tygodniowo-polityczne w Chełmnie, w Prusach Zachodnich, rozpoczęło z nowym rokiem 1872 dwunasty rok istnienia. Redaktorem jego jest Ignacy Danielewski znakomity mowca i pisarz ludowy. — „Przyjaciel ludu“ jest najlepszym z pism polskich dla mniej oświeconych klas naszej ludności, liczy zaś przeszło 6000 prenumeratorów.

— P. Pietraszewska synowica orientalisty Pietraszewskiego ma ogłosić wkrótce drukiem, dziesięcioletnią podróż stryja swego po Wschodzie, która dotąd leżała w rękopiśmie.

— W historycznej literaturze rosyjskiej ważne stanowisko zajmuje pan Howajski, autor wielu dzieł historycznych odznaczających się sumiennnością i bezstronnym poglądem. — Ostatnią jego pracę: „O sejmie Grodzieńskim z r. 1793“ tłumaczy, jak nam donosi Tygodnik Wielkopolski, na język polski p. M. Iwanowski, a J. K. Żupański ma wydać swoim nakładem.

— „Osnowa“, pismo rusińskie we Lwowie, wydawane jako dwutygodnik, od nowego roku wychodzi dwa razy na tydzień, co wtorek i co piątek.

— „Dumy i dumki ukraińskie“ Tarasa Szewczenki, znakomitego poety małopruskiego (ur. 1814, um. 1861) przełożył na język niemiecki i wydał ze szkicem biograficznym autora J. G. Obrist w Czerniowcach. — „Hajdamacy“ Szewczenki w pięknym przekładzie Leonarda Sowińskiego, dawno już wyszły w języku polskim, w Wilnie, nakładem M. Gałkowskiego. Mamy też i wiele innych przekładów dum i dumek tego poety, przez Syrokomłę i Leonarda Sowińskiego.

— Franciszek Palacky, znakomity dziejopis czeski, wydaje dzieło o wojnach husyckich (Urkundliche Beiträge zur Geschichte der Hussitenkriege 1419 — 1439), do którego czerpał wiadomości przez 50 lat z dzieł łacińskich i niemieckich — i w archiwach większej połowy Europy.

— Fr. Szlama, znawca piśmiennictwa polskiego, przełożył na język czeski J. I. Kraszewskiego: „Bezimienna“; hr. Fredry syna: „Przed śniadaniem“ i Aurelego Urbańskiego: „Pochód z pochodniami“. — Nadto Goll tłumaczy „pana Tadeusza“, Ketitz: „Listy Zygmunta Kraszińskiego“, Hol: „Mohorta“, dr. Zeman: „Beniowskiego“.

— „Correspondence Slave“ wychodząca w Pradze rozpoczęła w odcinku druk powieści historycznej z czasów wojny Kozaków Ukraińskich z Polakami, Mikołaja Gogola p. n. „Taras Bulba“.

— Dr. Henryk Gottlieb, adwokat i radny miasta Lwowa, wydał historyczną pracę swoją w niemieckim języku, o średniowiecznym w IX i X wieku głośnym państwie Chazarów, wyznania mołżeszowego. — Za pracę tę otrzymał autor od niemieckiego Towarzystwa orientalistów w Lipsku, dyplom na członka honorowego.

— Józef Antoniewicz tłumaczy na język polski dzieło Darwina: „O zmienności zwierząt i roślin pod wpływem hodowli“.

— Znany pisarz Edmund Chojecki z panem Foussier napisali dramat; „La Baronne“, we 4 aktach, obecnie grywany na teatrach paryskich. — Bohaterka tego dramatu jest uosobieniem tych rozpustnic, dla których pieniądze jest wszystkiem, a dla zdobycia którego gotową jest na największą zbrodnię. — Kończy ona nikczemny swój żywot gwałtowną śmiercią z ręki męża, którego zdradzała. — Podobno p. Ordon tłumaczy ten dramat na język polski. — Na co to potrzeba?

— August Schleicher, znany lingwista, niedawno zmarły, zostawił dzieło „o Połabianach“, w którym dowodzi, że narzecze Połabian razem z Kaszubskiem tworzyło odcień języka polskiego. — Obecnie dzieło to opuściło prasę p. t.: „Laut- und Formenlehre der Polabischen Sprache“.

Dämonen v. Johannes Scherr. — Leipzig 1871. Osoba i prace Jana Scherra są tak mało znane naszej publiczności, że chcemy o nich choć kilka słów powiedzieć, zanim przystąpimy do ocenienia jego osta-

tniego dzieła. Scherr urodził się w r. 1817 w Hohenrechberg; początkowe wykształcenie pobierał w Gmünden, a następnie w Zürich.

Bybyt w tem ostatniem mieście i republikańskie instytucye Szwajcaryi w pierwszych chwilach samodzielnego myślenia, stanowczo wpłynęły na jego przekonania. Scherr już na ławie szkolnej marzył o rzeczypospolitej niemieckiej. Na uniwersytecie w Tübingen poświęcił się studjom filologicznym, filozofii i historii. W wypadkach roku 1848 wziął czynny udział, co go zmusiło w następnym już roku do opuszczenia Stuttgartu, z kąd się udał powtórnie do Zürich i tam zjednał sobie wielki rozgłos, jako profesor szkoły politechnicznej. Z szczególniejszem upodobaniem oddał się historii cywilizacji, owocem czego była piękna praca „Deutschen Cultur und Sittengeschichte“. Żałować przychodzi, że dzieło to dające tak wierny w ogólnych zarysach i w drobnych szczegółach obraz, dotychczas prawie zupełnie nieznanе naszej publiczności. Nawet krytycy niemieccy wręcz przeciwni zapatrywaniom Scherra, przyznają bardzo wiele zalet temu dziełu. Doczekano się już to dzieło tłumaczenia na angielski i rosyjski język, i życzyby należało, aby i u nas ktoś się podjął jego przeproszczenia. Nie tutaj miejsce mówić szczegółowo o znaczeniu i stanowisku Scherra w literaturze i publicystyce niemieckiej, gdzie z nieubłaganą ironią uderzał na ciasny patryotyzm niemieckich filisterów w stosunkach społecznych. Kiedyś postaramy się o tem obszerniej pomówić; obecnie musimy ograniczyć się na samem wyliczeniu jego znakomitszych prac naukowych i literackich. Takowe należą do trzech kategorii: do historii cywilizacji, wspomniana powyżej „Deutschen Cultur- u. Sittengeschichte“, „Schiller und seine Zeit“, „Geschichte der deutschen Frauenwelt“ i „Geschichte der Religion“; z prac dotyczących historii literatury: „Allgemeine Geschichte der Literatur“ (tłumaczona na polski, „Geschichte der deutschen Literatur“ etc; z prac ściśle historycznych najbardziej poważane przez krytykę: „Blücher seine Zeit und sein Leben“. Tutaj wyliczyliśmy tylko ważniejsze prace, w każdym z trzech dotyczących rodzajów wiedzy ludzkiej, albowiem Scherr należy do najpłodniejszych obecnie żyjących pisarzy niemieckich.

O ile wszystkie poprzednie prace Scherra zwracały uwagę swemi pełnemi prawdy i humoru obrazkami, o tyle szkice pod tytułem wyżej wymienionym coraz silniej wykazują jego słabe strony. W szkicach, których tytuł brzmi tak oryginalnie, autor bierze kilka postaci historycznych z różnych wieków, które z całą siłą swego ducha i woli oddają się jednej idei, jednemu uczuciu, bez względu na siebie i na możliwość urzeczywistnienia tego, co się stało celem ich życia. W charakterach tego rodzaju jest w istocie coś nadnaturalnego, podniesienie ducha i wyteżenie wszystkich sił jego do potęgi nieznaną innym śmiertelnikom. Słusznie więc Scherr daje im nazwę Dämonen. Pod tę kategorię, dadzą się podciągnąć ludzie działający pod wpływem najrozmaitszych uczuć: miłości, patryotyzmu religijnego, jakiejś idei socjalnej lub politycznej.

Ze wszystkich zcharakteryzowanych tam postaci historycznych, najlepiej się udały autorowi: Heloiza i Torkwemada. W pierwszej widzimy kobietę średniowieczną, która całe życie oddała na ofiarę czystej i świętej miłości; w drugiej — widzimy najokropniejsze sceny z czasów prześladowania religijnego w Hiszpanii, odmalowane przez autora z całą potęgą jego pióra.

Szkoda, że w obrazkach tych, napotyamy często dosyć niezręczne alluzje do dzisiejszego położenia Europy. Dzisiejsze cesarstwo niemieckie z Bismarkiem i Moltkem, Thiers i Napoleon III, figurują w tych oddalonych czasach, jak Piłat w credo.

Pod względem zapatrywań autora, widzimy ogromną różnicę. Dawny liberalizm kosmopolityczny, teorye polityczne dążące do uszczęśliwienia ludzkości, znikły bez śladu, a pozostał kwaśny patryotyzm niemiecki, tak niewłaściwy autorowi „Historji cywilizacji germańskiej.“

Scherr niestety, uległ zarówno z innymi myślicielami Niemiec temu ogólnemu prądowi najnowszej literatury niemieckiej. W tym szale patryotycznym, w istocie musiała się kryć jakaś nadzwyczajna potęga, jeżeli Scherr współ z pierwszą lepszą gazetą berlińską, pali kaziidło dzisiejszej jedności Niemiec, dowodzi ję znaczenia uniwersalno-historycznego, bo tylko zjednoczeni Niemcy mogą koniec położyć demoralizacji szerzonej przez Francję.

We wstępie do swęj pracy oburza się na współczucie Szwajcarów dla narodu francuskiego i stara się wmówić w nich, jakie wielkie nieszczęścia spłynełyby na rzczechpospolitę, gdyby Francya zwyciężyła, chociaż przemilcza o większych może niebezpieczeństwach grozących Szwajcaryi od zjednoczonych Niemiec. Dalej niepodobna wytłómaczyć, jak autor może sympatję szwajcarskie dla Francuzów zaliczyć na karb współczucia dla Napoleona.

Wandererjahre in Italien. Von Ferdinand Gregorovius. Vierter Band. Von Ravenna bis Mentana. Leipzig 1871.

Gregorovius należy do najznakomitszych pod każdym względem znawców Włoch. W tym celu od roku 1852 corocznie zwiedzał Włochy i tam się poświęcał najgorliwszym studjom. Jestto czwarty z kolei tom; każdy z poprzednich wyszedł pod osobnem nazwaniem i zjednał wielki rozgłos w Niemczech.

Najwięcej do ustalenia tęj reputacji przyczynili się sami Włosi, chociaż autor bynajmniej nie schlebia ich charakterowi narodowemu. Jednak pierwsze trzy tomy (Figuren, Lateinische Sommer, Siciliana) mają nierównie więcej zalet w porównaniu z ostatnim. W tym autor częściej zwraca się do przeszłości, chociaż nie jest zupełnie nieuczulym na terażniejszość. Ale dawnęj lekkości, potoczystości w opowiadaniu już nie znajdujemy w czwartym tomie.

Obok pięknych obrazków współczesnych, nieraz za wielemiejsca zajmują rezultaty poszukiwań po archiwach, szczegóły historyczne poparte cytatai, które autor zdobywał z takim mozołem, w najbardziej oddalonych zakątkach kraju. Takim jest opis Rawenny i podróży po Umbryi. Gregorovius w tych podrózach właściwie zbierał materyały do historyi Rzymu, ale przytem badał i dzisiejsze położenie Włoch, z których to spostrzeżeń i notatek właściwie i powstał tom czwarty. Opowiadanie swe doprowadza do roku 1870, t. j. do chwili zajęcia Rzymu przez wojska włoskie. On pokochoał z całą duszą Włochy, życzył im wyzwolenia się i zjednoczenia, i może się zaliczyć do pisarzy niemieckich, którzy pogodzili opinię swego narodu z jednolitą Italją. We wstępie do swęj pracy, autor nie może się powstrzymać od porównania dzisiejszego stanu Włoch z tym jaki znalazł w r. 1852, gdy po raz pierwszy przybył na półwysep apeniński. To co było wówczas tylko ideałem, marzeniem najśmielszych patryotów, stało się obecnie faktem dokonanyim. Nadzwyczaj ciekawy i do-

kładny jest opis wszystkich wypraw podjętych w celu odzyskania Rzymu. Kłeski pod Montaną autor był prawie naocznym świadkiem. Z największą sympatją mówi o jedności włoskiej, chociaż mniema, że wypadki polityczne znacznie wyprzedziły moralne zbliżenie się najróżnorodniejszych żywiołów. Na tej zasadzie przepowiada nowo utworzonemu królestwu drogę ciężkich doświadczeń i walk, jeżeli tylko tak wspaniała budowa narodowa ma być utrwalona.

Ta kompetencya uczonego Niemca w rzeczach włoskich naprowadza nas na myśl, że najlepsze prace o pewnym kraju lub narodzie wyszły z pod pióra cudzoziemców. Tak np. francuz Eequiros najwyborniej przedstawił społeczeństwo angielskie; znany rzeźbiarz amerykański Wiliam Stori w dziele *Roba di Roma*, nader trafnie opisuje obecne moralne usposobienie Rzymu.

La republique constitutionelle. par M. Ed. Laboulaye. Paris, 1871. — Imię i stanowisko polityczne Laboulaye'go dobrze znane naszej publiczności. Przedmiotem jego specjanych zajęć były zawsze Stany Zjednoczone, dla których ma największą sympatję. Laboulaye należy do stronnictwa umiarkowanych republikanów, i swemi pismami nie mało się przyczynił do upowszechnienia zasad tego stronnictwa. Przed uzupełnianiem wyborami na żądanie stronników napisał powyższą broszurkę, która była jakby programem umiarkowanych republikanów. Na zapytanie jaka forma rządu mogłaby zapewnić Francji potęgę na zewnątrz i spokój wewnątrz, autor stanowczo odpowiada, że republikańska. Gdyby którakolwiek z trzech monarchij przyszła do władzy, obudziłaby niechęć dwóch innych stronnictw monarchicznych, czego rezultatem byłyby prześladowania, opór, nareszcie rozruchy i inne złe skutki, czego widownią była Francya w ciągu lat 70. Sama tylko rzeczpospolita nie wyklucza żadnego stronnictwa. Imperjaliści, orleaniści i legitymiści, mogą być najbezpieczniejsi w takim państwie, gdzie władza należy do ludu. Jedno stronnictwo mogło obalić opuszczone przez wszystkich cesarstwo, ale utrwalenie rzeczpospolitej zależy od całego narodu. Tam więc niema ani zwycięzców ani zwyciężonych.

Dowiodłszy tym sposobem, że jedynie możebną formą polityczną Francji jest rzeczpospolita, autor przechodzi do określenia, jakie ona powinna przybrać kształty. Tutaj przypomina wszystkie znane rzeczpospolite w dziejach, jednak ani dawna republika holenderska, ani demagogja komuny, niemogą odpowiedzieć wymaganiom dzisiejszej Francji. Dla niej potrzeba formy nowej, odradzającej się z gruntu, która byłaby zupełnie przeciwną temu, co doprowadziło Francję do upadku. Dalej autor z szczególniejszem upodobaniem zastanawia się nad Stanami Zjednoczonymi i Szwajcaryą, — których forma rządu przetrwała wszelkie wstrząśnienia. Z tego porównania tworzy swój ideał rzeczpospolitej konstytucyjnej.

Dzisiejsze zgromadzenie narodowe nie może samo pozostać. Władza w rękach podobnego zgromadzenia wyradza się zwykle w dyktaturę, a jakaż siła może powstrzymać dyktatora od nadużyć, konfiskat, wygnania, niesprawiedliwości! Dostyć tylko przypomnieć rok 1792 i 1848. Dlaczego tak wiele złego wyrządziło cesarstwo? ponieważ nieulegało żadnej kontroli, niemając najmniejszego względu na interes narodu. Jeszcze jedna osoba, łańciewicz może być odpowiedzialną przed narodem, ale któż zdoła pociągnąć do od-

powiedzialności całe zgromadzenie narodowe? W ostatnich zaś czasach zgromadzenie narodowe może się stać tém, czem było cesarstwo. Silne reakcyjne dążności, objawiają się tam coraz widoczniej, pewna partya pierwiej lub później może wziąć górę, uciec się do dyktatury wojennej, a jej rezultaty trudno nawet byłoby przewidzieć w obec dzisiejszego stanu rzeczy. Dla usunięcia więc złego, p. Laboulaye podaje projekt utworzenia obok zgromadzenia narodowego senatu, który byłby mniej liczny i odnawiałby się częściowo przynajmniej co dwa lata. Taki senat mają Stany Zjednoczone, któremu zawdzięczają swą trwałość. Szwajcarja poszła za przykładem Ameryki i nieźle na tem wyszła. Prawodawcy III roku rzeczypospolitej francuskiej, obok rady pięciuset ustanowili radę starszych (conseil des anciens), przystem nie należy żądać osłabienia władzy wykonawczej, jako czynią niektórzy pisarze republikańscy. Owszem autor żąda silnej władzy wykonawczej, bo tylko od harmonii tych władz zależy porządek i spokój w państwie. Oprócz tych reform kardynalnych autora „Rzeczypospolitej konstytucyjnej“ stawia także i inne postulata, jako to: przymusową oświatę, wolność prasy i stowarzyszeń, oddzielenie kościoła od państwa, zapewnienie samorządu gminom wiejskim i miejskim z decentralizacją administracyjną, niezależność sądownictwa i nareszcie na wzór Ameryki — rychłe umorzenie długu państwa.

The member for Paris. A tale of the second empire. By trois Etoiles. London 1871.

Z wielkiej liczby powieści i romansów, w które jest tak obfita najnowsza literatura angielska, niewiele można naliczyć takich, które przekraczałyby granicę mierności i tuzinkowości. W całej tej literaturze powieściowej wyraża się albo tendencja, lub po prostu zwykłe moralizowanie, co się stało cechą charakterystyczną powieści angielskiej.

Z pomiędzy tych powieści, lekkością stylu, starannem wykończeniem i prawdziwym humorem, korzystnie się wyróżnia powieść wymieniona powyżej. Sama nawet treść powieści jest nowością dla Anglików, bo wzięta z życia francuskiego, z czem się tam bardzo rzadko napotykamy. Tajemniczy autor doskonale zna społeczeństwo francuskie z ostatnich lat panowania Napoleona III. W bardzo żywych obrazach kreśli to społeczeństwo; postacie dygnitarzy, gazeciarzy, całej dworskiej tłuszczy przesuwają przed nami, oświecone wyborynym humorem autora.

Oprócz koteryi dworskiej spotykamy się w powieści i z mężami opozycyi, ze wszystkimi jej odcieniami, którzy systematycznie podkopywali gmach drugiego cesarstwa, gotującego się lada chwila uwieńczyć swe dzieło. Postacie te tak dokładnie naszkicowane, że pomimo zmienionych nazwisk łatwo można poznać Blanquiego, Juliusza Favra, Miresa i innych.

Tem tej powieści jest historia dwóch braci, dążących rozmaitemi drogami do zrobienia sobie uczciwej karyery. Jeden z nich obiera zawód adwokata, zdobywa na tém polu rozgłos znakomity, walczy zawzięcie z poplecznikami rządu na każdym kroku, broszurami zwraca na siebie powszechną uwagę, i nareszcie zostaje wybranym jako deputowany z jakiegoś okręgu stolicy (zład nazwanie powieści). Drugi jest wiernym idei republikańskiej i na inném polu służy narodowi. Obaj w życiu natrafiają na bardzo wiele przeszkód, intryg, są nieraz w obec nich bezsilni, muszą tylko ograniczyć się słabym protestem — nad krajem cięży jeszcze stra-

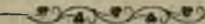
szny ucisk. W samym początku opowiadania lud jeszcze obojętny na los tych, którzy występują w obronie wolności, lecz powoli zaczyna się budzić ze swej apatii.

Lettres posthumes par Prevost-Paradol. Bruxelles 1871. — Któż niezna Prevost-Paradola, tego wybornego pisarza i utalentowanego publicysty? Pamiętamy, jak wielkie wrażenie sprawiła jego śmierć, pomimo wypadków, których widownią stała się Francya w r. 1870.

Mamy przed sobą pośmiertne listy Prevost-Paradola, pisane w chwili, kiedy paroksyzm liberalny Napoleona III zdawał się prowadzić Francję na nowe drogi. Porwanie starych tradycy, zmiana polityki wewnętrznej w duchu liberalnym, w istocie silnie wpłynęła na wszystkich ludzi postępowych. W listach Prevost-Paradola najlepiej się odbija cała ta epoka, którą on wita jako nową erę dogorywającego despotyzmu i wschodzącej zory wolności. Czytać w obecnej chwili pierwsze jego listy jest bardzo przykro. Tyle wiary w zupełne przeistoczenie cesarstwa, tyle różowych nadziei i zaufania w siły stronnictwa liberalnego, które po rządach kamarylli dworskiej, wzięło się do podźwignienia Francyi z jej upadku. Jeżeli Olivier z ławy opozycyjnej przeszedł do ministerjum, to krok podobny można przypisać ambicyi, ale tylko gorące przywiązanie do narodu i chęć pracowania dla jego dobra, usprawiedliwia zbytęzną łatwowierność takich ludzi, jak Prevost-Paradol i Laboulaye.

Jednak w pierwszym daje się prędko spotrzegać zwątpienie w przeistoczeniu rządów napoleońskich. Prawda coraz więcej przed nim się odsłania w całej nagości. Dłużej przenieść nie może, że dał się oszukać nieczestnej polityce Napoleona. Sumienie zaczyna go coraz bardziej dręczyć. Nareszcie zamianowanie posłem przy dworze waszyngtońskim, przedstawia się jako najlepsza sposobność usunięcia się od machinacy Napoleona III. Oddalenie od Francyi, samotne życie, widok ludu wolnego i szczęśliwego, rozjątrzają jeszcze niezablźnioną ranę. Nareszcie wieść o wypowiedzeniu wojny, była dla niego strasznym ciosem; myśl że się stał uczestnikiem klęsk i nieszczęść ojczyzny doprowadziła Prevost-Paradola do samobójstwa.

A. S.



BIBLIJOGRAFIJA POLSKA

z r. 1871 (ciąg dalszy) i 1872.

Warszawa.

- Anczyc Władysław L. Perły. 1872. — Nakładem Gebetnera i Wolfa.
- Biblioteka klasyków polskich: Tom III. Poezye T. K. Węgierskiego. Nakładem Breslauera.
- Bogdan ks. Jan. Nauka czytania polskiego. Wydanie 2-gie pomnożone, z rycinami. 1871. Nakładem G. Sennewalda.
- Chomentowski Władysław. Stanowisko praktyczne dawnych niewiast. 1871.
- Franklina Benjamina. Pamiętniki przez niego samego spisane; z francuzkiego. 1871.
- Fredro Jan Aleksander hr. Komedye. 2 tomy. 1872. Nakładem Gebetnera i Wolfa.
- Haffner. Kąpiel z krwi. Zeszyt 2-gi. 1872.
- Historya naturalna w 222 obrazach, in folio magno. 1872. Nakładem księgarni Jana Breslauera.
- Hoffmanowa Klementyna z Tańskich. Pamiątka po dobrej matce, czyli ostatnie jej rady dla córki, przez młodą Polkę. Wydanie 9-te. 1872.
- Hugo Wiktor. Legendy Wieków; tłum. Klemens Podwysocki. 1871,
- Jaroszewski Zygmunt. Wapno, margiel i gips, jako dźwignia rolnictwa. 1872. Nakładem „Gazety Rolniczej“.
- Juszczak Józef. O żebractwie trapiącym nietylko Warszawę, ale i kraj cały, mianowicie małe i większe miasteczka. 1872.
- Kalendarz rolniczy, wydany staraniem Adama Mieczynskiego na rok przestępny 1872.
- Kalendarz satyryczno-humorystyczny na rok 1872, zebrała „Mucha“ z ilustracyami przeszło 40-ma F. Kostrzewskiego.
- Kramstüek Izaak. Wykład religii Mojżeszowej. 1872.
- Krysiński. Wykład sacharymetryi optycznej. Odbitka z „Ekonomisty“.
- Kubala Ludwik. Jan Czarnkowski i jego kronika. 1871.
- Miron. Bez Boga. (fantazya). 1871.

- Mitchell O. M. Autor „Popular Astronomy“. Ciała niebieskie albo światy planetarne i gwiazdowe. — Wykład popularny wielkich odkryć i teoryj najnowszej astronomii, — tłumaczył z angielskiego Apolinary Pietkiewicz, autor meteorologii. Podług nowego wyd. londyńskiego z 1868 r. z licznymi drzeworytami oraz dodatkami tłumacza. 1872.
- Moehler Dr. J. A. Symbolika czyli wykład dogmatyczny niezgodności pomiędzy katolikami i protestantami, podług ich publicznych wyznań wiary, z siódmego wydania niemieckiego przetłumaczony na język polski przez ks. Nowodworskiego. 1871.
- Podręczna Encyklopedia handlowa. Zeszyt I. 1872. Nakład „Gazety Handlowej“.
- Prokop ks. kapucyn. Święty Józef i szczegóły jego życia. Uwagi o wielkości Jego godności. Zachęta do szczególnej w Jego pośrednictwo ufności; z przydaniem na cześć Jego niektórych Jego ćwiczeń pobożnych. 1871.
- Przepisy o polowaniu w guberniach Królestwa Polskiego — najwyżej zatwierdzone d. 5 (17) lipca 1871 r. Wydanie 3-cie (po polsku i po rusku).
- Rogojski J. B. Listy o kulturze. List II. Prawidła kultury.
- Strasburger, dr. filozofii. Przegląd krytyczny teoryi zarobku.
- Sulimierski Teofil. Przegląd najnowszych plodów piśmiennictwa polskiego. 1870 do 1871.—1871.
- Świerzbiniński Romuald. Czy ludzie od małp pochodzą? 1871.
- Verne Juliusz. Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi około świata. 2 tomy. 1870 — 1871.
- Wzory sztuki średniowiecznej z epoki odrodzenia po koniec wieku XVII. wydanie A. Przeździeckiego i E. Rastawieckiego. Serya III. Zeszyty 17 i 18. U Fajansa. 1872.
- Zimmermann dr. W. F. A. Dziwy świata pierwotnego, czyli kolebka wszech-swiata, przełożył z 22-go wydania oryginalnego. T. Dziekoński. 1872.

R a d o m.

Babiński dr. O gorączkach w ogólności.

L w ó w.

- Bełza Władysław. Złote literki; nowa książeczka dla dzieci, z ryciną. 1872. Nakładem K. Wilda. 1872.
- Biblioteka teatralna lwowska. Zeszyt X. Koziebrodzki hr. Wład. Pokusa, komedia w jednym akcie.
- Bielski Józef. Homeopatya popularna według dra C. Heringa z Filadelfii; przełożył z francuzkiego, uzupełnił własnymi uwagami i objaśnieniami powiększył i do potrzeb zwolenników tej metody zastosował. — Z licznymi ilustracyami. Zeszyt I. 2. 1872.
- Codex diplomaticus Vielicensis. Kodex dyplomatyczny Wielicki, wydany z polecenia Jego Excelencyi Agenora hr. Gołuchowskiego; staraniem i nakładem „Gazety Lwowskiej“. W drukarni Karola Budweisera; in folio, str. 170, z 25 podobiznami. 1872.

- Desinfekcja tabelarycznie ułożona instrukcyja do odwiezrań pokoi, sal szpitalnych, stajen, itp. podczas grasujących zaraz. Nakładem Piotra Mikolascha.
- Isakowicz J. ks. Kazania i nauki świętalne i przygodne. Tom 5-ty. 1872. Nakładem W. Manieckiego.
- Łoziński Wład. Galiciana. Kilka obrazków z pierwszych lat historii Galicyi. 1871., 8o, 9 arkuszy druku.
- Mühlbach Ludwik. Baron Kobielski (powiastka historyczna). Nakładem F. H. Richtera.
- Olpiński Filip. Praktyczna gramatyka języka polskiego. 1872.
- Opolski dr. W. Rzecz o kwestyi latrynowej, 8o majore, str. 83.
- Samolewicz Zygm. i Benoni K. Gimnazyja i szkoły realne pruskie a nasze, ze względu na organizacyę i metodę nauczania. Sprawozdanie do wys. Wydziału kraj. ułożone. Ar. V, 128, 8o maj.
- Sobieski Stanisław. O nauce dostrzegania. 1871. — Nakładem „Szkoly“.
- Supiński. Pisma. — Wydanie poprawione i pomnożone. 1872. — T. 1, 4, 5. 8o.
- Urbański Aureli. Szare ptasze. Poezye. 1871.
- Zacharjasiewicz J. Noc królewska. Powieść z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta. 1871 Nakładem F. H. Richtera.

Kraków.

- Album starożytności i zabytków sztuki m. Krakowa. Zeszyt 1.
- Bełcikowski Adam. Gustaw i Werter. in 8o, str. 56. 1872. — Odbitka z „Kraju“.
- Chłędowski Kazimierz. Ella, powieść. 1872. Nakład „Kraju“.
- Daisenberg Dr. Władysław. Dzieje filozofii, prawa i państwa; przedstawione na tle dziejów cywilizacyi. 1872. Zeszyt 1.
- Florkiewicz Julian Ozdoba. Traktat o małżeństwie domniemaném. 8o, str. 15. 1872. W drukarni „Kraju“.
- Gołemberski Władysław. Studium nad polityką węgierską ostatniego dwulecia. 1872. W drukarni Uniw. Jagiellońskiego.
- Historya Radomyśla nad Sanem, przez K. z T. 1871.
- Kautny ks. jezuita. Propedeutyka filozoficzna. 1872.
- Kongres międzynarodowy antropologiczny i archeologii przedhistorycznej, odbyty w Bononii od 1 do 8 października 1871 roku. — Sprawozdanie członka kongresu Aleksandra hr. Przeździeckiego. — Odbitka z Rocznika N. M. Tow. Naukow. Krakowskiego.
- Kraszewski J. I. O postępie; odczyt miany d. 16 marca 1871 roku w stowarzyszeniu „Postęp“ w Krakowie. 1871.
- Leśniewski Jan. Kwestya nadbałtycka. 1872. Druk. „Kraju“.
- Littich Aleksander. Księgosusz. 1872. 8o, str. 40.
- Łepkowski Józef. Sztuka, zarys jej dziejów, zarazem podręcznik dla uczących się i przewodnik dla podróżujących. 104 drzeworytów. — in 8o. Str. 401; CLXXX. 1872. Nakładem Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych. W drukarni „Czasu“.
- Wspomnienie o Aleksandrze hr. Przeździeckim (* 1814 roku 29 lipca a † 1871 r. 26 grudnia). in 8o, str. 11. 1872. — W drukarni Leona Paszkowskiego. (Odbicie z „Przeglądu Polskiego“).

- Niewolnik. Poema. W drukarni Uniwersyt. Jagiellońskiego.
- Orzechowski Konrad Oksza. Skorowidz i przewodnik statystyczno-typograficzny królestwa Galicji i Lodomerji wraz z W. Księstwem Krakowskiem i Ks. Bukowiny. 1872.
- Paszkowski, generał. Dzieje Tadeusza Kościuszki. W drukarni Uniw. Jagiellońskiego.
- Prawo postępu. Odbitka z „Kraju“.
- Przegląd polski. Zeszyt VIII. 1872.
- Rocznik LII. Towarzystwa Dobroczynności miasta Krakowa z r. 1870. in 8o, str. 67. 1871. W drukarni „Czasu“.
- Roszkowski Gustaw Dr. O komunizmie i socyalizmie. — Wykład publiczny miany dnia 6 grudnia 1871 r. w Krakowie. in 8o, str. 20. 1872. Odbitka z „Na Dziś“.
- Schmitt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta. Z 8 rycinami podług rysunku Kossaka i Walerego Eliasza. Nakładem Nowoleckiego. 1872.
- Waligórski Jan (wydawca). „Na Dziś“ — pismo zbiorowe. Tom I. str. 443. W drukarni „Kraju“.
- Wierzbicki dr. Daniel. Użycie globusu. — Zbiór zagadnień dających się rozwiązać za pomocą globusu ziemskiego. in 8o, str. 31. 1872. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Ziemia dr. Teofil. Jan Śniadecki na polu filozofii. 1872. Odbitka z „Rocznika Tow. Naukow. Krakowskiego“.

Wadowice.

- Goethe. Pieśni i ballady. Tłumaczenia A. G. (Garczyńskiego). Wyd. 2. U Foltyna.

Poznań.

- Brzeziński Antoni ks. Wspomnienia o ó. p. Edmundzie Bojanowskim, fundatorze zgromadzenia słuźebniczek Boga-rodzicy Dziewicy Niepokalanéj. 1872.
- Kantecki Klemens. Życie Hieronima Savonaroli. Epizod z dziejów Florencyi. 1872. Nakładem F. H. Richtera.
- Karłowicz Jan. Wyprawa kijowska Bolesława Wielkiego. 1872. — W księgarni Żupańskiego.
- Konrad de Bolanden. Stary Bóg żyje; opowiadanie historyczne dla ludu. Tłum. z niemieckiego N. Bontuk. st. 659.
- Lenartowicz Teofil. Echa nadwiślańskie.
- Wilkońska z L. Paulina. Wspomnienia moje o życiu towarzyskiem w Warszawie.

Niemieckie Piekary.

- Zaręba B. Krótki przegląd miar i wag od 1 stycznia 1872 r. w cesarstwie niemieckiem i królestwie pruskiem do użytku wprowadzonych i obowiązujących.

Drezno.

- Zabawa etnograficzna polska, str. 82.

Genewa.

Mikoszewski K. Polska i Rosyya w Słowiańszczyźnie.

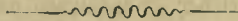
Bruxella.

Synpolski. Idea. 1872. U J. H. Delhon.

Paryż.

Ostrowski Krystyn. Antoniusz i Kleopatra. Dramat w 5 aktach
W. Szekspira. 1872. Librairie internationale.

Wicherski Felix. Miscellanea. Tom I. (Zawiera: Bajki, Epigrammy,
Wiersze różne, 400 str. in 8.



Korespondencye, Kronika i Rozmaitości.

Kraków. — W Towarzystwie naukowym na ostatnich posiedzeniach Oddziału nauk moralnych, czytali *rozprawy* :

1) Dr. Karol Estreicher „o zasługach naukowych ś. p. Jana Szlachtowskiego“. Rozprawę tę podajemy w niniejszym tomie.

2) Pan Stanisław Zarański, sekretarz Tow. nauk. „o żywiole dydaktycznym tkwiącym w nauce rolnictwa“.

3) Prof. Józef Szujski: „Sprawozdanie z rozprawy historycznej Karola Hofmana“, oraz z nadesłanej z Kijowa rozprawy: „Krakus, cesarz słowiański“. Na ostatniem téż posiedzeniu odczytał sprawozdanie z czynności komisji historycznej, oraz wstęp do I tomu jéj wydawnictwa. — Komisya ta, zawiązana przed półtora rokiem przy krakowskiem towarzystwie naukowym w celu wydawania materyałów do historii polskiej, wkrótce wypuści w obieg pierwszy tom swoich publikacyj, który już od kilku miesięcy się drukuje. Według pierwotnie ułożonego planu przez dyrektora komisji J. Szujskiego, prof. uniw. Jagiel., materyały historyczne ogłaszane być mają w kilku dziełach, t. j.: „Diplomataria“, „Scriptores“, „Acta“ i t. d. Pierwszy tom należy do działu „Scriptores rerum pōnolicarum“, i zawierać będzie trzy dyaryusze z XVI wieku, mianowicie sejmów z lat 1556, 1548 i 1570. Dyaryusz sejmu krakowskiego z r. 1553 prawdopodobnie ułożony przez Hieronima Ossolińskiego, znanego w owym czasie posła i jednego z przywódców izby poselskiej, znalazł prof. Szujski w cesarskiem archiwum tajnem w Wiedniu; ztamtąd również pochodzi Dyaryusz sejmu Warszawskiego z r. 1570, układany przez Rafała Leszczyńskiego, starostę radziejowskiego, również jednego ze znanych przywódców izby poselskiej. — Dyaryusz zaś sejmu piotrkowskiego pochodzi z rękopismu biblioteki kórnickiej, który został udzielony przez hr. Jana Działyńskiego, komisji historycznej do tego użytku. Porównano go zaś z inemi odpisami tegoż Dyaryusza, w posiadaniu innych osób zostającami. Opracowaniem całego tego tomu i przygotowaniem do druku, bardzo pracowitem i starannem, zajmował się sam dyrektor komisji historycznej J. Szujski; w przypisach i dodatkach pomieszczono wiele nieznanych dotąd aktów i dyplomatów, pochodzących z cesarskiego archiwum tajnego w Wiedniu lub z rękopismów biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, z metryki koronnej i innych źródeł. Zewnętrzna strona wydania bardzo skromna, stósownie do niewielkich funduszów, któremi komisya historyczna rozporządza. Tom ten pierwszy obejmować będzie mniej-więcej 20 arkuszy druku w średniej ósemce.

4) Ks. Waleryan Serwatowski dziekan i proboszcz kościoła ś. Piotra : „o pierwotnych tradycjach najdawniejszych patryarchów rodu ludzkiego, czyli porównanie zasad Zoroastra z zasadami Staro-Hebrów“. — Rozprawę tę, głęboko opracowaną, podamy w dalszych tomach „Na Dziś“.

W kolegium fizyczném dr. Janiszewski, prof. medycyny przez kilka niedziel miał odczyty publiczne, bezpłatne: „o pomocy, jaką udzielać należy osobom na pozór zmarłym, lub zagrożonym nagłą utratą życia, tudzież w innych nagłych przypadkach.

W Muzeum techniczno-przemysłowém w lutym i marcu odbyły się *odczyty publiczne*:

1) Prof. Józ. Szujskiego: „Wędrówka historyczna po Krakowie“. Piękna ta praca drukuje się obecnie w *Przeglądzie Polskim*. — Nadto prof. Szujski miał jeszcze odczyt: „O Reytanie na sejmie 1773 r.“

2) Dra Karola Estreichera, dyr. biblioteki uniw. jagiel.: „O języku i historii pisma“, a mianowicie: 1) o piśmie obrazowém, 2) o piśmie chińskiem, japońskiem i koreańskiem Indian amerykańskich i Meksyku, 3) o piśmie egipskiem, jako to hieroglifach, demotyce i hieratyczném, 4) o piśmie indyjskiem (sanskryt, pisma mandżurskie, kałmuckie) itd. 5) o pismach assyryjskich klinowych, 6) o pismach semickich i o runach. — Na ostatnim odczycie p. Estreicher mówił o runach na bozkach prylickich i o kamieniach Mikorzyńskich z runicznymi napisami i goźdzami, a opowiedział historyę wynalezienia tych kamieni w Poznańskiem, na podstawie ścisłych naukowych badań i tój nieubłaganój loiki, która odrzuca wszelkie sofistyczne przypuszczenia, lub domysły wyobraźnią tylko zrodzone, dowodził nieautentyczności tych kamieni. Takż sam zarzut zrobił i p. Małecki we Lwowie także na publicznym odczycie, jak to powiemy niżej. Małecki i Estreicher to przecie ludzie, których stanowisko naukowe dawno uznane, a prace szanowane. Po tych więc zarzutach publicznie wypowiedzianych, godziłoby się, gdyby Towarzystwo Naukowe krakowskie, w którego zbiorach znajdują się obecnie owe podejrzone kamienie, albo uznało je za podrobione, albo też uzasadniło ich autentyczność, dokumentalnie zbijając zarzuty pp. Małeckiego i Estreichera.

3) P. Teofila Rutkowskiego b. marszałka szlachty podolskiej: „O legendach wschodnich i podaniach Arabów o pochodzeniu koni“.

4) Znanego powieściopisarza Jana Zacharjasiewicza: „O idealizmie i realizmie w literaturze nadobnej“.

5) Dra Adama Bełcikowskiego: „O poczci polskiej w XIX wieku i o jój wpływie na życie narodu“.

6) Dra Gustawa Roszkowskiego: „O przywilejach i ceremoniach w świecie dyplomatycznym“.

Nadto w témże muzeum mieli odczyty *popularne*:

1) Prof. Dr. Rehman: „o roślinach kopalnych, o obecnym stanie roślinności i stosunku człowieka do świata roślinnego“.

2) Prof. Prysak: „O ochranianiu ptaków użytecznych“, „o zwierzętach, które się poławiają w celu otrzymania tranu“.

3) Inżynier Pryliński: „Zasadnicze wiadomości z mechaniki praktycznej: siła, tarcie, wytrzymałość“, „o systemacie metrycznym, o miarach i wagach dotychczasowych w porównaniu z metrycznemi“.

4) Dr. Janikowski: „O środkach zapobiegania szerzeniu się chorób zaraźliwych, a w szczególności ospy“.

5) prof. Radziszewski: „O ciałach powstałych ze spalania węgla“.

6) prof. Władysław Łuszczkiewicz: „O piękności wyrobów rękodzielniczych i przemysłowych, a w szczególności o piękności kształtów i środkach przyozdabiania“, „W jaki sposób należałoby pomyśleć o wykształceniu w kierunku estetycznym naszego rękodzielnika i przemysłowca“.

7) Dr. Grabowski: „O kąpielach pod względem higienicznym“.

W Towarzystwie „Postęp“ rękodzielników i przemysłowców, Dr. Adam Bełcikowski miał kilka odczytów: „O panowaniu Stanisława Augusta“.

Teatr Krakowski. — Sądziłiśmy, że już w tym tomie naszego piśma będziemy mogli przystąpić do szczegółowego ocenienia osób do towarzystwa teatralnego krakowskiego należących, jako też sztuk przedstawianych. Widzimy jednak dzisiaj, że okoliczności zasze od wyjścia poprzedniego tomu naszego piśma, nie pozwalają nam i dziś jeszcze przystąpić do tój części naszego zadania.

W ciągu tego czasu rozstrzygnęła się sprawa, która dość długo utrzymywała w zawieszeniu uwagę wszystkich miłośników sceny polskiej — sprawa teatru lwowskiego. Pisząc w tём miejscu z Krakowa i o Krakowie tylko, nie chcemy przesądzać, czy dobrze, czy źle się stało, że teatr lwowski nie dostał się w ręce pojedynczego przedsiębiorcy, lecz w ręce spółki; rozstrzygnięcie tój kwestyi pozostawiamy czasowi, a prawo odzywania się o nięj bliższym miejscowym stosunkom publicystom. W każdym razie jednak, stał się fakt, który bez wpływu na scenę krakowską zostać nie mógł i z którym z tego względu rachować się powinniśmy.

Nowo utworzone a raczej tworzące się dopiero towarzystwo teatralne lwowskie, musiało szukać artystów po innych scenach, pukać do każdej prawie znakomitszej osobistości scenicznej, próbować sięgnąć po wszystko, co najlepsze gdzieindziej. Pojmujemy to i nie dziwimy się temu; tak postępować musi każde nowe przedsiębiorstwo teatralne, pierwszego zawiązku trupy żadne nie ulepi z powietrza. Z drugiej strony pojmujemy również i znajdujemy naturalném, że konkurencyjne oferty nowych przedsiębiorców, z konieczności wróżące angażowanym artystom świetniejszą materyalną pozycyę, od tój w jakiej zostawali dotychczas, niezawsze pozostać mogły bezskuteczniemi. Ztąd przewidywalniśmy, że przejście teatru lwowskiego w inne ręce, pociągnie za sobą pewien ubytek w personalu sceny naszej i przewidywanie to sprawdziło się, bo rzeczywiście kilku artystów teatrowi krakowskiemu ubywa, a na nas wprzód, nim poddany ocenie szczegółowej talenta pojedynczych członków naszej sceny, spada obowiązek rozważenia, jaki wpływ ten ubytek na losy teatru krakowskiego wyrzucić może?

Ażeby sumiennie odpowiedzieć na to pytanie, winniśmy pamiętać przedewszystkiem, że, ogólnie rzecz biorąc, kierunek sceny może być dwójaki: albo dyrekcya nakreśla sobie pewien plan, pewien program odpowiedni potrzebom, którym scena zadość ma uczynić i stara się o siły artystyczne niezbędne do wykonania tego planu; albo też dyrekcya uważa się za exploatorkę pewnego zasobu sił artystycznych, jakie jęj się nagromadzić udało, do nich stosuje reportoar i przedstawia tylko to, co z pomocą sił posiadanych przedstawić jest zdolna, nie kusząc się o nic więcej. W pier-

wszym razie na głównym planie stoją zawsze dzieła przedstawiane, w drugim występujący artyści; w pierwszym teatr dąży do przedstawiania arcydzieł sztuki; w drugim, przedstawia nawet najlichsze ramoty, dla tego tylko, że w nich któryś wydatniejszy członek trupy, jaki komik, czarny charakter, albo jaka artystka do ról naiwnych, znajduje pole do popisu; w pierwszym razie wreszcie dyrekcya stara się kształcić początkujące i rozwijające się dopiero talenta, stara się każdą spostrzeżoną zdolność trafniemi uwagami i radami podnieść do takiego stopnia, aby ogólnej harmonii nie psuła, lecz owszem wyrabiała się i doskonaliła ciągle — w drugim dyrekcya wszystko, co nie jest czyjąś popisową rolą, lekceważy i zaniedbuje, na młode zdolności nie zważa, pozostawia je samym sobie, a nawet częstokroć, spostrzegłszy w nich jakąś stronę, która się publiczności podoba, przez spekulacyjne wyzyskiwanie tej jednej strony talentu, sprowadza go na najgorszą drogę, wykrzywia, paczy i gubi.

Zbytecznym byłoby mówić, który z tych dwóch kierunków uważamy za właściwy, prawdziwie artystyczny, mający na celu przedewszystkiem sztukę; który za zgubny, dogadzający tylko interesom finansowym przedsiębiorcy. Ponieważ jednak strata jednego albo kilku znakomych artystów niewątpliwie daleko mniej znaczy przy pierwszym kierunku, jak przy drugim, w którym często stać się może zupełną całego przedsiębiorstwa ruiną, rozbierzmy zatem z całą bezstronnością, czy kierunek obecny naszej sceny należy do pierwszej, czy do drugiej z tych dwóch kategorii.

Kategorie te zbyt są odrębne, w zbyt rażącej ze sobą zostają sprzeczności, ażebyśmy się choć na chwilę pomylić mogli. Dosyć przebiezdz repertoar, a odpowiedź będzie gotową. Arcydziała Szekspira, Beaumarchais'go, Moliera, Fredry, Mickiewicza, Słowackiego, nie są z pewnością sztuczkaniami pisanemi na efektowny popis dla tego lub owego artysty. Pokusić się o ich przedstawienie, może tylko scena zdolna do wysokiego stopnia harmonii w ogólnej całości gry. Otoż w liczbie scen polskich, odważających się na przedstawienie podobnych rzeczy, krakowska pod obecnym zarządem trzyma niewątpliwie najpierwsze miejsce: dzieła takie spotykamy na niej najczęściej i wykonanie ich, jakkolwiek nieraz w doskonałości dalekie, na to sama dyrekcya pojmująca trudność podobnych zadań chętnie się zgodzi, wypada jednak zawsze tak zadawalniająco, iż nigdy jeszcze, najzłośliwsza krytyka nie powiedziała, że teatr krakowski na przedstawienie podobnych arcydzieł porywać się nie powinien. Co więcej postęp jest wyraźny. Każde następne przedstawienie takiego dzieła, przeciętnie biorąc, lepszym jest od poprzedniego, każda nowa mistrzowska sztuka wychodzi w ogólności harmonijniej i bardziej zadawalniająco od poprzedniej.

Z drugiej strony repertoar naszego teatru wolny jest prawie zupełnie od tej plagi sztuki dramatycznej, jaką są tak zwane sztuki popisowe, które tylko talentem artysty oddającego jedną rolę, utrzymują się na scenie, same zaś przez się żadnej nie mają wartości. Są teatru, nadzwyczaj nawet liczne, z polskich, warszawski przedewszystkiem — w których najlichsza ramota, najnędzniejsza klejanka najbezmąyslniejszych scen i sytuacji, przedstawiana bywa po sto i po kilkaset razy, dla tego, że w pewnej roli grający ją artysta umiał się tak spodobać, iż dla gry jego zapomniano o niedorzecznej całości. Moglibyśmy tuzinami wyliczyć sztuki, które jedynie w ten sposób ocalały, dobiły się pewnej sławy, stworzyły nawet cały zastęp naśladowców i jak najgorzej wpłynęły na kierunek smaku publicznego. Nasza terażniej-

sza dyrekcyja zupełnie nas nie karmi tego rodzaju potrawami, a nawet jeśli wyjątkowo dostanie się na scenę coś obliczonego na popis dla jednej artystki lub jednego artysty, np. (*Aktorka* lub *Trefniś*), są to raczej utwory powniejsze, mające myśl i wartość artystyczną, jakkolwiek cała ich treść w szczerym swoim zakresie skupia się w jednej tylko roli. Mniejszej daleko, małej lub prawie żadnej wartości sztuczki popisowe, jak *Grzeszki babuni*, *Zbudziło się w niej serce*, albo *Pierwsza wyprawa młodego Richelieu*, dane w celu pokazania publiczności w gościnnych występach artystki, którą dyrekcyja miała zamiar zaangażować i po jej zaangażowaniu zatrzymane w repertoarze, zdaniem naszym niepotrzebnie, stanowią jedyne podobno odstępianie od przyjętego widocznie przez dyrekcyę prawidła. Dostały się one do nas z warszawskiego repertoaru. — W Warszawie większa połowa przedstawień zapełniona jest podobnemi rzeczami, powtarzanemi do znudzenia i doprowadzającemi do rozpaczki ludzi z wyrobionym smakiem — nie ma jednak u nas obawy, żeby otworzyły drogę temu kierunkowi, ponętnemu chwilowo dla finansów przedsiębiorstwa teatralnego, w ostatecznym przecieź rezultacie nawet pod względem materialnym niebezpiecznemu dla sceny, która się go ustrzedz nie umie.

A ustrzedz się czegoś podobnego nie jest tak łatwo, jakby mógł sądzić, kto nie ma dokładnego pojęcia o rozmaitych wpływach działających lub usiłujących oddziaływać na dyrekcyę teatralną. Literatura dramatyczna jest bardzo obfita. Każdy mieszkaniec zakulisowego świata, każdy z tych, co mają przywilej cztery razy na tydzień ukazywać się nam na wywyższeniu z desek za rzędem lampionów, każdy od bohaterów i pierwszych kochanków, aż do subretek i lokai, znajdzie w jakimkolwiek języku jakąś sztukę, najczęściej bardzo lichą, bo lichot wszędzie najwięcej, coś takiego, w czemby się mógł pokazać, w czemby mógł zdobyć oklaski lub jeśli przywykł do oklasków, skupić wyłącznie na siebie uwagę całej sali i najmniej częstki swego tryumfu nie podzielić z nikim innym. Najznakomitsi artyści nie są wolni od żądzki ukazania się w tém, do czego są najzdolniejsi, żądza ta leży w naturze talentu, w teatrze jednak względami na harmonię całości miarkowaną być winna. Znalazłszy coś podobnego, każdy artysta używa naturalnie wszelkich wpływów i starań, ażeby sztuka taka dostała się na repertuar. Ażeby się oprzeć tym wszystkim, tak często bliskim i silnym wpływom, trzeba energii i stanowczości niemałej, a i ta czasem nie wystarcza, gdy artyści mający prawo wybierania sztuk na swój benefis, najczęściej wybór czynią w takim kierunku.

Powiedzieliśmy nieco wyżej, że eksploataowanie artystów przez dawanie im ról popisowych i opieranie na tém powodzenia sceny, jest kierunkiem w ostatecznym rezultacie niebezpiecznym dla samego przedsiębiorstwa teatralnego, nawet pod względem materialnym, chociaż zdaje się największe przynosi korzyści. Tak jest rzeczywiście, bo w teatrze obliczającym wszystko na powodzenie tego lub owego artysty, usunięcie się takiego artysty jego dłuższa słabość lub śmierć, jest katastrofą często niepowetowaną, a prawie zawsze pochłaniająca to wszystko, co kieszeń dyrekcyi na fałszywym kierunku sceny zyskała. Gdyby scena nasza szła tą drogą, dziś już musielibyśmy obawiać się o jej losy; kierownictwo prawdziwie artystyczne uwalnia nas zupełnie od tej obawy. Straty wszelkie bolesnemi być mogą i są niezawodnie, ale żadna nie jest niepowetowaną. Kierunek obliczony na całość przedstawień, nie na pojedyncze popisy, ma tę wyższość nad tym

ostatnim, że kształci, wyrabia talenta, gdy ten je psuje i niweczy. Zarząd teatru przytem w swym własnym interesie postara się zapewne jak najszybciej uzupełnić zdefektowane chwilowo towarzystwo, byleby tylko miał środki po temu. O środki nie ma obawy tam, gdzie między publicznością a dyrekcją istnieje zaufanie wzajemne. Dla tego słusznie zarząd żąda tego zaufania od publiczności. Na czém jednakże publiczność pokładać może to zaufanie? Czy na osobie i słowie dyrektora? Bynajmniej — rękojmia taka byłaby dostateczną dla tych tylko, którzy go znają bliżej, osobiście — dla publiczności nie wystarcza. Dla tego właśnie w poprzednim artykule starano się wykazać i wykazano jak sądzimy, że publiczność może zaufać, iż ustąpienie tego lub owego artysty, nie zachwieje bytu sceny krakowskiej, nie zniży jej artystycznego poziomu, nie straci jej ze stanowiska, jakie zajęła i nie sprowadzi z drogi postępu, na którą weszła, albowiem kierunek w jakim jest prowadzoną, czyni ją niezależną od fantazyi lub chrypki pojedynczych członków towarzystwa. — Jest to dla publiczności gwarancya najlepsza i winszujemy obecnemu zarządowi, że się na nią powołać może.

Jeszcze słówko.

W liczbie ustępujących z teatru krakowskiego dwóch, czy trzech osób, znajduje się p. Bolesław Ładnowski. Nie należymy do tych fałszywych przyjaciół naszej sceny, którzy mają zwyczaj „uznawać artystów za niezbędnych i niezrównanych dopiero wtedy, kiedy opuszczają naszą scenę“, ale nie należymy także do tych zaslepionych słuźalców interesu dyrekcji, którzyby radzi zaprzec i zaliczyć do mierności najznakomitszy nawet talent, jedynie dla tego, że się od naszej sceny usuwa. — Czy p. Ładnowski pozostaje na naszej scenie, czy ją opuszcza, w niczém to nie wpływa na nasze o nim zdanie. Widzimy w nim zawsze to, czém jest: uzdolnionego artystę, talent, mający przed sobą najświetniejszą przyszłość, przyszłość, która tém pewniej spełniłaby powinna co obiecuje, że p. Ładnowski jest artystą sumiennym, pracowitym, artystą który kocha sztukę i pojmuje ją poważnie. Obok tego p. Ładnowski jest artystą młodym, mającym przed sobą dużo czasu; z postępów, jakie w ostatnich latach poczynił, wnioskujeśmy o jego postępach przyszłych i wyobrażamy sobie, czémby mógł być w zenicie rozwoju swego talentu.

Im wyżej jednak p. Ładnowskiego stawiamy, tém troskliwiej uważać musimy na wszystko, co temu tyle rokującemu talentowi na drodze rozwoju tamę położyć może. Gdyby p. Ładnowski pytał się nas o radę, czy ma się zaangażować do teatru warszawskiego, odradzalibyśmy mu z całą wymową, z całą siłą przekonywającą, na jakąby nas stać było, bo teatr warszawski nie kształci talentów, ale je eksploatuje, i gdyby p. Ładnowski w najgłupszej sztuce, najbłahszymi środkami swego talentu zdołał ściągnąć publiczność i zapełnić salę, kazanoby mu tę sztukę grać 50 razy z rzędu, byle teatr był pełny, a tym sposobem powoli zmieniano go w katarzynkę, w maszynę i przyzwyczajano do zapomniania o szlachetniejszych drogach, na które polot artystyczny mógłby go zanieść. Czy teatr lwowski będzie kierowanym dobrze czy źle — nie wiemy; nie chcemy nic przesądzać, nie chcemy się do niczego uprzedzać. Czytaliśmy jednakże, że teatr ten powierza p. Ładnowskiemu reżyserję i uważamy to za najzgubniejszą dla jego talentu. Pan Ładnowski jeszcze nie przeszedł swego zenitu, jeszcze ma dużo pola do pracy nad samym sobą; kazać mu praco-

wać nad innymi, jest to powiedzieć mu: „nie pójdziesz dalej“, jest to zabrać mu czas konieczny do takiej pracy i kupić jego przyszłość za kilka dziesiąt guldenów miesięcznej podwyższonej gaży.

Gdyby z jakichbądź przyczyn teatr lwowski niżej stanął od krakowskiego, — co przecież i zupełnie nieuprzedzonym przypuścić wolno — już wtedy przejście ze sceny lepszej na gorszą, mogłoby źle oddziaływać na rozwój talentu p. Ładnowskiego, objęcie reżyserji w najlepszym razie pozostawi go tylko tém, czém jest.

Uwaga ta, z głębi przekonania naszego płynąca, a najżywszą sympatją dla pana Ładnowskiego natchniona, przetłómaczona na inne wyrazy, stanowi konkluzję tego artykułu. Konkluzya ta jest bardzo prosta: ustąpienie p. Ładnowskiego, jakkolwiek bolesne dla naszej sceny, nie budzi w nas i budzić nie może obawy o los tej sceny, ale budzi żywą obawę o p. Ładnowskiego samego.

Wł. Sabowski.

Tegoroczny post dość jest obfitym w koncerty. — Zapisujemy tu najprzód koncert p. Franciszka Bylickiego z współdziałaniem amatorów, dany na cel dobroczynny. Wypadł on bardzo świetnie, do czego przyczynił się zapewne tak wyborowy program, jak i cel, na który był dany. — Drugim z rzędu, był koncert p. Jana Kleczyńskiego fortepianisty z Warszawy i pani Kleczyńskiej śpiewaczki. O ile publiczność stęsknioną była za muzyką, dowodzi najlepiej ta okoliczność, że koncert p. Kleczyńskiego był bardzo licznym, pomimo, że nastąpił w parę dni po koncercie pierwszym. — Koncert księżnej Marcelliny Czartoryskiej, na cel dobroczynny, odbył się nader świetnie, koncertantka znana jest jako znakomita szopenistka. — Towarzystwo muzyczne krakowskie „Muza,“ również wystąpiło z koncertem, jaki zwykle co miesiąc dawać. Od czasu, jak to towarzystwo, pod doskonałą dyrekcją pana Vopalki, utworzyło u siebie szkołę śpiewu i harmonii, postępy są coraz widoczniejsze. Chóry męzkie stoją już dziś na tym stopniu, że wykonywają z wszelką dokładnością trudne i klasyczne dzieła. Słabsze są chóry żeńskie chociaż i te robią znaczne postępy. Towarzystwo „Muzy“ stoi już dziś tak dobrze, że posiada nawet fundusze, na założenie znaczniejszej biblioteki muzycznej i na zakupienie instrumentów, dzięki wybornemu zarządowi. Jest nawet zamiar, utworzenia i wykształcenia orkiestry cywilnej. — Zamiar ten ma być wkrótce wprowadzony w życie. Jeżeli tak jest, to odda towarzystwo „Muza“ niezmierną przysługę miastu, i uwolni je od zależności od muzyki wojskowych.

Lwów. — W jedynastoletnią rocznicę śmierci znakomitego poety małoruskiego Tarasa Szewczenki urządzony staraniem Towarzystwa „Proświty“ odbył się wieczór deklamacyjno-muzyczny pod kierunkiem artystycznym p. Stanisława Skibińskiego, w wielkiej sali ratuszowej w obec liczного grona zaproszonych gości, w pośród których znajdowało się kilku członków Wydziału krajowego, jakoteż księżę Sapieha, marszałek sejmu z małżonką,

Na wstępie p. Ławrowski, wicemarszałek sejmu, przemówił słów kilka tłumaczących znaczenie uroczystości, poczem p. Wachnianin odczytał pięknym językiem ukraińskim napisany ustęp o znaczeniu Szewczenki, jako poety ludowego. Nastąpiły potem produkcje muzyczne, śpiew i deklamacje. P. Skibiński odegrał wielką bohaterską sonatę Beethowena, a w przedostat-

nim numerze przesłiczną fantazję własnego utworu, osnutą na ludowym temacie ruskim. Ze śpiewów największe wywołał oznaki zadowolenia chór p. Łysenki: „Żyjmy bracia”. Odczytano telegramy z różnych stron od pojedynczych osób i korporacji, chcących z daleka brać udział w tej uroczystości.

— Pan Władysław Łoziński miał odczyt w sali ratuszowej o towarzystwie polskiem w końcu XVIII wieku.

— Dr. A. Małecki odczyt o runach słowiańskich. Przewodnią myślą tej rozprawy jest to, że owe runy słowiańskie, o których uczeni archeologowie napisali całe tomy, i w których widzieli skończone pismo Słowian przedchrześcijańskich, nie istnieją wcale; a jeśli kiedykolwiek istniały, to potrzeba je odkryć dopiero. Wszystkie bowiem zabytki starożytne, które miały dowodzić istnienia runów słowiańskich, okazują się podrabianemi. Następnie opowiedział dr. Małecki historję mistyfikacji, jaką jeszcze w drugiej połowie przeszłego stulecia urządził całemu światu uczonemu Niemiec Spornholz, trapiiony manją archeologii. Owocem tej mistyfikacji są wszystkie tak zwane bałwanki prylwickie, które przez cały wiek prawie zawracały głowy archeologom, i sprowadzały ich z drogi pożytecznych poszukiwań. Miały to być posążki różnych bóstw słowiańskich, jakoby wykopane w miejscu, gdzie stała dawniej Retra, wielkie miasto słowiańskie, które leżało w dzisiejszej Meklemburgii, i było sercem życia religijnego Słowian północnych. Na posążkach było mnóstwo napisów, które uczeni poczytywali za runy słowiańskie. Nawet Lelewel dał się uwieść tym bałwankom i uwierzywszy im święcie, opisał je gruntowniej, niż na to zasługiwały. Dopiero Leweson podał w wątpliwość autentyczność bałwanków Spornholza, już zakupionych wówczas przez naukowy gabinet księcia Meklemburg - Strelitz. Rząd wyznaczył śledczą komisję, która zebrała dowody, że jeśli nie wszystkie, to przynajmniej niektóre z bałwanków są istotnie podrobionemi.

Taką samą mistyfikacją są runy na kamieniach Mikorzyńskich, znalezionych w W. ks. Poznańskim. Dr. Małecki nie przeczy, że Słowianie mogli wyrzynać na drzewie lub korze jakieś znaki, które im zastępowały pismo; tém bardziej, że kronikarz X. wieku wyraźnie o tych znakach mówi, ale utrzymuje, że nie mamy najmniejszej podstawy uważać ich za pismo alfabetyczne, i że wszystko cokolwiek dotąd podawano za runy, jest owocem umyślnej lub mimowolnej mistyfikacji uczonych.

Poznań. — Seweryn hr. Mielżyński obrany został honorowym prezesem Towarzystwa Przyjaciół nauk. Zasłużył on na tę godność, jako człowiek gruntownie wykształcony a do tego malarz-artysta; przysłużył się też znakomicie towarzystwu przyjaciół nauk. W roku zeszłym, kiedy magistrat miasta Poznania przez odmowę przytułku licznym zbiorom towarzystwa w bibliotece Raczyńskich zachwiał bytem i zakwestjonował przyszłość tej instytucji, Seweryn hr. Mielżyński zakupił kamienicę w Poznaniu i podarował ją towarzystwu, aby drogocennym jego zbiorom bezpieczne zapewnić schronienie. Nadto podarował towarzystwu bibliotekę z 10,000 tomów, — mnóstwo rycin i przesłiczną galerję obrazów olejnych pędzla najpierwszych mistrzów zagranicznych i polskich, które przed dwoma laty nabył od bar. Rastawieckiego.

Towarzystwo przeto chcąc mu oddać cześć należną, na walnem zgromadzeniu 11 stycznia r. b. wybrało go swoim prezesem honorowym, a dnia 5 marca, prezes towarzystwa dr. Karol Libelt wręczył hr. Mielżyńskiemu dyplom na tę godność.

Ks. Aleksy Prusinowski doktor filozofii, proboszcz grodziski, umarł 15 lutego w Poznaniu w domu Sióstr Miłosierdzia, gdzie już od lat kilku znalazł sobie pomieszczenie. Społeczność straciła w nim zacnego kapłana, znakomitego pisarza w zawodzie publicystycznym i nierównanego kaznodzieję. Ksiądz Prusinowski, rozpoczynając swój zawód jako filolog i nauczyciel religii w gimnazjum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu roku 1845, brał następnie i w późniejszych latach udział w życiu publicznem. Był kilkakrotnie deputowanym na sejm pruski, przez kilka lat był redaktorem *Tygodnika katolickiego*, a jako kaznodzieja upamiętnił się wspaniałemi mowami i wielu kazaniami.

W Ostrowie nad Gopłem, w własności p. J. Trzcinińskiego złapano dnia 13 b. m. niewodem na jednej toni tyle ryb, iż trzy dni wybierano z matni ryby a jeszcze większa część matni napełnionej rybami znajdowała się w wodzie. Przez owe trzy dni odwoziło nieustannie ośm fornałek do najbliższych miast i miasteczek. Na wieść tego połowu zgromadziło się kilka tysięcy ludzi, by oglądać ów niezwykły w Gople połów ryb, a sześciu żandarmów konnych i pieszych, zarekwirowanych po części z miasta powiatowego, czuwało nad utrzymaniem porządku. O ile sięga pamięć najstarszych ludzi, nie pamiętano takiego połowu a i w tradycji Gopła nie podobnego nie utrzymuje się. Ryby są same leszcze, a pomiędzy siedemnastu wozami leszczy zaledwie kilkanaście spostrzeżono karasi i jednego szczupaka.

Znany ekonomista dr. Roman Szymański miał odczyt w Towarzystwie przemysłowem „O statystyce ludności w trzech wschodnich prowincjach królestwa Pruskiego.“ Ciekawe nadzwyczaj są tu dane statystyczne. Tak n. p. w W. księstwie Poznańskiem w roku 1817 liczono mieszkańców 848,000. W roku 1861 ludność wynosi 1,468,000 mieszkańców, z których 801,000 Polaków, 666,000 Niemców. Dowodzi to, że przez 44 lat o bardzo małą liczbę zmniejszyła się ludność polska Księstwa, chociaż z drugiej strony napływ obcego żywiołu tak był silnym, że nie mogąc wyprzeć rodzimej ludności, stawił groźną tamę jej wzrostowi i osiedliwszy się obok i wśród niej, przyczynił się do tak nagłego wzrostu ludności Księstwa. Ten sam prawie stosunek znachodzimy w Prusach. W roku 1817 znajdujemy tu 570,000 mieszkańców, w roku 1861 już 1,250,000 i to 400,000 Polaków a 800,000 Niemców. I tu ludność polska nie zmniejszyła się tak rażąco, ale nie wzrosła również, z tej prostej przyczyny, że naród po niedawnych tak strasznych klęskach cały niejako w rozkładzie nie mógł mieć tyle siły do oparcia się silnym a gwałtem cisnącym się przybyszom, popieranym zwłaszcza przez rząd moralnie i materialnie. Ani Księstwo ani Prusy nie zgermanizowały się same przez się, ale oszabione w swęj żywotności nie mogły stawić silnego oporu napływowi cudzoziemców, i ztąd taka ich wielka od lat 10 nasiadłość w obu tych prowincjach. — Co do Prus Wschodnich, to część ich, tak zwane Mazury, najświetniejszą przedstawiają

liczbę, bo na 386.000 mieszkańców znajduje się tam około 304.000 Polaków. Również korzystną liczbę 638.000 Polaków wykazuje Śląsk Górny, a mianowicie powiat: rybnicki, raciborski i inne. Dolny Śląsk liczy tylko 81.000 Polaków. Najwięcej niemieckiem jest tak zwane Pobrzeże Nadnoteckie, które też równocześnie z Prusami najpierw od dawniej Polski oderwane zostało a ku którego germanizacji Fryderyk II całą swą wyteżył energję. — Ztąd też nie wiele dawnych miast polskich ma od dość dawna już charakter tak odmienny, tak czysto niemiecki jak Bydgoszcz. Północna część tego pobrzeża Nadnotecznego na 400.000 mieszkańców, ma zaledwie 100.000 ludności polskiej; południowa więcej już ku środkowi Księstwa zbliżona, ma wśród 94.000 ogólnej ludności, 67.000 Polaków a 27.000 tylko Niemców.

Przypatrzwszy się bliżej stosunkowi W. ks. Poznańskiego, pod względem nasiadłości obcego żywołu, dwie charakterystyczne znajdujemy linie. I tak zachodnia część Księstwa tuż ponad granicami przeważnie jest niemiecka, podczas gdy wschodnia od granicy ziem polskich dziś pod berłem rossyjskiem, zachowała przeważnie charakter narodowy. Punktem środkowym, niejako księżycem, od którego rozbiegają się i ku któremu dążą promienie, są miasta i miasteczka. Im bliżej miast, tém ludność więcej niemiecka — a w okolicach miast już bardzo zniemczonych, ludność wiejska całkiem prawie niemiecka, jak szczególnie w Prusach, w powiecie złotowskim i innych. Im dalej miast, tém żywoł czystszy tém więcej i jedynie rodzimy.

Według powyższych danych, ludność polska w trzech wschodnich prowincjach królestwa Pruskiego, wynosiła w roku 1861 razem 2,391,000 z których na sam Śląsk pruski przypadało 719,000. Odtąd stosunek ludności polskiej do niemieckiej, zmienił się według ostatnich obliczeń urzędowych (spis ludności w grudniu 1872 roku) dosyć znacznie na korzyść żywołu polskiego.

Stanisławów. Po strasznym pożarze w r. 1868, dźwiga się nasze miasto jak może i przybiera fizygnomią okazalszą. Na gruzach spalonych domków i dworków wzniosły się kamienice, na kilku placach posadzano nawet kasztany i akacye, pod których cieniami może kiedyś za parę dziesiątek lat przechadzać się będą nasi potomkowie. Ale też zato drożyna wzmaga się gwałtownie, przygniata umysły całej pracującej ludności i niekorzystnie wpływa na życie towarzyskie i umysłowe. Zajęci troską o chleb powszedni, obojętnieją ludzie dla wszelkich innych ważniejszych duchowych i narodowych spraw. Ruchu literackiego nie ma, albo bardzo słaby. Księgarnia sprowadziwszy jakie dwa egzemplarze poważniejszych dzieł, z końcem roku zazwyczaj odsyła je nakładcy. Nawet rzeczy lepsze i czasopisma nietylko tanie lecz nawet tak ładne jak warszawskie pisma ilustrowane, nie znajdują u nas pokupu i zaledwo w kilku rozchodzą się egzemplarzach. Ubogich nie można winić, ale są tu także obywatele zamożniejsi, u których znajdziesz pisma pruskie (*Ueber Land und Meer*, *Gartenlaube*, *Bazar*) a polskich naprózno byś szukał. Czasby już był stoczyć energiczną walkę z tą obojętnością i niechęcią, z temi pozostałościami biurokratycznych niemieckich czasów. — Tolerancya w tej mierze wygląda na apatya. — Są wszakże i tu poczciwi ludzie pracujący nad rozbudzeniem umysłowego życia a najwięcej zastąpiło się Towarzystwo pedagogiczne, urządzając prelekcje popularne, które choćby nie wiele

nauczyły, obudzą zawsze zajęcie dla nauki i zwrócą przynajmniej uwagę na rzeczy poważne i piękne. Prelekcye dość się u nas udawały i nie zniechęciły publiczności, jak w kilku innych miastach. Przed czterema jeszcze laty urządziło także wykłady tutejsze kasyno mieszczańskie. Wykładał ks. Krechowicki, profesor Zathay, adwokat Tutak. Zaraz potem odbył się kurs wykładów z literatury polskiej Hugona Zatheya, na które zgromadzała się bardzo liczna publiczność. Następnie w ostatnich dwóch latach urządziło Towarzystwo pedagogiczne kilka seryj wykładów, w których oprócz miejscowych nauczycieli (Bodyński, Łomnicki, dr. Hankiewicz, Zathay) wzięli udział pp. Tatomir, Kulickowski, Maszkowski, dr. August Sokołowski ze Lwowa i p. Aleksander Raciborski właściciel Czernelicy w Kołomyjskiem. Nadto odbyło się w grudniu sześć wykładów staraniem profesorów seminarium nauczycielskiego (dyrektora p. Turczyńskiego, prof. Baranowskiego i Jachny) na dochód ubogich uczniów. Wszystkie powiodły się a słuchacze zachowują na długo miłe o nich wspomnienie. Następnie rozpoczął profesor Bodyński kurs fizyki i chemii dla kobiet. Koncertów mieliśmy kilka. P. Aleksander Chodecki deklamator-muzyk z Warszawy, uszczęśliwił Stanisławów aż czterema produkcjami. Pierwsze dwa razy publiczność zebrała się bardzo licznie, na trzecim mniej, na czwartym nie było prawie nikogo. P. Chodecki srodcze się miał gniewać i dość wyraźnie okazywał wzdarcę tym pocziwcom, co przyszli na ostatni koncert dany *notabene* na korzyść jakiegoś pana piastującego godność sekretarza p. muzyka-deklamatora, o którym nikt nic nie wiedział i nie słyszał. Kocham sztukę, wielbię artystów, ale doprawdy obrzydliwe są pretensye tych niekapłanów lecz chyba zakrystyjanów sztuki. Tacy panowie powinni wiedzieć, że czasy szczęśliwej prostoty już nawet w Stanisławowie minęły. P. Chodecki gra na fortepianie nie źle, ale znam wielu takich, co lepiej grają a jednak na myśl im nie przyjdzie dawać koncerta. P. Chodecki deklamuje przy muzyce, wybiera rzeczy czułe i efektowne, ale wyglądało to tak, że deklamuje bo śpiewać nie umie. Rapsodowie greccy, których chce być następcą, wcale inaczej wygłaszali utwory epickie — a nie drobne piosenki. Panna Teresa Brzechffa z Warszawy występowała u nas dwa razy. Korrespondenci z małych miast pisujący do lwowskich dzienników, uwielbiają ją z takim uniesieniem, że gdyby usłyszeli n. p. pannę Patti, chybaby oszaleć musieli z zachwytu. Źródłem tego uwielbienia jest pochwała koncertantki w *Gazecie Narodowej*. Każdy artysta może być pewny powodzenia na prowincyi, jeśli otrzyma poświęcenie w kronice *Gazety Narodowej*. W przeciwnym razie biada mu! W Stanisławowie n. p. nawet na dzikiego ludożercę nikt nie patrzy, dla tego bo *Gaz. Nar.* napisała, że to przebrany żydek z Brodów. Lecz wracam do rzeczy. Panna Brzechffa ma głos miły, dźwięczny, młody, wygląda poważnie i ładnie i jeśli przebędzie ogniową próbę w operze wiedeńskiej, gdzie zamierza podobno wystąpić, zapewni sobie powodzenie i sławę.

Mieliśmy także koncert tutejszego Towarzystwa miłośników muzyki, którego członkowie mają sił mało, lecz dobrych chęci wiele i gorliwie pracują nad podniesieniem tej pożądanej, a miłej instytucji.

Od czasu do czasu dają tu rozmaite Towarzystwa przedstawienia dramatyczne w t. z. sali teatralnej, wprawdzie obszerniej, ale niemilosie. nie brudnej i obdrapanej, a nie mającej ani porządnej sceny ani nawet porządných krzeseł. Historia teatru w Stanisławowie w ostatnich kilkunastu latach jest taka: Przed szesnastu laty gościł tu przez dłuższy czas teatr Borkowskiego

niezły; nie źle mu się też wiodło. Potem przez sześć lat przeszło teatru polskiego nie było, czasem pojawiały się wędrowne, liche towarzystwa niemieckie. W czasach owych Stanisławów zapełniony urzędnikami z Niemiec i Czech najwięcej był zgermanizowany. Dopiero w r. 1859 i u nas budzić się zaczęło narodowe życie i poczucie. W r. 1861 przyjechał z Krakowa Pfeifer. Nikt ani przed nim ani po nim nie miał takiego powodzenia. Sztuki narodowe przyjmowano z zapalem niesłychanym, który napędził p. Pfeifrowi kilka tysięcy czystego zysku; ale po jego wyjeździe znacznie ochłódł. Teatr lwowski przybywszy do Stanisławowa dwa razy w gościnę, nie doznał należącego poparcia, choć był najlepszy. Jeszcze później usiłował p. Miłosz Sztengel założyć tu stały teatr. Poświęcenie jego chętnie i gorliwiej słabe publiczność wspierane, rozbiło się jednak o trudności materialne, gdyż takie miasto jak Stanisławów, zamieszkałe przez ludność ubogą, stałego teatru utrzymać nie może. Były tu i inne trupy prowincjonalne, n. p. Łobojki, która zapisała się tém w naszej pamięci, że w niej występowała w początkach swego wielkiego zawodu znakomita Helena Modrzejewska. W b. r. nareszcie mieliśmy teatrzyk p. Woźniakowskiego, który przedstawiał wybór sztuk przechodzący siły tego towarzystwa nadzwyczaj słabe. Już nie dość dziś fałszywym patosem apelować do serca słuchaczy. Z postępem oświaty i wymagania wzrosły. Na mieszczaństwo same teatr w Stanisławowie liczyć nie może, a ci co doń uczęszczają, chociaż obowiązek lub powołanie rzuciło ich na prowincję, przynajmniej w szkołach i uniwersytetach przywykli do większych w tej mierze wymagań. Tym sposobem miłośnicy sztuki dramatycznej obchodzą Suchedni, a Melpomene zesłała na biędę.

Pomyślniejszy jest stan miasta co do szkół i liczby uczących się dzieci. Mamy gimnazjum, niższą szkołę realną i ludową, szkołę dla dziewcząt niższą i wyższą i seminaryum nauczycielskie. Gimnazjum, w którym uczył się niegdyś Franciszek Karpiński, ś. p. Mieczysław Romanowski i inni, dobre rokuje nadzieje, ma uczniów 430 i posiada wcale bogatą bibliotekę, gabinet fizyczny i przyrodniczy. W seminaryum mało dotychczas kandydatów, ale po gorliwej pracy nauczycieli pełnych zapału, znakomitych spodziewać się należy owoców. Wyższą szkołę żeńską założyły przed dwoma laty tutejsze Towarzystwo pedagogiczne własnymi siłami i dało najbiedniejszemu nawet dziewczętom możność korzystania z światła wyższej nauki tak dotychczas zaniedbanej w kobiecym wychowaniu.

Pod względem ekonomicznym budzi się także pewien ruch, a Kasa Oszczędności założona przed kilkoma laty i świeżo powstały Bank Zaliczkowy rozwija się prędko i świetnie. Pomimo to wiele ubóstwa, a cały handel i wszystkie kapitały i przedsiębiorstwa w rękach żydowskich. Czy nie czas wziąć się i na tém polu do pracy, ażeby się nie spełniły smutne przepowiednie Acerna (w Roxolanii), że naród ten „w ciało społeczne wpije się i wrośnie, nasze bogactwa pożre i przetrawi, pochłonie wszystkie kraju posiadłości“. Pomimo tolerancji, którą szanuję, wołam: Baczność! bo jęknieniem „po niewczasie“.

Czémże zakończyć ten mój list? Oto serdecznym pozdrowieniem ziemi ruskiej dla starego Krakowa i serdeczną prośbą do pana Lucyana Siemieńskiego, żeby wydał jak najrychlej całe przepyszne tłumaczenie boskiej Odysei.

(1).

Wilno. Dnia 20 Stycznia 1872 r. umarł w Wilnie ksiądz Justyn Januszewicz, kapłan zakonu ś. Franciszka, wieku lat 80. W zakonie był lat 62, kapłaństwa lat 57, penitencyaryuszem lat 25. Tłumy ludu zalegały kościół pobernardyński w czasie żałobnego nabożeństwa i przeprowadzenia zwłok niesionych przez rzemieślników na cmentarz bernardyński. Był to człowiek rzadkich cnót chrześcijańskich. Wszystko co miał, oddawał biednym, a to tak, że ci nie wiedzieli kto jest ich dobroczyńcą. Jadł tylko tyle, ażeby z głodu nie umrzeć, nie przyjmował nigdy żadnych lekarstw chociażby niedomagał, a dożył jednak do sędziwej starości. Miał sobie za zadanie pokutować za tych, którym jako penitencyaryusz udzielał rozgrzeszenia. Zawsze pokorny, skromny, przebaczący, z dziwną słodyczą i dobrocią, a wielkim darem przekonywania przemawiał do cisnących się do niego po radę, a każdy odchodził z otuchą. Za życia już go lud świętym nazywał.

— Administracya miejska, jak donoszą pisma rossyjskie, wypracowała projekt urządzenia w Wilnie Towarzystwa wzajemnego kredytu i kasy oszczędności.

W Żytomierzu jest już na ukończeniu i z wiosną ma rozpocząć działanie fabryka wyrobów glinianych p. Męczyńskiego, wyrabiająca głównie rury do wodociągów. W miasteczku Korosteszowie, o 4 mile od Żytomierza odległym, mają zamiar założyć fabrykę papieru z miazgi drzewnej. Usiłowanie podźwignięcia fabryk na Wołyniu, gdzie nie ma prawie żadnego przemysłu, zasługuje ze wszech miar na poparcie i uznanie.

W okolicach Samsonowa w gubernii Kieleckiej, znaleziono pokłady rudy metalicznej. Główną masę tej rudy stanowi wapień szary dolomitowy, wśród którego w znacznej ilości rozrzucony jest siarek ołowiu w stosunku mniej więcej 20%.

Na Kaukazie dnia 27 stycznia w niedzielę dało się uczuć trzęsienie ziemi, które najsilniej działało w Szamachi, gdzie trwało 45 sekund. Najwięcej ucierpiały dzielnice Ormiańska i Tatarska. Z cerkwi wybiegli na ulicę znajdujący się na nabożeństwie, w meczecie muzułmańskim zginęło 40 osób, w kościele luterańskim 30 Ormian. Zburzone są: dom sądowy, dom klubu, dom więzienny, koszary kozackie, kościół ormiański, szpital i t. d., a z domów przywrotnych utrzymało się tylko 25, w których mieszkać można. Więźniowie w liczbie 30 uszli z więzienia, gdy się to waliło, lecz nie przyszło im na myśl uciekać, i stanęli, czekając co dalej będzie. Wysłano ich potem do Baku. Nazajutrz znaleziono 118 osób zabitych i 44 ciężko rannych, a zapewne pod gruzami było ich więcej. Wsie okoliczne również ucierpiały. Podczas tej katastrofy było 6—8 stopni mrozu.

W marcu zaś 6go, dało się czuć trzęsienie ziemi na całej przestrzeni między Karlsbadem a Cieplicami. Dworzec kolei w Pradze dwa razy wstrząsł się. Jednocześnie ziemia trzęsła się przez kilka sekund w Dreźnie, Pirna, Schandau, Chemnitz, Bodenbach, Weimarze i Rudolfstadt.

Wystawa powszechna w Wiedniu 1873 r. obiecuje być bardzo świetną. Gmach wystawy wznosi się w Praterze na wyniosłości. Do robót grabarskich już przystąpiono. Do koła gmachu urządzony będzie

ogród i wystawa botaniczna, jakto miało miejsce na ostatniej wystawie paryskiej. Lecz pole marsowe trzeba było sztucznie zasadzać drzewami, gdy tymczasem Prater jest sam przez się wybornym i pięknym gajem. Dokładają wszelkiego starania, aby jak najmniej drzew usuwać. W razach zaś koniecznych drzewa przenoszą przy pomocy ulepszonych maszyn.

O ogromie przyszłej wystawy wiedeńskiej (która widocznie zamierza zaćmić przepychem wszystkie poprzednie), można nabyć pojęcia z następującej tablicy porównawczej przestrzeni, które zajmowały dawniejsze wystawy w stosunku do wiedeńskiej.

Londyńska Hyde-Park 1851 r. metr. kwadr.	81,591.
Paryska (Pola Elizejskie) 1855	„ 103,156.
Londyńska (Brompton) 1862	„ 186,125.
Paryska (Pole marsowe) 1867	„ 441,750.
Wiedeńska (Prater) 1873	„ 2,330,631.

Sam główny gmach wystawy wynosić ma około 950 metrów długości.

Aërolity. Niedawno dostawiono do Sztokholmu kilka aërolitów, pochodzących z Grenlandyi. Składają się one z brył, z których jedna waży 50,000 funtów, druga 20,000, trzecia 10,000 f., i kilka po 12,000 f. — Niektóre z nich zostawiono w Danii w Kopenhadze. Meteory te znaleziono podczas ekspedycyi wysłanej do Grenlandyi r. 1870, pod przewodnictwem profesora Nordenszelda, a odstawiono je do Sztokholmu na jednym z okrętów ekspedycyjnych przez barona Ottera i kapitana Krusensterna.

Skład aërolitów jest prawie taki, jak i żelaza. Zawierają one nadto 2% niklu kobaltu i materyi węglorodnych (organicznych?)... Różnią się więc zupełnie od wszystkich rud pochodzenia tellurycznego. Struktura aërolitów, i obfitość w nich gazów, wychodzących przy nagrzewaniu, dowodzą ich pochodzenia nie erupeyjnego, t. j. że nie powstały z wybuchu wulkanicznego w postaci lawy, wychodzącej z wnętrza ziemi.

Meteoryczne pochodzenie tych brył nie podlega wątpliwości, skład ich bowiem jest taki sam, jak i innych aërolitów. — Są to największe ze znanych dotąd kamieni meteorycznych. Za największy uważano dotąd aërolit znaleziony w Kramborn w Australii, (znajduje się w Muzeum Brytańskim), waży bowiem 8,000 funtów. Słynne żelazo Pallasa, którego kawałek (1 $\frac{1}{4}$ f.) darowała cesarzowa Katarzyna II Gustawowi III, ważyło pierwotnie 1,600 f. Aërolit przywieziony jako trofeum z Meksyku przez Bazaina i złożony w muzeum paryskim waży 2,300 f. Nakoniec, aërolit w kolegium Gill (Dżel) w Ameryce, dobyty z brzegów Red-Rivera (Rzeki czerwonej) waży 2,200 f. — Przecięcie największego z aërolitów grenlandzkich wynosi 42 stopy kwadratowe.

W roku 1869 odbył się pierwszy **Walny zjazd archeologów rosyjskich** w Moskwie; w roku zaś zeszłym 1871, w grudniu, nastąpił zjazd drugi w Petersburgu. Na tym ostatnim zjeździe poruszono wiele kwestyj obchodzących naukę.

Na posiedzeniu oddziału starożytności klasycznych, p. Berże, przedstawił komisji archeologicznej kaukazkiej czytał rozprawę o archeologii Kaukazu. Kaukaz jest krajem bardzo bogatym w zabytki starożytne. Na północno-zachodnim brzegu morza czarnego zwracają na siebie uwagę starożytne groby „dołymany“ złożone z czterech wielkich płyt kamien-

nych pokrytych piątą, W stronie przedniej mogły znajduje się otwór wielkości głowy.

Cały ten brzeg od Anapy do Gagr, pokryty ruinami starożytnych budowli, które świadczą o życiu jakie tu niegdyś wrzało. Ruiny te, położone najczęściej przy ujściach rzek, prawdopodobnie są szczątkami warowni, wznoszonych dla zabezpieczenia handlu. W Abchazyi zachowało się wiele świątyń, mieszkań, gajów świętych i t. p.

Imeretya, Gurya, Mingrelya, Swanetya obfitują w ruiny wież i świątyń. W niektórych okolicach, jak np. nad brzegami znaleźć można ślady mieszkań troglodytów i palafitów (budowli nawodnych). Te ostatnie znajdują się też w Gruzji, której powierzchnia jest dnem wielu wyschłych jezior. — W Osetyi, prowincyi mało dotąd znanej — znajduje się wiele ruin świątyń. Najważniejsze z nich są: Nuzalska, słynna z napisów i Rekomaska z podziemnymi przejściami.

W Gubernii Elizawetpolskiej, znajdują się pagórki powstałe ze skorpurn; dowodzą one istnienia w tych okolicach budowli nawodnych.

W Armenii zasługuje na uwagę tron Taridata, pod wsią Baszgarni. W Gubernii Erywańskiej, Koszkul inżynier odkrył kilka przedmiotów pochodzących z peryodu kamiennego. Między innymi znalazł on ślady kopalni soli, w pokładach której znajdowały się młoty kamienne.

P. Polakow przedstawił pracę „o śladach pierwotnych mieszkańców w Gubernii Ołonieckiej“. Autor, zajęty badaniami geologicznymi, znalazł wiele przedmiotów pochodzących z wieku kamiennego; niektóre z nich, jak topór, strzały i płyty, przedstawił kongresowi. — Prawdopodobnie okres kamienny trwał bardzo długo w Gubernii Ołonieckiej, gdyż niektóre przedmioty noszą na sobie cechy wyrobów stosunkowo niedawnych.

P. Lerch w rozprawie swęj odpowiedział na jedną z kwestyj postawionych kongresowi: „Jakie są cechy wspólne i różne co do materiału i formy w narzędziach znajdujących w Finlandyi, w gub. Ołonieckiej, Archangielskiej, Wołogodzkiej, w prowincjach Nadbaltyckich i na Litwie? p. Lerch wyliczył najważniejsze zbiory narzędzi i broni okresu kamiennego, znajdujące się w Rosyji. Najlicniejszy zbiór (240 przedmiotów) znajduje się w muzeum akademii nauk; składa się zaś z przedmiotów zebranych przez p. Butenjewą przeważnie w gubernii Ołonieckiej. P. Lerch zwrócił przedewszystkiem uwagę na naczynia znalezione w gubernii Ołonieckiej. Odnaczają się one różnolitością i mnogością jednych i tych samych przedmiotów. Zasługują głównie na uwagę młoty w bitwach używane z wizerunkami łbów zwierzęcych: niedźwiedzich, jelenich i baranich. Podobne młoty znaleziono dotąd tylko w Rosyji. W gubernii Archangielskiej, Wołogodzkiej i Wiackiej znajdowano łopatki mularskie (kirki) i kopije. Finlandya również obfituje w zabytki epoki kamiennęj, wyjąwszy młotów z łbami zwierzęcemi. Rzadko tu się znajdują ostrza strzał. Prowincye Nadbaltyckie obfitują w siekierki i młoty z otworami stożkowato wierconemi na rękojeści.

P. Iwanowski zdawał sprawę z ekskursyi na południe Gubernii Nowogrodzkiej, przedsięwziętej dla zbadania kurhanów i żalników. Opiszawszy topografią miejsc, obfitujących w żalniki i kurhany, głównie nad brzegami rzeki Łowati i wskazawszy metodę poszukiwań, p. Iwanowski przedstawił obecnym przedmioty, które znalazł w kurhanach. W nich znajdowały się wszędzie kości ludzkie palone wraz z kośćmi zwierząt i

ptaków, najwięcej orłów. W innych kości zwierząt z gatunku gryzących. Wszystkie te przedmioty leżały w każdym kurhanie prawie w jednakowym położeniu. — W niektórych kurhanach, które referent nazywa „kurhanami ofiarnymi“ znalazł między pierwszym a drugim pokładem piasku całe płyty, podtrzymywane kupą kamieni.

Hr. Uwarow z okoliczności tych studjów zrobił uwagę, że badania kurhanów w północnej części gubernii nowogrodzkiej przedsiębrał jeszcze w r. 1821 Zoryan Dołęga Chodakowski i znajdował prawie te same przedmioty, które zebrał teraz p. Iwanowski.

P. Sawwaitow czytał wyjątki z rozprawy D. J. Prozorowskiego, „o mierzeniu czasu w starożytnej Rosyji“. P. Prozorowski wyróżnia trzy systemata liczenia godzin w starożytnej Rosyji. Jeden, podług którego dzień miał 12 godzin, zaniechany w XV wieku, 2gi wzięty z tipikonu, przyjęty w Nowogrodzie, 3ci nakoniec, stosujący się do podziału pomieszczonego w żywotach świętych, używany był początkowo w Moskwie, a następnie rozpowszednił się w innych prowincjach. Ta okoliczność, że rachuba czasu nie wszędzie była jednaka, daje możność dokładnego zdeterminowania, w których miejscowościach pisana ta lub owa kronika.

Dotknięto też i wiele innych kwestyj, jak np. o starożytnościach i politycznym znaczeniu Palestyny, objaśnienie historycznych nazw wielu miejscowości średniej Azji, przepowiednie Sybilli (oracula Sybillina), wykaz nadbrzeżnych miejscowości Kamy, Wołgi, północnego brzegu czarnego morza, oraz północnego podnóża gór kaukaskich i t. d., oparty na nowo wynalezionych starych rękopismach Chozorów. Prof. Srezniewski zdał sprawę o obecnym stanowisku nauki starożytności rosyjskiej, w zastosowaniu do językowych i piśmiennych zabytków. Jako głębszych badaczy języka wymienia p. Srezniewski: Wostokowa, Łamańskiego, Basłajewa, Budziłowicza, (albo Budiłowicza) i Boduena de Kurtene. Miasojedow złożył bardzo wyczerpującą rozprawę o ornamentach i rękopismach starożytnych z XI i XII wieku. P. Skimborowicz złożył 60 tablic atlasu Antiquités slaves, który miał zamiar wydać były minister oświecenia we Francyi, Salwandy. Tenże Skimborowicz wniósł projekt opracowania archeologicznego atlasu słowiańskiego, któryby zawierał wszystkie kurhany, mogiły, żalniki, grodziska, zamki, wały, oraz wszystkie te miejscowości, gdzie były znajdowane starożytne zabytki na całej przestrzeni słowiańszczyzny. Ostatecznie ważna ta kwestya ma być roztrzygniętą na następnym kongresie w Kijowie. P. Barsow złożył badania geograficzne starożytnej Rosyji. P. Pawiński zrobił też ciężki zarzut autentyczności Światowitowi Zbruczskiemu, znajdującemu się w muzeum krakowsk. tow. nauk. Wszakże niczem nieudowodnił swego twierdzenia. Radzilibyśmy p. Powińskiemu z uwagą odczytać sprawozdania o znalezieniu tego bóstwa, oparte na dokumentalnych dowodach. Jeżeliby i to jego niezadowolono, chybaby chciał zarzucać kłamstwo ludziom i dziś żyjącym, którzy byli obecni przy znalezieniu i brali w tém udział. Można się spierać czy to jest rzeczywiście Światowit; czy też wyobrażenie innego jakiego bóstwa słowiańskiego, jak to próbował dawniej p. Srezniewski, chociaż nieprzyszedł do żadnych pewnych określeń; ale śmiesznością jest dowodzić, że Światowit podrobiony. P. Srezniewski i inni odparli na kongresie niedorzeczny wniosek p. Pawińskiego. — Niemożemy jeszcze pominąć twierdzenia p. Szczegłowa, który opierając się na bizantyjskich i arabskich kronikach, jak również skandynawskich zagach udowadnia, że Russowie byli pochodzenia

fińskiego i mieszkali nad Wołgą, a więc nie byli Słowianami, co też stwierdzają i archeologiczne poszukiwania, gdyż znajdowane tam przedmioty niezawodnie były w użyciu u Finnów.

Dnia 1 lutego, umarł w Dreźnie **Bogumił Dawison**, najznakomitszy z tegoczesnych artystów dramatycznych. Urodzony w Warszawie 1818 roku z ubogich rodziców opatrzonych liczną rodziną, chwycił się wczesnie pracy, a niemogąc ukończyć gimnazjum, utrzymywał się z mozolnego przepisywania w biurze sekwestratora i pisząc ładnie, podejmował się pisania plakatów, a obok tego uczył się języków, do których miał wielką łatwość; jakiś czas był także korektorem *Gazety Warszawskiej*, gdzie go ś. p. Wagner uczył języków niemieckiego i francuskiego. Dawison wyczył się języków, co później taki stały wpływ wywarło na jego karierę sceniczną. W r. 1835 wstąpił w Warszawie do szkoły dramatycznej, a w końcu r. 1837 pierwszy raz grał Alfreda w komedii Fredry „Maż i żona“. Na tem przedstawieniu, matka jego wszedłszy do teatru przed oświetleniem go, spadła z galeryi na parter i ciężkie poniosła uszkodzenie, mówią, że obie nogi połamała, a to na godzinę przed wystąpieniem syna!

Dawison zniechęcony, że go lekce ważyli starsi artyści, przeniósł się do Wilna i dwa lata grywał na tamecznym teatrze z wielkiem powodzeniem. Tu go umiano ocenić, a był też lubiony przez miejscowe towarzystwo. W lat kilkanaście po wyjeździe z Wilna, w listach do przyjaciół, zaliczał swój pobyt w tem mieście do najszczęśliwszych dni w swém życiu. W roku 1840 wrócił do Warszawy. Ale i tym razem nie doznał lepszego przyjęcia w rodzinnem mieście. Przeniósł się zatem do Lwowa, gdzie naprzód w polskim teatrze grywał, a następnie w niemieckim.

Od téj chwili Dawison, przeniósł swój znakomity talent na scenę niemiecką.

W r. 1846 grywał Dawison w Wrocławiu i po mniejszych teatrach prowincjonalnych, nigdzie jednak nie znalazł wielkiego powodzenia. Przyczyną tego było po części natracanie z polskiego, czego się do śmierci nie oduczył i właściwie mu pojmowanie ról, odmienne od tradycyi i rutyny. Dopiero w Hamburgu r. 1847 poznano się na talencie Dawisona i odtąd datuje się jego europejska sława. Zamówiony do teatru w Burgu w Wiedniu, objeżdżał podczas feryj różne teatry niemieckie i odbierał tryumfy i złoto. Całe Niemcy brzmiały wtedy jego sławą. Dawison walcząc za młodu z niedostatkiem, czuł wartość pieniędzy, a gdy z początku uważał je za środek, później stały mu się one celem. Dlatego ta strona jego charakteru nieraz nim kierowała w jego artystycznych przedsięwzięciach i stawała się powodem niemiłych zatargów z intendentem ówczesnych teatrów cesarskich w Wiedniu, hr. Lanckorońskim. Jedyny wyjątek zrobił Dawison dla kraju rodzinnego, gdy przybywszy tam w r. 1865, grał na korzyść pogorzalców. Zerwawszy stosunki ze wszystkimi dyrekcjami teatrów i osiadłszy w pięknej willi pod Dreznem, postanowił grywać tylko role gościnne, jako najwięcej przynoszące. W tym celu wyjechał do Ameryki, gdzie po wielkich miastach grywając, zebrał krocie, ale też pracą nad siły stargał zdrowie i popadł w chorobę nerwową, z której już nie wyszedł. Zostawił po sobie żonę i syna dorosłego.

Z powodu kontrybucyj pięciomiljardowej, której spłata niesłychanym ciężarem finansowym przywaliła Francję, były minister skarbu francuskiego p. Pouyer-Quertier, a zapewne i obecny jego następca p. Goulard, otrzymali mnóstwo projektów finansowych. Jeden z takich projektów, pochodzący od polaka, hr. Branickiego, znanym jest nawet powszechnie, gdyż ogłoszonym został w osobnej francuskiej broszurze. Czy z tego mnóstwa propozycji i planów, mających wydzwignąć Francję, z piątego kłopotu, wyniknie jaka nowa zdobycz dla teorii i praktyki skarbowości, czas to pokaże. Zdaje nam się jednakże, że wszystkie te projekta muszą być małej wartości tak pod teoretycznym jak i praktycznym względem. Zdanie to opieramy na bliższym rozpatrzeniu się w jednej propozycji, którą zajmował się bardzo podkomitet wydziału budżetowego ciała prawodawczego francuskiego, i którą nawet, jak donosiły dzienniki, przyjął zalecić. Jeżeli propozycja, która doznała takiego powodzenia, którą prawie wszystkie dzienniki uważały za praktyczną, wzięta pod kródkę okazuje się kolosalną niedorzecznością, czemuż musiały być odrzucone, jeżeli rzeczywiście jeszcze mniej od niej miały wartości?

Projekt, o którym mówimy, podał deputowany Leon Soubeyran. Radzi on zaciągnąć pożyczkę 4 miljardową przez wypuszczenie 40 milionów losów po 100 franków, i którą w ciągu lat 60 zostaną umorzone i zapłacone po 200 franków minimum, ale od chwili wypuszczenia aż do umorzenia kolejnego nie będą przynosiły żadnego procentu. Losy te mają być podzielone na 720 seryj po 55,556 sztuk; co miesiąc byłaby losowana jedna serja, tak że skarb rocznie potrzebowałby płacić tylko 133,334,400 fr. przez lat 60, i pozbyłby się długu. Dla zachęty do nabywania takich losów p. Soubeyran ustanawia jeszcze w każdomiesięcznym losowaniu premj, wynoszące rocznie 5,661,600 fr. tak że razem na umorzenie pożyczki rząd potrzebowałby płacić rocznie tylko 138,996,000 fr. przez lat 60.

Powierzchniwnie rzecz biorąc, projekt ten wygląda prześlicznie. Pożyczyć 4 miljardy i spłacić je w ciągu lat 60 ratami rocznymi, wynoszącymi niespełna 139 milionów, to jest mniej niż $3\frac{1}{2}\%$, znaczy to tyle, tłumaczyć rzecz na powszechniej używane cyfry, co dostać pieniędzy, w tak ogromnej ilości, na procent $2,82\%$ i do tego dokładać na umorzenie $0,655\%$ rocznie. Niestety! w obecnych stosunkach ekonomicznych świata, na taki procent nie dostałby podobno ani setnej części tej summy; gdyby zaś nawet znaleźli się kapitaliści, co by chcieli na tak niskie odsetki pożyczać, nigdyby zapewne nie przystali na takie warunki.

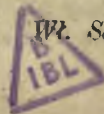
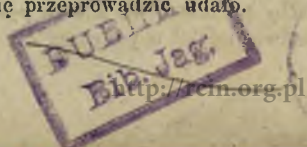
Wystawmy sobie tylko kapitalistę, któryby chciał włożyć w taką pożyczkę, dajmy na to 100,000 fr. Otrzymałby za to 100 losów, płatnych po 200 fr. ale nieprzynoszących żadnego procentu. Miałby prócz tego szansę wygrania czegoś więcej, szansę wartą dla niego 8492 fr. 40 c. czyli razem byłby przypuszczalnym właścicielem 208,492 fr. 40 c. wypłacalnych może za miesiąc, a może aż za lat 60 i nie procentujących się aż do terminu wypłaty, który przeciętnie biorąc przypadnie za lat 30. Wartość dzisiejszą takiej summy dla niego obliczyć łatwo. Jeżeli, nim nabył losy pożyczki, kapitał jego przynosił mu 5% , to te 208,492 fr. 40 c. warte są dla niego tylko 48,238 fr., albowiem gdyby taką sumę umieścić na procent składany 5% miałby po latach 30 z całą pewnością ów przypuszczalny kapitał. Tym sposobem udział w pożyczce dla kapitalisty który

na 5⁰/₀ swoje kapitały umieszcza, równałby się stracie większej połowy majątku. Gdybyśmy nawet przyjęli, że kapitalista nie może mieć od swego kapitału większego procentu jak 4⁰/₀, to i w takim razie posiadane przez niego losy pożyczki projektowanej przez p. Soubeyran, warteby były tylko 64,297 fr.; kurs ich giełdowy nie doszedłby nawet do 64¹/₃ za sto i uczestnik pożyczki straciłby przeszło trzecią część swojej fortuny, a nadto wystawiłby ją całą na niepewność, kiedy zrealizowaną być może i przez cały ten czas miałby od niej tylko taki dochód, jakiby mu przynosiło stopniowe podwyższanie się kursu giełdowego, będące naturalnym, ale bardzo powolnym skutkiem zbliżania się ostatniego kresu amortyzacji.

Niepojmujemy doprawdy jakim sposobem nad projektem tak rażąco niedorzecznym, którego nieudolność zaraz na pierwszy rzut oka dla każdego, kto zna chociaż cokolwiek naukę finansów, powinna być widoczną, mogło się zastanawiać chociaż przez chwilę ministerjum jakiego państwa, ciało prawodawcze jakiego kraju, a cóż dopiero Francji, której ekonomiści takie znakomite stanowiska zajmują w dziejach nauki. Gdyby szło o pożyczkę 4 milionów, 40 milionów nawet, przypuszczalibyśmy, że liczono na tych, którzy, jak się to praktykuje najczęściej, zapalając się do wygranej, a nieumiejąc obliczyć jej prawdopodobieństwa, płacą chętnie 100 fr. za szansę z bogacenia się, której wartość rzeczywista wynosi 64 fr. 29 c. albo 48 fr. 24 c. albo mniej jeszcze; którzy stawiają naprzykład na terno w loteryi liczbowej, chociaż każde 100 złr. postawione w ten sposób, daje tylko szansę wygrania, wartą zaledwie niespełna 41 złr., reszta zaś jest najczystszym zyskiem skarbu. Liczyć jednak na to, że na podobną loteryę Francya, cała Europa, cała kula ziemska nawet, postawić będzie chciała cztery miljardy franków od razu, na pierwsze zawołanie, nie przewidywać zamętu ekonomicznego, jakiby nastąpił, gdyby nawet do tego przyszło, jest już więcej niż lekkomyślnością.

Czy wolno nam w tym pobieżnym kronikarskim artykule, podać jeszcze w kilku słowach przyczynę tej lekkomyślności, jak ją sobie tłumaczymy?... Zdaje nam się, że w naszych czasach wstręt do wszelkich spekulacyj filozofii transcendentalnej zaszedł tak daleko, żeśmy nim objęli nawet nauki matematyczne i nie potrafimy już rachować. Wiedza nasza matematyczna rzadko wychodzi po za zakres działań najprostszych. Uczymy się w szkołach więcej matematyki jak jej używamy w życiu, i wkrótce po opuszczeniu ławy szkolnej zapominamy czegośmy się nauczyli, tak jak zapominamy po grecku. Ztąd pochodzi, że kto cokolwiek matematyki zapamiętał, ten już cyfry w bilansach rozmaitych stowarzyszeń, a nawet w bilansach państwowych, tak układać potrafi, że nam się zdaje, iż są zyski i rewanża tam gdzie jest deficyt i strata; ztąd pochodzi, że loterye mają tylu zwolenników, że domy gry tylu dobrowolnym ofiarom wydzierają resztki mienia. Ale i ci kombinatorowie zręcznych bilansów, autorowie planów loteryjnych i t. p. wędek na kieszeń publiczną, przerachowują się niekiedy i zdaje im się, że podatek od nieumiejętności rachowania można podnieść aż do wysokości czterech miliardów, ażeby skutki nierozważnie wypowiedzianej i niedośćnie prowadzonej wojny pokryć przez ostateczne zrujnowanie kraju, bo taki byłby skutek tego szalonego projektu, gdyby go się przeprowadzić udało.

W. Sabowski.



28640311
BIBLIOT.
Bib. Jag.

P:-
424